CAROLINE KEPNES

Ty

PERWERSYJNIE ROMANTYCZNY THRILLER

PWN

zakupiono w sklepie:	Sklep Testowy
identyfikator transakcji:	001-TEST
e-mail nabywcy:	test@virtualo.pl
znak wodny:	

CAROLINE
KEPNES

Ty

Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ
JACEK ŻUŁAWNIK

PWN

Copyright © for the Polish edition by Dom Wydawniczy PWN Sp. z o.o., 2015
Grupa Wydawnicza PWN
ul. Gottlieba Daimlera 2
02-460 Warszawa
tel. 22 695 45 55
www.dwpwn.pl

Wydawca: Marcin Kicki
Współpraca: Dąbrówka Mirońska
Przekład: Jacek Żuławnik
Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska
Korekta: Joanna Morawska, Agnieszka Więckowska
Projekt okładki: Urszula Gireń
Zdjęcia na okładce: balono/iStock, IPGGutenbergUKL.td/iStock, Evgeny Karandaev/iStock, 4x6/iStock
Przygotowanie wersji elektronicznej: Ewa Modlińska
Skład wersji elektronicznej na zlecenie Domu Wydawniczego PWN: Tomasz Szymański

Tytuł oryginału: *You*
Copyright: © Alloy Entertainment and Caroline Kepnes, 2014

ISBN 978-83-7705-894-7 (ePub)
ISBN 978-83-7705-895-4 (Mobi)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

Dla ciebie, Tato

Zobaczymy się, Bóg pozwoli, z pierwszym brzaskiem.
Harold Samuel Kepnes (29 stycznia 1947 – 13 listopada 2012)

1

Wchodzisz do księgarni, przytrzymujesz drzwi, żeby nie trzasnęły. Uśmiechasz się, zawstydzona, że taka z ciebie grzeczna dziewczynka, masz niepomalowane paznokcie, jesteś ubrana w beżową bluzkę z dekoltem w serek, trudno powiedzieć, czy nosisz stanik, ale sądzę, że nie. Jesteś wręcz nieprzyzwoicie przyzwoita w tych swoich różowych dżinsach, w różu utkanym z *Pajęczyny Charlotty*, przechodzisz obok mnie, mruczysz „cześć”, inni przeważnie mijają mnie bez słowa. Skąd się wzięłaś?

Jesteś klasycznej urody drobną osóbką, moją prywatną Natalie Portman mniej więcej z końcówki *Bliżej*, kiedy to młoda bohaterka – raz na zawsze kończąc ze złymi Brytyjczykami – wraca do swojego domu, do Ameryki. A ty przyszłaś do mojego domu, wreszcie tu dotarłaś, we wtorek o dziesiątej zero sześć. Codziennie dojeżdżam do księgarni na Lower East Side z Bed-Stuy. Codziennie zamykam ją wieczorem, nie spotkawszy nikogo takiego jak ty. Spójrz na siebie, dziś narodziłaś się w moim świecie. Cały się trzęsę, łyknąłbym ativanu, ale opakowanie jest na dole, a ja przecież wcale nie chcę tego brać. Nie chcę iść na dół. Pragnę zostać tutaj, całym sobą, przyglądać się, jak obgryzasz niepomalowane paznokcie i spoglądasz w lewo, nie, obrabiasz mały palec, otwierasz szeroko oczy, na prawo, nie, omijasz biografie, poradniki (dzięki Bogu) i zwalniasz, gdy docierasz do beletrystyki.

Tak.

Pozwalam ci zniknąć pomiędzy regałami – beletrystyka autorami f–k – i nie jesteś typową niepewną siebie nimfetką polującą na Faulknera, którego nigdy nie skończysz ani nawet nie zaczniesz; Faulknera, który zrośnie się z twoim stolikiem nocnym i zwapnieje, o ile to w ogóle możliwe;

Faulknera, który służy jedynie uwiarygodnianiu twoich słów, kiedy mówisz partnerom na jedną noc, że takie przygody wcale nie są w twoim stylu. Nie, ty taka nie jesteś. Nie wystawiasz Faulknera na pokaz, dżinsy wiszą na tobie, jesteś za bardzo opalona na Stephena Kinga i za mało trendy na Heidi Julavits, zatem kogo wybierzesz, no kogo? Głośno kichasz. Wyobrażam sobie, ile robisz hałasu, kiedy szczytujesz.

– Na zdrowie! – krzyczę.

Chichoczesz, ty napalona dziewuszko, i odkrzykujesz:

– Nawzajem, stary!

Stary. Flirtujesz. Gdybym był jednym z tych pajaców, którzy używają Instagrama, zrobiłbym zdjęcie tabliczce f–k i tobie, przepuścił fotę przez jakiś efekt i wrzucił ją z komentarzem:

F_ _K yes! Znalazłem ją.

Spokojnie, Joe. Dziewczyny nie lubią, kiedy mężczyzna zbytnio się narzuca. Bogu dzięki za klienta, mam problem z wczytaniem kodu paskowego Salingera – no, ale to nie pierwszy raz. Ile ten facet ma, trzydzieści sześć lat? I dopiero teraz czyta *Franny i Zooey*? Zresztą bądźmy poważni, wcale tego nie przeczyta, Salinger to tylko przykrywka dla leżących na dnie koszyka Danów Brownów. Popracujcie trochę w księgarni, a przekonacie się, że większość ludzi ma dziwne poczucie winy z powodu tego, kim jest.

W pierwszej kolejności wkładam do torby Dana Browna, jakby to było pedofilskie porno, i mówię, że *Franny i Zooey* jest do dupy, facet potakuje, a ty nadal stoisz przy f–k – wiem, bo między książkami widzę beżową plamę twojego sweterka. Jeśli podniesiesz rękę, zobaczę twój pępek. Ale nie zrobisz tego. Weźmiesz jakąś książkę, usiądziesz między regałami i może zostaniesz cały wieczór. Może będzie jak w *Gdzie serce twoje* z Natalie Portman, niewiernej adaptacji powieści Billie Letts – pierdoły, ale w miarę na poziomie – i znajdę cię w środku nocy. Pochylę się i powiem: „Przepraszam panią, ale zamykamy”, a ty spojrzysz na mnie, uśmiechniesz się i odpowiesz: „Za to ja… – oddech – …jestem szeroko otwarta. Stary”.

– E… – odzywa się Salinger-Brown. Jeszcze tu jest? Niestety. – Mogę prosić o paragon?

– Tak, przepraszam.

Wyrywa mi go z ręki. Nie czuje nienawiści do mnie. Czuje ją do siebie. Gdyby ludzie umieli opanować nienawiść do samego siebie, obsługiwanie klientów przebiegałoby sprawniej.

– Wiesz co, kolego? Ogarnij się trochę. Pracujesz w księgarni. Nie produkujesz książek. Nie piszesz ich, a gdybyś choć potrafił czytać je ze zrozumieniem, zapewne pracowałbyś gdzieś indziej. Więc daruj sobie ten lekceważący uśmieszek i życz mi miłego dnia.

Gość może sobie mówić, co chce, bo to nie zmienia faktu, że wstydzi się z powodu zakupu Dana Browna. Podchodzisz z życzliwym uśmiechem Natalie Portman na ustach, słyszałaś gardłowanie tego skurwiela. Spoglądam na ciebie. Ty patrzysz na niego, a on nadal gapi się na mnie i czeka.

– Miłego dnia, proszę pana – odzywam się. On wie, że nie mówię szczerze, wnerwia go, że musi zabiegać o uprzejmość nieznajomego. Kiedy wychodzi, krzyczę za nim, dlatego że ty słuchasz: – Miłych wrażeń z lektury Dana Browna, skurwysynu!

Podchodzisz, śmiejąc się. Bogu dzięki, że jest poranek, bo rano nie ma nawet psa z kulawą nogą i nikt nie będzie nam przeszkadzał. Stawiasz na ladzie koszyk z książkami i rzucasz:

– Mnie też będziesz oceniał?

– Ale dupek, co?

– E tam, pewnie miał kiepski nastrój.

Kochana jesteś. Dostrzegasz w ludziach to, co najlepsze. Uzupełniasz mnie.

– Dla mnie – zaczynam i wiem, że powinienem się zamknąć, i chcę się zamknąć, ale ty sprawiasz, że mam ochotę mówić – ten gość jest argumentem przeciwko bankructwu Blockbustera.

Patrzysz na mnie. Jesteś ciekawa, chcę cię poznać, ale nie mogę zapytać wprost, więc mówię dalej:

– Każdy się napina, żeby być lepszy, zrzucić parę kilo, przeczytać pięć książek, pójść do muzeum, kupić płytę z muzyką poważną, posłuchać jej i ją polubić. A tak naprawdę wszyscy wolą napychać się pączkami,

przeglądać kolorowe pisemka i kupować albumy popowych gwiazdek. A książki? Pieprzyć książki. Lepiej kupić kindle'a. Wiesz, dlaczego kindle odniósł taki sukces?

Śmiejesz się, kręcisz głową, słuchasz mnie, choć w takim momencie większość ludzi traci zainteresowanie i zagląda do telefonu. Ładna jesteś, pytasz:

– No dlaczego?

– Powiem ci dlaczego. Internet sprowadził porno do twojego domu…

Powiedziałem „porno" – kretyn ze mnie. Ale nadal słuchasz – równa z ciebie babka.

– …masz je na wyciągnięcie ręki. Nie musisz wychodzić z domu. Nie musisz nawiązywać kontaktu wzrokowego z facetem w sex shopie, który już wie, że lubisz patrzeć, jak laski zaliczają klapsy. Kontakt wzrokowy czyni nas cywilizowanymi.

Masz migdałowe oczy, mówię dalej:

– Mówi o nas wszystko.

Nie nosisz obrączki, kontynuuję:

– Czyni nas ludźmi.

Jesteś cierpliwa, powinienem się zamknąć, ale nie mogę.

– A kindle? Kindle pozbawił czytanie elementu uczciwości, zrobił dokładnie to samo, co internet z pornografią. Równowaga została zaburzona. Możesz sobie czytać Dana Browna jednocześnie w domu i w miejscu publicznym. To koniec cywilizacji. Ale…

– Zawsze jest jakieś „ale" – mówisz.

Założę się, że pochodzisz z dużej rodziny, zdrowej, kochającej rodziny, w której często się przytulacie i śpiewacie piosenki przy ognisku.

– …ale ponieważ zabrakło miejsc, gdzie można kupić film albo płytę, na placu boju zostały tylko książki. Już nie ma wypożyczalni, na przykład Blockbustera, nie ma też pracujących w nich maniaków, przerzucających się cytatami z Tarantino, kłócących się o dzieła Daria Argento i pogardzających ludźmi wybierającymi filmy z Meg Ryan. Interakcja pomiędzy sprzedającym a kupującym jest najważniejszym systemem wzajemności, jaki istnieje. A przecież nie można, ot tak, pozbawiać ludzi

możliwości interakcji i oczekiwać, że wszystko będzie w porządku. Że nie pojawią się efekty uboczne, prawda?

Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale w przeciwieństwie do wielu ludzi nie każesz mi się przymknąć, tylko słuchasz, kiwając głową.

– Hmm.

– Sklepy z płytami, rozumiesz, wszystkich zrównywały. Dawały muzycznym zapaleńcom władzę („N a p r a w d ę chcesz kupić płytę Taylor Swift?") – ale ci sami zapaleńcy szli do domu i walili gruchę przy Taylor Swift.

Przestań powtarzać „Taylor Swift".

Śmiejesz się ze mnie czy do mnie?

– W każdym razie – zaczynam dalszą część wypowiedzi.

Zamilknę, jeśli mi każesz.

– W każdym razie? – zachęcasz.

Chcesz, żebym dokończył.

– Chodzi o to, że kupowanie jest jedną z niewielu uczciwych rzeczy, które robimy. Ten facet nie przyszedł tu po Dana Browna ani po Salingera. On tu przyszedł się wyspowiadać.

– Jesteś księdzem?

– Nie, kościołem.

– Amen.

Zaglądasz do swojego koszyka, gadam jak obłąkany samotnik, podążam za twoim wzrokiem. Telefon. Nie widzisz go, ale ja tak. Jest pęknięty. Trzymasz go w żółtym etui. To znaczy, że zaczynasz przejmować się sobą, kiedy nie ma już czego ratować. Założę się, że łykasz cynk dopiero trzeciego dnia przeziębienia. Biorę do ręki twoją komórkę i próbuję zażartować.

– Ukradłaś to temu kolesiowi?

Zabierasz telefon i się czerwienisz.

– Ciągle zapominam o moim małym… – mówisz. – Wyrodna ze mnie mamusia.

Mamusia. Jesteś nieprzyzwoita, oj jesteś.

– E tam.

Uśmiechasz się, na sto procent nie masz stanika. Wyjmujesz książki z koszyka, stawiasz go na podłodze i patrzysz na mnie takim wzrokiem, jakbym nie miał najmniejszych szans skrytykować czegokolwiek, co ciebie dotyczy. Twardnieją ci sutki. Nie zasłaniasz ich. Zauważasz cukierki, które trzymam przy kasie. Pokazujesz palcem.

– Mogę?

– Pewnie – mówię. Biorę do ręki pierwszą z książek, które wybrałaś. *Impossible Vacation* Spaldinga Graya. – Ciekawe – oceniam. – Większość ludzi sięga po jego monologi. Ta książka jest świetna, ale mało chodliwa, a już na pewno nie cieszy się popularnością wśród młodych kobiet, które na pierwszy rzut oka nie zamierzają pójść w ślady autora, znaczy nie myślą o samobójstwie.

– Czasem człowiek ma ochotę na spacer w ciemności, wiesz?

– Ano – mówię. – Owszem.

Gdybyśmy byli nastolatkami, już bym cię pocałował. Ale stoję na podwyższeniu za ladą, noszę identyfikator i jesteśmy za starzy na nastolatków. Wieczorne sztuczki nie działają za dnia, przez okna wlewa się jaskrawe światło. Czy w księgarniach nie powinno być ciemno?

Zapamiętaj: powiedz panu Mooneyowi, żeby zamontował żaluzje. Zasłony. Cokolwiek.

Sięgam po drugą książkę. *Desperate Characters* Pauli Fox, jednej z moich ulubionych pisarek. To dobry znak, ale może kupujesz ją, bo przeczytałaś na jakimś durnym blogu, że Fox jest biologiczną babką Courtney Love? Skąd mam wiedzieć, czy dotarłaś do Pauli Fox właściwą drogą, czyli zachęcona esejem Jonathana Franzena?

Sięgasz do portfela.

– Świetna, prawda? Szkoda, że w sumie jest mało znana, chociaż Franzen się nad nią rozpływa – mówisz.

Dzięki Bogu.

Uśmiecham się.

– *The Western Coast*.

Odwracasz głowę.

– Do tego jeszcze nie dotarłam. – Patrzę na ciebie. Podnosisz ręce w geście poddania się. – Nie bij. – Chichoczesz. Chciałbym, żeby sutki nadal ci sterczały. – Kiedyś przeczytam *The Western Coast*, naprawdę, za to *Desperate Characters* czytałam chyba ze sto razy. Ten egzemplarz jest dla przyjaciela.

– Aha – mówię.

Czerwone światło oznacza niebezpieczeństwo. *Dla przyjaciela*.

– Chociaż chyba szkoda zachodu, bo pewnie i tak nie przeczyta. No, ale przynajmniej jeden egzemplarz więcej znajdzie nabywcę, czy tak?

– Zgadza się – odmrukuję.

Mogłaś ją kupić dla brata, taty albo sąsiada geja, ale powiedziałaś, że chodzi o przyjaciela, więc teraz ze złością wystukuję cenę.

– Razem trzydzieści jeden dolarów, pięćdziesiąt jeden centów.

– O rany. Pod tym względem kindle jednak rządzi – mówisz, sięgając do różowego portfela od Zuckermana i podając mi kartę kredytową, chociaż widzę, że w przegródce masz wystarczająco dużo gotówki, żeby zapłacić nią za książki.

Chcesz, żebym poznał twoje nazwisko, ale ja nie jestem wariatem, więc tylko przeciągam kartę przez czytnik, a cisza między nami staje się coraz głośniejsza. Czemu akurat dzisiaj nie włączyłem muzyki? Nie wiem, co powiedzieć.

– Proszę bardzo. – Wręczam ci potwierdzenie transakcji.

– Dzięki – mówisz szeptem. – Masz świetną księgarnię.

Podpisujesz się. Nazywasz się Guinevere Beck. Twoje nazwisko jest poematem, a rodzice zapewne są dupkami, tak jak większość rodziców. Guinevere? Dajcie spokój.

– Dziękuję, Guinevere.

– Wolę Beck. Guinevere to długie imię, w dodatku brzmi głupio, nie sądzisz?

– A zatem witaj, Beck, na żywo wyglądasz inaczej niż na zdjęciach. Muszę ci powiedzieć, że twój album *Midnite Vultures* jest kapitalny.

Zabierasz torbę z książkami. Nie zrywasz kontaktu wzrokowego, ponieważ chcesz, żebym widział, że na mnie patrzysz.

– Dzięki, Goldberg.

– Wystarczy Joe. Goldberg to długie nazwisko, w dodatku brzmi głupio, nie sądzisz?

Śmiejemy się. Chciałaś poznać moje nazwisko – tak jak ja chciałem się dowiedzieć, jak brzmi twoje – w przeciwnym razie nawet nie spojrzałabyś na identyfikator.

– Na pewno nie chcesz za jednym zamachem zaopatrzyć się w *The Western Coast*?

– Pomyślisz, że mi odbiło, ale wolę zachować tę książkę na potem. Jej lekturę wciągnęłam na listę rzeczy do zrobienia na emeryturze.

– Chyba mówi się: listę rzeczy do zrobienia przed śmiercią?

– Nie, to co innego. Lista rzeczy do zrobienia na emeryturze zawiera lektury i filmy, którymi chce się wypełnić swoje dni, kiedy się już będzie staruszkiem. A na listę rzeczy do zrobienia przed śmiercią trafiają inne postanowienia: wycieczka do Nigerii, skok ze spadochronem… Wiesz, tego rodzaju. Lista rzeczy do zrobienia na emeryturze to dla mnie na przykład: przeczytać *The Western Coast*, obejrzeć *Pulp Fiction*, posłuchać ostatniego albumu Daft Punk.

– Nie wyobrażam sobie ciebie w domu spokojnej starości.

Rumienisz się. Jesteś *Pajęczyną Charlotty* i mógłbym cię pokochać.

– Będziesz mi życzył miłego dnia?

– Miłego dnia, Beck.

Uśmiechasz się.

– Dzięki, Joe.

Nie przyszłaś tu po książki, Beck. Nie musiałaś wypowiadać mojego imienia. Nie musiałaś się uśmiechać ani mnie słuchać. Ale to zrobiłaś. Na potwierdzeniu widnieje twój podpis. To nie była transakcja gotówkowa ani karta debetowa. To było coś prawdziwego. Przyciskam kciuk do papieru, mokry tusz, którym napisałaś swoje imię i nazwisko, odbija się na mojej skórze.

2

Poznałem e.e. cummingsa tak, jak poznała go większość wrażliwych, inteligentnych mężczyzn mojego pokolenia, czyli poprzez jedną z najbardziej romantycznych scen w jednej z najbardziej romantycznych historii miłosnych wszech czasów – w *Hannah i jej siostry*, w której inteligentny, wyrobiony żonaty nowojorczyk Elliot (Michael Caine) zakochuje się w swojej szwagierce Lee (Barbara Hershey). Musi być ostrożny. Nie może otwarcie wykonać żadnego ruchu. Zaczaja się w pobliżu mieszkania Lee i wpada na nią niby przypadkiem. Genialne, romantyczne. Miłość nadaje sprawom bieg. Lee jest zaskoczona spotkaniem, zabiera Elliota do księgarni Pageant – dostrzegacie elementy wspólne? – gdzie ten kupuje tom wierszy e.e. cummingsa, wręcza go ukochanej i prosi, by przeczytała wiersz ze sto dwunastej strony.

Lee siedzi sama w łóżku i czyta. Widzimy Elliota w łazience, myślącego o niej. Słyszymy jej głos: „nikt, nawet deszcz, nie ma takich drobnych rąk”[1].

Ten wiersz, Beck, ten wiersz rozwala. Przygotował mnie na to zauroczenie. Budzę się dla ciebie. Codziennie uczę się ciebie. Czuję się coraz bliżej związany z „wierszem ze sto dwunastej strony”. Dajesz mi cel. Uwielbiam cię obserwować. Zaprzęgasz swoje drobne ręce do pracy nad sobą, kiedy jesteś w nastroju, a często jesteś, przypomina mi się żart z *Hannah i jej siostry*, w którym Mia Farrow naśmiewa się z Woody’ego Allena, że nadużywanie masturbacji zniszczyło mu zdrowie. Mam nadzieję, że tobie nic nie jest.

Problem ze społeczeństwem polega na tym, że gdyby zwykli ludzie wiedzieli o nas – o tobie, samotnej, przeżywającej trzy orgazmy w ciągu

jednej nocy, i o mnie, samotnym, po drugiej stronie ulicy, patrzącym, jak szczytujesz – uznaliby mnie za świra. No, ale wiadomo, że większość ludzi to kretyni do kwadratu. Większość ludzi lubi tanie kryminały, większość ludzi nigdy nie słyszała o Pauli Fox, większość ludzi nigdy nie oglądała *Hannah i jej siostry*, więc umówmy się, Beck, jebać większość ludzi, dobrze?

Poza tym, podoba mi się to, że sama sobie dogadzasz, zamiast otwierać dom i cipę nieodpowiednim facetom. Jesteś odpowiedzią na wszystkie banalne i upraszczające artykuły o „kulturze seksu bez zobowiązań". Masz swoje standardy, jesteś Guinevere, arturiańską Ginewrą, historią miłosną, czekającą na tego jedynego, a raczej Jedynego, bo założę się, że marzysz o takim zaczynającym się od wielkiej litery. Marzysz o m n i e. Dziś wszyscy chcą mieć wszystko już, natychmiast, ale ty jesteś gotowa zaczekać, dajesz sobie radę z pomocą

„takich drobnych rąk".

Twoje nazwisko było doskonałym punktem wyjścia. Na szczęście dla nas na świecie żyje niewiele kobiet nazywających się Guinevere Beck – raptem jedna. Pierwsze, co musiałem odnaleźć, to twój adres, ale cóż, internet stworzono z myślą o miłości. Twój profil na Twitterze, Beck, powiedział mi o tobie bardzo dużo:

> Guinevere Beck
> @TheUnRealBeck
> Nie miewam niewypowiedzianych myśli. Spisuję historie. Czytam je. Rozmawiam z nieznajomymi. Na wyspie Nantucket mam kumpli z sąsiedztwa, w Nowym Jorku kumpele na imprezy.

Twoje wiele mówiące biogramy, zamieszczane na platformach, na których zakładasz blogi (może wolisz je nazywać esejami?), i wpisy (czy dla ciebie to już popisy literackie?), pełne wyraźnych aluzji, a także wiersze, czasem je piszesz, z nich również można się czegoś o tobie dowiedzieć. Jesteś pisarką, urodziłaś się i wychowałaś w Nantucket, żartujesz z wyspiarskiej endogamii (ciebie to ominęło), z żeglowania (śmiertelnie boisz się żaglówek) i z alkoholizmu (twój ojciec zapił się na

śmierć, często o tym piszesz). Twoją rodzinę, paradoksalnie, łączą ścisłe i zarazem luźne więzy. Nie wiesz, jak żyć tutaj, w mieście, gdzie nikt nikogo nie zna, chociaż masz za sobą cztery lata doświadczenia, uzyskałaś bowiem licencjat na Uniwersytecie Brownów. Dostałaś się z listy rezerwowej, wciąż jesteś przekonana, że musiała zajść jakaś pomyłka. Lubisz polentę i batony o smaku placka z wiśniami. Nie robisz zdjęć jedzeniu, nie pstrykasz fotek na koncertach, ale korzystasz z Instagrama (wrzucasz tam same starocie, fotografie zmarłego ojca, obrazki z plaży i scenki, których nie możesz pamiętać). Masz brata Clyde'a. (Twoi rodzice naprawdę nie mieli talentu do wymyślania imion). I siostrę Anyę. (No, tu ich nieco olśniło). Z informacji zawartych w księdze wieczystej twojego domu wynika, że budynek od zawsze należał do rodziny. Wywodzisz się z farmerskiego rodu, lubisz mówić, że nie p o c h o d z i s z z Nantucket, lecz twoja rodzina tam się o s i e d l i ł a. Prostujesz i dementujesz, jesteś jak ostrzeżenie na paczce papierosów.

Anya jest wyspiarką, nigdy nie wyjedzie. Jest jak duże dziecko, niczego nie pragnie bardziej, jak spacerów po plaży i jasnego podziału na lato pełne ludzi i pustkę typową dla sezonowej mekki turystów. Ma hopla na punkcie waszego ojca. Piszesz o niej w swoich opowiadaniach, ubierasz ją w szaty małego chłopca albo starzejącej się niewidomej kobiety, a raz nawet wiewiórki, która zabłądziła, jednak zawsze wiadomo, że chodzi ci o siostrę. Czujesz w stosunku do niej zazdrość. (Jak to możliwe, że Anya nie ma za grosz ambicji?) A jednocześnie ci jej żal. (Jak to możliwe, że zupełnie brakuje jej ambicji?)

Clyde jest najstarszy, prowadzi rodzinną firmę taksówkarską działającą na wyspie. Ma żonę i dwoje dzieci, jest typową głową rodziny. To oczywiste, kiedy spojrzy się na jego zdjęcie w gazecie: strażak ochotnik, standardowy, uwielbiający skórzane ciuchy model amerykańskiego mężczyzny. Twój ojciec był typowym małomiasteczkowym ochlapusem, czasem usiadł za kółkiem po kielichu albo pił pod sklepem, na co twój brat zareagował, stając się jego przeciwieństwem – trzeźwym, do bólu trzeźwym, obywatelem. Gdybyś urodziła się jako pierwsza, mogłabyś przejąć rodzinny biznes. Ale byłaś klasycznym drugim dzieckiem, nieźle

sobie radziłaś w szkole, przez całe życie nosiłaś łatkę tej, która dobrze „rokuje”, tej, która „wyrwie się” z wyspy.

Internet to piękna rzecz. Godzinę po naszym pierwszym spotkaniu wysłałaś tweeta:

Czuję cheeseburgery. #UtyjęPrzezToBistroNaRogu

Powiem ci szczerze, że trochę się przejąłem. Może jednak nie jestem wyjątkowy. Nie wspomniałaś o mnie ani o naszej rozmowie. „Rozmawiam z nieznajomymi” – napisałaś w swoim biogramie na Twitterze. *Rozmawiam z nieznajomymi*. Kurwa, Beck, co to ma być? Dzieciom nie wolno rozmawiać z nieznajomymi, ale przecież ty jesteś dorosła. A może nasza rozmowa nic dla ciebie nie znaczyła? Czy jestem po prostu kolejnym nieznajomym? Czy twój biogram na Twitterze służy subtelnemu zasygnalizowaniu, że jesteś laską żebrzącą o uwagę, nieprzestrzegającą żadnych standardów, gotową dać posłuch byle palantowi, który cię zaczepi? Czy jestem dla ciebie nikim? Nawet nie wspomnisz o facecie z księgarni? Kurwa, może się pomyliłem? Może nic nas nie łączy. Ale zacząłem ci się przyglądać i zauważyłem, że nie piszesz o tym, co naprawdę ważne. Nie dzielisz się mną z tymi, którzy obserwują twój profil. Twoje życie w sieci jest jak rewia, więc w sumie to, że nie wspomniałaś o mnie w swoim monologu, oznacza, że mnie pragniesz. Może nawet bardziej, niż sądziłem, bo właśnie w tej chwili twoja dłoń znowu wędruje w dół, do cipy.

Twój adres również wyciągnąłem z internetu. Bank Street. Numer 51. No bez jaj! To nie jest huczący ul Midtown, w którym uwijają się pszczoły robotnice. To wypasiona, senna, absurdalnie droga i bezpieczna nieruchomość w West Village. Tu się nie da stać pod klatką, tu się trzeba wmieszać w pretensjonalny tłum i do niego dopasować. Idę do szmateksu, kupuję garnitur (mogę być biznesmenem, kierowcą albo utrzymankiem), kombinezon stolarski i pas na narzędzia (mogę być złotą rączką podczas przerwy obiadowej) i dres (mogę być dupkiem dbającym o swoje cenne ciało). Na pierwszą wizytę wkładam garnitur i muszę ci powiedzieć, Beck, że podoba mi się w twoim budynku. Kamienica stanowi kwintesencję dawnego Nowego Jorku. Rozglądam się, czy ulicą nie przechodzą Edith Wharton i Truman Capote, czy nie trzymają w ręku papierowych

kubeczków z kawą, czy nie wyglądają jak w najlepszych latach, jak gdyby przeleżeli cały ten czas zanurzeni w formaldehydzie. Przy tej ulicy mieszkają księżniczki, przy tej ulicy umarł Sid Vicious, dawno temu, kiedy księżniczki rosły w łonach matek, a Manhattan był jeszcze *cool*. Stoję po drugiej stronie ulicy, okna w twoim mieszkaniu są otwarte (nie masz zasłon), patrzę, jak wlewasz do miseczki owsiankę z torebki. Nie jesteś księżniczką. Wpis na Twitterze potwierdza, że wygrałaś na jakiejś loterii nieruchomości:

> Niech to nie zabrzmi jak @AnnaKendrick47, ale kocham was, kujony z @BrownBiasedNYC, i nie mogę się doczekać przeprowadzki na Bank St.

Siadam na stopniach i gugluję. Brownstone Biased Lottery to konkurs na esej, rozpisany z myślą o absolwentach Uniwersytetu Brownów, którzy wybierają się na studia magisterskie w Nowym Jorku i potrzebują zakwaterowania. Mieszkanie przy Bank Street od wielu lat należy do rodziny Brownów (cokolwiek to dokładnie znaczy). Chcesz zostać panią magister sztuki, będziesz studiowała beletrystykę, nic zatem dziwnego, że wygrałaś taki konkurs. Anna Kendrick to aktorka, grała w *Pitch Perfect*, filmie o dziewczynach z college'u, które startują w przeglądach zespołów *a cappella*. Widzisz w niej odbicie siebie, co jest zupełnie bez sensu. Obejrzałem *Pitch Perfect*, ta dziewczyna na pewno nie prowadziłaby takiego życia jak twoje.

Ludzie przechodzą pod oknem twojego lokum znajdującego się na wysokim parterze i nie zatrzymują się, nie zaglądają do środka, chociaż mieszkasz w nim jak na wystawie. Masz dwa okna, oba otwierasz na oścież, na szczęście ruch tu niewielki. To wyjaśnia, dlaczego łudzisz się poczuciem prywatności. Wracam następnego wieczoru (w tym samym garniturze, cóż poradzić?). Paradujesz po mieszkaniu naga przy otwartych oknach. N a g a! Ponownie siadam na stopniach po drugiej stronie ulicy, nie zauważasz mnie, nikt nie widzi ciebie ani mnie, czy wszyscy są, kurwa, ślepi?

Mijają dni, denerwuję się. Zbyt często tak chodzisz, to niebezpieczne, wystarczy, że trafi się jeden psychol, zobaczy cię w środku i postanowi cię

odwiedzić. Kilka dni później wkładam strój stolarza i wyobrażam sobie, że zabijam deskami twoje okno, żeby ochronić tę witrynę sklepową, którą nazywasz domem. Uważam tę okolicę za bezpieczną, naprawdę taka jest, ale panuje tu cisza jak na cmentarzu. Mógłbym udusić jakiegoś staruszka pośrodku ulicy i zapewne nikt nie wyszedłby z domu, żeby mi w tym przeszkodzić.

Wracam w garniturze (lepsze to niż kombinezon), na głowie mam czapeczkę New York Yankees, którą znalazłem w innym second handzie. Chodzi o to, żebyś zbyt łatwo mnie nie rozpoznała, ale ty nie zwracasz uwagi. Mężczyzna mieszkający w twoim budynku wchodzi po schodkach (to tylko trzy stopnie) prowadzących do drzwi wejściowych (są niezamknięte!), znajdujących się blisko, tak blisko twojego mieszkania. Gdyby chciał (a kto by nie chciał?), mógłby się przechylić przez barierkę, zapukać w szybę i się przywitać.

Przychodzę w ciągu dnia, przychodzę nocą i zawsze, kiedy tu jestem, masz otwarte okna. Zupełnie jakbyś nigdy nie oglądała wieczornych wiadomości albo horrorów. Siadam na stopniach kamienicy stojącej po drugiej stronie tej cichej, czystej uliczki, dokładnie naprzeciwko twojego budynku, i udaję, że czytam *Poor George* Pauli Fox, że wysyłam esemesy do business partnerów (ha!) albo że dzwonię do przyjaciela, który się spóźnia, i głośno zgadzam się zaczekać kolejne dwadzieścia minut. (Robię to na użytek sąsiada, który być może gdzieś tu się kryje i podejrzliwie spogląda na siedzącego na schodkach mężczyznę; widziałem mnóstwo takich filmów). Polityką otwartych drzwi zapraszasz mnie do swojego świata. Przy dobrym wietrze dolatuje do mnie zapach twoich ulubionych mrożonek i słyszę, jak puszczasz Vampire Weekend, a kiedy udaję, że ziewam, i spoglądam w górę, widzę, jak wałkonisz się, ziewasz, oddychasz. Czy zawsze byłaś taka? Ciekawe, czy w taki sam sposób zachowywałaś się w Providence. Czy paradowałaś po mieszkaniu, jakbyś chciała pokazać swoim wyrafinowanym sąsiadom, że lubisz chodzić naga albo półnaga, że jesteś uzależniona od mikrofalówki i że onanizując się, krzyczysz na całe gardło? Mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że jest w tym jakaś logika, którą wyjaśnisz mi w swoim czasie. I ten twój komputer, jakbyś musiała

przypominać swojej wyimaginowanej publiczności, że piszesz, podczas gdy my (ja) wiemy, kim naprawdę jesteś: aktorką, ekshibicjonistką.

Muszę być czujny. Jednego dnia przylizuję włosy, drugiego zostawiam je potargane. Muszę pozostać niezauważony przez tych, którzy nie zauważają innych ludzi. Gdyby przeciętnemu człowiekowi powiedzieć, że jest dziewczyna, która otwiera okna w mieszkaniu i świeci gołym tyłkiem, dyskretnie obserwowana przez zakochanego w niej chłopaka siedzącego po drugiej stronie ulicy, uznałby mnie za świra. Ale to ty jesteś wariatką. Tyle że nikt cię tak nie nazywa, bo masz cipę, do której wszyscy chcą się dobrać, podczas gdy ja i całe moje istnienie jesteśmy wstrętni twoim sąsiadom. Mieszkam na piątym piętrze w budynku bez windy w Bed-Stuy. Nie dałem dupy Studenckiej Kasie Pożyczkowej Uniwersytetu Frajerów. Płacą mi na lewo, mam telewizor i antenę. Ci ludzie nawet patykiem nie chcieliby tknąć mojego fiuta. Twoja cipa, o!, to co innego.

Popijam kawę, siedząc na schodkach po drugiej stronie ulicy, ściskam w dłoni zrolowany egzemplarz „Wall Street Journal”, oddycham i patrzę na ciebie. Nigdy nie zakładam dresu, zmuszasz mnie, Beck, bym się przebierał.

Mijają dwa tygodnie i ze swej kwatery wytacza się korpulentna matrona. Wstaję, upieprzony, ale dżentelmen.

– Witam panią – mówię i oferuję pomoc.

Przyjmuje ją.

– Czas najwyższy, żebyście wy, młodzi, nauczyli się dobrych manier – mówi chrypiącym głosem.

– Całkowicie się z panią zgadzam – odpowiadam.

Kierowca jej limuzyny otwiera drzwi. Kiwa do mnie głową. Jesteśmy jak bracia. Mógłbym to robić wiecznie. Znów siadam na stopniu.

Czy to dlatego ludzie tak bardzo lubią *reality shows*? Twój świat jest dla mnie cudem. Widzę, jak się wylegujesz (w bawełnianych majtkach Victoria’s Secret, które kupujesz hurtowo w sieci; któregoś dnia dostrzegłem, jak otwierasz paczkę) i jak nie śpisz (siadasz na kanapie i czytasz jakieś bzdury w necie). Nachodzi mnie myśl: a może szukasz informacji o przystojnym facecie z księgarni? Tylko m o ż e. W tym

samym miejscu piszesz, wiążesz włosy w kok, siadasz wyprostowana i przebierasz palcami po klawiaturze jak króliczek, aż w końcu masz dość, sięgasz po żółtozieloną poduszkę – tę samą, którą kładziesz pod głowę, gdy ucinasz sobie drzemkę – i dosiadasz ją jak dziką bestię. Rozładowujesz napięcie. Wreszcie zasypiasz.

Twoje mieszkanie jest cholernie małe. Napisałaś na Twitterze:

> Mieszkam w pudełku po butach. Ale nie szkodzi, bo nie trwonię kasy na blahniki. @BrownBiasedNYC #bunt

i:

> Nawet kubek z #BrownUniversity jest większy niż moje mieszkanie. @BrownBiasedNYC #nieruchomości #NYC

i miałaś rację.

Nie ma kuchni, jest tylko aneks, w którym sprzęty upchnięto jak towar na wyprzedaży w Bed Bath & Beyond. Z twoich tweetów przebija niechęć do tego miejsca. Dorastałaś w wielkim domu z podwórzem od frontu i od tyłu. Lubisz przestrzeń. To dlatego otwierasz okna. Nie potrafisz być sama ze sobą, a gdy okna są zamknięte, czujesz się odcięta od świata.

Twoi sąsiedzi żyją spokojnie, jak dzieci – limuzyny odbierają ich z pobliskich rezydencji i odwożą pod koniec dnia – a ty dusisz się w pokoju przeznaczonym dla pokojówki albo dla golden retrievera ze skręconą kostką. Nie mam do ciebie pretensji. Łączy nas miłość do West Village i jeśli mógłbym się tu przeprowadzić, zrobiłbym to, nawet gdybym miał powoli wariować od klaustrofobii. Dokonałaś słusznego wyboru, Beck. Twoja matka się myliła.

> Mama mówi, że „dama” nie powinna mieszkać w klitce. @BrownBiasedNYC #maminalogika #niedama

Tweetujesz częściej, niż piszesz. Być może dlatego beletrystykę będziesz studiowała w The New School, a nie na Uniwersytecie Columbia. Columbia odrzuciła twoje podanie.

> Dobrze, że odmowę przysyłają na piśmie, bo przynajmniej można ją podrzeć albo spalić. #nicizColumbii #MówiSięTrudnoŻyjeSięDalej

Racja. Żyje się dalej. The New School to mniej prestiżowa uczelnia, ale jesteś lubiana przez wykładowców i studentów. W wielu zajęciach możesz uczestniczyć wirtualnie, co jak dla mnie stanowi kolejny cios w tracący na znaczeniu elitarny system zwany studiami wyższymi. To dla ciebie szansa zrobienia postępów w pisaniu – gdybyś tylko spędzała mniej czasu na tweetowaniu i czochraniu bobra… Ale powiem ci uczciwie, Beck, gdybym był tobą, też bym biegał na golasa.

Lubisz nadawać imiona rzeczom. Ciekawe, jak byś nazwała mnie. Na Twitterze wypróbowujesz nazwy dla swojego mieszkania:

Może #KlitkaMniejszaOdTrumny

Albo #KącikDoOglądaniaPitchPerfect

Albo #MieszkanieWSchowkuNaMatęDoJogi

Albo:

#MiejsceWKtórymKiedyWyjrzyszZaOknoZobaczyszPrzyglądającegoCiSięFacetaZKsięgarniIUśmiechnieszSięIPomachasz

Taksiarz trąbi, bo jakiś wypachniony dupek, wyglądający niczym postać z brudnopisu Breta Eastona Ellisa, która nigdy się nie zmaterializowała, przechodzi przez ulicę, nie patrząc, czy nic nie jedzie. Rzuca nieszczere *sorry* i przeczesuje palcami blond włosy.

Ma za dużo włosów.

Wchodzi po schodkach, jakby były jego, jakby zbudowano je właśnie dla niego, i drzwi się otwierają, zanim goguś do nich dotrze, i to t y je otwierasz i jesteś tam, prowadzisz go do środka i całujesz, zanim drzwi się zamkną i teraz twoje dłonie…

„takie drobne ręce”

…toną w jego włosach i nie widzę was, dopóki nie wejdziecie do salonu, i on opada na kanapę, a ty zdejmujesz koszulkę i siadasz mu na kolanach i kręcisz tyłkiem jak striptizerka, i to nie w porządku, Beck. Ściąga twoje bawełniane majtki i wymierza ci klapsa, a ty krzyczysz. Przechodzę na drugą stronę ulicy, opieram się o drzwi twojego budynku, bo muszę to usłyszeć.

– Przepraszam, tatusiu! Przepraszam!

– Powtórz, dziewczynko.

– Przepraszam, tatusiu.

– Niegrzeczna dziewczynka.

– Tak, niegrzeczna.

– Chcesz klapsa, tak?

– Tak, tatusiu, chcę, żebyś dał mi klapsa.

Jest w twoich ustach. Warczy na ciebie. Uderza cię. Co pewien czas przechodzi Truman Capote, spogląda, reaguje i odwraca głowę. Nikt nie zgłosi tego na policję, bo nikt nie chce się przyznać, że się przyglądał. Ponieważ to jest Bank Street, do kurwy nędzy. Pieprzysz się z tym kolesiem, a ja wracam na swoją stronę ulicy, skąd widzę, że on nie kocha się z tobą. Łapiesz go za włosy – ma za dużo włosów! – jakby to miało ocalić ciebie i twoje opowiadania. Zasługujesz na coś lepszego. Czuję się źle, widząc, jak cię obłapia tymi wielkimi, słabymi łapskami, którymi nigdy nie pracował, i jak, zrobiwszy swoje, wymierza ci klapsa w pupę. Schodzisz z niego i próbujesz się przytulić, on cię odtrąca, pozwalasz mu palić u siebie, używa twojego kubka z Uniwersytetu Brownów – większego niż mieszkanie – jako popielniczki, oglądasz *Pitch Perfect*, on pali, wysyła esemesy i ma cię gdzieś. Wyglądasz na smutną i oczywiście jesteś smutna. On nie jest twoją sto dwunastą stroną, ja nią jestem. Skąd ta pewność? Trzy miesiące temu, zanim się poznaliśmy, napisałaś na Twitterze:

> Powiedzmy wszyscy wreszcie szczerze, że poznaliśmy #eecummings przez #Hannahijejsiostry. Ok. Uf! #KoniecWciskaniaKitu #KoniecPretensji

Widzisz, że rozmawiałaś ze mną, zanim w ogóle mnie poznałaś? Kiedy ten blond mizogin wreszcie wychodzi, nie ma pod pachą *Desperate Characters* Pauli Fox. Stawia kołnierz i dmuchnięciem odgarnia włosy z czoła, żeby nie wpadały do oczu. Przed chwilą cię wykorzystał, nie jest twoim przyjacielem, muszę już iść. A tobie przydałby się prysznic.

3

Przed tobą była Candace. Uparciuch, tak jak ty. Teraz będę tak samo cierpliwy, jak byłem wtedy. Nie pogniewam się, że w tym swoim starym, nieporęcznym laptopie piszesz o wszystkim, tylko, kurwa mać, nie o mnie. Nie jestem idiotą, Beck. Potrafię dokładnie przeszukać twardy dysk i wiem, że mnie na nim nie ma – i wiem jeszcze, że nie prowadzisz niczego, co choć z grubsza przypominałoby dziennik albo pamiętnik.

Jest jeszcze jedno wytłumaczenie: piszesz o mnie w notatniku na telefonie. Nadzieja umiera ostatnia.

Nie odpuszczę cię. Jesteś wyjątkowo seksualna. Dobry przykład: zaczytujesz się w dziale „przygodne kontakty” na craigslist, kopiujesz najciekawsze posty i wklejasz je do długiego dokumentu, który przechowujesz na dysku w komputerze. Po co, Beck, po co? Na szczęście nie bierzesz udziału w tych „przygodnych kontaktach”. Dziewczyny chyba lubią zbierać różne rzeczy, nie wiem, przepisy na zupę z jarmużu albo fantazje o tatusiach i córeczkach spisywane przez zdesperowanych samotników kiepską i prostacką angielszczyzną. Nadal tu jestem, wiesz? Akceptuję cię. W porządku, pozwalasz temu blond frajerowi robić rzeczy, o których czytasz w ogłoszeniach na craigslist. Ale przynajmniej wyznaczasz jakieś granice. Ten zbok nie jest twoim chłopakiem; wyrzucasz go za drzwi, na ulicę, tam, gdzie jego miejsce, jak gdybyś brzydziła się nim, powinnaś się brzydzić. Przeczytałem wszystkie twoje niedawne mejle i już wiem, że nikomu nie powiedziałaś, że wpuściłaś go do mieszkania i do siebie. On nie jest twoim chłopakiem. Tylko to się liczy, jestem gotów cię odnaleźć i mogę to zrobić, jestem to winien Candace. Kochana Candace.

Po raz pierwszy ujrzałem ją w Glasslands na Brooklynie. Grała na flecie w zespole razem z bratem i siostrą. Spodobałaby ci się ich muzyka. Nazywali się Martyr. Natychmiast zapragnąłem ją poznać. Byłem cierpliwy. Jeździłem za nimi po całym Brooklynie i Dolnym Manhattanie. Brzmieli całkiem nieźle. Nie mieli szans na trafienie na czołówki list przebojów, ale wiedziałem, że pewnego dnia ich piosenkę puszczą w jakimś żałosnym programie dla nastolatek na kanale CW i wtedy ich strona zacznie pękać w szwach. Nie podpisali kontraktu z żadną wytwórnią, bo wiecznie nie potrafili dogadać się między sobą. Nieważne, Candace, liderka kapeli, była z nich wszystkich najładniejsza. Jej brata określiłbym jako zadzierającego nosa wieśniaka (jak to perkusiści), ale siostra, bezpretensjonalne stworzenie, miała talent.

Nie można tak po prostu rzucać się na dziewczynę zaraz po koncercie, zwłaszcza jeśli jej band gra ambient techno electro czy inne gówno, a psychiczny, kontrolujący wszystko brat (który, nawiasem mówiąc, gdyby nie siostry, w życiu nie załapałby się do żadnej kapeli) ciągle kręci się w pobliżu. Musiałem przydybać Candace, kiedy będzie sama. Nie mogłem zwyczajnie do niej uderzyć, przez tego opiekuńczego braciszka. A wiedziałem, że umrę, jeśli nie będę jej miał albo przynajmniej nie zrobię czegoś, żeby ją mieć. No więc improwizowałem.

Pewnego wieczoru przed Glasslands, gdzie wszystko się zaczęło, przedstawiłem się grupie Martyr jako nowy pracownik Stop It Records. Powiedziałem, że szukam młodych talentów. Zespoły lubią, kiedy interesują się nimi ludzie z wytwórni, więc poszło szybko, już po kilku minutach siedziałem w boksie z Candace i jej irytującym rodzeństwem i piłem whisky. Siostrzyczka sobie poszła; grzeczna dziewczynka. Ale braciszek stanowił problem. Nie mogłem pocałować Candace ani poprosić jej o numer telefonu.

– Wyślij mi mejla – powiedziała. – Zrobię zdjęcie wiadomości i wrzucę je na Instagram. Uwielbiamy, kiedy wytwórnie się do nas odzywają.

Zrobiłem więc to, co zapewne zrobiłby Elliot w *Hannah i jej siostry*: zacząłem obserwować Stop It Records, tę ich nędzną dziurę, i szybko zauważyłem, że codziennie zjawia się tam pewien chłopaczek, Peters się

nazywał. Przed pracą i po niej kamuflował się w ciemnej uliczce i wypalał skręta. Trudno mu się dziwić, mając na uwadze, z jakim syfem stykał się w robocie. Peters był asystentem skurwieli z wytwórni płytowych, facetów w obcisłych dżinsach, którzy na kawalerkę mówią apartament, a w knajpach proszą o słodzik i dodatkową porcję parmezanu. Więc któregoś dnia zająłem miejscówkę w alejce, wyjąłem dżointa i poprosiłem Petersa o ogień. Bez trudu się z nim zakumplowałem; ludzie na dole łańcucha pokarmowego łakną bliskości podobnych sobie. Opowiedziałem mu o swoim dylemacie w związku z Candace i przyznałem, że przedstawiłem się jako pracownik Stop It Records. To był pomysł Petersa, żebym napisał do niej z jego konta (asst1@stopitrecords.com). Odpisała, radosna i napalona. I oczywiście dała mi (asst1) swój numer telefonu.

Nie miałem wyrzutów sumienia, że wykorzystałem Petersa; dzięki mnie poczuł, że dysponuje czymś na kształt władzy. Czasami trzeba podkolorować prawdę, żeby zdobyć dziewczynę. Widziałem wystarczająco dużo komedii romantycznych, by wiedzieć, że romantyczni faceci, tacy jak ja, wiecznie pakują się w kłopoty, takie jak te. Cała kariera Kate Hudson zasadza się na tym, że zakochani czasami kłamią na temat miejsca swojej pracy. Candace uwierzyła, że jestem łowcą talentów. Zostaliśmy parą. Odczekałem cały miesiąc, zanim wyznałem jej prawdę. Z początku się wściekła (dziewczyny czasem się złoszczą, nawet na takich facetów jak Matthew McConaughey), ale przypomniałem jej podstawową komediową i romantyczną prawdę: świat jest niesprawiedliwy. Znam się na muzyce. Jestem bystry. Uważam, że Martyr zasługują na uwagę. Gdybym poszedł do jakiejś liberalnej szkoły o profilu artystycznym, gdybym nosił skarpetki w stylu *vintage* i gdybym podzielał pogląd, że człowiek z licencjatem to inteligentny człowiek, który bez problemu znajdzie zatrudnienie, odbyłbym bezpłatny staż w jakiejś gównianej wytwórni i zamieniłbym go na gówniany etat w tejże. Ale tak się składa, że nie podpisuję się pod takimi staroświeckimi poglądami. Jestem sobie sterem i okrętem. Zrozumiała, z początku, ale ten jej brat… Między innymi przez niego nie ułożyło się między nami.

Dobrze, że przynamniej niczego nie żałuję. Kłopoty z Candace były tylko wprawką przed tym, przed t e r a z. Musiałem dostać się do twojego mieszkania, Beck. Miałem plan. Zadzwoniłem do gazowni i poinformowałem o wycieku w twoim lokalu. Wiedziałem, że będziesz na zajęciach tańca, a potem na kawie z przyjaciółką, która też tańczy, i to jest jedyny moment, kiedy odrywasz się od komputera. Siedziałem na stopniach po drugiej stronie ulicy i czekałem na przybycie gazownika. Kiedy się zjawił, powiedziałem, że jestem twoim chłopakiem i że przysłałaś mnie, bym mu pomógł.

Przepisy zobowiązują do sprawdzenia każdego zgłoszenia o wycieku, a męskie prawo mówi, że facetowi takiemu jak ja, który porzucił naukę w liceum, nietrudno dogadać się z gościem pracującym w gazowni. Cóż mogę powiedzieć? Wiedziałem, że łyknie śpiewkę o chłopaku i wpuści mnie do twojego mieszkania. I byłem pewien, że nawet jeśli uzna, iż coś kręcę, to i tak mnie wpuści. Bo przecież nie dzwoni się do gazowni, a potem wychodzi z domu, Beck. Dajże spokój.

Gazownik zrobił swoje i się ulotnił. Sięgam po twój komputer, siadam na twojej kanapie, wącham twoją zieloną poduszkę i piję wodę z twojego kubka z Uniwersytetu Brownów. Najpierw go umyłem, bo czułem zapach popiołu z papierosów (tobie mycie naczyń idzie opornie). Czytam twoje opowiadanie pod tytułem *Co też Wylie sobie wyobrażał, kupując kię*. To historia dziadka z Kalifornii, który kupuje gówniane auto z importu i czuje, że jest to jego ostatni łącznik z kowbojską przeszłością. Myk polega na tym, że wcale nie był kowbojem, tylko grywał w westernach. Ale nie kręci się już westernów, a Wylie nie zdołał przystosować się do nowych realiów. Nigdy nie miał samochodu, bo większość życia spędził w knajpce, w której zbierają się faceci tacy jak on i rozmawiają o starych, dobrych czasach. Tyle że niedawno wyjęli spod prawa palenie – *wyjęli spod prawa* piszesz kursywą; to fajnie, bo wiesz, że powinno być: zakazali palenia – i teraz paczka staruszków nie ma gdzie kurzyć i wspominać dawnych dziejów. Opowiadanie kończy się tak, że Wylie wsiada do kii i nie pamięta, jak zapalić silnik. Trzyma kluczyk, będący miniaturowym komputerem,

i uświadamia sobie, że nie wie, dokąd pojechać, kupuje więc e-papierosa, wraca do knajpki, siada i samotnie ciągnie elektronicznego szluga.

Wiesz, Beck, nie jestem błyskotliwym kandydatem na magistra sztuki i nie chodzę na zajęcia – mówię ci, nie rozumieją tam ani ciebie, ani twoich opowiadań – ale wyraźnie czuję, że tęsknisz za przeszłością. Jesteś stuprocentową córeczką swojego nieżyjącego tatusia. Rozumiesz Paulę Fox, starasz się dotrzeć do istoty Dzikiego Zachodu, wobec czego twoja decyzja o zamieszkaniu w Nowym Jorku, nawet tymczasowo, była posunięciem autodestrukcyjnym. Jesteś pełna współczucia. Piszesz o dawnych aktorach, oglądasz albumy fotograficzne, masz ich mnóstwo, wypełniają je zdjęcia miejsc, których nie odwiedzisz, bo już nie istnieją. Jesteś romantyczką, szukasz swojej Coney Island, ale bez handlarzy narkotyków i papierków po gumie do żucia, wypatrujesz niewinnej Kalifornii, gdzie prawdziwi i fałszywi kowboje pojedynkują się na opowieści, sącząc kawę – na którą mówią *joe* – z metalowych kubków. Chcesz wyjechać tam, dokąd wyjechać się nie da.

W łazience, przy zamkniętych drzwiach, siedząc na sedesie, patrzysz na zdjęcie Einsteina. Napinając się, spoglądasz mu w oczy. (Kiedy będziemy razem, skończą się twoje problemy z jelitami, bo nie pozwolę ci żyć na mrożonkach i puszkowanej chemii). Lubisz Einsteina, bo on zrozumiał coś, czego nikt przed nim nie pojmował. Poza tym nie był pisarzem. Nie stanowił i nie stanowi dla ciebie konkurencji.

Włączam telewizor. Najczęściej oglądasz *Pitch Perfect*, co teraz, kiedy obserwuję na Facebooku twoje studenckie życie, nabrało dla mnie sensu. Wreszcie jestem w środku, przeglądam twoją historię w obrazkach. Nie śpiewałaś *a capella*, nie znalazłaś swojej pasji ani prawdziwej miłości. Często się upijałaś z dwiema najlepszymi przyjaciółkami, Chaną i Lynn. Jest jeszcze jedna dziewczyna, bardzo wysoka i bardzo szczupła. Przy niej ty i koleżanki, wszystkie trzy drobne, wyglądacie jak karlice. Nie jest podpisana na żadnym zdjęciu, ale musi być w niej coś niesamowicie pozytywnego, ponieważ wydajesz się bardzo dumna ze znajomości z nią – znajomości, która zaczęła się w dzieciństwie i przetrwała do dziś.

Nieopisana dziewczyna na zdjęciach wygląda na nieszczęśliwą. Jej pozbawiony radości uśmiech długo będzie mnie prześladował. Idźmy dalej.

Spotykałaś się z dwoma facetami. Charlie wyglądał, jakby permanentnie dochodził do siebie po koncercie Dave'a Matthewsa. Kiedy byłaś z nim, siadaliście na trawniku i braliście lekkie dragi. Uciekłaś od tego otumanionego prochami cymbała i wpadłaś w chude jak patyki ramiona rozpuszczonego punka o imieniu Hesher. Dodam, że znam Heshera, choć nie osobiście, Hesher jest bowiem autorem komiksów, w księgarni mamy jego książki. To znaczy: jeszcze mamy, bo pierwszą rzeczą, jaką zrobię jutro w pracy, będzie zniesienie ich do piwnicy.

Byłaś w Paryżu, byłaś w Rzymie, a ja nigdy nie wyjeżdżałem z kraju. Ani w Hesherze, ani w Paryżu, ani w Charliem, ani w Rzymie, ani na studiach nie znalazłaś tego, czego szukałaś. Zostawiłaś Charliego dla Heshera. Zobiłaś to na chłodno. Charlie nigdy tego nie przebolał, nawet dziś na zdjęciach wygląda na nieustająco nawalonego. Uwielbiałaś Heshera, czego on nigdy nie odwzajemniał, przynajmniej nie na Facebooku. Na twoim profilu jest mnóstwo postów, w których wychwalasz go pod niebiosa, ale brakuje jego odpowiedzi. Potem pewnego dnia znów zostałaś sama i znajomi masowo lajkowali twój status, tak że nie było żadnych wątpliwości, kto kogo puścił kantem.

Skończyło się *Pitch Perfect*. Idę do sypialni, siadam na twoim niepościelonym łóżku i nagle słyszę dźwięk klucza wsuwanego do dziurki. Klucz się obraca, w mojej głowie chaos, przypominam sobie, jak gospodarz narzekał gazownikowi: „Najmniejszy lokal w całym budynku i najmniejsza dziurka od klucza, kurwa mać, zawsze się zacina", i słyszę, jak wkładasz klucz do zamka, przekręcasz i drzwi się otwierają. Twoje mieszkanie jest małe. Znajdujesz się w środku.

Masz rację, Beck. Pieprzone pudełko po butach.

4

Nigdy nie jeżdżę na Greenpoint, gdzie ludzie popijają whisky zalewą po ogórkach, ale robię to dla ciebie, Beck. Tak jak dla ciebie obiłem sobie plecy, wyskakując przez okno, żebyś mnie nie zobaczyła i nie zorientowała się, że ci się przyglądam i staram się ciebie poznać. Nie podoba mi się to, że możesz mnie tu zobaczyć i pomyśleć, że jestem dupkiem zbyt wysoko oceniającym wartość kulturową „Vice” i pijącym to, co każe mi pić ten cholerny magazyn. Nigdy nie studiowałem, Beck, i nie marnuję dorosłości, próbując wskrzesić ducha studenckich czasów. Nie jestem pierdolonym mięczakiem, któremu zawsze brakowało jaj, by żyć chwilą. Żyję, żeby żyć, i zamówiłbym jeszcze jedną wódkę z wodą sodową, ale to by oznaczało konieczność odezwania się do barmana w koszulce z Bukowskim, który – barman, nie Bukowski – kolejny raz zapytałby mnie, z jaką wodą chcę tę wódę.

Mam taki nastrój, a ty jesteś na scenie w żółtych pończochach, w których są dziury, czytasz i zbyt mocno się starasz. Zostawiłaś *Pajęczynę Charlotty*, ale ja też nie wyglądam najlepiej. Musiałem dać susa przez okno, upadek był co prawda z niezbyt wysoka, ale zawsze to upadek i teraz bolą mnie plecy i jeśli jeszcze raz usłyszę, że ktoś prosi o drinka i że to ma być pickleback, to normalnie…

Twoje najlepsze przyjaciółki siedzą przy stoliku tuż obok, są głośne i nielojalne, typowe laski z Queens: noszą modne botki i kładą pasemka na zniszczonych włosach, obrażając dziewczyny z New Jersey, które robią to wszystko specjalnie. Wszystkie trzy studiowałyście na Uniwersytecie Brownów, wszystkie trzy mieszkacie w Nowym Jorku, wszystkie nie znosicie *Dziewczyn* i non stop utyskujecie na ten serial, ale czy nie

dokładnie to samo próbujecie zrobić z własnym życiem? Brooklyn, faceci i picklebacki?

Siedzisz z innymi (otwórz cudzysłów) pisarzami (zamknij cudzysłów), koleżanki mają więc okazję poplotkować na twój temat i niestety mają rację, mówiąc, że dużo więcej wysiłku wkładasz w bycie pisarką – przyjmujesz komplementy i pijesz whisky – niż w pisanie. Ale na szczęście również się mylą: wszyscy w sali są tak napojeni zalewą solną, że nikt nie rozumie twojego opowiadania o kowboju.

Przyjaciółki zazdroszczą. Chana to Wielka Krytyczka, kobiecy odpowiednik Adama Levine'a, ma świdrujące spojrzenie i nieuzasadnioną wiarę w siebie.

– Wyjaśnij mi, proszę, raz jeszcze, po jaką cholerę komuś, kto nie jest Leną Dunham, dyplom magistra sztuki?

– Może pozwala uczyć w szkole? – mówi Lynn.

Lynn jest w środku martwa, jest jak trup. Metodycznie, na zimno, bez emocji publikuje materiały na Instagramie, jak gdyby zbierała dowody na swoją obronę. Motywem przewodnim jej życia jest udowadnianie, że w ogóle ma jakiekolwiek życie. Głośno naśmiewa się z twojego „wieczorku autorskiego u Lulu", tweetuje, jaka to jest „podjarana", że będzie na #WieczorekAutorskiuLulu, i mówię ci, Beck, obiecuję, że jeszcze trochę i…

Znów odzywa się Lynn:

– Myślisz, że to jest jak wernisaż, wiesz, idziesz raz i masz z głowy, czy… trzeba będzie chodzić co tydzień?

– Czy ja lecę na wybieg za każdym razem, kiedy uszyję jakiś ciuch? – wypala Chana. – Nie. Pracuję nad kolejnym i nad kolejnym, aż zbierze się cała kolekcja. A potem projektuję następne.

– Będzie Peach?

– Wypluj te słowa.

Niewykluczone, że rozmawiają o smutnej, wysokiej dziewczynie ze zdjęć, ale przecież nie mogę ich o to zapytać.

– Przepraszam – wzdycha Lynn. – Na wernisażu przynajmniej częstują winem.

– Na wernisażu przynajmniej masz kontakt ze sztuką. Przepraszam cię bardzo, ale, kurwa, kowboj?

Lynn wzrusza ramionami. Obie plują słowami jak karabin maszynowy kulami.

– A jej strój?

– Za bardzo się stara. To w sumie smutne.

– Ja pierdolę, co to za rajstopy?

Lynn wzdycha, tweetuje, znowu wzdycha i wypuszcza ostatnią rundę z cekaemu.

– Nic dziwnego, że nie dostała się na Columbię – strzela Chana.

– Mam wrażenie, że to wszystko przez Benjiego – odpala Lynn. – Szkoda mi jej.

Benjiego?

– No cóż, tak to jest, kiedy się zabujasz w imprezowiczu socjopacie.

Słyszę tylko „zabujać się”. Kochasz go, kłamiesz przyjaciółkom, komputerowi, sobie i sądzisz, że nikt nie wie. Wiedzą. O rany. *Benji*. Nie.

Zachować spokój, opanować się. Lynn wzdycha.

– Okropna jesteś.

– Mówię, jak jest – nabzdycza się Chana. – Benji to snobistyczny fiut. Jedyne, co go zajmuje, to wciąganie megadrogich prochów i prowadzenie pretensjonalnych interesów.

– Co studiował? – dopytuje się Lynn.

– A kogo to obchodzi? – ucina Chana.

Mnie obchodzi, chcę wiedzieć więcej, chce mi się płakać i nie chcę, żebyś „bujała się” w kimkolwiek poza mną.

– Wolałabym, żeby był dla niej milszy – mówi Lynn.

Chana przewraca oczami, kruszy kostki lodu i oponuje.

– Wiesz, w czym rzecz? Beck jest zarozumiała. I Benji jest zarozumiały. Nie szkoda mi ich – ani razem, ani z osobna. Ona udaje, że jest pisarką, a on wmawia światu, że jest cholernym rzemieślnikiem. Dobre sobie. Oboje kochają wyłącznie samych siebie. Przecież nie mówimy o wrażliwych, udręczonych duszach, piszących wiersze o tym, jakie to wszystko beznadziejne i tak dalej.

Lynn się nudzi. Ja też. Próbuje przerwać diatrybę Chany i zmienić temat.

– Czuję się strasznie gruba.

Chana chrząka. Dziewczyny są okrutne.

– Słyszałaś o tej jego firemce produkującej ekologiczną wodę sodową? – pyta. – Brooklyn sprawia, że mam ochotę przenieść się do Los Angeles, kupić skrzyknę red bulla i zaszaleć do kawałków Mariah Carey.

– Powinnaś to tweetnąć – mówi Lynn. – Ale bez tego jadu.

Ściskasz się z innymi „pisarzami”, co oznacza, że za chwilę tu przyjdziesz, Lynn jest rozbrajająco miła. Mizdrzy się.

– Szkoda mi jej.

Chana pociąga nosem.

– A mi szkoda kowbojów. Zasługują na coś lepszego.

Wolnym krokiem podchodzisz do stolika. Dziewczyny muszą wreszcie przestać o tobie rozmawiać, cieszę się, kiedy w końcu się zjawiasz i witasz ze swoimi dwulicowymi przyjaciółkami. Udają, że klaszczą, i wygłaszają fałszywe pochwały, a ty żłopiesz whisky, jakbyś na dnie szklanki spodziewała się znaleźć Pulitzera.

– Dziewczyny, dajcie spokój – mówisz i jesteś bardziej napruta, niż myślałem. – Wystarczy tych komplementów… i koktajli.

Chana kładzie dłoń na twoim ramieniu.

– Kochanie, z tym drugim masz rację.

Zabierasz rękę. Oto twoja faza poporodowa. Wydałaś na świat opowiadanie. Co dalej?

– Nic mi nie jest.

Lynn daje znak kelnerce.

– Poprosimy trzy picklebacki. Koleżance przydałoby się nieco kurażu w płynie.

– Nie potrzebuję kurażu, Lynn. Po prostu wstałam i przeczytałam cholerne opowiadanie.

Chana całuje ją w czoło.

– I to jak! Dałaś, kurwa, czadu.

Nie kupujesz tego, odpychasz ją.

– Pierdolcie się obie.

Dobrze, że poznałem tę część twojej osobowości, tę paskudną, ubzdryngoloną. Warto poznać ze wszystkich stron osobę, w której człowiek się zakochuje. Teraz nie cierpię twoich przyjaciółek odrobinę mniej. Wymieniają między sobą spojrzenia, ty zerkasz w stronę baru.

– Benji już wyszedł?

– Kochana, a czy w ogóle przyszedł?

Wzdychasz, jakbyś przerabiała to wiele razy, jakbyś nie miała cierpliwości, wyjmujesz pęknięty telefon. Lynn ci go wyrywa.

– Beck, nie.

– Oddawaj.

– Beck – mówi Chana. – Zaprosiłaś go, a on się nie zjawił. Odpuść sobie. Zostaw go.

– Nienawidzicie Benjiego, co nie? – mówisz. – A jeśli coś mu się stało?

Lynn odwraca głowę, a Chana prycha.

– A jeśli… jest zwykłym dupkiem?

Widać, że Lynn nie ma ochoty o tym rozmawiać, nigdy więcej. Z was trzech to ona w końcu wyjedzie z Nowego Jorku do mniejszego, łatwiejszego do ogarnięcia miasta, w którym nie organizuje się wieczorków literackich, w którym dziewczyny piją wino, a w sobotnie wieczory z szaf grających w miejscowych knajpkach leci Maroon 5. Będzie fotografowała swoje dzieci, które kiedyś, w końcu, urodzi, z takim samym entuzjazmem, z jakim pstryka kieliszki, puste kufle i swoje buty.

Za to Chana tak łatwo się nie podda, to nasza przyzwoitka, nie tylko na pierwszą randkę.

– Beck, posłuchaj. Benji to dupek. Jasne?

Mam ochotę krzyknąć: „DOKŁADNIE TAK!”, ale milczę. *Benji*.

– Posłuchaj, Beck – ciągnie Chana. – Niektórzy faceci to dupki i nic na to nie poradzisz. Możesz mu kupić i sprezentować wszystkie książki świata, a on nadal będzie Benjim. Nigdy nie stanie się Benjaminem albo, broń Boże, Benem, bo nie musi, bo jest wiecznym dorosłym dzieckiem, rozumiesz? On i jego woda sodowa mogą iść się walić, tak jak jego durne imię. Benji? Bądźmy poważni. W dodatku jak on to wymawia – jakby

chodziło o azjatyckie albo francuskie imię: ben dżiii. A weźże się, człowieku, pierdol!

Lynn wzdycha.

– Nigdy aż tak bardzo się nad tym nie zastanawiałam. Benji. Ben Dżiii. Dżiii-wne.

Krótki wybuch śmiechu. Dowiaduję się ciekawych rzeczy na temat Benjiego. Nie podoba mi się to, co słyszę, ale muszę to zaakceptować. Benji naprawdę istnieje. Zamawiam jeszcze jedną wódkę z wodą sodową. *Benji*.

Zakładasz ręce na piersi. Zjawia się kelnerka z drinkami. Zmienia się nastrój.

– Naprawdę podobało wam się moje opowiadanie?

– Nie wiedziałam, że tak dużo wiesz o kowbojach – odpowiada szybko Lynn.

– Wcale nie wiem – mówisz i pochmurniejesz.

Wypijasz zawartość kieliszka jednym haustem i z hukiem odstawiasz go na stolik. Dziewczyny znów wymieniają spojrzenia.

– Nigdy więcej nie wolno ci wspominać o tym sukinkocie – mówi Chana.

– Okej – zgadzasz się.

Lynn podnosi kieliszek. Chana idzie w jej ślady. Ty sięgasz po swój – pusty.

Chana wznosi toast:

– Za niewspominanie więcej o tym sukinkocie, jego gównianych napojach, chujowej fryzurze i o tym, że nie raczył się zjawić!

Stukacie się kieliszkami, dziewczyny mają co pić, ale ty musisz obejść się smakiem. Wychodzę z knajpy, żeby widzieć, kiedy będziesz wracała do domu. Drzwi się otwierają, wychyla się jakiś wieśniak i rzyga.

Zalewa po ogórkach? No błagam.

5

Za kwadrans trzecia rano na stacji metra przy Greenpoint Avenue jest nas troje. Chcę ci zawiązać sznurówki. Bo są rozwiązane. Poza tym jesteś zbyt pijana na to, żeby stać tak blisko torów. Opierasz się o zielony słup, pochylasz i szeroko rozstawiasz nogi, tak że twoje stopy dotykają żółtej linii ostrzegawczej, prawie na skraju peronu. Słup ma cztery strony, ty wybrałaś akurat tę zwróconą do szyn. Dlaczego?

W razie czego masz mnie. Poza nami jedyną osobą na tej zapuszczonej stacji jest bezdomny, ale on żyje w swoim świecie, zajmuje ławkę i śpiewa piosenkę Fatmana Scoopa, kawałek o tym, co się stanie, jeśli pieprzony pociąg wypadnie z torów.

Śpiewa w kółko ten sam fragment, robi to głośno, a ty wpatrujesz się w ekran telefonu, ale nie jesteś w stanie jednocześnie pisać i słuchać tego wycia. Osuwasz się – masz stare buty, bez bieżnika – krzywię się, zaczynam mieć dość. Ta dziura to nie nasze miejsce, to pole minowe z pustych puszek, papierków, rzeczy niechcianych przez nikogo, nawet przez śpiewającego bezdomnego. Ci, z którymi się zadajesz, uwielbiają jeździć linią G, jakby chcieli przez to udowodnić, że są zwykłymi ludźmi, że są „prawdziwi”, nie zdają sobie jednak sprawy, że linia lepiej by się obeszła bez nich, bez ich puszek po piwie Miller High Life i rzygów śmierdzących zalewą po ogórkach.

Nogi ci się rozjeżdżają. Znowu.

Upuszczasz telefon, ląduje w żółtej strefie, masz szczęście, że nie spadł na tory. Dostaję gęsiej skórki, chciałbym chwycić cię za rękę i odciągnąć na drugą stronę słupa. Beck, stoisz zbyt blisko torów i powinnaś się cieszyć, że jestem tutaj, bo gdybyś się przewróciła albo gdyby śledził cię jakiś psychol,

jakiś gwałciciel, nie zdołałabyś nic zrobić. Taka jesteś nawalona. Sznurówki w twoich małych tenisówkach są za długie i wloką się po betonie, napastnik przydusiłby cię do płyty peronu albo do słupa, zerwałby z ciebie pończochy, zresztą już trochę porwane, ściągnąłby ci te bawełniane majtki z metką Victoria's Secret, tłustą dłonią zasłonił różowe usta, nie mogłabyś nic poradzić, a twoje życie już nigdy nie byłoby takie samo. Bałabyś się metra, uciekłabyś do Nantucket, omijałabyś łukiem „przygodne kontakty" na craigslist, przez rok, może dwa, regularnie raz w miesiącu badałabyś się pod kątem chorób wenerycznych.

Tymczasem bezdomny pieje ciągle ten sam cholerny refren tej samej cholernej piosenki. Zdążył dwa razy oddać mocz, nawet nie podnosząc się z ziemi. Siedzi w swoich szczynach. I gdyby przyszedł tu za tobą jakiś zbok, dokończyć to, co sama zaczęłaś, rozrywając pończochy, ten bezdomny dalej by śpiewał i szczał, szczał i śpiewał.

Znowu się osuwasz.

Mrużysz oczy, patrzysz na śpiewaka i warczysz, ale Beck, naprawdę, ten gość mieszka na innej planecie. To nie jego wina, że się spiłaś.

Wspominałem już, że na szczęście masz mnie? To naprawdę szczęście. Jestem typowym facetem z Bed-Stuy: trzeźwym, opanowanym, świadomym swojej i twojej pozycji. Jestem opiekunem.

Najgorsze, że gdyby ktoś nas teraz zobaczył, pomyślałby, że to ja jestem psycholem, bo przyszedłem tu za tobą. Na tym polega problem z tym światem. I z kobietami.

Oglądasz Elliota, który w *Hannah i jej siostry* kombinuje, jak znaleźć się blisko swojej szwagierki, i myślisz, że to romantyczne, ale gdybyś wiedziała, co musiałem zrobić, żeby dostać się do twojego domu, i że obiłem sobie plecy, próbując lepiej cię poznać, z zewnątrz i od środka, na pewno odpowiednio byś mnie oceniła.

Wiem, co robisz z telefonem. Próbujesz się porozumieć z Benjim, tym skurwysyńskim specem od wody sodowej, bujnej czupryny i wystawiania dziewczyn do wiatru, miałaś z nim kontakty, bynajmniej nie przygodne – przynajmniej dla ciebie nie były przygodne. Zabiegasz o niego. Pragniesz go. To minie.

Jedną ze składowych problemu stanowi telefon. Masz w nim taką funkcję, dzięki której wiesz, kiedy ktoś odczytał wiadomość od ciebie i ją zignorował. Benji? Ignoruje cię po całości. Więcej energii wkłada w unikanie ciebie niż we wnikanie w ciebie – czy naprawdę tego chcesz? Dźgasz telefon palcem. Ten twój telefon. Wystarczy, Beck. Przez niego stracisz głos i poranisz sobie palce, wykończy cię.

Jebać go.

Mam ochotę rzucić aparat na tory, przytrzymać cię i zaczekać, aż urządzenie rozpadnie się pod kołami pociągu. Nie bez powodu jest pęknięty i nie bez przyczyny zostawiłaś go w koszyku wtedy w księgarni. W głębi duszy wiesz, że byłoby ci lepiej bez niego. Z tego telefonu nie wynika nic dobrego. Nie rozumiesz tego? Ależ rozumiesz. W przeciwnym razie traktowałabyś go delikatniej. Umieściłabyś go w jakimś etui, zanim pękł. Nie próbowałabyś go po omacku obsługiwać, pozwalając, by kierował twoim życiem. Naprawdę wolałbym, żebyś cisnęła go na tory, wylogowała się z sieci, odwróciła głowę, spojrzała na mnie i powiedziała: „Czy my się czasem nie znamy?”. Podjąłbym tę grę, zaczęlibyśmy rozmawiać, a naszą piosenką stałby się kawałek Fatmana Scoopa, ten fragment o wiecznie wykolejającym się pociągu numer dziewięć.

– Błagam, możesz przestać śpiewać? – warczysz, ale gość cię nawet nie słyszy, zagłusza sam siebie, szczy i śpiewa, śpiewa i szczy, a ty obracasz głowę zbyt gwałtownie i, do jasnej cholery, po coś się tak wychylała.

Wszystko dzieje się błyskawicznie.

Wyciągasz ręce, ale nadal się chwiejesz, upuszczasz telefon, pochylasz się, żeby go podnieść, i wtedy źle stawiasz nogę – „Aaa!” – stopa odjeżdża, potykasz się o tę przeklętą sznurówkę, lądujesz na peronie, ale tak pechowo, że znajdujesz się za żółtą linią, w naprawdę niebezpiecznej strefie. Krzyczysz. To najszybszy najwolniejszy upadek, jaki kiedykolwiek widziałem, i naraz jesteś tylko głosem z dołu, z torów, wrzeszczysz, a bezdomny śpiewa i jego głos brutalnie przypomina, że w każdej chwili możesz zginąć pod kołami pociągu. To najgorsza ścieżka dźwiękowa do tego, co muszę zrobić, zupełnie niewłaściwa. Przebiegam na drugą stronę peronu i spoglądam na ciebie z góry.

– POMOCY!

– No już, już. Daj rękę.

Ale ty znów krzyczysz i wyglądasz jak ta dziewczyna w studni w *Milczeniu owiec*, naprawdę nie musisz tak panikować, przecież jestem tutaj, podaję ci dłoń, chcę cię wyciągnąć. Cała się trzęsiesz, spoglądasz w stronę tunelu, twoja głowa wypełnia się strachem, a wystarczy, że chwycisz mnie za rękę.

– Ojezuojezu, zaraz umrę.

– Spójrz na mnie.

– Zaraz umrę.

Robisz krok do przodu i od razu widać, że nie masz pojęcia o torach.

– Nie ruszaj się, bo cię porazi prąd.

– Co? – Dzwonisz zębami.

– Spokojnie, nie umrzesz. Daj rękę.

– Zwariuję od tego – mówisz i zasłaniasz uszy, bo masz już dość. – Spadłam przez to pianie.

– Próbuję ci pomóc – przypominam.

Wytrzeszczasz oczy. Patrzysz w stronę tunelu, a potem na mnie, patrzysz mi prosto w oczy.

– Słyszę pociąg.

– E tam, prędzej byś poczuła. Daj rękę.

– Umrę – panikujesz.

– Podaj rękę!

Bezdomny śpiewa coraz głośniej, jakby chciał nas zagłuszyć. Zasłaniasz uszy i wrzeszczysz.

Niecierpliwię się, bo przecież ten pociąg w końcu na pewno przyjedzie, czemu utrudniasz?

– Chcesz zginąć? Bo jeśli tam zostaniesz, właśnie tak będzie. Daj rękę, natychmiast!

Spoglądasz w górę i dostrzegam w tobie coś nowego, czego wcześniej nie widziałem, pragnienie śmierci, i nie sądzę, żeby kiedykolwiek ktoś cię kochał jak należy, ale nic nie mówię i oboje wiemy, że mnie sprawdzasz, że sprawdzasz świat. Wieczorem w knajpce zeszłaś ze sceny, dopiero kiedy

wybrzmiały ostatnie oklaski, nie zawiązałaś sznurowadeł i masz pretensję do wszystkich i wszystkiego wokół, że się potknęłaś.

Kiwam głową.

– Okej. – Wyciągam obie ręce z otwartymi dłońmi. – No chodź, wyciągnę cię.

Zamierzasz walczyć. Niełatwo się ciebie ratuje, ale jestem cierpliwy i kiedy już jesteś gotowa, wspierasz się na moich ramionach i pozwalasz mi zabrać się z torów. Wciągam cię – w luźnych tenisówkach, porwanych pończochach i w ogóle – kładę na żółtej linii i przesuwam dalej, na szary brudny beton, do bezpiecznej strefy. Trzęsiesz się, podciągasz kolana pod brodę, po czym uciekasz do zielonego słupa, przyklejasz się do niego po stronie peronu, tam gdzie jest bezpiecznie, gdzie możesz przeczekać.

Nadal masz niezawiązane sznurówki, dzwonisz zębami, podchodzę do ciebie i pokazuję na twoje bezużyteczne, niesportowe tenisówki na płaskiej podeszwie.

– Mogę? – pytam.

Odpowiadasz skinieniem.

Mocno zaciskam sznurowadła i zawiązuję na nich podwójny węzeł, którego sto lat temu nauczył mnie kuzyn. Kiedy w tunelu słychać szum pociągu, przestajesz się trząść i już nie wyglądasz na przerażoną. Nie muszę mówić, że uratowałem ci życie. Po twoich oczach i lśniącej brudnej skórze widzę, że zdajesz sobie z tego sprawę. Kiedy pociąg się zatrzymuje i otwierają się drzwi, nie wsiadamy. To oczywiste.

6

Z początku taksiarz kręcił nosem. Też bym kręcił. Mamy w oczach szaleństwo po spotkaniu ze śmiercią. Wyglądasz jak zjebane półtora nieszczęścia. A ja jestem niepokojąco czysty – nieskazitelnie czysty alfons i jego brudna dziwka. Niezła z nas para.

– Najgorsze – mówisz, po raz setny wracając do niedawnych wydarzeń; zakładasz nogę na nogę, rękami młócisz powietrze. – Najgorsze, że byłam gotowa umrzeć, gdyby ten facet nie przestał śpiewać. Wiem, że musiałam wyglądać jak wariatka.

– Kompletna.

– Ale miałam kiepski wieczór i w pewnym momencie, wiesz, trzeba ustalić jakieś zasady. Powiedzieć: tego to ja, panie, nie zniesę! Umrę, a nie będę żyła w świecie, w którym ten gość wyje i zatruwa wspólną przestrzeń.

Wzdychasz. Podoba mi się, jak próbujesz obrócić to wszystko w rodzaj protestu przeciwko samozadowoleniu. Z przyjemnością gram z tobą w tę grę.

– No, ale byłaś na niezłym rauszu.

– Myślę, że na trzeźwo zrobiłabym to samo.

– A gdyby śpiewał ten kawałek w wersji Rogera Millera?

Śmiejesz się i nie masz pojęcia, kim jest Roger Miller, ale większa część twojego pokolenia też nie wie, mrużysz oczy, gładzisz się po brodzie i znów zaczynasz. Czwarty raz. Tak, policzyłem.

– Okej. Czy kiedykolwiek pracowałeś latem na promie?

– Nie – odpowiadam.

Jesteś przekonana, że skądś mnie znasz. Mówiłaś już, że z college'u, potem że ze studiów magisterskich, z baru w Williamsburgu i teraz – że

z promu.

– Ale naprawdę cię znam. Wiem, że skądś cię znam.

Wzruszam ramionami. Przyglądasz mi się badawczym spojrzeniem, lubię czuć na sobie twoje oczy.

– Wydaje ci się, bo spadłaś z peronu, a ja przyszedłem ci z pomocą.

– Miałam szczęście, że tam byłeś.

Nie powinienem odwracać wzroku, ale robię to, bo nie wiem, co powiedzieć, szkoda, że taksówkarz nie należy do tych, którzy bez końca paplają.

– Skąd wracałeś o takiej porze? – pytasz.

– Z pracy.

– Jesteś barmanem?

– No.

– To musi być fajne zajęcie. Słuchanie opowieści klientów.

– Jest – mówię; muszę uważać, żeby się nie zdradzić z wiedzą o twoim pisaniu. – Jest fajne.

– Opowiedz mi najlepszą historię, jaką słyszałeś w tym tygodniu.

– Najlepszą?

Kiwasz głową. Mam ochotę cię pocałować. Chcę cię rzucić na tory, zanim pociąg zatrzyma się w miejscu i połknie cię w całości, i posunąć cię tak, żebyś otrzeźwiała, zanim lokomotywa pożre nas oboje. W samochodzie jest za gorąco, na zewnątrz za zimno, pachnie *burrito*, robieniem laski i Nowym Jorkiem w środku nocy. Jedyne, co chcę powiedzieć, to „kocham cię”. Drapię się w głowę.

– Trudno wybrać, wiesz?

– No dobrze, posłuchaj – mówisz. Przełykasz ślinę, zagryzasz wargę, czerwienisz się. – Nie chciałam cię wystraszyć i zabrzmieć jak jakaś psycholka pamiętająca każdą, nawet najdrobniejszą społeczną interakcję, w której bierze udział, ale skłamałam. Naprawdę cię znam.

– Tak?

– Z księgarni. – Posyłasz mi uśmiech Natalie Portman, a ja udaję, że cię nie poznaję. Machasz rękami.

„takich drobnych rąk”

– Rozmawialiśmy o Danie Brownie – dodajesz.

– Prawie codziennie z kimś o nim rozmawiam.

– Paula Fox – mówisz i kiwasz głową, dumna, muskasz dłonią moje ramię.

– Aha – mówię. – Paula Fox i Spalding Grey.

Klaszczesz w dłonie i o mały włos nie rzucasz mi się na szyję i nie całujesz. Powstrzymujesz się. Prostujesz plecy, krzyżujesz nogi.

– Pewnie masz mnie za wariatkę, co? Z iloma dziewczynami rozmawiasz każdego dnia? Pięćdziesięcioma?

– Broń Boże.

– Dzięki – mówisz.

– Rozmawiam z co najmniej siedemdziesięcioma.

– Ha. – Przewracasz oczami. – Czyli nie myślisz, że jestem szalona, wiesz, jak stalkerka czy coś?

– Nie, skąd.

Higienistka w szkole mówiła, że jeśli utrzymujesz z kimś kontakt wzrokowy dłużej niż dziesięć sekund, to chcesz tę osobę przestraszyć albo uwieść. Liczę do dziesięciu i czuję, że wiesz, którą ewentualność mam na myśli.

– To dobrze. W którym barze pracujesz? Może wpadnę na drinka?

Nie winię cię za to, że starasz się sprowadzić mnie do roli kogoś, kto ci usługuje: wbija na kasę twoje książki i podaje ci drinki.

– Pracuję tylko na zastępstwa. Głównie siedzę w księgarni.

– Bar i księgarnia. Fajnie.

Taksówka zatrzymuje się przy West Fourth Street.

– Tutaj mieszkasz? – pytam.

Podoba ci się mój pełen podziwu ton.

– Nie do końca – odpowiadasz i pochylasz się do przodu. – Tam za rogiem.

Patrzysz na mnie, uśmiecham się.

– Bank Street. Nieźle.

Grasz.

– Odziedziczyłam majątek.

– Jaka branża?

– Spożywcza. Boczek – odpowiadasz bez mrugnięcia okiem.

Jesteśmy na miejscu. Zaglądasz do torebki, szukasz telefonu, aparat leży na siedzeniu między nami, bliżej mnie niż ciebie, kierowca się niecierpliwi.

– No proszę, znowu ten mój wiecznie znikający telefon.

Stukanie w szybę po mojej stronie. Podskakuję. Benji. Skurwysyn zapukał w szybę, pochylasz się nade mną i ją opuszczasz. Czuję twój zapach. Ogórki i cycki.

– Benji, o Jezu, to jest ten święty człowiek, który uratował mi życie.

– Dobra robota, stary. Jebany Greenpoint, co nie? Co złego, to tam.

Podnosi rękę, żeby przybić mi piątkę, przybijam, odsuwasz się ode mnie i raptem wszystko jest nie tak.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale chyba zgubiłam telefon.

– Znowu? – mówi, odchodzi i zapala papierosa.

Wzdychasz.

– Musisz wiedzieć, że wiecznie gubię telefon – zwracasz się do mnie.

– Jaki masz numer? – wypalam.

Spoglądasz przez okno na Benjiego i potem z powrotem na mnie. Nie jest twoim chłopakiem, a zachowujesz się, jakby był.

Jestem spokojny, opanowany.

– Beck – mówię – potrzebuję twojego numeru, mejla albo czegokolwiek, w razie gdybym znalazł telefon.

– Przepraszam – odpowiadasz. – Odpłynęłam. Chyba nadal jestem trochę spanikowana. Masz długopis?

– Nie – mówię.

Kiedy wyjmuję telefon z kieszeni, dzięki Bogu nie sięgam przez przypadek po twój. Podajesz mi cyfry. Teraz jesteś moja.

– Idziesz czy nie?! – krzyczy Benji.

Wzdychasz.

– Bardzo ci dziękuję.

– Polecam się na przyszłość.

– Podoba mi się. To lepsze niż „nie ma za co”, dwuznaczne.

– Mówię poważnie.

Kończy się nasza pierwsza randka, wchodzisz po schodkach, za chwilę będziesz się pieprzyła z Benjim, aż polecą wióry, ale to nieważne. Nasze telefony są razem. Wiesz, że wiem, gdzie mieszkasz, a ja wiem, że wiesz, gdzie mnie znaleźć.

7

Myśli wirują mi w głowie (ty, ja, twoje pończochy, twój telefon, Benji), kiedy wpadam w taki stan, jest tylko jedno miejsce, do którego mogę pójść. Wchodzę do księgarni tylnym wejściem i otwieram drzwi do piwnicy. Zamykam je za sobą. Stoję w przedsionku, który dla Curtisa, w ogóle dla każdego, wygląda jak schowek na środki czystości. Sięgam do kieszeni i wyławiam z niej prawdziwy klucz, ten służący do otwierania następnych drzwi, broniących dostępu do dźwiękoszczelnej piwnicy. Zamykam je za sobą, przekręcam klucz. Schodzę, uśmiechając się, bo widzę, że jest na miejscu – nasza piękna, wielka zwierzęca zagroda: klatka.

Chociaż może „klatka” to złe słowo. Konstrukcja ma imponujące rozmiary, jest prawie tak duża, jak cały dział beletrystyki piętro wyżej. Nie jest zwyczajną niezgrabną metalową pułapką, taką jak cele w areszcie albo boksy w sklepie ze zwierzętami, bardziej niż klatkę przypomina bowiem kaplicę, zresztą wcale bym się nie zdziwił, gdyby sam Frank Lloyd Wright maczał palce w jej projekcie, weźmy choćby te surowe mahoniowe belki, doskonale gładkie, ciężkie. Geniusz, który ją zbudował, stworzył ściany z akrylu, materiału wytrzymałego, ale oddychającego. To wręcz mistyczna konstrukcja, Beck, sama zobaczysz. Czasem, kiedy kolekcjonerzy starych książek wypisują czeki na pokaźne sumy, wydaje mi się, że działają pod urokiem klatki. Jest praktyczna. Znajduje się w niej łazienka, miniaturowa kabina z miniaturowym sedesem, bo przecież pan Mooney w życiu nie pofatygowałby się na górę dla czegoś „tak banalnego jak wypróżnienie”. Książki stoją na zamontowanych wysoko półkach, dostępnych jedynie z drabiny. (Powodzenia, złodziejaszki). W przedniej ścianie jest niewielka szuflada, taka, jakich używa się na stacjach benzynowych w szemranych

okolicach. Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Podnoszę głowę, uśmiecham się i mówię:

– No cześć.

Zdejmuję buty i kładę się na ławce. Wsuwam dłonie pod głowę i opowiadam książkom o tobie, Beck. Słuchają. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale naprawdę słuchają. Przymykam oczy. Pamiętam dzień, w którym dostaliśmy klatkę. Miałem piętnaście lat, od kilku miesięcy pracowałem u pana Mooneya. Powiedział, żebym przyszedł do pracy dokładnie o ósmej, bo przyjedzie ciężarówka. Byłem punktualnie, ale dostawcy z Custom Acrylics zjawili się dopiero o dziesiątej. Kierowca nacisnął klakson i pomachał, żebyśmy wyszli. Pan Mooney powiedział, żebym uważnie się przyglądał. Kierowca wrzasnął, przekrzykując ryk silnika:

– Mooney Books?

Pan Mooney zerknął na mnie, zniesmaczony zachowaniem filistra, któremu nie chce się przeczytać szyldu nad sklepem. Przeniósł spojrzenie na kierowcę.

– Przywiózł pan moją klatkę?

Mężczyzna splunął.

– W całości nie wejdzie. Jest w częściach. Belki mają cztery i pół metra długości, a ściany są za szerokie i się, kurna, nie przecisną przez te drzwi.

– Otworzę obydwa skrzydła – powiedział pan Mooney. – Nie spieszy nam się.

– Nie chodzi o czas. – Kierowca pociągnął nosem i spojrzał na siedzącego obok kolegę; wiedziałem, że nie są po naszej stronie. – Bez urazy, panie szanowny, ale zwykle montujemy te maleństwa na podwórzach, w willach, na dużych, otwartych przestrzeniach, rozumie pan?

– Piwnica jest i duża, i otwarta – stwierdził pan Mooney.

– Myślisz pan, że wciśniemy tę jebaną bestię do piwnicy?

Twarz pana Mooneya stężała.

– Proszę nie przeklinać przy chłopcu.

Mężczyźni musieli obrócić przynajmniej dwadzieścia razy – od ciężarówki przez sklep i dalej w dół schodami – zanim przenieśli wszystkie belki i ścianki. Pan Mooney powiedział, żeby nie było mi ich szkoda.

– Pracują, Josephie – wyjaśnił. – Praca jest dobra dla ludzi. Przyglądaj się.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić gotowej klatki. Belki były ciemne i staroświeckie, za to ściany przezroczyste i nowoczesne. Nie rozumiałem, jak miałyby do siebie pasować. Czekałem cierpliwie, aż pan Mooney zawoła mnie na dół. Kiedy w końcu zobaczyłem gotową konstrukcję, poczułem respekt. Kierowca i jego kolega też byli pod wrażeniem.

– Największa, jaką widziałem – powiedział spocony kierowca. – Trzymasz pan żako? Kurna, uwielbiam te papugi. Gadają i w ogóle.

Pan Mooney nie odpowiedział. Ja też nie.

Kierowca spróbował ponownie.

– Diabelnie wysoko te półki. Na pewno nie zamontować niżej? Większość woli, żeby półki były, wie pan, na tej wysokości – pokazał.

– Przed nami dużo pracy – powiedział pan Mooney, mając na myśli siebie i mnie.

Kierowca pokiwał głową.

– Zmieścisz pan tu w cholerę ptaków. *Sorry* za „cholerę”.

Kiedy odjechali, pan Mooney zamknął księgarnię i powiedział, że półgłówki z firmy przewozowej nie są lepsi niż bogaci sadyści, którzy trzymają ptaki w klatkach.

– Klatka, w której ptak mógłby fruwać, nie istnieje, Josephie – odezwał się do mnie. – Jedyną rzeczą okrutniejszą od klatki tak małej, że ptak nie może wzbić się w powietrze, jest klatka tak wielka, że ptakowi wydaje się, że może latać. Tylko potwór mógłby zamknąć tu ptaka i mienić się miłośnikiem zwierząt.

Nasza klatka była przeznaczona na książki. Pan Mooney nie żartował, że czeka nas mnóstwo pracy. Przyszła ekipa i zaaplikowała szczeliwo w piwnicy, dzięki czemu całe pomieszczenie stało się dźwiękoszczelne. Druga ekipa przesunęła tylną ścianę księgarni i zbudowała dodatkową przegrodę w przedniej części piwnicy, tak że prowadzące do niej drzwi otwierały się najpierw na przedsionek, w którym znajdowały się kolejne, prawdziwe drzwi do piwnicy. Codziennie budziłem się podekscytowany, bo budowaliśmy tajną, dźwiękoszczelną kryjówkę. Pomagałem panu

Mooneyowi przy wsuwaniu obwolut do odlanych na miarę akrylowych okładek („ostrożnie, Josephie”), wkładaniu tak zabezpieczonych książek do akrylowych pudełek z otworami („ostrożnie, Josephie”), a następnie umieszczaniu tychże w jeszcze większych metalowych pudełkach („ostrożnie, Josephie”) oraz opatrywaniu ich etykietą i zamykaniu na klucz. Kiedy zebrało się dziesięć egzemplarzy, pan Mooney wchodził na drabinę w klatce, ja zaś podawałem mu książki, zawsze pojedynczo („ostrożnie, Josephie”), a on ustawiał je na tych „diabelnie wysokich” półkach. Zapytałem go, po co tyle zachodu dla książek.

– Książki nie odlecą – powiedział. – Nie są ptakami.

Następnego dnia przyniósł mi matrioszkę.

– Otwórz – powiedział. – Ostrożnie, Josephie.

Przekręciłem lalkę i otworzyłem, w środku znajdowała się kolejna, którą też otworzyłem, potem następną, aż do ostatniej, najmniejszej, jedynej, której nie można było otworzyć.

– Wszystko, co cenne, musi pozostać ukryte – powiedział pan Mooney.

Nagle wyskakujesz ty, jak mała lalka ze środka większej, ale piękniejsza niż ona. Zobaczysz, Beck, spodoba ci się tutaj. Potraktujesz to miejsce jako azyl dla świętych ksiąg, dla autorów, których uwielbiasz. Będziesz czuła podziw dla mnie, klucznika, pokażę ci pilota, którym obsługuje się klimatyzatory i nawilżacze powietrza. Będziesz chciała sama spróbować, pozwolę ci i wytłumaczę, że gdybym zechciał, mógłbym podkręcić temperaturę i ugotować wszystkie te książki, spleśniałyby, a potem zamieniły się w pył i rozpadły, przepadły na zawsze. Jedyną dziewczyną zdolną zrozumieć moją moc jesteś cudowna, niepublikowana ty, w żółtych pończochach, marząca o napisaniu czegoś na tyle dobrego, by zapewniło ci miejsce w klatce. Ściągniesz majtki, byle się tu dostać, by tu zamieszkać na zawsze. Zsuwam gacie i tryskam tak mocno, że na chwilę głuchnę.

Kurwa. Dobra jesteś. Próbuję wstać. Kręci mi się w głowie. *Ostrożnie, Josephie*.

Pora otwierać księgarnię, wyrównuję oddech, idę na górę. Po tym, jak pan Mooney przeszedł na emeryturę, w księgarni zostało nas dwóch: ja i Curtis, dzieciak z liceum, przypomina mnie, kiedy tu zaczynałem. Robi

różne głupstwa, tak jak ja w jego wieku. Kurczę, kiedy miałem szesnaście lat, pan Mooney dał mi klucz, a ja, rzecz jasna, pewnego wieczoru zapomniałem zamknąć klatkę.

– Zawiodłeś, Josephie – powiedział młodszy, ale i tak już stary Mooney; tacy jak on nie mają młodości, są wiecznie starzy. – Zawiodłeś mnie i zawiodłeś książki.

– Przepraszam – powiedziałem. – W domu nigdy nie zamykamy szafek i drzwi.

– Ponieważ twój ojciec jest świnią, Josephie – powiedział. – Czy ty również nią jesteś?

Odparłem, że nie.

Kilka dni później zakradłem się do klatki i zabrałem nowe, stare wydanie *Franny i Zooey*, egzemplarz z autografem. Postanowiłem, że polubię tę książkę bardziej niż *Buszującego w zbożu* – żeby być oryginalny. I wiesz co, Beck? Rzeczywiście mi się spodobała. Ależ to była książka! Czasami wracałem na początek tylko po to, żeby dotknąć podpisu Salingera. Żeby móc zrobić to, co ja robiłem z podpisem, trzeba było wyłożyć tysiąc dwieście pięćdziesiąt dolarów. Ja nie zapłaciłem ani centa. Tak jak kobieta, która mi tę książkę ukradła.

Nigdy jej nie zapomnę: rudawe włosy, szalik w tureckie wzory, trzydzieści, może trzydzieści pięć lat. Zapłaciła gotówką. Obiecałem panu Mooneyowi, że będę pracował po godzinach, żeby zwrócić dług, i że znajdę złodziejkę. Odpuściłem sobie część lekcji w szkole i przemierzałem ulice miasta, aż porobiły mi się bąble. Ale trudno odnaleźć kobietę, kiedy nie zna się jej nazwiska ani adresu. Pan Mooney kazał mi wejść do klatki i zamknąć oczy. Bałem się. Kiedy usłyszałem, jak przekręca klucz, wiedziałem, że zamknął mnie w środku.

Nie miałem drabiny, więc nie zdołałem dosięgnąć książek stojących na półkach; nie można wejść do Luwru i pocałować Mony Lisy. Nie miałem telefonu, światła, ciemności. Tylko własny umysł, klimatyzator, kawałek pizzy (zimny, bo para szkodzi starym książkom) i kawę (letnią, w papierowym kubku) – jedzenie i picie pan Mooney podał mi przez

szufladę. Straciłem rachubę dni i nocy. Panu Mooneyowi zależało na mnie tak bardzo, że był gotów dać mi lekcję. Uczyłem się więc.

Wypuścił mnie z klatki czternastego września 2001 roku, trzy dni po zamachach na World Trade Center. Świat stał się inny. Pan Mooney powiedział, że mój ojciec nawet do niego nie zadzwonił; pewnie pomyślał, że zginąłem.

– Jesteś wolny, Josephie – powiedział pan Mooney. – Bądź rozsądny.

Zacząłem spędzać coraz mniej czasu w domu. Powoli znikałem z życia ojca. Mama odeszła, kiedy chodziłem do drugiej klasy, dorastałem w poczuciu, że można tak po prostu zostawić drugiego człowieka, zwłaszcza tatę. Nie użalałem się nad sobą, Beck. Mnóstwo ludzi ma kiepskich rodziców, karaluchy w szafkach, czerstwe bułki na śniadanie, telewizor, który ledwo działa, i ojca, który ma gdzieś, że po jedenastym września jego syn nie wraca do domu. Ale widzisz, Beck, nie było tak źle, bo miałem księgarnię.

Nie trzeba całej wioski, żeby wychować dziecko, jak to się u nas mówi. Pan Mooney był moim szefem, był ojcem, wobec którego chciałem być *fair*. Szukałem złodziejki *Franny i Zooey*, robiłem to tuż po zamachach jedenastego września i nie byłem jedynym, który kogoś szukał. Ludzie krążyli po ulicach, pragnęli odnaleźć swoich bliskich, ja zaś wypatrywałem tej kobiety. W całym mieście rozwieszano ogłoszenia o zaginionych osobach. Pomyślałem, że mógłbym nauczyć się rysować i zalepić miasto jej podobiznami. Mógłbym udawać, że szukam matki. Odpuściłem sobie. Czasem myślę, że może zginęła w jednej z wież – ot, dopadła ją karma. Ale częściej dochodzę do wniosku, że nadal gdzieś tu mieszka, żyje i czyta.

Kręcę się w dziale beletrystyki przy regale l–r, rozlega się dzwonek, jestem gotów. Powiedziałaś przyjaciółkom, że zajrzysz mniej więcej o tej porze. Wiem o tym, bo mam twój telefon. Na szczęście nie używasz PIN-u, zabezpieczenia nie są w twoim stylu. Przeczytałem twoje mejle. Zrobiłem zdjęcie hasłom, które przechowujesz w oddzielnym folderze. W ten sposób, kiedy zmienisz któreś, j e ś l i je zmienisz, będzie mi łatwiej zgadnąć, jak brzmi nowe. Bo wymyślanie nowych haseł też nie jest w twoim stylu. Używasz na zmianę trzech:

ackbeck1027

1027meME

1027BECK$Ale

To nie wszystko. Nie chcesz powiedzieć matce, że zgubiłaś kolejny telefon. Dlatego poszłaś i kupiłaś nowy aparat, podpisałaś nową umowę i masz nowy numer. Wiem o tym, ponieważ twój stary telefon nadal jest aktywny. Przeczytałem zbiorczy mejl z informacją o nowym numerze, który wysłałaś do znajomych. Bo, wyobraź sobie, mogę czytać wszystkie twoje wiadomości!

Chana była przerażona:

WTF? Powiedz matce, że zgubiłaś fon, i zastrzeż kartę. Kradzież tożsamości! Zboczeńcy! Beck, mówię serio. Powiedz matce, że dałaś dupy. Przeżyje to. Ludzie gubią telefony. To nie koniec świata. Niech dezaktywują kartę.

Odpisałaś:

Telefon pewnie wpadł do kanału; więc rzeczywiście to nie koniec świata. Jeśli ktoś go znalazł, to trudno. Jestem biedną studentką z długami. Kto by chciał ukraść taką tożsamość? A jeśli ktoś myśli, że jestem na tyle ładna, żeby wrzucić moje selfie do sieci, to okej, poczuję się ładna. :) Nie no, żartuję. Poważnie, wszystko gra. I tak chciałam zmienić telefon! Uwielbiam swój nowy numer!

Chana nie ustępowała:

DOSTANIESZ NOWY TELEFON, KIEDY POWIESZ, ŻE STRACIŁAŚ STARY. Matka zorientuje się, że zgubiłaś fon, kiedy zobaczy NOWY NUMER.

Poza tym: $$$$$

Byłaś uparta:

C., uspokój się, bardzo cię proszę. Powiedziałam mamie, że zmieniłam numer, bo chciałam mieć taki, który wskazywałby na abonenta w Nowym Jorku. Ona nawet nie umie esemesować, a co dopiero czytać rachunki. Jest okeeej. A kasa? E tam, na tym etapie jeden rachunek w tę czy we w tę nie robi różnicy.

Chana nie odpowiedziała. Kocham twoją mamę (dzięki!) i kocham ciebie, ty mała hipokrytko! Stary (wciąż działający!) telefon jest prawdziwą encyklopedią wiedzy na temat twojego życia, dostępną dla mnie dopóty, dopóki starsza pani Beck nie przestanie opłacać rachunków. Punkt dla mnie! Och, Beck, uwielbiam czytać pisane przez ciebie mejle i poznawać twoje życie. Jestem ostrożny; zawsze oznaczam nowe wiadomości jako nieprzeczytane, żebyś nie nabrała podejrzeń. Na tym nie koniec, okazuje się bowiem, że od esemesowania wolisz mejlowanie. To oznacza, że umyka mi zaledwie niewielki fragment twojej komunikacji z innymi ludźmi. Napisałaś „esej" na jakiś blog, a w nim stwierdzasz, że „mejle są wieczne. W każdej chwili możesz odszukać dowolne słowo i zobaczyć wszystko, co powiedziałaś innym w związku z tym słowem. Esemesy się nie umywają". Kocham cię za to, że lubisz archiwizować wiadomości. I uwielbiam twoje archiwa za to, że są dla mnie dostępne, jestem pełen ciebie, widzę twój kalendarz: ile dziennie jesz kalorii, kiedy uprawiasz seks, kiedy masz okres, widzę twoje autoportrety, których nie publikujesz w sieci, twoje przepisy i ćwiczenia. Wkrótce ty też mnie poznasz, obiecuję.

Już dziś.

Jesteś tutaj.

– Chwileczkę – wołam, jak gdybym nie wiedział, że to ty. Wciskam kit. Biegnę po schodach, wpadam między regały i widzę ciebie. Masz na sobie pulower w szkocką kratę i zakolanówki, wystroiłaś się dla mnie, wiem to, trzymasz w ręku różową szmacianą torbę.

Nucę tę piosenkę z metra, a ty się śmiejesz. Dobry jestem, kiedy mam czas, żeby się przygotować.

– Co słychać?

Podchodzę, żeby cię uściskać, pozwalasz mi, pasujemy do siebie. Obejmuję cię. Mógłbym cię zgnieść na śmierć i na życie, odsuwam się pierwszy, bo wiem, co wy, dziewczyny, potraficie sobie ubzdurać, kolorowe pisemka i telewizja spaczyły wasze podstawowe instynkty.

– Mam coś dla ciebie – mówisz.

– Nie musiałaś.

– Uratowałeś mnie – śmiejesz się – więc owszem, musiałam.

Podchodzimy do kasy. Wiem dlaczego: pragniesz mnie. Tu i teraz. Wiesz, że gdybyśmy zostali między regałami, oparłbym cię o tabliczkę z napisem f–k i dopiero dałbym ci prezent. No więc siadam za ladą, tak jak sobie zaplanowałem: splatam dłonie za głową, odchylam się na krześle, opieram stopy na blacie, moja koszulka podjeżdża i widać brzuch – żebyś miała o czym śnić – uśmiecham się.

– Pokaż, co tam masz, mała.

Kładziesz to na ladzie. Opuszczam nogi, przysuwam się i pochylam nad blatem. Jesteś tak blisko, że mógłbym cię dotknąć. Wiem, że podoba ci się moja woda kolońska, bo z Chaną rozpływacie się nad barmanem, który używa identycznej – tylko dlatego ją kupiłem. Otwieram prezent – od ciebie dla mnie.

To *Kod Leonarda da Vinci* po włosku. Klaszczesz w dłonie i śmiejesz się, uwielbiam twój entuzjazm, dawanie prezentów przychodzi ci dużo naturalniej niż pisanie. Lubisz dawać.

– Otwórz – mówisz.

– Nie znam włoskiego.

– Nie cała książka jest po włosku.

Przeglądam, kartkuję i widzę, że się pomyliłaś, cała jest po włosku. Zabierasz mi ją i kładziesz na ladzie.

– Wiem na sto procent, że pierwsza strona jest po angielsku. Otwórz.

Otwieram.

– Aha.

– No – mówisz. – Czytaj.

Oto, co napisałaś czarnym tuszem:

Pociąg, pociąg, pociąg, och, jak prędko bieży,
a na torach nawalona panna leży.
Bez namysłu skoczyłeś na ratunek,
bo niczym rycerz lśniący masz rynsztunek.

Czytam na głos; wiem, że kręcą cię własne słowa, choćby niezgrabne, na koniec klaszczesz. Niemal wprost dajesz mi do zrozumienia, że mam

wyciągnąć po ciebie rękę. Kiwasz głową i jest tam napisane twoje imię i nie brzmi dziwnie, kiedy je wymawiam.

– Dziękuję, Guinevere.

– Beck.

Podnoszę książkę.

– Ale też Guinevere.

Zgadzasz się, kiwasz głową.

– Nie ma za co…

Zostawiłem identyfikator w klatce. Udajesz, że nie pamiętasz, jak się nazywam. Pomagam ci.

– Joe. Goldberg.

– Nie ma za co, Joe Goldbergu – mówisz, wzdychasz i ciągniesz dalej: – Ale to popieprzone, co? Przyszłam, żeby ci podziękować, a koniec końców to ja mówię: „Nie ma za co”.

– Wiesz co – zaczynam; oto chwila, do której się przygotowywałem. – Skoro już oboje żyjemy, nikt nam nie śpiewa, a ty kupiłaś mi ten zajebisty, naprawdę świetny prezent, bo chociaż mamy mnóstwo książek, to akurat nie ma wśród nich włoskiego wydania Dana Browna…

– Zauważyłam – mówisz melodyjnym głosem, mrugasz i się uśmiechasz, lekko się przy tym kołysząc.

Biorę oddech. To jest to, kolejny krok.

– …może byśmy się kiedyś wybrali na drinka?

– Pewnie – mówisz, zakładasz ręce na piersi, nie patrzysz na mnie, nie podajesz konkretnej daty, nie wyznaczasz miejsca, powoli wyłaniają się elementy dynamiki między nami, jak na fotografii w ciemni: nie napisałaś numeru telefonu pod dedykacją, kupiłaś mi Dana Browna, autora, z którego żartowaliśmy, zamiast Pauli Fox, tej, która była tematem poważnej części naszej rozmowy, poza tym chyba masz malinkę, co prawda malutką, ale to jednak malinka. Kupiłaś Paulę Fox Benjiemu. Dla mnie kupiłaś Dana Browna.

– Problem w tym – mówisz – że ciągle nie mogę znaleźć telefonu, a ponieważ jeszcze nie mam nowego, staram się nie robić zbyt wielu planów, rozumiesz.

– No tak.

Niby sprawdzam coś na komputerze i myślę o tym, co napisałaś w mejlu do znajomych – więcej o samej akcji ratunkowej niż o swojej obsesji na moim punkcie, obsesji tak silnej, że musiałaś udawać, że mnie nie pamiętasz. Nie powiedziałaś Chanie i Lynn, jakie myśli o mnie przychodzą ci do głowy, kiedy dosiadasz swojej zielonej poduszki, ani jak onieśmielona i zdenerwowana czujesz się w moim towarzystwie. Beck, byłaś do tego stopnia nieobecna i spięta, że zapodziałaś telefon. Pamiętasz? Zamiast tego piszesz im o Benjim. Muszę się odezwać albo wszystko schrzanię.

– Czyli jednak nie znalazłaś telefonu?

– No tak, znaczy nie, nie znalazłam. Wydaje mi się, że został w metrze.

– Miałaś go w taksówce.

– Racja, rzeczywiście, ale daj spokój, kto by tam pamiętał nazwę korporacji?

Premiere Taxi of Lower Manhattan.

– Człowiek nigdy nie pamięta nazwy korporacji – przyznaję.

Prosisz o długopis, potem bierzesz jedną z naszych firmowych zakładek i na odwrocie piszesz swój adres mejlowy, który już znam.

– Wiesz co – mówisz, pisząc – jestem teraz trochę zajęta studiami i w ogóle, ale wyślij mi wiadomość, to coś wymyślimy.

– Zdajesz sobie sprawę, że te zakładki są dla klientów, którzy dokonali zakupów, prawda?

Śmiejesz się, czujesz się zakłopotana bez telefonu, do którego mogłabyś teraz zajrzeć, stoisz i rozglądasz się, czekając na pozwolenie oddalenia się. Oj, Beck, naprawdę masz kompleks tatusia.

– Nie bez powodu, bo książki niestety same się nie sprzedadzą. Więc może zmykaj już i daj mi trochę, no wiesz, popracować.

Uśmiechasz się z ulgą, wycofujesz się, niemal składając ukłon.

– Jeszcze raz dzięki.

– Polecam się na przyszłość – mówię.

Zaplanowałem to. Uśmiechasz się, nie pokazując zębów, nie mówisz: „Do widzenia”, a ja nie odpowiadam: „Miłego dnia”, bo jesteśmy ponad uprzejmości. Dałaś mi mejl, teraz muszę się zastanowić, którą wersję ci

wysłać. Wiedziałem, że przyjdziesz, i wiedziałem, że podasz mi swój adres, więc wczoraj wieczorem usiadłem i napisałem kilka wersji mojej pierwszej wiadomości do ciebie. Pisałem całą noc, Beck. Zupełnie jak ty. Siedziałem w swojej klatce, Beck. Zupełnie jak ty.

Wkładam zakładkę z twoim adresem do włoskiego Dana Browna. Pasuje idealnie.

8

Mam nadzieję, że większość ludzi zdaje sobie sprawę, że Prince jest jednym z największych poetów naszych czasów. Nie tekściarzem, ale właśnie poetą. Prince to autor, któremu najbliżej do e.e. cummingsa, a ludzie są głupi, bo nie przychodzą tutaj i nie kupują tomików poezji Prince'a.

„Minęło siedem godzin i piętnaście dni, od kiedy zabrałaś swoją miłość".

To jeden z najwspanialszych pierwszych wersów, jakie kiedykolwiek stworzono – z wielu powodów, przede wszystkim ze względu na odwrócenie godzin i dni. Osoba pozbawiona zmysłu poetyckiego najpierw podałaby liczbę dni, a potem godzin. Poeta jest inny. Poeta zmienia świat za pomocą

„takich drobnych rąk".

Jeszcze mi nie odpisałaś. Przesłałaś moją wiadomość dalej, do Chany i Lynn. Pośmiałaś się nad zdjęciami z automatu, przedstawiającymi waszą trójkę – „ChanaLynn… my!" – i wymieniłaś dziesiątki idiotycznych mejli o niczym. Znalazłaś czas, żeby przeczytać opowiadania swoich kolegów i koleżanek ze studiów i odpowiedzieć im, a także ubłagałaś kierownictwo księgarni WORD na Brooklynie, żeby zgodziło się na wieczorek autorski, ale nie odpisałaś facetowi, który ocalił ci życie. Nadal uganiasz się za Benjim i nie minęło jeszcze siedem godzin i piętnaście dni, Beck, ale jest już blisko. To przestaje być zabawne.

Napisałaś do ChanaLynn:

Jak to jest, że muszę być stereotypową laską, która spotyka fajnego faceta, ale mówi: „Nie, dziękuję"? Nie czytam „Cosmo",

nie stosuję diety oczyszczającej, nie wrzucam *selfies* do netu, a więc nie pasuję do profilu czerstwej lamy, która nienawidzi porządnych facetów. Benji nie widzi świata poza swoim biznesem, a ten gość jest jego zupełnym przeciwieństwem – pracuje w biznesie. Z innej beczki: piątek, Wythe, na dachu?

Chana odpisała pierwsza:

Beck, to ten, którego poznałaś w KGB? Może być Wythe.

To mi mówi, że spotykasz na swej drodze zbyt wielu facetów. Łakniesz kontaktów z obcymi ludźmi. Dlatego czytasz „przygodne kontakty" na craigslist. Nie, nie utrzymujesz ich (dzięki Bogu), ale jednocześnie całe życie traktujesz jak jeden kurewsko wielki przygodny kontakt, marnujesz czas z Benjim i z facetami poznawanymi w takich miejscach jak KGB.

Lynn odpisała:

Moja droga, na uczelni pracują psychiatrzy, którzy mogą odpowiedzieć na to pytanie. :) Nawiasem mówiąc, facet z KGB był słodki. Wythe – tak, ale może jednak dla odmiany coś w Upper East? Taka luźna propozycja…

Dziewczyny nie wiedzą o naszym włoskim Danie Brownie, nie mają pojęcia, jak bardzo się zadurzyłaś, ponieważ nie powiedziałaś im o tym. W końcu, w środku nocy, po pięciu godzinach i ośmiu dniach, odpisujesz mi:

Może *happy hours* w czwartek?

Odczekuję trzy godziny i jeden dzień, zanim odpiszę:

Zgoda. Gdzie?

Nie poprawiłaś mi nastroju. Nie odpisałaś od razu. Muszą minąć cztery minuty, trzy godziny i dwa dni, zanim to coś pojawi się w mojej skrzynce:

O rany, przepraszam, pomieszało mi się. Studiowanie to NIE jest dobry pomysł, normalnie kołowrotek. Nie mogę w tym tygodniu. Może w przyszłym?

Mam poetycką naturę, tak jak Prince, i wiem, jak zmienić punkt widzenia. Okazuje się, że nie pozwolisz pokierować sobą tak, żebyś wpadła w moje ramiona. Jesteś przestraszona, flirtujesz, niszczysz telefon, niczego nie wykasowujesz, wykorzystujesz miesiączkę jako wymówkę do

przedłużenia terminu oddania pracy, wiele twoich mejli ma dużo bardziej twórczy charakter niż opowiadania, które tworzysz, rozmawiasz z dziewięcioma facetami na dziewięciu różnych portalach. Flirtujesz. Ze wszystkimi. Czy zdajesz sobie sprawę, ile barachła umieściłaś w koszyku na anthropologie.com? Jezu, Beck, musisz się nauczyć podejmować decyzje. Tymczasem widzę, że jesteś chora. Tak jak twój ojciec. Przyczepiłaś się do Benjiego. Nie mogę cię od niego odczepić, zanim nie dowiem się o nim wszystkiego.

Zajmuje mi to jakieś trzydzieści pięć sekund.

Benjamin „Benji" Baird Keyes III to jakiś, kurna, żart. Przebywał na odwyku – farsa; po jego zadowolonej minie widać, że nie byłby zdolny do prawdziwego uzależnienia. Prowadzi firmę produkującą ekologiczną wodę sodową, esencję zła naszych czasów. Jego produkt nazywa się Home Soda i jest ponoć „doskonałą alternatywą" dla zwykłej *club soda*, ponieważ „Kluby bywają ekskluzywne, lecz to Dom jest najbardziej ekskluzywnym i wyjątkowym miejscem na świecie. Aby dostać się do Klubu, należy uiścić stosowną opłatę, zbędną w przypadku Domu".

Beck, proszę cię, nie mów mi, że kupujesz te brednie. Mały *start-up* Benjiego to olbrzymi sukces w stylu Whole Foods Market, jego przeładowana pastelami strona zawiera diatrybę na Monsanto (tak jakby jego rodzice nie trzepali kasy na produktach Monsanto, tak jakby nie wychował się na Monsanto – dosłownie: kiedy Benji był mały, jego ojciec pracował w Nestlé), a mimo to Benji narzeka i wymyśla. Z fotoeseju (mówiąc, kurwa, po ludzku: z pokazu slajdów) dowiaduję się, że Benji wymyślił Home Sodę podczas biwaku w Nantucket, na który wybrał się z przyjaciółmi. „Biwak" – pierdolenie; Nantucket to nie New Hampshire, a Benji zatrzymał się w należącym do znajomych domku letniskowym tuż nad wodą. Powiększam jedno ze zdjęć i widzę tajemniczą dziewczynę, którą zauważyłem na twoim profilu na Facebooku. Aha. Czyli poznałaś Benjiego przez to nieszczęśliwe, dziwne dziewczę, które ma na ustach uśmiech zarezerwowany dla pozowanych zdjęć z bogatymi przyjaciółmi. Czy pojechałaś z nimi na ten biwak? Nie. Pewnie cię nie zaprosili. Koleżanka wcisnęła ci kit, że na plaży strasznie ciasno i nie wystarczy dla

ciebie miejsca. Jesteś mieszczuchem, a Benji turystą, który dosłownie wchodzi w ciebie, wykorzystuje jako przerywnik, urlop od potu i znoju zarządzania firmą produkującą domowej roboty wodę sodową, po czym rzuca cię na koniec wakacji, tuż przed Labor Day. Jest tatusiem, któremu rozpaczliwie starasz się przypodobać, tatusiem, który i tak odejdzie, nieważne, co zrobisz.

Twój emocjonalny byt opiera się na obłąkańczej sezonowości, Labor Day jest co drugi dzień. Benji wynajmuje cię, tak jak wynajmuje loft w SoBro (South Bronx dla tych z nas, którzy nie czują potrzeby wymyślania durnych pieszczotliwych przezwisk dla dzielnic, w których nie są mile widziani). On cię zdradza, Beck. Często. Kompulsywnie. Ugania się za pewną performerką, która cholernie miesza mu w głowie, tak jak on miesza w twojej.

Po sześciu minutach, trzech godzinach i jednym dniu przychodzi wiadomość od ciebie:

Przypadkiem jestem na Greenpoincie. Nie pracujesz teraz w barze?

Odpowiadam:

Nie, ale możemy się spotkać u Lulu.

Odpowiadasz:

KAPITALNIE! Sorry za capslocka. Strasznie się cieszę!

Odpowiadam po dwunastu sekundach i dziewięciu minutach:

Haha. Już jadę. Piąta?

Nie odpisujesz. Żeby dotrzeć na miejsce, muszę pojechać dwoma pociągami, w głowie gra mi ścieżka dźwiękowa z filmu *Hannah i jej siostry*, wszystkie piosenki naraz, i to tak głośno, że nie jestem w stanie słuchać muzyki na swoim albo twoim telefonie i myślę o naszym pierwszym pocałunku, który z dużą dozą prawdopodobieństwa przeżyjemy za osiemnaście sekund, dziewiętnaście minut i trzy godziny, kiedy oboje, pijani, będziemy jechali taksówką na Bank Street, i teraz już rozumiem, dlaczego niektórzy faceci strugają Pinokia w pociągu. Ja tego nie robię. Wkrótce będę cię miał. Pociąg, pociąg numer dziewięć wlecze się, zobacz,

jak wiele już nas łączy, a nawet się jeszcze nie pieprzyliśmy. Mam dla ciebie prezent. Wiozę *The Western Coast*. Wpisałem dedykację:

Pociąg, pociąg numer dziewięć,
on przez miasto raźno jedzie.
Kiedy przejdziesz na emeryturę,
Sięgnij po tę tu literaturę.

Toporne rymy, wiem, prezent średni, ale musiałem coś kupić, nagrodzić cię za to, że wyszłaś mi naprzeciw, no i jest o pociągu, i mam nadzieję, że Prince dotarł tam, gdzie ja, że pokonał szesnaście stopni, dwie przecznice i jedną aleję, zmierzając ku reszcie swojego życia. Jestem dopiero w połowie schodów na stację metra, kiedy odzywa się twój telefon. Sporo informacji do przetworzenia, muszę usiąść. Siadam. Plany się zmieniły. Szybko, zbyt szybko. Prawie dwa tygodnie po tym, jak wysłałaś zbiorczą wiadomość o zmianie numeru telefonu, Benji odpisał na mejl:

Cześć.

Odpowiedziałaś:

Przyjedź.

Odpowiedział:

:)

Napisałaś do mnie:

Ech, muszę jechać na uczelnię. Przełożymy to na przyszły tydzień? Przepraszam. Sorry!

Potem Benji napisał do ciebie:

Daj mi godzinę, muszę skończyć jedną rzecz w pracy.

Odpowiedziałaś:

:)

Uśmiechasz się, bo chcesz, żeby życie wyglądało tak jak przedtem, zanim twój ojciec wszystko popsuł w Nantucket – żeby nie było tajemnic i zagrożeń. Piszesz o tym, jak tam jest bezpiecznie, a klaustrofobia i komfort psychiczny idą w parze. Twoja rodzina nigdy nie zamykała drzwi do domu, do samochodu też nie, kluczyki zostawiała w stacyjce, ale już

w marcu tęskniłaś za jakąś nową twarzą. Kilka tygodni temu napisałaś na Twitterze:

> Wyspa #Manhattan przypomina wyspę #Nantucket: drogie zakupy, drogie drinki, a zimą wszyscy wariują.

To fajnie, Beck, ale wyspa Manhattan w niczym nie przypomina twojej ukochanej wyspy Nantucket. Pozwól, że opowiem ci, co zrobiłem w zeszły wtorek.

Na wyspie Manhattan trzeba wszystko dobrze pozamykać, bo inaczej jakiś cwaniak może wpaść z wizytą, dajmy na to, do fabryki wody sodowej, akurat we wtorek, kiedy wie, że szefa nie ma w pracy (specjalne podziękowania dla Twittera Benjiego), może zapytać, czy wolno skorzystać z toalety, a potem olać kibelek (nie dosłownie) i zajrzeć do biura Benjiego (niezamkniętego), odpuścić sobie wycieczkę po fabryce i skupić się na wyprawie w głąb komputera (bez hasła), dowiedzieć się, że Benji prowadzi kalendarz zawierający linki do harmonogramu występów @lotsamonica. Dzisiaj spektakl, będzie bazgroliła na żywo w przerobionej remizie w Astorii (daj spokój!). Jako wierny fan artystki – śledzę ją na wszystkich portalach społecznościowych (och, czegóż się nie robi dla ciebie, Beck) – mam dostęp do relacji na żywo z tego wydarzenia. Wprawdzie nie udaje mi się znaleźć Benjiego (za duży tłum), ale na zdjęciach wszędzie widzę butelki Home Soda. A zatem tam jest. Potwierdza to komentarz jakiejś panny w różowych okularach i z równo obciętą grzywką:

> Dzięki Benjiemu za dostawę wody sodowej! #EkologiczneRządzi #HomeSoda #SodówaZaDarmo

No proszę. Najdroższy Benji nie zjawił się na twoim wieczorku, ale za to w środku dnia znalazł czas, żeby wyprawić się aż do Astorii, ponieważ uważa Monikę za wybitną artystkę, bo jest wysoka, ma blond włosy, a jemu się wydaje, że jej bazgroły to sztuka. Muszę się uspokoić. Nic o tym nie wiesz. Nie znasz twórczości Moniki, bo nie jesteś kretynką. Ale musisz się dowiedzieć. Tylko że nie zdołam wydostać się z tej rozdętej fabryki w krótkim czasie. Muszę cię uratować.

Jestem typem zapobiegliwym, przygotowanym na sytuacje awaryjne, mam więc założone specjalne konto na takie okazje:

HerzogNathaniel@gmail.com. Nie krążysz po necie tak często jak ja, więc nie wiesz, że Nathan Herzog jest krytykiem kulinarnym nowego działu „Jedzenie” magazynu „Vulture”, który ciągnie z cyców pretensjonalnych bubków, takich jak Benji i jego Home Soda, jak ze smoczka. Czytam jego wypociny, nie robią specjalnego wrażenia. Benji liże mu dupę, tweetuje jego recenzje, ewidentnie próbując zdobyć sympatię i aprobatę Herzoga. A w porywającej sekcji newsów na HomeSoda.com fani cipowatej wody Benjiego nieustannie skarżą się i dopytują, kiedy wreszcie „Vulture” napisze o Home Sodzie.

Kiedy? Teraz.

Używam nowego adresu mejlowego, żeby podszyć się pod Nathana Herzoga. Wkrótce Benji odbierze wiadomość od Herzoga, który właśnie posmakował najwspanialszej wody sodowej, jaką kiedykolwiek pił, jest już spóźniony na imprezę, lecz mimo to bardzo chciałby się spotkać z twórcą tej marki. Pisze więc:

Czy możemy się spotkać? Teraz. Na Lower East Side jest taka księgarnia, Mooney Rare and Used, to doskonałe miejsce. Na dole mają kawiarnię, o której wiedzą tylko wtajemniczeni.
Z pozdrowieniami, N.

Benji odpowiada po nanosekundzie:

Absolutnie tak, Nathan. Jest mi bardzo miło. Już zdążam.

Nie odpowiadam. Jakim trzeba być baranem, żeby mówić: „Już zdążam”?

Stoję na peronie metra, myśląc o tobie, kiedy nagle uświadamiam sobie, że spierdoliłem sprawę. Czegoś brakuje.

The Western Coast.

Z moją dedykacją i podpisem.

Zostawiłem książkę na chodniku, kiedy dochodziłem do siebie po tym, jak mnie spławiłaś. Pan Mooney miał rację: nigdy nie będę całkowicie zdolny do samodzielnego prowadzenia księgarni. Nie jestem i nigdy nie byłem typem wielozadaniowego biznesmena. Jestem poetą, dlatego wiem, że od mojego mieszkania, do którego wpadnę po coś specjalnego dla

Benjiego, dzielą mnie cztery stopnie, jedna przesiadka, trzy przecznice, dwie uliczki i jedna klatka schodowa. Esemesuję do Curtisa:

Nie musisz dziś przychodzić. Dam sobie radę sam.

Odpisuje:

Miodzio.

9

Wychodzę zza rogu i widzę Benjiego szarpiącego się z drzwiami do sklepu. Przyłapałem go, to dobrze. Posyłam mu szeroki uśmiech. Mam sukinsyna w garści.

– Oto i on! – wołam. – Człowiek, który wymyślił Home Sodę!

– Panie Herzog, to dla mnie zaszczyt – grucha Benji, ten jebany włazodup w marynarce od Brooks Brothers. I co mu z tego przyjdzie?

– Przepraszam za spóźnienie – mówię i udaję, że szukam kluczy. Krytycy kulinarni, którzy są współwłaścicielami kawiarnio-księgarni, niezdarność mają zapisaną w genach. – Ale myślę, że warto było zaczekać. Obiecuję.

Otwieram, wchodzimy do środka, Benji jest zbyt zdenerwowany, by zauważyć, że zamykam drzwi na klucz.

– Ale cacko – zachwyca się. – Serwują tu kawę?

– Od czasu do czasu – mówię. W sumie mógłbym się zaczepić do pracy przy tej bzdurnej stronce „New York Magazine". Oglądam *Mad Men*, wiem, kim jest Jay Z i gdzie podają drogi jak cholera *ramen*. – Na razie mogę panu zaproponować wodę.

– Doskonale, Nathanie.

Doskonale, Nathanie. Podczas gdy Benji nerwowo papla o tym, jak uwielbia książki, księgarnie i w ogóle ludzi, którzy czytają, nalewam wodę do szklanki i wsypuję do środka rozkruszoną tabletkę xanaksu. Przełknie to. Jest spięty. Bierze wodę. Dziękuje mi. W jego ustach nawet podziękowanie brzmi fałszywie. Pozwalam mu mówić, rzucam, że muszę coś zrobić za ladą, on przeprasza, „nic nie szkodzi, Nathanie, dla pana odwołałem wszystkie spotkania", przekładam dokumenty i czekam, kiedy xanax

zacznie działać. Czy nie wsypałem za mało? Kręci mu się w głowie, chce usiąść.

Chwieje się i prawie wpada na ladę.

– Przepraszam. Czy mogę na chwilę usiąść?

Cios, który mu wymierzyłem, był właściwie niepotrzebny. No, ale, kurwa mać, przez ostatnie dwadzieścia minut z tuzin razy użył słowa „doskonale”, więc chyba mu się należało. Leży na podłodze nieprzytomny, podchodzę do niego, chwytam za nogi i ciągnę w dół, po schodach do piwnicy. Zamykam go w klatce. Ciągle jest nieprzytomny. Uśmiecham się. Doskonale.

Jego marynarka od Brooks Brothers okazuje się skrzynią skarbów. Znajduję w niej torebkę na prochy, a w niej działki heroiny albo kokainy, ritalin czy co tam się teraz ćpa, oraz kartę do drzwi (zostawiam sobie). Jest też portfel (zabieram go). No i jeszcze najcenniejsza zdobycz, czyli telefon (chyba nie muszę dodawać, że go biorę). Benji, tak samo jak ty, Beck, nie boi się konsekwencji utraty telefonu, toteż po chwili mam dostęp do jego konta na Twitterze, do mejla i do bloga na stronie Home Sody. W telefonie znajduję rzecz jasna całe mnóstwo zdjęć performerki Moniki. Ta kobieta budzi moje obrzydzenie, rozkracza się i przyjmuje ohydne pozy. Wybieram jedną „seksowną” fotkę i tweetuję ją z konta Benjiego, opatrując dwoma hasztagami:

#cudośliczna #tak

Powinnaś odebrać tę wiadomość tak, jakby Benji nazwał cię:

#bylejaka #nie

Tak też się dzieje. Och, Beck, cierpię, widząc, jak płaczesz i czujesz się odrzucona. Nie wiesz, jak bardzo bym chciał pójść do ciebie i cię przytulić, położyć na zielonej poduszce i wypełnić miłością i zwyczajną, a nie ekologiczną, wodą sodową? Pragnę tego. Ale nie mogę się wtrącać. Potrzebujesz przestrzeni, by móc się odsunąć od tego dupka, czekam więc, kiedy twój smutek zamieni się w złość. Zamienia się, a wtedy kąsasz jak żmija:

Benji, nie jestem twoją zabawką. Nie jestem pretensjonalną performerką łamane przez plastikową tandeciarą. Jestem

istotą ludzką. Prawdziwą istotą, tak jak w piosence, dlatego ani mi się waż mnie spławiać. Słyszysz? Nie tak miało wyglądać moje życie. Traktuj mnie tak, jak traktujesz swoją wodę. Albo wiesz co? Jebać ją. Spróbuj. Wsadź ją sobie w szklaną butlę i posuwaj tę swoją wodę, bo ją kochasz. Mnie nie kochasz. Nikogo nie kochasz.

Twoje mejle są prawdziwe i piękne. Ale jest pewien problem. Wszystkie lądują w folderze „Wersje robocze”. Nie masz w sobie dość determinacji, by je wysłać. Wciąż trzymasz się urojeń mieszczucha i wierzysz, że ten kudłaty biwakowicz porzuci dla ciebie swoje ideały. Chcesz tego. Niewiele mogę zrobić. Czekam więc. Czytam twoje wiadomości.

Chana ma rację:

Beck, będę szczera. Byłoby miło, gdyby Benji cię kochał, ale to nieprawda. Jakoś mnie nie dziwi, że puszcza cię kantem, zdradza i zasuwa dziwne kawałki o tatusiu. Wiem, że to może źle zabrzmieć, ale w sumie cieszę się, że wyszło, jak wyszło. Skończ to wreszcie.

Dołącza się Lynn:

Myślę, że w Nowym Jorku nie ma porządnych facetów. Nie to, żeby mi się spieszyło za mąż, dobrze mi tak, jak jest, wolałabym chyba wyjechać do pracy w Pradze, niż wyjść za mąż, ale mówię szczerze, tu naprawdę nie ma porządnych facetów. Każdy z nich to kolejny Benji.

Chana odpisuje:

Lynn, wyloguj się z eHarmony, dobrze ci radzę.

Jestem pełen optymizmu, dopóki nie przeprowadzasz prywatnej wymiany wiadomości z tą całą Peach. Z nią rozmawiasz inaczej.

Ty:

Nie chcę się mazać, ale Benji się nie odzywa. Wystawił mnie do wiatru. Pewnie jest zajęty, ale może…

Peach:

…może byś się zajęła pisaniem, żeby o nim zapomnieć? Zrób tak jak w jodze, kiedy całą energię kierujesz w uświęcone

miejsce, czyli ku sobie.

Ty:

Masz całkowitą rację. Dziękuję, o, najmądrzejsza!

Ale to nieważne, co myślą twoje przyjaciółki. Ciągle piszesz do niego mejle i wciąż umieszczasz je w wersjach roboczych. Chcesz wiedzieć, gdzie jest i kiedy się zobaczycie. Pragniesz go. Nadal. Potrzebujesz mojej pomocy, dlatego preparuję wpis na blogu Benjiego na stronie Home Sody:

Spontaniczny wypad do ACK. Nowe inspiracje, nowe smaki w uroczym towarzystwie.

Dupek taki jak on na pewno posłużyłby się kodem lotniska w Nantucket zamiast jego nazwą. Oczywiście ciebie nie zaprosił. I nie powiedział, dokąd się wybiera. Po prostu wyjechał. Co z niego za typ. Użył określenia „urocze towarzystwo” – masz pomyśleć, że jest z Moniką, i wykreślić go ze swojego życia raz na zawsze. Przesyłasz link Peach, jesteś smutna, nie wściekła. Peach odpisuje:

Skarbie, to biznesmen. Pewnie chodzi mu o labradora Rascala. Nie wyciągaj pochopnych wniosków!

Znaleźliśmy się w impasie. Nic z tego, co zrobiłem, nie podziałało. Wybaczasz skurwielowi, który tweetuje zdjęcia wodzącej go na pokuszenie sodowej pizdy. Na twoim wieczorku autorskim nie było skrzynek darmowej Home Sody, a mimo to nadal go pragniesz i wciąż chcesz wszystko naprawić. Piszę do ciebie mejl od Benjiego:

Długa historia. Trzymaj się, mała.

Otwierasz wiadomość ułamek sekundy po tym, jak kliknąłem „wyślij”. Nie przesyłasz jej przyjaciółkom, nie tworzysz kolejnego mejla pod tytułem *Pierdol się!* Milczysz. Nie jestem zaskoczony, kiedy godzinę później piszesz do mnie:

To co, czwartek?

Udało się. Wreszcie. Mogę odpowiedzieć tylko jednym słowem:

Tak.

Nie wiem, ile minęło czasu, ale kiedy laluś się budzi, ziewa, jakby przespał całe stulecie. Z początku chyba nie rozumie swojej sytuacji i niezgrabnie

próbuje nawiązać rozmowę: o klatce – „hm, czy to mahoń?” – i o swoich papugach. W końcu dociera do niego, że dzielą nas kraty. Podchodzi do drzwi i po raz drugi tego dnia widzę, jak szarpie się z klamką.

– Nie powinieneś tego robić – mówię.

Staram się go uspokoić. Jestem miły.

– Wypuść mnie! – warczy. – Natychmiast.

– Benji – mówię – musisz się wyciszyć.

Patrzy na mnie. Jest zdziwiony. Brat Candace też się zdziwił. Dupki zawsze się dziwią, kiedy porządek wszechświata zostaje przywrócony i kiedy zostają pociągnięci do odpowiedzialności za swoje tchórzliwe, pretensjonalne, wyzute z miłości zachowanie.

10

Czwartek rano. Nasza dzisiejsza randka jest nagrodą dla mnie za ostatnie trzy dni. Niańczenie Benjiego to nie przelewki, Beck. Straciłem rachubę, ile razy zamykałem, otwierałem i znów zamykałem drzwi do piwnicy. Curtis wie, że nie wolno mu tam wchodzić, poza tym i tak nie ma klucza, od którego ściskania cierpnie mi ręka; zupełnie jakby był ostatnią deską ratunku. Jest nią.

Czuję sie zmęczony, Beck. Bitą godzinę zajęło mi podnoszenie desek podłogowych, pod którymi trzymam maczetę. Musiałem pojechać pociągiem aż do New Haven, żeby bez wzbudzania podejrzeń skorzystać z karty Benjiego i wybrać pieniądze z konta. Nie mówię, że nie było warto, wymyśliłem niezły plan. Otóż postanowiłem wykorzystać telefon Benjiego do opowiadania o jego życiu. Co ja mówię: niezły! Toż to, kurwa, genialny plan! Ponieważ obserwujesz go na Twitterze, zostaniesz świadkiem jego staczania się w narkotyki i idiotyzm. Zaczęło się w New Haven, gdzie pobrałem dwa tysiaki z konta Benjiego i wrzuciłem tweet ze zdjęciem kiczowatej maskotki buldoga z Yale:

> Prawdziwy #buldog powraca. #JakLeciNewHaven #JaPlusMolly

Teraz wszyscy (ty) pomyślą, że Benji odwiedził swoją Alma Mater i poszedł w tango. Jedno, co wiem o absolwentach Ligi Bluszczowej, to że wy wszyscy lubicie spotykać się w starych murach uczelni na zjazdach studentów. To dobry plan, już nie mogę słuchać biadolenia tego gogusia. Chyba czujesz, że odchodzę od zmysłów, bo piszesz do mnie esemesa:

> No cześć. Wcześnie wstałam. Nie wiem dlaczego. To co dzisiaj robimy? :)

– To Beck? – ujada Benji. – Tego chcesz, Joe? Proszę bardzo, jest twoja.

Przerabialiśmy to. Ocknął się mniej więcej przed godziną, kutas jeden rozpoznał mnie z taksówki. Teraz wydaje mu się, że mnie rozgryzł. Sądzi, że mam obsesję na twoim punkcie. Myśli, że uwięziłem go z twojego powodu. Prawda jest dużo bardziej skomplikowana, a zadowolone z siebie snoby, takie jak Benji, nie wiedzą, że kiedy siedzi się w zamknięciu, zawsze lepiej trzymać gębę na kłódkę. Wyłożył karty na stół i mówi o tobie, jakbyś należała do niego. Ale przecież nie jesteś zdezelowaną beemką, nie jesteś jego własnością, którą po prostu może odstąpić.

– Rozwiązuj test – ucinam.

– Joe – mówi i głupio robi, bo ilekroć wypowiada moje imię, przypominam sobie, że je zna, co w oczywisty sposób komplikuje sprawy. Biorę się w garść i odpisuję ci:

> Dzień dobry, śpiochu. Mam nadzieję, że miałaś słodkie sny. Do zobaczenia o 20:30 na schodach przy Union Square. Kiedy się ściemni, przeniesiemy się w inne miejsce.

Naciskam wyślij. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę. Teraz mam coś do zrobienia. Sięgam po sporządzoną przez Benjiego listę pięciu jego ulubionych książek.

Tęcza grawitacji Thomasa Pynchona. Pretensjonalny chuj i kłamca.

Podziemia Dona DeLillo. Snob.

W drodze Jacka Kerouaca. Opóźniony w rozwoju, rozpuszczony gnojek z paszportem w kieszeni.

Brief Interviews with Hideous Men Davida Fostera Wallace’a. Dość tego.

Szkarłatne godło odwagi Stephena Crane’a. W jego żyłach płynie krew osadników z Mayflower.

Benji zdążył oblać sprawdziany z *Tęczy grawitacji* (no ba!) i *Podziemi*. Powtarza, że gdyby wiedział, że będzie musiał rozwiązywać test, podałby inne tytuły. Właśnie tak myślą uprzywilejowani: trzeba kłamać, o ile dzięki bladze można się wywinąć. Ty nie jesteś taka jak on. Odpisujesz:

> :)

O nie, ni cholery nie odpowiem na emotikonę, zresztą i tak nie mogę tego zrobić, bo księżniczka Benji życzy sobie sojową latte, „New York Timesa”, krem od Kiehla, wodę Evian i pastę do zębów z logo Tom’s of Maine. Mówię, że musi mu wystarczyć to, co przyniosłem: kawa z greckiej kafejki, „New York Post”, mała tubka wazeliny i odrobina sody oczyszczonej ze starego jak świat opakowania stojącego w toalecie dla personelu.

Piszesz:

A dokąd pójdziemy, kiedy się ściemni?

Nie potrafię być zły na ciebie, bo jesteś na mnie napalona, to oczywiste. Nie powtarzałabyś moich słów, gdybyś nie była podniecona. Piszę:

Dowiesz się we właściwym czasie <puszcza oczko>.

Boję się, że to puszczenie oczka może być błędem. Robi mi się niedobrze.

– Joe, posłuchaj, jak mam odpowiadać na pytania o książkę, którą ostatni raz miałem w rękach w liceum? Bez porządnej dawki kofeiny nie dam rady.

Jestem szefem, to ja decyduję, już naprawdę nie mogę go słuchać.

– Odpuść sobie *W drodze*. Możesz podrzeć kartkę. Na dzisiaj koniec.

Podnosi głowę i patrzy na mnie jak na Boga.

– Dziękuję, Joe. Nigdy nie czytałem *W drodze*. Dziękuję ci.

Dziękuje mi za to, że zmusiłem go do przyznania się do bycia kłamcą. Kłamie, walcząc o życie. Chcę, żeby to zrozumiał.

– Nie czytałeś *W drodze*?

– No nie.

– Ale umieściłeś tę książkę na liście.

– Wiem.

– Powiedziałem ci, żebyś przygotował listę swoich ulubionych książek.

– Wiem.

– Nie do wiary. Nie dociera do ciebie, że znajdujesz się w piwnicy pod księgarnią? Że siedzisz w klatce? Przychodzisz do mojego sklepu i kłamiesz w żywe oczy. Tak się nie robi.

– Nie wściekaj się.

Ruch oczami. Wie o maczecie. Nie mam wyboru. Muszę po nią sięgnąć. Podchodzę, powoli, wyciągam rękę. Trzymam ją. Stoję odwrócony plecami.

– Nie chcesz tego zrobić – jęczy.

Lekko rozstawiam nogi, staram się zająć maksymalnie dużo przestrzeni. Mówię:

– Poświęcam czas na przygotowywanie testów dla ciebie, testów na temat książek, które podobno czytałeś. Podczas gdy tak naprawdę nie czytałeś żadnej z nich. To znaczy, że zmarnowałem ten czas. A ty, kurwa, nie chcesz, żebym się wściekał. Myślisz, że tak to działa?

– Jestem oszustem, okej?

Odwracam się. Benji krzyżuje nogi, zwiesza głowę i przeczesuje palcami swoje zbyt długie blond włosy. Jest kruchy i słaby, w każdej chwili może się rozpaść. Trzymam maczetę, ale kiedy patrzę na niego, wydaje mi się niepotrzebna. Kiwam głową, daję mu sygnał: „No dalej, gnoju. Dalej”.

Niesamowite, jak po niektórych widać, że mają forsę. Gładkie jak kobiece dłonie członków jego rodziny delikatniały przez stulecia, na długo zanim się narodził, a gęste włosy nigdy nie rzedły od wietrznych nocy, od dni wypełnionych pracą przy odgarnianiu śniegu, przerzucaniu piachu i popiołu. W jego włosach i łuku nosa kryje się dowód na niesprawiedliwość życia.

– Na swoją obronę powiem, że uwielbiam tę książkę w sposób postmodernistyczny i zawsze uważałem, że jest w niej coś, co do mnie przemawia. Pobrzmiewa tam echo moich poglądów, poza tym zawsze świetnie się dogadywałem z ludźmi, którzy ją czytali, no i też pisałem o niej. Bo wiesz, na studiach specjalizowałem się w komparatystyce. Moim zdaniem można przeczytać książkę, nie czytając jej w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Można czytać o książce. Wiesz, o co mi chodzi, prawda, Joe? Rozumiesz?

– Tak, Benji, rozumiem.

– Wiedziałem, że zrozumiesz.

– Nie skończyłem Yale, ale pierwszorzędnie wyczuwam, kiedy ktoś wciska kit.

Kiedy ruszam w stronę schodów, najpierw wrzeszczy, jaki to ze mnie gigantyczny dupek i co mnie czeka, kiedy o wszystkim dowie się jego ojciec, a potem zaczyna błagać:

– Daj mi egzemplarz tego Wallace’a! Przeczytam go! Przeczytam go, a potem będziesz mógł mnie sprawdzić! Słyszysz, Joe? Słyszysz? Joe!

Piwnica jest dobrze wytłumiona. Pan Mooney nie szczędził grosza, by uczynić to miejsce azylem prywatności. Benji może się drzeć wniebogłosy, ale i tak nikt go nie usłyszy, tak jak nikt nie słyszał mnie. Piszesz:

Zabawny z ciebie gość, Joe.

Mój tekst o puszczaniu oczka jednak cię nie zniechęcił. Słońce świeci, zamykam drzwi do piwnicy i esemesuję do ciebie:

Muszę wracać do książek. Bądź na schodach przy Union Square od południowej strony, mniej więcej pośrodku. Punktualnie o 20:30.

I wyłączam telefon. Powiedziałem ci, gdzie i kiedy masz być, a jeśli sądzisz, że wyciągniesz ze mnie coś więcej – będziesz mnie miała całą noc – to się grubo mylisz.

Dzień mi się sypie. Zapomniałem, że ukazuje się nowa książka Stephena Kinga, *Doktor Sen*, długo oczekiwania kontynuacja *Lśnienia*. Nowy King oznacza tłumy, nawet jeszcze tydzień albo dwa po premierze – ludzie są leniwi – i rzeszę klientów niemogących się doczekać ponownego spotkania z Dannym Torrance’em. Ale ja wolę ciebie, Beck. *Doktor Sen* sprawia, że księgarnia zamienia się w pierdoloną świątynię Stephena K., nie mam ani czasu, ani miejsca, żeby o tobie pomyśleć i przygotować się na i dla ciebie. Zalewa nas fala kingofilów, par próbujących ratować swoje małżeństwo przynależnością do klubu książki, fanów, którzy od zawsze czekali na ten tytuł, smarkaczy chcących pochwalić się na Facebooku, że byli w niezależnej księgarni, świrów, którzy podkreślają fragmenty tekstu i wcielają się w bohaterów, zamkniętych w sobie cymbałów łaknących towarzystwa, jakie daje wciągająca lektura, kobiet pragnących od książki czegoś więcej niż szybkiego rżnięcia przez bojącego się zaangażować bankiera. Wszyscy kochają Kinga, a ja kocham ciebie i dziś powinienem

myśleć o tym, jak się uczesać i czy po jedzeniu obliżesz palce. Zamiast tego przez cały dzień przerabiam temat cholernego Danny'ego Torrence'a, który – och, to niemożliwe! – tak strasznie wyrósł! Uwielbiam Stephena Kinga, tak jak każdy zachwycam się drinkiem *redrum*, ale mierzi mnie to, że jako księgarz jestem dziwką na usługach tego autora.

Studiujesz beletrystykę, wieczorem możemy porozmawiać o literaturze. Nie wykluczam, że będziesz tak zdenerwowana, że wpadniesz w pretensjonalny ton i zaczniesz wychwalać pełne pierdół tomiki eksperymentalnej prozy. Co na to odpowiem? „Dasz wiarę, jak ten Danny Torrance wyrósł?" Trudno o bardziej komercyjnego pisarza niż pieprzony Stephen King (chyba że chcesz pogadać o Danie Brownie, ale tych dwóch nie sposób porównać, bo przecież co to za literatura ten Dan Brown). Gdyby zjawił się tu pan King, zgodziłby się ze mną; on wie, że na pierwszej randce człowiek musi się wysilić. On też lubi książki innych autorów i ucieszyłby się, gdyby ci wszyscy ludzie przeczytali coś, o czym nie dowiedzieli się z *Good Morning America* (byle nie tomik eksperymentalnej prozy). Poza tym pan King jest mi coś winien; w końcu sprzedaję jego książki, kurwa! No, ale oczywiście nie ma go tutaj, słońce się ociąga, kasa ledwo zipie, a ja osiemdziesiąt pięć tysięcy razy przeprowadzam tę samą rozmowę.

– Widział pan recenzję w „New York Timesie"?

– Pewnie, że tak.

– Nie wiem, jak pan, ale ja nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam tę książkę. Jack Nicholson był przerażający w pierwszej części!

Filistrzy. Walę w kasę, kiedy się zacina – znowu – uderzam ją, bo czas tak strasznie się wlecze. Tęsknię za tobą, pragnę cię, wreszcie trafia się kobieta, która n i e kupuje Stephena Kinga. Wybrała książki kucharskie Rachael Ray, zachowuje się, jakbym to jej, a nie kasie wymierzył cios. Wydaje pasywno-agresywne westchnienie i zaczyna wklepywać w aplikacji Twittera na telefonie:

Marna obsługa, nie ma co! #MooneyRare

Pokazuje mi, co napisała, kursor miga, w porządku, paniusiu, okej. Przepraszam za niestosowne zachowanie i dodaję, że Rachael Ray jest

niedoceniana, a wtedy ona wykasowuje wpis. Dobrze. Są takie chwile, kiedy wszechświat może albo stanąć po twojej stronie, albo pójść się jebać, no i wszechświat zostaje przywołany do porządku. Wykorzystuję chwilę oddechu, żeby tweetnąć z konta Benjiego:

Home Soda i absynt? Tak. #5oClockSomewhere

Kolejny dupek wyjmuje kartę kredytową z portfela i płaci za Stephena Kinga, żeby móc poczytać (trzymam kciuki) o psycholu robiącym chore rzeczy; sam ma na nie ochotę, i to od dawna, od dziecka, ale jest tchórzliwą cipą i nie zrobi ich, nie potrafi.

Wiesz, Beck, właśnie na tym polega problem z tą niekończącą się paradą baranów. Człowiek doskonale wie, że wszyscy oni to frajerzy, którzy kupują książki, żeby trochę się pobać, bo mają zbyt łatwe życie. Czy to nie żałosne?

– Podobno końcówka jest niesamowita. I zaskakująca.

– Podobno. Karta czy gotówka?

Uważasz, że spotykanie się z Benjim bywało uciążliwe? Spróbuj postać za kasą i po raz tysięczny odpowiadać na to samo pytanie, podczas gdy Benji w klatce próbuje dokopać się do Chin. No, znosiłaś to pieprzenie, Beck, ale czy kiedykolwiek zamknęłaś go w klatce i musiałaś przez okrągłą dobę słuchać jego biadolenia? Laluś ma alergię na gluten, orzeszki ziemne, drożdże, kurz, cukier i krople do oczu. Kupiłem mu masło orzechowe, a ten do mnie z mordą, że sam zapach tego czegoś może go zabić.

No proszę cię.

Wiesz, na co tak naprawdę ten skurwiel ma alergię? Na prawdziwe życie. Wyświadczam gnojkowi przysługę. Kiedy stąd wyjdzie, najpierw będzie się wkurwiał, że siedział zamknięty, a potem mi podziękuje, że z chłopca zrobiłem mężczyznę.

– Mam wszystkie książki Stephena Kinga.

– To świetnie. Może pan być dumny.

Ale czy przeczytałeś je wszystkie, tępy chuju?

Wiesz, Beck, nie jest mi łatwo, bo muszę spać w księgarni i pilnować, żeby pan Mooney nie wpadł późną nocą przejrzeć pornosów z lat siedemdziesiątych, które zgromadził w piwnicy. Muszę odpowiadać na

pytania o pieprzonego Stephena Kinga i pamiętać o tym, żeby kupować jabłka i miód dla gogusia z klatki; jednocześnie modlę się, żeby nic się nie wydarzyło dziś wieczorem, kiedy spotkam się z tobą – żeby Curtis okazał się zbyt nawalony, by próbować dostać się do piwnicy, i żeby pan Mooney okazał się zbyt stary i leniwy na oglądanie porno. Beck, kocham cię, naprawdę, ale nie wiesz, jak to jest. Muszę się liczyć z ewentualnością, wprawdzie mało prawdopodobną, ale jednak, że kiedy wyjdę z księgarni, a stery przejmie Curtis, napatoczy się jakiś przypadkowy starszy pan z furą pieniędzy, który postanowił, że akurat dziś jest doskonały dzień na wydanie sześciu tysięcy dolarów na egzemplarz Hemingwaya z autografem, i Curtis zadzwoni po Mooneya, a ten przykuśtyka do sklepu i wtedy wszyscy trzej zejdą do piwnicy i najgorszy dzień w życiu Benjiego zamienią w najlepszy. To byłby kłopot. Duży kłopot.

– Ale dużo ludzi! A ja sądziłam, że jestem jedyną osobą, która nadal kupuje drukowane książki!

– Nikt już nie kupuje papierowych książek – odpowiadam klientce numer 4356, która niczym się nie różni od klientki numer 4343 i wszystkich pozostałych. – Chyba że autorem jest Stephen King.

Wydaje ci się, że ty to dopiero masz problemy. Ale ja wiem, na czym one polegają. Na tym, że masz terminy, że musisz czytać gówniane wypociny kolegów z zajęć, podobnie jak ty początkujących pisarzy, że twoim zdaniem fryzjerka zjebała ci uczesanie, że Chanie wydaje się, że wpadła, chociaż gość, z którym się przespała, ledwie jej wsadził, i że Lynn mówi, iż jeśli zajdzie, to się wyprowadzi z powrotem do domu i tam urodzi dziecko, na co ty odpowiadasz, że jeśli ciebie ktoś zapłodni, to dziecku dasz na imię #obojętniejakbylenieBenji, a twoje przyjaciółki mają serdecznie dość psioczenia na Benjiego i wspominania o nim przy byle okazji. Bądźmy poważni, Beck. Dziewczyny. Czasami musicie napisać pięćdziesiąt dwa mejle, żeby ustalić najprostszą rzecz:

Chana nie jest w ciąży, co ma sens, zważywszy, że nikomu nie pozwoliła wygrzmocić się „tak do końca”.

Lynn jest martwa w środku.

Jeszcze przeżywasz rozstanie z Benjim. Ale zapomnisz o nim, kiedy spotkasz się ze mną.

No dobrze, masz jeden prawdziwy problem. Twoja mama wysłała ci wiadomość w nocy, była pijana, smutna, chciała pogadać, chciała się wykrzyczeć, ale Beck, gdybyś wiedziała, co dla ciebie przechodzę, nie marnowałabyś tyle czasu na marudzenie o swoich problemach, przeczytałabyś wszystko, co musisz przeczytać na zajęcia, przytuliłabyś się do zielonej poduszki i w duchu podziękowała, że nie musisz się użerać z zamkniętą w klatce w piwnicy siedemdziesięciokilogramową księżniczką, która dopytuje się, czy ten kurczak w kanapce aby na pewno pochodzi z wolnego, kurwa, wybiegu.

Tylko żartował, prawda? Prawda?

– Nie można nie kochać Stephena Kinga.

– Święte słowa.

Nie jest głupi. To mu trzeba przyznać. Spojrzał mi w oczy, nie spodobało mu się to, co w nich zobaczył, ale bez dalszego szemrania zjadł kanapkę. I wiesz co? Nie porzygał się. Ale jest kłębkiem nerwów, i do tego flejtuchem, bo kiedy się odlewa, nie trafia do kibla, poza tym dwa razy zarzygał całą łazienkę. Dwa razy musiałem przypiąć go kajdankami do klatki i posprzątać ten syf. Oto esencja ciężkiej pracy: sprzątanie po mięczaku chwilę po tym, jak trzeci raz tego samego dnia uzupełniło się na półkach i na wystawie egzemplarze nowego Stephena Kinga i przeżyło najazd jego wyznawców, łupiących sklep z całych zapasów pieprzonej powieści *Doktor Sen*, jakby naprawdę wszyscy musieli mieć tę książkę tego samego dnia, kiedy ukazała się na rynku, i omijających wzrokiem wszystkie pozostałe, jak gdyby – broń cię Panie Boże! – mogli przypadkiem wypatrzeć dzieło innego, mniej znanego autora. Ech, ludzie. No, ale cóż poradzić?

Brzęczy mój telefon. Osiemnasta. Już mogę oficjalnie ogłosić, że jedynymi książkami poza Stephenem Kingiem, jakie udało mi się dzisiaj sprzedać, były zbiory przepisów Rachael Ray, i nic dziwnego, że Benji nie czytał swoich rzekomo ulubionych dzieł, skoro większość ludzi nie czyta.

Paskudny nastrój, nie chcę się tak czuć, kiedy od spotkania z tobą na schodach na Union Square dzielą mnie niecałe trzy godziny.

– Mówią, że to najlepsza z jego dotychczasowych książek.

– Oby tak było.

Curtis zjawi się za dziesięć minut; powinien przychodzić na szóstą, ale zawsze się spóźnia, bo należy do pokolenia Benjiego: narcystycznego i wiecznie zajętego prowadzeniem sztucznego, toczącego się w gadżetach życia, którego horyzont wyznaczają Tinder-OkCupid-Instagram-Twitter-Facebook-Vine-Petycjeonline-jebanyFantasy-Football. Najchętniej bym go zwolnił, ale szanuje mnie, więc trzymam dzieciaka, nawet mimo że poprosił mnie o odłożenie dla niego egzemplarza nowego Stephena Kinga i że słucha Eminema na gigantycznych – naprawdę są konieczne? – słuchawkach, i że przeczytanie jednej książki zajmuje mu cały pierdolony rok.

– Czytał pan już?

– Dopiero się ukazała.

– Ale chyba towar dostajecie wcześniej. Nie powie pan, że nie przeczytał choćby pierwszego rozdziału?

– Niestety, nie czytałem pierwszego rozdziału. Karta czy gotówka?

Czekam. Nieprzerwanym strumieniem napływają zdołowani robotą klienci, którzy przed chwilą wyszli z pracy i teraz biegną do domu, do swojej twierdzy, gdzie dzięki Stephenowi Kingowi oderwą się od żałosnego, samotnego życia. Mamy szczęście, Beck. Wielu, bardzo wielu Amerykanów – również Benji, bo jestem miłym gościem i przed wyjściem dałem mu egzemplarz – dziś wieczorem zasiądzie w fotelu i zatopi się w nowym Stephenie Kingu, ale nie my – my będziemy żyli własnym życiem, razem. Żal mi tych ludzi.

– Przepraszam, czy mogę się cofnąć po jeszcze jedną książkę?

– Widzi pani, jaka jest kolejka, a ja już obciążyłem pani kartę…

Nie ma mowy, nie wkurwię wszystkich stojących do kasy po to, żeby ta laska mogła wybrać, nie wiem, Candace Bushnell, bo nagle sobie przypomniała, że jednak nie lubi Kinga. Kupuje go, bo wszyscy go biorą. To gówno jest jak wirus.

Sześć po szóstej. Wiem, co robisz. Rozsmarowujesz kredkę do oczu, żeby uzyskać efekt sióstr Olsen, myślisz, że musisz wyglądać sexy, ale nie musisz. Puszczasz Bowiego, płytę *Rare and Well Done* – włączasz ją przed wyjściem na randkę, dodaje ci energii, traktujesz ją jak podporę, kiedy czujesz się niepewna – i zastanawiasz się, która koszulka na ramiączkach najlepiej pasuje do którego biustonosza, i nagle to wszystko do ciebie dociera, i dopadasz zielonej poduszki, bo jedynym sposobem na uzyskanie fryzury, jakby przed chwilą wstało się z łóżka, jest położenie się na nim i zrobienie sobie dobrze. To prawda, co mówią: że wy, laski, macie więcej kosmatych myśli niż my, faceci – naprawdę macie. Czekając na przyjęcie transakcji, przeglądam twoje mejle; wy, dziewczyny, informujecie się nawet o czynnościach fizjologicznych. To takie… niewiktoriańskie. Jesteś jak dziewczyna Bowiego, futurystyczna w chłodnym podejściu do własnej skóry, przedłużyłaś sobie rzęsy w Chinatown, wydają ci się do tego stopnia tandetne, że piszesz przyjaciółkom, iż chyba dogodzisz sobie przed naszą randką.

Dogódź sobie.

– Przepraszam?

– Czy to wszystko?

– Tak. Dostanę reklamówkę na tę książkę, czy to kosztuje?

Osiem po szóstej. Następny klient kupuje nowego Kinga razem ze *Lśnieniem*, żeby się popisać – mówi, że *Lśnienie* to *prequel*, i mam ochotę poharatać mu twarz – co za fatalny świat, Beck. Cud, że zjawiłaś się w nim ty, tak szczęśliwa, podczas gdy większość ludzi, którzy tu przychodzą, jest przygnębiona, wszyscy z wyjątkiem ciebie i Curtisa, który otwiera drzwi panu Lśnienie i zaczyna swoją paplaninę.

– Stary, w metrze Sajgon.

– Stań za kasą.

– Czekałem piętnaście minut i nic.

– Dzisiaj wieczór Stephena Kinga. Kiedy sprzedasz ostatni egzemplarz, możesz śmiało zamykać.

– O, fajnie. Ale wiesz, potrzebuję godzin.

Jedenaście po szóstej, ten gówniarz potrzebuję godzin, a ja tracę czas, choć powinienem szykować się dla ciebie, na ciebie, umyć się, pozaklejać ranki od papieru, wyczyścić zęby nową pastą Tom’s of Maine (dzięki, Benji!). Ze złości zaciskam szczękę, ale Curtis jest tępy i nie potrafi czytać z twarzy, prawie nie odrywa wzroku od swojego telefonu.

– Po prostu zamknij, kiedy zejdzie cały King.

– No. To miasto może mi skoczyć, skoro nawet nie potrafi dopilnować, żeby pociągi jeździły zgodnie z rozkładem. Co nie?

– Postaraj się wysłać esemesa następnym razem, kiedy będziesz miał się spóźnić.

– Złachanyś, synek. Znikaj. Moja kolej.

Nie dość, że się spóźnił, to jeszcze ten pierdolony Beastie Boy nazywa mnie „synkiem”, chociaż jestem jego szefem. Na dodatek gnój dobija, mówiąc, że wyglądam na zmęczonego.

– Klienci czekają, Curtis – mówię i kiedy wychodzę na ulicę, oddalam się od piwnicy, od książek, i uśmiecham się do siebie na myśl, że właśnie się szykujesz, tak jak ja. W tej chwili pewnie dosiadasz zielonej poduchy, bo już prawie pora, i po raz pierwszy od dłuższego czasu wracam do domu z łzawym kawałkiem Simona i Garfunkela w głowie, bo skończył się dzień Stephena Kinga. Ta noc, Beck, należy do nas.

11

Docieram do domu o siódmej, wychodzę spod prysznica kwadrans później, przypierdalam dużym palcem u nogi o jedną z moich maszyn do pisania, leci krew, ale nie biorę tego za zły omen. Maszyna – ma na imię Hector, to Smith Corona z 1982 roku, którą znalazłem w jakiejś uliczce w Bushwick – akurat stała mi na drodze. Denerwuję się, może mały rozlew krwi mnie uspokoi, zresztą, kurwa, Hector też się pewnie denerwuje. Wkrótce go poznasz, Beck, poznasz wszystkie maszyny do pisania, które zgromadziłem. Bo pewnego dnia komputery trafi szlag, a ja będę miał dwadzieścia dziewięć (na tym nie koniec) zdezelowanych maszyn do pisania i ludzie będą się ustawiali w kolejce do mojego mieszkania, żeby choć jedną kupić. Bo to oczywiste, że kiedyś świat wrzuci wsteczny bieg, a ja czekam na ten dzień.

Lubisz film, w którym koleś jeździ rykszą po Kanadzie, cały urok tego mężczyzny tkwi w białym T-shircie, dlatego decyduję się na klasyczną białą koszulkę w serek, dżinsy i pasek, który znalazłem w sklepie z demobilem. Klamra jest duża, ale nie taka tandetna, jak u Ryana Adamsa. Ten pasek to prawdziwa perła, stary model, trochę podniszczony, będziesz chciała go dotknąć, bo takie same noszą kowboje w twoich opowiadaniach.

Wsiadam do metra i wysyłam esemesa:

Odrobinę się spóźnię.

Natychmiast odpisujesz:

Ja też.

Podróż upływa powolnymi przebłyskami, tak naprawdę wcale mnie nie ma w tym pociągu. Jestem tak przejęty tym, że zaraz cię zobaczę, iż w tej chwili świat dla mnie nie istnieje. Wysiadam i tweetuję z konta Benjiego:

Taka myśl: wyruchałbym Miley Cyrus. #głębokiemyśli

Skończyłem pracę, pogoda jest doskonała. Kiedy docieram do Union Square, chowam się za kioskiem i patrzę, jak przychodzisz, rozglądasz się, szukając mnie wzrokiem, po czym siadasz i czekasz. Jest dwudziesta trzydzieści pięć. Kłamałaś, wcale się nie spóźniłaś. Po prostu byłaś tak samo podekscytowana jak ja. Esemesuję:

Sorry. Będę o 8:45.

Patrzę, jak odpisujesz:

Spoko. Ja też! Do zob o 8:45.

Przejmujesz się tym, co pomyślę, jesteś zdenerwowana i ja też się denerwuję. Jest za osiem dziewiąta, ruszam w twoją stronę, czuję, jak serce podchodzi mi do gardła, i nie wierzę, że to się dzieje naprawdę, że my, razem… Zauważasz mnie, uśmiechasz się, machasz i wstajesz, żeby się przywitać, i wyglądasz tak świeżo i rześko, jesteś gotowa, przygryzasz dolną wargę, całe twoje ciało śmieje się do mnie.

– Spóźnił się pan, proszę pana – mówisz żartobliwie.

– Przepraszam.

Wciąż się uśmiechasz, czekam, daję ci trochę czasu, nie jestem gburem, bierzesz głęboki oddech, spoglądasz w górę, potem opuszczasz wzrok.

– Mówiłeś, że kiedy się ściemni, pójdziemy w jakieś miejsce. No… jest już ciemno.

– Wiem – odpowiadam.

Siadam na stopniach, klepnięciem wskazuję beton, sadzasz swój słodki, drobny tyłeczek obok mnie. Miło. Bo chodzi o to, żeby było miło. Specjalnie czekałem, aż zapadnie zmrok, zanim podejdę do ciebie. Jesteś kobietą, ja jestem mężczyzną, w ciemności jesteśmy jak stworzeni dla siebie, ślicznie pachniesz, czysto. Podoba mi się to.

– Spróbuj czasem wyczyścić buty – mówisz i stukasz czubkiem balerinek moje nowiutkie białe adidasy.

– Właśnie przez nie się spóźniłem – odpowiadam. – Godzinę zajęło mi szorowanie tych ślicznotek.

Wybuchasz śmiechem i zaczynamy rozmawiać: o Pauli Fox, o butach i o bezdomnym dziwaku, który gada z koszem na śmieci. Idzie gładko.

Czuję chemię. Wygrywamy! Siedzimy na tych stopniach, sam nie wiem jak długo, ale przecież nigdzie nam się nie spieszy. Podoba ci się tutaj.

Lubisz być na świeczniku. Kiedy nieoczekiwanie zapada cisza, żartujemy z moich adidasów.

– Nie no, są naprawdę białe. Białe jak… Ben Stiller – śmiejesz się.

– Ta… przekażę to mojemu pucybutowi.

– Trzymam za słowo. Odwalił zajebistą robotę, Joe.

Użyłaś „Joe” i pochodnej „jebać” w jednym zdaniu – to musi coś znaczyć, na pewno znaczy.

– Dałem mu napiwek – odpowiadam.

Zaczynasz mówić o tym, jak kiedyś przypadkiem ukradłaś buty z pewnego outletu. Siedzimy na stopniach prawie dwadzieścia minut, jesteś tak zdenerwowana i przejęta, że nadajesz o tych butach, jakbyś nie miała innego tematu, jakbyś się bała, że jeśli przerwiesz potok słów, rzucisz się na mnie tu i teraz. Wybrałem to miejsce, bo zawsze kiedy tędy przechodziłem, widziałem siedzące pary i czułem się samotny, odrzucony. A teraz mijają nas samotnicy, patrzą i zazdroszczą, a ty wciąż trajkoczesz, kurwa mać, trudno mi się skupić i słuchać cię, kiedy czuję zapach twojego żelu pod prysznic.

– No więc nie ukradłam ich, tylko zapomniałam zdjąć. Kto kradnie w sklepie obuwniczym na wyspie, nie?

– Pewna odważna, urocza dziewczyna o nazwisku Beck.

Powiedziałem „urocza”, uśmiechasz się, trafiłem w dziesiątkę. Na pewno myślisz, że nadajemy na tych samych falach, całe moje oczytanie nie poszło na marne.

– Pewnie myślisz, że jestem psychiczna – mówisz. – Po co w ogóle opowiadałam ci o tych butach?

– Bo to nasza pierwsza randka. Każdy ma jakąś anegdotkę, którą opowiada na pierwszej randce, zabawną, opartą na prawdziwym zdarzeniu, ale będącą taką… półprawdą.

– Aha, czyli jestem kłamliwą suką – mówisz, uśmiechasz się i krzyżujesz nogi i chociaż jesteś ubrana w dżinsy, dwóch skurwieli taksuje

cię wzrokiem, jakby widzieli, co kryje się pod materiałem spodni. Nowy Jork.

– Nie – odpowiadam. – Jesteś kłamliwą, złodziejską suką.

Śmiejesz się i czerwienisz, ja też wybucham śmiechem, przeciągasz się, masz na sobie czerwony stanik, białą koszulkę i dżinsy, w sam raz na czwartkowy wieczór, a twoje różowe bawełniane majtki kuszą mnie, kiedy wyciągasz ręce ku niebu, rozkrzyżowujesz nogi, odchylasz się do tyłu i opierasz drobną głowę na betonowym stopniu, i mam ochotę położyć się na tobie, tutaj, na tych schodach, o tej niestosownej porze, na oczach obcinających się skurwieli, rastafarianina handlującego bransoletkami z symbolem konopi i wściekłych suk, biegnących do domu, żeby poczytać najnowszy horror Kinga na iPadzie. Chcę cię tu i teraz, stwardniałem tak, że nie mogę się ruszyć.

– Młodo wyglądasz – mówisz i nagle flaczeję.

– Słucham?

– Oj, nie, nie. Nie denerwuj się, Joe. Źle to ujęłam.

– Ulżyło mi, bo właśnie skończyłem siedemnaście lat i gdybym wyglądał na szesnaście, wyszłabyś na pedofilkę, a to niedobrze.

Klepiesz mnie w nogę, z każdą chwilą coraz bardziej mnie lubisz, garbisz się, zagryzasz wargę, tak jak na swoim wieczorku, tak jak wtedy, gdy zamierzasz powiedzieć coś ważnego.

– Chodzi mi o to, że wielu moich znajomych chce się ustatkować. To jakiś pęd – mówisz. – Czasem wydają mi się starzy, jak gdyby stracili to coś, tę otwartość, która czyni człowieka młodym.

– Dużo trawy wypaliłaś przed naszym spotkaniem?

Dostaję, czego chcę: kolejne lekkie trzepnięcie. Uwielbiam cię rozśmieszać i uwielbiam też to, że dajesz mi, czego chcę, nie tracąc przy tym koncentracji. Jesteś skupiona jak wiązka lasera.

– Zaczęłam czuć się staro na rok przed skończeniem college’u. Miałam wyjechać do Pragi, ale w ostatniej chwili zrezygnowałam. Przez znajomych poczułam się stara, jakby coś mnie omijało, coś, do czego już nigdy miałam nie wrócić, jak gdyby, nie wiem, Praga miała nagle zniknąć. Jak gdyby studiowanie było warunkiem wyjazdu za granicę.

– Możemy pojechać choćby zaraz – mówię, ale ten żart nie jest zabawny.

Proszę, przestań mówić o college'u, bo czuję, że tracę impet.

– W każdym razie chodzi mi o to, że otacza cię atmosfera młodości. To dobrze. Tak jakby wszystko było możliwe: jakbyśmy mogli kandydować na prezydenta, nauczyć się języka migowego albo zwiedzić wszystkie zamki w Brugii.

Słyszę tylko „my" w „jakbyśmy" i się uśmiecham.

– Mam zatankować odrzutowiec?

– Mówię poważnie – odpowiadasz i przysuwasz się do mnie. – Kim chciałeś zostać, kiedy byłeś mały?

– Gwiazdą rocka – mówię i za twoim przykładem opieram się o stopień, bliżej ciebie, i teraz oboje patrzymy w niebo.

Założę się, że świetnie wyglądamy z góry, w blasku gwiazd, zakochani.

– Kiedy byłam mała, chciałam zostać piosenkarką – wzdychasz.

– Czy to dlatego tak bardzo lubisz *Pitch Perfect*?

Odwracasz głowę i siadasz. Zjebałem.

– Skąd wiesz, że lubię ten film?

– Domyśliłem się. – Kurwa mać. – Wiem, że jest popularny.

– Hm. – O ja pierdolę. – A ty, Joe? Lubisz go?

– Nie wiem – odpowiadam. Jestem czerwony jak burak. Czyżby cały misterny plan poszedł w pizdu? – Nie oglądałem. No, ale skoro tobie się podoba, to pewnie jest dobry.

– Muszę zapamiętać – mówisz, nie patrząc na mnie – żeby stać się mniej przewidywalna.

Milczysz, a ja nie wiem, co powiedzieć, do chuja pana, to wszystko przez Annę Kendrick. Nie potrafię wyczuć, czy złościsz się na siebie, czy jednak cię wystraszyłem. Jak mogłem być tak nieostrożny? Tyle przygotowań i żeby wszystko spieprzyć przez durny film! Kiedy w końcu na mnie spoglądasz, w twoich oczach widzę smutek i wiem, że to moja wina. To ja jestem jego przyczyną. Jest tylko jeden sposób, by to naprawić.

– Beck, wcale nie jesteś przewidywalna. Ale jesteś na Facebooku.

– Jesteś moim stalkerem! – mówisz już bez cienia smutku i klepiesz mnie w nogę.

Lubisz mnie, naprawdę lubisz.

– Nie wiem, czy można to nazwać stalkingiem. – Uśmiecham się. – Te informacje są widoczne dla wszystkich.

Śmiejesz się i klepiesz mnie – znowu! – wstajesz, wyciągasz ręce wysoko nad głowę. Widzę twój pępek, podoba mi się ta perspektywa, z dołu, zresztą oboje wiemy, że lubisz być oglądana, przeciągasz się, w lewo, w prawo, i klepiesz się po biodrach.

– Obejrzałeś wszystkie moje zdjęcia?

– Nieee, tylko ze dwie setki, wiesz, te z ostatniego weekendu.

Zwieszasz głowę i machasz rękami.

– Nie, nie. Nie chcę być przewidywalną dziewczyną z Facebooka, która na profilu pokazuje całe swoje życie.

– Wcale nie całe.

– Dokładnie.

– Bo sporo zostawiłaś na Twittera.

Klepiesz mnie w kolano, lubisz to i ja to lubię, mijają nas chłopaki na deskach, jakiś dzieciak wrzeszczy, że chce lody czekoladowe, hipis gra na bandżo, a pizda na wysokich obcasach wydziera się do telefonu. Wszystko to dla nas, zniżasz głos.

– Szukałam cię.

– Tak?

– Chciałam obejrzeć twoje zdjęcia, ale nie ma cię na Facebooku.

– Kiedyś byłem – kłamię. – Ale skasowałem profil. Niektórzy zachowują się tak, jakby bardziej im zależało na aktualizowaniu statusu niż na prawdziwym życiu.

– Prawda – mówisz. – Mam znajomą, która tak jak ty jest antyfacebookowa.

– Nie jestem znowu taki anty.

– Ale profilu nie masz.

Wiem, że chodzi o Peach, myślisz, że jestem taki jak ona, ale jej nikt nie lubi, a to niedobrze. Panikuję. Milknę. Lody czekoladowe uciszają

dzieciaka, zrywa się wiatr, robi się coraz ciemniej, deskorolki głośno lądują na betonie, masz ochotę wyjąć telefon, czuję, że chcesz napisać znajomym: „Gość, z którym w tej chwili jestem, właśnie oświadczył, że śledził mnie na Facebooku. To by było na tyle”.

– Słuchaj, masz ochotę coś zjeść albo co? – pytam.

Przeciągam się, prężę muskuły i pokazuję, że jestem gotów zabić każdego, kto ośmieli się na ciebie spojrzeć.

– Albo co?

– Pomyślałem, że jesteś głodna. Nie sądziłem, że wybierzesz „albo co”.

– Zauważyłeś, jak wiele słów marnujemy?

– Rzeczywiście – mówię i o mały włos nie napomykam o bzdurach, którymi wymieniacie się z Chaną i Lynn, oglądając *Jess i chłopaki*, chociaż – albo właśnie dlatego – nie znosicie tego serialu, ale w porę gryzę się w język.

– Wolałabym uważniej dobierać słowa i mówić tylko to, co naprawdę ważne. Wiesz, samo mięso, bez tłuszczu.

– Jasne – odpowiadam. – Rozumiem.

– Więc tak, chcę coś zjeść.

Wstaję i podaję ci rękę. Chociaż wcale nie potrzebujesz pomocy, przyjmujesz ją.

– Panie przodem – mówię. Wiesz, że chcę się przyjrzeć twojemu tyłkowi, kiedy będziesz wchodziła po schodach. – Na co masz ochotę?

– Mogę się dostosować – odpowiadasz i oglądasz się za siebie. – Byle to nie było za daleko od mojego domu, bo jutro muszę wcześnie wstać.

Zjedliśmy burgery i frytki w Corner Bistro, popiliśmy je wódką i whisky, pozwoliłem ci pokierować rozmową. Opowiedziałaś mi o Benjim – „mój były ćpun, odpycham go od siebie, a on wciąż wraca; ale nie rozmawiajmy o tym” – zgodziłem się (ależ jestem zgodny!), zahaczyliśmy o dzieciństwo (twoje w Nantucket, moje w Bed-Stuy; twoje obrzydzenie do przyklejanej ci łatki miastowej dziewczyny i moją znajomość twojej wyspy – z drugiej ręki, bo nigdy tam nie byłem – która robi na tobie wrażenie).

– Joe, aleś ty mądry! – zachwycasz się. – Pomyślałabym, że pracujesz w księgarni!

Często wspominasz o college'u, o „Lidze-Sridze Bluszczowej" i „facetach z Yale". Wreszcie osiągasz stan upojenia, w którym możesz zapytać mnie o to, co naprawdę chcesz wiedzieć.

– Jaką uczelnię skończyłeś?

– Żadnej – mówię. – Nawet nie poszedłem na studia.

Kiwasz głową. Nie zadajesz się z takimi jak ja. Zaczynam się śmiać. Ty też się śmiejesz. A ja nie zadaję się z takimi jak ty. Rozpoczynam kolejną rundę zabawy w „kto przeczytał więcej książek".

Znowu wygrywam, czym wprawiam cię w osłupienie.

– W-wiesz c-co – jąkasz się – może to zabrzmi niegrzecznie, ale chociaż nie studiowałeś, wydajesz się bardziej oczytany niż połowa moich kolegów i koleżanek z zajęć. To jakieś wariactwo.

Pochmurnieję.

– Tylko nie mów im o tym.

Uśmiechasz się, puszczasz oczko i oto mamy nasz wspólny sekret. Wiem, jak z tobą rozmawiać, rozegrałem to zakurwiście dobrze, a kiedy zostajemy w knajpie sami, zaczynasz rozumieć, dlaczego nalegałem, żebyśmy usiedli w samym rogu. Mamy całe pomieszczenie dla siebie. Siedzimy przy stoliku dla czterech osób, wszystkie pozostałe są uprzątnięte, leżą na nich krzesła odwrócone do góry nogami. Siedzisz pod ścianą, ja naprzeciwko ciebie. Patrzysz w lewo, potem w prawo i wreszcie na mnie. Pytasz, czy możesz się położyć na kanapie, ale mam lepszy pomysł.

– Możesz się położyć – mówię. – Albo mogę cię odwieźć do domu.

Mrugasz, specjalnie powoli, i droczysz się ze mną.

– A potem co?

– Co zechcesz, Beck.

Szczerzysz zęby w uśmiechu.

– Aha, czyli jesteś dżentelmenem?

Nie odpowiadam. Jesteś jednocześnie onieśmielona i pijana. Im więcej pijesz, tym częściej trzesz oczy, a im częściej trzesz oczy, tym mniej

przypominasz tę ciemniejszą z bliźniaczek Olsen i tym naturalniej wyglądasz.

– Połóż się – rozkazuję.

– Tak jest! – mówisz i dostajesz rumieńców, twoje sutki twardnieją, robi ci się mokro w majtkach.

Kładziesz się. Chcę się na ciebie rzucić, ale nie ma takiej możliwości, dziś cię nawet nie pocałuję.

– Połóż dłonie na czole.

– Bawimy się w *Ojciec Wergiliusz uczył dzieci swoje*?

– Nie – odpowiadam i wyobrażam sobie, jak się pieprzymy. Tutaj.

Wyobraź sobie. Pachnie piwem, boczkiem i detergentem. Wdycham zapachy. Kładziesz dłonie na czole i Bóg istnieje, bo w tle leci stary kawałek Bowiego, uśmiechasz się, patrzę, jak się uśmiechasz, i myślę o tobie nagiej, bo jestem trochę pijany, wstaję, słyszysz szuranie mojego krzesła i otwierasz oczy.

– Zamknij oczy, Beck.

Robisz, co mówię.

– Właśnie miałam ci opowiedzieć o tym albumie… – odzywasz się.

– Nie obchodzi mnie to – przerywam.

Chcę cię wyszkolić tak, żebyś traktowała mnie jak kogoś wyjątkowego. Nie jestem przydupasem z Ligi Bluszczowej, który będzie cię szanował tylko dlatego, że znasz jakąś zapomnianą płytę Bowiego, o której nikt nie słyszał, a już na pewno nie pozwolę ci snuć opowieści o „facetach z Yale”. Teraz jesteś moja i będziesz robiła, co ci każę. Bowie śpiewa o nieznajomych, którzy przychodzą i zostają, poruszasz ustami razem z nim, udowadniasz, że znasz słowa. Jakież to musiało być okropne życie z facetami pokroju Benjiego, których kręcą takie bzdury.

Obchodzę stolik i siadam obok twojej głowy. Chichoczesz, ale nie otwierasz oczu, już nie mruczysz razem z Bowiem, teraz pulsujesz pożądaniem. Garbię się i opieram stopy o krzesło. Mój kutas znajduje się kilka centymetrów od twojej głowy i twoich ust, czujesz jego zapach, twoje małe nozdrza rozchylają się, przełykasz ślinę, jesteś zdenerwowana, spoglądam na ciebie, leżysz z zamkniętymi oczami i lekko rozchylonymi

ustami, a Bowie wyje, że ludzkość go rozczarowuje. Na pewno nie ma na myśli nas, prawda, Beck?

– Jak miło – mówisz, nie czekając na koniec piosenki. – Może zapomną, że tu jesteśmy, i nas zamkną?

– Tak – mówię i, żeż kurwa mać, myślami wędruję ku Benjiemu.

Chciałbym zostać tu z tobą na zawsze, ale muszę nakarmić moje nowe zwierzątko. Wchodzi nam w paradę, nawet kiedy siedzi w zamknięciu.

– Słuchaj – odzywasz się. Masz szeroko otwarte oczy, numer się skończył, teraz lecą Zeppelini, za głośno dla nas, czar pryska. Wiesz, jak się wydaje rozkazy. Nauczyłaś się tego od przyjaciółek, które miały pokojówki. – Odprowadź mnie do domu – zarządzasz.

– Tak jest, panienko.

Pokonujemy dwie przecznice bez słowa, oboje trzymamy ręce w kieszeniach, chowamy je, jakby mogły przysporzyć nam kłopotów. Oboje jesteśmy zbyt podnieceni na rozmowę o niczym, noc jest cicha, nie widać żywej duszy, docieramy do twojego budynku, wchodzisz na drugi stopień, stoimy twarzą w twarz. Wiem, że dla ciebie to nie pierwszyzna, chociaż nigdy nie widziałem, jak to robisz. Sranie w banie, Beck. Nie pocałuję cię. Nie będziesz mi mówiła, co mam robić z twoim ciałem.

– Miło było – mruczysz.

– Rzeczywiście – odpowiadam. Bez mruczenia. – Uciekaj już, bo rano wcześnie wstajesz.

Sprzeczne uczucia pasują do ciebie, Beck. Widzisz przed sobą gościa, który skończył tylko liceum i który, przynajmniej w teorii, w tej chwili powinien zacząć się do ciebie dobierać. Widzisz faceta, który przeczytał więcej książek niż twoi koledzy ze studiów. Jest ci przy mnie dobrze, ale nie pocałuję cię, kiwasz głową, bo jaki masz wybór? Jesteś wnerwiona, wyżyjesz się na zielonej poduszce, będziesz myślała o mnie i czekała, będzie robiło ci się niedobrze – tak bardzo będziesz tego, m n i e, pragnęła, jak to wrzeszczące dziecko, które czekało na lody, jak Ameryka, która czekała na Stephena Kinga, jak ja czekałem na Curtisa, a Benji czeka na mnie na drugim końcu miasta. Poczeka.

– Słodkich snów, Beck.

– Może napijesz się wody, zanim pójdziesz? – próbujesz jeszcze.

Stoisz w otwartych drzwiach, zapraszasz mnie do środka, ostatnie podejście.

– Nie, dziękuję – odpowiadam i się nie odwracam.

Masz, kurwa, obsesję na moim punkcie i powiem ci szczerze: cieszę się, że muszę wracać do Benjiego, do jego ekologicznych jabłek i wody sodowej, bo gdyby nie to, poszedłbym za tobą, zaczekał, aż otworzysz drzwi do mieszkania, a potem rzuciłbym cię na kanapę i dał ci to, czego chcesz, czego ja chcę. Ale nie. Dasz mi wodę, tylko nie w plastikowej butelce na drogę, no kurwa. Ugasisz moje pragnienie po naszym pierwszym rżnięciu w twoim łóżku, przyniesiesz mi wodę w szklance, z której napijemy się razem, i to będzie pierwsza szklanka z wielu. Nie potrafię cię odepchnąć, skoro tak bardzo cię pragnę. No, ale czeka na mnie goguś w klatce.

Jebany Benji wybawcą. Kto by pomyślał, co nie?

Wracam do domu z uśmiechem na ustach, opowiadam maszynom do pisania o naszym wieczorze, dogadzam sobie na twoją cześć, biorę prysznic, smaruję się kremem od Kiehla i ściągam *Rare and Well Done* Bowiego, żeby posłuchać go w drodze do księgarni. Znowu muszę wyjść. Ja pierdolę, jak tu spać, czekając, aż porozsyłasz mejle do przyjaciółek i opowiesz im o randce? Wstępuję do spożywczego i kupuję paczkę cheeriosów i mleko, niech będzie, że Benjiemu też się coś należy. Pogwizdywałbym pod nosem, gdybym umiał to robić, wchodzę do księgarni, schodzę do piwnicy i widzę, że księżniczka Benji dąsa się i obgryza paznokcie. Zerkam na powieść Kinga – nawet jej nie otworzył. Jestem zawodowcem. Podaję mu cheeriosy i karton przez szufladę. Miły ze mnie gość, co nie?

Ale księżniczka wącha miskę i odsuwa ją od siebie.

– Czy to mleko migdałowe?

– Jedz i czytaj – mówię. – Będzie sprawdzian z pierwszych stu stron. Jazda.

Biegnę na górę i urządzam sobie długą sesję z tobą: słucham *Rare and Well Done*, przeglądam twoje zdjęcia, które ściągnąłem z Facebooka, oglądam fragmenty *Pitch Perfect* z wyłączonym głosem. Tak bardzo zatracam się w tobie, że zastaje mnie świt. Powinienem być zmęczony po tych wszystkich drinkach, po tym podnieceniu, ale jestem nabuzowany tobą i chcę cię zabrać do Londynu, o którym śpiewa Bowie na twojej ulubionej płycie. Teraz jednak muszę zejść z powrotem na dół i przekonać się, czy Benji nauczył się wykonywać polecenia.

Ależ widok, Beck! Benji nie tyle czyta Kinga, ile pochłania go jak tłusty gówniarz batona. Zaczynam bić brawo, na co oczywiście odkłada książkę i udaje ziewnięcie. Mówię, że pora na test, odpowiada, że nie chce testu – też mi zaskoczenie – ale oznajmiam, że to będzie sprawdzian z wody sodowej.

– Ale przecież powiedziałeś, że mam czytać Kinga.

– Zgadza się. Czytasz. Gratulacje.

Zaczyna narzekać jak maminsynek. Nie chce sprawdzianu z wody sodowej, bo bolą go brzuch i głowa, wydaje mu się, że ma alergię na coś, co jest w książkach, i potrzebuje plastra z opatrunkiem (tobie się, dupku, wydaje, że to obóz harcerski?) i witaminy B, i kremu na egzemę, którą podrażnia „tania” kawa (mleko, oczywiście, pochodzi z krowiego cyca, Benji), i jest zmęczony, i już nie chce więcej testów.

– Pora zaczynać, Benji.

– Potrzebuję więcej czasu. Mówię ci, że nie toleruję nabiału. Te płatki są dla mnie jak trucizna – mówi.

– Woda sodowa dobrze ci zrobi na żołądek.

– Proszę…

– Nie czytałeś *W drodze*, zgadza się?

Nie odpowiada. Kręcę głową, mam ochotę zadzwonić na pieprzony Uniwersytet Yale i powiedzieć, że wypuścili bubel, nie absolwenta.

– Nie jestem złym człowiekiem – odzywa się.

– Ależ oczywiście, że nie.

Wiesz, Beck, on wcale nie jest dupkiem. Tak kurewsko brakuje mu pewności siebie, że musi odłożyć Kinga, który mu się bardzo podoba. Daję

mu jeszcze jedną szansę.

– I jak King?

– E… – odpowiada; wciąż niczego się nie nauczył.

Biorę tacę, stawiam na niej trzy identyczne plastikowe kubeczki i napełniam je wodą sodową.

– Nie czytałeś *Brief Interviews with Hideous Men*. Każdy dzień to nowy sprawdzian.

– Joe, mam pieniądze, dużo pieniędzy, moja rodzina jest bogata. Mam samochód, nowiutką alfę romeo. Chcesz samochód? Bo mogę ci załatwić.

Otwieram szufladę, pojedynczo, *ostrożnie, Josephie*, przekładam kubeczki.

– Okej, Benji, pora zaczynać.

– Joe, zaczekaj. Nie rób tego. – Pada na kolana. – Poważnie. Mam pieniądze.

Naprawdę jest idiotą i nie rozumie sytuacji. Niemal jest mi go żal. Pokazuję, żeby wstał. Wstaje. Posłuszny piesek.

– Benji, nie dosypałem niczego do wody.

– Bogu dzięki.

– To jest test. Do wszystkich kubeczków nalałem wodę sodową – wyjaśniam. – Wypijesz łyk z każdego kubeczka i powiesz mi, w którym znajduje się Home Soda. Przekonamy się, czy potrafisz rozpoznać własny produkt.

Zakłada ręce na piersi.

– Muszę oczyścić podniebienie.

Przewidziałem to. Sięgam do torby i wyjmuję czerstwego bajgla.

– Czy wszystkie butelki zostały otwarte w tym samym czasie? Pod wpływem powietrza woda sodowa zmienia swoje właściwości.

– Zostały, Benji.

– Potrzebne są szklanki, plastik wchodzi w reakcję z wodą.

– Pij.

Podaję mu pierwszy kubeczek. Bierze łyk, zamyka oczy, obraca wodę w ustach, płucze gardło, aż mam ochotę pierdolnąć go tym kubkiem w łeb. Wypluwa do nocnika, przeciąga się i chodzi po klatce.

– Wiesz co, mój ojciec ma dostęp do odrzutowca. Mogę cię zabrać, dokądkolwiek zechcesz. Polecisz, gdzie będziesz chciał, i zapomnimy o tym, co tu zaszło. Ojciec się nie zorientuje. On wręcz oczekuje od mnie, że będę szastał pieniędzmi, więc nawet specjalnie się nie zdziwi.

– Gryź bajgla, Benji.

– Tajlandia. Francja. Irlandia. Dokądkolwiek. Tam, gdzie zechcesz.

– Bajgiel.

Odgryza kawałek. Sięgam po drugi kubeczek.

– Joe, proszę. Zastanów się, czego chcesz.

– Bierz wodę.

– Test się nie liczy, bo drożdże z bajgla wpływają na wrażliwość kubków smakowych. Powinienem przepłukać gardło słoną wodą.

Nigdy nie podnoszę głosu, dlatego teraz, kiedy to robię, Benji wygląda na przestraszonego.

– Bierz ten kubek, do kurwy nędzy!

Skurwiel pada na kolana, chyba zanadto się identyfikuje z bohaterem powieści *Doktor Sen*. Ignorant Benji pewnie nawet nie wie, że doktor Dan Torrance jest postacią, która narodziła się w *Lśnieniu*, postacią, która z trudem brnęła przez życie, a ten dupek nie przepracował nawet jednego dnia, dotarł może do połowy *Lśnienia*, a potem włączył film, no i nigdy nie trzymał w rękach siekiery. Benji nie jest prawdziwym mężczyzną. Tego, co robi, nie sposób nazwać pracą.

– Wstań.

– Błagam, daj mi wodę z solą.

– Na testach pepsi i coca-coli jej nie dają.

– Wiesz, co odróżnia wodę sodową od zwykłej gazowanej?

Przewracam oczami.

– Sól, Joe. Czasem soda oczyszczona. Bywa też, że soda z kwaskiem cytrynowym albo wodorofosforan sodu.

– Pij, Benji. Nie wciskaj kitu. Nie wykpisz się.

– Nie wciskam – mówi. – Nie tym razem. To prawda.

– Pij.

Upija łyk. Płucze gardło.

– To nie jest moja woda.

Chce wiedzieć, czy zaliczył sprawdzian, głośno się dopytuje, ale ignoruję go i wchodzę po schodach. Niepewność dobrze robi ludziom. Wzmacnia. To dlatego Ameryka tak kocha Stephena Kinga – bo King trzyma czytelnika w napięciu tak, że aż boli. King wie, że są sytuacje, w których każdy, nieważne kto, zwykły robol albo uprzywilejowany młody chujek, postrada rozum. King doceniłby moją pracę nad Benjim. Uśmiecham się i zamykam drzwi.

W delikatesach za rogiem mają sól i mają też słoiki – zaopatruję się w jedno i drugie. Sprzedawca jest na tyle uprzejmy, że pakuje wszystko do kartonu, co znacznie ułatwia mi powrót z zakupami do księgarni. Im więcej czasu poświęcam tej wodzie sodowej, tym mniej się dziwię idiotom, których kręci Home Soda. A im więcej czasu spędzam z Benjim, tym lepiej rozumiem, dlaczego miliony innych bogatych kretynów nie kupuje jego produktów. Home Soda nigdy nie stanie się tak popularna jak Stephen King. Konsumentów zdobywa się, udowadniając, że się ich rozumie. Nie można sprzedawać produktu, nie rozumiejąc jego potencjalnego klienta.

Benji gówno się zna na marketingu. Coca-Cola wypróbowała bodaj każdą znaną ludzkości strategię marketingową. To dlatego jest modna i klasyczna, oryginalna i nowa, dietetyczna i kaloryczna. Coca-cola jest ulubionym napojem wybałuszającej gały Jennifer Lopez, a także najbanalniejszym, najbardziej nijakim napojem Ameryki. Coca-Cola jest pełna sprzeczności. Coca-Cola to jebany geniusz. Coca-Cola przeznacza góry forsy na to, żeby być wszystkim dla każdego. Benji źle to sobie wymyślił. Wydaje mu się, że rzecz w byciu wyjątkowym i unikalnym, ale w tym świecie niczego nie osiągniesz, jeśli nie nauczysz się dopasowywać do otoczenia.

– Wypłucz – rozkazuję, schodząc po schodach.

Płucze usta jak u dentysty. Staram się dać mu szansę. Uważam, że każdy głupi kutas powinien mieć okazję udowodnić, że potrafi być czymś innym niż głupim kutasem. Przykład: wiem, że rodzina rozpuściła Benjiego jak dziadowski bicz, wychowywała go matka, która nigdy nie mówiła „nie”,

wychowywał go ojciec, który nigdy nie wyrażał głośno dezaprobaty, i wychowywały go opiekunki, które w milczeniu pozwalały małemu skurwielowi robić, co mu się żywnie podobało. Powiedział mi to drugiej nocy w klatce, kiedy oblał test z *Tęczy grawitacji* i przyznał, że wszystkie prace zaliczeniowe na Yale po prostu kupił. Powiedział, że przeczytał tylko pięć pierwszych stron z tej książki i spodobała mu się tak bardzo, że nie mógł czytać dalej. Ponoć jest zbyt wrażliwy, zbyt łatwo się wzrusza, a książki najlepiej smakują mu w małych porcjach. Jak na takiego wrażliwca, w cholerę długo zajmuje mu płukanie gardła słoną wodą.

– Pij, Benji – mówię.

Zatyka nos i wypija łyk. Nie wiem, co z nim zrobię. To dzieciak, który nigdy nie był uziemiony, nigdy nie dostał wpierdol, nigdy nie poniósł kary za swoje winy. Oszukiwał w college'u, a teraz próbuje zarobić na kantowaniu pretensjonalnych skurwieli wodą niby z wyższej półki. Po raz pierwszy w swoim życiu staje się za coś odpowiedzialny. Odpowiedzialność do niego pasuje. Benji ma zmarszczki, nie wygląda na totalnego mięczaka. Nie jest doskonały, to jasne. Zakłada nogę na nogę jak pieprzony Woody Allen. Dmuchnięciem usuwa włosy wpadające do oczu. Nadal zachowuje się jak laluś.

– W którym kubku była twoja Home Soda?

– Jakie to, kurwa, ma znaczenie? Sprzedaję wibracje. Sprzedaję zdrowie i bogactwo.

– Ależ ma znaczenie. Nawet idiota potrafi odróżnić colę od pepsi.

– To co innego.

– W którym kubku była Home Soda?

– Skąd mam wiedzieć, czy w ogóle mówisz prawdę?

– Stąd, że nie jestem pierdolonym kłamcą.

– Nie odważyłbyś się mnie zabić – mówi.

Znów próbuje brzmieć, jakby miał tu władzę. Uważa mnie za durnia, który pragnie zostać zrozumiany przez wszechwiedzącą, bogatą cipę.

Nic z tego. Daję jasno do zrozumienia, kto tu rządzi, i pytam:

– W którym kubku była Home Soda?

– Jesteś zbyt cwany, żeby mnie zabić. – Staje się agresywny. – Wiesz, ktoś taki jak ja… mam rodziców, którzy dowiedzą się, co się stało. Nie zaryzykujesz.

Nie odpowiadam. Znam potęgę ciszy. Dużo lepiej zapamiętałem te chwile, w których mój ojciec milczał, niż słowa, które do mnie mówił.

Benji zaczyna się trząść. Ponownie sięga po kubeczek numer jeden. Ale ręka drży mu tak bardzo, że kiedy przykłada usta do brzegu kubka i go przechyla, większość wody spływa mu po brodzie i kapie na marynarkę od Brooks Brothers. Nadal nie mogę pojąć, jak wielu ludzi tęskni za tym kolesiem, jak wielu go kocha. Powinnaś zobaczyć jego skrzynkę, Beck. Benji znika na trzy dni, a wszyscy zachowują się, jakby był cholernym Ferrisem Buellerem. Nieprzerwany strumień mejli: odezwij się; gdzie jesteś; co u ciebie; czy wszystko dobrze? Nie odpowiadam na te wiadomości, niech dotrze do ludzi, że Benji się wykoleił. Nie widzieli jego tweetów? Ta fala ciekawości o los kłamcy to policzek wymierzony społeczeństwu. Ten, kto odpowiada za rozdział miłości na świecie, ewidentnie daje ciała. Kochany Benji pogryza bajgiel, a ja dla uspokojenia nerwów zaglądam do telefonu. Jeszcze nikomu nie napisałaś o naszym wieczorze, co oznacza, że albo jesteś zajęta zieloną poduszką, albo padłaś wykończona. Benji pije z kubka numer dwa, płucze gardło i wypluwa.

– Ten kubek na pewno odpada – mówi.

Kantuje, widać to gołym okiem, próbuje wydobyć ze mnie podpowiedź. Olewam go. Trzeba umieć ignorować takie rozpieszczone, bogate dzieciaki, dopóki nie spokornieją. Kiedy to ja siedziałem w klatce, zachowywałem się inaczej, nie narzekałem i nie trząsłem się jak mała dziewczynka.

Sięga po kubek numer trzy.

– *Salute!* – mówi i naraz mam wrażenie, że to najbardziej obraźliwa rzecz, jaka padła z jego ust.

Nie jest Włochem. Jakie więc mu przysługuje prawo, by mówić *salute*? Upija łyk, oblizuje usta, gładzi się po brodzie i zaczyna chodzić po klatce.

– No i? – pytam.

– Warunki są dalekie od doskonałości, jeśli chodzi o test smaku. Wiesz o tym.

– Życie też nie jest doskonałe, przynajmniej dla większości z nas.

– Tu jest wilgotno. Pachnie stęchlizną.

– W którym kubku była Home Soda? Pierwszym, drugim czy trzecim?

Chwyta się prętów, kręci głową i płacze. Znowu. Sprawdzam twój folder „wysłane”. Jest dziewiąta rano, już nie śpisz. Wiem, bo właśnie napisałaś jakiemuś kolesiowi z zajęć, że bardzo ci się podobało jego opowiadanie. Oddycham głęboko. Na pewno musiałaś to zrobić. Chodzi tylko o szkołę.

– Benji. Który kubek?

Podnosi głowę, robi krok do tyłu, wygląda, jakby miał zemdleć – tak, jasne – wyciera oczy, zakłada ręce na piersi i spluwa.

– Żaden.

– Tak brzmi twoja odpowiedź?

Łapie się za potargane blond włosy, z każdym dniem są coraz ciemniejsze – od potu.

– Czekaj.

– Czy to jest twoja odpowiedź, czy nie?

– Wszystkie smakowały tak samo beznadziejnie. Wszystkie smakowały jak najzwyklejsza, najtańsza, nafaszerowana chemią woda gazowana. Ustalasz takie zasady, że nie mogę wygrać. To nie w porządku. To niesprawiedliwe.

– Czy tak brzmi twoja odpowiedź?

– Tak.

– Przykro mi, Benji – mówię i widzę, że zaczyna mu drżeć dolna warga. – Mylisz się. We wszystkich trzech kubkach była Home Soda.

Dostajesz mejl. To ten dupek z zajęć:

> Dzięki, Beck. Właśnie czytam ciebie, jest świetnie, tak dobrze jeszcze nie było.

– Nie! – wybucha Benji.

Co za pretensjonalny ćwok! *Czytam ciebie*. Kurwa, Beck, kto to jest? No już. Napisz do Chany. Napisz do Lynn. Dopiero co przeżyłaś najlepszą randkę na świecie, a mejlujesz z jakimś typem z uczelni?

– Joe, nie wierzę, to nie mogła być moja woda.

– Ale była – mówię i Benji przestaje być tylko Benjim, jest wszystkimi złymi ludźmi, wszystkimi wykształconymi oszustami. – To się nazywa kontrola jakości. Gdybyś się znał na biznesie, wiedziałbyś, że kontrola jakości to podstawa.

Siada po turecku i naraz robi mi się go szkoda. Świat go opuścił, nie przygotował na dorosłość. Cóż mu pozostało? Koszula mokra od łez, brzuch pełen wody sodowej i krowiego mleka. Blond czupryna i bogaty słownik wreszcie go zawiodły.

– Co teraz? – pyta.

Nie zasługuje na odpowiedź. Oblał test. Wyłączam światło i wychodzę z piwnicy. Krzyczy za mną, że potrzebuje światła, no tak, to jasne, King go wciągnął. Posyłasz temu frajerowi z zajęć wiadomość za wiadomością, mam ochotę na colę z puszki i esemesa od ciebie. Zatrzymuję się, odwracam i włączam mu to pieprzone światło. Niech choć raz w życiu przeczyta książkę od początku do końca.

12

Pracowała u mnie pewna dziewczyna, zwolniłem ją jakieś dwa lata temu. Nazywała się cholernie irytująco: Sare. Zasadniczo miała na imię Sarah, ale twierdziła, że chce być oryginalna i takie tam pieprzenie kotka za pomocą młotka. Sare to był prawdziwy wrzód na dupie. Zachowywała się tak, jakby robiła nam wielką łaskę, że w ogóle przychodzi do pracy. Wszystkim, nawet podstarzałym Azjatom, wciskała książki Meg Wolitzer. Kiedy wydawała resztę, brała garść moniaków i trzymała rękę blisko siebie, tak że klient musiał sięgać ponad ladą, żeby je dostać. Ludzie nie znosili Sare. Kupowała *latte extra hot* w Starbucksie i przynosiła ją do księgarni, ale przynajmniej trzy razy w tygodniu wracała do lokalu poskarżyć się, że kawa wystygła, chociaż wiadomo, że po dziesięciu minutach na mrozie żadna *latte extra hot* nie będzie już nawet *hot*. Miała białą skórę, ale nosiła dready. Na ladzie zawsze kładła swoją książkę, żeby wszyscy widzieli, że czyta Edwidge Danticat albo dowolną inną autorkę reprezentującą tę mniejszość, która akurat była na czasie. Poza tym z zapałem studiowała „New Yorkera”, w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto kiedy przy sprzątaniu chciała zacząć gadkę szmatkę, mówiła: „A czytałeś ten tekst w »New Yorkerze«…?”. Nigdy nie spłukiwała toalety po sikaniu, twierdząc, że rodzice nauczyli ją oszczędzać wodę. Sęk w tym, że jej siki śmierdziały, bo była wegetarianką żywiącą się głównie szparagami. Nosiła beznadziejne okulary, miała chłopaka, który studiował medycynę, a kiedy stała za ladą, garbiła się i owijała w bezkształtny wełniany rozpinany sweter, przez co klienci czuli się, jakby się jej narzucali.

Kiedy ją zwolniłem, zostawiłem jej wiadomość, że czek z ostatnią wypłatą znajdzie w łazience. Wrzuciłem go do sedesu pełnego

szparagowych sików. Nigdy więcej nie zajrzała do księgarni. Znalazła pracę w jakiejś organizacji non-profit i wyszła za swojego doktorka, który musi być równie drażniąca osobą, co ona – choćby przez to, że wziął ją za żonę. W kategorii „najbardziej irytująca osoba na świecie” Sare Worthington, obrończyni środowiska, córa Portland w stanie Maine, wiecznie utyskująca, że nie pochodzi z Portland w stanie Oregon, nie miała sobie równych. Tępa suka, mogła się po prostu przeprowadzić do tego drugiego Portland.

Ale zazdrościłem jej, o tak, zazdrościłem. Była bowiem opanowana, wręcz beznamiętna. Nigdy nic nie zrobiło na niej wrażenia. Gdybyśmy dostali Jamesa Joyce’a z autografem autora, najwyżej wzruszyłaby ramionami. Przy niej musiałem się pilnować. Wkurzało mnie to, że próbowałem jej imponować i że mnie, wąchającemu wyschnięty atrament w podpisie Joyce’a, tak łatwo zaimponować. Teraz też jestem pod wrażeniem, siedząc z tobą w taksówce. Nie mogłem uwierzyć, kiedy powiedziałaś, że chcesz mnie zabrać na imprezę u znajomej. Wydawało mi się, że to trochę za wcześnie, ale nalegałaś. Zresztą nieważne, i tak bym się denerwował, bo wszelkie imprezy to nie moja bajka, ale teraz denerwuję się podwójnie, bo okazało się, że nie wybieramy się do pierwszej lepszej znajomej. Otóż jedziemy do zamożnej dzielnicy, w której stoi dom twojej przyjaciółki Peach S a l i n g e r. Wiezie nas taksówka, a nie przywykliśmy do wspólnego jeżdżenia taryfami, i staram się rozluźnić, ale dziś nie jesteś tą dziewczyną z Corner Bistro. Jestem dumny z tego, jak poczynam sobie z Benjim (pan Mooney i Curtis o niczym nie wiedzą!), i nie chcę przypadkowo zacząć się chwalić, jakim to jestem świetnym kierownikiem. Wypalam więc, niczym chodzący z głową w chmurach nieudacznik:

– Salinger. No proszę!

– No tak – odpowiadasz zbyt spokojnie. – Jest z nim spokrewniona.

Perspektywę imprezowania z członkinią rodu Salingerów Sare przyjęłaby obojętnie, ale mną aż zatelepało. Nie mogę uwierzyć, że poznam krewną J.D. Salingera, i to na naszej drugiej randce. Kiedy zadzwoniłem, żeby się umówić, zamierzałem zabrać cię do planetarium, usiedlibyśmy w ostatnim rzędzie i poobściskiwali się. Ale rzuciłaś krótko:

– Mam imprezę.

I zaraz dodałaś:

– Chcesz pójść?

Zgodziłem się. Z tobą wszędzie. Ale im bliżej jesteśmy miejsca przeznaczenia, tym bardziej się denerwuję. Boję się, że wszyscy mnie znielubią, i ty chyba też się tego obawiasz. Widzę to, Beck. Wiercisz się. Non stop się wiercisz. Problem w tym, że kiedy się denerwuję, robię się nieprzyjemny.

– J.D. to jej wuj?

– Nigdy go tak nie nazywa – odpowiadasz.

Ty też stajesz się niemiła, kiedy jesteś zdenerwowana.

– To jakie jest między nimi pokrewieństwo?

– Po prostu jest – wzdychasz. – Nie zadajemy takich pytań. Był skrytą osobą.

Oddycham głęboko i przypominam sobie, jak mnie opisałaś w dzisiejszym mejlu do Peach:

Inny. Atrakcyjny.

Zaprosiłaś mnie na imprezę, ponieważ jestem

Inny. Atrakcyjny.

A jeśli wszystko spierdolę? Taksówka zalicza kolejne przecznice, a ja czuję się coraz bardziej niepewnie. Jedziemy w rejony Woody’ego Allena, tam, gdzie zawsze chciałem mieszkać. Sprzedaję Salingera, twoja przyjaciółka ma na nazwisko Salinger, a ty ciągle poprawiasz makijaż. Kiedy mijaliśmy 14th Street, zaczęłaś rozsmarowywać jakieś gówno pod oczami i nadal to robisz, a to przecież ja powinienem sposobić się na bitwę. Kiepsko się dogaduję z ludźmi po studiach, a z tymi z Uniwersytetu Brownów to już w ogóle. Posyłasz kierowcy gniewne spojrzenie.

– Przecież mówiłam Upper West Side, a nie Upper East Side.

Trzymasz torebkę od Prady, piorunujesz wzrokiem i mam wrażenie, że obok mnie siedzi zupełnie inna Beck. Chyba czytasz mi w myślach, bo naraz czerwienisz się i przyjmujesz postawę obronną.

– Przepraszam, nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak agresywnie. Po prostu jestem zdenerwowana.

E tam. Drażnię się z tobą:

– Ja też. Martwi mnie, że nie spodobam się twoim znajomym.

Przypominasz sobie, jakie ze mnie ciacho, przestajesz grzebać w torebce i zaczynasz ze mną rozmawiać. Nie opowiadasz historii, żyjesz nimi. Kiedy wspominasz swoją ulubioną imprezę urodzinową – tata pozwolił tobie i twoim dwóm przyjaciółkom popłynąć promem na stały ląd i obejrzeć *To właśnie miłość*; podczas tej wyprawy poznałaś chłopca – naraz odkrywam, że zazdroszczę temu trzynastolatkowi. Rozmowa z tobą jest jak podróż w czasie. Wzdychasz.

– Wiele dla mnie znaczył.

– Utrzymujecie kontakt?

Uśmiechasz się.

– Mówiłam o Hugh Grancie.

Zajebię tego Granta.

– Aha.

– A wiesz, Joe, że w jednym z filmów Hugh Grant pracuje w księgarni?

– Poważnie?

Może jednak go nie zajebię. Czuję, jak niewiele dzieli nas od pocałunku, ale nagle twój telefon buczy. Dostałaś esemes.

– To od Peach – mówisz. – Muszę od razu odpowiedzieć, inaczej będzie wariowała.

– Jest taką wariatką jak wuj J.D.?

Nie śmiejesz się z mojego żartu. Mam nadzieję, że Peach zdaje sobie sprawę, jakie ma szczęście, że jesteś jej przyjaciółką. Dzwoni, zanim zdążyłaś odpisać na wiadomość.

– Już prawie jesteśmy – mówisz.

W słuchawce słyszę podniesiony głos Peach:

– Ty to nie wy, Beck.

Rozłączasz się, zmienia się nastrój. Nie śmiejesz się, kiedy mówię, że siostrzenica J.D. to chyba niezłe ziółko. „Nie, Joe, Peach nie jest jego siostrzenicą”. Nie podoba mi się sposób, w jaki wymawiasz moje imię. Powinienem ugryźć się w język, ale nie robię tego, wygrywa instynktowna niechęć do Peach.

– Nie rozumiem. Jesteście takimi dobrymi przyjaciółkami i nawet nie wiesz, jak jest spokrewniona z jednym z najsłynniejszych pisarzy wszech czasów?

– To kwestia pewnych granic.

Odsuwasz mnie od siebie na naszej drugiej randce, chociaż jestem

Inny. Atrakcyjny.

Boisz się miłości. To smutne. Nie mam ochoty wchodzić do domu pełnego obcych ludzi. Ale jesteśmy na miejscu. Robię za twoją osobę towarzyszącą. Odźwierny otwiera drzwi taksówki, pozwalasz, by pomógł ci wysiąść. Ja chciałem to zrobić.

– No chodź – mówisz. – Nie chcę się spóźnić.

Gdyby nie telefon od Peach, powiedziałabyś: nie c h c e m y się spóźnić.

W windzie się resetujemy. Zgadzamy się co do tego, że pachnie tam lawendą. Na ścianie tapeta w kwiatki, zdaje się fiołki. Winda jest stara, znajduje się w niej niewielka ławeczka, stoimy obok siebie i patrzymy, jak zapalają się guziki oznaczające kolejne piętra.

– Apartament na ostatnim piętrze?

– No – mówisz i przekładasz torebkę od Prady na prawe ramię, oddziela nas. – Cieszę się, że pamiętałam, żeby zamienić torebki. Tę w zeszłym roku dostałam od Peach na urodziny. Fatalnie bym się czuła, gdybym o niej zapomniała.

Nie ma mowy, nie będziemy rozmawiali o torebkach, zanim się ze sobą prześpimy. Udaję zaciekawienie innym tematem.

– Czy Peaches też studiowała u Brownów?

– Peach – poprawiasz mnie.

Oblizujesz palec i rozmazujesz kredkę do oczu. Jesteś zdenerwowana, winda strasznie się wlecze, cholera, czemu nie możemy wcisnąć czerwonego przycisku i zostać tutaj?

– Aha.

– Nigdy Peaches – mówisz tonem tak poważnym, jakbyśmy dyskutowali o polityce. – Chociaż nie, nie do końca. Na drugie ma Isabella, czasami

z tego żartujemy, wiesz, Peach Is, prawie jak Peaches.

– Yhy.

– Rozumiesz? Is jako skrót od Isabella.

Patrzę na ciebie, bo wiem, że myślisz, iż jestem

Inny. Atrakcyjny.

Nie pytam, czy mogę cię dotknąć, tylko podnoszę rękę do twojego policzka i kciukiem usuwam czarny pyłek tuszu do rzęs. Przełykasz ślinę. Uśmiechasz się. Twoje źrenice pulsują pożądaniem. Jako pierwszy odwracam wzrok. Mam cię.

– W każdym razie – odzywasz się – jesteśmy przyjaciółkami od bardzo dawna. Jej rodzina spędzała wakacje na Nantucket, poznałyśmy się, kiedy obie byłyśmy jeszcze małe. Ona jest genialna.

– To super.

– Chanę zna stąd, że razem chodziły do Nightingale'a, a Lynn była jej współlokatorką na pierwszym roku studiów. To ona łączy całą naszą czwórcę.

Wybucham śmiechem, czerwienisz się.

– No co?

– Powiedziałaś „czwórcę" zamiast „czwórkę".

– Spadaj.

– Młoda damo, należy ci się upomnienie.

– Tak? A co się stanie, jeśli dostanę kolejne? – pytasz i naprawdę już niewiele potrzeba, żebym pchnął cię na ścianę windy, jeszcze chwila i ty też rzucisz się na mnie. Im bliżej imprezy, tym mamy większą ochotę wcisnąć czerwony przycisk i zrobić to tu i teraz.

Powinienem cię pocałować, ale zbliżamy się do piętra oznaczonego „A" jak apartament. Przekładasz torebkę na drugie ramię; pragniesz mnie. Delikatnie przesuwam lewą dłonią po twoim krzyżu i niemal podskakujesz. Twoje palce ocierają się o moją nogę. Winda się zatrzymuje. Powoli opuszczam rękę. Czekasz. Przebierasz palcami, jesteś gotowa. Kiedy moja dłoń wreszcie zbliża się do twojej, gwałtownie nabierasz powietrza. Splatamy palce. Trzymamy się za ręce, twój pot miesza się z moim. Wow.

Czas na pocałunek, chcę cię pocałować, ale drzwi się rozsuwają i oto jesteśmy na miejscu. Odbiera mi mowę. Czyżbyśmy znaleźli się na planie zdjęciowym *Hannah i jej siostry*? Ochota na ciebie miesza się z zazdrością o to wszystko, co nagle mnie otacza, poza tym ludzie tu znają twoje nazwisko, a nie znają mojego. Twój świat jest większy niż mój, ściskasz się ze znajomymi z Uniwersytetu Brownów, niektórzy z nich mają instrumenty. Krąg perkusistów? Serio? Że niby znów mamy 1995 rok? Wykonują własną wersję *Jane Says*, śpiewają tak, jakby wiedzieli, co to pożądanie i słabość. Ściskasz moją dłoń.

– Joe – mówisz. – To jest Peach.

Rzeczywiście. Wyższa, niż się spodziewałem, ma bujną kręconą czuprynę, która przypomina tornado nad głową. Wyglądasz przy niej na zbyt drobną, ona zaś przy tobie na ogromną. Pochodzicie z dwóch różnych planet, nie powinnyście stać obok siebie. Peach klaszcze w dłonie, jakby zobaczyła pięciolatka. Nie lubię, kiedy dziewczyna jest wyższa ode mnie.

– Witaj, Josephie – mówi z przesadnie dobrą dykcją. – Nazywam się Peach, a to jest mój dom.

– Miło mi cię poznać – odpowiadam.

Mierzy mnie wzrokiem. A to pizda.

– Już mi się podobasz, bo jesteś bezpretensjonalny – mówi. – Dziękuję też, że nie przyniosłeś wina ani niczego w tym stylu. Żadnych prezentów, Beck jest dla mnie jak rodzina.

Jesteś, rzecz jasna, zaskoczona.

– O rety, Peach, zaraz się rozkleję.

Peach patrzy na ciebie z góry, i to całkiem dosłownie.

– Kochanie, przecież mówię, że jest okej. Poza tym akurat ostatnie, czego nam trzeba, to jeszcze więcej taniego wina.

Zachowujesz się, jakbyś popełniła przestępstwo, a Peach patrzy na mnie jak na dostawcę pizzy czekającego na napiwek.

– Pozwolisz, Josephie, że ukradnę naszą Beck na dwie minutki.

Pozwalasz się ukraść, a ja naprawdę muszę wyglądać jak dostawca pizzy, stoję jak sierota, nie znam tu nikogo i nikt nie zna mnie. Nie podchodzi do mnie żadna dziewczyna, nie pasuję tu. Jedno wiem na pewno:

zakładałem, że Peach nie przypadnie mi do gustu, i rzeczywiście tak jest – nie znoszę jej, a ona nie cierpi mnie. Wie, jak cię urobić, Beck. Przepraszasz, że nie przyniosłaś wina, że nie przyprowadziłaś Lynn i Chany, że nienależycie dbasz o torebkę. Peach jest wyrozumiała, gładzi cię po plecach, mówi, żebyś się nie przejmowała. Kiedy jesteś przy niej, staję się dla ciebie niewidzialny, tak jak wszyscy inni. *Peach Is*… przeszkodą. Rozglądam się, ale jakoś nikt nie ma ochoty się ze mną przywitać. Zupełnie jakbym śmierdział szkołą publiczną. Jakaś chuda Hinduska mierzy mnie wściekłym wzrokiem, po czym wciąga kreskę adderallu albo koki. Wyjmuję telefon i tweetuję z konta Benjiego:

> Wszystko z umiarem, zwłaszcza umiar. #HomeSoda #dobojuBulldogs #palciecrack

Sprawdzam adres na stronie Zillow. Okazuje się, że ten apartament jest wart dwadzieścia cztery miliony dolarów. Na blogu o urządzaniu wnętrz trafiam na artykuł o wystroju mieszkania. Matka Peach wygląda na jeszcze wyższą i podlejszą niż córka. Kto wie, może to jednak wcale nie w kij dmuchał przyjść na świat w takiej rodzinie i raczkować po dywanach po sto tysięcy sztuka. Peach uczyła się grać na wychuchanym czarnym steinwayu i chodziła do planetarium, kiedy tylko miała ochotę. Świetność Upper West Side traktuje jako coś oczywistego. Uwielbia cię za to, że rozpływasz się nad Pradą. Widzę ręcznie rzeźbiony kredens i podchodzę, żeby mu się przyjrzeć. Niezwykły mebel, jedyny w swoim rodzaju. Na jednych drzwiczkach widnieje gwiazda Dawida, a na drugich katolicki krzyż. Może jednak tu pasuję. Peach, tak jak ja, jest pół Żydówką, pół katoliczką. Ja dorastałem bez religii, ona miała ją całą. Ona celebruje wszystko, ja – nic. Wracacie do mnie.

– Supermebelek, co? – mówisz i opierasz się o kredens.

– Owszem, wspaniały – przyznaję. – Wiesz, Peach, mamy coś wspólnego, też jestem i Żydem, i katolikiem.

– Och, Josephie. – Zaraz mnie poprawi. Czuję to. – Nie jestem katoliczką, tylko metodystką, ale to miło z twojej strony.

– Super – mówię i mam ochotę pójść do domu. Korci mnie też, żeby powiedzieć, że nie nazywam się Joseph, tylko Joe, i jestem nieślubnym

dzieckiem Almy Goldberg i Ronniego Passera.

Udajesz, że kaszlesz, spoglądasz to na mnie, to na nią, i mówisz piskliwym tonem:

– Oboje jesteście nowojorczykami.

Peach mówi powoli, jak gdyby angielski był moim drugim językiem:

– Z której dzielnicy pochodzisz?

Co za pizda.

– Z Bed-Stuy.

– Czytałam, że ludzie zaczynają się tam przeprowadzać – komentuje. – Oby podniesienie statusu dzielnicy nie zniszczyło jej kolorytu.

Byłbym zdzielił ją w łeb, ale jesteś, widzę, tak zdenerwowana spotkaniem nas trojga, że nawet nie zauważasz, kiedy twoja koleżanka mnie obraża. Nie przypominam sobie, żebym pytał ją, czym się zajmuje, ale ona zaczyna opowiadać o swojej pracy.

– Jestem architektem – mówi. – Projektuję budynki.

Ożeż kurwa, przecież wiem, czym się zajmuje architekt, poza tym architekci są tylko w filmach, w realu nie występują. Powiedziałaś jej, że jestem zapóźniony, czy jak? Próbuję wziąć się w garść.

– Fajnie.

– Nie, fajne jest to, że nie studiowałeś – wypala. – Ja byłam ślepo posłuszna tradycji: rodzice uczyli się u Brownów, więc ja też skończyłam tę uczelnię.

Uśmiecham się.

– Moi rodzice nie studiowali u Brownów, więc ja też nie wybrałem tej uczelni.

Spogląda na ciebie.

– Zabawny. Nic dziwnego, że tak cię zaintrygował.

Posyłasz jej uśmiech. Rumienisz się. W porządku.

– No, jest bardzo okej.

Zachwyca się, jakie to cudowne, że całkowicie wyrzekłem się formalnej edukacji. Żaden to komplement, ale i tak jej dziękuję. Poprawia szal i udziela ci reprymendy za palenie papierosów; tuż obok jakiś palant nabija faję.

Na razie ze mną skończyła. Pyta, czy Chana i Lynn się odezwały. Przepraszasz. Boisz się, co Peach o tobie pomyśli. Najchętniej zabrałbym cię stąd i zawiózł na swoją dzielnicę. Peach jest hipokrytką, kurewsko koszmarną osobą, gorszą, niż przypuszczałem. Jesteś miękka, ona twarda, nosi czerwone bardzo opięte dżinsy, których w życiu byś nie założyła. Jest anorektyczką, ma kilka tatuaży, gęste, postrzępione włosy, wielkie czerwone usta, w sam raz do robienia laski, uśmiech Jokera i długie, patykowate, owłosione ręce, zwieńczone niepomalowanymi paznokciami, obgryzionymi do żywego mięsa. Od ciebie bije radość, ona jest otwartą raną, ostrą i nieprzyjemną, bladą i niewyraźną, nieruchaną i niekochaną. To jasne, że chce cię mieć dla siebie, a ponieważ nie mam zamiaru utrudniać ci życia, wtrącam:

– Przepraszam, gdzie znajdę toaletę?

Pokazujesz mi kierunek i już mnie nie ma. Nic dziwnego, że Lynn i Chana nie przyszły. Gdyby Peach była psem, najbardziej humanitarnie byłoby ją zastrzelić. Ale przecież nie mogę tego zrobić. Mogę za to przejść się po apartamencie i znaleźć bibliotekę, którą widziałem na blogu. Kiedy trafiam do właściwego pomieszczenia i włączam światło, zatyka mnie z wrażenia. Ja pierdolę, ale wielka! Rodzina Salingerów ma gest. Sięgam po pierwsze wydanie drugiej powieści Saula Bellowa *Ofiara*. Obwoluta biednego Bellowa jest rozerwana. Rodzice Peach wiedzą, jak kupować książki i płodzić dzieci, ale najwyraźniej nie potrafią zadbać o swoje nabytki i owoce własnych lędźwi. Absolwenci Uniwersytetu Brownów znowu śpiewają *Hey Jude* (ależ są oryginalni!), brakuje mi ciebie. Odkładam zranionego Bellowa na miejsce i nagle ty i Peach wchodzicie do biblioteki. Zamieram. Mam nadzieję, że niczego nie przeskrobałem.

– Tak myślałyśmy, że tu cię znajdziemy – śmieje się Peach, jakbyście to wy były „my”, a ja tylko „ja”. – Pozwoliłabym ci pożyczyć którąś z tych książek, ale rodzice wyjątkowo zazdrośnie strzegą swoich cudeniek.

– Nie szkodzi – odpowiadam. Wcale nie pytałem, czy mogę pożyczyć wasze zasrane książki. – Ale i tak dzięki.

Bierzesz mnie pod rękę, to miłe uczucie, i wzdychasz.

– Niesamowita, prawda?

– Tak – mówię. – Mógłbym przez rok nie wychodzić z tego pokoju.

– Wiecie co, czasem mam wrażenie, że college na dobre obrzydził mi czytanie – mówi Peach.

– Masz rację – odpowiadasz i zabierasz rękę. – Joe, założę się, że spośród wszystkich tych książek przeczytałeś dużo więcej niż ja.

– Dobry ekspedient musi znać swój towar, zgadza się? – dodaje Peach.

Nienawidzę Peach bardziej niż Sare. Nazwała mnie „ekspedientem". W salonie wychowankowie Brownów biją sobie brawo i gratulują znajomości słów *Hey Jude*, tak jakby to nie była jedna z najsłynniejszych piosenek na świecie. Peach kicha i wyjmuje chusteczkę z kieszeni. Pewnie ma alergię na mnie, zostawiasz mnie i zaniepokojona biegniesz do niej.

– Przeziębiłaś się?

– To na pewno reakcja na kurz – mówię. – Nie jesteś przyzwyczajona.

– Słusznie – zauważasz.

Peach chwilowo milczy, wyprowadzasz nas oboje z biblioteki. Jeszcze nigdy nie miałem tak wielkiej ochoty na drinka. Mijamy byłych studentów Brownów, którzy masakrują *Sweet Virginia*. Dostajesz esemesa od Chany. Nie przyjdzie. Peach się nabzdycza.

– Wiesz, na miejscu Chany też bym się wstydziła pokazać. Czy jest tu jakiś facet, z którym jeszcze się nie przespała? Przepraszam cię, Josephie, za moje chamstwo.

Wkurza mnie to, że jestem jej wdzięczny, że mnie zauważyła, uśmiechasz się do mnie (hura!), a Peach ciągnie nas oboje do jadalni przywitać się z gośćmi. Znowu wysokie sufity i kolejni wyniośli, brylujący wychowankowie Brownów, siedzący przy najdłuższym stole, jaki w życiu widziałem. Wciągają kreski z cukierkowych talerzyków nie do kompletu. I żłopią gorzałę. Hektolitry.

– Co pijesz, Joe? – dopytuje się Peach. – Piwo?

– Wódkę – odpowiadam i się uśmiecham.

Nie odwzajemnia gestu.

– Z kostkami lodu?

– Z kosteczkami – odpowiadam.

Patrzy na mnie, potem przenosi spojrzenie na ciebie, z powrotem na mnie i wreszcie rechocze.

– Słucham?

– Drobno pokruszony lód lepiej pasuje do wódki niż ten w dużych kostkach.

Dowiedziałem się tego od Benjiego. Peache zakłada ręce na piersi, a ty zaczynasz grzebać w torebce, szukając drogi ucieczki ode mnie, muszę to naprawić i pozbyć się jej. Mówię więc:

– Może być jakikolwiek lód.

– Strasznie miło z twojej strony, Josephie. Kochanie, co dla ciebie?

– Wódka z wodą sodową.

– Prosto i konkretnie – mówi Peach i znika.

Przychodzi jakiś koleś z torebką koki, rozlega się aplauz, brownowska brać wlewa się do jadalni. Czuję się jak Ben Stiller w *Greenberg*, to znaczy nie na miejscu, i to bardzo. Zbyt wielu facetów z tobą spało. Wiem o tym, bo omijają cię wzrokiem; jesteś restauracją, w której łatwo znaleźć stolik. I wszyscy ci ludzie gadają, non stop nadają:

– Pamiętacie ten wypad na Turks? Toma Waitsa trzeba słuchać na trzeźwo. Pamiętasz, jak dałeś się zamknąć w Pembroke College? Toma Waitsa trzeba słuchać, będąc nawalonym. Pamiętacie zajęcia na cmentarzu i wycieczkę, na której wzięliśmy grzybki? Musisz pojechać z nami na Turks. Wszyscy jadą.

Nie mówię ich językiem. Z ulgą przyjmuję drinka. Peach posyła kokieteryjny uśmieszek.

– Josephie, czy lód jest dla ciebie wystarczająco drobno pokruszony?

– Tak, tylko żartowałem.

Przenosimy się do kuchni, nigdy nie widziałem tak ogromnej, staram się nie rozglądać, żeby nie wyszło, że pierwszy raz jestem w tak imponująco przestronnej kuchni. Wygląda jak z filmu, w którym obrzydliwie bogaty Michael Douglas chce zabić Gwyneth Paltrow za to, że zakochała się w biednym artyście. Dominują tu stal nierdzewna i marmur, a wyspa pośrodku ma rozmiary niedużego samochodu osobowego. Nie pamiętam, czy w końcu udało mu się dopaść Gwyneth, w tej chwili to dla mnie mało

ważne. Nie potrafię znaleźć niczego, na czym mógłbym zawiesić oko. Gapię się na Peach, to niedobrze, albo na ciebie, to jeszcze gorzej. Spod egzemplarza „The New York Times Book Review” wystaje CD, ścieżka dźwiękowa do *Hannah i jej siostry*, dzięki Bogu.

– Fajne kawałki, Peaches – mówię.

Nie kontroluję swojego tonu, to niemożliwe w tak głośnym i cuchnącym pomieszczeniu. Twoja przyjaciółka piorunuje mnie takim wzrokiem, jakbym poprosił ją o jałmużnę.

– Peach – poprawia.

– Peach – powtarzasz natychmiast i czasami rozumiem, dlaczego pan Mooney odpuścił sobie kobiety.

– Przepraszam.

– Lubisz ten film, Josephie?

Sięgam po tę cholerną płytę.

– Jeden z moich ulubionych. Najlepszy film Allena.

Peach ignoruje moje wyznanie, rozmawia z dziewczyną, której wieki nie widziała. To żadna przyjemność, Beck, dzielić się tobą z tymi wszystkimi ludźmi, poza tym szybko wlewasz w siebie drinki, za szybko. Lubisz mnie? Czy chcesz, abym bardziej przypominał tych rozpłaszczonych na kanapie ćpunów o wysokich kościach policzkowych i w koszulkach Arcade Fire? Tego chcesz? Boże, oby nie. Tak mocno ściskam płytę, że pudełko pęka. Odkładam. Podnosi ją Peach. Uśmiechasz się do mnie, a więc jednak mnie lubisz, zwariuję.

– Wiesz, Josephie, też uwielbiam *Hannah* – wzdycha Peach. – Widziałam ten film z tysiąc razy.

– Ja chyba z milion – mówię.

Po co z nią rywalizuję?

Odpowiada, że w takim razie wygrałem konkurs na największego fana, i patrzy na ciebie takim wzrokiem, jakby mnie akceptowała. Cieszysz się, że bogate i biedne dzieciaki jednak mogą mieć ze sobą coś wspólnego, a ja mam ochotę napluć w tę jej smukłą gębę tylko po to, żeby coś, kurwa, udowodnić. Mogła być dla mnie miła od samego początku. Nie musiała

narażać cię na stres i niepewność. Ale Peach nadal chce rozmawiać o *Hannah i jej siostry*.

– Zdecydowanie najlepszy film Allena – mówi. – Nie ma słabych scen.

– Ani piosenek – dorzucam.

Peach odkłada płytę na blat i na wszelki wypadek odsuwa ją, żebym nie wyrządził dalszych szkód. Wracamy do punktu wyjścia. Znów dotykasz mojego ramienia.

– Joe, którą scenę najbardziej lubisz? – pytasz.

– Końcówkę. Kiedy Dianne Wiest mówi mu, że jest w ciąży – odpowiadam. – Jestem romantykiem, przyznaję się bez bicia.

Podobasz mi się taka, lekko podchmielona, wpatrujesz się we mnie. Peach jest zniesmaczona.

– Żartujesz, prawda?

Śmieje się ze mnie, a ty patrzysz na mnie inaczej, bez podziwu. Beck, ta kobieta to żmija. Nie ma w niej ciepła, nie dają go nawet te krótkie włoski, porastające całe jej ciało.

– Josephie, chyba nie mówisz poważnie.

– Ależ tak. Uwielbiam to ich ujęcie w lustrze. I to, jak się całują, kiedy ona mówi mu, że jest w ciąży.

Peach szturcha chudym paluchem pęknięte pudełko płyty i kręci głową. Dotykasz mnie w nieprzyjemny sposób, jakbyś chciała, żebym już przestał. Wychowankowie Brownów znają słowa *My Sweet Lord*, ktoś znalazł tamburyn i coś mi świta, że chyba syn George’a Harrisona studiował na tym samym uniwersytecie, i wnerwia mnie, że przypominam sobie o tym teraz.

– To zabawne, Josephie, że wymieniasz akurat tę scenę, ponieważ nie wiem, czy wiesz, ale Woody nie chciał, żeby znalazła się w filmie – poucza mnie.

Woody.

– Myślę, że to nieprawda.

– Prawda, Josephie. Tak było.

– Nie obraź się, ale wątpię. Myślę, że dali mu wolną rękę i zrobił to, co chciał.

– Mój dziadek pracował wtedy w wytwórni. Powiedział Woody’emu, że wolałby szczęśliwsze zakończenie. Woody, jak to Woody, sprzeciwił się, ale mój dziadek był kimś, rozumiesz? Naprawdę kimś.

– Ach, czyli J.D. Salinger nie był twoim dziadkiem? – mówię, bo co? Bo chuj z nią!

Posyła ci wymowne spojrzenie, ty wzdychasz, ona ciągnie dalej:

– W każdym razie to zabawne, że twoją ulubioną sceną jest ta, której reżyser nie chciał zaakceptować.

– Peach – odzywasz się. – Masz wodę sodową?

– W lodówce jest Home Soda – odpowiada, uśmiechając się z wyższością i taksując mnie spojrzeniem, gdyż doskonale wie, jaką szopkę odpierdala.

Podnoszę szklankę.

– Zdrowie twojego dziadka.

Nie dołącza do toastu.

– Hollywoodzkiego potwora, który doklejał głupkowate szczęśliwe zakończenia do każdego filmu, na którego kręcenie miał wpływ, unikał swoich dzieci jak ognia i własnoręcznie zniszczył kilka wybitnych dzieł amerykańskiej kinematografii? Nie. Nie, Josephie. Nie wypiję za zdrowie tego człowieka.

Niemal cała chowasz się w lodówce i założę się, że myślisz o Benjim, ale nie tak, jak ja o nim myślę, i pojawiasz się ze szklanką – czerwoną, wybrałaś sok żurawinowy, wybierasz mnie. Wreszcie, wreszcie poprawiasz Peach, mówisz, że nazywam się „Joe”, nie „Joseph”, dziękuję ci, podnoszę szklankę jeszcze wyżej, bo teraz, kiedy poprawiłaś tę sukę, kiedy zdecydowałaś się, po której jesteś stronie, w końcu mogę dać Peach to, czego chce.

– W takim razie twoje zdrowie, Peach – mówię pełnym szacunku tonem zarezerwowanym dla przesadnie wybrednych starszych pań. – Za lekcję z mojego ulubionego filmu.

Patrzy na ciebie. Wzruszasz ramionami, „no, taki z niego numer” – mówi ten gest. Potem patrzy na mnie. Dokładam do pieca:

– A tak zupełnie poważnie, Peach, to mnie nie zagniesz. Uwielbiam Woody’ego Allena.

Po toaście nie podnosi szklanki do ust, za to wzdycha.

– Okej, niech to będzie jeden z plusów college’u. Siedzenie do późna w nocy i dyskutowanie o filmach. Spodobałoby ci się to, Josephie.

Zamiast zdzielić ją w gębę, kolejny raz wznoszę toast. Peach gapi się w swoją gównianą sangrię i pyta cię, czy powiedziałaś Chanie, że na imprezie będzie gość imieniem Leonard. Odchodzisz i sięgasz po telefon. Znów przepraszasz, a Peach wybacza. Ta impreza nigdy się nie skończy, nigdy. Jesteś tak zawiana, że nie trafiasz w literki, mruczysz poirytowana.

Peach unosi brew – założę się, że nauczyła się to robić tego lata, kiedy rodzice wysłali ją na obóz aktorski Stagedoor Manor z nadzieją, że wyrośnie z niej druga Gwyneth Paltrow; tego samego lata opanowała sztukę bulimii i obrażania ludzi takich jak ja.

Zerkam na ciebie i co widzę? Trzymasz telefon, jakbyś tuliła go w ramionach, i uśmiechasz się do siebie. Muszę się dowiedzieć, co cię tak wzięło. Peach przestaje dla mnie istnieć. Pozostali również. Podchodzę do ciebie, staję za tobą i spoglądam na wyświetlacz telefonu. Widzę fragment *Hannah i jej siostry*, w którym postać grana przez W o o d y’e g o idzie do kina na film braci Marx. Warto było. Kładę dłonie na twoich ramionach. Razem oglądamy tę scenę do końca i niech Bóg błogosławi Groucho Marksa.

Kiedy kończy się noc, której końca nie było widać, wsiadamy do windy, nie czekasz, aż zamkną się drzwi. Odkąd przyłapałem cię na oglądaniu *Hannah*, chcesz być bliżej mnie. Teraz jesteś. Nawet nie zdążyłem wcisnąć przycisku. Twoja torebka spada na podłogę. Łapiesz mnie za twarz i przyciągasz do siebie. Wahasz się. Zwariuję przez ciebie. I wtedy, wtedy… Beck, twoje usta są stworzone dla mnie. Moje usta i serce istnieją dla ciebie. Całujesz mnie, kiedy ludzie wciąż nas widzą i kiedy nadal słyszymy Bobby’ego Shorta śpiewającego „Znów się zakochałem”; kazałaś Peach włączyć ścieżkę dźwiękową *Hannah i jej siostry*, ponieważ chcesz wiedzieć to samo co ja i słyszeć to, czego lubię słuchać. Twój język

smakuje żurawinami, nie wodą sodową, już nie. Kiedy zamykają się drzwi windy i zostajemy sami, odsuwasz się ode mnie. Chwytam cię za włosy i wpijam się w ciebie ustami. Wiem, jak sprawić, byś zapragnęła więcej. Bo ja chcę więcej.

13

Spierdoliłem. Dzień po naszej randce zostawiłem ci wiadomość na sekretarce, w której zaprosiłem cię do Angeliki na film. Jak cholerny amator. Odpowiedziałaś esemesem dwie godziny później:

Już go widziałam, poza tym mam kaca :(i mnóstwo do pisania. Ale do zobaczenia wkrótce! :)

Tak naprawdę wcale go nie widziałaś, nie miałaś kaca i nie pisałaś, chyba że mianem „pisania” określasz mejlowanie z koleżankami na temat Benjiego.

Pierdolony Benji.

Zerkam na telefon, minęło piętnaście godzin i dwa długie dni, od kiedy się całowaliśmy. Powiedziałaś Chanie i Lynn, że nie jesteś na mnie „gotowa”, bo w twojej głowie „siedzi Benji”. Nie mogę go zabić, dopóki ty go nie zabijesz. Staram się zachować spokój. Przez dwa dni sprzedawałem książki, doglądałem Benjiego i myślałem o pocałunku, o naszym pocałunku. Z Lynn i Chaną podzieliłaś się refleksją:

Joe reaguje bardzo emocjonalnie. No nie wiem, to jedno wielkie być może.

Słuchajcie, czy waszym zdaniem powinnam napisać do Benjiego?

Twoje „być może” rani bardziej niż „Benji”, w naszym pocałunku nie było żadnego „być może”. Ilekroć o tym rozmyślam, zawsze przeważają argumenty za mną: podobają ci się moje włosy – powiedziałaś to w taksówce. Wpadłem ci w oko, Beck. Nie byłaś pijana. Uważasz, że reaguję emocjonalnie – to komplement. Naprawdę. Staram się zachować

spokój. Nic nie jest pewne, dopóki nie dostąpisz zaszczytu przyjęcia w siebie mojego kutasa. Dziś rano obudził mnie twój tweet:

> Oto dzień, w którym nie można już dłużej odwlekać wyprawy do Ikei. #CoMaszZrobićDzisiaj #ZarwaneŁóżko

Sprzedałem kopniaka jednej z maszyn do pisania. Jak mogłaś wysłać #ZarwaneŁóżko w świat, wiedząc, że zobaczę tego tweeta? Chcesz mnie doprowadzić do szału? Chana zareagowała błyskawicznie:

> Zarwane łóżko? WTF?

Odpisałaś:

> Nie zarwane, tylko stare i skrzypiące. Pomyślałam, że prędzej ktoś mi pomoże, kiedy napiszę, że się zarwało, no nie? Pomogłabyś, gdybym obiecała zrobić kolację albo co?

Chana nie odpowiedziała. Napisałaś do kilku gości z craigslist, którzy oferują usługę składania mebli:

> Chciałam zapytać, czy zajmujecie się wyłącznie składaniem mebli, czy moglibyście też pojechać do Ikei i przywieźć mi je do NJ?

Dowiedziawszy się, że panowie składacze kategorycznie nie będą robili dodatkowo za tragarzy, zwróciłaś się do mnie:

> Lubisz Ikeę?

To chyba jasne, że jej nie cierpię. Ale oczywiście odpisałem:

> Uwielbiam. Codziennie do niej jeżdżę. Czemu pytasz?

Mało to romantyczne, randka w środku dnia, ale rozumiem, że twój pociąg do mnie jest tak silny, że musisz zachować odpowiedni dystans. Dlatego odpisujesz:

> Nie wybrałbyś się ze mną? Popłyniemy łodzią. Stawiam klopsiki. :)

„Klopsiki” to niezbyt seksowne słowo, a „łódź” to tak naprawdę prom, na który musimy wsiąść, żeby dostać się do Ikei. Kupowanie mebli jest wybitnie niewdzięcznym zajęciem, ale w taksówce, którą jechaliśmy z imprezy u Peach, chyba z tysiąc razy szepnęłaś: „Podobasz mi się” i ten szept przebija wszystkie bzdury, którymi karmisz znajomych na Twitterze. Odpisuję:

Za klopsiki dziękuję, ale chętnie popłynę z tobą łodzią.

A zatem dziś po południu ty i ja pojedziemy do Ikei i nie ma szans, żebyśmy uprawiali tam seks. Znam, dziewczyny, wasz mechanizm działania, znam zasadę trzeciej randki i tym podobne bzdety. Ale wiem też, że między nami stoi przeszkoda, sporej wielkości przeszkoda: Benji. Po tym, jak zaprosiłaś mnie do Ikei, wysłałaś mejle do Chany i Lynn, żeby zwróciły uwagę na tweety Benjiego:

Straszne, co? Martwię się o niego. :(

Najwyraźniej źle mi idzie tweetowanie z jego konta. Miały cię od niego odsuwać, ale ty wciąż się przejmujesz jego losem. Lynn i Chana przekonują cię, żebyś przestała:

Lynn:

Beck, to nic strasznego, kiedy facet cię rzuci. Zdarza się.

Chana:

Założę się, że siedzi na jachcie na Saint-Barthélemy z jakimś artystycznym kurwiszczem i opowiada jej, jak to strasznie się o ciebie martwi. Mówię poważnie, B, zaczynam myśleć, że Peach ma rację. I źle się z tym czuję. Jedno jest pewne: musisz wreszcie go sobie odpuścić.

Słusznie piszą, ale twoja miłość łatwo nie umiera i przyznaję, że to moja wina, to ja namieszałem ci w głowie tweetami, i obiecuję, że postaram się to naprawić. Zasługujesz, żeby przeciąć tę pępowinę łączącą cię z Benjim. Przecież nie możesz zakochać się we mnie, kiedy on wciąż zatruwa twoje myśli.

Mam serce, tak jak ty, więc postanawiam zaszaleć. Kupuję ulubione rzeczy księżniczki Benji: wegańskie burrito, sojową latte, półlitrowe opakowanie lodów bezmlecznych i egzemplarz „New York Observera”. Reaguje pozytywnie, jest wdzięczny, pożera burrito i opłakuje śmierć Lou Reeda.

– Z jego inspiracji zrobiłem mnóstwo dobrych i mnóstwo złych rzeczy.

– Jaką piosenkę najbardziej lubisz?

– Lubię wszystkie, żadnej nie faworyzuję – oświadcza. – Wyróżnianie pojedynczych dzieł artysty prowadzi do umniejszania jego wpływu na

kulturę. Nie chodzi o wskazywanie ulubieńców, lecz o świadomość wartości całokształtu jego twórczości.

Typowe. Jestem gotów do wysłania ostatniego tweeta z konta Benjiego, który wylizuje wieczko pudełka po lodach. Ma wilczy apetyt. Jest w nim pustka, której nie sposób zapełnić, pustka pasująca do prywatnej szkoły, gdzie brak siły woli nazywa się kreatywnością. Przestaję go słuchać i piszę na jego Twitterze:

> Spalone po filtr, wylizane do sucha. #mamcrack #mammetę #aintgotnothingatall #RIPLouReed

Naciskam tweetnij. Cicho jakoś. Zaglądam do klatki. O kurwa, Benji dorwał się do towaru, kiedy zajmowałem się jego telefonem. Na podłodze leżą torebki, obok karta.

– Benji! – wołam.

Cisza. Nie tak to miało wyglądać. Podchodzę do klatki. Znów krzyczę, ale się nie porusza. Na jego górnej wardze dostrzegam biały proszek, nigdy nie widziałem, żeby narkotyki wyglądały tak… nieefektownie. Wiem, że pociągał od czasu do czasu, ale przymykałem oko, choć nie znoszę prochów. Nigdy nie ćpałem. Czy to ma być kara dla mnie za unikanie dragów? Żałuję, że nie mogę zrobić zdjęcia i przesłać go tobie, żebyś zobaczyła, jak Benji potrafi się upodlić. Nie, nie mogę. Wreszcie odzyskuje świadomość. Czuję ulgę, że się nie przekręcił, chociaż mógłbym go zabić, banał, myślę, unosząc pięść.

– Okej – mówi i kręci głową. – Benjiemu urwał się film. Zabij Benjiego.

– Daruj sobie – odpowiadam. – Nie jestem w nastroju.

Bo nie jestem. Przecież to nie tak, że bawi mnie usypianie ludzi, nawet jeśli człowiekowi, któremu to robię, do tego stopnia brakuje odwagi i wyobraźni, że musi się faszerować narkotykami akurat wtedy, kiedy powinien walczyć o życie.

– Zabiłeś mnie już?

– Zjadaj lody.

– Co to za lody – śmieje się – skoro nie ma w nich mleka?

– Zamknij się i jedz! – krzyczę.

Śmieje się i macha rękami i już wiem, dlaczego na ten narkotyk mówi się *smack* – bo mam teraz ochotę trzasnąć Benjiego w ryj. Liże lody w pojemniku i w tej chwili wygląda jak najgorszy ćpun. Czy na pewno to właśnie w nim tak się kochasz, Beck? Sięga po „Observera” i próbuje przedrzeć go na pół, ale jest tak najebany, że nie daje rady, potem wstaje, chwiejąc się.

– Siadaj, Benji.

– Zabiłeś mnie już?

Jest jak zombie, kaleka jeden, i znowu gada:

– Joe, stary, proszę cię. Nie powiesz, że to nie zabawne. Dziewczyna łazi za mną ze sto lat, zachowuje się jak stalker i proszę, dokąd przez nią trafiłem. Jestem martwy! Bo ty łazisz za nią!

– Nikt za nikim nie łazi.

– Z wyjątkiem ciebie, Joe – ucina. – Nie mam co robić, więc myślę, wiesz? I rozumiem. Wtedy, w metrze, wcale nie trafiłeś na nią przypadkiem. Powiem ci szczerze, że jeśli naprawdę tak ci na niej zależy, jeśli naprawdę, ale to naprawdę nie chcesz mi wierzyć, kiedy mówię ci, że ona ma nierówno pod sufitem, to proszę bardzo. Niech ci będzie.

– Niech będzie.

Znów jęczy. Typowe dla takich jak on, że takie jak ty oskarżają o „łażenie” za nimi, o bycie stalkerkami. Już słyszę tych palantów z miasta, co to się przechwalają, że mają swoje „panny stalkerki” – niezły dowcip, co, Beck? Chyba nie ma faceta, którego mogłoby zmartwić – a co dopiero zaniepokoić! – zainteresowanie z twojej strony. Łazisz za nim. Stalkerka. Pieprzenie w bambus. Dziecinada. Odwracam się, chcę wyjść. Krzyczy za mną:

– Zaczekaj!

Czołga się do klatki, rzuca kartę, której używa do robienia kresek.

– Bierz.

– Po co mi to?

– Magazyn – mówi. – Jestem kleptomanem, Joe.

– Nie mam na to czasu.

– Karta otwiera skrytkę. – W jego głosie pobrzmiewa desperacja. – Adres jest na odwrocie. Nikt o niej nie wie. Stephen Crane.

– Nie nazywasz się Stephen Crane.

– Nazywam dla gościa, u którego wynająłem skrytkę. – Uśmiecha się, jebana heroina. – *Szkarłatne godło odwagi* to jedyna książka z tej listy, którą przeczytałem.

No jasne, że jedyna. Kolesie tacy jak Benji całą pracę domową odrabiają w podstawówce, żeby później nie musieć się wysilać.

– Weź wszystko, co tam jest, Joe. Sprzedaj to. Zastaw. Zrób, co zechcesz – zawodzi. Wyobrażam go sobie w Disneylandzie, jak urządza scenę, bo jest mu za gorąco. – Proszę cię, Joe. W skrytce jest tego całe mnóstwo. Zacząłem kraść, kiedy nauczyłem się chodzić. Spytaj moich rodziców. Cześć, mamusiu.

Przysypia. Tylko żeby mi tu nie umarł. Dbam o niego, bo tobie na nim zależy, i chcę, żeby wyzionął ducha honorowo, kiedy nadejdzie jego czas. Nie chcę, żeby wykitował naćpany i zaszczany, rozdając majątek. Z marynarki wyleciały jeszcze dwie torebki prochów, muszę mu je zabrać, żeby nie przedawkował, kiedy będziemy w Ikei. Zaczyna podśpiewywać *Walk on the Wild Side*. Uderzam maczetą w klatkę.

– Przestań.

– Joe, Joe zły. – Ślini się, jego słowa i mózg przypominają roztopione masło.

Przysyłasz mi esemesa:

Gotowy?

Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Benji przygląda mi się rozbawiony.

– Ona nie jest tego warta.

Odpisuję:

Daj mi godzinę, urwanie głowy w pracy.

Benji wyjmuje e-papierosa z tej swojej zasranej marynareczki, pogwizduje i nagle, nie wiedzieć czemu, to ja czuję się, jakbym siedział w klatce.

– Joe, to wariatka.

Odpowiadam mu, że jest na haju, ale głos trochę mi się łamie. On mocno się zaciąga sztucznym fajkiem, prawdziwy z niego nałogowiec, nie ma co. Gawędziarz z niego, a ze mnie słuchacz, mógłbym wbić sobie tę maczetę w stopę i niczego by to nie zmieniło.

– Chcesz się czegoś dowiedzieć o Beck? – pyta; nie zmusi mnie, żebym powiedział: „Tak”. – No więc powiem ci. Jej zależy wyłącznie na pieniądzach. Na bogatych kolesiach. Kiedy byłem na ostatnim roku, przyszła do mnie do mieszkania i udawała sprzątaczkę. Oczywiście wiedziałem, że nią nie jest, ale ją wpuściłem. Nie kazałem jej zrobić mi loda, Joe. Tak jak nie kazałem jej wyszorować kibla. Ale zrobiła i jedno, i drugie.

– Jesteś nawalony – mówię, ale brzmię coraz mniej przekonująco, wręcz żałośnie.

Rechocze.

– Joe, do cholery, jasne, że jestem nawalony.

Próbuję wyrzucić z myśli obraz ciebie robiącej mu laskę, ale mi się nie udaje.

– Skoro tak bardzo zależy jej na pieniądzach, to dlaczego cieszy się z naszego popołudniowego wyjścia?

– Popołudniowego? – Znowu się śmieje. Kurwa mać. – Słabo, Joe. Nawet nie załapałeś się na wieczór.

Jest jak ptak w klatce. Pan Mooney się mylił. Ptak, który myśli, że lata, jednak j e s t szczęśliwy. On cię nienawidzi, a ty go kochasz i wszystko jest nie tak. Stoję tu, chociaż nie chcę, a ten skurwiel leży rozpłaszczony na podłodze.

– Spotykamy się po południu, bo jedziemy do Ikei kupić nowe łóżko dla niej – mówię i chuj mu w dupę raz a porządnie.

Przeszywa mnie wzrokiem. Nic. Potem skręca się jak pies na słońcu i wybucha śmiechem.

– Ze mną zrobiła to samo. Ujeżdżała mnie przez całą noc. Potem zaczęła pieprzyć o jakiejś durnej czerwonej chochli i próbowała wyciągnąć do Ikei.

Nic nie wiem o żadnej „durnej chochli”. Dostaję esemesa od ciebie:

Do zob za 45 min :)

Nie ujeżdżałaś mnie przez całą noc. Benji cię naśladuje: „Zabierz mnie do Ikeeeiii, Benji. Ślicznie proszę w imieniu swoim i czerwonej chochelki”. Śmieje się, jęczy i już nikogo nie imituje.

– Skoro tak bardzo chce klapsa chochlą, to niech sobie znajdzie jakiegoś zboka w internecie, co nie?

Nieważne, co zrobię ani jak bardzo się postaram, zawsze koniec będzie taki jak ten: zostanę złapany w pułapkę przez gościa, który więcej ma i więcej wie. Nie pozwolę mu wygrać. Otwieram klatkę, Benji próbuje uciec. Sprzedaję mu kopniaka i zapędzam w róg, jak psa, którym jest, sprzątam z podłogi resztki narkotyków, wrzucam je do sedesu i spuszczam wodę. Dziękuję mu za śmieci ze skrytki, wybucha płaczem i od razu czuję się lepiej. Myliłem się. Rządzę. Niech sobie zatrzyma tę czerwoną chochlę, ja mam klucz.

14

Uśmieszek cholernego samozadowolenia nie schodzi z twoich ust od chwili, w której położyłaś swoją dłoń na mojej i uparłaś się, że zapłacisz za bilety na prom do Ikei. Wyglądasz jak nadęta w tych białych dżinsach, których nigdy wcześniej na tobie nie widziałem; dżinsy są sygnałem, że dziś nie zamierzasz się wysilać. Na nogach masz japonki, twoje pomalowane paznokcie u stóp błyszczą, włosy uczesałaś w kok, nie widzę żadnych malinek. „Strasznie" się cieszysz, że zgodziłem się na „wypad", i obiecujesz, że będzie fajnie – lepiej się bardzo postaraj, bo kiedy do mnie mówisz, widzę twoje usta jako otwór, w który Benji wsuwa swojego kutasa, i myślę o „zabawnej" wymianie mejli pomiędzy tobą a przyjaciółkami:

Ty: Joe pojedzie. Mam tragarza. Punkt dla Beck!

Chana: LOL. Ale wiesz, że będziesz musiała zrobić mu laskę albo przynajmniej dogodzić ręcznie.

Ty: Nie, nie. Joe nie będzie skręcał łóżka, tylko ze mną po nie jedzie.

Lynn: Słuchaj, a gdybyś go poprosiła, zamontowałby mi klimę?

Chana: Lynn, chcesz zrobić Joemu laskę?

Lynn: Obleśna jesteś.

Ty: Spokojna głowa, nikt nikomu nie będzie robił laski.

Spotykamy się na nabrzeżu i całujemy na powitanie jak Europejczycy, jak para platonicznych znajomych. Dobrze, że przynajmniej na promie siedzimy obok siebie. Bierzesz mnie pod rękę. Nie umiem powiedzieć, czy jesteś rozpalona, czy ci zimno. Uśmiechasz się.

– Trudno mi uwierzyć, że nigdy nie byłeś w Ikei – mówisz.

– A ja nie mogę uwierzyć, że ty byłaś.

– Och, uwielbiam ten sklep – mówisz i przysuwasz się bliżej. – Zaczekaj, aż zobaczysz ekspozycję, te w pełni urządzone pokoiki. Chodzisz od jednego saloniku do drugiego i nie wyjdziesz, dopóki nie obejdziesz całego sklepu. Jest w tym coś magicznego. Gadam jak potłuczona?

– Wcale nie – odpowiadam. Naprawdę nie. – Mam to samo, jeśli chodzi o księgarnię. Wiesz, chodzę między regałami i wydaje mi się, jakby na półkach stał cały świat, najważniejsze opowieści wszech czasów. I na dole, w klatce, też.

– Przepraszam, powiedziałeś: „w klatce”?

– Rzadkie egzemplarze, Beck. Należy je trzymać w bezpiecznym miejscu.

– Usłyszałam słowo „klatka” i pomyślałam o zwierzętach.

Benji już pewnie nie śpi. Wspaniałe powietrze na promie.

– Nie, już prędzej jak w kasynie. Trzymają pieniądze w klatce.

– Co takiego jest w sklepach?

– Hm?

– Ty lubisz sprzedawać, a ja jestem uzależniona od zakupów, i to w najbardziej stereotypowy, dziewczyński sposób. Uwielbiam szwendać się po sklepach. Wiesz, mogę mieć najgorszy ze złych nastrojów, a wystarczy, że skoczę do Ikei, wyjdę stamtąd z… – milkniesz. Czy o to chodzi? Czerwona chochla, czerwona chochla, czerwona chochla. – …z paroma podkładkami pod talerze i czuję się jak nowo narodzona.

Kurwa.

– To dobrze. To miłe uczucie.

Może jeśli podzielę się z tobą przywiązaniem do jakiegoś przedmiotu, ty podzielisz się ze mną chochlą. Wyjmuję z kieszeni pilota do klimatyzacji i przypominam sobie, że myślałem o tej chwili, zanim się poznaliśmy. Spoglądasz na niego, ale nie dotykasz, dopiero kiedy mówię, że możesz dotknąć, bierzesz go do ręki. Uśmiechasz się.

– Nowoczesne cacko.

– To najważniejsza rzecz, jaką mam. Pilot steruje nawilżaczami powietrza i klimatyzatorami w klatce – mówię. – Gdybym dopuścił do

wzrostu temperatury i wilgotności, książki by się rozpadły, zniknęłyby na zawsze. Co jak co, ale Gertrude Stein nie wstanie z grobu, żeby złożyć autograf.

– Mam gęsią skórkę – mówisz i się uśmiechasz. Chochla? – Wiesz, Joe, byłbyś niezłym pisarzem.

– Skąd wiesz, że nie jestem? – odpowiadam. Podoba ci się to, więc ciągnę wątek: – Twoi rodzice muszą być z ciebie dumni. W końcu będziesz magistrem sztuki.

Jesteś rozbawiona. Spoglądasz na wodę, podążam za twoim wzrokiem, nadal mnie dotykasz, a ja bym chciał, żebyś mnie pocałowała, wyciągnąłbym kutasa Benjiego z twoich ust, bawisz się włosami, zamiast trzymać mnie za rękę.

– Nie mam rodziców – oznajmiasz. – Mam mamę, ale jest sama.

Zerkam na pozostałych pasażerów promu płynącego do Ikei. Różnią się od nas. Rozmawiają o ławach do salonu i szwedzkim jedzeniu. Jesteśmy wyjątkowi. Właśnie się w sobie zakochujemy.

– Przykro mi – mówię. Naprawdę mi przykro.

– Tata umarł – dodajesz.

– Przykro mi – powtarzam. Naprawdę mi przykro.

– Nie wiem. – Milkniesz i w twoich oczach pojawiają się łzy, ale może to od wiatru. Wiesz, że mogłaś poprosić wielu facetów, kolegów z zajęć, kogoś z internetu. Ale poprosiłaś mnie. – Zdarza mi się płakać bez powodu. Śmierć to coś okropnie ostatecznego, rozumiesz? Nie ma go, odszedł i nie wróci. Nie żyje.

Wycierasz oczy. Nie pozwolę, żebyś tę chwilę słabości obróciła w żart.

– Kiedy umarł?

– Niecały rok temu.

– Beck.

Patrzysz na mnie, kiwam głową i nagle rozpadasz się w moich ramionach. Wygląda, jakbyśmy się obejmowali, jakbyśmy byli jedną z wielu młodych par, jadących do Ikei, żeby urządzić sobie gniazdko i zjeść przereklamowane klopsiki. Nikt poza mną nie słyszy twojego płaczu. Próbujesz się uwolnić, ale trzymam cię mocno, twoje wielkie oczy Natalie

Portman lśnią, a policzki są czerwone. Po drugiej stronie siedzi starsza para, mężczyzna kiwa do mnie z uznaniem, jakbym był co najmniej Kapitanem Ameryką. Jesteśmy prawie na miejscu, wycierasz łzy.

Chcę jeszcze. Próbuję:

– Opowiedz mi o swoim tacie. Jaki był?

Wzruszasz ramionami. Chciałbym jakoś poruszyć temat czerwonej chochli, ale przecież nie mogę zapytać wprost. Wzdychasz.

– Uwielbiał gotować.

– Ja też lubię gotować – mówię.

Nauczę się. Czerwona chochla, czerwona chochla, czerwona chochla.

– Dobrze wiedzieć – odpowiadasz i zakładasz nogę na nogę. – Psychiatra, do którego chodzę, powiedziałaby, że przekraczam granicę.

– Chodzisz do psychiatry?

– Do doktora Nicky'ego – odpowiadasz.

Kiwam głową.

– O Jezu, Joe, po co ci to mówię? Co jest ze mną nie tak?

– To chyba pytanie do doktora Nicky'ego – mówię.

Uśmiechasz się. Jestem zabawny.

Teraz już rozumiem, co oznacza „Angevine" we wtorki o trzeciej w kalendarzu w twoim telefonie. Doktor Nicky Angevine. Bingo! Mówię, że nie ma się czego wstydzić, i naprawdę tak myślę.

– Serio, Beck – dodaję pocieszająco – chodzenie do psychiatry jest w porządku.

– Większość facetów nie chce słyszeć o takich rzeczach – stwierdzasz. – Większość facetów zniechęciłabym czymś takim, płakaniem, psychiatrą, zakupami i w ogóle.

– Znasz zbyt wielu facetów – mówię.

Uśmiechasz się i wiesz, że mnie potrzebujesz, kiwasz głową, jakbyś się zgadzała, jakbyś wyrażała zgodę na nas, widzisz światło, odzywa się syrena promu. Całujesz mnie.

W filmie *500 dni miłości* Ikea jest najbardziej romantycznym miejscem pod słońcem. Joseph Gordon-Levitt i dziewczyna wchodzą do kuchni, ona jest

w niego wpatrzona, udaje, że przygotowuje mu kolację, a kiedy okazuje się, że kran nie działa – dowcip polega na tym, że wszystkie urządzenia to tylko rekwizyty – Joseph wstaje, zmierza do drzwi i przechodzi do drugiej kuchni. Ona patrzy na niego z podziwem i mówi: „Właśnie dlatego kupiliśmy dom z dwiema kuchniami". Obejrzałem ten fragment chwilę po tym, jak wysłałaś tweeta, że chcesz jechać do Ikei, i chociaż nie jestem kretynem, któremu wydaje się, że życie wygląda tak jak na filmach, to jedno trzeba powiedzieć: życie w Ikei nie wygląda jak życie w Ikei na filmach.

W prawdziwym życiu nie nazywam się Joseph Gordon-Levitt i muszę pchać wielki metalowy wózek, lawirując w tłumie ludzi, podczas gdy ty pokazujesz palcem sofy, których nie potrzebujesz, regały, na które nie masz miejsca, i piekarniki z kartonu. Alejkami tego gigantycznego magazynu spaceruje chyba milion osób. To dystopijny koszmar, który się spełnił: wszystkie meble wycięte z jednego kawałka taniego drewna, wszystkie pomieszczenia urządzone przedmiotami, które wyszły z tej samej fabryki. Śmierdzi potem, odświeżaczami powietrza, dziecięcą kupą, pierdami, klopsikami, lakierem do paznokci i jeszcze większą ilością dziecięcej kupy – czy nikt już nie korzysta z usług opiekunek do dzieci? – poza tym jest głośno, Beck, nie słyszę połowy z tego, co mówisz, bo twój głos nie może się przebić przez głosy innych ludzi. Staram się nie zastanawiać, gdzie pośród stosów tego lśniącego nowością gówna mogą leżeć czerwone chochle.

W filmie *500 dni miłości* dziewczyna proponuje Josephowi wyścig z kuchni do sypialni i kamera podąża za obojgiem, gdy biegną aleją. Laska rzuca się na materac, po chwili dołącza wlekący się Joseph. Kładzie się na niej, ona go pragnie, to widać. Joseph szepcze: „Kochanie, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale w naszej sypialni jest chińska rodzina".

W prawdziwym życiu również chodzi za nami chińska rodzina, ale w niczym nie przypomina tej cichej i spokojnej z filmu. Ciągną ze sobą małego chłopca, który non stop wrzeszczy, i małą dziewczynkę, która wali kupy w pieluchę i się ślini. Czuję się, jakby nas śledzili, i jeśli zaraz nie przestaną się kłócić, chyba stracę cierpliwość. Drą się, kurwa, jak opętani,

tak że nie słyszę, co mówisz. Sięgasz po żółtą poduchę z frędzlami, a mnie wnerwia to, że nie dociera do mnie ani jedno twoje słowo. A może powiedziałaś coś ważnego? Może wyjawiłaś mi jakiś sekret, a ja go przegapiłem?

Przepraszasz i odchodzisz, przeciskając się obok Chinki, która nagle się zatrzymała, bo zobaczyła byle jaki okrągły stolik. Mogłaby się przesunąć, bo blokuje alejkę, ale tego nie robi. Wracając do mnie, szorujesz po tylnej ściance wielkiego szarego szmelcu, który tu nazywają sofą. Baba ma tupet, mam ochotę jej przygadać, ale łapiesz mnie za rękę, może to i lepiej.

– Dotknij – mówisz.

Wciskasz mi w dłoń poduchę. Spoglądam w dół i widzę twoje czarne majtki wystające spod białych dżinsów. Wysunęły się, bo wciąż biegasz po sklepie i oglądasz to i tamto. Trzymasz mnie za rękę, czuję twój oddech, nie pachniesz jak Ikea i nagle, tak po prostu, mi staje.

– Miękka, co nie?

– No – odpowiadam.

Chińczyk wali pięścią w stół. Łup! Oboje aż podskakujemy. Upuszczasz poduszkę i czar pryska. Gdyby to było *500 dni miłości*, nie słyszelibyśmy go, bo graliby, tylko dla nas, Hall & Oates. Sięgasz po inną poduchę, tym razem różową. Każesz mi dotknąć.

– A ta?

Jestem jak wosk w twoich rękach, masz kok na głowie, nawet na mnie nie patrzysz, choć wiesz, że ci się przyglądam, uśmiechasz się, wpatrujesz w moje dłonie na poduszce i szepczesz:

– Myślę, że jest okej.

– Ja też – odpowiadam szeptem.

Przez ostatnie dwie godziny ledwo cię słyszałem i teraz twój głos brzmi bosko. Brakowało mi go.

Spoglądasz na mnie słodkim wzrokiem.

– To jest to, czego szukam.

– Tak – odpowiadam. Dokładnie tak.

– Łatwo poznać, kiedy coś jest dobre, bo większość rzeczy jest po prostu do niczego.

– Tak – przyznaję i wiem, że masz na myśli nas, a nie szwedzkie barachło za dwanaście dolarów, ale nie chcesz na mnie spojrzeć, jeszcze nie chcesz mnie do siebie wpuścić. Pierdolę to. Podoba mi się, jak jest, więc się wproszę.

– Słuchaj, Beck – zaczynam.

– Tak? – zachęcasz, nie odrywając wzroku od poduszki.

– Lubię cię.

Uśmiechasz się.

– Tak?

– Tak – mówię.

Kładę dłoń na twoim ramieniu i dopiero wtedy podnosisz głowę. Stoimy tak blisko siebie, że dostrzegam krostki, które zawsze maskujesz, i to, że rano nie wyskubałaś brwi, bo jeszcze nie zdawałaś sobie sprawy, że będziesz mnie pragnąć. Widziałem, że wyszykowanie się zajęło ci równo pięć minut.

– Bierzemy tę poduchę? – pytasz.

– Tak – mówię.

Niedługo, już niedługo będę w tobie. Właśnie zawarliśmy pakt, oboje o tym wiemy. Nie jestem pewien, kto kogo bierze za rękę, ja ciebie czy ty mnie, nieważne, trzymamy się za ręce, przyciskasz do piersi poduszkę, przemykamy od sypialni do sypialni, pomagasz mi pchać wózek. Idziemy obok siebie, jak para z długim stażem albo jak para, która od niedawna jest razem, i wiesz co, Beck?

Okazuje się, że Ikea to jednak zajebiste miejsce.

Podchodzisz do łóżka o nazwie Hemnes, oglądasz stelaż, spoglądasz na mnie i pytasz:

– Może być?

– Może – mówię.

Kiwasz głową. Chcesz, żeby podobało mi się łóżko, które wybierzesz, bo wiesz, że to będzie n a s z e łóżko. Z tylnej kieszeni wyjmujesz ołóweczek i zapisujesz litery i cyfry.

Wręczasz mi karteczkę i oznajmiasz z uśmiechem:

– Sprzedane!

Innym dziewczynom zajęłoby to cały dzień, odchodziłyby i wracały, wahały się, ale ty jesteś osobą cudownie zdecydowaną, szaleję za tobą. Cmokasz mnie w policzek i każesz usiąść na „moim nowym łóżku”, a sama biegniesz do toalety, może na siku, a może nie. W każdym razie wysyłasz mejl do gościa z craigslist, którego wynajęłaś do złożenia nowego mebla:

> Cześć, Brian, mówi Beck, w sprawie ogłoszenia. Słuchaj, przepraszam, ale muszę odwołać. Mój chłopak dostał dzień wolny w pracy, więc jednak nie potrzebuję pomocy. Jeszcze raz przepraszam! Beck.

Chłopak. Kiedy wracasz z łazienki, masz lekko zaczerwienione powieki, widać szybko poprawiłaś brwi, świecą ci się usta, a cycki są jakby trochę wyżej. Uśmiechasz się i jeszcze chwilę, a pomyślę, że właśnie sobie dogodziłaś. Bierzesz głęboki oddech i klaszczesz w dłonie.

– To co, mogę cię zaprosić na klopsiki?

– Nie – mówię. – To ja zapraszam ciebie.

Uśmiechasz się, ponieważ jestem twoim chłopakiem. Przed chwilą sama mnie tak nazwałaś, Beck. Tak, tak. Zostawiamy wózek przed restauracją, straszny tu hałas, w dodatku milowa kolejka, ale mówisz, że warto zaczekać. Paplasz o klopsikach, a ta cholerna chińska familia stoi przed nami – jak im się udało nas wyprzedzić? Zamówienie zajmuje im wieczność, przeganiają nas w kolejce i w życiu – są małżeństwem, mają dzieci. Markotnieję, kiedy uświadamiam sobie, że użyłaś słowa „chłopak” w mejlu do jakiegoś gościa z craigslist, a nie w wiadomości do przyjaciółki. A jeśli nie napisałaś tego na poważnie, tylko ot tak, na odczepnego? A jeśli szybko zdecydowałaś się na łóżko, bo wcześniej wypatrzyłaś je w internecie? A jeśli nie obchodzi cię, co myślę? A jeśli wcale nie uśmiecha ci się perspektywa pójścia ze mną do łóżka, założenia ze mną rodziny? Chiński ojciec nie może się zdecydować, mam już tego dość, sięgam więc ponad jego ramieniem i biorę drugą chochlę, sterczącą z pojemnika z klopsikami. C h o c h l a. Chińczyk posyła mi gromiące spojrzenie, a ty przepraszasz go, jakbym to ja był tym złym; wciąż nie powiedziałaś mi o czerwonej chochli. Patrzysz na mnie.

– Coś się stało, Joe?

– Byli nieuprzejmi.

– Po prostu jest tłok – stwierdzasz i pewnie myślisz, że jestem zbyt surowy. Bo jestem.

– Przepraszam – mówię.

Opada ci szczęka. Zamykasz ją, otwierasz szeroko oczy, jesteś zdumiona.

– Przepraszasz, kiedy się pomylisz. Pozwalasz mi spędzić dwie godziny na oglądaniu kanap, których nie potrzebuję. Joe, czy ty naprawdę istniejesz?

Posyłam ci promienny uśmiech. Istnieję. Kiedy Chinka odpycha moją rękę, bo sięga po serwetkę, nawet nie reaguję. Nie muszę powstrzymywać złości, bo wcale nie jestem zły. Nakładasz sobie klopsiki, ja płacę (jestem twoim chłopakiem!), wybierasz stolik, idę za tobą. Wreszcie siadamy.

– Wiedz, Joe, że na pewno pomogę ci złożyć łóżko.

– Ależ oczywiście, moja panno.

Przecinasz klopsika na pół, wkładasz kawałek do ust i przeżuwasz, mmm. Moja kolej. Nadziewasz drugą połówkę, otwieram usta. Jestem twoją prywatną foką, otwieram usta, wkładasz mi pół klopsika, zamykam, przeżuwam, mmm. Chińska rodzina znowu przerywa wieczną kłótnię, tym razem kiedy chłopiec zaczyna nawalać łopatką w biały stolik; przypominam sobie, że wciąż nie powiedziałaś mi o czerwonej chochli i nagle klopsiki smakują jak gówno. Benjiemu powiedziałaś, mi – nie. Czemu?

– Wszystko w porządku, Joe?

– Tak, tak – kłamię. – Właśnie sobie przypomniałem, że muszę zrealizować zamówienia ze strony internetowej księgarni.

– To się nawet dobrze składa – podchwytujesz. – Zdążę wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku, a potem możemy się spotkać.

Wszystko pięknie, ale nadal nie wspomniałaś o czerwonej chochli i widzę, że chyba nigdy tego nie zrobisz. Biorę sprawy w swoje ręce.

– Muszę coś znaleźć.

– Tak? – Brzmi to, jakbyś nie dowierzała. – A co takiego?

Nie mogę powiedzieć, że chochlę.

– Łopatkę.

– Joe i jego łopatka – mówisz. – Jak tytuł książeczki dla dzieci.

Chińska rodzina przechodzi obok nas, spieszy się do kolejnej atrakcji w tym plastikowym zoo. Spoglądasz za nimi tęsknym, a może pożądliwym, wzrokiem, który pada na pełny wózek. Idziemy dalej. Szukam przyborów kuchennych. Wzdychasz.

– Jestem wykończona.

– Tylko znajdę tę łopatkę i możemy uciekać.

Masz dość, nie chce ci się.

– Poczekam tu z wózkiem.

– Mogłabyś jednak pójść ze mną? – proszę. – Poprzednia, którą kupiłem, do niczego się nie nadawała.

Razem idziemy do PRZYBORÓW KUCHENNYCH, nie spieszę się, mam nadzieję, że łopatki będą leżały tuż obok chochel. Dostrzegam czerwone chochle i moje serce zaczyna mocniej bić. Nie reagujesz. Potrzebujesz zachęty. Podnoszę chochlę.

– Może kupię wszystko czerwone – mówię. – Czy to nie będzie słabe?

Przyglądasz się czerwonej chochli.

– Dziwne.

– Co?

Wreszcie, wreszcie! Pieścisz czerwoną chochlę, którą trzymam w dłoni, i opowiadasz mi związaną z nią historię. Byłaś małą dziewczynką, spałaś w łóżeczku i w każdą niedzielę budził cię zapach naleśników. W niedziele, tylko w niedziele, tata używał swojej specjalnej czerwonej chochli. Podśpiewywał, słuchając listy przebojów, choć mieszały mu się refreny, i rozśmieszał ciebie, twojego brata i siostrę tak, że w sobotę wieczorem nie mogłaś zasnąć, bo cieszyłaś się na niedzielny poranek. Ale potem zaczął zaglądać do butelki. Niedziele odeszły w zapomnienie, czerwona chochla spoczywała w szufladzie, a naleśniki matki były tłuste i przypalone albo surowe i niedosmażone. Ojciec umarł, chochla nadal leży na swoim miejscu, kiepskie naleśniki pachną jak dobre naleśniki, ale już nigdy więcej ich nie zjesz. W twojej słodko-gorzkiej opowieści nie ma nic nieprzyzwoitego, więc pieprzyć Benjiego, bo przez niego poczułem się beznadziejnie.

– Ta chochla wciąż tam jest, w naszym domu, jak gdyby czekała na jego powrót – mówisz. – Życie jest okrutne.

Kładę dłonie na twoich ramionach, patrzysz na mnie wzrokiem pełnym wyczekiwania.

– Kupię ją. Dla ciebie – mówię.

– Joe.

– Żadnego „ale”, „jeśli” i „albo”.

Świat się zatrzymuje, oczy zaczynają ci błyszczeć. Żaden Benji nie zrozumie, czego pragniesz: kogoś, kto będzie ci smażył naleśniki. Nie obchodzą cię pieniądze. Wcale nie chcesz dostawać klapsów tą łychą. Pragniesz miłości. Twój ojciec miał czerwoną chochlę, teraz ja mam czerwoną chochlę i nasmażę ci naleśników, za którymi tak tęsknisz i których nie jadłaś od jego śmierci. Cieknie ci ślinka, zgadzasz się potulnie.

– Dobrze, Joe.

Wybierasz srebrną chochlę.

– Na nowy początek – mówisz i masz rację.

Jestem twoim chłopakiem.

15

Przecinam Siódmą Aleję i uśmiecham się do każdej mijanej osoby. Jestem szczęśliwy. Unoszę się nad chodnikiem. Jest jak we śnie i gdybym nagle zaczął śpiewać i tańczyć, nie zdziwiłbym się, że przechodnie do mnie dołączają. Ależ magiczny dzień. Myślę o tobie, jesteś u siebie, bierzesz prysznic i golisz nogi, żeby były idealnie gładkie – dla mnie – myjesz zęby, usuwasz resztki klopsików. Mam ochotę dotykać całą ciebie, skręcam w Bank Street i jestem beztroski jak facet w reklamie piwa.

Nie jest wykluczone, że dziś wieczorem będziemy uprawiali seks, choć naprawdę nie sądziłem, że tak szybko zajdziemy tak daleko. Benji nadal przebywa w swoim świecie, wstawiam do szuflady sałatkę i butelkę Home Sody, wystarczy mu na kilka godzin. Jestem wolny, wchodzę po schodach i staję przed drzwiami twojego budynku. Naciskam dzwonek i czekam, aż podejdziesz. Podchodzisz.

– *Entrez-vous* – chichoczesz.

Jestem w holu. To się dzieje naprawdę, będziemy się pieprzyć. Twoje włosy są mokre, po krostkach ani śladu. Nie masz stanika pod koszulką na ramiączkach ani majtek pod workowatymi, wytartymi dresami. Nie masz też skarpetek.

– Flejtuch ze mnie – usprawiedliwiasz się, otwierając drzwi, i mam ochotę odpowiedzieć, że przecież wiem, ale nie robię tego.

– Nie jest tak źle – mówię i nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić.

Dziwnie się tu czuję z tobą, mieszkanko jest małe, rzeczywiście przeznaczone tylko dla jednej osoby. Stoisz przede mną, opierając dłonie na biodrach, i rozglądasz się, patrzysz na typowo dziewczyński bajzel: kolorowe gazetki, romansidła, puste butelki po napojach energetyzujących,

kupony, paragony, nowe, nieczytane książki, wymieszane ze starymi, ulubionymi i pochłanianymi wielokrotnie. Wygląda to jak śmieciowe pole minowe i być może właśnie dlatego tak bacznie mu się przyglądasz. Po lewej stronie znajduje się aneks kuchenny, na blacie stoi nowy toster, a na podłodze pudełko po nim – naprawdę lubisz nowe rzeczy. Nieco dalej, też po lewej, są drzwi do łazienki, otwarte, w środku pali się światło i działa wentylator. Wyłączam jedno i drugie. Wygląda to dziwnie, wiem, sprawiasz wrażenie niemile zaskoczonej, ale na szczęście mnie lubisz, więc obracasz sprawę w żart i się śmiejesz.

– Słusznie, Joe, czuj się jak u siebie – mówisz i wchodzisz na pole minowe, mijasz telewizor, docierasz do sypialni.

Zdejmuję marynarkę i wieszam ją na stojaku. Odwracasz się i marszczysz śliczny nosek.

– Chodź no – mówisz.

– Tak jest, moja panno – odpowiadam, przypadkiem stawiam stopę na plastikowym wieszaku, pęka, ale nie zwracam na niego uwagi.

Twój pokój. Na podłodze stoi butelka wódki i dwie nowe szklaneczki (nie z Ikei), a także papierowy kubeczek z lodem. Podnosisz go i mi podajesz.

– Spartańsko, co? – śmiejesz się.

– E tam, spartańsko to by było, gdybyś trzymała lód w ręczniku papierowym.

Chichoczesz, wsypujesz lód do szklanek i zalewasz go wódką. Siadasz na podłodze obok pudła z łóżkiem. W tle gra muzyka, Bowie z naszej randki. Siadam naprzeciwko ciebie.

– Pewnego dnia będę taką dziewczyną, która zawsze ma w lodówce dodatki do drinka – mówisz.

– Dobrze jest mieć cel w życiu.

Uśmiechasz się do mnie, podnosisz się, klękasz i siadasz bliżej. Pochylam się i kiedy biorę od ciebie szklankę, jak najbardziej celowo dotykam twojej dłoni.

– Dzięki.

– Proszę – mruczysz i nagle rozluźniasz nogi, kolana się rozsuwają i po chwili siedzisz jak jogin ze złączonymi gołymi stopami. Popijasz wódkę z lodem i spoglądasz na sufit. – Nie cierpię tych plam.

– To stary budynek. Są częścią jego historii.

– Kiedy byłam mała, chciałam mieć szklane ściany. Wiesz, takie z matowego szkła, jak w latach osiemdziesiątych.

– Lubisz nowe rzeczy – mówię.

– A ty stare – ripostujesz błyskawicznie.

– Podoba mi się tu – odpowiadam i się rozglądam. Pokój jest mniejszy, niż go zapamiętałem, albo może po prostu jest mi gorąco. Pragnę cię. – Myślisz, że nowe łóżko się tu zmieści?

– Wcześniej miałam królewskie.

Mylisz się, było jedynie podwójne i ledwo się mieściło, ale cię nie poprawiam, nie mogę. Oblizujesz usta.

– To jak, mogę zostać twoją pomagierką?

– Pomagierką nie – odpowiadam. – Uczennicą, owszem.

Rozmawiając z tobą, zawsze mówię to, co trzeba. Powiedziałem to bez zastanowienia. Lubisz pewne słowa, a ja wiem które. Wznosimy toast za nic konkretnego, opróżniamy szklanki, po czym wstaję. Podaję ci rękę, trzymam cię za dłoń, najpierw za jedną, potem za obie. Tym razem nie puszczasz, znów mam wzwód, jestem odwrócony plecami do okna i słyszę szelest liści na drzewach. Po West Fourth Street gnają auta, czuję w trzewiach ich pęd. Zmysły, Beck, całkiem dosłownie je rozpalasz, wiatr wpada przez otwarte okno i szczypie mnie w plecy. Prowadzisz moje dłonie i kładziesz je sobie na biodrach. Palce jeden po drugim wsuwasz za gumkę wytartych dresów – może nas zobaczyć każdy, kto idzie chodnikiem – i niżej, twój tyłek jest zarazem miękki i twardy, okrągły, biorę go w dłonie, puszczasz mnie, podnosisz ręce do góry i obejmujesz nimi moją głowę.

Wskakujesz na mnie i oplatasz nogami, i mógłbym dojść aż do Chin z tobą oplecioną wokół mnie, ale podchodzę do ściany, opieram cię o nią, całuję, zaciskam dłonie na twoim tyłku i podoba mi się, jak twoje pięty wbijają mi się w plecy. Łóżko nadal w kartonie. Naraz od strony drzwi

dolatuje okropny dźwięk, uderzenia metalu o metal i gwizd. Stawiasz nogi na podłodze i poprawiasz mi włosy. Ktoś dzwoni do drzwi.

– Twoja mama? – pytam.

Oblizujesz dłoń i gładzisz moją brew.

– Nie – mówisz. – Peach!

A więc to tak. Odsuwasz się ode mnie. Nie tak miało być, to był nasz czas. Biegniesz do drzwi i wpuszczasz Peach do środka i chociaż nie słyszę, co mówi, to jednak założę się, że pyta:

– Co się stało z twoimi włosami?

Odpowiadasz coś.

Wzdryga się.

– Chyba nie pieprzysz się z tym składaczem z craigslist?

Znów coś odpowiadasz.

Peach wydaje z siebie jęk.

– Beck, deser je się po obiedzie. Zastanów się, dziewczyno, przecież nawet jeszcze nie skręcił łóżka.

Za to teraz odzywasz się głośno i wyraźnie:

– Joe!

Zawołany przychodzę i kiwam głową na powitanie, Peach udaje uśmiech.

– Cześć, Josephie – mówi. – Przepraszam, że psuję wam imprezę, ale ponieważ nasza wspólna znajoma podobno wynajęła kogoś do złożenia łóżka, ja, jako jej najlepsza przyjaciółka, uznałam, że moim obowiązkiem jest wpaść i sprawdzić, co tu się wyrabia, w razie gdyby człowiek ten okazał się obłąkany.

– A tu niespodzianka! – oznajmiam, śmiejesz się, ale Peach jest nieporuszona.

Ależ ta wódka była mocna.

Zerka na ciebie.

– Mogę się wysikać?

– Jasne – mówisz. – Znów cię dopadło?

– Znów – odpowiada, zzuwa tenisówki i naraz mieszkanie wypełnia zapach jej spoconych stóp.

Peach zdejmuje różowy polar przez swoją ptasią głowę i nie wiesza go, ale rzuca na podłogę. Patrzy na mnie.

– Josephie – odzywa się. – Zdaję sobie sprawę, że dla ciebie to zapewne zbyt dużo informacji, ale musisz wiedzieć, że cierpię na rzadką przypadłość zwaną śródmiąższowym zapaleniem pęcherza. Kiedy czuję, że chcę się wysikać, muszę to zrobić natychmiast.

– Proszę cię bardzo – rzucam.

Peach wchodzi do malutkiej łazienki i nie zapala światła. Zna twoje mieszkanie. Wie, że jeśli zapali światło, włączy się wentylator i wtedy nie będzie nas słyszała. Nie ufa mi. Pewnie nikomu nie ufa.

Zaczynam się śmiać, ale uciszasz mnie i prowadzisz do sypialni. Zmieniłaś się.

– Przepraszam cię, Josephie. Joe – poprawiasz się.

– Nie szkodzi. Nic jej nie będzie?

– Nigdy nie słyszałeś o śródmiąższowym zapaleniu pęcherza?

– Śród co?

– Śródmiąższowym zapaleniu pęcherza – wyjaśniasz i przechodzisz w tryb najlepszej przyjaciółki.

Wiążesz włosy gumką, bierzesz nożyk i rozcinasz karton. Wyręczam cię, dolewasz sobie wódki, mnie pomijasz, nie uprawiamy seksu i już nie jesteś moją uczennicą. Wyjmuję z pudła ramę łóżka, śruby i klucze, ty opierasz się o okno i palisz papierosa. Opowiadasz mi o śródmiąższowym zapaleniu pęcherza więcej, niżbym chciał wiedzieć, i naprawdę nie tak to się miało potoczyć.

– Okropnie uciążliwa choroba – mówisz. – Nie może pić normalnej wody, tylko Evian. Wszystko, co je, wpływa drażniąco na jej pęcherz, nie zdoła przewidzieć kiedy, co, dlaczego i jak. W ogóle nie może jeść fast foodu, a jeśli już pije alkohol, to wyłącznie taki o wysokim pH, na przykład Ketel One albo Grey Goose, najlepiej gruszkową, bo gruszki działają łagodząco na pęcherz. W każdym razie biedactwo strasznie cierpi. Ludziom się wydaje, że Peach to snobka, ale chodzi oto, że jeśli ona zje coś śmieciowego, może jej pęknąć pęcherz.

– Na imprezie piła jägermeister – zwracam uwagę.

– Joe, nie bądź taki.

– Przepraszam, mam mętlik w głowie.

– To skomplikowana choroba – mówisz.

Znowu przepraszam, wybaczasz mi, podchodzisz, gładzisz mnie po włosach i całujesz w głowę, ale potem wracasz na swoje miejsce przy parapecie, a przecież nie pisałem się na skręcanie tego łóżka w pojedynkę. Tęsknię za tobą. Trzymałem dłonie w twoich majtkach, a teraz nawet na mnie nie patrzysz, kiedy rozmawiamy.

– Czasami, kiedy weźmie proszki i nafaszeruje pęcherz kozim serem, mlekiem albo sokiem gruszkowym, wtedy może, wiesz, jeść i pić inne rzeczy, takie jak jägermeister albo pszenica.

– Ma przechlapane – podsumowuję.

Instrukcja składania łóżka jest obrazkowa. Jedyne słowo w całej ośmiostronicowej broszurce to „Ikea”. Nie jestem wzrokowcem. Mdli mnie od twojego papierosa.

– Naprawdę ma – potwierdzasz. – Uwielbiam Chanę i Lynn, ale potrafią być dla niej strasznie okrutne. Wiesz, upierają się, żeby chodzić na pizzę albo na whisky, dobrze wiedząc, że Peach nie może jeść i pić takich rzeczy. Niefajnie.

– W pizzerii nie podają niczego, co mogłaby zjeść? – pytam.

Nie piłbym tej wódki, myślę, gdybym wiedział, że rzeczywiście będę musiał machać kluczem. Sądziłem, że skręcę łóżko rano, kiedy obudzę się na kanapie w salonie, z tobą nagą w moich ramionach.

– Beck! – woła Peach płaczliwym tonem, co za bzdura, na pewno udaje, ale ty gasisz papierosa (niedokładnie, muszę dokończyć za ciebie) i bez słowa biegniesz do niej.

Bogaci są skomplikowani. Pociągają cię ich dziwactwa i to, że ze wszystkiego robią przedstawienie. Powoli, podśpiewując Bowiego, składam łóżko i trwa to długo, długo i samotnie, a ty jesteś tam, z nią, i nie słyszę, o czym rozmawiacie, i chyba nigdy w życiu nie czułem się tak samotny, jak teraz, kiedy wkręcam ostatnią śrubę. Miałem rację: łóżko jest za duże do tego pokoju. Materac stoi oparty o ścianę; biorę go i rzucam na ramę,

zamiast delikatnie ułożyć. Chcę, żebyś tu przyszła, klasnęła w dłonie i pochwaliła moją pracę. Ale ty tylko esemesujesz z łazienki:

Joe, STRASZNIE mi przykro. Peach totalnie się rozkleiła, nie chcę zostawiać jej samej. Jest szansa, żebyś wyświadczył nam przysługę?

Cóż mam zrobić? Odpisuję:

Jasne, co tylko chcesz.

Teraz mnie wołasz, więc podchodzę do drzwi łazienki, ale ich nie otwieram. Pukam.

– Do usług, drogie panie.

Lekko, leciutko uchylasz drzwi i się uśmiechasz.

– Czy mógłbyś skoczyć do delikatesów i kupić butelkę Eviana, gruszkę i lód?

– Oczywiście – odpowiadam. – Wziąć twoje klucze?

Otwierasz usta, żeby powiedzieć: „Tak”, ale Peach sprzedaje ci kuksańca. Mówisz, żebym zadzwonił do drzwi, kiedy wrócę. Nie całuję cię przed wyjściem.

Kiedy mijam dom Graydona Cartera i wdycham powietrze West Village, jedna rzecz staje się dla mnie jasna: Benji musi odejść. Peach jest twoją najlepszą przyjaciółką, dlatego masz prawo być nadtolerancyjna wobec jej głodnych kawałków, ale masz coś w sobie, Beck, i nie jest to twoja wina, bo każdy coś w sobie ma. Dennis Lehane nazwałby to niefortunną omertą Ligi Bluszczowej i miałby rację. Postawiona przed wyborem, zawsze opowiesz się po stronie ludzi pokroju Peach i Benjiego, a nie po mojej, ponieważ jesteś lojalna w stosunku do arystokratów. Kupuję najmniejszą butelkę Eviana, jaką mają w sklepie, najbrzydszą gruszkę, jaka leży w koszu, woreczek lodu za dwa dolary i parę gumowych rękawiczek, które wkrótce mi się przydadzą.

Wlokę się noga za nogą do twojego mieszkania, nie wpuszczasz mnie do środka, tylko wychodzisz do drzwi i zabierasz reklamówkę z zakupami.

– W tym stanie naprawdę kiepski z niej towarzysz – mówisz.

– Rozumiem – odpowiadam. – A ty jak?

– W porządku. Tak jak i moje łóżko.

Uśmiechasz się i cmokasz mnie w usta, Peach cię woła, więc biegniesz do niej. Kiedy wracam przez miasto do księgarni, dobry nastrój tego dnia, cała radość z bycia twoim c h ł o p a k i e m znika pod ciężarem nienawiści, którą czuję do tego jebanego miasta za to, że rządzą nim tacy ludzie jak Benji i Peach. Dopiero kiedy docieram do księgarni, przypominam sobie, że w torbie, którą ci dałem, zostawiłem gumowe rękawiczki. Jeśli zapytasz, powiem, że chciałem wysprzątać ci łazienkę. Uwierzysz mi. Wiem, jak się robi takie rzeczy, naprawdę wiem.

Wstępuję do sklepu na rogu, gorszego niż twoje delikatesy, i biorę gumowe rękawiczki i olej arachidowy, a potem zahaczam jeszcze o Dean & DeLuca i kupuję sojowe latte. Wracam do księgarni, wlewam łyżkę oleju do latte. Benji to nałogowy kłamca. Niewykluczone, że kłamał również w sprawie alergii na orzechy ziemne, ale kto wie? Może mi się poszczęści.

16

Większość ludzi sądzi, że Stephen Crane napisał *Szkarłatne godło odwagi* o wojnie. Nieprawda. Otóż opisy bitew Crane stworzył na podstawie doświadczeń ze szkolnego boiska piłkarskiego. Sęk w tym, że w młodości nie był zapalonym sportowcem, tylko słabowitą, chorowitą cipą. Nigdy nie widział żadnej wojny; co najwyżej wywalił go z drużyny wczesnoamerykański odpowiednik pieprzonego Claya Matthewsa. Powinnaś zobaczyć minę Benjiego, kiedy mu o tym powiedziałem. Znał książkę na wylot, ale nic nie wiedział na temat jej autora, nie miał pojęcia, że Crane gardził samym sobą przez to, że weterani kupowali jego brednie. Resztę życia spędził na powolnym zabijaniu siebie, zaciągał się do wojska i jeździł na wojny po to, aby znaleźć odkupienie za młodość, za spryt i szczęście.

– Trudno w to uwierzyć – dziwił się Benji, kręcąc głową.

– Trudno uwierzyć w to, że tak bardzo uwielbiasz tę książkę, ale niczego się nie dowiedziałeś o jej autorze.

Benji nie kłamał: naprawdę ma, miał, alergię na orzechy ziemne. Zmarł z nową wiedzą. Umarł z nową pewnością siebie i nową dumą, zresztą kto powiedział, że życie musi trwać, nie wiem, osiemdziesiąt lat? Dowiedział się czegoś, rozumiesz? Ilu ludzi odchodzi z tego świata ze świadomością, że są na fali wznoszącej? Większość umiera w starości, bólu i żalu. Albo młodo, nie znając umiaru, nafaszerowana prochami – albo ma pecha. Benji dostąpił zaszczytu pożegnania się z życiem z otwierającymi się sercem i umysłem. Wiesz co, Beck? Benji był kiepski w byciu Benjim. Sama wiesz najlepiej. Spójrz na to, jak cię traktował i jak traktował twoje ciało.

Zastawiając na niego pułapkę, uwolniłem go z innej pułapki, jaką było jego życie. Stworzyłem mu świat, w którym nie mógł kraść i w którym jego fałszywe słowa nie miały żadnego znaczenia. Zabrałem mu narkotyki.

Spoglądam ponad wodą, widzę Ikeę na horyzoncie. I wiesz co, Beck? Magazyn, o którym mówił Benji, ten, do którego dał mi kartę, znajduje się tuż obok Ikei. Trzeba czerpać przyjemność z prostych rzeczy. Ciekawe, co by powiedział Paul Thomas Anderson na taki „zbieg okoliczności".

Na morzu, w rzece, z którą nie wygrasz, łatwiej wszystko zrozumieć. Nie zapomniałaś, że w obliczu żywiołów jesteśmy niczym, prawda, Beck? Z prochu w proch i tak dalej. Prochy Benjiego są w pudle z Ikei, jedynej pamiątce po naszej wspólnej wyprawie. Mówię marynarzowi, że w zestawie brakowało elementów i że gotowy mebel nie przypomina tego na obrazku, więc go odwożę. W rzeczywistości karton zawiera prochy Benjiego. Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, jakie to było trudne; człowiek nie rozpada się w pył, ot tak.

Dwa dni temu zaczęłaś się stresować Halloween. Chciałaś przebrać się za księżniczkę Leię (flirciara z ciebie), robiłaś sobie i znajomym zdjęcia i piłaś na umór. Nie poprosiłaś mnie, żebym włożył strój Luke'a Skywalkera; wybiegam myślami w przyszłość i widzę, że często będziemy się kłócili o to, jak spędzić Halloween.

Dwa dni temu zacząłem rozmyślać o tym, co zrobić z ciałem Benjiego. Przekonałem Curtisa do pracy w najbardziej obłędnych godzinach w Halloween i musiałem nauczyć się kremacji zwłok. Curtis dał się przekonać; palacze marihuany wiecznie potrzebują pieniędzy, przecież muszą kupować towar, dlatego chętnie biorą nadgodziny. Natomiast łatwo dostępne w internecie informacje na temat domowych sposobów kremacji podsunęły mi pomysł, jak pozbyć się ciała. Nie dało się tego zrobić w mieście, dlatego wziąłem samochód pana Mooneya, pojechałem na Jones Beach Island i znalazłem ustronne miejsce. Skremowanie zwłok zajmuje sporo czasu, bardzo długo trzeba podtrzymywać ogień, brudna robota, mówię ci. Prochy Benjiego są bardzo, hm, kościste, nie da się ich przesypać przez durszlak. Dobra kremacja wymaga czasu i odpowiednich chemikaliów, ale biorąc pod uwagę okoliczności, myślę, że i tak poszło mi

nieźle. Powinien się cieszyć, że zapakowałem go do pudła i wiozę do domu, większość ludzi na moim miejscu zostawiłaby go na wyspie. Uśmiecham się pod nosem, bo kiedy o tym pomyślę, to wcale nie przypominałaś księżniczki Lei (twoje koczki były zdecydowanie za małe), a ze mnie żaden grabarz. Jest w tym pewna symetria, podoba mi się.

– Ile kosztowało? – pyta uprzejmy marynarz.

– Osiemdziesiąt dolarów, uwierzy pan?

Kręci głową i podnosi pudło pełne Benjiego.

– Zdzierstwo. Ale dziewczyny to uwielbiają.

– Wiem, wpadłem po uszy – żartuję, śmiejemy się, daję mu dziesięć dolarów, jest zadowolony z napiwku, bo nikt nigdy nie daje mu napiwków.

Zbliżamy się do pochylni. Marynarz ma papierosa zatkniętego za ucho. Trzyma linę, zbiera ją i przygotowuje się do rzucenia. Mówi, że pomoże mi zanieść pudło do Ikei, ale odpowiadam, że nie trzeba.

– Zapal pan sobie – mówię. – Żyje się tylko raz.

– Ale kursuje sześć razy dziennie tam i z powrotem. – Śmieje się.

Karta działa. Benji mówił prawdę. Skrytka jest tam, gdzie miała być, a dostanie się do niej nie stanowi żadnego problemu, bo nikt już nie zatrudnia ludzi. Dawniej wejścia strzegłby ochroniarz z pitbullem i zadawałby pytania.

Kim pan jest?
Co jest w tym pudle?
Kto pana upoważnił do korzystania z tej skrytki?
Proszę pokazać upoważnienie.
Czy może pan zadzwonić do pana Crane’a?
Czy pan Crane może tu przyjechać?

Moje odpowiedzi okazałyby się niezadowalające i nie wiedziałbym, co zrobić z pudłem pełnym Benjiego. Ale pod koniec swojej ziemskiej bytności Benji okazał się wspaniałomyślny. Wiedział, że dostanę się do skrytki bez kłopotu, i chyba chciał tu spocząć, razem ze skradzionymi przez

siebie roleksami, garniturami, sztućcami, przedmiotami, które nauczono go szanować, i tymi, z którymi nie miał odwagi się rozstać. Na zawsze miał pozostać nieszczęśliwym materialistą. Oszczędziłem mu wielu lat cierpienia.

Otwieram dwie butelki wody Home Soda, jedną dla siebie, drugą dla Benjiego, jego butelkę stawiam obok pudła. Powiem ci, Beck, że ta woda, o ile trafi się na dobrą partię, smakuje rzeczywiście wybitnie. Zakładam rękawiczki, sprzątam i słucham, jak z napoju uchodzi gaz. Znajduję czapeczkę marynarską z logo Mount Gay Rum i regat Figawi z 2006 roku, a także wyszytym pod daszkiem nazwiskiem Spencer Hewitt. Bogate dzieciaki każą sobie wyszywać nazwisko na własnych ciuchach, bo mieszkają w jednym pokoju ze szczeniakami kleptomanami, takimi jak Benji, i opiekują się nimi niańki niepotrafiące zapamiętać ich imion. Przymierzam czapkę. Pasuje, postanawiam ją zabrać. Potrzebuję jej, Beck. Jest czerwona jak Nantucket, ale spłowiała do zakurzonego różu, jest wrażliwa na działanie żywiołów, wciąż wygląda elegancko, mimo że już podniszczona. To zupełnie jak ty.

17

Nawet nie wiesz, że jesteś w żałobie. Nie wiesz, że Benji nie żyje. Bo niby skąd miałabyś to wiedzieć? Mimo to jesteś nieobecna. Przez cały tydzień obijałaś się z Peach i oglądałaś filmy w sieci. Nie potrafisz nawet wyjść z mieszkania po kawę, nie rozpływając się nad zaletami Starbucksa, Dunkin' Donuts i ciach pracujących w delikatesach niedaleko twojego domu. Odzywałem się do ciebie, ale na razie nie widzisz świata poza Peach.

Brakuje ci konsekwencji, nawet jeśli chodzi o durne filmy. Kiedy siedzieliśmy w Corner Bistro, przyznałaś, że uwielbiasz *Magnolię*, i zaczęłaś się rozwodzić o swojej miłości do Kalifornii połączonej z nienawiścią i o tym, że marzysz, żeby poznać Paula Thomasa Andersona i powiedzieć mu, jak mądrym jest człowiekiem. Zgodziłem się z tobą. Ale Peach mówi, że jego filmy są napuszone i sądnicze, a ty przyznajesz jej rację! Nie ma takiego słowa, jak „sądnicze", Beck, a podobno jesteś pisarką! Pytam, co porabiasz, odpowiadasz, że oglądasz *Magnolię*, i co? I mówisz, że jest sądnicza. Wcale tak nie myślisz. To opinia Peach. Próbuję się z tobą umówić, ale twierdzisz, że jesteś chora.

To nieprawda, Beck. Wyciągasz Peach na zakupy i na lunch. Odmawia. Mówi, że źle się czuje. Namierzyłem ją. Muszę wiedzieć, dlaczego tak się ciebie uczepiła, dlatego obserwuję ją, kiedy idzie do biura architektonicznego, potem na lunch i kiedy całuje się ze znajomymi na dzień dobry i przez cały zasrany tydzień dziobie sałatkę Cobba. Widzisz, Beck? Oszukała cię. Proponuję ci spacer, kawę, zupę, cokolwiek. Odpowiadasz zawsze tak samo:

Jeszcze nie wyzdrowiałam. :(

Śpię. Mija sześć dni od śmierci Benjiego, sześć dni, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Nie mam snów albo ich nie pamiętam.

Gdy się budzę, świat staje się piękniejszy, ponieważ wreszcie – wreszcie! – wybucha kłótnia pomiędzy tobą a Peach. Ona twierdzi, że twój psychiatra jest do niczego, a ty bronisz jego i siebie. Jestem z ciebie dumny. Jednak najlepsze, że teraz, kiedy przejrzałaś na oczy, znów jesteś sobą, tą Beck, którą znam i kocham. Napisałaś do mnie w środku nocy:

> Wiem, że mejl będzie długi i że jest już późno, ale chcę cię zapytać, czy miałeś kiedyś ochotę powiedzieć wszystkim, żeby się odpierdolili? Nie chcę wyjść na laskę, która psioczy na kumpele, ale powiem ci… moje przyjaciółki zachowują się czasem jak suki! Staram się nakłonić je do porozumienia, przecież sam widzisz, a one kłócą się i zatruwają mi życie. Chana nie przyjdzie na imprezę, jeśli będzie na niej Peach, a Peach nie pójdzie tam, gdzie mają happy hours na drinki, bo twierdzi, że happy hours przyciągają motłoch. Chodzi o to, że… Jest piąta rano, nie skończyłam pracy na zajęcia, czuję się ogólnie bleee, rozumiesz. I jeszcze ta Blythe, ten potwór, ona mnie nienawidzi, naskoczy na mnie za tę historię o kowboju. A niech jej będzie. Ale plotę. Wszystko sprowadza się do tego, że wschodzi słońce i myślę o tobie. Do zobaczenia wkrótce – chyba że po przeczytaniu tego mejla weźmiesz mnie za wariatkę. Branoc. :)

Tą wiadomością poprawiasz mi humor. Odpisuję krótko:

> Droga Beck, dziś wieczorem postawię ci sześć drinków. Joe

Spodobało ci się to, nagrodziłaś mnie emotikoną i jesteśmy umówieni na randkę – tak! – zrobiłem wszystko, co trzeba – tak! – maszynę do pisania, którą zabrałem do łóżka, odłożyłem na półkę, a moje włosy wyglądają dziś ładnie – tak! – dziś wieczorem pracuje Curtis, więc nawet nie muszę zamykać – tak! – Peach została odsunięta na boczny tor – tak! – i spuszczam się dla ciebie, Beck, spuszczam mocno. Kto wie? Może dziś wieczorem to się wydarzy? Jadę w twoje okolice i kupuję dwie babeczki

w Magnolia Bakery. Pachną zakurwiście, mam ochotę zjeść obie, ale jestem grzecznym chłopcem, Beck, i mam pewien pomysł, co zrobić z polewą.

Ale… ale! Mamy się spotkać o dwudziestej pierwszej, dzwonisz cztery po, z trudem łapiąc oddech, informujesz, że jedziesz do dzielnicy bogaczy. To długa historia, twierdzisz, ale krótko mówiąc, Peach jest sama w domu i wydaje jej się, że ktoś się do niej włamał, ponieważ meble na tarasie są poprzestawiane. Spanikowana, brzmisz zupełnie jak ona.

– Joe, posłuchaj – upierasz się. – Włamywacz przesunął jej szezlong.

– Ale go nie ukradł? – przerywam.

– Nie – odpowiadasz i wzdychasz. – Ale jednak ktoś się włamał, Joe. Peach jest przerażona.

– To jasne – mówię, a ty ciągniesz swoje, tyle że wcale nie wygląda to tak dramatycznie, jak brzmi w twoich ustach.

Nie włamałem się i nie przesunąłem jej szezlonga. Użyłem klucza dla służby, który znalazłem podczas imprezy. I niczego nie ukradłem. Jestem jak święty mikołaj, przyniosłem bowiem plastikową okładkę do uszkodzonego Bellowa, więc ta jędza powinna mi raczej podziękować.

– Peach przeprasza – zaklinasz się. – Okropnie się czuje, ale to dlatego, że boi się powrotu stalkera.

Puszczam mimo uszu słowo „powrót” i myślę sobie, że Peach musi lubić opowieści z dreszczykiem.

– Nie szkodzi – mówię poważnym tonem, przekonująco.

Dodaję, żebyś na siebie uważała. Zyskuję u ciebie kolejny punkt. Wybaczam ci. Naprawdę. Jesteś lojalną przyjaciółką, a szezlong nie jest słowem z twojego słownika, ono należy do Peach. Zjadam obie babeczki, polewa stwardniała, smakowałaby o wiele lepiej, gdybym zlizywał ją z twoich cycków. Niedługo później tweetujesz zdjęcie. Są na nim minibabeczki, dużo mniejsze niż moje z Magnolia Bakery, leżą na jasnych talerzach, a obok stoi wielka butla gównianej wódki na landrynkach. Podpisujesz fotkę:

#BabskiWieczór

Nie mogłaś wiedzieć o moich babeczkach. Ale czasami tak się zastanawiam…

18

Następnego dnia wynagradzasz mi odwołaną randkę. Ale nie przy sześciu drinkach i dwóch babeczkach w ciemnym barze. Spotykamy się na lunchu i opowiadasz mi o depresji Peach, o jej samotności. Siedzimy w aseksualnej knajpce Sarabeth's, pijemy zwykłą wodę (bezpłciową), smakujemy domowej roboty dżemy (wybitnie bezpłciowe) i jedyne, o czym mówisz, to Peach (totalnie bezpłciowa). Czujesz się za nią odpowiedzialna, bo w Nowym Jorku ona nie może liczyć na wsparcie rodziny. Do takich miejsc jak to powinniśmy chodzić dopiero po tym, jak się ze sobą prześpimy, ucieka mi logika tego wszystkiego.

– Ona jest wieczną sierotą – mówisz.

– Ale przecież twoja rodzina też nie mieszka w Nowym Jorku – wtrącam.

– Wiem – odpowiadasz i skubiesz ciasto biszkoptowe. – Ale ja wyprowadziłam się z domu. To naturalne. Tymczasem ją rodzina zostawiła. To chore. Przenieśli się do San Francisco zaraz po tym, jak z Peach odebrałyśmy dyplomy.

Nie dziwi mnie to. Zmieniasz temat, zaczynasz psioczyć na Blythe, słucham, potakuję, słucham, potakuję, opycham się pieprzonym biszkoptem, a ty w pewnym momencie wychodzisz do łazienki i wysyłasz mejl do Peach:

> Muszę ci powiedzieć, że Joe potrafi słuchać jak nikt. Nie trać wiary w ludzi!

Peach odpowiada długą wiadomością, napisaną podejrzanie szybko:

> Super! Bądź dla niego łagodna. Wygląda na to, że ma coś w sobie. Opowiedziałam o Josephie mojej instruktorce jogi

> i ona porównała go do Willa Huntinga z *Buntownika z wyboru*. Czy jest dobry z matmy? Udanego lunchu! Mam nadzieję, że zaprosiłaś go do jakiejś przyjemnej knajpki. Dziękuję, że się odzywasz, i nie martw się, moja wiara w ludzkość została przywrócona. Uwielbiam bycie singielką. Jedno jest pewne: jesteśmy za młode, żeby się wiązać. Baw się dobrze z Josephem! On na pewno dużo się od ciebie uczy, a to fantastyczne!

Wracasz do stolika i zagadujesz, czy lubiłem matematykę, kiedy byłem mały. Odpowiadam, że nie, a kiedy pytam, dlaczego chcesz wiedzieć, zbywasz mnie i znów naskakujesz na Blythe. Zamawiamy jeszcze kawę. Lunch podobałby mi się znacznie bardziej, gdybyśmy zjedli go po postawieniu kropki nad i. Nie mogę cię pocałować na do widzenia w środku dnia; czy ty czasem nie próbujesz wepchnąć mnie do szufladki z napisem „zostańmy przyjaciółmi”? Czy coś takiego w ogóle istnieje, a może jest mitem? Czy ta bystra laska w końcu była z Willem Huntingiem, czy nie? Bo nie pamiętam.

Kiedy wychodzimy z Sarabeth’s i odchodzimy każde w swoją stronę, obejmujemy się jak krewni i już nie jesteśmy tak blisko, jak tamtego wieczoru, kiedy prawie złożyliśmy razem łóżko.

– Miło było – mówisz.

– Co robisz później?

– Babski wieczór.

– Ale przecież wczoraj wieczorem jadłyście babeczki.

Przyłapałaś mnie. Do twarzy ci z tym.

– Joe, czy ty czasem nie podglądasz mojego Twittera?

– Odrobinę – mówię i może mógłbym cię pocałować.

Jest mgła, jest jak jesień w *Hannah i jej siostry*.

– Wczoraj był babski wieczór z Peach, a dziś jest babski wieczór z Lynn i Chaną.

– W takim razie może jutro wieczorem? – mówię.

Błaganie cię to przeciwieństwo całowania cię. Powinienem odpuścić.

– Jutro wieczorem naprawdę muszę posiedzieć i popisać, ale może wcześniej? Lunch?

Zgadzam się na lunch. Rozstajemy się. Długi spacer do księgarni, chciałbym móc znienawidzić Tuckera Maksa, „Maxima” i postać graną przez Toma Cruise’a w *Magnolii* i chciałbym wierzyć, że kobiety nie są takie proste, jak wszyscy oni nam wmawiają. Jestem o krok od podwędzenia zagrania z programu *Uwiedź i zniszcz* Franka T.J. Mackeya, bo czuję, że daję ciała. Staje się dla mnie jasne, że popełniłem błąd, nie zaciągając cię do łóżka – nawet nie próbując – tamtego wieczoru, kiedy je złożyłem. Daję dupy na całej linii i to jest największy błąd mojego dorosłego życia. Po pięciu godzinach wysłuchiwania szczegółowej analizy twojego życia nawet cię nie pocałowałem. Spierdoliłem sprawę, naprawdę, jeszcze pomyślisz, że to ja nalegam, żebyśmy zostali „tylko przyjaciółmi”.

Paskudny efekt domina, bo następnego dnia jemy lunch w jakimś nowym miejscu, w którym, jak mówisz, jest „pysznie jak w Sarabeth’s”. I znowu nie całuję cię na do widzenia. I co chcesz robić dzień później? Zjeść ze mną brunch. Jak się nazywa jedyna rzecz mniej pociągająca niż lunch? Brunch! Posiłek wymyślony przez bogate białe laski dla usprawiedliwienia picia alkoholu w środku dnia i obżerania się grzankami francuskimi. Ale ty podczas brunchu nie pijesz i wkrótce zaczynamy zaglądać do lokali, w których nawet nie mają kelnerek. Przepadasz za cholernymi delikatesami, ustawiasz się grzecznie za urzędasami, którzy czekając na swoją kolej, by zamówić bezpłciową sałatkę z dressingiem, cholerną fasolką, szalotką i cebulką (czerwoną czy białą? grillowaną czy surową?) – ludzie, do chuja pana, przecież to tylko SAŁATKA, przestańcie kombinować! – czytają Stephena Kinga na iPadach.

Nie masz na pieńku z Peach, ale też nie jesteś już pod jej urokiem, i teraz rozumiem, dlaczego ją lubisz: bo Peach ma obsesję na twoim punkcie. Chana i Lynn uwielbiają cię, ale dla nich twoje gówno nie pachnie fiołkami. Lubisz być kołysana, tulona i głaskana, wszystkie nasze rozmowy o twoich opowiadaniach oraz kolegach i koleżankach z zajęć kończą się tym, że podkreślam, jak bardzo jesteś wyjątkowa i utalentowana, a ich rozsadza zazdrość, i że przecież jesteś lepsza od nich, i wtedy rośniesz

w oczach i opróżniasz jednorazową miseczkę z sałatką. Mówię to szczerze – masz szczęście, że to, co chcesz usłyszeć, jest akurat tym, co naprawdę myślę.

– Beck, naprawdę masz talent. Gdyby było inaczej, nikt nie zwracałby na ciebie uwagi.

– Czasem najlepsi pisarze najpierw byli nienawidzeni, a dopiero potem kochani. Weź na przykład Nabokowa.

– Ponieważ nie rywalizuję z tobą, mogę ci bez skrępowania powiedzieć, że masz w sobie to „coś”.

Naprawdę masz. Kiedy leżę na kanapie i słucham, jak nadajesz na Blythe, czuję się, jakbym żył w tobie, przez ciebie. Wiem, jak to jest być tobą, i masz rację. Blythe cię nienawidzi. Ale nienawiść pasuje do ciebie, pobudza cię. Wściekasz się:

– Jest jedną wielką furią na antydepresantach, która nie rozmawia ani ze swoją matką, ani z siostrą, ani z ojcem i jego żoną, ani ze swoją współlokatorką, ani ze swoim cholernym kotem, ani z żadnym z facetów, których przeleciała w zeszłym tygodniu.

Przerywasz, nabierasz powietrza.

– Blythe nazywa siebie performerką, dla mnie to prostytucja. Filmuje się kamerką internetową i mówi, że to sztuka.

– Innymi słowy, to dziwka.

– Dziękuję, Joe.

– Bardzo proszę, Beck.

I dalej:

– Nie może ścierpieć tego, że pochodzę z Nantucket i lubię poezję.

– Więc pieprzyć ją.

Chcę, żebyś machnęła ręką na tę nienawiść, ale ty próbujesz odnaleźć jej źródło i nie masz ochoty rozmawiać o niczym innym.

Co wieczór.

Kurwa mać.

Co wieczór.

Nie byłoby tak źle, gdyby nasze rozmowy odbywały się na ławce w parku, na schodach przed drzwiami do twojego mieszkania, na twojej

sofie albo na łóżku, które złożyłem, ale nie, ona toczą się przez telefon. A przecież przez słuchawkę nie czuję twojego zapachu. I czasem mam wrażenie, jakbym był specjalną linią, tylko dla ciebie, na którą dzwonisz, kiedy chcesz sobie poprawić nastrój. Nie traktujesz mnie jak swojego faceta; chodzisz na drinka z ludźmi z uczelni i dopiero potem dzwonisz do mnie i zachowujesz się, jakbyś nie widziała niczego dziwnego w tym, że mnie nie zaprosiłaś. Jestem twoim telefonem zaufania i wcale mi się to nie podoba. Tak naprawdę nie chcesz się dowiedzieć, jak minął mi dzień, zawsze pytasz o to grzecznie, ale z poczuciem obowiązku.

– Jak w księgarni?

– Jak to w księgarni. W porządku.

– Tak?

– No tak.

Czekam, aż zainteresuje cię coś więcej – we mnie, w moim dniu – ale zawsze uginam się i dodaję:

– A co u ciebie? Jak zajęcia?

Już nie mogę. Pora ratować to, co istnieje między nami – zadanie należy do mnie.

– Cześć, Beck.

– No, co tam?

– Może gdzieś się wybierzemy?

– Oj, ale jestem już w pidżamie i jutro mam zajęcia.

– Nie, nie dzisiaj. W przyszłym tygodniu. Daj się wyciągnąć.

Cisza w słuchawce. Zapomniałaś, jak bardzo chcesz mnie zerżnąć, i zaczęłaś żyć zgodnie z Prawem Peach: zero facetów, tylko opowiadania – ale przecież pragniesz mnie, w przeciwnym razie już dawno znalazłabyś wymówkę.

– Kiedy chcesz się spotkać?

– W piątek wieczorem – mówię. – Obiecuję: żadnych imprez. Chcę cię zabrać w jedno miejsce.

Słyszę, jak się uśmiechasz, mówisz: „Dobrze”, i jeszcze powtarzasz: „Dobrze”, i mogę powiedzieć, że przeczytałem twoje opowiadanie *Koty z kurzu* o pewnym lecie, kiedy pracowałaś jako sprzątaczka. I mogę dodać,

że mam swoje ulubione fragmenty, między innymi oczywiście ten, kiedy tatuś, głowa rodziny, próbuje zamknąć się z tobą w pralni.

– Nie no, bohaterka opowiadania nie jest mną.

– Wspominałaś, że któregoś lata pracowałaś jako sprzątaczka.

– To prawda, ale nie rzucałam się na facetów mieszkających w tamtym domu – mówisz i nic dziwnego, że Blythe czuje do ciebie niechęć. Nie jesteś stalkerką, Benji się mylił, a jednak pragniesz tego, niewinnie, bo nie czujesz się dobrze we własnej skórze, ale pomogę ci to zmienić, Beck, zobaczysz. – Nigdy – mówisz dalej – przenigdy nie wpakowałabym się w coś takiego. To czysta fikcja.

– Wiem. – Choć nie wiem.

– Nie jestem miastową kurewką. To zmyślona historia.

– Wiem.

– Nie uganiam się za bogatymi żonatymi facetami.

– Wiem.

– To dokąd mnie zabierasz, Joe?

Cieszysz się, że ci nie powiedziałem, bo nie codziennie stroisz się i szykujesz na wyjście, nie wiedząc, dokąd się wybierasz. Włożyłaś długą bladoróżową spódnicę z dwoma dużymi rozcięciami i brązowe buty na wysokim obcasie – nowe, specjalnie dla mnie – a te rozcięcia są tak duże, że prawie widzę twoje majtki, i masz na sobie jeszcze luźny brązowy sweterek, który bez trudu z ciebie zdejmę. Twoje ciało jest ofiarą, zapłatą za wysłuchiwanie zwierzeń, za te wszystkie lunche. Masz różowy stanik, jaskraworóżowy, po to, żebym nawet na chwilę nie zapomniał o piersiach, które skrywasz pod swetrem. Kiedy cię obejmuję, czuję kwiaty, płyn do prania i soki cipy, i zastanawiam się, jak bardzo musiałaś zajeździć tę swoją zieloną poduchę, i jestem z siebie dumny, że przez bite dwie godziny nie sprawdzałem twojej skrzynki mejlowej, abyśmy oboje zakosztowali odrobinę niepewności, której tak nam potrzeba, i widzę, że masz ochotę powiedzieć: „Pieprzyć tę randkę, chodźmy na górę!”. Minęło dużo czasu, Beck. Jesteś zachwycającą dziewczyną, ale do tej pory jeszcze nigdy nie ubrałaś się tak dla m n i e. Dziś obchodzi cię, co sobie pomyślę. Nie

idziemy na spotkanie z twoimi przyjaciółkami, nikt nie zrobi ci zdjęcia i nie wrzuci go na Facebooka. Twoje ciało, włosy, usta i uda – wszystko jest dla mnie. Począwszy od tego wieczoru, kiedy złożyłem ci łóżko, spychałaś nas na aseksualną mieliznę. Ale oto wypływamy na szerokie wody, już nie uciekasz przede mną. Sprawię, by to trwało jak najdłużej. Kocham to. Kocham cię.

– Chodźmy – mówię, biorę cię za rękę, nasze dłonie pasują do siebie, idziemy w milczeniu i okazuje się, że pieprzenie smutów przez telefon zrobiło swoje, bo teraz coś nas łączy, ciebie i mnie, oboje jesteśmy zaskoczeni, tak dobrze się znamy, ściskam twoją dłoń, spoglądasz na mnie, macham na taksówki i od razu jedna się zatrzymuje, bo od tej pory tak będzie wyglądało nasze życie.

– Dokąd?

– Do Central Parku – mówię.

– O rety, Joe. Poważnie?

– Na postój dorożek.

Piszczysz i klaszczesz w dłonie. Więc jednak trafiłem, a nie byłem pewien, bo coś mi mówiło, że możesz kręcić nosem na taką tandetę. Minęły prawie dwa tygodnie od wspólnej wyprawy do Ikei i chciałem, żeby nasze dzisiejsze wieczorne spotkanie było tak podniecające, jak to tylko możliwe. Taksówka mknie w stronę Central Parku, dojeżdżamy na miejsce szybciej, niż sądziłem. Wysiadam jako pierwszy. Obchodzę auto i otwieram ci drzwi. Podaję rękę. Przyjmujesz ją. Taryfiarz taksuje cię wzrokiem. Daję mu napiwek. Kilka minut później siedzimy obok siebie w dorożce jak gruchające gołąbki.

– Śmiały ruch, Joe – mówisz i przysuwasz się jeszcze bliżej.

– Śmiałe to są te rozcięcia – odpowiadam, na co lekko rozchylasz nogi, potrzebujesz mojej pomocy, przesuwam dłoń po twoim udzie i czuję, że jesteś podniecona (koński kłus, kolor liści, ja), wydajesz ciche jęknięcie i raptem cię dotykam. Koronkowe majteczki, wilgotne od twoich soków, kolejne jęknięcie, przesuwasz się delikatnie w stronę mojej dłoni, wsuwam palce pod materiał i czuję miękkie jeziorko, tylko dla mnie, wymawiasz moje imię, chłonę cię, całujesz mnie w szyję.

– Dziękuję.

– Nie, nie – bąkam, bo brakuje mi słów.

Jestem tak kurewsko szczęśliwy, że nie mogę wydusić słowa. Mówiona część naszej historii dobiegła końca, podnoszę drugą rękę i kładę dłoń na twoim ramieniu, i siedzimy tak z zamkniętymi oczami, chłonąc siebie nawzajem – twoja dłoń przesuwa się w górę po mojej nodze, boleśnie i cudownie powoli – i nawet nie wiesz, co będzie potem. To najlepiej wydane dwieście dolarów w moim życiu. Dziękuję, koniku.

Czyli Benji jednak miał rację: lubisz luksus. Uświadamiam sobie, że ja też go lubię. Siedzimy w najciemniejszym kąciku Bemelmans Bar w hotelu Carlyle, mam cię w garści i drażnię się z tobą, jesteśmy niesamowicie blisko wolnych pokoi i miękkich łóżek, ale nie idziemy na górę, jeszcze nie.

– No chodź – mówisz. – Ukradniemy klucz pokojówce. To będzie coś nowego.

– I co też chciałabyś tam robić, młoda damo?

– Przecież wiesz, Joe.

– Tak?

Kiwasz głową i skubiesz mnie w ucho, a gdybym poprosił, tu i teraz weszłabyś pod stolik. Ale nie proszę, bo wolę czuć twoje usta na uchu. Twoje dłonie błądzą, krążą wokół mojego paska, o tak, jest trochę miejsca, tak jest, to twoja dłoń, a to moja koszula. Wyjmij ją, właśnie tak. Wsuwasz rękę do środka, chcesz mnie, trzymasz mnie w dłoni, należałoby wymyślić nowe słowo na określenie tego, co teraz robisz – „robótki ręczne”? Banalne. Bo twoje poczynania to

czysta

magia.

Cała jesteś pragnieniem, muszę otworzyć oczy i spojrzeć na coś nieapetycznego, bo inaczej eksploduję. W ciemności pomieszczenie wydaje się jasno oświetlone. Nigdy nie czułem się tak bezpieczny jak teraz, w twoich dłoniach. Całuję cię, odwzajemniasz pocałunek i warto było czekać, twoja magnolia przyjmie mnie do siebie, już niedługo, jesteś mokra, całkiem mokra.

Nikt na nas nie patrzy. Nikt się na nas nie wścieka. Wszystko jest z nami w porządku. Kelner w czerwonej marynarce, który przyniósł dwie wysokie szklanki z lodem, dwie serwetki i dwa kieliszki zimnej wódki, był uprzejmy i uniżony. Rysunki na ścianach są naprawdę niezłe, identyczne jak na zdjęciach w sieci, oglądałem je, zastanawiając się, dokąd cię zabrać moim złotym rydwanem i jak sprawić, byś potraktowała mnie jak przepustkę do pieniędzy i skórzanych sof. Zarabiam mniej niż którakolwiek z osób znajdujących się w lokalu, nie wyłączając kelnerów.

– Joe.

– Beck.

– Pragnę cię. – Twój głos brzmi czule i ciepło.

Do naszego stolika powoli podchodzi pieprzony, zmanierowany kelner.

– Najmocniej pana przepraszam.

– Tak?

Odklejasz się ode mnie, krzyżujesz nogi i zagryzasz wargę. Czyżby chciał nas wyprosić za publiczne okazywanie uczuć? Kłania się lekko.

– Czy panna Beck?

– Tak, to ja – mówisz. Kelner jest wyraźnie zmieszany. – Tak, nazywam się Beck. Czy coś się stało?

Wszystko się stało.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie odebraliśmy pilny telefon od panny Peach.

– O Boże. – Kładziesz dłoń na szyi i nagle to koniec. Już nie czujesz się bezpieczna.

Kelner spogląda na mnie, kiwam głową. Odchodzi, a ty rzucasz się do torebki i ogień, który jeszcze przed chwilą płonął między nami, gaśnie prędzej, niż roztapiają się kostki lodu w szklance.

– Dziwne – mówię, kiedy przetrząsasz zawartość torebki.

Nosisz ze sobą za dużo śmieci.

– Nie mogę znaleźć telefonu.

– Skąd wiedziała, gdzie jesteś?

Czerwienisz się.

– No… chyba tweetnęłam.

Beck, Beck, to miał być nasz wieczór, tylko nasz. Zrobiłem to dla ciebie. Rozcięcia w twojej spódnicy były dla mnie, ten stanik był dla mnie, majtki były dla mnie. Niby jak ma nam się udać, skoro nie potrafisz wytrzymać kilku godzin bez publiczności? Kiedy siadasz w boksie i wkładasz facetowi rękę do spodni, to jakbyś zawierała układ, wiesz? Podczas pieprzenia nie ma tweetowania. I co ja mam teraz z tobą zrobić? Chce mi się wrzeszczeć, potrzebuję więcej lodu, ale muszę wziąć głęboki oddech, napić się wódki i milczeć.

– Joe, nie gniewasz się, prawda?

– Nie.

– Nigdy tu nie byłam, więc kiedy poszedłeś do łazienki, jakoś tak wyszło – mówisz, wyjęłaś wreszcie telefon, stukasz mnie nim w ramię. Odwracam się do ciebie. – Joe, strasznie się ucieszyłam, że mnie tu przyprowadziłeś, bo zawsze chciałam tu przyjść.

– W porządku.

– Powinnam odezwać się do Peach.

– Okej, panno Beck. Idź, zadzwoń do niej.

Wszyscy faceci w sali patrzą, jak wychodzisz z boksu, a dwóch gości przygląda ci się tak, jakby chcieli spróbować do ciebie uderzyć. Mam ochotę obić komuś mordę. Z baru mieliśmy wyjść razem. Nie powinnaś szwendać się po knajpie w tej pogniecionej, zdzirowatej spódnicy. Niepotrzebnie kładziesz dłoń na ramieniu odźwiernego i pytasz go o coś, nie wiem o co, a jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to spódnica jest trochę przezroczysta. Będzie trudno cię złamać, tę spragnioną publiczności część ciebie, która nieustannie chce być zauważana i oglądana. Potrzebujesz obstawy, Beck, zwłaszcza jeśli masz zamiar ubierać się jak kurwa.

– Na co się, kurwa, gapisz? – mówię do kolesia, który wciąż wpatruje się w drzwi, przez które przed chwilą wyszłaś, tak jakby zastanawiał się, w który otwór twojego kurewskiego ciała wepchnąć się w pierwszej kolejności. Ma chyba ze sto lat, nie boi się mnie, ale jeśli będzie się stawiał, pokażę mu, czym jest strach.

Wołasz do mnie z lobby:

– Joe! Musimy iść. I to natychmiast.

Dziad śmieje się ze mnie, a ty się cała trzęsiesz z niecierpliwości.

– Zadzwonię po taksówkę.

– Muszę zapłacić.

– Już załatwione. Złapałam kelnera – mówisz. – Ta kareta musiała kosztować majątek – dodajesz lekceważąco.

I właśnie tak całą moją ciężką pracę nad tym, abyś poczuła się jak księżniczka, obróciłaś w niwecz. Uregulowałaś rachunek i już nie jestem mężczyzną, a Tucker Max śmieje się ze mnie razem ze staruchem przy barze, śmieją się rysunki na ścianach, śmieje się kelner, który zarabia więcej ode mnie. Otwierasz drzwi taryfy – kawałek po kawałku odzierasz mnie z męskości, jestem twoim telefonem zaufania, a twoja spódnica wygląda fatalnie – i chyba już nie może być gorzej. A jednak.

– Dokąd jedziesz?

– Na róg Siedemdziesiątej Pierwszej i Central Park West.

– Z Peach wszystko w porządku? – mówię zaskoczony, że w ogóle zdołałem wydobyć z siebie głos.

– Nie – odpowiadasz i związujesz włosy gumką, którą wyjęłaś z tej swojej wielkiej, bezpłciowej pieprzonej torebki, zupełnie jakbyś wiedziała, że tak się skończy. – Nie uwierzysz, co się stało.

19

Prędzej czy później wszystko osiąga swój szczyt. Taka jest natura wszelkiego życia.

Kiedy jedziemy taksówką do Peach, coraz wyraźniej czuję, że w dorożce (a nie w „karecie”, jak się wyraziłaś) osiągnąłem swój szczyt, i wiem, że już nigdy nie będę tak wspaniałym samcem. Już nigdy nie znajdę się w tamtym punkcie z czystą i świeżą tobą, dosłownie zwaloną z nóg moją postawą. Jak napisał Michael Cunningham w *Godzinach*: „Szczęście to wiara, że będzie się szczęśliwym. To nadzieja”.

Peach odebrała mi nadzieję. Czytasz mejle i wysyłasz esemesy, trzymasz mnie za rękę, po raz pierwszy w naszym wspólnym życiu, i jednocześnie oddalasz się od mnie, jesteś daleko stąd, rozmawiasz z ludźmi, którzy nie mają z nami nic wspólnego.

– Słuchaj, Beck – odzywam się.

– Co? – Nie patrzysz na mnie, nie jesteś subtelna.

– Może powiesz mi, co się dzieje?

– Dużo się dzieje – odpowiadasz i w końcu przenosisz na mnie spojrzenie. – Och, na pewno się gniewasz.

– Nie – mówię i to nie moja wina, że masz kretynów za przyjaciół, i nie ja jestem winny temu, że nie potrafisz się powstrzymać od zaglądania na Twittera przez jeden cholerny wieczór. Nie kontroluję takich rzeczy.

Jestem lepszy od ciebie i ty to wiesz, inaczej nie trzymałabyś mnie za rękę i nie głędziła o Peach i o tym, że ktoś znowu się do niej włamał i coś tam ukradł, bzdura, przecież włamałem się tylko raz i niczego nie zwędziłem.

– Hm.

Zakładasz ręce na piersi.

– Joe, posłuchaj mnie. Peach jest sama w domu i się boi. To moja przyjaciółka.

– Wiem – mówię.

– To po co było to „hm”? – warczysz.

Nie masz odwagi postawić się Lynn i Chanie, nie szkodzi, dziś wieczorem chętnie będę twoim chłopcem do bicia.

– Przepraszam, Beck. Naprawdę mi przykro.

Kiwasz głową. Jesteś lojalna.

– Ale coś ci powiem. Budynek, w którym mieszka Peach, jest dobrze strzeżony. Myślę, że trudno jest się tam włamać.

Nie dociera do ciebie, nabzdyczasz się.

– Nie ma znaczenia, czy to się naprawdę stało, czy nie. Najważniejsze, że Peach czuje, że ktoś się włamał.

Ustępuję ci; jesteś dziewczyną. Wolno ci tak myśleć. Jedziemy w milczeniu i tylko myślę sobie, że Lynn i Chana nie dzwonią do ciebie w środku naszej randki i nie twierdzą, że Wielka Stopa próbuje utopić je w Fontannie Młodości. Otwierasz drzwi, zanim auto całkiem się zatrzyma. Ze smutną miną płacę kierowcy za kurs.

Kiedy wysiadam z taksówki, zarzucasz mi ręce na szyję i szepczesz:

– To była najlepsza randka na świecie.

– Na którym świecie? – mówię.

Wiem, że pragniesz pocałunku, więc ci go daję. Idąc do budynku, jesteśmy stuprocentową parą, wsiadamy do windy, dzwoni twój telefon, odbierasz – Peach.

– Gdzie ty się, do cholery, podziewasz? – wrzeszczy do słuchawki.

– Przepraszam, już jesteśmy w windzie!

Jęk.

– My?

W słuchawce zapada cisza. Wzdychasz.

– To będzie długa noc.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

Widzę, że najchętniej odpowiedziałabyś: „Tak”, ale bierzesz mnie pod rękę i mówisz:

– Bądź wyrozumiały dla Peach. Wiem, że jest trudna, ale… Widzisz, ona próbowała popełnić samobójstwo. Dwa razy. Jest słaba. I smutna.

– Po prostu nie podoba mi się, kiedy na ciebie krzyczy.

Uśmiechasz się i ściskasz moje ramię.

– Ależ z ciebie obrońca.

– Owszem. – Podnoszę do ust twoją dłoń, tę, która wcześniej dotykała mojego kutasa, całuję ją i mówię, że przy mnie możesz czuć się bezpieczna.

– Mój rycerz w lśniącej zbroi.

Winda szumi i się chybocze, rozlega się dźwięk dzwonka, drzwi się rozsuwają i naszym oczom ukazuje się okropny widok. Mieszkanie wypełnia swoim głosem Elton John, a Peach wygląda jak rażona prądem, ma nastroszone włosy i oczy jak po nieprzespanej nocy. Jest uzbrojona w ostry nóż do obierania warzyw.

– Co tak długo? – rzuca.

Pusty salon, niezaludniony przez absolwentów Uniwersytetu Browna, jest ogromny, Peach przemierza tę wielką próżnię szybkim krokiem. Ściskasz moją dłoń – *przepraszam*. Odpowiadam tym samym gestem – *w porządku*. Idziemy za wściekłą Peach. Gdybym miał mieszkać sam w takiej harharze, też bym zwariował.

Nie minęło nawet dziesięć minut i znów czuję się jak dostawca pizzy czekający na napiwek. Peach rozmawia tylko z tobą, a kiedy zdarza mi się wtrącić dwa słowa, czeka, aż skończę, po czym wraca do swojego ględzenia: „Tak jak mówiłam…”. Nie biorę tego do siebie, wydaje mi się, że gdybyś przyprowadziła Lynn albo Chanę, Peach byłaby tak samo wkurwiona. Ale, Beck, to nic przyjemnego.

Siedzę rozparty na kanapie, z rozłożonymi ramionami, ty, pochylona do przodu, wręcz wisisz obok mnie na samym brzegu. Nie mogę powiedzieć, że Peach to jadowita żmija. Słucham jej kłamstw, widzę, jak przyjmujesz je bez mrugnięcia okiem, i w kieszeni otwiera mi się nóż, ale milczę, nie mówię ani słowa.

Wyjmujesz telefon.

– Myślę, że powinniśmy zadzwonić na policję.

Zbywa cię. Mam tego dość. Wstaję.

– Proponuję sprawdzić, czy wszystko w porządku. Mogę?

Peach wzrusza ramionami.

– Rób, co chcesz, Josephie.

– Czy kogoś podejrzewasz? – pytam.

Obejmujesz moją nogę, głaszczę cię po głowie.

Peach wygląda przez okno, typowy gest kłamcy.

– Jest taki chłopak w pijalni soków, smutny i niekompetentny, dostarcza zamówienia. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, żeby się odważył na włamanie do tego budynku. Bez urazy, Josephie, ale wątpię, żeby dzieciak skończył choćby liceum.

– Nie uraziłaś mnie.

Wierci się, jest zakłopotana.

– Źle to zabrzmiało.

– Nie szkodzi – mówię.

Ma szczęście, że nie obchodzi mnie, co myśli. Pochylam się, kładę palec pod twoją brodą, podnoszę ją i namiętnie całuję cię w wilgotne otwarte usta. Wychodząc z pokoju, pozdrawiam gestem Peach.

Zachodzę do biblioteczki, żeby zobaczyć, co słychać u biednego pana Bellowa. Nic dziwnego, że mało piszesz. Peach to twój kamień u szyi, ciągnie cię w dół swoimi problemami i urojonymi dramatami. W tej chwili Blythe, dziewczyna z zajęć, siedzi z czerwonym długopisem w dłoni, pochylona nad dziesiątą wersją roboczą opowiadania, i popija jakąś lurę. Słucha Mozarta, jest skupiona na pracy. Ty wolisz życie. Lubisz melodramaty rozgrywające się w luksusowym apartamencie na ostatnim piętrze. Sięgam po Bellowa (już w porządnej okładce; nie ma za co, państwo Salinger) i słyszę wasze kroki – idziecie do kuchni. Peach mówi, żebyś włożyła pizzę do piekarnika. Protestujesz.

– Wydawało mi się, że przy twojej chorobie nie wolno jeść pomidorów?

– Wiesz co, kiedy jestem tak zła i zestresowana jak teraz, to już nie ma żadnego znaczenia.

– Kochanie… – mówisz miękkim głosem.

– Wiem, wiem – odpowiada. – To jest tak cholernie niesprawiedliwe.

Dość tego. Odstawiam biednego pana Bellowa na miejsce i idę na górę. Pierwszy przystanek to oczywiście sypialnia Peach. Kiedy byłem tu ostatnio, odniosłem wrażenie, że jest większa niż cała księgarnia, i cóż, wchodząc do niej po raz drugi, skonsternowany stwierdzam, że niewiele się pomyliłem. Na podłodze można rozłożyć osiem plansz do Twistera i jeszcze zostałoby miejsce. Pomieszczenie, rzecz jasna, doskonale zaprojektowano; bogaci wiedzą, jak dobrze wykorzystać przestrzeń. Mnóstwo drzwi, jedne prowadzą do przestronnej garderoby, inne na taras. Pod ścianą przepiękny mebel: komoda z bielonego mahoniu, zabytek, imponująca, ma pięć, może sześć metrów długości. Dotykam jej.

Mam ochotę trochę się rozluźnić, przekręcam klucz w drzwiach. Zzuwam buty i zdejmuję skarpety, dywan z norek – z norek! – to raj dla stóp. Łóżko – prawdziwe cudo, królewskie z baldachimem – stoi pośrodku pokoju. Pościel z logo Ralpha Laurena – sprawdziłem – kolekcja Virginii Woolf w szafce na książki wbudowanej w ścianę: egzemplarze w twardej i w miękkiej oprawie, stare i nowe wydania. Peach startowała w tysiącu maratonów, o czym świadczą pamiątkowe wstęgi, na chybił trafił powtykane między karty książek. Przesuwam dłonią po komodzie, wspaniały przedmiot, tyle że prawie nie widać blatu, bo zasłania go plastikowy las kosmetyków do włosów. Szkoda. Jest jeszcze telewizor z ogromnym ekranem, ale to chyba standard w takich mieszkaniach.

Chcę wyjść na taras, ale drzwi się zacinają. Szarpię je – no już, kurwa, otwierać się! – otwierają się, ale tracę przy tym równowagę i żeby nie upaść, próbuję złapać się plastikowych buteleczek z breją do włosów. Nie udaje się, ląduję na podłodze. Przewracam kilka butelek i mocno sfatygowany egzemplarz *Własnego pokoju*, z którego na dywan z norek wypada plik fotografii. Ja to mam szczęście, myślę, przeglądając szesnaście twoich pięknych roznegliżowanych zdjęć. Okazuje się, że Peach jest całkiem niezłą fotografką.

Cechą naprawdę dobrego fotografa jest dobre oko, oryginalne spojrzenie. Świetny fotograf potrafi znaleźć taki kąt i kadr, że na jego

zdjęciu zwykła rynna będzie wyglądała jak rzeźba ze stali. Ale te fotki… nie, Beck, to nie sztuka, lecz pornografia. Muszę usiąść, bo trudno mi to wszystko przetrawić. Peach cię kocha. Peach cię pożąda. Ogarnia mnie wściekłość. W tym domu mieszka wróg. Dopiero teraz zauważam, że zdjęcia są poplamione, kleją się. Na niektórych widać wyraźne odciski palców. Beck, to nie miłość, to obsesja; ona jest obłąkana. Przyglądam się fotografiom i znajduję smugi po kobiecych sokach – a więc dlatego wyglądają jak z nałożonym efektem rozmycia. Peach dotyka najpierw siebie, a potem ciebie, znów siebie i znów ciebie. To musi trwać od bardzo dawna, nic zatem dziwnego, że dziewczyna jest nabuzowana i spięta. Dzięki zdjęciom (i dzięki Peach) mogę prześledzić, jak zmieniało się twoje ciało. Na przykład tutaj masz siedemnaście, może osiemnaście lat, jesteś ubrana w koszulkę na ramiączkach, śpisz na plecach. Za oknem widać plażę, do pokoju wpada dużo światła, wyglądasz jak anioł z zamkniętymi oczami i rozłożonymi nogami. Tutaj, ubrana w bikini, palcem u nogi sprawdzasz temperaturę wody, a twój tyłek wygląda jak dojrzała, soczysta brzoskwinia (ironia, co nie, Peach?). Tutaj jesteś na plaży, w nocy, naga dosiadasz jakiegoś kolesia. Peach ma dobry aparat, zdjęcia wychodzą bardzo ostre, mogę zajrzeć ci w oczy, twoje sutki sterczą jak guziczki.

Muszę położyć się na królewskim łożu. Te zdjęcia, Beck…

Te

pieprzone

zdjęcia.

Czuję wybrzuszenie pod kołdrą, podnoszę ją i znajduję brudny, przepocony strój do treningu i pokrwawione skarpetki. Siadam na kupce ciuchów, zrzucam jeden z szali Peach, doskonałych, by ukryć podniecenie – teraz to rozumiem – rozkładam przed sobą zdjęcia i dzięki Bogu, że łóżko jest duże. Mam ochotę przelecieć każdą z tych fotografii z osobna. Tę z liceum, kiedy miałaś grzywkę, tę ze studiów, kiedy miałaś więcej ciałka, i ten czarno-biały obraz ciebie, na którym pieprzysz się na jeźdźca. Nie ja jestem na tym zdjęciu, ale będę, i chwycę cię za szyję, tak jak lubisz, i będziesz dla mnie krzyczała i jęczała: „Joe, Joe”. Tryskam obfitym

ładunkiem gorącego nasienia prosto do pierwszej lepszej rzeczy, jaka wpadła mi w rękę: do pachnącego stęchlizną sportowego stanika.

Peach na pewno tego nie przeoczy. Nie mam wyjścia, muszę włożyć biustonosz w spodnie, wsunąć go w bokserki. Robię zdjęcia zdjęć, po czym wkładam fotografie z powrotem do słodkiej skrytki i się uśmiecham.

Odzyskuję panowanie nad sobą, sprzątam bałagan, który zrobiłem, i schodzę na dół. Znajduję was na tarasie. Teraz wszystko wygląda inaczej. Niedobrze. Peach jest w tobie zakochana, a ty jesteś moja, nie ułoży nam się, jeśli Peach nadal będzie udawała chorą, ofiarę, cokolwiek, tylko po to, żeby przyciągać twoją uwagę. I ja też jestem inny, boję się spojrzeć na ciebie, mając świeżo w pamięci twoje fotografie. Peach jest pijana, bredzi o stalkerze. Siadam na oparciu fotela, tak jak detektywi w starych filmach, i podpieram brodę dłonią.

– Peach, pozwól, że zadam ci pytanie. Zauważyłem, że często startujesz w maratonach. Czy codziennie biegasz?

– A co? – warczy.

Jej wzrok mógłby zabić. Nie dlatego, że nie poszedłem na studia, ale przez to, jak patrzysz na mnie.

– Jeśli robisz to każdego dnia – zaczynam – świr, kimkolwiek jest, z łatwością może się zorientować, gdzie i kiedy biegasz.

Machasz rękami, szal opada ci na kolana.

– O rany, Joe! Peach codziennie rano przed świtem biega po parku.

– Nie codziennie – poprawia Peach, ale przycisza Eltona, żeby lepiej usłyszeć pochwały płynące z twoich ust.

– Ależ tak, Peach. Jesteś niesamowita, nieustraszona, w końcu biegasz w lesie, prawda?

Peach wzrusza ramionami, ale widać, że zapamiętuje komplementy: niesamowita, nieustraszona.

– To niezbyt bezpieczne – mówię.

– Wyobraź sobie, Josephie, że prowadzę nieszablonowe życie – mówi Peach. – Taka jestem.

Wracasz do listy mężczyzn, którą układałyście, ale nie mogę tego słuchać, bo przed oczami przewijają mi się twoje obrazy: jedno zdjęcie,

potem drugie i następne, i kolejne.

– Peach – mówisz – przychodzi ci na myśl ktoś jeszcze? Może ktoś, z kim się spotykałaś?

Wzruszenie ramion.

– Może Jasper. Kiedyś zjedliśmy razem lunch, chyba nadłamałam mu serce. Kto wie? Może całkiem je złamałam, tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy?

Kłamie jak z nut, ale trudno, muszę to znieść.

– Odbiło mu, temu Jasperowi? Jak się zachował?

Gdybym powiedział, że niebo jest granatowe, poprawiłaby mnie i stwierdziła, że ma barwę ciemnego granatu, dlatego też nie dziwi mnie jej odpowiedź:

– Z doświadczenia wiem, że mężczyźni pokroju Jaspera dobrze znoszą odmowę. Mężczyźni tacy jak Jasper prowadzą bogate życie i nie reagują przesadnie emocjonalnie.

– Aha, z doświadczenia. Czyli masz wielu eks? – pytam, wiedząc, że powinienem odpuścić.

– Nadal się przyjaźnimy – warczy. – Nie robimy scen, jesteśmy dorosłymi ludźmi, a nie dziećmi.

– No to świetnie! – odpowiadam. Mam ochotę ją udusić. – Ja nie utrzymuję przyjacielskich stosunków z żadną z moich byłych. W naszych związkach było za dużo namiętności, nie potrafię wyrzucić z pamięci tego, co nas łączyło, i po prostu wyskoczyć z którąś na lunch.

Peach nie ma pomysłu na ripostę. Pochylam się i cię całuję.

– Trzymaj się – mówię.

– Och, Joe – mówisz; naprawdę, ten dramatyczny ton jest zbędny. – Dziękuję ci za zrozumienie. Wiesz, że muszę tu zostać.

Ileż jest miłości w twoim sercu! Jesteś lojalna, życzliwa, wstajesz, odprowadzasz mnie do drzwi i raz jeszcze dziękujesz za wyrozumiałość. Całujemy się na pożegnanie, Elton John śpiewa, znowu głośniej, o księżniczce na krześle elektrycznym. Pragniesz mnie. Masz gorący język.

– No już, wracaj do przyjaciółki – mówię, co posłusznie robisz.

20

Badania przeprowadzone w Niemczech w 2008 roku wykazały, iż rzekoma euforia biegacza naprawdę istnieje. Niestety, chyba nie jestem do końca człowiekiem, bo śledzę Peach od ośmiu dni i jeszcze ani razu nie udało mi się doświadczyć tego stanu, którym ona nieustannie się zachwyca. Mieszkasz u niej od prawie dwóch tygodni, wprowadziłaś się na wszelki wypadek, gdyby stalker powrócił. Ha! Przez ten czas widzieliśmy się tylko dwa razy.

Pierwszy raz przed siedmioma dniami – zaprosiłaś mnie do siebie, kiedy przyjechałaś do mieszkania zabrać swoje rzeczy. Pakując torbę, zapytałaś, jakie mam plany na Święto Dziękczynienia. Odpowiedziałem, że jem obiad z rodziną pana Mooneya, i uwierzyłaś mi. Odparłaś, że spędzisz ten dzień z rodziną Peach. Bo Peach wpada w depresję, kiedy przyjeżdża jej familia.

Zaczęliśmy się wygłupiać, ale powstrzymałaś mnie i dłonią potarłaś czoło. Dotknęłaś mnie i powiedziałaś:

– Tak już mam, że w okolicy świąt pogarsza mi się nastrój. To z powodu taty. Kiedy umarł, wszystko się zmieniło.

Odparłem, że rozumiem, i naprawdę rozumiałem. Potem, kiedy oglądaliśmy *Pitch Perfect*, wcisnęłaś pauzę, bo zadzwoniła Peach. Odebrałaś, po czym przeprosiłaś mnie i odesłałaś do domu.

Wyszedłem i przyczaiłem się pod twoim oknem. Dobrze zrobiłem, bo przełączyłaś telefon na głośnik. Pogadałyście o duperelach, a potem Peach westchnęła.

– Moja mama zjadła lunch z mamą Benjiego.

– Hm.

– Nie chcesz się dowiedzieć, co powiedziała?

– Benji to smarkacz – odparłaś spokojnym, opanowanym tonem, który oznacza, że już go nie lubisz. – Poza tym ćpun.

Peach przeszła do ofensywy:

– Beck, wielu artystów ma słabość do używek.

Nie zamierzałaś tego słuchać. Powiedziałaś:

– Założę się, że w tej chwili Benji siedzi w Chinach, wciąga najdroższą herę i liże jakąś chińską cipę. Bo że ćpa, to oczywiste. Widziałaś jego tweety? Słabe.

Nie, Beck. Moje tweety Benjiego nie są słabe. Są rozbrajające. Są mroczne.

Rozgadałaś się o nim.

– Daj spokój, Peach, co jak co, ale nie zamierzam przejmować się Benjim – oznajmiłaś. – Czy on kiedykolwiek przejmował się mną?

– Spokojnie, dziewczyno.

– Przepraszam, pakuję się. Zawsze mam z tym problem. Z pakowaniem się.

– Mam parę koszul nocnych, możesz pożyczyć jakby co. Zresztą w ogóle możesz chodzić w moich ciuchach.

Ależ ona cię pragnie. Powiedziałaś, że musisz kończyć, potem napisałaś do mnie esemes z przeprosinami za nagły koniec naszej rozmowy, odpisałem, że nic się nie stało, a później urządziłaś niezłą jazdę jednej ze swoich poduch. Słuchałem. Podobało mi się.

Drugi raz przed trzema dniami – we troje: ty, Peach i ja, poszliśmy do cholernej Serendipity 3, bo tylko tam dają czekoladę, którą Peach może jeść, a bardzo, ale to bardzo potrzebowała czekolady przez to całe zamieszanie ze stalkerem. Usiedliśmy przy stoliku dla rodzin z dziećmi. Patrzyłem, jak Peach pochłania puchar mrożonej czekolady, a wiem – bo czytałem – że przy jej schorzeniu (schorzeniu, nie chorobie!) nie wolno jeść takich rzeczy, i paplała za nas troje, a kiedy chciałem potrzymać cię za rękę pod stołem, poklepałaś mnie po nodze – *nie*. Potem pocałowaliśmy się na do widzenia na ulicy i miałaś tak ściśnięte usta, że aż się marszczyły.

To nie było radosne Święto Dziękczynienia. Święta są, jakie są. Rodzina Peach przyjeżdża do Nowego Jorku, zajmuje cię uwijaniem się wokół nich,

w tej chwili nie jestem twoim chłopakiem i nie zapraszasz mnie na indyka. Curtis chce mieć więcej wolnego, okej, pracuję w zasadzie non stop. Pierwszy raz postanawiam wybrać się pobiegać, bo czuję, że mógłbym zabić Peach. Chodzę na spacery akurat wtedy, kiedy inni spędzają czas z bliskimi, i ciągnie mnie do budynku, w którym ona mieszka, bo ty tam jesteś. Puszczam się biegiem, bo nagle staje w drzwiach i o mały włos mnie nakrywa. Gdyby zobaczyła, że kręcę się pod jej domem, odbiłoby jej i pomyślałaby, że to ja jestem stalkerem. Więc owszem, przez chwilę pędziłem na złamanie karku, pobiegłem za nią do lasu, miałem ochotę złapać ją za szyję i zatrzymać raz a porządnie.

Następnego dnia, i jeszcze dzień później, też biegałem, bo wkurwiało mnie to, że nie mogłem za nią nadążyć. Rano jest zimno, a ponieważ moje adidasy za kostkę, kupione w ciuchlandzie, nie nadawały się do uprawiania czegokolwiek, musiałem pójść do sklepu z artykułami sportowymi (proszę, zastrzelcie mnie) i wybrać sobie specjalne buty do biegania, i teraz mam pokrwawione stopy, tak jak Peach, i kiedy codziennie rano wchodzę do księgarni, jestem po prostu wykończony. Ten, kto powiedział, że poranne bieganie dodaje energii na cały dzień, nigdy nie musiał chodzić do pracy, w której trzeba użerać się z klientami.

Dziesiątego dnia tak bardzo brakuje mi twojego widoku, że zdjęcia zdjęć już nie wystarczają. Wprawdzie codziennie rozmawiamy, ale teraz, kiedy właściwie mieszkasz u Peach, jesteś inna. Tęsknię za tobą, za nami w Bemelmans Bar, któregoś wieczoru idę tam sam, użalam się nad sobą i trafia mi się wredny kelner, który co rusz dopytuje się, czy na kogoś czekam. Ponure, samotne chwile. Nie mogę tak, Beck, naprawdę.

Jedenastego dnia wyglądam jak prawdziwy biegacz: mam na sobie nową bluzę i spodnie dresowe, nawet założyłem pedalską opaskę na czoło. Peach wychodzi później, bo poprzedniego wieczoru trochę sobie wypiłyście, o czym dowiaduję się z twojego Twittera:

Wódka czy dżin? Najpewniej wódka oraz dżin. #BabskiWieczór

Rusza powoli i ospale, widać, że ma kaca. Pochyla się, wygląda, jakby miała wymiotować. Większość ludzi unika forsownych ćwiczeń. Jest zimno, spodnie mi szeleszczą, mam po dziurki w nosie codziennego

biegania po lesie. Ale z jednym muszę się zgodzić: bieganie cholernie uzależnia. Robię to dopiero od dwóch tygodni, a już nie muszę nastawiać budzika – sam się budzę.

Peach zaczyna przed wschodem słońca. Elton John śpiewa *Someone Saved My Life Tonight*. Nastrojowe plumkanie na pianinie nie pasuje do spandeksu. Przy takiej muzyce człowiekowi nie chce się wyciskać siódmych potów; jest dobra, kiedy czuwa się po świt, a nie kiedy budzi się o świcie. Słyszę Eltona Johna, bo Peach za nic ma przestrzeń publiczną. Ludzie na całym świecie używają słuchawek do- albo nausznych, muzyka jest ich prywatną sprawą. Ale nie jej. Ona umieszcza iPhone'a w specjalnej kieszonce na opasce zakładanej na ramię i podpina go do głośniczka, z którego rozbrzmiewa muzyka. Kiedy ludzie posyłają jej szydercze uśmiechy albo zwracają uwagę, co kilka razy się zdarzyło (kurwa, uwielbiam nowojorczyków), nawet nie przeprasza, tylko rzuca: „I co mi zrobisz?". W dodatku ta muzyka! Kawałki Eltona Johna są wolne, nie pasują do ćwiczeń, którymi katuje swoje ciało. W Peach nie ma radości, jest sama brzydota, kiedy sapie i dyszy. Większość dziewczyn biega dobrze oświetlonymi trasami, ale ta robi to tam, gdzie nie powinna, w dodatku w samotności, jeśli nie liczyć Eltona Johna, który nieświadomie i nieumyślnie śpiewa jej serenadę o motylach jako symbolach wolności. Beck, Peach nie jest motylem. I dopóki ona istnieje, ty też nigdy się nim nie staniesz. Biegnę za nią. Nie jesteś motylem, nie wzlecisz wolna, ponieważ Peach jest zboczona, zboczona i niebezpieczna, fotografuje cię, pożąda cię. Robienie zdjęć śpiącej osobie – sama powiedz, czy to nie chore?

Muszę ją powstrzymać, muszę cię uratować, przyspieszam więc, zbliżam się do niej, czuję jej zapach, czuję pot, Elton śpiewa coraz głośniej o kimś, kto uratował mu życie – dla ciebie to ja jestem tym kimś i to twoje życie uratuję. Teraz. Zbieram wszystkie siły, rzucam się na nią i powalam jej kościste ciało na ziemię. Wrzeszczy, ale krzyk dobywający się z gardła raptem się urywa, kiedy jej głowa uderza o kamień. I już. Po niej. Podobało jej się to, co sir Elton napisał o spaniu w samotności i o muzyce, która żyje dalej. Peach nie tworzyła muzyki. Gdyby tylko była taka jak on: uczciwa, wdzięczna, prawdziwa.

Muzyka wciąż gra, mam ciężki oddech, cały się trzęsę, chcę wyłączyć odtwarzacz, ale boję się, że zostawię odciski palców. Teraz, gdy pokonałem Peach, rozumiem tę muzykę, jest jak układ bezpieczeństwa. Peach była przygotowana na taką ewentualność. Narzucanie się innym ze swoją muzyką drażni, ale są też w tym pewna odwaga i jakiś sens. Szkoda, że rodzice Peach to skurwiele, bo dziewczyna mogła, mogła być dobrą osobą, pomysłową. Muzyka niech gra – jako hołd, ironiczny co prawda, bo przecież muzyka nie uratowała jej życia. No, ale chociaż próbowała.

Nikogo nie zdziwi wiadomość o tym, że w Central Parku znaleziono martwą dziewczynę. Kobiety, które biegają samotnie w ciemności, muszą być niespełna rozumu. To przecież niebezpieczne, takie bieganie w pojedynkę. Dociera do mnie, że zostawiłem w lesie trupa, i podkręcam tempo. Jeszcze nigdy nie biegłem tak szybko i nie miałem pojęcia, że mam tak pojemne płuca. Docieram do ulicy, zbiegam na dół, do metra, i teraz wreszcie mogę zwymiotować. Puszczam pawia i się uśmiecham.

Ci Niemcy mieli rację – rzeczywiście istnieje coś takiego jak euforia biegacza.

To dobrze, że czuję upojenie życiem, ponieważ jakiś czas później dostaję od ciebie niepokojącego esemesa:

Z wieczoru nici. Jadę do prezbiteriańskiego. Peach :(

Peach ma być w kostnicy, a nie w szpitalu. Ponieważ nie mam pojęcia, co się stało – przecież nie jestem stalkerem – udaję zdziwienie i dopytuję się o szczegóły. Odpowiadasz, że napadnięto ją w parku. Ale masz też dobre wieści – dobre dla ciebie:

Miała szczęście. Jakaś dziewczyna znalazła ją tuż po tym, jak to się stało. Gdyby nie ona, Peach byłaby… no wiesz.

Odpisuję:

Ale wyjdzie z tego?

I czytam:

Fizycznie tak. Ale emocjonalnie… W każdym razie myślę, że długo poleży w szpitalu.

Nie rozmawiałabyś ze mną, gdyby Peach mnie zauważyła, kiedy się na nią rzuciłem, więc dobre chociaż to. Oferuję pomoc, upierasz się, że nie

trzeba, ale pokażę ci, że jestem dobrym chłopakiem, i pominę jawną niesprawiedliwość, że Peach dostała łóżko w szpitalu prezbiteriańskim; dostała je tylko dlatego, że jej tatuś jest członkiem zarządu. Kiedy pomyślę o tych wszystkich naprawdę chorych ludziach, dla których brakuje miejsc… No, ale w życiu nic nie jest sprawiedliwe.

21

Nie jestem zły. Naprawdę. Nie gniewam się. Jesteś dobrą przyjaciółką. Wiem, że rodzice Peach już wrócili do San Francisco. I wiem, że musisz być przy niej. Nie zamierzam kwestionować twojego postępowania tak, jak robią to Lynn i Chana, rzucając takimi hasłami jak współuzależnienie i rezygnując z odwiedzin u Peach. Nie jestem wściekły. Nie jestem! Na dowód tego wysyłam bukiet kwiatów do szpitala. Nawet dorzucam kilka dolarów ekstra na wielki żółty balon z uśmiechniętą buźką.

Czy ktoś, kto czuje gniew, wydawałby pieniądze na balon? Nie.

I wcale nie jestem chamski w stosunku do klientów. Brak złości można poznać po tym, że mam więcej cierpliwości niż zwykle. Nie objeżdżam Curtisa za to, że się spóźnił, i nie czepiam się go, kiedy zapomina domówić powieść *Doktor Sen* (jedyną, która dobrze się sprzedaje, oczywiście poza jej *prequelem*), a kiedy widzę, że horror dociera na szczyt listy bestsellerów „Timesa", dochodzę do ostatecznego wniosku, że wszyscy utknęliśmy w miejscu. Pierwszą prawdziwą randkę mieliśmy tego dnia, kiedy ukazał się *Doktor Sen*, a teraz, gdy książka bije rekordy i trzeci miesiąc pozostaje na liście bestsellerów, i gdy czytam w internecie – właściwie sam nie wiem po co – że powstanie jej wersja filmowa, co było do przewidzenia, nie jestem zły ani na ciebie, ani na Kinga, ani na klientów, ani na Peach, ani w ogóle na cokolwiek. Nie wnerwiam się, że Peach kłamie. Szkoda mi jej, biedaczki. W oczywisty sposób jest produktem socjopatycznych skłonności swojej rodziny, ma tragiczną obsesję na twoim punkcie i powiem ci szczerze, że jeśli już, to najbardziej martwię się o ciebie.

Mogę zaczekać. Pewne rzeczy dzieją się szybko (sprzedaż bestsellera), inne potrzebują więcej czasu (miłość). Rozumiem to. Jesteś zapracowana.

Masz zajęcia – rozumiem to – masz Peach – rozumiem to – nie unikasz mnie – rozumiem to – zalegasz z pracami na uczelni – rozumiem to – Peach nie może znieść widoku facetów – rozumiem to – dzieje się tak wiele, że nie masz czasu na pisanie mejli – rozumiem to – myślisz o mnie, kiedy kładziesz się do łóżka, które dla ciebie złożyłem – rozumiem to. Widzisz, Beck, nie jestem narcystycznym dupkiem, który uważa, że jego potrzeby są zawsze najważniejsze. Wstaję, idę pobiegać, do rzeki i z powrotem, wzmacniam nogi – kiedyś się przekonasz, jakie są silne – sprzedaję Kinga, czytam Kinga, jem samotnie lunch i równie samotnie kolację i ani przez chwilę nie mam ci za złe, że mnie zaniedbujesz. Ani razu.

Ten balon, Beck, kosztował dziesięć dolarów z podatkiem, wiesz? Kiedy zapytałem cię, czy dotarł razem z kwiatami, w twoim tonie usłyszałem głos Peach.

– Tak, tak – odparłaś.

– Coś nie tak?

– Nie, Joe, nieważne. To znaczy, wiesz, dla niej teraz wszystko jest „nie tak”.

– Beck, kurwa, o co chodzi?

Nie powiedziałem tego w upierdliwy sposób, po prostu chciałem, żebyś była ze mną szczera.

– Joe, naprawdę, daj spokój. Wszystko gra.

– Przecież widzę, że jest inaczej.

Wzdychasz, jesteś poirytowana, twój głos brzmi inaczej, jakbyś wypiła zielony sok, który codziennie rano przynoszą Peach, i jakby zaczynał ci się podobać taki styl życia: sypianie w luksusowej części miasta, budzenie się w pokoju, w którym nie ma nawet jednej rzeczy z Ikei.

– Nie wściekaj się.

– Nie wściekam się, Beck.

– Po prostu obie uznałyśmy, że ten balon był odrobinę… niestosowny.

– Niestosowny.

– No wiesz… uśmiechnięta buźka.

– Symbol życzeń powrotu do zdrowia.

– Joe, ale to nie takie proste.

– Na stronie kwiaciarni umieścili go w sekcji „życzenia powrotu do zdrowia”.

– Tak, ale przecież Peach nie trafiła do szpitala dlatego, że, nie wiem, skręciła kostkę, grając w tenisa.

W tenisa.

– Beck, bądź rozsądna.

– Jestem rozsądna.

– Przecież chciałem dobrze.

– Wiem, Joe, wiem. Tyle że wielka żółta uśmiechnięta buźka to chyba ostatnia rzecz, jaką masz ochotę oglądać, wiedząc, że gdzieś tam grasuje świr, który włamał się do twojego domu i cię zaatakował. To uśmieszek, rozumiesz. To takie…

– O Jezu – powiedziałem.

– Po prostu Peach nie jest teraz do śmiechu.

– Przepraszam.

– Nie musisz przepraszać.

– Beck, skoczmy na kawę.

– Nie mogę teraz, naprawdę.

Nigdy nie wydawałaś się tak daleka. Wezmę ten balon i rozerwę go na strzępy albo lepiej: spuszczę z niego powietrze i zacisnę go Peach na szyi, bo CO JEJ, DO CHUJA PANA, PRZESZKADZA BALON?

Minęło siedem godzin i sześć dni, od kiedy Peach wyszła ze szpitala i wróciła do domu. Jesteś zajęta uczelnią, zajęta Peach, nadal u niej mieszkasz. Ale widać nie na tyle zajęta, by nie mieć czasu na mejlowanie z nieznajomym piszącym z adresu CaptainNedAck@gmail.com.

Ty: Cześć, możesz do mnie zadzwonić??

Kapitan: Nie teraz. Przyjeżdżasz w ten weekend, czy coś się zmieniło?

Ty: Jestem okropnie zajęta. Nie możesz po prostu zadzwonić?

Kapitan: Chcę się z tobą zobaczyć.

Ty: Nie mam samochodu.

Kapitan: Załatw, ja się zajmę resztą. Nadal nosisz rozmiar S, prawda?

Ty: Tak.

Ustaliwszy z Kapitanem co i jak, wychodzisz od Peach i wsiadasz do taksówki. Dzwonię do ciebie. Włącza się sekretarka, nie zostawiam wiadomości. Nie jestem tym Kapitanem. Ignorujesz telefon od Peach, pisze do ciebie mejl (wersalikami):

GDZIE JESTEŚ?

Odpowiadasz szybko i krótko:

Pisarskie pogotowie. Długo by opowiadać. Jadę do „domu pracy twórczej" (haha) w Silver Seahorse w Bridgeport. Dbaj o siebie i zamykaj drzwi na klucz. Tysiąc buziaków, Beck.

Peach jest na ciebie wściekła i powiem ci, że wcale jej się nie dziwię. Kawał drogi do Bridgeport. Wynajmujesz samochód, za który, jak wszyscy wiemy, płaci Kapitan. Tłukę się starym wielkim buickiem pana Mooneya. Wiele dla ciebie zniosę, Beck. Sądziłem, że ja będę twoim Kapitanem. Przez całą drogę do Bridgeport nie słucham muzyki, nie mam nastroju, smutno mi, za smutno na Eltona Johna, poza tym boli mnie głowa.

„O, kapitanie, mój kapitanie".

Płaczę.

Do Bridgeport docieram przed tobą. Silver Seahorse to niewielki motel nad wodą, jeden z tych przybytków, w których ze wszystkich pokoi wychodzi się wprost na parking. Stopa Peach za nic w świecie nie postałaby w takim miejscu, ale to musi być tutaj, bo w Bridgeport nie ma innego Silver Seahorse'a. Słucham miejscowej rozgłośni i jem burrito ze stacji benzynowej. Boję się o ciebie, o siebie, o nas, strach nie pozwala mi dokończyć posiłku. Kapitan. Kim jest ten Kapitan?

Wjeżdżasz na parking. Osuwam się na fotelu i obserwuję cię w lusterku wstecznym. Otwierasz bagażnik i podchodzisz do niego, ale nie wyjmujesz torby, ponieważ z jednego z pokojów wychodzi Kapitan. Ma co najmniej czterdzieści pięć lat, może pięćdziesiąt, i siwiznę George'a Clooneya – czy to cię kręci? – pstryka papierosem – a pierdol się, Kapitanie, obyś się

przekręcił na raka – podchodzi do ciebie, bierze cię w ramiona i robi z tobą obrót. Wiesz co, Beck?

Dopiero teraz jestem zły.

Kapitan Emeryt wsiada do twojego samochodu. Jadę za wami, on prowadzi, skurwiel (ze mną nigdy nie jechałaś), podjeżdżacie do bankomatu przed Cumberland Farms. Wyskakujesz z auta i po chwili wracasz z plikiem dwudziestek. Każe ci przeliczyć forsę (oby zdechł w tej chwili), irytujesz się, liczysz powoli, jak uczennica trzeciej klasy, przypominam sobie twoje buszowanie po „przygodnych kontaktach" na craigslist i obawiam się najgorszego. Jadę za tobą i Kapitanem z powrotem do Silver Seahorse i to ja powinienem być na jego miejscu, Beck. Kapitan wysiada pierwszy, otwiera ci drzwi, wyjmujesz torbę z bagażnika, on trzyma klucz w kieszeni, a ja jestem na tyle blisko, że słyszę waszą rozmowę.

– Mogę zapalić?

Kręci głową.

– Nic z tego, kochanie.

– Aha, ty możesz, ale ja nie?

– Przywiozłaś kostium?

Kostium? O Jezu.

– A jak myślisz? – Jęczysz. – Tylko jednego, proszę.

– Nie ma mowy, zapomnij.

– Żarty sobie stroisz? Teraz chcesz się bawić w ojca?

Powiedziałaś „ojca" – serce mi staje, uszami idzie dym, chyba zaraz padnę. Ojciec. Przecież mówiłaś, że nie żyje. Wszystkim opowiadasz, że umarł. Czemu, Beck, czemu? Nie wiem, czy jest mi smutno, czy jestem zły na ciebie, bo w tej chwili przede wszystkim czuję cholerną ulgę, że nie płacisz (albo tobie nie płacą?) za noszenie stroju uczennicy i dupczenie się w zapyziałym motelu. Oddycham głęboko. Kapitan to twój ojciec, twój ojciec ma klucz, wchodzisz za nim do pokoju numer 213. Chcę go poznać, chcę wejść tam z wami, chcę, żeby podał mi rękę i powiedział, jak bardzo się cieszy, że jego córka znalazła sobie porządnego mężczyznę. Ale mówiłaś, że nie żyje, więc może byłabyś bardziej zadowolona, gdybym

wszedł tam i sprawił, by twój ojciec naprawdę umarł? Nie wiem, mam mętlik w głowie, poza tym robi się coraz zimniej.

Bridgeport. Na tym zadupiu jest już po sezonie, meldowanie się w motelu otrzeźwia mnie i pomaga odzyskać panowanie nad sobą. To, czego się dziś dowiedziałem, jest szokujące, ale czuję ulgę. Wciskam kit o przesądach, szczęśliwych liczbach i tego typu bzdurach i proszę o pokój sąsiadujący z twoim. Cuchnie środkiem dezynfekującym i newportami, ściany są cienkie, biorę prysznic, a potem rozkładam jeden z dodatkowych ręczników na podłodze, siadam i słucham twojej kłótni z tatą (chodzi o pieniądze i dzieci, twój głos brzmi jak głosy dorosłych w animowanej wersji *Fistaszków*). Ojciec wychodzi, trzaskając drzwiami, zostajesz sama. Płaczesz, potem bierzesz prysznic, jesteś czysta i wilgotna, tak jak ja, słyszę zamek w drzwiach. Zdejmujesz koc z łóżka, zrzucasz go na podłogę – to słychać, bo jest ciężki – zaczynasz sobie dogadzać, jęczysz i wzdychasz – robisz to głośno, doskonale cię słyszę – biorę z ciebie przykład, robimy to razem, wyobrażam sobie, że nie dzieli nas ścianka, posuwam cię na łóżku, prosisz, błagasz o jeszcze, jesteśmy w Bridgeport, bo mieliśmy ochotę na rypanie w motelu, ciągnę cię za włosy, krzyczysz – jesteś głośna, Beck, naprawdę głośna, tutaj zielona poducha nie tłumi twoich jęków – a kiedy jest po wszystkim, włączasz telewizor i zapalasz papierosa. Słyszę go i czuję, jestem tak otępiały po zrobieniu tego z tobą i nie zrobieniu tego z tobą, że dopiero po chwili dociera do mnie pewna rzecz.

Wiesz dobrze, że balon z uśmieszkiem wcale nie był niestosowny. A twój ojciec nie jest martwym pijakiem.

Pieprzona kłamczucha z ciebie.

22

Potrafisz zmusić mnie do robienia rzeczy, których w normalnych okolicznościach nigdy bym nie zrobił. Ostatni raz przebrałem się na Halloween w trzeciej klasie podstawówki (za Spidermana) i choć z każdym rokiem było mi coraz trudniej, to jednak przez większość życia udawało mi się po cichu kontestować to z dupy wzięte święto. A teraz proszę: oglądam się w cuchnącej naftaliną przymierzalni Bridgeport Costumes, tak małej, że nawet pieprzony Smerf miałby ciasno. Céline Dion wyje o swoim sercu, jej głos dobiega z najgorszej aparatury nagłaśniającej, jaką można sobie wyobrazić, a pełna dobrych intencji sprzedawczyni o wyraźnie irlandzkim pochodzeniu stoi pół metra od kabiny i pyta:

– Czy już pan przymierzył te pantalony?

– Nie – mówię, przeglądam się w lustrze i mam ochotę zapaść się pod ziemię.

Ale nie mogę tego zrobić, ponieważ mnie potrzebujesz. Ojciec chce cię zabrać na festiwal pieprzonego Charlesa Dickensa w Port Jefferson po drugiej stronie cieśniny Long Island. Nie chcesz jechać, ale on już wypożyczył dla ciebie kostium i po porannej kłótni w końcu zgadzasz się spędzić dzień z jego rodziną.

Kiedy szykowaliście się do wyjścia, siedziałem w swoim pokoju i czytałem o tym cholernym festiwalu. Kiedy wyszłaś na papierosa, zobaczyłem cię przez okno i już wiedziałem, że nie mam wyboru. W kostiumie wyglądałaś zjawiskowo, wprost tonęłaś w czerwonym welurze, a twoje włosy spływały kaskadą spod czerwonego czepka. Paliłaś i dąsałaś się na parkingu motelu Silver Seahorse. Jesteś jedyną dziewczyną na całym świecie, która potrafi wyglądać jednocześnie poważnie

i zabawnie. Dołączył do ciebie tata, ubrany we frak i z cylindrem na głowie. Wręczył ci białą futerkową mufkę.

– Niby co mam z tym zrobić? – spytałaś.

– Włóż ręce do środka, będzie ci ciepło.

– Ale przecież mam rękawiczki.

– Beck, proszę cię, nie stwarzaj problemów.

Westchnęłaś i wsunęłaś dłonie w tę szczęściarę mufkę, tak jak ja chciałbym wsunąć się w ciebie. Długo mi schodzi na przymierzaniu, irlandzka sprzedawczyni puka do drzwi. Chce zobaczyć, jak wyglądam, to oczywiste.

– Jak miło, że młodzi ludzie, tacy jak pan, chcą wczuć się w atmosferę epoki – mówi. – Jestem pewna, że pantalony będą doskonale na panu leżały.

– Yhy, jeszcze chwilę.

– Nie pamiętam, czy wspominałam – dodaje – że stroje należy zwrócić w ciągu tygodnia od daty wypożyczenia. W przeciwnym razie o świcie zapuka do pana drzwi stara irlandczyca i poprosi o zwrot. No jak tam, gotów?

– Za chwilę – odpowiadam i nie wiem, może Irlandki nie mówią po angielsku.

Céline Dion wciąż się wydziera o przeklętym sercu, duszę się naftaliną i nienawiścią do samego siebie, a gdybyś powiedziała ojcu o mnie, wypożyczyłby kostiumy nam obojgu. Wtedy byłabyś tu ze mną i nie zwracałbym uwagi na cholerną naftalinę i rzewne pianie Kanadyjki. Ale cóż, okłamałaś mnie. Dlatego teraz muszę wyjść z przymierzalni i poinformować tę Irlandkę, że wybieram się na festiwal samotnie.

– Och, taki przystojny młodzieniec jak pan na pewno prędko przygrucha sobie jakąś młódkę – rechocze.

Za jej plecami na ścianie wisi lustro i, ożeż kurwa mać, rzeczywiście nieźle wyglądam w tym kostiumie – mam wyższy cylinder niż twój ojciec – ale strój kiepsko się sprawdza jako przebranie.

– Ma pani jakąś brodę?

Myśli, że żartuję.

– Chyba nie mówi pan poważnie, młody człowieku?

– Zimno jest.

– Owszem, mamy brody, ale nie dickensowskie.

– Nie szkodzi – mówię.

Irlandka przyjmuje dwudziestki i gotuje się ze złości. Małe mieściny przerażają mnie bardziej niż duże miasta. Ta kobieta, przed chwilą życzliwa i służalcza, lada moment zagotuje się z gniewu tylko dlatego, że poprosiłem ją o brodę.

– Trochę mi się spieszy – dodaję, doprawiając wypowiedź szczyptą irlandzkiego akcentu.

Sprzedawczyni przycisza zabytkowy odtwarzacz. Céline Dion z k a s e t y też nie ma w sobie nic dickensowskiego. W końcu ustępuje i prowadzi mnie do niedickensowskich bezzwrotnych bród, upchniętych w pudle z napisem: JOHNNY DEPP / *DUCK DYNASTY*.

Ta pieprzona Ameryka. Czasami ręce opadają.

To nieznośne, kiedy człowiek przychodzi w przebraniu na imprezę i nikogo nie zna, podczas gdy wszyscy pozostali, również w kostiumach, znają się doskonale. Przyjęcie odbywa się na promie, do Port Jefferson długa droga, a ja już czuję, że popełniłem błąd. Nie przemyślałem tego. Co będzie, jeśli mnie rozpoznasz? Chyba nie zechcesz przedstawić mnie swojemu ojcu, gdy będę miał na sobie pierdolone pantalony.

Powinienem był wrócić do Nowego Jorku, ale już za późno, nie zawrócę imprezowej łodzi, staram się więc skupić na pozytywach: od przyjazdu tutaj nie wysłałaś ani jednego tweeta ani mejla. Wkradają się złe myśli. Pojawił się twój ojciec. A jeśli każesz matce wyłączyć telefon? Spokojnie, Joe. Znam twoje hasła i bez trudu znajdę sposób, by znów do ciebie dotrzeć. Ale lubię mieć twój telefon. Lubię myśleć, że twoja matka płaci mi za opiekę nad tobą. Trudno o rozsądek, kiedy ma się na sobie przebranie, dlatego wracam do tego, co pozytywne. Okazuje się, że potrafisz wylogować się z sieci i że kłamiesz wszystkim, nie tylko mnie. I w pewnym sensie jest mi z tym lżej niż tobie. Ty i twój stary siedzicie w kabinie w wygodnych fotelach anatomicznych. Wyglądasz przepięknie, oczywiście, jesteś jak

Rose na Titanicu, ja zaś jak przebiegły optymista Jack, i gdybyśmy byli tu razem, a nie oddzielnie, to wierz mi, Beck, znalazłbym sposób, by ci wleźć pod spódnicę.

Ani ty, ani twój ojciec nie wyglądacie na szczególnie podekscytowanych festiwalem. To był jego pomysł. Marynarze pokładowi nabijają się z niego z powodu kostiumu, a prawdziwy Kapitan tej jednostki wychodzi ze sterówki i nalega na zdjęcie z tobą i twoim starym. Nie masz ochoty, ale ojciec się upiera, nachodzi mnie chęć, by szybkim krokiem przemierzyć pokład i wszcząć bunt, ale nie mogę tego zrobić, nie wolno mi się wtrącić. Wiem, kiedy potrzebujesz przestrzeni. Dlatego kupiłem sobie brodę.

Tata pyta cię, czego się napijesz, odpowiadasz wzruszeniem ramion.

– Rozumiem, że zamierzasz utrudniać tak bardzo, jak tylko się da?

– Przecież powiedziałam, że nie wiem. – Stroisz fochy, przy ojcu zmieniasz się w nastoletnią panienkę; to ma sens.

– Dobrze, Guinevere, odpowiedz krótko: masz czy nie masz ochoty na coś do picia?

– Kawa – warczysz. – Niech będzie.

Nazwał cię Guinevere. Grupa podpitych naśladowców Karolka Dickensa zaczyna śpiewać kolędy, jakiś tłusty koleś w stroju Bena Franklina (och, Ameryko!) próbuje się przecisnąć i wylewa na mnie połowę zawartości kufla z piwem. W powietrzu wyraźnie czuć naftalinę, słoną wodę i piwo marki Coors i ani trochę mi się tu nie podoba. Ponieważ uciekłaś z Nowego Jorku na spotkanie z ojcem, który jednak żyje (żyje!), i ponieważ jestem tutaj na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała, będę musiał sprzedać pieprzonego Dickensa na eBayu, żeby odkuć się za motel, kostium i psychoterapeutę, którego usługi okażą się konieczne, kiedy pewnego dnia uświadomię sobie, że dzień, w którym stojąc w cholernych pantalonach na pokładzie promu z bandą ćwierćgłówków, odmroziłem sobie jaja, dokumentnie popierdolił mi w głowie. W tym czasie półgłówki siedzą w domu i oglądają *Wielkie nadzieje*.

Jedyną rzeczą gorszą od podróży promem na festiwal jest sam festiwal. Beck, Publiczny Gwałt na Charlesie Dickensie to jakaś okropność. Nie

miałem pojęcia, że istnieje takie gówno. Ty wiedziałaś. Trzymasz się z daleka od przyrodniego rodzeństwa, to jeszcze dzieci, braciszek ma na oko sześć, a siostrzyczka osiem lat, oboje są ubrani w kostiumy, tutaj wszyscy je noszą, Charles Dickens przewracałby się w grobie, gdyby zobaczył, że celebrantami dorobku jego życia są bogaci, niemający nic lepszego do roboty emeryci, którzy wydają majątek na wypożyczenie gaci, spódnic i peruk, i przepływają cieśninę Long Island wyłącznie po to, aby spotkać się z innymi przygłupami o podobnych upodobaniach, pospacerować po wiosce Port Jeff, chwaląc nawzajem swoje stroje, opychać się kandyzowanymi jabłkami i zachowywać tak, jakby łażenie po starych domach, słuchanie osiemnastowiecznych gitar, obżeranie się prażoną kukurydzą o smaku toffi, malowanie sobie twarzy (jak gdyby miało to cokolwiek wspólnego z Dickensem) i słuchanie muzyki kameralnej było naprawdę zajebistą frajdą. Beck, zastanów się, ilu z tych białych skurwieli na promie (daj spokój, żaden czarnoskóry nie bawiłby się w taką szopkę) zdałoby test ze znajomości *Olivera Twista*? Ilu z nich czytało mniej znane dzieła Dickensa?

Ale przecież musiałem za tobą popłynąć. Dobrze, że zawsze jestem w pobliżu – jestem jak Kevin Costner, ty moja Whitney Houston – bo w przebraniu ludziom odbija, nawet starym, białym cymbałom z Connecticut. Są lekko zaprawieni piwem (kiedy oddaje się hołd Dickensowi, wolno pić w ciągu dnia), paru gości poczyna sobie z tobą nieco zbyt śmiało, zapamiętuję tych, którym należy spuścić łomot. Kobiety bym nie uderzył, ale widać, że macocha cię nie lubi, jest zazdrosna o zainteresowanie, jakie wzbudzasz, jej dzieci wcale nie są takie ładne, za to nasze będą piękne. Jak to możliwe, że przy tobie moja złość na ciebie zamienia się w miłość?

– Guinevere – mówi macocha. Twój tata zwraca się do niej „Ronnie”; Ronnie walczy z czterdziestką za pomocą botoksu, pudru brązującego i bielizny wyszczuplającej. Ty nie będziesz miała problemu z akceptacją swojego wieku, będziesz piękna, nie taka jak Ronnie, która warczy: – Gdzie reszta od sprzedawcy kandyzowanych jabłek?

– Dałaś mi dwudziestkę.

Ojciec gotuje się ze złości, przenosi uwagę na bachory, jak gdyby akurat teraz najbardziej go potrzebowały, a to nieprawda.

Wydymasz wargi.

– Jabłka kosztowały, zdaje się, po pięć dolców za sztukę.

Ojciec jednak reaguje. Napomina cię.

– Guinevere, kochanie, daj spokój.

– Okej – mówisz łamiącym się głosem, jakbyś miała się rozpłakać.

Wyjmujesz dłonie z mufki, która spada na chodnik, i zaczynasz grzebać w wielkiej torebce od Prady. Macocha bierze na ręce jedno ze swoich nijakich dzieci i sadza je sobie na biodrze.

– Prada – mówi. – Kupiłaś na eBayu?

– To prezent – odpowiadasz; czasem jednak mówisz prawdę. Wręczasz jej dwa dolary i spoglądasz na tatę. – Czy możemy już iść?

Dramamina, którą kupiłem w sklepie z pamiątkami, nie działa, w rezultacie powrót do Bridgeport to jedna wielka porażka, przesiedziałem go w blaszanej puszce zwanej łazienką, kolonialne pizdy z Connecticut krzyczą, że muszą wejść, mdli je od nadmiaru żarcia i uciech. Broda swędzi jak diabli, promem kołysze, a kibel nie chce się spłukać. Ciągnę za rączkę i nic. Jakiś dureń napieprza w drzwi pięściami.

– Ej, kolego, nie tylko ty masz okrężnicę!

Nie zaszczycam go odpowiedzią. Nagle łódź wyskakuje z wody – czyżby kapitan też się nawalił? – rzuca mną o ścianę. Puszczam pawia, próbuję odsunąć na bok tę przeklętą bezzwrotną brodę i wtedy ona wpada z pluskiem do sedesu.

Chlup.

Przepadło. Z kranu ledwo ciurczy. Jeśli zaraz stąd nie wyjdę, zwrócę na siebie jeszcze więcej uwagi. Mogę tylko pochylić głowę i modlić się, żebyś nie była jedną z tłumu, który zebrał się przed drzwiami toalety, żeby mnie zlinczować. Jeśli Bóg istnieje, wstrzymasz się, dopóki nie dotrzecie do Silver Seahorse.

Bóg istnieje. Okazuje się, że na zewnątrz czekają tylko cztery osoby, a brzmiało to, jakby dobijało się kilka tuzinów. Biegnę na rufę, tam

okropnie wieje, więc mam nadzieję, że będę sam i że uda mi się przetrwać resztę podróży, nie rzucając ci się w oczy. Spłoszyłabyś się, widząc mnie na promie, i nie uwierzyłabyś, gdybym zaczął tłumaczyć, że przyjechałem odwiedzić rodzinę. Łzy płyną mi po policzku i sam nie wiem, czy to od wiatru, czy się wzruszyłem. Goło mi bez ciepłej, szorstkiej brody, pantalony są uszyte z materiału cienkiego jak papier i zaraz odmarzną mi nogi.

W końcu łódź zwalnia i wpływamy do portu, a wtedy dochodzi do czegoś niewyobrażalnie przerażającego, czegoś tak strasznego, że najchętniej wyskoczyłbym za burtę – gdyby było lato, już dawno byłbym w wodzie. Otóż twoje przyrodnie rodzeństwo bawi się w chowanego (tak, Ronnie, to fantastyczna zabawa dla małych dzieci na promie), słyszę, jak twoja macocha woła dwoje urwisów, które skryły się za skrzynią stojącą tuż przede mną.

Oddychaj, Joe, oddychaj.

Przybiega – robi to błyskawicznie – chwyta dzieci za ręce i spogląda na mnie.

– Co za dzień, prawda?

Flirtuje ze mną, bo zazdrości tobie, ale ja gram w drużynie Beck i wiem, jak się odgryźć.

– Owszem, proszę pani.

Nie podoba jej się ta odpowiedź, moje „proszę pani” miało dwojaki cel: po pierwsze sprawić, żeby poczuła się staro (zrobione), a po drugie, żeby sobie poszła. Wtedy jednak nie wiadomo skąd wyłania się dwóch marynarzy, łódź nieznacznie się obraca, oni zaczynają rozplątywać linę, a wszyscy zmęczeni, pijani pasażerowie z Connecticut zmierzają w tę stronę, bo takie już mam kurewskie szczęście, że akurat ta łódź pozbywa się pasażerów i ładunku od strony rufy.

Jeśli Bóg istnieje, to w tej chwili kłócisz się z ojcem. Jeśli Bóg istnieje, zejdę na ląd jako pierwszy. Jeśli Bóg istnieje, ta powolna stalowa bestia wreszcie dotrze do nabrzeża, żeby twoja macocha mogła zawieźć bachory do domu i nakarmić je makaronem z serem, którego głośno się dopominają. Jeśli Bóg istnieje, to właśnie przybijamy, w tej chwili, tak, przybijamy, i na

brzegu stoi młodziak i rozkłada pochylnię, tak, rozkłada. Dobijamy, zejdę jako trzeci, może czwarty, ludzie zaczynają się przepychać.

Jeśli Bóg istnieje, to nie twój głos słyszę za plecami. Jeśli Bóg istnieje, Ronnie nie każe mi (mi!) usunąć się z drogi.

– Mój mąż próbuje przejść – mówi.

Wie, jak wziąć odwet. Twój ojciec przeciska się obok mnie, przepraszając. Odwraca głowę i gwiżdże na ciebie, w tej samej chwili prom ostatecznie przybija do brzegu, a marynarze blokują pochylnię łączącą łódź z lądem.

– Idę! – mówisz. – Matko Boska, ludzie, spokojnie, to nie Ellis Island, do ciężkiej cholery.

Uwielbiam twoje poczucie humoru i twoje obrzydzenie, kocham cię i dlatego, niczym kwiat do słońca, obracam głowę dosłownie o kilka milimetrów, w sam raz żeby zobaczyć twoją piękną twarz i żebyś ty ujrzała mnie, przez sekundę, zanim marynarz zdejmie łańcuch i zanim ruszę z tłumem, by wreszcie zejść z tej pierdolonej łajby.

23

Kiedy widzę zjazd z autostrady, mam ochotę skręcić, znaleźć stację benzynową i zdjąć z siebie ten cuchnący stęchlizną kostium. Nie robię tego jednak. Siedzę za kółkiem jak sparaliżowany. W panice pędzę przed siebie i się nie zatrzymuję. Powód jest porażająco prosty: przez godzinę, czyli od chwili, w której prom przybił do nabrzeża, dzwoniłaś do mnie cztery razy, co może oznaczać tylko jedno: zobaczyłaś mnie.

– Nie! – krzyczę i mam wrażenie, jakbym jechał całą wieczność, walę pięścią w kierownicę i buick nagle skręca na prawy pas, zajeżdżam drogę ciężarówce, naciska klakson, otwieram okno i ryczę: – Chuj w dupę twojej matce!

Nie słyszę, czy mi odpowiada, bo zamykam okno (ręcznie, pan Mooney to stary skąpiec). Muszę zwolnić, nie chciałbym, żeby teraz zatrzymała mnie policja. To właściwie nie moja wina. Skłamałaś. Twój ojciec żyje. Wsiadłem na ten prom, ponieważ skłamałaś.

Może nie znam cię tak dobrze, jak mi się wydawało. Ale to przecież absurd; coś nas łączy. Tyle że wszystko schrzaniłaś. Powinnaś opowiedzieć mi o ojcu, nawet jeśli się go wstydzisz. A ja powinienem cię wysłuchać, pokochać i powiedzieć, że wszystko w porządku, nie jesteś złą córką. Wtedy zapytałabyś mnie o moje życie, odpowiedziałbym, wysłuchałabyś mnie tak, jak ja wysłuchałem ciebie, i bylibyśmy sobie bliscy.

Podjeżdżam do dziewczyny, która jedzie zbyt wolno. Pokazuje mi, co o mnie myśli: na zderzaku ma dwie naklejki, jedną z logo Boston College, drugą z napisem: „zachowaj odstęp, nieuku”. Nie znoszę prowadzić samochodu, najchętniej wpakowałbym się w kufer temu jej volvo, a potem

patrzył, jak pinda wykrwawia się na śmierć, ale nie, Joe, nie. To nie ona jest tą złą i nie ona powinna płacić za twoje błędy.

Wina jest twoja i tylko twoja, Beck. Schrzaniłaś koncertowo i wiesz, że pojechałem za tobą. Wiesz. Trąbię i siedzę suce na ogonie, aż wreszcie włącza migacz i zmienia pas. Kiedy ją mijam, zwalniam, jedną rękę trzymam na kierownicy, a drugą pokazuję jej środkowy palec. Dziwka wybucha śmiechem, dodaję gazu. Pieprzyć ją. I pieprzyć ciebie.

Nigdy mi nie wybaczysz i nie będziesz chciała mnie więcej widzieć. Niech ta rodzina w land roverze spierdala ze swoimi nartami i oponami spod igły, podjeżdżam do ich auta, prawie pod sam zderzak, i wtedy dzwoni telefon.

Ty.

Dzieciak na tylnym siedzeniu land rovera nie słucha się ojca i odwraca głowę i wiesz, co myślę o tym gówniarzu? Że pójdzie do Choate Rosemary Hall (naklejka wychowanka na tylnej szybie), że przed trzynastymi urodzinami będzie palił gandzię i brał prochy, a jego kumple będą uważali, że to takie, kurwa, zajebiste, łykać prochy w lesie w Connecticut. Posyłam mu faka. Niech sobie zapamięta. Wiem, kim się stanie, i wiem, że nie będzie ponosił konsekwencji swoich złych uczynków, za to otrzyma dużo współczucia i szacunku. Wyprzedzam, wskakuję na ich pas i daję po hamulcach, facet za kierownicą land rovera trąbi, wkurwiony – o, teraz się obudził – zwiększam obroty i już mnie nie ma, jebać ich razem z nartami i śniegowcami. W moim aucie jest zepsute ogrzewanie i chyba nigdy nie pozbędę się uczucia zimna z promu. Ilekroć spojrzę na książkę Dickensa, myślami będę wracał do tego dnia. Skręcam na postój, zatrzymuję się i wyłączam silnik. Cicho, cholernie cicho. Jest grudzień, koniec roku. W ogóle koniec.

Telefon znów dzwoni i dzwoni. Głośno. Ty.

Nie reaguję (znowu) i usuwam wiadomość z poczty głosowej, bo nie mogę znieść myśli, że krzyczysz na mnie i oskarżasz o stalking. Nie. Nie tak to powinno wyglądać, walę pięścią w kierownicę, mam posiniaczone kłykcie, siniaki zejdą, ale ty nigdy nie zapomnisz, że pojechałem za tobą do

Connecticut, przebrałem się w kostium (w kostium!) i śledziłem cię na festiwalu.

Pewnie zdążyłaś wrzucić mnie do szuflady z anegdotami, stałem się inspiracją dla kolejnego opowiadania, wspomnieniem, jednym z wielu twoich zalotników. Płaczę. Dzwonisz. Wyłączam telefon. I wyłączam twój telefon, zanim zrobi to twoja matka – kiedyś w końcu musi to zrobić. Ponury, mroczny dzień.

Zwracam kluczyki panu Mooneyowi. Pan Mooney ma butlę z tlenem i nóż myśliwski i kiedyś ja też będę miał jedno i drugie, bo wiem, że już nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz, to pewne. Pan Mooney chce dobrze, to porządny człowiek, dziadek w ogrodniczkach, stoję przed nim i nie potrafię spojrzeć mu w oczy, bo cholernie trudno mi przyznać, że choć podziwiam go i szanuję, to jednak, cóż, no, nie chcę być taki jak on. Czuję się okropnym człowiekiem, a on jest taki dobry, otwiera drzwi, wpuszcza mnie do środka, starym, mieszkającym samotnie ludziom doskwiera samotność. Serce mi się kraje, kiedy widzę, jak bardzo pragnie, żebym wszedł i napił się z nim pabsta. Ktoś w porządku skorzystałby z zaproszenia, ale wszyscy wiemy, że skurwiel ze mnie.

Pan Mooney próbuje zażartować.

– Josephie, a cóż to za strój?

Zupełnie zapomniałem o przebraniu. Myślę, co odpowiedzieć.

– Byłem na balu kostiumowym.

Nie interesuje go to.

– Wszystko dobrze w księgarni?

– Tak, wszystko w porządku, panie Mooney, zero problemów.

Oddaję mu kluczyki, ale tylko macha ręką. Drzwi nadal zapraszająco stoją otworem. Nie powie wprost, że potrzebuje towarzystwa – już taki z niego typ. W końcu dociera do niego, że nie wejdę, wkładam klucze do kieszeni i robię dwa kroki do tyłu. Wycofuje się do zawilgoconego, pachnącego stęchlizną domu.

– Zatrzymaj kluczyki – mówi. – I tak nigdzie nie jeżdżę.

– Na pewno, panie Mooney?

– A niby dokąd miałbym pojechać?

– Mogę pana zawieźć, jeśli pan chce.

Macha ręką, że nie, nie trzeba. Znajomy z kościoła wozi go do lekarza, to zaspokaja jego potrzebę podróżowania. Powinienem wejść na chwilę. Ale w tej chwili naprawdę nie mogę.

Odwraca się.

– Do zobaczenia, chłopcze.

– Dziękuję, panie Mooney.

Drzwi zamykają się cicho, idę, wlokę się, jakoś docieram do domu. Jedna z maszyn do pisania śmieje się ze mnie, naprawdę, głośno nabija się z mojego kostiumu. Podnoszę ją i ciskam o ścianę. A w dupie! Właściciel i tak nigdy niczego nie naprawia. Zdejmuję przebranie, mam ochotę je spalić, wkładam je jednak do pudła po butach i zaklejam taśmą. Na pudle umieszczam adres i kiedy piszę „Bridgeport”, tracę panowanie nad długopisem. Zakładam na siebie to, co mam najgorsze: koszmarnie spraną koszulkę Nirvany po matce i paskudne dresy z polaru, które kupiłem na kiermaszu rzeczy używanych na Houston Street ze sto lat temu. Chcę wyglądać tak źle, jak się czuję. Otwieram paczkę cukierków z koreańskich delikatesów niedaleko mieszkania pana Mooneya. W ścianie zieje wymowna dziura.

Zostały dwa cukierki, straciłem poczucie czasu, niekiedy mi się zdarza, słucham zapętlonego kawałka *Make Me Lose Control* Erica Carmena, uprawiam dźwiękową autodestrukcję, podcinam sobie żyły idiotycznym tekstem o czasach, których nie pamiętam, bo jestem za stary, o wakacyjnej miłości i kabrioletach z szerokimi siedzeniami. Słyszę pukanie do drzwi, nikt nigdy nie puka do moich drzwi, a w ścianie zwykle nie ma dziury, ale proszę, ktoś jednak puka. Wyłączam muzykę. Znowu pukanie.

24

Otwieram drzwi i umieram. Jesteś tu, w moim bloku, ubrana w jasnoniebieskie sztruksy i cienką futerkową kurtkę. Chcesz wejść do środka, to niebezpieczne. Wszystko o tobie i wszystko twoje, co udało mi się zgromadzić, jest tutaj, ze mną, nie powinnaś tego zobaczyć. Nadal pachniesz sobą, czyli niebiańsko, i wyglądasz, jakbyś płakała. Robisz krok w moją stronę, zaciskam dłoń na klamce.

– Beck.

Wzdychasz.

– Rozumiem. Nie odzywam się, nie odzywam, a potem nagle dobijam się do ciebie pięćdziesiąt razy z rzędu i pukam do twoich drzwi jak wariatka. Jak stalkerka.

I wszystko jasne. Już nie muszę blokować wejścia. Nie widziałaś mnie na promie, patrzysz na mnie łagodnym wzrokiem, jest bezpiecznie, chcesz wejść.

Droczę się z tobą.

– Nie jesteś wariatką. Nie jesteś stalkerką.

– No, może trochę wariatką – mówisz. – Zmusiłam chłopaka w księgarni, żeby dał mi twój adres.

Jesteś zbyt drobna, by kogokolwiek do czegokolwiek zmusić, więc zabiję Curtisa, wyglądasz na wykończoną, nie pozostaje mi nic innego, jak odsunąć się i wpuścić cię do środka. Przestępujesz próg, wahasz się i pewnie masz poczucie, jakbyś weszła do najobrzydliwszej z obrzydliwych toalet w podrzędnym kinie; szkoda, że nie posprzątałem. W zlewie stoi otwarta puszka sardynek, którą wyjąłbym stamtąd, gdybym wiedział, że

przyjdziesz. Ale próba odwrócenia uwagi poprzez zwrócenie jej na ryby też nic nie da.

– Podoba mi się twoja koszulka – mówisz. – Nirvana.

– Dzięki – bąkam. – Należała do mojej mamy.

Kiwasz głową, bo niby jak miałabyś zareagować?

– S-słuchaj, otworzyć okno? – jąkam się.

– Nie – mówisz. – Przyzwyczaję się.

Pieprzony Curtis! Szybko lustruję salon pod kątem staników, majtek oraz mejli. Nic. Cud. Zdejmujesz kurtkę i zzuwasz buty, siadasz na sofie, czujesz się jak u siebie. Jedno, co dobre: jesteś do tego stopnia zaabsorbowana sobą, że nie zauważasz otoczenia. Wydmuchujesz nos, wiercisz się, siadam w fotelu, który znalazłem w alejce nieopodal księgarni; nie sądziłem, że ktoś poza mną będzie go oglądał.

– Wiem, że minęło sporo czasu – mówisz. – Ale potrzebowałam kogoś i pomyślałam o tobie, a ty… nie odbierałeś moich telefonów.

– Przepraszam – odpowiadam.

Powinienem był dać ci szansę. Gdybym należał do odważnych, tę rozmowę prowadzilibyśmy w twoim mieszkaniu.

Podciągasz kolana pod brodę, obejmujesz je i się kołyszesz.

– Zresztą sama już nie wiem.

– Wszystko w porządku?

Kręcisz głową. Nie.

– Czy ktoś cię skrzywdził?

Oczy zachodzą ci łzami. Patrzysz na mnie tak, jakbyś od dawna kogoś chroniła, jakbyś zawsze mówiła „nie”, podczas gdy odpowiedź brzmi „tak”.

– Tak – mówisz.

Zaczynasz szlochać. Podchodzę do ciebie i pozwalam ci się wypłakać, przez dłuższą chwilę nic nie mówisz. Zamykam cię w ramionach, płacz, Beck. Twoje łzy skapują na moją koszulkę, czuję się jak stalker, który już nigdy nie wypierze swoich ciuchów, cała się trzęsiesz, jesteś nieszczęśliwa, wkrótce, zobaczysz, wkrótce sprawię, że zadrżysz z rozkoszy. Klepiesz mnie po plecach.

– Wystarczy.

Potrzebujesz przestrzeni, rozumiem. Wracam na fotel, głęboko oddychasz.

– Zdarzyło ci się utrzymywać coś w tajemnicy? I kłamać na temat tej rzeczy? I pewnego dnia doszedłeś do wniosku, że już dłużej nie możesz? Że musisz, do cholery, wyrzucić to z siebie?

Czasem widzę w telewizorze brata Candace, tego muzyka, i wtedy mam ochotę rozpieprzyć odbiornik i powiedzieć kolesiowi, że jego siostra wcale nie utonęła podczas bodysurfingu. Kiwam głową.

– Jasne, rozumiem cię.

Twoje oczy prześlizgują się po otoczeniu i wreszcie zatrzymują się na mnie.

– Widzisz, Joe, to długa historia, ale sprowadza się do tego, że wszystkich okłamałam. Mój tata żyje. Żyje i ma się dobrze, mieszka na Long Island.

– O! – udaję zaskoczonego.

Wybrałaś m n i e.

– Nie mogłam dłużej tego ukrywać – kontynuujesz. – Musiałam komuś powiedzieć.

– Rozumiem – mówię.

Naprawdę rozumiem. Nie wybrałaś byle kogo, wybrałaś mnie. To coś znaczy, Beck. Wytropiłaś mnie, zdobyłaś mój adres.

– Wiesz, jakie są dziewczyny – dodajesz. – Gdybym wyznała to Peach, Chanie, Lynn albo komuś innemu, powiedziałyby swoim przyjaciółkom, a tamte swoim, i w końcu ktoś wysłałby dwuznacznego tweeta i wtedy… ech. Dlatego pomyślałam o tobie. Wiedziałam, że ty nikomu nie wypaplasz.

– Rozumiem – powtarzam.

Naprawdę rozumiem. Mam wiele tajemnic, teraz również twoją.

– Chociaż… szczerze mówiąc, to nie do końca jest kłamstwo, bo niemal pod każdym względem ojciec rzeczywiście jest dla mnie martwy – ciągniesz. – Chodzi o to, że ożenił się z prawniczką, bogatą prawniczką, ma forsę, a ja jestem spłukana. I nie może tak zwyczajnie dać mi pieniędzy, o nie. Żeby cokolwiek od niego dostać, muszę wkładać cholerną sukienkę z czasów Dickensa i bawić się z jego rozpuszczonymi bachorami.

– Chyba nie wszystko zrozumiałem – mówię. – Sukienka z czasów Dickensa?

Wybuchasz śmiechem i opowiadasz mi o festiwalu. Muszę być ostrożny i zachowywać się tak, jakbym słyszał o czymś takim po raz pierwszy w życiu, opowiadasz mi ze szczegółami, reaguję z wyczuciem i kręcę głową.

– Warto? – pytam. – Znosić to upokorzenie w zamian za parę dolarów?

– Życie kosztuje – mówisz i zakładasz ręce na piersi. – Skoro stać go na kupowanie swoim nowym dzieciom kandyzowanych jabłek, to nie powinien oszczędzać również na starych.

– Rozumiem – powtarzam.

Naprawdę rozumiem. Ojciec i jego żona wydali pewnie ze cztery setki na kostiumy, gorące kakao i kandyzowane jabłka. A ty nie jesteś typem dziewczyny, która chciałaby pracować jako kelnerka. Twoi znajomi nie przejmują się forsą, czemu więc ty miałabyś się o nią martwić?

Wysyłasz esemes, rozluźniasz się i rozkładasz nogi; kiedy zwierzęta przyjmują taką otwartą pozę, to znaczy, że chcą kopulować. Jesteś moim zwierzęciem, siedzisz na mojej kanapie, rozglądasz się po moim domu.

– Wow – mówisz. – Naprawdę lubisz starocie.

– Wszystko, co tu widzisz, znalazłem na ulicy – oznajmiam z dumą.

– To widać – odpowiadasz zniesmaczona.

Wolisz nowe, nijakie przedmioty z Ikei, a mimo to chowasz brudne chusteczki do wyliniałej torebki. Ech, kobiety. Przebierasz palcami u nóg i wracasz do tematu ojca:

– Rozwód wygląda zupełnie inaczej z perspektywy niezbyt zamożnej rodziny, wiesz? Tata poznał Ronnie, kiedy spędzała urlop na wyspie. Spotkał ją w barze, gdzie pracowała moja siostra. Wcale nie było mi łatwo studiować ze świadomością, że pochodzę z miejsca, w którym inni spędzają urlop. Wolałam nie mówić, że mój miastowy tatuś dał nogę z turystką.

– To nie w porządku – podsumowuję.

– Zgadza się, nie w porządku – zgadzasz się; jeszcze nie widziałem cię tak zdenerwowanej. – Bycie mieszczuchem z Ligi Bluszczowej to jedno,

ale bycie mieszczuchem z ojcem, który zostawił rodzinę? Pieprzyć! Przecież to banalne!

– Rozumiem – mówię.

Naprawdę rozumiem. Kocham cię za to, że jesteś dumną, zadziorną, małą wojowniczką. Jesteś silna; uśmiercasz ludzi. Jesteś brutalna.

– Po przeprowadzce do Nowego Jorku uznałam, że zacznę od nowa, ale chyba źle to przemyślałam. – Wzdychasz i kręcisz głową. – W tym mieście mieszkają wszyscy moi znajomi ze studiów, rozumiesz, i gdybym teraz wyznała prawdę o ojcu, musiałabym jakoś spojrzeć im w oczy, wiesz?

– Wiem – odpowiadam. – Ludzie potrafią być bardzo krytyczni w takich sprawach. Musisz się pilnować.

– Nikt o tym nie wie – dodajesz; twoje oczy są wielkie, są moje. – Nikt.

– Oprócz mnie – mówię, rumienisz się.

– Oprócz ciebie – powtarzasz, uśmiechasz się blado i nagle smutniejesz. – Wiem, że może nie powinnam tego tak przeżywać, ale ojciec nie tylko od nas odszedł, on założył nową rodzinę z młodszą, ładniejszą kobietą i ma z nią młodsze, ładniejsze dzieci.

– Wcale nie są ładniejsze od ciebie, Beck.

Dzięki Bogu, nie jesteś w podejrzliwym nastroju, więc tylko się śmiejesz, zakładając, że mówię to, aby cię pocieszyć.

– Joe, wszystkie dzieci mają więcej uroku niż dorośli. – Wzdychasz. – Tak to wymyśliła wredna Matka Natura.

– W takim razie pieprzyć ją – mówię, prowokując cię do śmiechu. – Zrobiłaś, co musiałaś. Zobaczyłaś się z nim, spędziłaś czas z jego rodziną. Pomógł ci? Dał forsę?

Przeciągasz się, najpierw wyciągasz ręce ku górze, a potem w prawą stronę, i zauważasz dziurę w ścianie za twoimi plecami.

– O kurwa – mówisz – ale dziura!

Przełykam ślinę.

– Na górze pękła rura, robotnicy jakoś musieli się do niej dostać i rozwalili mi ścianę.

– Wygląda na to, że się dostali – stwierdzasz i zaczynasz dostrzegać otoczenie.

Patrzysz na Larry’ego, stojącą na ławie zepsutą maszynę do pisania. Zerkasz na mnie, pytając wzrokiem, czy możesz go dotknąć. Kiwam głową. Ty kłamiesz, ja gromadzę maszyny do pisania. Różnimy się, to dobrze.

– Nazywa się Larry – mówię.

Będę z tobą szczery.

– Nadajesz imiona swoim maszynom? – pytasz.

– Nie – odpowiadam. – Same mówią, jak się nazywają, kiedy przynoszę je do domu.

Lubię mieszać ci w głowie, nie możesz się zdecydować, czy jestem pretensjonalny, czy obłąkany, a ja nie potrafię powiedzieć, czy śmiejesz się, bo traktujesz mnie jak głupka, czy też starasz się być miła.

– Jasne.

– Beck – mówię – żartowałem. Oczywiście, że nadaję im imiona.

– Larry brzmi ładnie – mówisz i pochylasz się, żeby się z nim przywitać i pobawić się jego klawiszami. Widzę twoje majtki. – Mogę go potrzymać? – pytasz.

– Tylko uważaj, jest ciężki.

– Postaw mi go na kolanach – prosisz.

Różowe, bezszwowe, z kolekcji Angels Victoria’s Secret. Podnoszę Larry’ego, kładę ci go na kolanach i modlę się, żebyś nie zauważyła, że twoje majtki są identyczne jak te, które tkwią wciśnięte między poduchy sofy. Mówię, że Larry się zepsuł, bo spadł na podłogę (hahaha), głaszczesz go, to miłe.

– Zepsuty, nie zepsuty, Larry jest diabelnie przystojny.

– Jedyny w swoim rodzaju – mówię.

Przyglądasz mu się.

– Brakuje mu „L”.

Muszę skłamać, bo nie mogę pozwolić, żebyś zaczęła szukać zaginionego „L”.

– Brakowało, kiedy przyniosłem go do domu.

Spoglądasz na mnie.

– Masz coś do picia?

Nie mam nic do picia. Jebany Curtis. Przenosisz uwagę z powrotem na maszynę, masz ochotę sprawdzić między poduchami, czy „L” na pewno nigdzie się nie zaplątało, ale jeśli to zrobisz, znajdziesz majtki i od razu poznasz, że są twoje, o ile masz wyostrzony węch, a sądzę, że masz. Jesteś jak dziecko, które trzeba czymś zająć. Częstuję cię cukierkami, biorę jednego, ty bierzesz dwa ostatnie.

– Masz jeszcze?

– Niestety – odpowiadam i zamieram, bo nagle przestajesz żuć i wbijasz spojrzenie w jakiś przedmiot w sypialni.

Mrużysz oczy.

– Czy to jest włoskie wydanie Dana Browna, które ci dałam?

Najchętniej zamknąłbym drzwi do sypialni, ale to by było dziwne, więc się odwracam, podążam na twoim wzrokiem i widzę, że patrzysz na półkę, którą zamontowałem specjalnie dla Dana Browna. Mogło być gorzej, mogłem na tej półce umieścić *Księgę Beck*.

– Wydaje mi się, że to ten egzemplarz od ciebie.

Głaszczesz Larry’ego i szczerzysz zęby w uśmiechu.

– Joe, to bardzo miłe z twojej strony.

Połykam resztę cukierka. Muszę cię stąd wyprowadzić.

– Masz ochotę skoczyć po cukierki?

– O tak! – odpowiadasz.

Podchodzę do ciebie, przy Larrym wyglądasz na drobniejszą niż w rzeczywistości. Klepiesz go po obudowie.

– Zabierz go, proszę.

Podnoszę maszynę i stawiam tam, gdzie jej miejsce, czyli na podłodze. Twoje jasnoniebieskie sztruksy noszą ciemne ślady po Larrym, wkładasz buty i futerkową kurteczkę i oddalasz się od dowodów mojego uwielbienia, od swoich majtek i staników. Z ulgą otwieram drzwi i wyprowadzam cię z mieszkania; kiedy w nim jesteś, staje się zupełnie innym światem. Zatrzymujesz się na klatce schodowej i pokazujesz plamę na ścianie.

– Krew? – szepczesz, żywa i pełna humoru, moja futerkowa nimfa, potakuję, a ty unosisz brwi. – Krew Larry’ego?

Klepię cię w tyłek, podoba ci się to, zeskakujesz po kilka stopni naraz. Jestem jedyną osobą, która wie o twoim ojcu, i wkrótce przyjdzie pora na czerwoną chochlę. Otwierasz drzwi na ulicę, otwieram je od prawie piętnastu lat. Idziemy do sklepu, ty niemal w podskokach.

– Czy właśnie tę część Bedford-Stuyvesant, w której mieszkasz, planują przekształcić w dzielnicę zabytkową? – pytasz. – Czytałam gdzieś o tym.

– Nie – mówię – inną.

Moja okolica kojarzy ci się z „*Ulicą Sezamkową* i piosenkami Jennifer Lopez", a wszyscy faceci w sklepie chcieliby cię przelecieć, ale jesteś ze mną. Lubisz zainteresowanie; chichoczesz i mówisz, że czujesz się tu jak celebrytka. Płacę za słodycze i wodę Evian, wkładasz cukierki do tylnej kieszeni spodni, jak gdyby twój tyłek przyciągał zbyt mało uwagi. Zatem tak by to wyglądało, gdybyś zamieszkała ze mną. Byłoby dobrze, miło. Po chwili zatrzymujemy przed drzwiami do mojego budynku.

Siadamy na schodach, jemy cukierki i dzielimy się wodą. Mijają nas dwie nastolatki z mojego bloku i taksują cię wzrokiem; szydzą z twojej wody. Robisz niewinną minę, przyjmujesz postawę obronną i zapewniasz mnie, że pijesz Evian tylko dlatego, bo Peach mówi, że jest zasadowa. Nie masz stanika, tak jak nie miałaś go tego dnia, kiedy poznaliśmy się w księgarni, i czuję, że to nasz nowy początek.

Mierzwisz mi włosy chłodną drobną dłonią.

– Wracamy na górę?

– Tak – mówię i tak strasznie, strasznie żałuję, że nie przygotowałem się na twoje przyjście, że nie pochowałem twoich rzeczy, nie wziąłem prysznica i nie założyłem skarpetek do pary.

Ale co z tego, skoro jesteś tutaj, idziesz po schodach do mojego mieszkania, powoli, kusisz mnie każdym krokiem.

Od tej chwili wszystko dzieje się jak we mgle. Moja gówniana sofa przeistacza się w hamak na bezludnej wyspie, zupełnie jak w reklamie Corony, tyle że bez piwa. Nie potrzebujemy piwa, niczego nie potrzebujemy, mamy siebie. Obejmujemy się i całujemy, żarliwie, agresywnie, aż opadamy z sił, potem rozmawiamy. Opowiadasz mi o festiwalu Dickensa, o kłótni z ojcem o papierosy, o macosze z piekła

rodem, o motelu jak melina, o przyrodnich bachorach, o pieruńsko drogich kandyzowanych jabłkach. Chcesz się dowiedzieć czegoś o mnie, mówię, że mi się podobasz, i to bardzo. Wracamy do całowania. Trwa to dłuższą chwilę, rozluźniasz się, czujesz się błogo. Kiedy w końcu zasypiasz, twoje ciało wiotczeje. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam zasnąć, gdy będziesz tak blisko mnie. We śnie nie możesz kłamać, co jakiś czas uśmiechasz się i przytulasz mnie mocniej.

Okazuje się, że jednak mogę przy tobie spać, rano budzi mnie bowiem szum prysznica. Nie ma cię w moich ramionach, ale jesteś w łazience, naga.

25

Trzeba być, kurwa, świrem masochistą, żeby kupować nieprzejrzystą zasłonę prysznicową, kiedy mieszka się samemu. Przyszło mi to do głowy w Silver Seahorse, gdzie mieli zupełnie białą zasłonę z kilkoma plamami pleśni na dole. Zupełnie jakby chcieli upodobnić łazienkę do scenografii z *Psychozy*. Wydawałoby się, że zakup zasłony prysznicowej to najprostsza rzecz pod słońcem, ale nie, w Bed Bath & Beyond mają sześćset nieprzejrzystych modeli, które oczywiście nie wchodzą w grę, a w internecie są tysiące wzorów do wyboru. W końcu nie kupiłem zupełnie przejrzystej, bo jednak musi być jakiś wzorek do oglądania, gdy siedzi się na sraczu, a kiedy się zastanowić, to człowiek patrzy na zasłonę

każdego

cholernego

dnia.

Zacząłem przeglądać oferty w sieci. Większość wzorów o kant dupy potłuc, nie zdzierżyłbym codziennie na to patrzeć (mapa świata – a spierdalajcie!; rybki, mapa Brooklynu – naprawdę spierdalajcie!; bałwanki, wieża Eiffla, kotwiczki – dajcie spokój, nie jestem ćwokiem, który kupuje szaliki w UrbanOutfitters i ocenia filmy na stronie IMDb). Szukałem czegoś zabawnego i zarazem klasycznego.

Ostatecznie zdecydowałem się na przezroczystą zasłonę z żółtym pasem z napisem: „POLICE LINE DO NOT CROSS”. Kiedy ją kupowałem, nawet nie przypuszczałem, że kiedykolwiek znajdziesz się po drugiej stronie taśmy policyjnej, a te cholerne żółte pasy będą mi zasłaniały widok. Okej, mam nauczkę. Następnym razem wybiorę jednak całkiem przejrzystą.

Zresztą to nawet dobrze, bo i tak nie mam czasu, żeby cię podglądać, jak bierzesz prysznic. Muszę skorzystać z okazji i pochować wszystkie pamiątki po tobie; mam nadzieję, że nie węszyłaś po mieszkaniu, kiedy spałem. Sprawdzam, gdzie byłaś. Wyjęłaś ręcznik z szafki i zostawiłaś otwarte drzwiczki (typowe dla kobiety). Na szczęście wzięłaś ten z wierzchu i nie znalazłaś swoich staników upchniętych na samym dnie. Mam nadzieję, że nie otworzyłaś apteczki w łazience i nie odkryłaś swojej porysowanej srebrnej spinki do włosów (ukradłem ją, kiedy po raz pierwszy wszedłem do twojego mieszkania; takie spinki można znaleźć wszędzie, nie będzie ci jej brakowało, prawda?); wziąłem ją, ponieważ zostało na niej kilka kosmyków twoich włosów, a w nich zachowały się twoje DNA i twój zapach. Czy zajrzałaś do lodówki? Stoi tam twoja niedopita butelka mrożonej herbaty Nantucket Nectars. Dotykały jej twoje usta, a ja chciałem je mieć – w swojej lodówce. Nalałaś sobie szklankę wody i może nie rozpoznałaś butelki, może uznałaś, że należy do mnie.

Drzwi do łazienki są bodaj jedyną sprawnie działającą rzeczą w tym mieszkaniu, mogłaś je zamknąć, ale tego nie zrobiłaś. Chyba lubisz otwarte drzwi, tak jak lubisz, kiedy w oknach brakuje zasłon i firanek. Nic nie poradzę, że podnieca mnie myśl, iż chciałaś, abym cię podejrzał, jak kąpiesz się za zasłoną, przecięta żółtą taśmą policyjną. Wyginasz plecy w łuk, strumień wody obmywa najpierw jedną, potem drugą pierś, potem się odwracasz, podoba ci się pod moim prysznicem, w moim domu, woda spływa ci po szyi i plecach i sięgasz po kostkę mydła Ivory (mojego mydła), trzymasz ją między piersiami, przesuwasz w dół, wypuszczasz z rąk, potem wcierasz mydliny w brzuch i niżej, jeszcze niżej, aż docierasz t a m – błyskawicznie zabierasz ręce i kładziesz dłonie na szyi, powstrzymujesz się, jesteś na mnie napalona, powinienem zdjąć ubranie i wejść pod prysznic, ale gdybym to zrobił, dostrzegłabyś ruch, spojrzała na drzwi i zorientowała się, że na klamce wisi góra twojego białego bikini. Wiem, że na razie jej nie zauważyłaś, i jest szansa, że w ogóle nie zauważysz, ponieważ zostawiłaś drzwi półprzymknięte. Mam dwa wyjścia: sięgnąć po stanik, modląc się, żebyś była tak zajęta mokrą – to dwuznacznik, kochanie – sobą, że nie zwrócisz na mnie uwagi, albo

zostawić go tam, gdzie jest, licząc, że kiedy skończysz – myć się, nie dogadzać sobie – zajmiesz się wycieraniem ciała i w zaparowanym pomieszczeniu nie wpadnie ci w oko własne bikini.

Kogo próbuję oszukać? Muszę usunąć ten stanik i koniec. Zamykam oczy. Modlę się. Ręka mi się trzęsie, kiedy sięgam za drzwi i zdejmuję biustonosz z klamki. Niczego nie zauważyłaś, teren bezpieczny, ale naprawdę muszę cię wreszcie wyprowadzić z mieszkania. Chowam bikini za mrożone mięso, które kupuję i którego nie jem. Wychodzisz spod prysznica i z łazienki, wołasz mnie.

– „Hej, Joe, dokąd idziesz z tym gnatem w ręku?”

Przez chwilę ogarnia mnie panika. Wiesz o wszystkim, bikini to spluwa i mam przejebane – ale nie, stoisz owinięta ręcznikiem i wilgotna, a ja wyglądam jak wariat przy lodówce.

– Żartuję – mówisz. – Kiepski żart, wiem, ale nie aż tak kiepski. Wyluzuj.

– Widzę, że znalazłaś ręczniki.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko – szepczesz.

Po moim mieszkaniu nie chodzi się na bosaka, nie zatrzymujesz się, bo podłoga lepi się od brudu, oglądasz moje maszyny i zadajesz za dużo pytań, dotykasz wypchanego łba młodego aligatora, który schowałbym, gdybym wiedział, że przyjdziesz, i to nie tak, wszystko nie tak, źle to wygląda w świetle dnia, spałaś tu, wzięłaś prysznic i myłaś się moim mydłem, chociaż nie uprawialiśmy seksu, i pokażcie mi okoliczności, w których taka sytuacja byłaby w porządku. Twoje czyste ręce dotykają wszystkiego w sposób chłodny i rzeczowy, oglądasz mieszkanie, jakby rzeczywiście było miejscem zbrodni. Czyżby natchnęła cię i obudziła twoją czujność żółta taśma w łazience? Chcesz wiedzieć, kiedy zacząłem kolekcjonować maszyny do pisania i martwe zwierzęta, żartem pytasz, czy nie jestem seryjnym zabójcą, pokazujesz na dziurę w ścianie i mówisz:

– Przypomnij mi, o co chodziło z tą dziurą, Josephie.

Śmiejesz się przy tym, to prawda, w rzeczywistości wcale nie każesz mi się tłumaczyć, ale taka rozmowa nie przysłuży się nam, jesteś zbyt czysta, sterylna, nie mam kawy i jajecznicy na śniadanie, za to sen w oczach

i poranną erekcję. Z kranu kapie woda, nie zakręciłaś go do końca, ale nie mogę pójść poprawić po tobie, bo nie wolno mi zostawić cię samej w salonie. Idziesz do łazienki, myjesz ręce dużą ilością mydła (wypchane zwierzęta i maszyny do pisania). Kiedy wracasz z wyszorowanymi dłońmi, szybko się ewakuujesz, wymawiając się zajęciami, całujesz mnie na do widzenia, ale bez języczka.

Po twoim wyjściu siadam w mokrej wannie i wdycham ciebie. Całą ciebie.

– Ej, stary, nie przesadzasz trochę?

Curtis się tłumaczy, czerwony jak cegła, cholernego gnojka nikt przedtem nie wywalił z pracy, nagle bardzo mu się tu, u Mooneya, podoba, nagle mu zależy i nagle ten sługus-ćpun obiecuje, że nigdy więcej nie przyjdzie do księgarni na haju.

– Curtisie, najlepszą rzeczą, jaką możesz teraz zrobić, jest powiedzenie: „Okej, szefie”.

Curtis się burzy. Jakaś niska grubaska puka w ladę jak do drzwi.

– Przepraszam, czy mają panowie książki kucharskie Feed Zone?

– Mamy – mówię i już mam jej pokazać, gdzie może je znaleźć, kiedy nagle okazuje się, że Curtis jednak tu pracuje i że jednak cokolwiek go obchodzi.

Naraz przechodzi do ofensywy, prowadzi miłą tłuścioszkę do działu z kulinariami, wyłuszcza jej zasady, na jakich sprowadzamy książki Feed Zone, każdą, jakiej jej tłuste serduszko zapragnie, i jak można dokonać zwrotu, robi to tak głośno, jakby klientka była głucha, a nie gruba; niebywałe, jak łatwo przywołać ludzi do porządku, kiedy tylko przystawi się im pistolet do głowy, słyszę twój głos („Hej, Joe, dokąd idziesz z tym gnatem w ręku?”), dzisiejszy poranek zdarzył się wyłącznie z jego winy, dlatego zapłaci za to. Zapłaci. Tymczasem to tłusta babeczka chce płacić, część należności gotówką, część kartą kredytową, a część czekiem – ciekawe, czy stać ją na składniki, z których w Feed Zone przygotowują potrawy – i nagle z Curtisa robi się służbista, ogląda z każdej strony jej prawo jazdy, tak jak go uczyłem – nigdy wcześniej tego nie robił – i we

właściwy sposób przeciąga kartę kredytową przez czytnik, zdecydowanie i lekko pod kątem, tak by stare, szwankujące urządzenie poprawnie odczytało dane. Dodaje po jednej zakładce do każdej z książek kucharskich, na które zdecydowała się klientka, i ja pierdolę, chyba tylko największy świr-psychopata-perfekcjonista zdecydowałby się zwolnić tak oddanego pracownika.

Mała grubaska jest zadowolona, wychodząc, szczebiocze:

– Do widzenia miłemu panu.

Kiwam głową i się uśmiecham. Powinna była zostać przy samym „panu”.

– Powinien pan dać podwyżkę temu młodemu człowiekowi – mówi, zaróżowiona od biegania po sklepie. – Wie pan co, byłam w innej małej księgarni, w centrum, i musiałam czekać dwie godziny, aż ktoś raczył podejść i mi pomóc. Ten młody mężczyzna okazał się niezwykle uprzejmym sprzedawcą. W dodatku zna się na rzeczy.

Mam ochotę powiedzieć jej, że w księgarni połączonej z kawiarnią w dobrym tonie jest nie przeszkadzać klientom. Jeżeli obsługa narzuca się i zbyt często oferuje pomoc, ci czują się wypychani za drzwi. Ale cóż, babeczka nie wie nic o świecie i nadal rozwodzi się nad „życzliwym młodym człowiekiem”, powiedziałbym jej, że ten nadgorliwy Curtis (czyżby zaczął brać amfę?) zdążył dziś wystraszyć kilkoro klientów, bo jednak większość ludzi nie lubi, gdy im się przeszkadza, kiedy na próbę czytają pierwsze strony książki. Powinna się też dowiedzieć, że Curtis wypala cztery skręty dziennie, kradnie rowery i sprzedaje je, żeby mieć kasę na towar. Mógłbym również dodać, że zawsze, ale to kurwa zawsze, się spóźnia, że regularnie sra do księgarnianego kibla (chamstwo), że zdradza swoje dziewczyny i że kiedy ona stąd wyjdzie, będzie się z niej nabijał i pewnie spisze sobie dane jej karty (zrobiłby to, gdybym właśnie nie wywalał go na zbity pysk). Tak. Klientka płaci czekiem.

Nie mówię jej tego. Uśmiecham się.

– Nasza księgarnia istnieje dla takich klientów jak pani – szczebioczę. – Cieszymy się, gdy możemy pomóc.

– Zupełnie jak w tym filmie z Meg Ryan – kwiczy. – Wie pan, miła dziewczyna ma księgarenkę i zakochuje się we właścicielu wielkiej sieci.

– *Masz wiadomość*? – nuci Curtis (ja pierdolę!).

– Tak! – wykrzykuje kobieta. – *Masz wiadomość*! – śmieje się. – Och, uwielbiam ten film. Macie go na DVD?

Ten leniwiec nie skorzysta z książek kucharskich, które właśnie kupił. Znajdzie sobie półeczkę w Targecie i poprosi kogoś, żeby ją zamontował u niej w kuchni. Potem ustawi na niej książki, popatrzy, uzna, że ślicznie wyglądają, a następnie wrzuci pizzę do mikrofalówki i zerwie folię z DVD z *Masz wiadomość*, które kupi na drugim końcu miasta. Nigdy więcej nie zajrzy do naszej księgarni.

Kiedy grubaska wychodzi, do Curtisa dociera, że jego kariera u Mooneya dobiegła końca.

– Stary – mówi – myślałem, że ci pomagam. Ta laska była niezła. Wrzuciłbym na ruszt.

– Nie miałeś prawa dawać mojego adresu nieznajomej.

– Powiedziała, że się znacie. Niezła? Co ja mówię! Zakurwista była!

Żebyśmy mieli jasność: uderzyłem go tylko raz i nie w twarz. Zapamiętaj to, Beck. Nie jestem potworem, nie uszkodziłem go. Porozmawiałem z nim jak mężczyzna z mężczyzną, szef z pracownikiem, i go wyrzuciłem. To nic osobistego, nie uwziąłem się na niego, ta tłusta babka była pierwszą osobą, jaką porządnie obsłużył, od kiedy zaczął tu pracować. I jeszcze jedno, Beck: nie jesteś „zakurwista”, tylko piękna. A to różnica.

26

Następnego dnia po tym, jak nocowałaś u mnie bez seksu, zaproponowałaś spotkanie w centrum. Curtis spakował swoje manatki, zostałem sam w księgarni, no, ale wiadomo, że nie odmówisz kobiecie, która dzień wcześniej chodziła nago po twoim mieszkaniu. Postaliśmy w milowej kolejce po nowy dekoder kablówki. Potem zwolniłaś mnie do domu.

Od dwóch tygodni powtarza się podobny scenariusz. Na przykład dzisiaj poprosiłaś, żebyśmy się spotkali przed Starbucksem przy Herald Square. Jestem na miejscu, całujesz mnie na dzień dobry (w policzek). Nie usiądziesz mi na kolanach w wyścielanym fotelu i nie zliżesz bitej śmietany z moich ust. Jesteś w nastroju zasadniczym, masz zadanie do wykonania, a mijający nas przechodnie z zakupami świątecznymi pewnie myślą, że jestem twoim kumplem gejem. Kutas mnie swędzi, Beck. Kiedy będę miał swoje święta?

– Dobra wiadomość jest taka, że wiem dokładnie, czego chcę.

– Tak? – mówię i mam nadzieję, że zaciągniesz mnie do toalety w Starbucksie i każesz mi cię wylizać.

– Chcę kupić mamie słuchawki, które wyglądają jak nauszniki.

– Aha. – Cyfrowe nauszniki to przeciwieństwo seksu oralnego.

– I nawet mam talon – mówisz, idziemy więc do Macy’s.

Zaczynasz temat pieniędzy. Krucho u ciebie z gotówką. Udaję, że nie czytałem mejli, które dziś rano wymieniłaś z ojcem. Wiem, że czekasz i chcesz się przekonać, czy twój stary – Kapitan – ci pomoże.

Trafiamy do działu z damskim obuwiem (chciałaś, zdaje się, kupić nauszniki?). Pytasz mnie o Curtisa. Wyjaśniam, że przyłapałem go na kradzieży i zwolniłem. Nie mówię, że wyleciał, bo dał ci mój adres.

Wzdychasz; a wyglądał na „takiego miłego chłopaka”. Ha. Kręcimy się przy stoisku z biżuterią (przyszliśmy po nauszniki, pamiętasz?). Pytasz, kiedy zatrudnię nowego sprzedawcę. Odpowiadam, że trudniejsze od znalezienia dobrego pracownika jest tylko prowadzenie sklepu w pojedynkę. Kiwasz głową i zgadzasz się, że większość ludzi nie nadaje się do pracy. Naprawdę tak to ma wyglądać – gadka szmatka o CV i bzdurach?

– Masz ochotę na przejażdżkę? – pytasz i jeśli chcesz się przejechać na mojej pałce, to owszem, poproszę.

Nic z tego. Bierzesz mnie za rękę i prowadzisz na schody ruchome, które są pełne ludzi, śmierdzą potem i Bożym Narodzeniem i chyba wolałbym stać po jaja w śmieciach. W grudniu w Macy’s na ruchomych schodach nie ma szans na prywatność, ale przecież jesteś aktoreczką.

– Mój opiekun na studiach, wiesz, ten na urlopie naukowym, stypendysta Princeton – robisz wymowną pauzę, jakby stojącą przed tobą meksykańską laskę obchodziło to, co mówisz – chce, żebym oddała mu pracę jeszcze przed feriami. Przecież to jakiś absurd.

– Przypomnij mi, jak się nazywa – mówię, chociaż wcześniej wcale o nim nie rozmawialiśmy.

– Paul – odpowiadasz, pomijając nazwisko, i dzięki Bogu zamykasz temat.

Docieramy na czwarte piętro. Pachnie preclami i perfumami, leci kawałek Miley Cyrus, za głośno dla mnie, za nerwowo, jakieś wrzaskliwe gówniary skaczą sobie do gardeł, pytam cię, czy znajdziemy tu słuchawki, odpowiadasz, że najpierw musisz coś zwrócić.

Na szczęście kolejka w Dziale Młodych Kurewek nie jest długa, bo Młode Kurewki nie mają kasy na fatałaszki. Okazuje się, że nie powiedziałaś mi całej prawdy, bo kiedy podchodzimy do lady, wyjmujesz z torebki legginsy i zmiętolony paragon, a biedna dziewczyna za kasą nigdy wcześniej nie przyjmowała zwrotów, no więc, oczywiście, musimy zaczekać.

– Można wiedzieć, dlaczego to tak długo trwa? – pytasz.

– Ponieważ od daty zakupu minęło ponad sto dni.

– I co z tego?

Jasna cholera, naprawdę jesteś spłukana, bo po co wygrzebywałaś z szafy gacie sprzed trzech miesięcy? Zabierasz legginsy i paragon i chowasz do torebki.

– Wrócę, kiedy będzie kierowniczka.

– Dobrze, proszę pani.

Jesteś zła; liczyłaś na pieniądze z tego zwrotu. Wyżywasz się na wszystkich w Dziale Młodych Kurewek, przedzierasz się przez pstrokaciznę, nie mówiąc nawet przepraszam. Dwie gówniary grożą, że skopią ci dupsko, ale nie zrobią tego; chodzą do liceum, wystarczy im, że mogły cię nazwać „suczą”. Proszę, żebyś zwolniła, nie słuchasz mnie, ale powiem ci, że nawet mi się podoba ta pizda, która właśnie z ciebie wychodzi, bo wiem, że pewnego dnia przywiążesz mnie do łóżka, wymierzysz policzek i będziesz mną pomiatała, tak jak teraz pomiatasz tymi, którzy stoją na twojej drodze. Jesteś tak nakręcona, że mam ochotę się z tobą zabawić. Co też robię.

– Beck.

– Co?

– Słuchaj, nie znam się na babskich ciuchach, ale te legginsy, które chciałaś zwrócić, wyglądają na dobre.

– Na mnie dobrze nie wyglądają.

– Mogę się przekonać?

Walczysz z uśmiechem. Przegrywasz.

– Tutaj?

– No – mówię.

Zwalniasz. Nikt nie pilnuje przymierzalni. Zbliża się gwiazdka, święty Mikołaj wie, że byłem grzecznym chłopcem. Wchodzimy do przymierzalni i idziemy na sam koniec korytarza, do dużego boksu dla niepełnosprawnych. Otwierasz drzwi i choć nie zapraszasz mnie do środka, wchodzę za tobą. Siadam na ławeczce. Stoisz przed trzyczęściowym lustrem. Wyjmujesz legginsy z torebki; co ci odbiło z tymi gaciami?

Wzdychasz.

– No, bo chodzi o to, że tak naprawdę to chcę jegginsy.

Tak naprawdę to potrzebujesz orgazmu. Mówię, żebyś przymierzyła. Czerwienisz się, niegrzeczna dziewczynko, trzaskają drzwi, ktoś komuś każe zająć kabinę, my już zajęliśmy. Zdejmujesz futrzane buty, rozpinasz dżinsy, są tak obcisłe, że kiedy je ściągasz, zsuwają się razem z majtkami.

– Chodź do mnie.

– Ciiicho, Joe.

Gestem wzywam cię do siebie. Z natury jesteś nieśmiała, więc podchodząc do mnie, podciągasz z powrotem spodnie i zaczynasz je zapinać. Podnoszę głowę i patrzę na ciebie, spoglądasz na mnie z góry, kucasz i sięgasz do mojego paska, ale nie. Chwytam cię mocno za rękę.

– Wstań.

Wstajesz. Kiedy zaczynam rozpinać twoje dżinsy, przysuwasz się bliżej, ruszasz biodrami i pomagasz mi wyswobodzić cię ze spodni. Zdejmuję je z ciebie, rzucam na lustro i wreszcie, wreszcie przychodzi Boże Narodzenie w Dziale Młodych Kurewek w Macy’s przy Herald Square. Smakuję cię. Liżę. A kiedy szczytujesz, robisz to na cały głos.

Uwielbiam zakupy.

Seks oczyszcza umysł, orgazm ci służy. Wychodzimy z przymierzalni i te legginsy, które próbowałaś oddać, postanawiasz sprezentować swojej matce – wiedziałem, że nie kupimy nauszników. Trzymasz mnie mocno za rękę, jedziemy schodami cztery piętra w dół, już nie chcesz myszkować po półkach. Muzyka łagodnieje, płynie *Have Yourself a Merry Little Christmas*, moja ulubiona smutna piosenka gwiazdkowa. Pytasz, co robię w święta, odpowiadam, że oczywiście pracuję, na co stwierdzasz, że też będziesz musiała znaleźć sobie zajęcie. Prowadzisz mnie do działu z męskimi kapeluszami i czapkami i wybierasz czerwono-zielone wełniane szkaradztwo.

– Może zatrudniłabym się tutaj. – Uśmiechasz się. – Odwiedzałbyś mnie podczas mojej przerwy śniadaniowej.

– Naprawdę chcesz pracować?

Nie odpowiadasz, sięgasz po czerwoną czapkę myśliwską, taką jak miał Caulfield w *Buszującym w zbożu*, i spoglądasz na mnie.

– Proszę… To moja ulubiona książka.

Nie mogę ci odmówić. Kocham cię za to, że nie wymieniłaś tytułu. Zakładam czapkę, zagryzasz wargę.

– Cudownie.

Wiem, że trudno się spodziewać, żebyś potraktowała moje słowa poważnie, kiedy mam na głowie to idiotyczne coś, mimo wszystko próbuję.

– Beck, posłuchaj, naprawdę potrzebujesz pracy?

– Super wyglądasz – piszczysz i wyjmujesz telefon. – Jedno zdjęcie, dobrze? No pozwól.

– Tylko żebym się później nie zobaczył na Facebooku.

– Przecież nie ma cię na Facebooku, głuptasie – mówisz. – Uśmiech proszę.

Robisz mi zdjęcie, oddaję ci czapkę, sięgasz do torebki po kartę kredytową.

– Beck – mówię. – Nie musisz mi kupować czapki, której nigdy nie włożę. Mówię poważnie. Czy naprawdę szukasz pracy?

– Wiem, że nie muszę – odpowiadasz. – Ale chcę.

Są święta, więc ci ustępuję, kupujesz mi tę czapkę, mówię, że włożę ją pod jednym warunkiem.

– Co tylko zechcesz – mówisz i uwielbiam te twoje klapki na oczach.

– Przyjmij propozycję pracy w księgarni.

– Tak! – Cieszysz się, ściskasz mnie, daję ci wszystko, czego pragniesz, wszystko, czego potrzebujesz, całujesz mnie w szyję, delikatnie, w usta, czule. Szepczesz moje imię: – Joe… – Ludzie, założę się, myślą, że właśnie się zaręczyliśmy.

Później tego samego dnia na rozmowę o pracę przychodzi Ethan. Nie mam serca powiedzieć mu, że stanowisko zostało już obsadzone. Wygląda jak myszoskoczek, łasi się jak szczenię i myślę, że jego miejsce jest nie w księgarni, tylko w schronisku dla zwierząt. Ethan dużo mówi. Sprawdzam twoją skrzynkę mejlową, zadzwoniłaś do Peach i opowiedziałaś jej o zakupach i nowej pracy. Peach odpisuje:

> Beckanieńka, mam nadzieję, że nie gryziesz się igraszkami w Targecie. Pamiętaj, że robienie wsi nie czyni z ciebie

wieśniary. Jesteś tylko człowiekiem, mała! Traktuj go czule, dobrze? Chociaż to chyba kiepski pomysł, żebyście razem pracowali. Może lepiej poszukaj zajęcia na uczelni? W każdym razie trzymaj się. Peach.

Wiadomość od Peach gasi moje podniecenie po przygodzie w Macy's. A jeśli zostawisz mnie na lodzie? A jeśli zaczniemy razem pracować i się nie dogadamy? A jeśli w wolne wieczory będziesz urządzała #BabskiWieczór i już nigdy więcej nie pójdziemy razem na zakupy? Ethan nie puści mnie kantem; przyniósł trzy egzemplarze swojego CV.

– Widzę, że jesteś bardzo zajęty – mówi teraz dziarsko. – Jeśli wolisz, mogę przyjść później! Nie mam dziś niczego w planach!

Gram na czas. Nie wiem, czy jestem na siłach zmierzyć się z jego energią.

– Wymień pięć swoich ulubionych książek.

Uśmiecha się, jakby właśnie usłyszał, że święty Mikołaj istnieje, a ja czytam twoją odpowiedź na mejl Peach:

Byliśmy w Macy's, nie w Targecie, wyższe progi… chyba. Masz rację, nie powinnam pracować w księgarni. Zawsze byłam kiepska w wyznaczaniu granic. Dlaczego zawsze musisz być taka mądra?!

Ethan analizuje *Władcę Pierścieni*. Przerywam mu.

– Słuchaj, Ethan, przepraszam cię na chwilę.

– Nie musisz przepraszać! – wykrzykuje. – Jesteś szefem!

U tego gościa każde zdanie kończy się wykrzyknikiem, a jego ulubioną książką jest *American Psycho*. Dziwne.

– Lubię się bać! Ty nie, Joe?

Wolę ambitniejszą beletrystykę, Ethan merda ogonem, odświeżam twoją skrzynkę i otwieram odpowiedź od Peach:

Po prostu martwię się o ciebie, Beckanieńka. Pamiętaj: nie przekraczać granic!

Nie widziałyśmy się chyba ze stooo lat.

Odkładam telefon i w myślach dziękuję twojej matce, że reguluje rachunek. Ethan nadal opowiada o akcji z myszoskoczkiem w *American*

Psycho.

Tryska słowami i chichocze, kurwa, co to za koleś?

– Po prostu uwielbiam książki – szczebiocze. – Mógłbym opowiadać o nich do zafajdanej śmierci! Najgorsze, kiedy człowiek straci pracę i dziewczynę. Brakuje mi rozmów. Uwielbiam rozmawiać!

Ethan to najsamotniejszy, najbardziej przygnębiający człowiek, jakiego dane mi było poznać, a jednocześnie jest moim wybawieniem. Jest doskonały, potrzebuję kogoś dokładnie takiego jak on. Na pewno nie polecisz na faceta pokroju Ethana, przy nim jestem mężczyzną pełną gębą. Uśmiecham się.

– Słuchaj, Ethan, czy możesz pracować w weekendy?

– Ależ oczywiście! – Brzmi zupełnie jak gryzoń. – Mogę pracować, kiedy zechcesz!

Kiedy wstajemy, zauważam, że Ethan jest dobre dwadzieścia parę centymetrów niższy ode mnie. Ma łupież. Gdy idziemy do drzwi, dziękuje mi wylewnie.

– Wiesz, Joe, zawsze czułem, że uda mi się znaleźć tak fantastyczną pracę jak ta! Powiem ci szczerze, że studiowałem finanse tylko dlatego, że tata nalegał. To nie był mój pomysł!

– Bardzo dobrze, Ethanie, cieszę się – mówię. To on ma problem z zachowaniem dystansu, nie ja. – Uczcij to przy piwie.

– Nie piję alkoholu, ale może rzeczywiście dodam kapkę rumu do dietetycznego dr peppera! – wykrzykuje i wychodzi.

Patrzę za nim, oddala się, i czuję się dumny jak nauczyciel z piątkowego ucznia. Zrobiłem dziś dobry uczynek.

Piszesz do Peach i życzysz jej udanego wyjazdu. Dodajesz, że sama raczej zostaniesz w mieście, bo podróż do Nantucket za dużo kosztuje. Peach odpisuje:

> Moja droga, jeśli potrzebujesz pożyczki, wiesz, gdzie mnie szukać…

Odpowiadasz kategorycznym NIE. Peach jedzie na Saint-Barthélemy spotkać się z rodziną, opalać się, wcierać w swoje groteskowe ciało ekologiczny krem z filtrem przeciwsłonecznym i myśleć o tobie. Może

zapozna jakąś autochtonkę, zakocha się i zostawi cię w spokoju? Piszę do ciebie, że zaczynasz jutro. Odpowiadasz natychmiast i tak, jak należy:

:) Tak jest, szefie.

Wieczorem dzwonisz, żeby doprecyzować, o której masz się zjawić. Kiedy mówię ci o Ethanie, z początku wydajesz się speszona.

– Sądziłam, że to ja dostanę tę pracę – mówisz.

– Beck, lada moment będziemy mieli szczyt sezonu.

– To znaczy, że nie będę pracowała w pełnym wymiarze godzin?

– To znaczy, że od czasu do czasu będziemy mogli sobie pozwolić na wolny wieczór.

Pojmujesz aluzję, zniżasz głos.

– Czy ty mnie aby nie napastujesz seksualnie?

– Owszem, proszę pani, trochę napastuję – odpowiadam poważnie.

Jestem genialny, naprawdę, Peach niech się idzie pieprzyć, rozmawiamy jak chłopak z dziewczyną. Opowiadam ci o Ethanie, wybuchasz śmiechem.

– Brzmi jak anty-Blythe – mówisz. – Blythe wykreśla wszystkie wykrzykniki. Wszystkie. Serio.

– Cholera – mówię. – Ciekawe, co by się stało, gdyby znaleźli się w jednym pomieszczeniu.

– O rany, Joe – mówisz; czuję, że aż wstałaś z kanapy. – Musimy to zrobić.

– Beck.

– Musimy ich ze sobą spiknąć.

– Ethan jest bardzo delikatny – mówię. – Nie wiem, czy powinniśmy szczuć go Blythe.

– Proszę się, Joe – mówisz. – Czuję, że Blythe potrzebuje kogoś takiego jak Ethan. I na odwrót. Przeciwieństwa się przyciągają, nie tak?

– Czy my też jesteśmy przeciwieństwami?

– Przekonamy się – mówisz i zmieniasz temat, opowiadasz o hinduskim jedzeniu i o muzyce, prowadzimy jedną z tych rozmów, które płyną i której nie prowadzilibyśmy, gdyby nie to, co wydarzyło się w przymierzalni.

Potem wysyłam ci namiary na Ethana, żebyś przekazała je Blythe. Piszę:

Życzę ci wesołych świąt!

Odpisujesz:
Życzenia właśnie się spełniają. :)

27

Uwielbiam, kiedy jesteś przy mnie w sklepie. Praca z tobą sprawiła, że na nowo zakochałem się w księgarni Mooneya. Stanowimy uroczą parę, pasujemy do siebie, cieszysz się, kiedy ludzie to zauważają. Skończyły się randki. Jesteśmy tylko my. Przychodzisz przed rozpoczęciem swojej zmiany i całujesz mnie na dzień dobry. Zwyczajne, nudne pary kupują sobie psa, żeby się przekonać, czy sprawdzą się jako rodzice, my zaś mamy dla siebie księgarnię pełną książek. Dzielimy się obowiązkami, śmiejemy z klientów, żartobliwie kłócimy się o to, jaką puszczać muzykę, i jesteśmy jak pary z lat pięćdziesiątych, i jest bardzo seksistowsko, bo ja rozkazuję, a tobie się to podoba. Bawisz się ze mną, naginasz zasady, bywasz złośliwa. Nie opuszcza nas wesołość. Przynoszę do pracy czapkę Holdena Caulfielda, zakładam ją, kiedy nie patrzysz, a gdy wreszcie spojrzysz, wybuchasz śmiechem.

– O rany, Joe, zabiorę ci tę czapkę.

Udaję, że się od ciebie opędzam.

– Nie oddam ci mojej caulfieldówki!

Śmiejesz się.

– Nie mogę pozwolić, żebyś pokazywał się światu w czymś takim. Gdzie ja miałam oczy, kiedy wybierałam to ohydztwo.

Podoba mi się, że wspominasz o naszej wizycie w Macy’s, pozwalam ci zdjąć mi czapkę z głowy. Z zadowoleniem zauważasz, że nie zdążyłem oderwać metki.

– Przynajmniej będę mogła wymienić na coś lepszego.

Nie mogę uwierzyć we własny optymizm, tandetny optymizm, ale naprawdę czuję się, jakby świat był po mojej stronie; w księgarni Mooneya

zapanowało szczęście! Ethan i Blythe… zaczęli się spotykać – niewiarygodne! Co wieczór kładę się spać, zastanawiając się, co jutro na siebie włożysz i czy ta chemia między nami doprowadzi do seksualnego maratonu w łóżku, które dla ciebie skręciłem. Odkładamy decyzję o podjęciu współżycia, jak nastolatkowie, ponieważ uważasz, że to musi być coś wyjątkowego. Zgadzam się z tobą.

Każdy dzień jest jak Boże Narodzenie, dziś przychodzisz do pracy w rozciągniętym szarym swetrze, tak luźnym, że zsuwa się z ramienia, i kiedy widzę je obnażone, czuję, że mi staje. Chrupiesz marchewkę. Każę ci pójść do domu i się przebrać.

Odpowiadasz mi z pełnymi ustami.

– Nie mówiłeś, że obowiązuje *dress code*.

– Obowiązuje nieoficjalnie.

– Tak? – pyskujesz. – A jaki to strój? Powyciągane bluzy Ethana?

– Uspokój się.

– Jestem spokojna, Joe. Po prostu chciałabym, żebyś opowiedział mi o przepisowym stroju.

– Pomyśl, że jesteś na uczelni. Nie poszłabyś tak ubrana na zajęcia.

Kładziesz marchewki na ladzie. Zakładasz ręce na piersi.

– Tak się składa, że właśnie wracam z zajęć.

– Po prostu to zasłoń – mówię i mam ochotę dodać, że właśnie przez coś takiego faceci z uczelni czują przyzwolenie, by do ciebie uderzać.

– Co takiego mam zasłonić? – pytasz.

Chcesz, żebym cię przełożył przez kolano i złoił ci tyłek? Widzę, Beck, że masz poważne problemy z dyscypliną.

– Ramię.

– W takim razie daj mi swój polar.

Oddaję ci moją czarną bluzę, wkładasz ją i dosłownie się w niej topisz. Mam ochotę chwycić cię za ramię i zaprowadzić do regału z autorami f–k, tam, gdzie ujrzałem cię po raz pierwszy, gdy jeszcze nie wiedziałaś, czego szukasz (mnie), i nie mogę tego zrobić, bo jestem szefem, a ty chcesz, żebym to zrobił, i ja sam tego chcę, ale nie, nic z tego. Podoba mi się, jak bardzo tego pragniesz, teraz już tak będzie, kręcę głową, pokazuję, żebyś

zdjęła polar, marudzisz i jęczysz, a kiedy zdejmujesz bluzę przez głowę, twój zdzirowaty sweter podjeżdża pod samą szyję, stojący przy encyklopediach zbok gapi się na ciebie, chwytam brzeg swetra i ciągnę do dołu.

Jesteś zaskoczona, kaloryfer syczy, w tle lecą instrumentalne stare kawałki miłosne ze ścieżki dźwiękowej *Hannah i jej siostry*, przyniosłaś mi kawę jak grzeczna dziewczynka, oddajesz polar. Siadam na stołku przy kasie, trzepoczesz rzęsami, zbok ciągle się lampi, muszę się nim zająć.

– Tylko ostrzegam: nie chcę cię tu widzieć – podnoszę głos – bez stanika.

Czerwienisz się, walczysz z uśmiechem, wkładasz kurtkę, zabierasz torebkę pełną śmieci, które przytargałaś ze sobą, i kiwasz głową.

– W jakim ma być kolorze?

Jeszcze trochę i będziemy się pieprzyć. Wzruszam ramionami.

– Sama wybierz.

– Czerwony?

– W porządku.

– Czarny?

– Idź już – mówię i wychodzisz.

Spoglądam na zboka i zwracam się do niego chłodnym, rzeczowym tonem:

– W czymś panu pomóc?

– E… nie, tylko się rozglądam.

– Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dać znać – mówię, wyłączam *Hannah* i zapodaję Beastie Boys.

Czekam, aż wrócisz, a wrócisz na pewno, bo uwielbiasz to miejsce i mnie w nim, i czy już wspominałem, że to był najlepszy pomysł, jaki mógł mi przyjść do głowy? Pierwszego dnia byłaś arogancka i się myliłaś, a za kasą dawałaś ciała po całości, jednym liczyłaś za dużo, innym za mało, w dodatku założyłaś gównianą bluzę z logo Uniwersytetu Brownów, jakbyś chciała pokazać wszystkim, że jesteś ponad nimi. Powiedziałem wtedy: żadnych bluz, i zrobiłaś się czerwona jak burak, bo doskonale wiesz, kiedy zachowujesz się jak dupek. Zbok od encyklopedii pyta, czy mamy toaletę,

odpowiadam krótko: „Nie”; wychodząc, nawet nie raczy powiedzieć do widzenia. Wykorzystuję chwilę spokoju i schodzę na dół, żeby zwalić konia, bo praca z tobą i czekanie na ciebie, kiedy przyjdziesz i będę mógł cię widzieć i wąchać, i być blisko ciebie, nakręca mnie jak gimnazjalistę, do którego klasy na zastępstwo przychodzi nauczycielka jak z pornosa.

Telefon buczy. Szybka jesteś. Napisałaś:

Puk puk

Jest też zdjęcie: ty w czerwonym staniku. Kolejny esemes:

Czy to odpowiedni strój do pracy?

Odpisuję:

Nie!

Styczeń to najnudniejszy miesiąc w roku, mógłbym przesiedzieć tu cały dzień, oglądając twoje staniki, o czym doskonale wiesz. Po chwili przychodzi następny esemes od ciebie:

Puk puk

Odpisuję:

Tak?

I znowu: zdjęcie, brak twarzy, tylko wypięte cycki w różowym koronkowym biustonoszu, sterczące sutki – dla mnie – i już nie mogę, kończę. Piszesz:

?

Nie chcę oddawać ci swojego kutasa w taki sposób, chyba to czujesz, wysyłasz jeszcze jedno zdjęcie, tym razem bez stanika. Daję ci to, czego chcesz. Piszę:

Niegrzeczna dziewczynka. Chodź do mnie. Natychmiast.

Odpisujesz z prędkością błyskawicy:

Tak szefie

Zero interpunkcji, tylko „tak”, uniwersalny eufemizm na ZERŻNIJ MNIE TU I TERAZ, i „szefie”, uniwersalny eufemizm na JESTEŚ MOIM PANEM. Myję się i biegnę na górę. Znajduję Paulę Fox – udaję, że ją czytam, ilekroć wchodzisz do księgarni – wyłączam Beastie Boys i wrzucam Becka – to taki nasz żarcik, jesteśmy jedną z par posługujących się sekretnym słownikiem piosenek i książek, spojrzeń i posiłków – kiedy

się wreszcie zjawiasz, już prawie pora zamykać, i od kilku dni nie sprawdzałem twojej poczty elektronicznej – tak na mnie działasz. Zdejmujesz kurtkę i okazuje się, że masz na sobie koronkową prześwitującą bluzeczkę. Uśmiechasz się do mnie.

– Czy to odpowiedni strój do pracy?

Zamykam Paulę Fox, Beck zaczyna śpiewać *Sexx Laws*, odę do kajdanek i kosmicznego seksu wbrew wszelkiej logice. Wkrótce stworzymy własny seksualny hymn. Siedząc, obracam się w twoją stronę, drzwi są niezamknięte, na nich tabliczka otwarte, ulice pustoszeją (jest styczniowy poniedziałek), *Hannah* była tylko grą wstępną, a esemesy pierwszą rundą rozgrywki. Podchodzisz bliżej, rozstawiam nogi, rzucasz kurtkę na podłogę, masz na sobie buty, które mówią: „Przeleć mnie”, i już naprawdę nie mogę wytrzymać.

– Spóźniłaś się. Zaraz zamykamy.

– Przepraszam, szefie. Kiedy zamykamy, szefie?

– Teraz.

– Aha.

Jestem twardy jak skała, nie masz majtek pod spódniczką, ty dziwko, przekrzywiasz głowę, okręcasz lok wokół palca, to niesamowite, że najbardziej sztampowy obraz może być tak podniecający: półnaga dziewczyna sięga po cukierek, powoli wkłada go do buzi i ssie i wiadomo, o co milcząco prosi.

– Muszę się zastanowić, w czym mogłabym ci pomóc – szepczesz, kręcę głową, że w niczym, daję ci znak, podejdź tu, natychmiast, bawisz się cukierkiem, kładziesz dłonie na moich kolanach, pochylasz się i wysuwasz cukierek z ust.

Otwieram swoje i chwytam go zębami. Wreszcie.

28

Właśnie pieprzyliśmy się po raz pierwszy w naszym wspólnym życiu i nie było dobrze, za krótko to trwało i nie krzyczałaś. Gdzie się podziała namiętność z Macy’s, gdy byłem w tobie? Kto zawinił, że skończyło się tak szybko? Czy to dlatego, że nie zrobiliśmy tego w przymierzalni albo przy otwartym oknie? Czy to przeze mnie? Czy byłem zbyt wygłodniały? Zbyt spragniony? Trzymałem cię za mocno? Może mam większy talent do minety niż do posuwania – to byłoby straszne i niesprawiedliwe. Zrobiliśmy to tylko raz. Czy będzie następny? Czy chcesz to powtórzyć?

Nie chcesz. Leżymy na podłodze w klatce, dochodzimy do siebie, nie nakręcasz się ponownie. Siedzisz na mnie, głaszczesz mnie po włosach, nie widzę twojej twarzy, ale czuję rozczarowanie w ruchach twoich dłoni, w pełnym litości i współczucia dotyku. Opuszki twoich palców robią delikatne pac-pac, nie mogę cię puścić, bo się odsuniesz, będę musiał spojrzeć ci w oczy, a tego nie potrafię zrobić. Wytrzymałem może osiem sekund. No, dziewięć. Odgrywam tę scenę w pamięci i naprawdę nie wiem, jak to się stało. Może za często marszczę freda, może za mocno mnie skusiłaś, może powinienem był zamknąć drzwi.

– Nie – powiedziałaś. – Przy otwartych drzwiach i z tabliczką otwarte jest bardziej podniecająco.

Powinienem był być z tobą szczery i powiedzieć, że brak poczucia bezpieczeństwa działa na mnie deprymująco. Ale nie chciałem cię zawieść, wolałem, żeby twoje potrzeby miały pierwszeństwo. Chciałaś pieprzyć się za kasą, ale zaprotestowałem.

– Chodźmy na dół.

– Poważnie? – powiedziałaś i cała się rozpromieniłaś. Naprawdę. Dałbym głowę.

Poszliśmy na dół (mój pomysł, mam klucz, jestem szefem), otworzyłem klatkę i kazałem ci wejść do środka. Zamknąłem cię, uśmiechnęłaś się, kazałem ci zdjąć spódnicę i posłuchałaś (jestem szefem), nie miałaś na sobie majtek, kazałem ci się popieścić i zrobiłaś to, zmusiłem tę drugą Beck, by trzymała gębę na kłódkę. Chciałaś, żeby grała muzyka, więc zostawiłem ją włączoną (jestem szefem i wolno mi od czasu do czasu spełnić twoją zachciankę). Stałaś, jedną dłoń trzymając na drzwiach klatki, a drugą powoli dogadzając sobie, tymczasem zacząłem się rozbierać, przyglądałaś mi się, w jednej chwili rozbawiona, w drugiej gotowa i chętna. Kazałem ci poprosić, poprosiłaś więc, błagałaś, bym wszedł do klatki, potem zdjąłem spodnie i zobaczyłaś, jak bardzo chcę wejść. Kazałem ci uklęknąć, zrobiłaś to i wyciągnęłaś po mnie rękę (jestem szefem i wolno mi od czasu do czasu spełnić twoją zachciankę), otworzyłem klatkę i wszedłem. Wzięłaś mnie do ręki i do ust, patrzyłaś na mnie i wiedziałem, że pora cię zerżnąć, i dałem do zrozumienia, że już czas, i wtedy skoczyłaś na mnie jak zwierzę, dosiadłaś mnie i przejęłaś kontrolę (jestem szefem i wolno mi od czasu do czasu spełnić twoją zachciankę) i wtedy.

I wtedy.

I wtedy znalazłem się w tobie i doszedłem. Spieprzyłem sprawę. Wytrysnąłem szybko i obficie. Z początku nic nie powiedziałaś i nie wyglądałaś, jakbyś chciała, żebym pomógł ci dojść, po prostu od razu przeszłaś do delikatnego głaskania mnie po włosach (nie lubię takiego dotyku, kurwa) i powiedziałaś cicho:

– Nie martw się, Joe. Biorę pigułki.

Wtedy zacząłem się ciebie bać, ciebie i tego, co możesz ze mną zrobić albo czego możesz nie zrobić, i uświadomiłem sobie, że to ty jesteś szefem, nie ja, i że to ty od czasu do czasu możesz spełnić moją zachciankę, jeśli akurat masz kaprys. Kiedy w końcu wstaliśmy, oboje byliśmy głodni i obojgu nam kręciło się w głowie, a na górze przy kasie stał starszy mężczyzna i kiedy nas zobaczył, mnie ubranego i ciebie w samym staniku, uśmiechnął się i powiedział:

– Bawcie się dobrze, dzieci. Przyjdę kiedy indziej.

W jego słowach było coś koszmarnie aseksualnego, rozczarowującego i upokarzającego, i te jego starcze oczy, i przyjemność z tego, że ujrzał nas, młodych, rozpalonych i pełnych życia. Człowiek ten miał więcej radości z widoku niż ty i ja z pierwszego pieprzenia. Nie wiedzieliśmy, co powinniśmy zrobić, nie zdziwiłem się więc, kiedy powiedziałaś, że musisz sprawdzić, co słychać u Peach, bo ostatnio jest bardzo przygnębiona. I nie byłem zaskoczony tym, że nie zaproponowałaś, abyśmy poszli do ciebie i rypali się w twoim łóżku. Źle się spisałem, ty jesteś szefem.

Zdziwiło mnie za to coś innego. Dzień później – nawet nie odczekałaś pełnych dwudziestu czterech godzin – napisałaś esemesa:

Cześć Joe, nie mogę dziś przyjść. Przepraszam!

Wykrzyknik po „przepraszam” był początkiem końca nas. Popełniłem błąd, odpisując:

Okej!

Potem zamiast spotkać się ze mną, postanowiłaś wybrać się gdzieś z Lynn i Chaną.

Ty: Tęsknię za wami, dziewczyny. Mam sesję nadzwyczajną z doktorem Nickym, ale potem chciałam wam zaproponować późny lunch i/lub jakiegoś drinka.

Chana: Halo, kim jesteś? Haha. W porządku, czemu nie?

Lynn: Ja już jestem w pidżamie i w nastroju na Gotowe na wszystko. :(Wypijcie moje zdrowie!

To już, tak? Prawdziwy koniec, ponieważ zamiast mnie wybrałaś przyjaciółkę, chorą na głowę laskę, żeby porozmawiać z nią o mnie. Z mojego doświadczenia wynika, że kiedy dziewczyna woli rozmawiać o facecie, zamiast z nim, to oznacza koniec związku. No więc chciałem pierdolnąć sobie w łeb i rozjebać wszystkich w sklepie, wziąć płytę Erica Carmena i rozpieprzyć ją na drobne kawałki, bo przestałem wierzyć w siebie i w naszą przyszłość. Odpowiedziałem ci żałosnym „Okej!”.

Dobrze, że wiedziałaś, jak bliski byłem załamania; niecałe pięć sekund po tym, jak wyłączyłem odtwarzacz – bywają chwile, kiedy najlepiej brzmi

cisza – usiadłem na stołku i pomyślałem, żeby się wykastrować, tak jak ten zbok w *Małych dzieciach*. I wtedy napisałaś:

A co robisz dziś wieczorem? :)

I spokój zapanował we wszechświecie, bo ten uśmieszek na końcu esemesa był twoją rozdziawioną, mokrą cipą, która wie, że mogę dać jej więcej. I znów poczułem się dobrze. Stało się dla mnie jasne, że wybierasz się do psychiatry porozmawiać o swoim problemie, takim mianowicie, że czerpiesz większą przyjemność z seksu, kiedy masz publiczność. A z Chaną umówiłaś się dlatego, że byłaś zajęta mną, ona wyjechała na urlop, długo się nie widziałyście i chciałaś się pochwalić najlepszą minetą pod słońcem – tą w Macy's. Emotikoną na swój sposób wyraziłaś to, że już nie pracujemy ze sobą. Pieprzymy się ze sobą. Odpowiedziałem, żebyś przyszła do mnie o siódmej. Odpisałaś:

No to do zobaczenia!

Dwanaście po siódmej uzmysłowiłem sobie, że świece są przeklęte. Pięć krótkich świec wotywnych, kupiłem je w Pier 1 Imports – zrobiłem to z inspiracji jednego gościa z księgarni, który nie wiedzieć czemu utkwił mi w głowie. Wydawał się w porządku, mógłbym się z nim zakumplować, gdybym szukał kumpli. Postawił ciężką torbę na ladzie, zaczął szukać karty kredytowej i westchnął:

– Pieprzone świece. Kobiety i świece, co nie?

– Racja – odparłem.

Ziarno trafiło na żyzny grunt i już wiedziałem, że przyjmując u siebie kobietę, zawsze będę palił świeczki – przez cholernego pantoflarza, kupującego Toma Clancy'ego dla siebie i świece dla swojej odmawiającej seksu żony. Co sprawia, że jesteśmy tacy, a nie inni? Co i dlaczego pierdoli nam w głowach? Nie mam pojęcia, ale wiem, że dwanaście po siódmej zacząłem żałować, że w ogóle zapaliłem świeczki, w dodatku kupiłem zapachowe, żałosne. Pizza wystygła, a wino – nie cierpię wina – pewnie całe wywietrzało; wino nie powinno tak długo oddychać. Wiedziałem, że nie przyjdziesz i że jest tylko kwestią czasu, zanim się odezwiesz z wymówką, i proszę, czternaście po siódmej, siedziałem przy stole – wniosłem go na górę specjalnie na tę okazję – i dostałem esemesa od ciebie:

Nie gniewaj się, ale muszę odwołać. :(

Ta emotikona to twoje ciało, zamknięte, odwrócony wzrok, rezygnacja ze wszystkiego, co związane ze mną, co związane z nami, i nie muszę czytać twojego mejla, żeby wiedzieć, że nie mogę zrzucać całej winy na Peach, bo przecież to nie ona jest koślawym chujem, tylko ja nim jestem. Dla ciebie wyłożyłem cukierki na półmisek, Beck. Biorę go i ciskam nim o ścianę, trafiam w gobelin, który kupiłem u starszej pani, mieszkającej kilka domów dalej, po to, żeby zakryć dziurę po maszynie do pisania i żebyś poczuła się swobodniej w moim mieszkaniu. Półmisek nie pęka, odbija się i ląduje na kanapie. Chyba naprawdę jestem najmiększym kutasem na świecie. Nawet nie potrafię rozbić półmiska. Rzucam się ze wściekłością na świece, ale przecież nie chcę puścić mieszkania z dymem. Byłaś u mnie, widziałaś, jak mieszkam, a mimo to mnie przeleciałaś. Nie mogę przerzucać winy na tę norę, tak jak nie mogę mieć pretensji do półmiska, cukierków i taśmy policyjnej na zasłonie prysznicowej. Zbliżam dłoń do ognia, płomień parzy, boli, podpaliłbym sobie fiuta, gdybym się odważył, ale przecież wiadomo, że pierdołowata ze mnie cipa. Nie mam jaj, żeby to zrobić. Swąd palonego ciała zdecydowanie tłumi zapach zimnej pizzy. Dobrze, że nie zmarnowałem forsy na kwiaty.

29

Pozwól, Beck, że opowiem ci o samobójstwie. Otóż gdybym chciał się zabić, nie wiem, strzelić sobie w łeb, powiesić się albo utopić, choć nie chcę, to teraz byłby dobry moment, żeby to zrobić. Zapomniałaś o mnie, minęło pięć godzin i jedenaście dni, od kiedy „zabrałaś swoją miłość", wszystkie nasze piosenki źle brzmią, bo nigdy nas nie zobaczą „z takiej wysokości" i nie, jutro nie będziesz „nadal mnie kochała", bo tak naprawdę nigdy mnie nie kochałaś. Nie jestem Bobbym Shortem ani Beckiem i nie, nie chcesz ze mną „podważyć logiki praw seksu" i wcale mnie nie kochasz. Byłem w tobie, ale już mnie nie chcesz. Nic mnie nie bawi, nawet wymyślanie tweetów Benjiego:

Koka. Bo wyśpię się w grobie. #KokaKola #hahaha

– Przepraszam, czy mógłby pan się oderwać od telefonu i spojrzeć na mnie? – domaga się zadzierająca nosa stara dziwka.

Naciskam tweetnij i pytam, w czym mogę służyć.

– Powiedziałam, że dziękuję, nie potrzebuję reklamówki, mam własną torbę – warczy.

– Bardzo dobrze – mówię krótko, mnę papierową torebkę i wrzucam ją do kosza tylko po to, żeby pokazać babie, kto tu jest szefem.

Ethan wzdycha, przeprasza, po czym wyjmuje reklamówkę z kosza. Oto, do czego sprowadza się moje życie: do Ethana i upierdliwych klientów.

Każdy dzień spędzam teraz z tym facetem i muszę przyznać, że poznawanie go nie należy do łatwych zadań, zwłaszcza teraz, kiedy nie muszę ci o nim opowiadać. Narzekałaś na głośny wentylator w toalecie dla personelu i wierciłaś mi dziurę w brzuchu, żebym go wymienił – każdy by wiercił… ale nie Ethan, on nazywa wentylator „maszyną dźwięku"

i twierdzi, że mu nie przeszkadza. Ten gość jest prawie jak hermafrodyta, bezpłciowy jak woda toaletowa CK One z 1992 roku. Z góry wiem, że zna całe słowa do *Gonna Make You Sweat*, a na parkiecie, wykonując wszystkie te dziwne ruchy, czuje się jak ryba w wodzie. Jest napastliwy w nieprzyjemny sposób, urodził się za późno, ma czterdzieści jeden lat i wydaje się zmęczony szukaniem swojej drogi przez życie, drogi w jednokolorowych ciuchach z lat dziewięćdziesiątych i z Rickiem Deesem w roli narratora. Można mu współczuć albo skroić go z portfela. Jest jak papierek lakmusowy klientów – połowa odwzajemnia jego uśmiech, połowa patrzy na niego spode łba. Ciągle mu powtarzam, że powinien pracować w domu opieki, mówię to całkiem poważnie. Prowadziłby imprezy dla starców na wózkach inwalidzkich i podpiętych do aparatury podtrzymującej życie. Tacy ludzie – mężczyźni z zakrzywionymi kutasami pachnącymi rumiankiem, i kobiety z leniwymi, zwichrowanymi pochwami – w sam raz pasowaliby do jego wrodzonej, totalnej i tragicznej tęsknoty za minionym czasem.

– Miłego dnia, proszę pani!

– Ethanie, nie musisz się do wszystkich zwracać „proszę pani” – mówię. – Niektórych wystarczy zbyć machnięciem ręki albo powiedzieć zwykłe „dziękuję”.

Nie słucha mnie, nie uczy się, nie podporządkowuje się, tracę cierpliwość – do niego, do życia, do ludzi. Nie mam już czego pożądać i o czym marzyć. Mdli mnie, kiedy na niego patrzę, bo jest tak kurewsko miły i w ogóle o tobie nie wspomina. Nie narzuca się z opowieściami o swoim związku, temat Blythe bardzo rzadko pojawia się w naszych rozmowach, przez co czuję się, jakby się nade mną litował. Jedyne, co mi pozostało, to gówniane wspomnienie naszego krótkiego, szybkiego spółkowania, tych ośmiu sekund, na które jak małpa zakleszczyłaś się na moim fiucie. Z każdym dniem ogień wykrzesany w przymierzalni w Macy’s przygasa, wspomnienia o seksie są jak wszystkie inne, z czasem się zacierają i wietrzeją. Napisałaś Chanie:

Po prostu znowu za bardzo i za szybko się zaangażowałam…

To „znowu” zabolało, nieskończona równia pochyła. Zaczynam dzień od zwietrzałych Frosted Flakes i niedawno rozdartych dżinsów, które zapomniałem uprać, których nie chcę uprać, bo na nich siedziałaś. Jadę pociągiem do pracy i mam gdzieś książki, ponieważ ich nie dotykasz. Z wściekłością sprawdzam twoją pocztę mejlową. Życie panny Beck toczy się dalej, nie piszesz do mnie. Zdrapuję strupa z poparzonego palca. Nie chcę, żeby rana się zagoiła, pragnę czuć ból, drapię palec, który tak ci się podobał tamtego wieczoru w dorożce. Rana ropieje i krwawi, i szczypie, tak jak wszystko inne w moim życiu. Jeżeli Ethan jeszcze raz powie, że powinienem pójść z palcem do lekarza i pozwać producenta dzbanka do kawy – musiałem prędko coś wymyślić, przecież nie mogłem przyznać się nowemu pracownikowi, że przypaliłem sobie palec, bo mnie rzuciłaś – jeśli Ethan nie zamknie mordy, to mu przywalę, dostanie fangę z ropy, krwi i w ogóle.

Choć pracowałaś tu tylko przez chwilę, odcisnęłaś na tym miejscu trwałe piętno. Dla mnie to, nie wiem, podłe, że na twoim miejscu stoi Ethan. Lubi nowe rzeczy, lubi pachnące Gapem ciuchy – „Ależ były obniżki!”, wykrzykuje, zupełnie jakby obchodziło mnie, że kupił dżinsy na przecenie – koszule z kołnierzykiem przypinanym na guzik – „We wtorki w Gapie na wszystko, co jest na wyprzedaży, dają dodatkowe czterdzieści procent upustu!”, informuje mnie, jakby dawał do zrozumienia, że powinienem zaznaczyć sobie ten dzień na czerwono w kalendarzu, choć wcale go o to nie prosiłem – w dodatku codziennie jest ogolony i w kapitalnym humorze, i tragicznie, żałośnie wierzy, że czeka go jeszcze wiele dobrego. Zdobywszy Blythe, poczuł się jak zwycięzca loterii, postanowił więc naprawdę zacząć grać.

– Słuchaj, Joe, a może kupimy los na spółkę? Wiesz, czasem się słyszy o kumplach z pracy, którzy razem grali i razem wygrali!

Codziennie zachwyca się kawą – czy to naprawdę konieczne?; kawa to kawa – a w styczniu, w tym powszechnie znienawidzonym miesiącu, kiedy zacina deszcz ze śniegiem, niebo wygląda jak dżinsy potraktowane kwasem, a podłogę w sklepie trzeba trzy razy dziennie zmywać mopem, bo przyłażą flejtuchy w buciorach i z parasolami, Ethan wykrzykuje:

– I jak tu nie kochać szarych dni!

A kiedy wychodzi słońce, żeby zaśmiać się nam w twarz, bo przecież temperatura utrzymuje się w okolicy zera, Ethan oznajmia:

– Nie ma to jak zimowe słoneczko, co nie?

Najgorsze w tym wszystkim jest to, Beck, że on nie chce mnie znienawidzić. Mogę go ignorować i warczeć na niego, a on nadal będzie moim psem, będzie się uśmiechał i merdał ogonem, gdy wchodzę do księgarni. On też nigdy by się nie zabił, nawet gdyby przegapił siedemdziesięciopięcioprocentową obniżkę w Gapie. Jest na to zbyt łagodny i poczciwy. Któregoś dnia, krótko po tym, jak przyjąłem go do pracy, przyszedł z torbą z Bed Bath & Beyond. Kiedy poszedł do sracza – je za dużo otrębów, martwi się stanem swojej okrężnicy – zajrzałem do niej. Wiesz, co tam miał? Powiem ci: składany stolik tacę. Czy można sobie wyobrazić żałośniejszy zakup? No dobra, może składankę hitów C+C Music Factory, ale już chyba naprawdę nie ma nic gorszego. Pamiętam, że pomyślałem sobie: Ethan wróci do domu, przygotuje sobie na obiad coś z dużą zawartością błonnika, postawi talerz na swoim nowym stoliku i będzie oglądał *sitcomy*, rozmyślając, jakim zabawnym serialem jest *Teoria wielkiego podrywu*. Dosłownie wyliże talerz do czysta, po czym złoży stolik i odstawi tam, gdzie będzie go odstawiał każdego wieczoru przez resztę swojego boleśnie samotnego, błonnikowego, poukładanego życia. Ale potem poznał Blythe. Wiem, że są razem, nie jestem idiotą. I teraz to ja czuję się jak gość ze składanym stolikiem i w ogóle świat stanął na głowie. Powinnaś być tutaj i zdawać mi relacje, jak Blythe opisuje Ethana w swoich opowiadaniach. Potrzebuję cię. Potrzebuję beztroski.

Nienawidzę Ethana. Nienawidzę go za to, że ma Blythe. Kiedy zerwaliśmy, oni też powinni byli zerwać. Staram się zachowywać normalnie. Pytam go, co u nich słychać, a on mi wciska kit:

– Nie chcemy się z niczym spieszyć, oboje cenimy sobie niezależność, wiesz, dajemy sobie czas.

Nie, nie wiem, bo tak się składa, że nie cenię sobie niezależności. Cenię sobie twoją cipę. Gdybym wskoczył w jego reeboki – rozwiedziony, ciułacz kuponów, oporny – strzeliłbym sobie w głowę. Oto najmroczniejsze dni

w historii świata. Tracę cierpliwość. Jakby tego było mało, Ethan próbuje uczyć się hiszpańskiego, słuchając piosenek Enrique Iglesiasa. W tej chwili pyta, czy może włączyć.

– Jasne – odpowiadam. Wszystko mi jedno. Jestem martwy i głuchy.

– Nie muszę słuchać akurat teraz – zapewnia. – Chcesz, żebym puścił coś innego? Mam tu całe mnóstwo kawałków. Mam muzykę klubową, mam muzykę rockową, mam muzykę jazzową.

– Nie mówi się „muzyka jazzowa”, tylko po prostu „jazz”.

– Joe, ty tak dużo wiesz o wszystkim! – wykrzykuje; zawsze znajdzie powód, żeby się uśmiechnąć. Gdybym przestawił mu kichawę, pewnie by mi podziękował. – Codziennie uczę się czegoś nowego!

Schodzę do piwnicy, zamykam drzwi i sprawdzam twoją pocztę. Dużo śmieci z uczelni, jakaś sprzeczka z rodzicami o pieniądze, tata „trochę” ci pomaga, z Lynn i Chaną urządzasz „styczniową stypę”. Wciąż znajdujesz sobie zajęcia, kupujesz w sieci mnóstwo badziewia, płacisz kartą tatusia i obiecujesz, że zwrócisz wszystko co do centa. Nie ma cię, poszłaś na zakupy, zrywam strup i przyglądam się wypływającej ropie. Nie goję się. Rana po tobie nie chce się zabliźnić. Nagle piszesz do Chany:

> Bardzo cię przepraszam, ale nie będę mogła pójść z tobą na przedstawienie w przyszłym tygodniu… Tęsknię za Joe.

Gdybym miał składany stolik, wypieprzyłbym go przez okno i zaczął walić się pięściami w klatkę piersiową jak barbarzyńca, jak samiec alfa, goryl o grubym chuju. Tak! Tęsknisz za mną! To prawda! Odliczanie do sądnego dnia przerwane, t ę s k n i s z za mną, dmucham na palec, kocham życie i C+C Music Factory i może rzeczywiście Ethan nauczy się tego hiszpańskiego. Czytam dalej:

> Nie wiem, czy chodzi o niego jako osobę albo o coś, co w sobie miał, ale wciąż o nim myślę i mam ochotę do niego zadzwonić, i chyba naprawdę zadzwonię, jeśli się stąd nie wyrwę. Pojadę do Peach do Little Compton i nie wiem, spróbuję przejść jakąś dekompresję.

Zaczynam chodzić po piwnicy, bo kochasz mnie tak bardzo, że aż musisz wyjechać z Nowego Jorku. To pewne: masz obsesję. Piszesz dalej:

No, więc jeszcze raz STRASZNIE przepraszam, że zostawiam cię na lodzie. Peach mówi, że jeśli chcesz, też możesz przyjechać!

Odpowiedź Chany jest zwięzła i konkretna. Uwielbiam ją i uwielbiam świat.

? Aha, okej, Beck. Tęsknisz za Joe, a więc uciekasz do pustego domu na plaży w samym środku zimy? Z Peach?

Ty: Potrzebuję przestrzeni.

Chana: Bez urazy, ale nie wiem, co rozumiesz pod pojęciem „przestrzeń” w kontekście spędzania czasu z Peach. Do zobaczenia po powrocie.

Tęsknisz za mną, tęsknisz. Przychodzi mejl od Peach:

Beckanieńka, rządzisz. Wiem, że wczoraj wieczorem już miałaś telefon w ręku i wybierałaś numer Joego – jestem z ciebie BARDZO DUMNA, że jednak nie pękłaś. Jesteś bardzo zdolna, studiujesz. To oczywiste, że nauka musi mieć pierwszeństwo. Myślę, że Joseph bardziej niż ktokolwiek inny pragnie dla ciebie tego, co najlepsze. Nie wymagaj od siebie zbyt wiele, B. Z innej beczki: w LC będzie bombowo, zobaczysz. Aha, bo zapomnę. Okazało się, że większość sypialni jest właśnie remontowana i trochę mi głupio, ale czy mogłabyś jednak nie zapraszać C&L? Dzięki!

Sypialnie są odnawiane, ale przecież znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby. Niech się stanie urlop! Na wyjazd należy się przygotować! Każdy to wie! Wbiegam po schodach i mówię Ethanowi, że wybieram się do Gapa.

– Omijaj to, co wyłożone blisko wejścia! – radzi. – Kieruj się od razu w głąb sklepu.

– Dobry z ciebie człowiek, Ethanie – mówię. Naprawdę dobry. – Zobaczysz, że szybko się nauczysz hiszpańskiego!

– Dzięki, Joe! A raczej… *gracias*! Pamiętaj, że jest wtorek!

– Wiem – mówię. – Na rzeczy z wyprzedaży dodatkowe czterdzieści procent upustu.

– Dokładnie, Joe!

Nie mogę się doczekać, kiedy kupię coś nowego. Lubię stare rzeczy, ale ty lubisz nowe i niech im będzie, że coś w sobie mają. Tęsknisz za mną – to coś nowego, nowego i dobrego.

30

Wracam do księgarni ze stosem nowości i może jednak bardziej przypominam ciebie, Beck, niż mi się wydawało, bo to, co nowe, rzeczywiście jest podniecające. Nowy bandaż – czysty! – nowa czapka – wełniana! – nowa fryzura – krótka! – i nowe podejście – nakręcony! Zwolniłem Ethana wcześniej do domu, ucieszył się, widząc mnie w dobrym nastroju. Jest tylko kwestią czasu, kiedy się do mnie odezwiesz – tęsknisz za mną – ponownie sprawdzam twoją skrzynkę, liczę na więcej dobrych wiadomości. Chana zmywa ci głowę za tweeta o „LC”:

Chana: „LC”? Beck, to brzmi idiotycznie – chyba że masz na myśli Lauren Conrad, wtedy to brzmi jeszcze bardziej głupio. Nie możesz nazywać tego miejsca „LC”, skoro nigdy tam nie byłaś. Bo nie byłaś, prawda?

Ty: Okej, masz rację. Tweet o LC był słaby. Po prostu czuję się taka nie za bardzo, od kiedy ostatni raz widziałam się z Joe.

Chana: Jeśli tak się czujesz, to zdecydowanie powinnaś zachować się jak dorosła osoba, zadzwonić i spotkać się z nim. Ucieczka z księżniczką Peach to najgorsze, co możesz zrobić.

Ty: Wiem. Zupełnie jak w *Seksie w wielkim mieście*, kiedy Carrie jest w Paryżu z Rosjaninem i mówi, że wbrew sobie zastanawia się, co by było, gdyby była tam z Mr. Bigiem.

Chana: Tak, tylko że w serialach wszystko rozciągają w czasie. To jest prawdziwe życie. Przestań robić tragedię i zadzwoń do niego. Kto wie? Może zgodzi się pojechać z tobą na Rhode Island na jedną noc.

Och, Beck, będę tam każdej nocy. To jest to. Nasz nowy początek. Odpisujesz:

Ty: Hmm. W sumie niegłupio to brzmi.

Chana: W takim razie zrób to. Zaproś go. W dupie z Peach. Możesz udawać, że cię wyśledził i przyjechał za tobą, bo jest taki romantyczny i w ogóle.

Ty: Może… Może wyślę mu adres i dorzucę coś zabawnego.

Sprawdzam, czy nie przyszedł esemes od ciebie. Nic. Ale wszystko jasne: pragniesz mnie, a ja pragnę ciebie. Nie mogę siedzieć tu i czekać. Muszę wziąć się w garść i zacząć działać. Po kolei: najpierw znajduję w sieci adres rodziców Peach, wykorzystuję do tego artykuł w jednym ze starych numerów „Architectural Digest” oraz Google Maps. Potem dzwonię do pana Mooneya i pytam, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym zamknął księgarnię na kilka dni i wyjechał na urlop.

– Joe, teraz to ty jesteś szefem. Doskonale wiesz, co myślę o styczniu – strata energii i strata czasu. Zrób sobie wolne, zasłużyłeś na to.

Pewnie, że zasłużyłem.

Twoja wymiana wiadomości z Chaną i Lynn – ona również jest po mojej stronie, to jasne – trwa:

Lynn: Ucieknij z nim, a nie z Peach.

Ty: Proszę, nie traktujcie jej tak. Ona przechodzi trudne chwile.

Chana: Całe jej życie to jedna wielka trudna chwila. Ble. Następna, proszę!

Lynn: Beck, wiesz, że o tej porze roku w tamtej części Rhode Island wszystko jest pozamykane, prawda?

Ty: Dziewczyny, dajcie spokój. Jadę tylko na weekend. Przecież to nic takiego.

Chana: Podziękuj, że zaprosiła mnie i Lynn. A zresztą.

Ty: Chana, przecież was zaprosiła. Powiedziała, żebym was zaprosiła.

Lynn: To nie to samo, co osobiście…

Ty: Dziewczyny, ona cierpi na depresję. Chyba wiecie, że ma stalkera?

Lynn: LOLOLOLOLOLOL
Chana: Ile mu płaci?
Lynn: LOLOLOLOLOLOL
Ty: Proszę was… Peach chce dobrze.
Chana: Ja$na $prawa.
Lynn: #ChanaStrzałw10
Ty: :(

Uwielbiam twoje przyjaciółki, bo biorą moją stronę. To wiele dla mnie znaczy, pewnego dnia, na naszym ślubie, podziękuję im. Chciałbym móc powiedzieć to samo o Peach, ale ona niestety nie gra w drużynie Joego. Należy do drużyny Beck i nie rozumie, że zespół Beck i zespół Joego to teraz jedna ekipa. Z Peach też prowadzisz dyskusję mejlową:

Peach: Zapomniałabym dodać, że PADNIESZ, jak zobaczysz naszą bibliotekę. Tony książek. Spalding Gray był przyjacielem rodziny, mamy mnóstwo egzemplarzy z jego autografami, świetne rzeczy, sporo rzadkich wydań, których nigdzie nie dostaniesz. Mam, rozumiesz, *Do latarni morskiej* z podpisem autorki. No, ale temat Virginii Wolf lepiej zostawić na weekend, na wieczory przy piniocie.

Ty: Wiesz, kto byłby zachwycony? Ech, jasne, że wiesz kto. :(

Peach: Wiem, kochanie. Obiecuję, że wyjazd z miasta pomoże ci oderwać od niego myśli.

Ty: :(No. Mam nadzieję.

Wrzucam twój telefon do plastikowej reklamówki Gapa. Pora przestać śledzić twoją pocztę i zacząć przygotowywać się na spotkanie z tobą. Nie mogę się doczekać, kiedy się przełamiesz i napiszesz do mnie. Wiem, że to zrobisz. Będziesz leżała sama w sypialni w domu nad morzem i myślała, o ile lepiej czułabyś się ze mną. Wyślesz do mnie esemes, przyjadę, wpuścisz mnie, zakradniemy się na piętro i będziemy uprawiali seks w domu na plaży. Jestem spokojny, wiem, co się stanie. Jedyne, co mi pozostało, to udać się do Little Compton i zaczekać, aż mnie wezwiesz.

Zamykam na klucz drzwi do piwnicy, wyłączam światła, próbuję sobie przypomnieć, gdzie zaparkowałem samochód pana Mooneya,

i zastanawiam się, czy powinienem pojechać dziewięćdziesiątką piątką. Nie bez przyczyny istnieje coś takiego, jak prawo Murphy’ego, dlatego nawet nie jestem zdziwiony, kiedy otwierają się drzwi i wchodzą spóźnieni klienci.

– Bardzo mi przykro, ale właśnie zamykamy! – odzywam się najuprzejmiejszym tonem, na jaki mnie stać.

Znam odgłosy księgarni i mam złe przeczucia. Potrafię rozpoznać dźwięk drzwi zamykanych na klucz i tabliczki obracanej z otwarte na zamknięte. Jestem na górze, maczeta została w piwnicy. Słyszę, jak idą w moją stronę, kimkolwiek są. Trzej anonimowi goście w maskach z wizerunkiem Baracka Obamy, dwóch postawnych, jeden drobniejszy. Ten mały niesie łom. Nie mam czasu schować się w piwnicy albo chociaż w przedsionku. Kiedy nie możesz wygrać, przegrywasz. Podchodzą do mnie wszyscy jednocześnie.

Atakują.

Biorę ich na klatę. Spuszczają mi ostry wpierdol, jakby mścili się za wychędożenie ich matek, żon i córek. Gębę mam całą we krwi i ślinie, wydaje mi się, że straciłem wzrok w prawym oku. Kiedy wreszcie przestają spadać ciosy, nie jestem człowiekiem, a workiem pulsujących ran. Otwieram zdrowe oko. Mały Obama zabiera moją nową czapkę Gapa, która leżała na ladzie, i zaciska pięść…

O kurwa! Znam te buty, setki razy kazałem Curtisowi zabierać brudne nogi z lady. A zatem to on i jego prywatna zemsta. Curtis i kumple zbierają się do wyjścia, a ja leżę na podłodze i czuję jedno wielkie pulsowanie. Nie zamierzam się nad sobą użalać. Nagrabiłem sobie. Rzeczy, które zrobiłem, śmiałe rzeczy; przypominam sobie szkarłatne godło odwagi Benjiego. To jasne, że kiedyś musiałem za to zapłacić. Tęsknisz za mną, wkrótce w końcu będziesz moja, oto punkt zwrotny mojego życia, widać przyszła pora na pokutę. Krwawię, nabrzmiewam. Lewe oko wpada w trzepot, odpokutowałem, tabliczka z napisem zamknięte okazuje się jak najbardziej na miejscu. Wreszcie jestem wolny.

31

Do Little Compton jedzie się długo. W dodatku zimno jak cholera, bo ogrzewanie w buicku pana Mooneya nadal jest zepsute. Straciłem wełnianą czapkę, więc muszę się zadowolić tą z Figawi Benjiego – to ta, którą ukradł Spencerowi Hewittowi – no, ale ona jest płócienna i kiepsko chroni przed zimnem. W takich chwilach przydałoby się być bogatym, mieć nową wełnianą czapę i nowiutkiego SUV-a i już sam nie wiem, o czym myślałem, zostawiając w schowku kartę-klucz do skradzionych przez Benjiego przedmiotów i zatrzaskując drzwiczki. Wszystkie te łupy będą gniły, dopóki jakiś padlinożerca z reality show nie kupi schowka wraz z całą jego zawartością. Kiedy prowadzę, robię się senny, dlatego potrzebuję muzyki, ale tym razem zapomniałem o nią zadbać, bo miałem inne rzeczy na głowie, na przykład to, że mogę oślepnąć na jedno oko przez takiego cholernego prostaka jak Curtis. Chyba wolałbym sobie obciąć lewe jajo na cześć Ethana Wykrzyknika.

Zostało mi do słuchania radio, ale stacje w kółko puszczają tylko cholerną Taylor Swift. Pomijając to, że jest celebrytką, Swift przypomina ciebie, Beck (za dużo randek, zbyt bolesne upadki, za dużo pieprzenia, bolesne rozstania), zmieniam rozgłośnię, ale Taylor Swift chyba ma rezydencję niedaleko LC (w tak małym stanie nie istnieje pojęcie „daleko”) i chyba jest królową, gubernatorem i księżniczką Rhode Island, bo puszczają ją i stacje rockowe („Wiecie co, chciałbym usłyszeć, jak Foo Fighters coverują wczesne kawałki panny Swift. Albo może Arcade Fire!”), i country („Posłuchajmy najnowszego singla perły Rhode Island. Myślę, że wszyscy wiecie, o kogo chodzi”) i popowe („Nieważne, ile masz lat, dzięki niej poczujesz się, jakbyś miał dwudziestkę. Prawda, Rhode Island,

prawda?”). Pierdol się, Taylor Swift, nigdy w życiu nie czułem się tak stary jak teraz. Czemu, do cholery, nikt nie wymyślił jakiegoś specyfiku, który zapobiegałby tworzeniu się lodu na autostradzie? Rzuca mną jak robotnikiem po wypłacie.

Zatrzymuję się, żeby zatankować, i sprawdzam Twittera. Właśnie tweetnęłaś z Mystic w stanie Connecticut. A ponieważ jesteś dziewczyną, załączyłaś zdjęcie Mystic Pizza.

> Limuzyną do Mystic na Mystic Pizzę w drodze do zimowej kryjówki w Little C.? #odfajkowane #pepperoni #LepszaNiżSeks #DomNaPlaży

Moje skojarzenia z Mystic w stanie Connecticut nie mają nic wspólnego z durnym filmem z Julią Roberts. Mystic to dla mnie złe miejsce. Byłem tam raz, w czwartej klasie, na wycieczce szkolnej. Bujałem się w szorstkiej, osobliwej lasce, która nazywała się Maureen Grady i nosiła przezwisko Mo. Większość dzieci to dupki, tak jak większość dorosłych, dlatego w szkole wołaliśmy na nią HoMo. Byliśmy z klasą na pokładzie wielkiego żaglowca – nudy na pudy, więc Mo i ja odłączyliśmy się od grupy i zeszliśmy pod podkład, gdzie wstęp był wzbroniony.

W ciemności Mo oświadczyła, że pozbawi mnie dziewictwa. Próbowałem uciec, ale przygwoździła mnie do podłogi. Uderzyłem ją, dałem nogę i poskarżyłem się nauczycielom. Mo opowiedziała swoją wersję, a że potrafiło dziewczątko płakać, to jak sądzicie, kogo wysłano do pierdolonego psychologa szkolnego, do gościa, który wyjmował z szuflady laleczkę i prosił: „Pokaż, kto i gdzie cię dotykał”? Bynajmniej nie Mo Grady, nie! No, ale nie zamierzam rozwodzić się nad przeszłością. Dziś Mo to cień kobiety (podwójna rozwódka, asystentka prawna, ma profil na OkCupid i szpica, który wabi się Gosling – to chyba oczywiste, że do końca życia będzie sama). Wolę żyć teraźniejszością, dlatego wymazuję z pamięci Mo, loguję się na konto Benjiego i tweetuję:

> Nie ma nic słodszego od cip*szki mieszczuszki. #zimawnantucket

Oficjalnie usuwasz Benjiego z obserwowanych i wysyłasz mu prywatną wiadomość:

Dla mnie umarłeś. Jesteś trup.

Uśmiecham się pod nosem. Symbolicznie poklepuję się po plecach, bo rzeczywiście Benji poszedł do piachu, a ja muszę się użerać ze schrzanionym odmrażaczem i mokrym, zamarzającym śniegiem. Życie jest trudniejsze niż umieranie, Beck, dałbym wszystko, żeby zjeść tę pizzę razem z tobą. Myję ręce w toalecie na stacji benzynowej i spoglądam w lustro, ale nie mogę patrzeć na własną twarz. Ładnie mnie urządzili jebany Curtis i jego oprychy. Na czole mam wielkie rozcięcie, wygląda jak element charakteryzacji na Halloween, i drugie na policzku. Ochlapuję się zimną wodą i jadę dalej – moje serce się nie zatrzyma, tak jak serce Céline Dion w przebieralni w Bridgeport.

Uwzględniając warunki panujące na drodze i mój stan, do Little Compton docieram w całkiem niezłym czasie. Widzę niewyraźnie, staram się patrzeć na drogę lewym okiem. Kiedy dojeżdżam na peryferie miasta, wciąż pada śnieg. Denerwuję się. Źle się czuję w nadmorskich kurortach, pełnych lodziarni i żeglarzy. Muszę zwolnić. Łyse opony kiepsko się trzymają drogi, buick brzmi jak Sloth z *Gagatków*.

Droga jest silniejsza od buicka, sklepy pozamykane, a oświetlenie pogaszone, ponieważ jest już po sezonie. Wygląda to, jakby wszyscy mieszkańcy Little Compton skryli się w rezydencji TayTay, jak pieszczotliwie nazywają Taylor Swift jej fani. Zwierzęta chodzą luzem. Nagle przez szosę przebiega jeleń, momentalnie wciskam hamulec, ale za późno. Buick wydaje jęk i uderza w zwierzę, stapiamy się w jedno, ciało i stal, tańczący na lodzie wrak wpada na drzewa i przejeżdża przez nie. Tracę czas. Tracę równowagę, zamykam oczy, dusi mnie zapach palonej gumy i mięsa. Wszystko. A potem.

Nic.

Kiedy się budzę, dokoła mnie panuje cisza. Ból, gałęzie przesłaniają mi widok. Buick to auto cudów: żyję. Wciąż mam na głowie czapkę Figawi. Telefon jest cały. Straciłem przytomność na dwadzieścia minut.

– Wow – mówię, bo trzeba to powiedzieć.

Widzę odłamki szkła, korę i liście. Jak gdyby drzewo połknęło buicka. Na chwilę opanowuje mnie strach, że się stąd nie wydostanę. Czuję, że krwawię pod warstwą ciepłych ubrań, ale to nic nowego. Znów mam szczęście, bo samochód nie jest naszpikowany elektroniką i mogę ręcznie otworzyć wgniecione drzwi i wygramolić się z tej cudownie analogowej amerykańskiej bestii. Upadam na czerwony śnieg. Krew jelenia. Moja krew. Mimo wszystko żyję.

Sprawdzam pocztę; jeszcze do mnie nie napisałaś, ale napiszesz. Otwieram Google Maps i muszę ci powiedzieć, Beck, że naprawdę jesteśmy sobie przeznaczeni. Jest mi pisane być z tobą, oto bowiem telefon potwierdza, że znajduję się zaledwie siedemdziesiąt metrów na zachód od domu Peach Salinger, stojącego przy Plover’s Way numer 43.

Wspinaczka pod górę, do drogi, jest trudna. Coś niedobrego stało się z moim ciałem po bliskim spotkaniu z jeleniem. Podnoszę prawą stopę, a lewa noga zaczyna ćmić. Przenoszę ciężar na prawą stopę, a odzywają się żebra po prawej stronie. Kładę się na śniegu i pozwalam zimnu przesączać się przez ubranie.

– Cierpliwości, Joe – mówię. – Cierpliwości.

Przeczołguję się kilka metrów i zauważam dwa częściowo nieczytelne znaki. Jeden to zwykły, zrozumiały na całym świecie stop. Drugi to nadęty komunikat czarnymi literami na białej tablicy:

HUCKIN’S NECK BEACH CLUB. WSTĘP TYLKO DLA CZŁONKÓW.
NIE PODCHODZIĆ DO URWISKA. SKOKI DO WODY I NURKOWANIE
ZABRONIONE. PLAŻA NIESTRZEŻONA. KĄPIEL NA WŁASNE
RYZYKO.

Natura jest po mojej stronie, ponieważ te zasady nie mają zastosowania zimą. Niewielka budka strażnicza, stojąca tuż obok znaku, jest zamknięta na cztery spusty.

– Dobra jest – mówię i prę dalej, silniejszy od serca Céline Dion.

Przywieram do ziemi jak żołnierz gramolący się z okopu. Ręce mam silne, nie to co nogi. Pocę się na całego, dzwonię zębami, oczy co rusz

zachodzą mgłą. Ale wiem, że muszę dotrzeć na miejsce, sprawdzam odległość na telefonie: sześćdziesiąt osiem metrów.

– Bez jaj! – mówię na głos. – Dopiero dwa metry?

Zasycha mi w ustach, wypełniam je śniegiem. W takim tempie dotrę do ciebie w sam raz na przyszłoroczne wakacje. Zamykam oczy. Mogę wszystko. Mogę wszystko, tęsknisz za mną, najtrudniejsze będzie pokonanie tego dystansu, w każdej chwili możesz zadzwonić, możesz. Zagłębiam ręce w śniegu, żeby mieć lepszą przyczepność. Podnoszę się na kolanach, jakbym robił oszukańcze pompki, krzywię się z bólu, szczypie mnie, ale daję radę, Beck. Wstaję. Stawiam nogi tak, żeby jak najmniej bolało, idę bokiem, posuwam się jak zombie, jakbym ciągnął za sobą fantomowego brata syjamskiego. Sprawdzam telefon – niebieska kropka znajduje się dokładnie tam, gdzie czerwona.

Jestem

na

miejscu.

Jeszcze trzy kroki, docieram do podjazdu. Wow! To ma być domek letniskowy? Beck, toż to pałac z bajki o złej królowej, mieszkającej nad morzem, która ograbia ludność miasteczka z pieniędzy tylko po to, by szarpnąć się na przesadnie długi podjazd, wijący się wśród krzewów i niczym rzeka uchodzący do garażu na cztery auta, będącego dla reszty świata jak wystawiony wielki środkowy palec. Rezydencja ma dwie kondygnacje, trzy, jeśli policzyć taras na dachu. Teren przed domem wygląda jak nieskazitelnie biały, połyskujący dywan, w budynku pali się światło, a na niebie migocą gwiazdy w nadziei, że uda im się dostać do środka. Gdyby Thomas Kinkade, Malarz Światła, skrzyżował pędzel z Edwardem Hopperem, ich wspólne dzieło wyglądałoby mniej więcej tak, jak widok, który mam przed oczami.

I ta cisza! Sądziłem, że będę słyszał morze, ale ocean zasnął i słychać tylko topnienie śniegu i drżenie gałązek. Czy to normalne, że robię tyle hałasu? Mam świszczący oddech. Boję się, żebyś mnie nie usłyszała. Instynktownie cofam się o krok od tego „domku”. Słyszę, jak kropla mojej krwi z pluskiem upada na świeży, delikatny śnieg. Nie wolno mi zostawić

żadnych śladów; Peach pomyśli, że wrócił stalker, i zadzwoni po Gwardię Narodową. Nie chcę cię wystraszyć, ruszam na wschód na rekonesans. Mamy szczęście, Beck. Sąsiedzi nie podzielają zamiłowania Salingerów do kształtowania krajobrazu, ich działka jest zarośnięta drzewami i krzewami, niemal dzika, nie ma dużej, gładkiej, przykrytej śniegiem powierzchni, na której wyraźnie byłoby widać moje ślady. Panuje cisza, jakiej większość ludzi nigdy nie zazna.

Nagle rozdziera ją krzyk.

– Beck! – to wrzeszczy Peach.

Chowam się. Słyszę, że odpowiadasz na wezwanie, biegniesz do zachodniego skrzydła „domku”. Oto moja szansa. Podchodzę do wschodniej ściany budynku i pozwalam sobie zajrzeć do dużego pokoju. (Bogacze nazywają go salonem). Rzeczywiście duży, ogromny. Przez środek, niczym tłusty, niegroźny wąż, wije się sofa w morskim kolorze. Ława to dwie przerobione pułapki na homary, zespawane i zwieńczone szklaną taflą. Rozświetlają ją płomienie trzaskające w kominku.

Kiedy słyszę twój głos, przynajmniej wiem, że nie umarłem. Z komina leci dym. Nic dziwnego, że Taylor Swift kupiła tu dom. Słyszę Eltona Johna – wygląda na to, że Peach rzeczywiście ma urlop, zastąpiła bowiem swoją sztandarową, posępną, lekko samobójczą balladę nieco żywszym i radośniejszym kawałkiem *Goodbye Yellow Brick Road*. Aha, i czuję marihuanę. Chowam głowę, kiedy wpadasz do pokoju.

Pobyt nad morzem ci służy. Boże, ale za tobą tęsknię! Stoisz przed kominkiem na rozstawionych nogach, jakbyś szykowała się do rewizji osobistej, jesteś żywa i jasna jak ogień, masz na sobie czarne legginsy i szary sweter, ten, który włożyłaś do pracy tego dnia, kiedy uprawialiśmy seks. Kiedy pochylasz się, żeby ogrzać sobie dłonie, nachodzi mnie niepohamowana ochota, by wdrapać się przez okno i wejść w ciebie.

Ale w drzwiach staje Peach i niszczy atmosferę. Podaje ci kieliszek wina – typowe – upijasz łyk, Peach wraca do kuchni. Nie zdziwiłbym się, gdyby wrzuciła ci tabletkę gwałtu.

Tęsknisz za mną. A ja tęsknię za tobą. Boli mnie, gdy patrzę, jak stoisz przy kominku i zbliżasz dłonie do ognia, tak jak ja zbliżyłem swoją do

świecy. Chociaż nie, ja zrobiłem to inaczej. Wyobrażam sobie, jak popycham cię w tę czerwoną otchłań i wskakuję za tobą, z tobą, abyśmy spłonęli razem, na zawsze, drzewo życia, światła, seksu.

No, ale, oczywiście, znowu przychodzi Peach i mówi, że kolacja będzie gotowa za godzinę. Twoja gospodyni chce zagrać w remika – ile ona ma, osiemdziesiąt pięć lat? – spełniasz jej prośbę i siadacie razem na wielkiej sofie.

Dłonie mi drętwieją i jednocześnie pulsują bólem, za zimno, żebym tu sterczał; nie jestem zwierzęciem, poza tym jaki w ogóle mam plan? Przyjechałem tu z marzeniami, a nie z konkretnym planem działania. Marzenie to: żebyś przysłała mi esemesa. Odczekam trzy godziny – udając, że jestem w Nowym Jorku – a następnie zajadę przed dom Peach. Wybiegniesz do mnie, zanim zdążę zgasić silnik. Podskoczysz – radość! – zaproponujesz mi obfitą kolację – stek i ziemniaki – a potem położymy się w jednej z nieodremontowanych sypialni, zabierzemy się do dzieła i będziemy to robili przez całą noc.

Nie mam ani planu A, ani planu B, nie przemyślałem tego. Jesteś dobrą przyjaciółką, życzliwą i oddaną. Jasne, że musisz spędzić nieco czasu z Peach. Wyglądam jak półtora nieszczęścia, wszystko mnie boli, krwawię. Mój samochód został na drzewie, a ja nie mam dość siły, by wrócić do miasta i włamać się do jakiegoś pensjonatu. Kucam, wracam na podwórze sąsiadów.

Drzwi wejściowe są zamknięte (też mi niespodzianka), od bielutkiego śniegu odbija się blask księżyca (Bogu dzięki), idę na tył domu, nie robiąc przy tym zamieszania i nie przewracając się. Znajduję hangar dla łodzi – też mi niespodzianka – do którego prowadzą niezamknięte drzwi – Bogu dzięki. Zakradam się do środka i owijam plandeką. W cieple hangaru przypominają o sobie moje rany, są jak niewidzialny, kąsający pies. Boli. Tęsknisz za mną – ta myśl pomaga mi wznieść się ponad ból. Sadowię się w głębi, w kącie po lewej stronie, tam gdzie wiatr mniej szczypie.

Gliniarz świeci mi latarką w twarz. Widzę jego broń. Nie potrzebuję lustra, by wiedzieć, że wyglądam i cuchnę jak zombie. Gliniarz posługuje się

dudniącym barytonem.

– Proszę podać swoje nazwisko.

Odpowiadam mu kaszlem z krwią. Policjant chowa pistolet do kabury. Mamy postęp. Siadam. Kolejny krok. Gliniarz jest tak amerykański, że bardziej już nie można: ma ciemną skórę i pracuje w białym mieście przykrytym białym śniegiem. Trzyma w ręku moją czapkę Figawi i ogląda ją, jakby mógł cokolwiek wyczytać z logo Mount Gay Rum. Widocznie spadła mi z głowy, kiedy spałem. Uśmiecha się.

– Ścigał się pan w regatach, panie Hewitt?

– Parę razy – odpowiadam i już wiem, dlaczego w swoich opowieściach Stephen King wciąż wraca do Nowej Anglii. Krwawię. Na drodze leży martwy jeleń. Kimam w czyimś hangarze. Mój samochód rozbił się w lesie. A ten skurwiel chce gadać o żeglarstwie.

Podaje mi czapkę.

– Czy jest pan znajomym państwa Salinger? Zauważyłem ślady na śniegu. Zgubił się pan?

Chyba umrę, jeśli powtórzy to nazwisko. Kręcę głową.

– Nie. Pogubiłem się.

– W takim razie dokąd chciał pan pójść?

Denerwują mnie jego pytania, a stres nasila ból. Wszystko idzie nie tak, jak powinno, coś kłuje mnie w żebrach. Krzywię się. Gliniarz jest zaniepokojony (tak), podaje mi rękę (dzięki ci, policjo z Rhode Island). Przyjmuję pomoc.

– Panie władzo, powiem szczerze. Nawet nie wiem, gdzie jestem. GPS mi nawalił. Zgubiłem się. Czuję się jak wrak…

– Zatem to do pana należy rozbity buick w lesie.

– No tak – mówię. Kurwa mać.

– Panie Hewitt, czy pan dziś pił?

Już mam zapytać, dlaczego zwraca się do mnie per „panie Hewitt”, ale naraz przypominam sobie nazwisko wyszyte po wewnętrznej stronie czapki: Spencer Hewitt. Ulga.

– Nie, panie władzo.

– Palił pan?

– Nie – mówię. – Ale może lepiej zapytać tego jelenia, który wyskoczył nie wiadomo skąd, czy czasem czegoś nie brał.

Uśmiecha się, ja się krzywię. Łączy się z posterunkiem, pyta, jak prędko może dojechać karetka. Muszę się stąd ulotnić. Jesteś blisko, bardzo blisko, kilka metrów stąd. O ile cię znam, nie śpisz, trzesz oczy i uspokajasz tę paranoiczkę Peach. Czy widziała radiowóz? Czy policjant użył koguta? Czy wezwał posiłki? A co, jeśli teraz, w tej chwili, stoisz przed domem i rozmawiasz z glinami? Wymiotuję na brezent.

– Proszę sobie ulżyć – pociesza mnie policjant. – Niedługo przyjedzie karetka.

Karetki robią dużo hałasu. Muszę być silny, dla ciebie, udaje mi się wstać.

– To nie będzie konieczne, panie władzo.

– W porządku – mówi. – Zabiorę pana do szpitala.

Pojadę dokądkolwiek, nawet do szpitala, byle dalej stąd. Kuśtykam do samochodu, wspieram się na ramieniu gliniarza. Drzewa zasłaniają widok na dom Peach, nawet jeśli stoisz w oknie w salonie, nie widzisz mnie. Funkcjonariusz Nico – fajne nazwisko – nie włączył koguta – równiacha – jego radiowóz to auto z napędem hybrydowym – takie coś tylko w LC – odjeżdżamy. Ulga.

Nico to dobry człowiek, życzliwy, zajmuje mnie opowieściami o czasach, kiedy trenował futbol na Uniwersytecie Rhode Island. Uwielbia to miejsce. Pochodzi z Hartford. Ożywia się, opowiadając o świrach, którzy przyjeżdżają tutaj z nadzieją, że zobaczą Taylor Swift.

– Myślałby kto, że umówi się z jakimś stalkerem. Dobrze mówię?

– Dobrze – odpowiadam.

– Proszę spróbować się zdrzemnąć – zachęca. – Mamy spory kawał do przejechania.

Przyznaję, że to miło, kiedy ktoś się o mnie troszczy i chce, żebym był wyspany. Mogę się rozluźnić, drzwi zamknięte, ogrzewanie włączone, kratka solidna. I wkrótce odpływam i śnię o tobie – o tobie ubranej w obszerną suknię z czasów Dickensa.

Do Charlton Memorial Hospital w Fall River w stanie Massachusetts jest tylko trzydzieści kilka kilometrów. Ale te trzydzieści kilka kilometrów to właściwie trzydzieści kilka lat świetlnych, bo w porównaniu z LC, miasteczko jest wyjątkowo brudne, głośne i śmierdzące. Kiedy Nico otwiera drzwi samochodu, uderza mnie ściana dymu papierosowego. Przy wejściu kręci się grupa kilkunastu degeneratów, którzy próbują zdobyć trochę oksykodonu. Kusi mnie, żeby zapytać gliniarza, dlaczego nie zabrał mnie do szpitala dla letników, ale w sumie po co? Przyjechaliśmy tutaj i już. Facetowi przed nami z tylnej kieszeni spodni wystaje zakrwawiony nóż; gość tłumaczy pielęgniarce, że miał wypadek z drzwiami od samochodu. Dziesięciolatek zorientowałby się, że koleś wciska kit, ale on niezrażony prosi:

– Sue, daj chociaż jeden oksy.

Sue jest nieugięta.

– Napij się kawy, zgłoś się do poradni i spierdalaj.

Nie jestem narkomańskim mętem, Nico ma tu posłuch, idziemy od razu do gabinetu. Okazuje się, że Nico kiedyś pracował w tym mieście, ale uciekł z tej „przeżutej, połkniętej i wyplutej” heroinowej i oksykodonowej dziury. Kręci głową. Chyba zbyt intensywnie wpatruję się w desperatów w poczekali, bo dopiero teraz dostrzegam, że Sue szczerzy do mnie zęby.

– No co, synek? – szydzi. – Widok taki, że można pęc z zachwytu, co nie?

Rechocze i ma tak silny akcent, że robi mi się szkoda słów opuszczających jej usta. Nico tłumi śmiech.

– Chłopak nie jest z tych stron.

Sue poważnieje.

– Co ty nie powiesz, Szerloku. Masz prawko? Wpiszemy cię, ptaszku, do rejestru.

– Nie – kłamię. – Okradziono mnie.

– Na parrrkingu?

– Na Manhattanie – odpowiadam, naśladując głos Whita Stillmana.

Sue przewraca oczami. Ratuje mnie lekarz, który nagle odsuwa kotarę. Sue wychodzi, a doktor wyciąga rękę.

– Doktor Kazikarnaski – mówi. – Proszę się do mnie zwracać „doktorze K”.

Kiwam głową.

– Doskonale – mówię. – Mam na imię Spencer. – Wczuwam się w rolę regatowca.

Doktor K dotyka moich ran i pyta, kto mi to zrobił.

– No cóż – zaczynam. – To był długi i zwariowany dzień. Zacznijmy od tego, że napadnięto mnie na Manhattanie. Wychodziłem z Lincoln Center i wtedy nagle – bach!

Zapomniałem o Nico.

– Kto grał w Lincoln Center? – pyta gliniarz.

Wzruszam ramionami.

– Tylko przechodziliśmy – opowiadam i krzywię się z bólu, aby nie zapomnieli, że jestem pacjentem. – Potem wyjechałem z miasta i trafiłem na śnieżycę. Miałem wypadek. Zderzenie z jeleniem. I tak trafiłem tutaj.

– Jeździ pan dość starym autem – mówi Nico. – Który to rocznik?

Krzywię się i daję znak, że potrzebuję chwili, zanim minie fala bólu. Na szczęście Nico i doktor K zaczynają rozmawiać o starych samochodach i o zbliżającym się ciepłym froncie – „będzie jak babskie lato”, komentuje Sue, która zagląda od czasu do czasu – i zapominają zapytać mnie, co taki zadzierający nosa żeglarz robił w skansenie na kółkach. Doktor K zdejmuje rękawiczki i wrzuca je do kosza. Mówi, że na szczęście żebra nie popękały, a pozostałe obrażenia nie są poważne i szybko się zagoją. Gorzej z twarzą.

– Miał pan kiedyś zakładane szwy? – dopytuje się.

Kręcę głową.

Zjawia się ciężarna pielęgniarka z mocno pomalowanymi oczami, przynosi dwie kawy i dwa ciastka z ciasta francuskiego. Nie wierzę własnemu szczęściu. Padam z głodu.

– Helen, nie musiałaś – mówi policjant i przyjmuje poczęstunek.

– Daj spokój – odpowiada kobieta. – Przecież wiem, że w domu nie ma kto ci gotować. A taki chłop jak ty musi dużo jeść.

Ja też muszę jeść, ale Nico żuje i połyka swoje i moje ciastko. Lekarz sięga po strzykawkę i mówi, żebym zamknął oczy.

– Będzie bolało – uprzedza.

Kiedy Jude Law powiedział te słowa do Natalie Portman w *Bliżej*, nie przesadzał, ale ty jesteś u Peach i nie ma kto potrzymać mnie za rękę.

Zastrzyk w czoło nie tyle boli, ile zabija na miejscu. Nico klepie mnie po plecach.

– Proszę wziąć głęboki oddech, panie Hewitt, wytrzyma pan.

Lekarz znów się we mnie wbija, tym razem w policzek. Mam spokojnie zaczekać, aż środek znieczulający zacznie działać. Pielęgniarka w ciąży guzdra się, widać, że ma słabość do funkcjonariusza Nico.

– Jak ci leci w Snobowie?

– Całkiem nieźle – śmieje się policjant. – A tobie tutaj?

– Nie byłoby tak źle, gdybym miała postawną, przystojną czekoladkę, co by mnie rozgrzewała w nocy, co nie?

Nico się śmieje, a pielęgniarka z brzuchem wychodzi, kręcąc tyłkiem.

– Powiedz tylko słowo, słodziaku – rzuca.

Nagle stwierdzam, że mi się tu podoba, ludzie otwarcie mówią, na co mają ochotę – na oksy, na chuja funkcjonariusza Nico, na kawę – chcę mieć w tym jakiś udział, więc szeptem pytam Nico:

– Nie wie pan, czy znajdzie się jeszcze jedno ciastko?

Gliniarz nie odpowiada, tylko zasuwa kotarę. Zostajemy sami. Wyjmuje notatnik. Niestety, lekarstwo nie wywołało otępienia, więc z pełną świadomością boję się jego notatnika i długopisu. Zaczyna się.

– Wiem, że nie ma pan dokumentów, ale może poda mi pan swój adres?

Rzucam jakąś nazwę na odczepnego, licząc, że to wystarczy, ale nic z tego, to dopiero początek. Nico jest dociekliwy. Widział samochód, widział moją krew na drodze – poszedł tym tropem i tak mnie znalazł; modlę się, żeby śnieg zaczął topnieć. I żebyście z Peach nie wychodziły z domu. Nie chcę, żebyś zobaczyła moją krew.

– Czego pan szukał? – pyta Nico. – Myślał pan, że gospodarze są w domu?

– Przyznam, że nie wiem. Byłem zamroczony.

– Panie Hewitt, ruszył pan prosto w stronę tego domu. Dlaczego nie poszukał pan pomocy na stacji benzynowej? Była niewiele dalej.

– Nie widziałem jej – odpowiadam.

Czemu na mnie naskakuje?

– Czy naprawdę pan sądził, że ktoś będzie w domu?

– Nie wiem. – Nie chcę tego robić. Chcę ciastko.

– Czy zna pan kogoś w LC?

– Nawet nie wiedziałem, że jestem w LC – mówię i chyba pora to kończyć. Wiem, jak urobić gliniarza. Po prostu powiem to samo, co powiedziałem, kiedy złapali mnie na kradzieży słodyczy, gdy byłem jeszcze smarkaczem. Przełykam ślinę, dolna warga zaczyna mi drżeć. Potrafię grać. Jąkam się. – P-panie władzo, nie chcę o tym opowiadać, naprawdę, to nie ma nic wspólnego z… z tym. Moja mama umarła. Tak po prostu. Umarła.

Wyłącza długopis i zamyka notatnik.

– Przykro mi, panie Hewitt, nie wiedziałem.

Łatwo mi płakać, bo tęsknię za tobą, wciąż nie wiem, jak do ciebie dotrzeć, nadal nie zadzwoniłaś, żeby mi powiedzieć, że też za mną tęsknisz. Nico przynosi mi ciastko, przeżuwam je i przełykam. Kiedy wraca lekarz i zakłada mi szwy, nic nie czuję.

Pół godziny później ja i Nico wychodzimy z budynku. Nico chce mnie zawieźć na stację kolejową. Na parkingu ćpuny urządziły sobie piknik między samochodami i dyskutują, w której przychodni można wyrwać trochę oksy. Gość w obszarpanej kurtce z logo North Face próbuje włamać się do mazdy za pomocą łomu. Nico wrzeszczy do niego:

– Ej, Teddy! Z szacunkiem proszę!

Teddy salutuje funkcjonariuszowi Nico, a ja godzę się z losem.

– Czy to na pewno nie kłopot?

– Jasne, że nie – odpowiada gliniarz. – Ale zaraz. Jak pan zapłaci za bilet?

Dobre pytanie, panie policjancie. Klepię się po udzie i mówię:

– Mam tajny schowek z kartą kredytową. Na wszelki wypadek.

– Zmyślnie, panie Hewitt. Przezorny zawsze ubezpieczony.

Kiwam głową.

– Zawsze.

Nico zapewnia mnie, że „Leroy” odholuje mojego buicka i postawi go na nogi.

– I nie policzy zbyt dużo – dodaje.

– Złoty z pana człowiek, panie władzo – mówię i mocno ściskam jego dłoń.

Podrzuca mnie pod samą stację, która jest pełna narkomanów, tak samo jak otoczenie szpitala. Pomaga mi wysiąść z radiowozu. Szwendające się ćpuny pierzchają jak karaluchy. Wchodzę do poczekalni i siadam na ławce. Kiedy policjant odjeżdża, wychodzę. Odpinam wewnętrzną kieszeń w kurtce i wyjmuję portfel. Nie wierzę, że przełknęli bajeczkę o napadzie. Ale w sumie… Spoglądam na snujących się pod dworcem nieszczęśników – jasne, że mi uwierzyli, oto bowiem, z czym mają na co dzień do czynienia. Zatrzymuję taksówkę.

– Proszę do LC.

Kierowca nabzdycza się i uśmiecha drwiąco, widząc moją czapkę Figawi.

– Chyba do Little Compton?

Cała Nowa Anglia: pełno goryczy, mnóstwo wodniactwa, żadnych głupot.

32

Budzę się w innym hangarze, na plaży, kilkaset metrów od domu Peach. Nico, Sue i lekarz nie mylili się co do ciepłego frontu; zupełnie inny świat, w którym śnieżyca wydaje się złudzeniem, aberracją. Klimat rzeczywiście jak latem. Niesamowite, jak dobrze się człowiek czuje przy dziesięciu stopniach na plusie i w słońcu, kiedy jeszcze niedawno leżał zakrwawiony na śniegu przy minus jedenastu, a wściekły wiatr siekł go po twarzy. Co najważniejsze, tym razem nikt mnie nie znalazł. Matka Natura chyba wynagradza mi wypadek. Wychodzę z hangaru, ależ ulga, nie muszę się zmagać z lodowatym wichrem. Kucam w wysokiej trawie na wydmach. Ty i Peach jesteście kropkami na horyzoncie. Rozciągacie się; będziesz biegała, bo chcesz sprawić przyjemność swojej gospodyni. Telefon mi zdechł, to problem, ponieważ jeśli w środku nocy napisałaś do mnie esemesa, w którym błagasz mnie, abym do ciebie przyjechał, nie mam szans go odczytać. Obserwuję, jak ruszacie wzdłuż brzegu, biegnę wydmami, ostrożnie, żeby w razie czego móc się szybko ukryć. Kiedy docieram do domu Peach, czuję, że rozcięta twarz znów zaczyna pulsować bólem (pierdolony Curtis). Tylne wejście jest otwarte, na co liczyłem. Tutaj niczego się nie obawiasz, dla mnie to dobra wiadomość.

W domu Salingerów wszystko lśni nowością, w moim rodzinnym domu wszystko było stare, sfatygowane, brudne – a to przecież tylko domek letniskowy. No proszę! Szuflada pełna ładowarek! Podłączam telefon. Robię sobie kawę w ekspresie Keuriga, parzę się w język. Zostawiłem mokry ślad na podłodze. Czy to nie wredne? Dom wie, że należę do klasy robotniczej, i każe mi popracować mopem.

Używam zmywaka, bo oczywiście nie mają ręczników papierowych. (Na pewno twierdzą, że nie kupując ich, chronią środowisko). Klękam, szoruję i nienawidzę Peach. Jest dominująca i przylepna; odwołanie zaproszenia dla Lynn i Chany było po prostu chamskie. Odłączam telefon – naładowało się dziesięć procent – nadal brak wiadomości od ciebie. Chowam ładowarkę do kieszeni, wchodzę na górę i widzę, że wszystkie sześć sypialni jest w doskonałym stanie, czyste i pachnące, czekają na gości. Peach to czubek, Beck, naprawdę, jesteś zupełnie inna niż ona. Kiedy potrzebujesz przestrzeni, daję ci ją. We wszystkich pomieszczeniach – dzięki supernowoczesnemu systemowi nagłośnienia – sączy się Elton John i wyobrażam sobie, jak Peach przymila się do niego podczas rozprawy w sądzie, gdzie ławnikami są fani artysty, błaga go, chce być jego największą fanką, lecz niewzruszony sir Elton uderza młotkiem, wysyła żandarmów, by skonfiskowali całą muzykę należącą do tej nadętej pizdy, a ją samą skazuje na harówkę w Walmarcie.

Ale muszę przyznać, że wyro jest godne gwiazdy rocka. Spałaś w nim zeszłej nocy, pachnie tobą, podnoszę legginsy, które rzuciłaś na podłogę, i wdycham twój zapach. Dzięki Bogu w cieple twarz przestaje piec i szczypać, owijam sobie twoje legginsy ciasno wokół szyi, robię się sztywny jak konar i spuszczam się – dla ciebie.

W całym domu musi być z siedemdziesiąt tysięcy ręczników z logo Ralpha Laurena, więc myślę, że państwo Salinger nie zauważą braku tego, którym pozwalam sobie doprowadzić się do porządku. Kawa jest jeszcze gorąca. Rozluźniam się, tak tu przyjemnie i wygodnie, należy mi się. Grzebię w twojej torbie, wyjmuję staniki i majtki i układam je obok siebie. Zatracam się w tobie i nagle okazuje się, że nadchodzą kłopoty.

Wróciłyście, jesteście na dole w kuchni, zdejmujecie tenisówki, śmiejecie się albo płaczecie, trudno powiedzieć. Nie mogę zejść na dół i wymknąć się tą samą drogą, którą tu wszedłem, bo podłoga strasznie skrzypi. Słyszę twój głos i nienawidzę starych budynków. Wszystko w nich słychać, człowiek nie może pierdnąć, żeby nie zdradzić swojego położenia. Czterema wielkimi susami uciekam na korytarz – ciągle z kawą – potem na palcach, najciszej, jak potrafię, wchodzę do głównej sypialni, znajdującej

się prawie dokładnie nad kuchnią. Chowam się w szafie z drewna cedrowego, na wszelki wypadek kucam i znowu siedzę w zamknięciu, kiedy ty i Peach spacerujecie na wolności. Jestem pewien, że płaczesz, a nie się śmiejesz, muszę się odlać, nie mam wyjścia, sikam do kubka.

Peach chyba cię obejmuje. Słyszę, jak kopie o ścianę w przedsionku, architektonicznym niezbędniku przesadnie bogatych białych ludzi; wydaje im się, że potrzebują oddzielnego pomieszczenia przeznaczonego wyłącznie do zdejmowania – uwaga! – butów. Kopie, stęka i ględzi:

– Nieważne, co robię, zawsze mam takie upaćkane buty. Normalnie jakby błoto mnie wciągało!

Mówi, że chce cię rozbawić, ale ciebie to nie śmieszy (czy kogokolwiek śmieszy?). Peach każe ci przestać płakać, mimo to szlochasz, a ja po cichu leję do kubka z kawą. Peach kiepsko wychodzi pocieszanie ciebie, wiesz? Ja lepiej bym sobie poradził. Chciałbym wiedzieć, co się stało. Gdybyś wyciągnęła do mnie rękę, tak jak chciałaś, znajdowałabyś się teraz w moich ramionach. Płaczesz tak głośno, że spokojnie mogę wyjść z szafy i podejść do drzwi, nie obawiając się, że zostanę usłyszany.

– Przeczytaj jeszcze raz – prosisz.

Peach wzdycha i czyta:

– „Drodzy przyjaciele Benjiego”.

– Biedna mama Benjiego – jęczysz.

Peach czyta dalej:

– „Z wielkim smutkiem zawiadamiamy, że nasz syn Benji prawdopodobnie nie żyje”.

Przerywasz:

– Nie powinni go szukać?

Peach jest rozdrażniona. Ignoruje cię i czyta dalej:

– „Wrak jego ukochanego keta Courage odnaleziono niedaleko latarni Brant Point. Jak niektórzy z was wiedzą, Benji ostatnio zmagał się z uzależnieniem. Niedawno poinformował znajomych, że przebywa na wyspie Nantucket”.

– Ten pieprzony tweet – mówisz.

– Wiem – odpowiada Peach. – Nienawidzę narkotyków.

Bogu niech będą dzięki za nowoczesną technologię, bo mówiąc szczerze, zaczynam się denerwować. Wchodzę na stronę „Nantucket Inquirer and Mirror” i znajduję wiekową fotografię trzeźwego Benjiego w garniturze oraz zdjęcie zniszczonej żaglówki. Brakuje świadków, którzy widzieliby Benjiego w Nantucket, rodzice poszukiwanego przyznają, że pobrał pieniądze w New Haven i że nie byłby to pierwszy raz, kiedy „nasz syn uległ podszeptom swoich demonów”. Kapitan portu potwierdza, że łódź zaginęła. Ja zaś potwierdzam, że nie mam z tym nic wspólnego. Najwyraźniej zima w Nantucket bywa bezlitosna. Matka Benjiego mówi gazecie: „Przynajmniej umarł, robiąc to, co najbardziej kochał”. Nie wiem, czy ma na myśli żeglowanie, czy branie heroiny. Jeszcze nigdy nie miałem takiego farta.

Peach wydmuchuje nos, ty wciąż płaczesz, Peach bąka, że powinnyście razem wyrwać się na Turks i Caicos, śmiejesz się, ale ona mówi poważnie.

– Robiłam to już wcześniej. Czemu nie? Pakujemy się i już nas nie ma. Albo lepiej: nie zabierzemy żadnych bagaży. Zobaczysz, zakochasz się w tych wyspach.

– Mam zajęcia na uczelni – mówisz.

Brzęknięcie, Peach nalewa ci coś do picia.

– Walić zajęcia – mówi, próbuje być harda. Słyszę zamek błyskawiczny i jęknięcie Peach. – O rany, nie ma to jak uwolnić się z przepoconego goreteksu.

– No – odpowiadasz tak mało entuzjastycznie, że mam ochotę cię przytulić.

Kolejne kopnięcia, trwa makabryczny striptiz, Peach stwierdza:

– Jak słowo daję, cholerny spandeks przykleił mi się do nóg. Muszę go oderwać, bo swędzi tak, że za chwilę zwariuję.

Chyba zaraz się porzygam. Milczysz.

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadza, że się tu rozbieram – mówi Peach. – Jak pomyślę, że miałabym jeszcze iść na górę, żeby zdjąć ciuchy… O rany, ale tu gorąco!

Odpowiadasz, że nie, nie przeszkadza ci. Słyszę, jak spandeks odkleja się od jej kościstego ciała. Peach wychodzi i po chwili wraca, a tobie

podoba się to, co widzisz, bo mówisz:

– Wow.

– Mój tata ma fioła na punkcie szlafroków – mówi. Czuję ulgę, że miałaś na myśli tylko szlafrok. – W Ritzu mają najlepsze. W każdym naszym domu znajdziesz tego na kopy. Chcesz jeden?

Chcesz. Postanawiasz przebrać się w łazience.

– I jak? – pyta Peach, kiedy wracasz.

– Super – mówisz, a nie jesteś jedną z tych, dla których wszystko jest „super”.

Peach oznajmia, że idzie przygotować koktajl z jarmużu. Gdyby mogła, zamknęłaby cię w szklanej szkatule, ale ty się tego nie domyślasz, prawda? Wykorzystuję głośną pracę blendera i niczym ninja przemykam korytarzem, potem w dół schodami w tylnej części domu (tylko dla służby), prowadzącymi do holu pomiędzy kuchnią a salonem. Na szczęście klatkę schodową od reszty pomieszczeń oddzielają drzwi wahadłowe, bo przecież kto, do jasnej ciasnej, chciałby oglądać służbę, zgadza się? Stąd widzę wszystko. Macie na sobie identyczne obszerne szlafroki, klapiesz na kanapę i stawiasz szklaneczkę szkockiej i koktajl z jarmużu na ławie zrobionej z pułapki na homary. Peach szturcha cię w stopę – jej przy twojej jest wielka.

– Nie smuć się.

– Nie powinnam – mówisz. – Przecież traktował mnie jak byle co.

– Och, Beckanieńka, to nie twoja wina. Chłopcy tak już mają. Czują się onieśmieleni przez dziewczyny takie jak my.

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek czuł się onieśmielony – mówisz.

Peach zdejmuje nogi ze stolika i stawia je na podłodze. Rozciera dłonie, rozgrzewa je.

– No, kochana, masaż dobrze ci zrobi.

Śmiejesz się, ale ona mówi poważnie. Klęka na podłodze, zaczyna masować twoje śliczne stópki, a ty mruczysz – podoba ci się – mówisz jej, że zna się na rzeczy. Peach uśmiecha się, posuwa się wyżej, masuje łydki, i nie widzę stąd, czy rozsuwa ci nogi, czy też sama je rozkładasz, wiem tylko, że są rozchylone, dłonie Peach gładzą twoje uda, a ty rozluźniasz się,

odchylasz głowę do tyłu, wypuszczasz powietrze, mmm, ręce zsuwają się z oparcia sofy, Peach dociera coraz wyżej, wędruje w górę po udzie. Jęczysz, naprawdę jęczysz.

Naraz wsuwa się między twoje nogi. Rozchyla poły twojego szlafroka, pod którym jesteś naga, sterczą ci sutki, masuje twoje biodra, mówisz „nie”, ale cię ucisza, milkniesz, całuje twoją lewą pierś, a drugą, twardą i sprężystą, obejmuje dłonią. Protestujesz, ale znów cię ucisza, słuchasz się jej, całuje twoją szyję, leżącą na piersi dłoń przesuwa niżej, nie opierasz się, ale też nie współpracujesz, poddajesz się. To nie ona powinna tam być.

Jesteś wstawiona – cokolwiek ci dała, po bieganiu i w środku dnia na pewno działa mocniej niż w innych okolicznościach – masz chandrę z mojego powodu i jesteś zszokowana wieściami o Benjim, a Peach to ponoć twoja przyjaciółka. Jeszcze przed chwilą byłaś załamana i szlochałaś – co to za przyjaciółka, która w reakcji na twój ból emocjonalny przystawia się do ciebie i ssie ci uszko? Nie dotykasz jej, ale twoje ciało jest dla niej otwarte, tyle że moim zdaniem ciebie wcale tam nie ma, schowałaś się głęboko w swojej głowie, uciekłaś. Wreszcie wracasz, wzdrygasz się, zaciskasz nogi, a Peach się odsuwa. Wstajesz i poprawiasz szlafrok.

– Przepraszam.

– Zapomnij – mówi Peach i pije koktajl z jarmużu prosto z dzbanka. – Idę pod prysznic.

– Peach, zaczekaj, musimy porozmawiać.

– Proszę cię, Beck – biadoli Peach. – Nie pomyślałaś, że właśnie dlatego nie masz szczęścia do facetów? Po prostu, nie wiem, wyluzuj. Nie musimy rozkładać na czynniki pierwsze wszystkiego, co robimy.

Odchodzi, niosąc swój koktajl. Widzę, że czujesz się winna, a to nie w porządku. Wołasz ją, w odpowiedzi tylko podkręca głośniej Eltona Johna. Trzaśnięcie drzwiami. Płaczesz. Jak ona śmie obarczać cię odpowiedzialnością? Idziesz do kuchni – na szczęście omijasz wejście dla służby – i po chwili wracasz z telefonem. Cały drżę. To jest ta chwila. No już, Beck, zadzwoń do mnie. Zadzwoń. Wybierasz numer, ale mój telefon nie wibruje.

– Cześć, Chana. Wiem, że jesteś na mnie zła, ale potrzebuję twojej pomocy. Benji nie żyje, Peach zamknęła się w pokoju i płacze, a mnie się wydaje, że w ogóle nie powinnam była tu przyjeżdżać, i już nie wiem, co robić. Zadzwoń, bardzo cię proszę.

Idziesz na piętro, pukasz, potem walisz do drzwi, błagasz Peach, żeby wyszła, i przepraszasz, powtarzasz, jak bardzo jest ci przykro. Chrypisz. Peach cię ignoruje, to wstrętne. Złapała cię w pułapkę, i to tak, że nawet się nie zorientowałaś. Otwieram drzwi i wychodzę.

33

Wstyd, że plaża marnuje się na ludzi pokroju Peach. Wszystkie nadbrzeżne wille stoją puste, mimo że, nietypowo jak na tę porę roku, jest przyjemnie ciepło. (Odpukać w niemalowane). Plaża jest nieskazitelnie czysta, a jednak żaden z właścicieli domków letniskowych nie ruszy dupy do LC, żeby złożyć uszanowanie aurze i przyrodzie. Idioci. Za to ja w wdzięcznością zbieram to, co morze wyrzuci na brzeg.

Wczoraj poszedłem po waszych śladach aż na molo. Świetne miejsce, by się ukryć, by się przyczaić. Mnóstwo porozrzucanych głazów – wchodzenie na skały zabronione – i wietrzejący drewniany pomost, który kończy się w piasku. Wykopałem sobie lisią norę pod pomostem, cieplej tam niż w obu hangarach, w których było mi dane spać. Nie ma porównania z ziąbem nocy po wypadku.

Wschodzi słońce i już niedługo, już wkrótce przyjdzie Peach. Sama.

Candace bardzo by się tu podobało. Kiedy po raz ostatni widziałem wschód słońca na plaży, byłem tam z nią. Nie czas myśleć o Candace, ale trudno uwolnić się od wspomnień. Oglądaliśmy wschód na Brighton Beach, rozjaśniało się, a Candace używała coraz bardziej stanowczych argumentów, by ze mną zerwać. Zaproponowałem jej spacer nad wodą. Zgodziła się. Pod tym względem była okrutna; inna dziewczyna odmówiłaby, zostawiłaby mnie, żebym w samotności się wypłakał, ale nie Candace – ona pragnęła zostać świadkiem mojej rozpaczy.

– Naprawdę odchodzę – powiedziała.

No to idź, suko. Idź.

Nie moja wina, że Candace poszła za mną nad samą wodę, i nie moja wina, że przytrzymałem ją pod wodą, dopóki nie wyzionęła ducha. Pragnęła

przejść na drugą stronę, inaczej by ze mną nie poszła. Wiedziała, że swoim odejściem zadaje mi śmiertelny cios, a ja nie jestem człowiekiem, który poddaje się bez walki.

Nie mam pretensji do Peach o to, że jest żałosna, tak jak nie potępiałem Candace za chęć ucieczki od rodziny. Okropne uczucie, kiedy to, czego człowiekowi brakuje, wzbudza w nim tak silny gniew, że to, co posiada, ma za nic. Peach nie okazuje wdzięczności za dom letniskowy w miejscowości, w której największe niebezpieczeństwo stanowi cholerna Taylor Swift. Pod tym względem kojarzy mi się z Candace, ona też nie była wdzięczna – za swój głos, za talent.

Mam jeszcze trochę czasu, więc schodzę na brzeg. Lubię, jak woda zamazuje moje ślady. Przypomina mi się wiersz ze szkoły, ten o człowieku idącym plażą, który nie jest sam, ponieważ Jezus niesie go na ramionach. Uśmiecham się pod nosem. Długo sądziłem, że było odwrotnie, że to człowiek niósł Jezusa tak, jak krysznowcy noszą tamburyny, a żydowscy chłopcy Torę podczas bar micwy. Nie myślałem o Jezusie Chrystusie jak o kimś, kto brałby na barana nieudacznika. Tymczasem ja nie zostawiam żadnych śladów – i co teraz, szkolny wierszyku? Przyznaję, jestem trochę gderliwy. Ostatnią rzeczą, jaką jadłem, było ciastko w szpitalu. Mijam pomost, wybudowany przez rodzinę, której najwyraźniej przeszkadzało chodzenie po śnieżnobiałym piasku, wracam do swojej lisiej nory i czekam.

Wreszcie jest, widzę ją na patio, tę jaskrawoczerwoną plamkę. Rozciąga się, rusza truchtem, wbiega na pomost i się zbliża. Z każdą sekundą słyszę ją coraz wyraźniej, jej oddech, dudnienie stóp i rzężącego z telefonu Eltona Johna. Mija mnie, szuu, wyskakuję z lisiej nory jak diabełek z pudełka i biegnę za nią. Nie słyszy mnie. Na tej plaży czuje się niezagrożona. Chwytam ją za kucyk. Zanim zdąży krzyknąć, wciskam jej twarz w piach i siadam na plecach. Walczy, kopie, ale usta ma pełne piasku, Elton śpiewa swoje o księżniczce na krześle elektrycznym, mam już tego dość. Wyjmuję kamień z kieszeni.

Przekrzywia głowę, nie wiedziałem, że ma takie piękne oczy, naraz uświadamiam sobie, że mnie rozpoznała.

– Ty! – spluwa.

Wydaje mi się, że nigdy nie miałem do czynienia z tak silną kobietą, wypowiedziała swoje ostatnie słowo, a jednak nadal walczy, wciąż się szarpie. Jej skóra płonie, czerwień Nantucket, ćwiczenia dały Peach wielką siłę oraz pojemność płuc, która wprawia mnie w osłupienie. Nie mam do niej pretensji, że walczy. Ponieważ wychowały ją bigoteryjne, nienawistne potwory, nigdy nie potrafiła cieszyć się życiem i chyba dlatego mobilizuje całą swoją energię – ależ te nogi drżą! – by maksymalnie przedłużyć ostatnie chwile na tym świecie. Czubkami palców dosięga mojego ramienia; za późno, Peach. Jej gałki oczne wędrują ku górze. W przedwczesnej, tragicznej śmierci jest zawarta pewna nauka. Że zwalanie winy na innych za własne problemy bywa niebezpieczne. Szkoda jej życia. Gdyby wyrzekła się piździelskiej familii, przeprowadziła do któregoś ze słonecznych azylów za granicą, zatrudniła się jako barmanka albo instruktorka pilatesu, zaczęła robić coś swojego, cokolwiek, znalazłaby sobie jakąś miłą dziewczynę i ustatkowała się, wówczas, będąc naprawdę sobą, pokazałaby, że szanuje błogosławieństwa, jakie na nią spadły: zdrowie, inteligencję, sprawność fizyczną. No, ale pierdolić jej starych. Trzeba było nie płodzić dziecka, skoro nie byliście zdolni do bezwarunkowej miłości.

Peach odpływa, muzyka gra już tylko dla mnie. Zagłusza fale. Lubiła tę piosenkę, ponieważ dzięki niej czuła się mniej samotna. Chciała wierzyć, że wszyscy cierpimy. Żal mi jej. Uderzam ją kamieniem w głowę i wreszcie milknie. Przewracam ją na plecy, cały się trzęsę. Umarła, ma spokój, ale co ze mną? Zostałem sam na sam z Eltonem, jego triumfującą piosenką, nadal płynącą z telefonu Peach. Nieżywej Peach, ciężkiej Peach. Elton śpiewa coraz głośniej, czy tylko tak mi się wydaje, bo Peach ucichła? Skupiam się i staram się ją przesunąć, ale słyszę trzy słowa: „zaciągająca się pętla” i się zatrzymuję. Panikuję. A jeśli zechcesz pobiegać? Jeśli funkcjonariusz Nico postanowi zajrzeć na plażę? Muszę się pospieszyć. Wkładam kamienie do kieszeni dresu Peach, na wszelki wypadek, gdyby morze jej nie zabrało, co jest całkiem możliwe. Potrzebuję dużo kamieni, bluza ma mnóstwo kieszeni, Elton komentuje to tekstem o największej głębi rzeki. Czy tyle wystarczy?

Muszę się uspokoić. Zamykam powieki i widzę otwarte oczy Candace w błotnistej toni Brighton Beach. Otwieram powieki, wyjmuję telefon Peach z tego ustrojstwa na ramieniu. Teraz to mój aparat, przerywam Eltonowi, akurat kiedy opisuje powrót do domu. To czas Peach. Dźwigam jej ciało. Jest naubierana, a Candace była prawie naga, miała na sobie jedynie bikini i małą czarną. Było lato, pijane laski czasem się topią, zdarza się, rodzina przyjmuje do wiadomości, że dziewczyna nigdy nie wróci do domu – idę w kierunku wody. Jest zima. Smutne kobiety wchodzą do morza, by w nim umrzeć. Zdarza się.

Dla mnie wchodzenie na skały nie jest zabronione, niosę Peach Salinger na molo. Głazy są gładkie i suche, jestem opanowany. Księżniczka sporo waży, to przez kamienie w kieszeniach, to przez ciężar jej nieszczęścia. Liczę do trzech i wrzucam ją do oceanu. Fale przyjmują ją tak, jak Brighton Beach powitała ciało Candace. Zaczynam pisać mejl od Peach do ciebie. To łatwe zadanie. Wiem, co w nim zawrzeć:

> Beck, muszę wyjechać. Ostatnio, kiedy biegam, czuję się, jakby biegała ze mną Virginia Woolf. Napisała kiedyś: „Pomyślałam o tym, jak przykro jest nie być wpuszczonym do środka i że, być może, jeszcze mniej przyjemnie jest być w środku zamkniętym”[2], i miała rację. Gorzej jest być zamkniętym w środku, czekając na kogoś, kto nie przyjdzie. Dużo gorzej. Domek jest do twojej dyspozycji. Kocham cię, Beckanieńka.
>
> Żegnaj,
> Peach Is

Moje ciało jest śliskie od potu, a mięśnie bolą od nadmiernego wysiłku. Uśmiecham się, bo już rozumiem, o co chodziło Peach. Też chciałbym odkleić od siebie ubranie. Rzeczywiście swędzi.

Zaglądam do ciebie przed wyjazdem. Minęła niecała godzina, od kiedy wysłałem ci wiadomość z konta Peach, znosisz to całkiem dzielnie.

Puszczasz głośno Bowiego, tańczysz w salonie, przymierzając rzeczy przyjaciółki, dzwonisz do Lynn, Chany i matki i się obżerasz. Jesteś szczęśliwa, Beck. Mówisz Lynn to samo, co powiedziałaś Chanie i matce:

– To nie moja wina. Na studiach Peach uciekała co drugi miesiąc. Jak człowiek ma tyle forsy, to może sobie pozwolić. Poza tym tak chyba będzie lepiej. Wydawała się, nie wiem, szczęśliwa, że Benji nie żyje. Tak, wiem, jak okropnie to brzmi.

– Zapomnij o Benjim – mówi Lynn. – To smutne, ale śmierć nie uczyniła go lepszym człowiekiem. Rozmawiałaś z Joem?

Tak trzymaj, Lynn!

– Nie – mówisz. – Ale chcę to zrobić.

Niczego więcej nie potrzebuję. Wyjeżdżam.

Idę pustą ulicą w kierunku miasta. Zachodzę do warsztatu, kumple gliniarza są służalczo uprzejmi. Niewiele się dzieje (nie no, poważnie?), a że pogodowa niespodziewajka natchnęła ich energią, szybko się uwinęli z moją brązową bestią. Naprawa kosztowała czterysta dolarów – dobrze, że przygotowałem się na takie wydatki. Nowa Anglia to dla mnie niezbyt szczęśliwe miejsce, toteż przezornie przed wyjazdem postanowiłem wziąć zaliczkę na wypłatę. Droga jest pusta i doskonale przejezdna, a w telefonie Peach znajduję mnóstwo dobrej muzyki. Może jednak kończy się mój pech w Nowej Anglii?

Jestem już prawie w domu, kiedy przypominam sobie o kubku po kawie. Został w domku letniskowym. Zawiera moje DNA. Hamuję prawie w miejscu. Po chwili jednak dochodzę do wniosku, że niepotrzebnie się martwię. Właściciele domków letniskowych dają klucze służbie, stolarzom, projektantom wnętrz. Nie będę się przejmował kubkiem pełnym wyschniętych szczyn, nie ze świadomością dobra, jakie niedawno uczyniłem.

Poza tym tu chodzi o ciebie, rzut okiem na twoje konto na Twitterze potwierdza, że jesteś już w drodze na Bank Street. Wiem, że potrzebujesz czasu, by się otworzyć jak kwiat, jak jego płatki. Ale w końcu się otworzysz. Peach już nie ciągnie cię w dół. Jesteś wolna. Nigdy nie

wypuściłaby cię z rąk, a teraz, wyswobodzona spod jej ciężaru, staniesz się zupełnie nową osobą. Peach może odpocząć. Ty zaś możesz się odprężyć. Wraz z pierwszym mgnieniem wiosny, mijając księgarnię w dorożce, spłoniesz rumieńcem i poczujesz pragnienie. I wtedy odezwiesz się do mnie, do Joego.

34

Mój telefon jest sprawny. Od paru dni kilka razy w ciągu doby dzwonię z księgarni sam do siebie. No działa. Nie jesteś daleko, nie jesteś poza zasięgiem. Przebywasz w Nowym Jorku, mieszkasz tu, piszesz i tweetujesz:

> Czy istnieje coś bardziej romantycznego niż padający nocą śnieg? #bezruch #miłość

Nie ma logicznego, technologicznego ani romantycznego powodu, dla którego nie zadzwoniłaś do mnie ani nie wysłałaś mi mejla od powrotu z LC. Minęły dwadzieścia trzy minuty i trzynaście dni, od kiedy Peach zeszła z naszej sceny. Szrama na mojej twarzy nadal straszy, ale też powoli się goi, z każdym dniem wyglądam coraz mniej jak potwór. Gojąca się rana przypomina o upływającym cennym czasie. Nie potrafię cię rozgryźć, Beck. Nie mejlujesz z innymi facetami, nie mejlujesz ze znajomymi, nie rozmawiasz z nimi o żadnych romantycznych rzeczach, ale piszesz o mężczyznach. Twoje najnowsze opowiadanie jest o dziewczynie (o tobie, bo przecież zawsze chodzi o ciebie), która idzie do lekarza i tam dowiaduje się, że utknął w niej penis. Dzwoni więc do wszystkich facetów, z którymi kiedykolwiek była, i każdemu z nich zadaje pytanie, czy przypadkiem nie zgubił penisa. Lista jest obrzydliwie długa (na pewno przesadzasz), ale okazuje się, że jednak nikomu nie zawieruszył się fiut. W końcu dziewczyna przyznaje, że pominęła jednego mężczyznę dlatego, że ten ma żonę i dzieci. Nie chce mu oddać kutasa, woli, żeby gość odszedł od żony i sam po niego przyszedł. Blythe przeczytała opowiadanie i podesłała ci recenzję:

> Brakuje prawdziwego zakończenia, nie ma momentu kulminacyjnego, nie ma sensu. Nie zakładam, że ta historia ma

oparcie w twoim prawdziwym życiu, ale jeśli tak, to może lepiej odłóż ją do szuflady i wróć do niej, kiedy nabierzesz odpowiedniego dystansu emocjonalnego.

Ależ oczywiście, że się niepokoję. Od powrotu spotykasz się doktorem Nickym dwa razy w tygodniu. Teraz jeszcze to opowiadanie o pieprzeniu się z żonatym facetem, to wyraźna aluzja. Chyba jasne, że umówiłem się z twoim psychiatrą. Jak inaczej miałbym zdobyć pewność, że typ cię nie wykorzystuje? Zresztą nie tylko ja się martwię.

Chana: Byłaś u psychiatry. WTF? Od kiedy cię na to stać?

Ty: Zmiana priorytetów. Koniec z alkoholem i zakupami, tylko pisanie i rozwój.

Chana: Okej, Beck, niech ci będzie. Tylko pamiętaj, że doktor Nicky to… tylko doktor Nicky.

Dziś jest dobry dzień. Winda zatrzymuje się na jedenastym piętrze, wychodzę na korytarz i widzę, że drzwi do poczekalni są otwarte, tak jak zapowiedział doktor Nicky. Jestem trochę za wcześnie, ale to nie szkodzi, przynajmniej mam czas na powtórzenie informacji o mojej nowej tożsamości.

Nazwisko: Dan Fox (syn Pauli Fox i Dana Browna!)

Zawód: kierownik kawiarni

Problem: ZOK. Czytałem o zaburzeniach obsesyjno-kompulsywnych, wiem o nich w cholerę dużo.

Dobrze się tu czuję, podoba mi się poczekalnia, jasnoniebieskie ściany, jasnoniebieska sofa. Budynek, w którym doktor Nicky ma swój gabinet, stoi w mojej ulubionej okolicy, w Upper West Side. W *Hannah i jej siostry* Elliot też chodził do psychiatry. Kto wie? Może pomiędzy tobą a doktorem Nickym nic tak naprawdę nie ma. Może doktor Nicky jest po prostu dobry w tym, co robi. Niewykluczone. W dwa tygodnie dowiedziałaś się wiele o sobie.

Wiem o tym, ponieważ doktor Nicky zadaje ci pracę domową. Codziennie musisz pisać list do samej siebie. No i piszesz:

Droga Beck! Jeśli chodzi o facetów, potrafisz tylko przyciągać ich do siebie, a następnie odpychać. Przyznaj się do tego. Napraw to. Cmok.

Beck

Droga Beck! Przyciągasz mężczyzn, a kiedy już są twoi, tracisz nimi zainteresowanie. Nie nosisz stanika, po to żeby faceci gapili się na twoje sutki. Zacznij nosić biustonosz. Nicky widzi, co robisz. To dobrze. Bądź widoczna. Cmok.

Beck

Droga Beck! Bliskość cię przeraża. Czego się tak boisz? Rozluźniasz się tylko wtedy, gdy odgrywasz jakąś rolę. Czemu nie możesz być sobą? Nicky zna cię i akceptuje. Inni też to zrobią. Cmok.

Beck

Droga Beck! Wydaje ci się, że nie zaznasz miłości, jeśli wpierw nie wyrośniesz z kompleksu ojca. Ale może nie wyrośniesz z niego, jeśli się nie zakochasz? Nicky ma rację. Miłość cię uskrzydla. Nie odkładaj miłości na potem, wtedy już nie będziesz mogła rozłożyć skrzydeł. Cmok.

Beck

Droga Beck! Nie twoja wina, że urodziłaś się na wyspie. Oczywiście, że siebie również postrzegasz jako wyspę, do tego bezludną. Ale przecież wcale nią nie jesteś. Pozwól się zaludnić. Przyjmij miłość z otwartymi rękami. Cmok.

Beck

Droga Beck! Możesz mieć pretensję do matki, to nic złego. Ona ci zazdrości. Cmok.

Beck

> Droga Beck! Nie bądź swym najgorszym wrogiem, nie uganiaj się za facetami, którzy wcale nie są tobą zainteresowani. Stań się swoją najlepszą przyjaciółką, naucz się kochać mężczyzn, którzy cię pragną. Pamiętaj też, że nie ma ludzi doskonałych. Cmok.
>
> Beck

Te mejle pomogły mi przetrwać posuchę. Teraz przynajmniej wiem, że nie zostawiłaś mnie z powodu seksu. Odeszłaś, bo masz problemy. Zatem może za miesiąc albo dwa, kiedy utkwię po uszy w terapii i zacznę pisać listy do siebie, może wtedy, pewnego późnego niedzielnego ranka, będę leżał z tobą w łóżku. I może zdołam lepiej siebie zrozumieć i może wtedy, w łóżku, poczytamy sobie nawzajem listy do samych siebie.

Otwierają się drzwi gabinetu. Powietrze wypełnia zapach ogórków. Doktor Nicky rozmija się z moimi wyobrażeniami o nim.

– Dan Fox? – pyta.

Bąkam „dzień dobry” i podaję mu rękę. Prowadzi mnie do intensywnie beżowego gabinetu. Siadam na kanapie. Jasna cholera, Beck. Doktor Nicky Angevine jest młody. Sądziłem, że będzie miał po pięćdziesiątce, ale dałbym mu raczej niewiele ponad czterdziestkę. Na ścianach gabinetu wiszą oprawione okładki klasycznych rockowych albumów: Stonesów, Bread, Zeppelinów, Vana Morrisona. Klika coś na komputerze, prosi, żebym dał mu jeszcze chwilę, jasne, odpowiadam, nie ma pośpiechu. Nosi vansy, kurczowo trzyma się młodości. Jest wcieleniem powściągliwości, ma gęste falujące włosy ułożone na żel i świdrujące niebieskie oczy, które wyglądają na pełne łez. Żyd czy Włoch? Trudno powiedzieć. Kończy pracę przy komputerze i siada w skórzanym fotelu. Sięga po szklany dzbanek z wodą. W środku pływają ogórki, stąd zapach.

– Ma pan ochotę się napić? – pyta i znowu: nie tego się spodziewałem.

– Jasne – odpowiadam.

Jasna cholera, Beck, niebo w gębie.

– Na wstępie uprzedzę, że wprawdzie mam notatnik – mówi – ale niewiele w nim zapisuję. Wolę wszystko trzymać tutaj.

Puka się w głowę i szczerzy zęby, mógłby być albo seryjnym zabójcą, albo najżyczliwszym człowiekiem pod słońcem, tylko skrajności, w przypadku tego gościa nie ma niczego pośrodku. Nic zatem dziwnego, że został psychiatrą. Musiał znaleźć sposób, by przestać słuchać własnych wynaturzonych myśli i postępować zgodnie z ich podszeptami. Kiedy się uśmiecha, pokazuje garnitur doskonałych, sztucznie wybielonych zębów, zupełnie niepasujących do jego smutnej, wymizerowanej twarzy.

– No dobrze, Danie Foksie – mówi. – Przekonajmy się, co ci, do kurwy nędzy, dolega, okej?

Muszę przyznać, że łatwo się z nim rozmawia. Spodziewałem się gabinetu statecznego lekarza, a czuję się, jakbym odwiedził młodego wykładowcę w jego pokoju w akademiku. Gdybyśmy byli na studiach, w pewnym momencie wyszedłby zajrzeć na zajęcia, a wtedy ja włamałbym się do jego komputera i znalazł folder z informacjami o tobie. To się jednak nie stanie; jesteśmy dorośli, doktor Nicky ma pracę do wykonania. Pyta, kto mnie pobił, więc opowiadam mu o wypadku, który miałem, kiedy jechałem na narty (kraksa w LC), i o napadzie, którego padłem ofiarą, kiedy zamykałem kawiarnię (Curtis i jego ziomale). Potem przechodzi do bardziej osobistych pytań.

– Danie, czy masz dziewczynę?

– Tak.

Miałbym, gdybym chciał, więc to w sumie prawda. Mówię, że nie przyszedłem z powodu dziewczyny – która jest wspaniała – i że potrzebuję pomocy w związku z moimi ZOK.

– Na czym polega twoje natręctwo? – pyta.

Wiem, czym jest odzwierciedlanie, Beck. Jednen z najlepszych sposobów wkradzenia się w czyjeś łaski to skupienie się na tym, co cię łączy z tą osobą.

– W sumie to zabawne – mówię. – Bo patrzę na te wszystkie albumy… Nie wiem jak i dlaczego, ale zrodziła się we mnie obsesja na punkcie teledysku The Honeydrippers…

– Uwielbiam The Honeydrippers – wtrąca. – Nie mów mi, że chodzi o *Sea of Love*.

– Bingo – odpowiadam i oto mam nowego przyjaciela.

Dobry w tym jestem, tak sądzę. Mówię, że wciąż wracam do tego teledysku (do ciebie), ciągle o nim myślę (o tobie) i chciałbym się w nim znaleźć (w tobie). Dodaję, że z powodu tego klipu (z twojego powodu) straciłem zainteresowanie wszystkim innym i że muszę odzyskać panowanie nad własnym życiem.

– Czy twoja kobieta traci do ciebie cierpliwość?

– Nie – mówię, ponieważ gdybym miał kobietę, byłaby zbyt szczęśliwa, że może ze mną być, żeby tracić cierpliwość. – Nie, doktorze, to ja tracę cierpliwość.

– Doktora możesz sobie odpuścić – kręci głową. – Nie jestem doktorem, tylko zwykłym magistrem.

Mam ochotę zapytać, dlaczego nazywasz go doktorem Nickym, skoro nie jest prawdziwym doktorem, ale nie mogę tego zrobić. Mówi, że najlepiej będzie, jeśli opowie mi kilka słów o sobie.

– Danny, widzisz, co dostajesz, jak to się mówi. Jestem czterdziestopięcioletnim ćpunem łamane przez niedoszłym basistą oraz magistrem psychologii. Uwielbiam rock’n’rolla, a psychoterapeutą zostałem dlatego, że jestem urodzonym wciskaczem kitu. Z czasem zrozumiałem, że lubię pomagać ludziom. Oto cała historia.

– To fajnie, Nicky. – Po raz pierwszy używam jego imienia, brzmi dziwnie w moich ustach, nowy wyraz w moim słowniku. Nicky.

Mówię, że to całkiem nieźle, a potem rozmawiamy o dorastaniu – okazuje się, że wychowywał się w Queens, ja jestem z Bed-Stuy. Terapia polega na rozmawianiu. Może rzeczywiście po prostu chcesz „rozwinąć skrzydła”. Może pewnego dnia sam zostanę psychiatrą. Myślę, że mógłbym to robić. Oprawiłbym okładki moich ulubionych książek, powiesił je na beżowej ścianie i rozmawiał z ludźmi, takimi jak ja, takimi jak ty.

Nicky mówi, że pora kończyć i zastanowić się nad planem dla mnie. Czy to słabe, że cieszę się na pracę domową?

– Danny, przed nami dużo pracy. Na początek dowiesz się, że mieszkasz w domu.

Nigdy nie mieszkałem w domu, zawsze tylko w mieszkaniach. Mimo to kiwam głową.

– W tym domu jest mysz – mówi. – To teledysk. Dobra wiadomość jest taka, że mysz to tylko mysz.

Ty jesteś tą myszą, Beck.

– Jest słabsza od ciebie – ciągnie poważnym tonem. – Jest maleńka, a ty masz ręce i dłonie, jesteś zręczny.

Ty masz tylko cipę. Zgadzam się z nim.

– Potrafisz dosięgnąć do klamki, Danny. Możesz rozstawić pułapki.

Pułapki.

– Wiesz, Danny, życie jest wredne i czasem w twoim domu robi się ciemno.

Pokazuje na głowę, przytakuję. Rzeczywiście, bywa bardzo ciemno.

– Wtedy przychodzą myszy.

Przyszłaś do mojej księgarni i zaczęłaś to wszystko. Nas.

– Czasem robi się tak ciemno, że jedyne, co ci pozostaje, to słuchać, jak ta pieprzona mysz skrobie, wyjada twoje żarcie i sra na dywan. Bywa tak ciemno, że nie widzisz klamki – mówi. – Zapominasz, że klamka w ogóle istnieje. Celem naszym spotkań, Danny, jest włączenie światła.

– Jasne.

– Ustawimy pułapki.

– Jasne – odpowiadam, tym razem głośniej.

– Otworzymy drzwi, złapiemy szczotkę i wygonimy tę mysz na zewnątrz – mówi i wali pięścią w powietrze. – Niewykluczone, że wcale nie będziemy musieli tego robić. Bo być może uda nam się zabić tę mysz.

Nie tym razem.

– Nie zamierzam ściemniać, Danny, że to będzie szybka akcja. Nie będzie. Ale zadanie, które mamy do wykonania, jest do zrobienia.

– Pracowałeś kiedyś na budowie? – pytam.

Większość chłopaków z naszej okolicy pracowała. Byłoby miło, gdybyśmy mieli z Nickym coś wspólnego, gdybyśmy w czymś byli równi sobie.

– Wieki temu, w wakacje – odpowiada. Miałem rację. – A ty?

– Wieki temu, w wakacje – mówię ze zbyt dużym przejęciem. Ofiara losu i papuga ze mnie, ale Nicky się uśmiecha, a ja myślę o ostatnich tygodniach – siedziałem na podłodze, oparty o ścianę, ściskałem w ręku twoje majtki i gapiłem się na dziurę, którą wybiłem z twojego powodu i zasłoniłem również ze względu na ciebie. – No tak, doktorze…

Kręci głową, a ja się śmieję.

– To znaczy: Nicky. Muszę znaleźć klamkę.

– Znajdziesz, Danny. Jeżeli porównanie z domem i myszą do ciebie nie trafia, pomyśl o teledysku jak o pryszczu, którego możesz się pozbyć, wyciskając go. Zniknie na zawsze, nie pozostawiając blizn, o ile będziesz dbał o skórę.

Nie jesteś pryszczem, jesteś myszą.

– Wydawało mi się, że pryszczy nie powinno się wyciskać – mówię.

– Pieprzenie – odpowiada i zerka na zegar. – No dobrze. Pasują ci czwartki?

Później, kiedy idę ulicą, wracając ze spotkania, czuję się odmieniony. Wystarczyło pięćdziesiąt minut z Nickym i mam wrażenie, jakbym dysponował nową parą oczu. Świat wygląda inaczej, jak gdybym założył okulary 3D, wypalił skręta albo przerżnął cię na wylot. Czuję się jednocześnie na haju i trzeźwy, idę do parku i po raz pierwszy od dłuższego czasu oglądam teledysk do *Sea of Love*. Dziewczyna występująca w klipie to całkiem ładna blondynka z fryzurą na Bowiego. Terapia zaczyna działać. Oglądanie tego nietypowego, trochę nierzeczywistego obrazka napełnia mnie radością, od dawna nie czułem się tak szczęśliwy. Najlepsze jest to, że już się nie boję. Nie sypiasz z Nickym. Po prostu doświadczasz przeniesienia. Wiem, jak to wygląda, widziałem w *Księciu przypływów*. Zdarza się. Nicky ma magistra, Nicky jest mężczyzną, Nicky nie naraziłby na szwank relacji między pacjentem a lekarzem.

Idę do metra, schodzę na peron. Lubię życie, Beck. Czuję, że odkryłem w sobie nowe pokłady cierpliwości. Zaczekam, aż do mnie zadzwonisz. Jestem na tyle silny, by dać ci czas. Zapomniałem sprawdzić twoją

skrzynkę, telefon wydaje się cięższy, niż był tego ranka. Piszę do siebie list, choć Nicky wcale mi nie kazał:

> Drogi Joe, masz w domu mysz, którą pocałujesz, gdy będzie gotowa, a wtedy ona zamieni się w dziewczynę twoich marzeń. Bądź cierpliwy. Bądź otwarty. Najlepszego.
>
> Dan Fox

Po raz pierwszy od dwóch tygodni czuję, że jestem ci bliski. Uwielbiam terapię, naprawdę.

35

Na następnym spotkaniu powiedziałem Nicky’emu, że czuję euforię, kiedy wychodzę z jego beżowego gabinetu. Odparł, że moja reakcja jest typowa – jestem normalny! – i że to wynika ze spojrzenia na pewne sprawy ze świeżej perspektywy.

– Mam domek w północnej części stanu – powiedział. – Jeżdżę tam co parę tygodni. Nie po to, żeby pooddychać świeżym powietrzem, lecz aby zyskać nowy punkt widzenia.

Na trzeciej sesji rozmawiamy o teledysku (o tobie), Nicky opowiada mi o strategii kota – tak to nazywa.

– Miałem kiedyś sąsiadkę, która wypożyczała swojego kota. Wiesz dlaczego?

– Bo obecność zwierząt pomaga ludziom z depresją? – odpowiadam.

Błąd.

– Jeśli ktoś w okolicy miał problem z myszami, pani Robinson pożyczyła mu swojego kocura na dzień albo dwa – mówi. – Bo widzisz, Danny, z myszami jest tak, że kiedy poczują zapach kota, biorą nogi za pas.

– Czyli że jeżeli zacznę oglądać inne klipy, przestanę wracać do teledysku będącego źródłem mojej obsesji.

Kiwa głową. Milczymy. Czasem zdarza się, że w gabinecie nagle zapada cisza. Nicky mówi, że to normalne; mózg musi sobie przetrawić to i owo. Trawię myśl o życiu bez ciebie. Spotykałbym się z innymi dziewczynami (niewyobrażalne), chodziłbym na spacery i może poznałbym ludzi, z którymi grałbym w kosza, albo siedziałbym w ciemnym barze i oglądał wiadomości na telewizorze wiszącym za plecami barmana, albo zasypiałbym, nie ściskając w ręku twojego telefonu, i budziłbym się, nie

tuląc go do siebie. Obsesyjnie, do bólu, sprawdzam twoją pocztę; byłoby miło nie mieć skurczów kciuków. Nie wiem, jak by to wyglądało, jak bym się czuł bez ciebie we mnie. Za to wiem, że niełatwo cię rozgryźć. Jestem zmęczony.

Nicky wyczuwa, kiedy proces trawienia zostanie zakończony. Wierci się wtedy w fotelu.

– Poświęć ten tydzień na wypróbowanie strategii, o której rozmawialiśmy – mówi. – Opowiesz mi, jak poszło.

Lubię mieć pracę domową, wychodzę z gabinetu i odkrywam, że świat jest pełen kobiet. Więc może jednak chciałbym się przekonać, jak wygląda życie bez ciebie. Zdążyłem niemal zapomnieć o istnieniu innych dziewczyn. Są wszędzie, Beck, na przykład na peronie metra stoją studentki w obcisłych dżinsach, zaczytane w swoich kindle'ach, i stoją okrągłe starsze dziewczyny, tachające płócienne torby pełne warzyw, i stoją panie domu w średnim wieku, ściskające spłowiałe reklamówki z Macy's i Forever 21, i stoi niezła blond laska, tak drobna, że wyglądałabyś przy niej jak wesoły, zielony olbrzym, ma na sobie kitel i zapewne jest sterylnie czysta. Gapię się na nią jak w pizdę szpak, uśmiecha się do mnie. Do dzieła.

– Czy my się znamy? – odzywa się, mówi z lekkim akcentem, bodaj z Long Island City.

– Nie – odpowiadam.

Nie odsuwa się ode mnie, przeciwnie, podchodzi. Pachnie kanapkami z szynką i alkoholem do nacierania. Podobają mi się jej cycki.

– Nie znamy się? Ani trochę?

– Przykro mi, ale nie.

– W takim razie czemu się na mnie gapisz, do jasnej cholery?

– Nie wiem – mówię i zastanawiam się, co by powiedział Nicky. – Widocznie miło mi się na ciebie patrzy.

Pociąg zatrzymuje się z piskiem. Jej pełne napięcia, świdrujące zielone oczy skupiają się na mnie, przypadkowe kobiety wsiadają do wagonu i przypadkowe kobiety z niego wysiadają, a my wpatrujemy się w siebie jak zwierzęta w rui. Ma cienkie brwi i długie pomalowane paznokcie, zupełnie

nie przypominają twoich, to dobrze. Nie potrafiłbym pokochać tej dziewczyny. Ale mogę na niej potrenować.

– Kto ci skopał tyłek? – zaczyna.

– Miałem wypadek.

– Miałeś wypadek. – Uśmiecha się drwiąco. – A to dobre.

– Napadnięto mnie.

– Czyli co: zaczynasz kłamać, zanim dowiesz się, jak mam na imię?

– Chyba po prostu byłem w nastroju na kłamstwo.

Dobry jestem, Nicky byłby pod wrażeniem,

– A co, jeśli nie umawiam się z krętaczami?

– Twoja strata.

– Kurwa, co tu się dzieje?

– Czy to ważne? – mówię i zaczynam nawijać jak Donkey King. – Gdyby ta rozmowa odbywała się w barze i oboje bylibyśmy schlani, nie byłoby w niej nic dziwnego.

Nazywa się Karen Minty, zagryza błyszczącą wargę i się odszczekuje:

– A gdyby babcia miała jaja, byłaby dziadkiem.

Karen Minty właśnie zdecydowała, że będzie uprawiała ze mną seks. Wiem to. O wiele łatwiej się w niej czyta niż w tobie, Beck, nie mógł mi się trafić lepszy kot, zaczynamy taniec od obowiązkowego drinka w jakimś chujowym barze pełnym studenciaków, którzy wiadrami wlewają w siebie amerykański browar. Ty byłabyś zniesmaczona, jej się tu podoba. Sama wybrała to miejsce, teraz moja kolej, zabieram ją do nory przy Houston Street, którą na pewno jej zaimponuję – miałem rację, Karen rzeczywiście pochodzi z Long Island City – i rzeczywiście jest pod wrażeniem Botanica Bar, pije greyhoundy z grejpfrutem i pieprzy bzdury, jakie nigdy nie wyszłyby z twoich ust, na przykład:

– Wiesz, skąd znam ten koktajl? Pije go Leonardo DiCaprio. Serio.

– Wiesz, dlaczego żarcie w szpitalu jest do dupy? Bo oni chcą, żebyś umarł. To prawda, Joey. Bo tak jest, kurwa, taniej, kiedy jest więcej pustych łóżek, mniej ludzi musi pracować na dwie zmiany.

– Wiesz, że miałam przeczucie, że kogoś dziś poznam? Ja pierdolę, nie powinnam tego mówić, to przez te cholerne greyhoundy, ale poważnie, Joe,

miałam przeczucie. Potem zacząłeś się na mnie gapić. – Beka. – Trzeba to zdjąć.

– Koszulę?

– Bandaż.

Zupełnie o nim zapomniałem. Widzisz, co się dzieje przez ciebie? Zaczęło się, kiedy przypaliłem sobie rękę nad świecą. Przerwałem proces gojenia się rany, bo zacząłem zdrapywać strupa po tym, co mi zrobiłaś. Potem Curtis spuścił mi łomot, akurat kiedy zamierzałem przyszykować się na spotkanie z tobą. Później rozbiłem samochód, oczywiście szukając ciebie. Dostrzegam pewną prawidłowość, Nicky mówi, że całe życie składa się z takich schematów, nagle Karen Minty chwyta mnie za rękę. Karen Minty jest kurewsko silna. Szepcze mi do ucha:

– Oszczędzaj siły, Joey. Przydadzą ci się.

Zrywa bandaż i zanim zdążę się skrzywić z bólu, całuje mnie. Okazuje się, że Karen Minty również usta ma silne. Ręka już nie boli.

Kiedy wsiadamy do pociągu, żadne z nas nie wie, w którą stronę jedziemy. Jakimś cudem cały przedział jest pusty, nie ma ani jednego gangstera, ani jednej kurwy ani nawet przypadkowego menela. Cudem jest też to, że Karen Minty liże mnie po twarzy tam, gdzie dostałem fangę od Curtisa, jej język jest bardziej szorstki niż twój, i zrywam z niej kitel – nosi stringi – ona wpija się we mnie i zabieramy się do rzeczy – w wagonie metra o czwartej nad ranem – a kiedy Karen Minty szczytuje, krzyczy: „Tak, tak, Joe, jestem twoja, spuść się, spuść się we mnie”, wbija mi paznokcie w plecy i przewraca oczami, a kiedy kończy, nadal obejmuje mnie nogami, cała drży. Trzymam ją mocno i wyobrażam sobie, że jest tobą. Wsuwa mi swój spiczasty języczek do samego gardła, wyjmuje go, odchyla głowę i spogląda na mnie.

– Kocham cię – mówi. Co ja zrobiłem? Wybucha śmiechem, zeskakuje ze mnie i zarzuca na ramiona moją kurtkę. – O ja pierniczę, Joey, ale zrobiłeś minę. Powinieneś się przejrzeć w lustrze. Daj spokój, kurwa, jaja sobie robię.

– Wiem – mówię.

Nie będę się przejmował; większości dziewczyn odpierdala po seksie. Tak już są skonstruowane.

Zaczyna się bronić.

– To chyba oczywiste, przecież nawet się nie znamy.

– Wiem – mówię.

Nie odsuwa się ode mnie, przeciwnie, wtula się, a ja patrzę na nasze odbicie w szybie. Pojawiamy się i znikamy w rytmie świateł w tunelu. Dziś w nocy wreszcie się wyśpię, po raz pierwszy od dłuższego czasu, a rano Karen Minty zrobi mi kanapkę z jajkiem i loda. Czuję w kościach – w greyhoundach i w jej ustach było coś takiego… – że ona naprawdę mnie kocha.

Jestem najlepszym pacjentem pod słońcem. Znalazłem bezdomną kotkę.

Następnego dnia mam kaca jak skurwysyn i brzuch pełen kanapek z jajkiem, które jednak były kiepskim pomysłem. Karen Minty chciała dobrze, ale chyba nie zdążyła wytrzeźwieć na tyle, żeby gotować. Powiedziałem, że było miło. Odparła, że zajrzy do księgarni. Nie namawiałem jej. Teraz jeszcze Ethan siedzi mi na dupie – znów przyszedł wcześniej – i dopytuje się, czy czasem nie jestem chory.

– Nie przeziębiłeś się, Joe? A może za mocno uderzyłeś w gaz?

Ethan jest jedynym człowiekiem na świecie, który nazywa gorzałę gazem. Otwieram księgarnię. Gdybym był psychoterapeutą, takim jak Nicky, nie musiałbym się użerać z Ethanem. Posyłam go do beletrystyki, żeby wybrał parę tytułów na półkę „nasi księgarze polecają”, i włączam muzykę. Karma to suka. Pierwszy kawałek, który zaczyna się sączyć z głośników, to *You Are Too Beautiful* ze ścieżki dźwiękowej *Hannah i jej siostry*. Wyłączam go ze złością. Nagle dociera to do mnie. Zdradziłem cię. Zdradziłem nas.

Serce zaczyna mi walić. Brzęczy dzwonek przy drzwiach, nagle każdy dźwięk fizycznie boli, zwłaszcza ten, który słyszę w tej chwili, głos dziewczyny, którą przeleciałem, jebanej Karen Minty. Mam ochotę podciąć sobie żyły.

Ale też cholernie potrzebuję kawy, a Karen Minty trzyma dwa gorące kubki – ze Starbucksa, ciekawe – i wzrusza ramionami.

– Nie wiedziałam, jaką pijecie, więc wzięłam ze wszystkim po trochu.

Stawia na ladzie ciężką papierową torbę. Ethan przybywa w podskokach, Karen Minty z miejsca staje się dla niego niepokojąco miła.

– Ethan, prawda? Joe opowiadał mi o tobie.

Jak bardzo byłem pijany? Ethan nie posiada się z radości, że opowiedziałem o nim jakiejś lasce, i niemal ślini się do Karen Minty, która szybko zaczyna czuć się jak u siebie.

– No, Joe, to jaką pijesz kawę? – pyta, patrząc mi w oczy.

Odpowiadam, że dziękuję, nie mam ochoty, na co przewraca oczami, puszcza do mnie oczko i woła:

– Ethanie!

Ethan potyka się, biegnąc między regałami. Cały Ethan. Informuje ją, że pijam czarną z dwiema kostkami cukru.

– Ja wolę ze śmietanką i ze słodzikiem – dodaje. – Ze stevią, truvíą albo splendą. Ewentualnie może być zwykły cukier w brązowym opakowaniu, byle nie equal!

Słuchając Ethana, Karen nie odrywa ode mnie wzroku, myśli, że będzie mi przynosiła kawę do końca życia. Kocham ciebie, nie ją, tyle że, kurwa mać, ona jest jedną z tych dziewczyn. Posyła mi szeroki uśmiech i puszcza oczko.

– Dzięki, Ethan.

No i jestem ugotowany. Chciałem tylko pogłaskać kociaka, a przyjąłem go pod swój dach.

36

Bycie z Karen jest zdumiewająco skuteczne, przynajmniej w tym sensie, że sprawia, iż coraz bardziej się ode mnie oddalasz. Staram się dostrzegać plusy takiej sytuacji: ćwiczę bycie chłopakiem, a to dla nas dobre. Źle się jednak czuję, kiedy głaszczę ją po pupie, składam jej majtki w pralni i wysyłam jej matce odręczną kartkę z podziękowaniami za niedzielny obiad. Czuję się źle, bo cię zdradzam. Ale wiedz, Beck, że codziennie znajduję czas, by przejrzeć kolekcję twoich zdjęć na telefonie. Jestem wierny. Po siedmiu tygodniach związku z Karen Minty i jedenastu tygodniach terapii Nicky mówi, że robię spore postępy. Już nie jestem przygnębiony. Czytam twoje mejle i widzę, że nadal trwasz przy swoim: zero alkoholu, żadnych zakupów; od kiedy zacząłem chodzić do doktora Nicky'ego, zrozumiałem, dlaczego sesje u niego mobilizują cię do skupiania się na swoich sprawach.

– Wiesz co, Danny, wyglądasz na o wiele szczęśliwszego niż pierwszego dnia.

– Dzięki – mówię. – Tak też się czuję.

– Z Karen ci się układa?

– Świetnie mi się układa – odpowiadam i to, formalnie rzecz biorąc, prawda.

Nicky roześmiał się, kiedy po raz pierwszy o niej wspomniałem. Powiedział, że dziewczyna to dużo skuteczniejszy kot niż kolejny teledysk na YouTube. Ma rację.

– Znam to spojrzenie, Danny. – Uśmiecha się. – Kiedy poznałem swoją żonę, taki sam uśmiech przez dwa lata nie schodził mi z ust.

– Nie no, nie weźmiemy ślubu – wypalam. Nicky posyła mi jedno ze swoich spojrzeń z gatunku „mów do mnie jeszcze”. – Chodzi mi o to – brnę – że co prawda ją lubię, ale to jeszcze nie jest to.

Nicky naciska.

– Z twojej twarzy zniknęła radość. Czyżbyś bał się ożenić?

– Ani trochę.

To prawda. Z tobą ożeniłbym się bez wahania.

– Więc co jest nie tak z Karen?

Nie jest tobą.

– Ona jest… nic.

– „Ona jest nic”? Chciałeś powiedzieć: nikim? – mówi i unosi brew. – Ała.

Wydaję jęk.

– Chodzi mi o to, że nic nie jest nie tak z Karen.

– Tak czy siak – mówi – mam dla ciebie pracę domową. – Poznaję po tym, że nasz czas dobiegł końca. – Otóż sporządź listę dziesięciu rzeczy, które podobają ci się w Karen. Kot jest straszakiem na mysz. I pamiętaj: myślenie o kocie jest lepsze niż myślenie o myszy.

– Okej, doktorku – zgadzam się.

Ten doktorek to taki nasz dowcip, rozumiesz, skoro Nicky nie jest prawdziwym doktorem. W drodze do domu próbuję odrobić pracę domową, ale wciąż myślę o tobie.

Kilka dni później wciąż próbuję. Siedzę na kanapie z Karen, razem oglądamy jej ulubiony serial *Diabli nadali*. Karen rży po usłyszeniu dowcipu, którego ty nie skwitowałabyś nawet bladym uśmiechem, i kocham cię za to, że nie śmiejesz się z byle czego. Karen wyjmuje stringi z tyłka i kocham cię za twoje zdrowe bawełniane figi.

– No kuuurwa, uwielbiam Kevina Jamesa – zawodzi Karen.

– Dobry jest – kłamię.

Kocham cię, bo nie uwielbiasz Kevina Jamesa i nawet gdybyś zaśmiała się z któregoś z jego dowcipów, nadal byś za nim nie przepadała.

Leci reklama Burger Kinga – Karen Minty pasjami pochłania reklamy – i Karen pokazuje telewizorowi środkowy palec.

– Cmoknij mnie, Burger Kingu. Frytki w BK są do dupy, co nie, Joe?

Gram dalej tę komedię i śmieję się, ale kocham ciebie, bo moglibyśmy być małżeństwem od stu lat, a ty i tak nie spytałabyś mnie, co sądzę o frytkach w BK, bo raz, że nie użyłabyś skrótu BK, a dwa, że nawet gdybyś wspomniała o frytkach, to nie chodziłoby wyłącznie o nie, temat miałby drugie dno. Jesteś cebulą, a Karen jest wiśnią maraska, i kocham cię, bo cebule są bardziej skomplikowane niż wiśnie. Mam przesrane.

Zapomniałem, że Karen położyła mi głowę na kolanach. Patrzy na mnie z dołu.

– Kochanie, wszystko w porządku?

– Tak, tak. – Przeczesuję jej włosy palcami, tak jak lubi. – Myślę o mojej pracy domowej.

Karen nie pochwala terapii.

– Joe, jak Boga kocham, to strata pieniędzy.

– Tak, wiem, co o tym myślisz.

– W szpitalu psychiatrami są najwięksi popaprańcy. Każdy to oszust i kłamca. Są bardziej popieprzeni niż ich pacjenci.

– Nicky jest inny – mówię.

Nabzdycza się.

– Chuja tam jest. To oszuści i kłamcy, Joe. Oszuści i kłamcy.

Ty się nigdy nie powtarzasz, ponieważ jesteś twórcza i pomysłowa, w przeciwieństwie do Karen. Szczypie mnie w sutek.

– Joe, spójrz na mnie.

Patrzę na nią.

– Nie pozwalaj sobie, panienko – mówię.

– O czym wy w ogóle rozmawiacie? Przecież ty, Joe, jesteś doskonały.

– Nikt nie jest doskonały – strofuję ją jak nauczyciel. – Mam swoje obsesje.

– O tak – śmieje się Karen Minty. – Masz obsesję na punkcie mojej brochy.

Ty nigdy nie powiedziałabyś czegoś tak prostackiego. Głaszczę Karen Minty, oglądam Kevina Jamesa i tęsknię za tobą tak, że aż mnie mdli. Nagle czuję, że muszę wyjść. Wstaję.

– Co jest? Gdzie się pali? – Obejmuje oparcie kanapy, tak bardzo potrzebuje dotyku.

– Idę do sklepu – mówię i biorę klucze.

– Pójść z tobą? – Nie jest tajemnicza.

– Nie – mówię i biorę kurtkę.

– Chcesz forsę? – Siada.

Jest żałosna.

– Nie – mówię. – Zostań tu. Niedługo wrócę.

Zbiegam po schodach i się zatrzymuję. Karen Minty zostałaby, cokolwiek bym jej zrobił. Wbiła we mnie swoje szpony, Beck. Jej matka robi mi sweter na drutach, a ojciec chce, żebyśmy którejś niedzieli we dwóch wybrali się na łódkę. Siadam na stopniach. Może teraz, kiedy nie ma przy mnie Karen Minty, uda mi się sporządzić listę rzeczy, które mi się w niej podobają.

#1 Karen Minty wychowywała się z trzema braćmi, więc jest wyluzowana.

To prawda. Jest wyluzowana. Gdyby FedEx zjebał dostawę nowej Nory Roberts i gdybym poprosił Karen, żeby skoczyła metrem do magazynu, pojechałaby bez szemrania, przewiozła pudło książek, wtachała je po schodach i przyniosła do księgarni. Gdybym ją poprosił, rozpakowałaby dostawę, ometkowała książki i poukładała na regałach. Nie skarży się. Garnie się do pomocy jak urwis, który koniecznie stara się być grzeczny w Wigilię, bo może święty mikołaj na niego patrzy. Mogę ją nawet poprosić, żeby powycierała kurze z półek.

#2 Karen Minty lubi sprzątać.

– Dorastałam w pierdolonym chlewie – mawia. – Gówno nie będzie błyszczało, dopóki go nie wyczyszczę, a że lubię, jak gówno błyszczy, to sprzątam. I tyle.

#3 Karen Minty lubi gotować.

I jest w tym naprawdę dobra. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze jadałem, i to prawdziwe domowe jedzenie (jej lazania smakuje tak samo świetnie nawet pięć dni po upieczeniu, i to na zimno). Sportową sylwetkę, którą sobie wyrzeźbiłem, biegając za Peach Salinger (która, nawiasem mówiąc, byłaby zgorszona Karen), zdołałem zachować w głównej mierze dzięki temu, że Karen lubi gotować, jeść, sprzątać o r a z się pieprzyć. Zamierza robić ze mną wszystkie te rzeczy po wsze czasy. Znalazłem małe plastikowe pudełko z przepisami jej matki. Na esemes z pytaniem, skąd u mnie to pudełko, odpowiedziała:

W twojej kuchni gotuję w cholerę częściej niż w swojej.

Cokolwiek sobie zażyczę, o dowolnej porze, Karen może mi to przyrządzić, ponieważ jej matka wie wszystko o gotowaniu. Kiedyś przyniosłem Ethanowi kawałek lazanii i ten stwierdził, że matka Karen powinna napisać książkę kucharską. Taka jest dobra!

#4 Karen Minty lubi się gzić.

Lubisz sobie pogadać na Blythe, lubisz kusić – pamiętasz, jak sterczały ci sutki, kiedy się poznaliśmy? – za to Karen Minty lubi jeździć na kutasie. W ogóle lubi kutasy, widać, że w jebaniu ma duże doświadczenie, naprawdę duże, ale mi to nie przeszkadza. Jestem najlepszym kochankiem, jakiego miała – sama tak powiedziała.

#5 Karen Minty wie, że Ethan to dobry człowiek.

Raz spotkaliśmy się we czwórkę z Blythe i Ethanem. Porażka. Blythe skrzywiła się, widząc greyhounda Karen, i powiedziała:

– Karen, Leonardo DiCaprio pije wiele gatunków alkoholu. Naprawdę jesteś aż tak naiwna?

Ała. Następnego dnia Ethan przyszedł do księgarni i od progu zaczął przepraszać:

– Blythe ma tak mało przyjaciółek! Mam nadzieję, że Karen nie poczuła się urażona!

Karen zjawiła się chwilę później i powiedziała Ethanowi, że Blythe jest „superbystra” i „diablo ładna”. Kiedy Ethan poszedł się wysrać, wyznała mi, że tak naprawdę jej zdaniem Blythe to pizda.

– Ethan powinien znaleźć sobie jakąś miłą dziewczynę – powiedziała. – Ale cóż, miłym facetom zawsze trafiają się wredne suki. Nie dociera do nich, jakie są naprawdę. Daj mu trochę czasu. W końcu ją rzuci.

Karen Minty to pielęgniarka pełną gębą.

Kilka dni temu Ethan z poważną miną zapytał mnie, czy zamierzam oświadczyć się Karen.

– Ethan, znamy się dopiero dwa miesiące.

Wzruszył ramionami i po raz pięćdziesiąty opowiedział mi, jak oświadczył się Shelly, swojej byłej, po sześciu tygodniach znajomości.

– No i co ci z tego wyszło? – Nie patyczkuję się z nim.

– Jak się wie, to się wie.

– Ale ja, Ethanie, nie wiem.

– W takim razie zacznij się zastanawiać, czy na pewno nie wiesz – powiedział. Po raz pierwszy zobaczyłem u niego świeży zarost, kolejny cud. – Bo ona z całą pewnością wie.

#6 …

Nie, to bez sensu. Niewykluczone, że Dan Fox kocha Karen Minty, ale ja jej nie kocham. Kocham ciebie. Kocham twoją głębię i twoje listy do samej siebie. Robię źle, że ją zwodzę. Ona ma na mnie zbyt duży wpływ. W przeciwnym razie Ethan i Nicky nie pytaliby mnie o plany matrymonialne po niecałych dwóch miesiącach mojego spotykania się z Karen. Idzie, zbiega po schodach, leci za mną.

– Bu! – krzyczy.

Wzdrygam się, choć przecież słyszałem, że się zbliża.

– Ja nie mogę! Ale cię łatwo przestraszyć. – Śmieje się. Siada obok mnie, opiera głowę na moim ramieniu i wzdycha. – Ja się niczego nie boję. Kiedy byłam mała, bracia tak często mi dokuczali, że, nie wiem, chyba straciłam zdolność odczuwania strachu albo co.

Przyjemna noc. Dzieciaki bawią się na dworze. Tylko patrzeć, jak przyjdzie wiosna. Karen ziewa.

– Co za noc, nie?

– No – mówię.

Wyłącza się minutnik w kuchence. Karen przyciąga mnie do siebie i składa na mnie jeden ze swoich surowych, władczych pocałunków.

– Masz ochotę na enchiladę?

– A czy kiedykolwiek zdarzyło mi się odmówić? – odpowiadam i dostaję kolejnego buziaka.

– No to chodź – mówi. – Najpierw enchilada. Potem obiecałeś pomóc mi z fiszkami.

Chowam do kieszeni klucze do księgarni i wracam z nią na górę do swojego mieszkania.

#7 Karen Minty ma świetny tyłek.

#8 Karen Minty robi świetne enchilady.

#9 Karen Minty miesza fiszki ze szkoły pielęgniarskiej z fiszkami przysług seksualnych; wręczam jej fiszkę o treści ZDEJMIJ MI KOSZULKĘ.

#10 Karen Minty lubi się pieprzyć.

Chyba się powtarzam? To nic, sama prawda. Po seksie wertuję listę w głowie i widzę, że pominąłem pozycję numer sześć.

#6 Karen Minty wie, czego chce. Chce zostać flebolożką.

Nie narzeka na swoją pracę domową, ponieważ wie, czego chce. Chce pobierać ludziom krew; chce zostać flebolożką.

– Jestem zajebistą pielęgniarką i zajebiście sobie radzę z igłami. Kiedy leżysz przykuty do łóżka od ośmiu dni z rozjebanymi żyłami, a twoja kroplówka się zapycha, bo jakiemuś durniowi popieprzyły się leki, najważniejszą osobą staje się dla ciebie pielęgniarka. Nie lekarz, ale właśnie pielęgniarka, która wie, jak i gdzie się wbić. Chcę być taką pielęgniarką, żeby świat o mnie usłyszał.

Widzisz, Beck? Karen nie zamierza tweetować o tym, że jest pielęgniarką – „Chuj w dupę Twitterowi, wolę prawdziwe życie”, powiedziała któregoś dnia. Życie z nią charakteryzuje pewna prostota, która mi służy – wiem to, bo mam zaróżowione policzki, pełny żołądek, kutasa sterczącego jak maszt – zapytaj Karen – a kiedy się budzę, mam energię do pracy i do życia. Kiedy się budzę, myślę też o tobie.

Kończę czytać listę. Doktor Nicky milczy. Niecierpliwię się.

– Co jest, doktorku?

– Ty mi powiedz, Danny.

– Odrobiłem pracę domową. Teraz twoja kolej.

Doktor Nicky nic nie mówi, tylko patrzy na mnie, a ja patrzę na niego. Czy z tobą też tak robi?

– Okej, Danny. Pozwól, że o coś cię spytam. – Pochyla się. – Czy Karen wie, że jej nie kochasz?

Nie mogę kłamać w sprawie Karen. Nie pomoże mi, jeśli nie będę z nim szczery.

– Nie – mówię więc. – Nie wie.

– Kłamstwami drogi do szczęścia nie wybrukujesz – podsumowuje i w takich chwilach kojarzy mi się z rabinem; niewiarygodne, że kiedyś sądziłem, że z nim sypiasz. – Jedną z rzeczy, których nauczyłem się przez niespełna pięćdziesiąt lat na tym świecie, jest to, że jeśli nie zaczniesz od szalonej, szalonej miłości, takiej miłości, o której śpiewa Van Morrison, wtedy nie starczy ci energii na całe życie. Bo miłość, Danny, to maraton, nie sprint.

– A ty? – wybucham. – Kochasz swoją żonę?

– Nie – odpowiada błyskawicznie. – Ale kochałem.

Czuję się przygnębiony. W drodze powrotnej sprawdzam twoją skrzynkę. Odpowiedziałaś twierdząco na zaproszenie na imprezę urodzinową w jakiejś ekskluzywnej kręgielni dla dupków. Wiem, że nie pójdziesz; nigdzie już nie chodzisz. Tylko do doktora Nicky’ego, doktor Nicky to… tylko doktor Nicky. Wiem jednak, że Karen Minty wybierze się

ze mną na kręgle i będzie grzecznie siedziała, dopóki nie powiem, że pora wracać do domu.

No więc siedzimy w hipsterskim barze przy torach i mamy świadomość, że nie pasujemy do tego miejsca. Jesteśmy jedynymi, którzy nie przyszli tu na imprezę urodzinową. Otaczają nas goście jubilatki, rozmawiają o garderobie Leny Dunham – „Kim jest Lena Dunham?”, dopytuje się Karen – rozmawiają o szelkach w stylu vintage – Karen żuje słomkę i wzrusza ramionami – rozmawiają o tradycyjnym Campus Dance na Uniwersytecie Brownów – Karen gra w jakąś gierkę na telefonie. Nie zjawiasz się na imprezie, Karen Minty jest we mnie zakochana, ale ja jej nie kocham, nie mogę już. Tak dawno cię nie widziałem, życie byłoby o wiele prostsze, gdybym potrafił zamienić się w fana *Diabli nadali*. Ale nie potrafię, Beck. Akurat ty powinnaś to zrozumieć. Jest zupełnie jak w tym liście, który dziś do siebie napisałaś:

> Droga Beck, Louisa May Alcott miała rację. Niezwykła dziewczyna nie może mieć zwykłego życia. Nie osądzaj siebie. Kochaj siebie. Cmok.
>
> Beck

37

Przeczytałem wystarczająco dużo książek i obejrzałem dość filmów, by wiedzieć, że Nicky dał ciała, opowiadając o swojej żonie. Dlatego nie jestem zaskoczony, kiedy oznajmia poważnym tonem, że musimy pogadać. Przyjmuje pełną odpowiedzialność za przekroczenie granicy w stosunkach pomiędzy pacjentem a terapeutą. Wiesz, Beck, że jeszcze nigdy nie widziałem mężczyzny z tak zbolałą miną? A to przecież taki dobry człowiek, zupełnie jak kiedyś pan Mooney, zanim zaczęła zżerać go złość – na mnie, na życie. Nie mogę patrzeć, jak się biczuje.

– No już, doktorku – mówię. – Nie przejmuj się tak.

Nie wiem, czy się śmieje, czy płacze, chyba jako jedyny potrafi robić obie te rzeczy naraz. Jest żonglerem, niech go Bóg błogosławi, ja bym nie potrafił przeprosić innego faceta za to, że w rozmowie raz chlapnąłem o moim prywatnym życiu.

– Danny – mówi. – W tej sytuacji jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to odesłać cię do któregoś z moich kolegów. Czy chcesz skierowanie?

Na koszuli ma plamy po pestkach, ubranie jest pomięte, jakby chodził w nim zbyt długo. Wiem, jak go pocieszyć. Mówię, że nie musi mnie odsyłać, bo czuję się lepiej. Uśmiecha się. Dodaję, że dzięki niemu nie mam myszy w domu, bo jest najlepszym psychiatrą pod słońcem.

– Jak ci się układa z Karen?

– Dobrze – odpowiadam. Niech poczuje, że czegoś dokonał. – Mówię poważnie, mysz zdechła.

– Wow. – W jego głosie wyczuwam coś jakby zazdrość. Albo może tylko smutek.

Mówię, że jego teoria myszy i kota jest genialna. Podoba mu się to słowo: genialna. Oczywiście nie dodaję, że najchętniej wytaczałbym się w maśle orzechowym i startym serze, byle przyciągnąć tę mysz z powrotem. Doktor Nicky zasługuje na coś więcej.

– Cieszę się z twojego sukcesu, Danny – mówi. – Bardzo się przyłożyłeś, odrabiałeś zadania domowe, poradziłeś sobie. Droga do szczęścia to prawdziwa przygoda.

Jestem szczęśliwy dzięki tobie. Kiwam głową.

– To twoje słowa.

– Obsesja nie prowadziła do szczęścia – ciągnie. – Wiedziałeś o tym. Co ważniejsze, wykorzystałeś tę wiedzę i postanowiłeś wznieść się ponad obsesję. Jesteś bystry, Danny.

– Nie wiem, jak ci dziękować, doktorku.

– Szkoda, że wszyscy nie są tacy jak ty – mówi i znów ma to smutne, zamglone spojrzenie, kiedy opowiada, jak trudno przegonić mysz.

Siedzę i myślę o tobie, o mojej ukochanej myszce. Nicky ma rację. Możesz się już nigdy nie pojawić – być może odeszłaś na dobre – możliwe, że rozpoczęłaś nowy etap w życiu – kto wie, może nawet z kimś się spotykasz. Najistotniejsze jest jednak to, że o wiele bardziej pragnę potencjalnej ciebie niż realnej Karen Minty.

– Cóż mogę powiedzieć, Danny? Cieszę się, że twój kot okazał się łowny – mówi. – Kiedy przyszedłeś do mnie, zmartwiłem się tobą. Wyglądałeś kiepsko. Jak, nie wiem, więzień.

– Tak się czułem – mówię.

Naprawdę tak się czułem. Czuję się.

– Ale potem sprawiłeś sobie kota.

– Amen – odpowiadam.

Wyobrażam sobie Karen Minty na czworakach, trzymającą w pyszczku twoje zwiędłe ciałko.

– Wiesz co, przed naszym spotkaniem wszedłem na YouTube i przypomniałem sobie ten teledysk The Honeydrippers – mówi i wybałusza oczy. – Rozumiem źródło twojej obsesji. Nieziemski klip, gość w kąpielówkach i ta marynarka na wieszaku – o co chodzi?

Śmiejemy się. Jego smutek jest niczym gorączka, która objawia się w oczach, w ustach. Raptem źle się czuję z kłamstwem. Jego telefon buczy.

– Przepraszam – mówi. – Muszę odebrać.

Dodaje, że musi na chwilę wyjść – „w domu chryja”; skoro już naruszył granicę lekarz–pacjent, równie dobrze może ją ponownie przekroczyć – i obiecuje, że wróci za pięć minut. Kiedy drzwi się za nim zamykają, dopadam do komputera. Już od pierwszej wizyty czekałem na szansę, by się do niego dostać. Jesteś tu, w jednym z folderów, gdzieś w pliku, pokusa odnalezienia mojego *Sea of Love* jest nie do odparcia. Przysiągłbym, że mnie wzywasz, twój głos dobywa się z głębin twardego dysku, zwabiasz mnie do morza, którym jesteś, nic na to nie poradzę. Naprawdę przypominam tego faceta z teledysku. Oto moja szansa. Nigdy wcześniej nie zostałem sam w gabinecie Nicky’ego. Pieprzyć to. Podbiegam do biurka i zaglądam do komputera.

Widok wygaszacza ekranu, którym jest zdjęcie Nicky’ego z żoną i córkami, wzbudza we mnie poczucie winy. Łamię zasady naszego porozumienia, rodzina Nicky’ego wygląda niewinnie, stoi rządkiem przed Nicky’s Pizza w Chestertown. Jest coś żałosnego w dorosłym facecie, który zmusza swoją żonę i dzieci do pozowania w deszczu przed pizzerią tylko dlatego, że ta nazywa się U Nicky’ego. Szkoda mi gościa, ale nieważne, przecież szukam ciebie, ściągam klip The Honeydrippers do paska – dobry człowiek, naprawdę obejrzał ten teledysk – i zaglądam na twardy dysk. No proszę. Doktor Nicky nie sporządza notatek z moich sesji, z twoich sesji, w ogóle z niczyich, ale przelewa swoje myśli na iPhone’a, a potem zgrywa je na komputer. Znajduję folder o nazwie *GBeck*, a w nim całą masę plików. Dopada mnie to uczucie, o którym śpiewał Van Morrison i wspominał Nicky. Wysyłam do siebie całą zawartość twojego folderu, a potem usuwam list z wysłanych w skrzynce Nicky’ego. Opróżniam kosz. Udało się.

Wcale nie. To koniec. Spieprzyłem.

Kiedy Nicky wraca, ma zawiedzioną minę. Wzdycha.

– Danny, strasznie mi przykro. To moja wina. Powiedziałem ci, że oglądałem teledysk, a potem wyszedłem. Zawaliłem, Danny.

Biorę głęboki oddech. A jednak się udało.

– Wcale nie, doktorku – mówię.

Naprawdę nie.

Wygląda mizernie, ma drżący głos.

– To co z tym skierowaniem?

Dostaję od niego papierek, podaję mu rękę i wychodzę. Szkoda mi go, ale cóż, żal nie może przyćmić radości, że zdobyłem twój folder, „*GBeck*”. W windzie robię coś, co nigdy mi się nie zdarza. Mianowicie modlę się, żeby Nicky znalazł kogoś, dzięki komu poczuje to, o czym śpiewał Van Morrison, aby jego śnieżnobiałe zęby nie wydawały się tak absurdalnie nieprzystające do bladej, smutnej twarzy.

Wysiadam z windy i w tej samej chwili umiera Danny Fox. Kiedy wychodzę z budynku, potykam się o pieprzone pęknięcie w chodniku. W głowie mam czarną dziurę: czy jestem nienormalny? Mógłbym nadal jeść jajecznicę Karen i lizać jej cipę. Mógłbym zacząć od nowa i postarać się żyć bez ciebie.

Mógłbym.

Ale po prawdzie koty mnie nudzą. Zamiast przespać się z Karen Minty, wolę posłuchać, co Nicky ma do powiedzenia o tobie. A skoro Van Morrison nie jest szalony, to i ja nie jestem.

Drogi Joe, nie jesteś miłośnikiem kotów. Masz ochotę na myszkę. Pozdrowienia.

Joe

38

Kupuję słuchawki w delikatesach, bo nie chcę czekać, bo natychmiast muszę się dowiedzieć, co Nicky o tobie myśli. Sprzedawca koszmarnie się guzdrze, do cholery, czemu w sklepach musi pracować tylu idiotów? Niemal wyrywam mu słuchawki z ręki, „dzięki, dupku”, mamroczę, wychodzę na ulicę, próbuję przełamać blister, ale oczywiście to nie takie proste, krzyczę ze złości, aż parę osób odsuwa się ode mnie, jakbym był Bruce’em Bannerem, który zrywa z siebie koszulę i staje się Hulkiem. Skręcam w boczną uliczkę i tam wreszcie rozrywam plastik i wydobywam słuchawki, wyrzucam instrukcję razem z opakowaniem i klnę na gniazdo w telefonie. Zbiegam po schodach, przesuwam kartą miejską przez czytnik i włączam pierwsze nagranie, wchodząc do wagonu. Siadam naprzeciwko czarnoskórego ślepca, który uśmiecha się bez powodu.

> Okej, dzień pierwszy, Beck, kobieta. Dwadzieścia do dwudziestu pięciu lat. Nadpobudliwość seksualna. Problem z określeniem granic. Kompleks ojca. Twierdzi, że przyszła po to, aby znaleźć rozwiązanie swoich problemów z mężczyznami, ale chyba nie zauważyła, że noszę obrączkę. Komunikacja ograniczona do uwodzenia. Często zakłada nogę na nogę, ma na sobie cienką bluzkę, nie nosi stanika. Stara się zwrócić na siebie uwagę. Z miejsca pyta o zjawisko przeniesienia. Silne zaburzenie narcystyczne. Uparcie nazywa mnie „doktorem Nickym”, chociaż kilka razy zaznaczyłem, że nie jestem doktorem medycyny. Wielokrotnie pyta, czy jestem żonaty i jak mi się układa pożycie z żoną – robi to, żeby uniknąć rozmowy o własnym życiu. Mówi, że na studiach

sypiała ze swoim terapeutą. Powtarza to wiele razy. Na pytanie, dlaczego nie wybrała kobiety psychiatry, odpowiada, że jedną matkę już ma, nie potrzebuje drugiej. Osobowość borderline? Niewykluczone. Drapieżna, skłonności masochistyczne.

Niewidomy gapi się na mnie – ale przecież jest ślepy, nie widzi mnie, nie mogę mieć do niego pretensji, przeskakuję dalej, może będzie ciekawiej. Musi.

Dziś rano myślałem, że zwariuję. Mack znowu zaspała, Amy ma grypę, a Marcia nie nadaje się na matkę. Byłem o krok od odwołania spotkania, ale pocieszała mnie myśl, że zobaczę się z Beck. Zauważyłem, że zacząłem tęsknić za sesjami z nią. Łapię się na tym, że odliczam godziny i zastanawiam się, w co się ubrać. Cholera, dzięki niej życie staje się znośniejsze. I kto tu doświadcza przeniesienia? Dziś zjawia się w dresach i workowatej koszulce, ma potargane włosy i świecącą się skórę. Nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że specjalnie dla mnie ubrała się niechlujnie, co wskazuje na dużą zażyłość, większą niż strojenie się. Określamy cele: zależy jej na seksualnej pewności siebie. Zabawne, bo przecież cała jest seksem.

Wciskam pauzę. Niechże ten Murzyn przestanie się uśmiechać. Niech świat przestanie się śmiać. Przewijam do przodu. Włączam play.

Twierdzi, że ją otworzyłem i że robi sobie przerwę od mężczyzn, której tak bardzo potrzebowała, i że uświadomiła sobie pewne rzeczy dotyczące ojca i życia intymnego, wszystko to po zaledwie kilku sesjach – bo jestem najlepszym doktorem, jakiego miała. Kolejny raz powtarzam, że nie jestem doktorem. Jak to o mnie świadczy, że podoba mi się, kiedy nazywa mnie doktorem Nickym? Nie odpowiadać na to pytanie. (Westchnięcie). No dobrze, mówię jej, że nie istnieje żadna magiczna formuła. Ignoruje mnie. Mówi, że trącam w niej pewną strunę, która sprawia, że jeszcze nigdy nie czuła się w tak doskonałej harmonii z samą sobą. Mówi, że nie ma

nic lepszego od rozmowy ze mną. Ubiera się coraz bardziej wyzywająco, nosi spódnice i zakolanówki. Chyba wie, że się w niej zadurzam. Mój Boże, czyżby z wzajemnością? Za dużo o niej myślę. Czasem boję się, że ona o tym wie. Powinienem zakończyć terapię, ale nie robię tego, nie potrafię. Jestem zmęczony Marcią, zepsutą pralką, a Beck przynosi mi… wytchnienie.

Pauza. Rozglądam się. Szkoda, że nie mam komu przyłożyć w mordę. Bo przecież nie przyłożę ślepemu. Play.

Wiem, że powinienem wręczyć jej skierowanie do kogoś innego i zamknąć za nią drzwi.

Pauza. Zaraz ogłuchnę ze wściekłości. Nie miał takich oporów, kiedy dawał skierowanie mnie. Pozbył się Danny’ego Foksa. Ale ciebie zostawił. Play.

W jej przypadku kronikowanie zdaje egzamin. Trafia do niej moja sugestia, że aby poradzić sobie z problemami, musi być w związku. Nieustannie powtarza, że istnieje między nami więź. Nie zachęcam jej do takich wyznań, ale ta więź… o niczym innym nie myślę. Jak to możliwe, że tak łatwo jestem skory zaakceptować porażkę w terapii? Z drugiej strony nie przyjmuję porażki do wiadomości, kiedy pewien niezwykle inteligentny pacjent nazywa to, co robię, genialnym. Może rzeczywiście wyleczyłem ją w ciągu zaledwie kilku tygodni? Czyżby moje poczucie własnej wartości spadło tak nisko, że przestałem wierzyć w szybkie wyleczenie pacjenta – tylko dlatego, że kupiłem nie taką pralkę, co trzeba?

On cię kocha, on za tobą goni, a ślepiec uśmiecha się, wstaje i szturcha mnie laską, wszyscy jesteśmy myśliwymi, wszyscy, przeskakuję dalej.

Zwierzam się Diane, że Beck zaczyna mi się śnić, co słysząc, Diane oczywiście radzi, żebym natychmiast przerwał terapię. Tak by postąpił dobry psychiatra, a Diane jest dobrym psychiatrą. Ale ja nie mogę. Beck się otwiera, ufa mi na tyle, że opowiada o zielonej poduszce, której używa do masturbacji.

Do masturbacji! Historia tej poduszki istotnie uzupełnia obraz Beck. Kiedy jej ojciec odszedł, poprosił byłą żonę, żeby przysłała mu zieloną poduszkę pod szyję. Matka Beck, typ bierny, zgodziła się, ale Beck zdążyła ukraść tę poduszkę. W moim śnie jesteśmy w gabinecie, Beck podchodzi i pyta, czy może mi usiąść na kolanach. Odpowiadam, że nie, ale to jej nie zniechęca. Dosiada mnie. Fantazjuję o niej niemal bez ustanku, a zepsuta pralka to dobra wymówka, bo w drzwiach pralni jest zamek, więc mogę się tam zamknąć, myśleć o Beck i walić konia bez ryzyka, że zostanę przyłapany. Kiedy wchodzę w nią w moich urojeniach, nazywa mnie gwiazdą rocka z grubym chujem, a siebie moją groupie. Od lat nie czułem się tak pełen życia. Pozostając w związku z Marcią, mam wrażenie, jakbym zdradzał Beck, choć *de facto* nic między nami nie zaszło. Z każdym dniem coraz bardziej oddalam się od rodziny. Prawda jest okrutna: wolałbym być z Beck.

Gdzieś po drodze wysiadł czarnoskóry ślepiec. Przegapiłem swoją stację. Słuchawki, gówno za parę dolców, zatykają mi uszy, wyrywam je z gniazda telefonu i ciskam przez okno. Ludzie się na mnie patrzą. A niech się idą jebać. Pociąg się zatrzymuje, wysiadam jako pierwszy. Osiągnąłem szczyt wkurwienia. Czuję się jak ostatni frajer, mam ochotę urwać sobie łeb, bo nie ogarniam, jak mogłem uwierzyć w cały ten kit Nicky’ego. Jak mogłem mówić mu te wszystkie rzeczy, o których nigdy nikomu nie mówię. Skręcam za róg i widzę pieprzoną Karen Minty, siedzi na stopniach przed moim budynkiem, trzyma kosz piknikowy. Koty są cwańsze i bardziej oziębłe.

– Niespodzianka! – mówi. – Przygotowałam piknik!

Dasz wiarę, że Karen wciąż istnieje? Mam ochotę pójść do mieszkania i rzucać maszynami do pisania o ściany, aż runą z hukiem. Myszy to przypadkowe ofiary, giną, piszczą, a Karen – moja dziewczyna – akurat musiała przyjść z koszykiem piknikowym. Pierwszy raz widzę coś takiego na żywo, wcześniej tylko w kreskówkach i w książkach, i wcale nie mam

ochoty na piknik. Czuję czosnek, rozmaryn i krem noxzema, który Karen od dziecka wciera w tę swoją napiętą pociągłą twarz. To koniec. Gdyby wiedziała, jaki ze mnie frajer, gdyby wiedziała, że zapłaciłem żonatemu chujkowi za to, żeby spróbował wydymać miłość mojego życia, odeszłaby jej ochota na piknik. Chcę, żeby sobie poszła. To nie ma z nią nic wspólnego. Wszystko to wina Nicky'ego. Mówię, że nie jestem głodny.

Ale ona jest głodna, próbuje się do mnie przytulić, odpycham ją.

– Joe, kurwa, o co chodzi?

Nie jestem Joe, tylko Dan Fox. Podnoszę głos.

– Do cholery, Karen! Nie rozumiesz, kiedy się do ciebie mówi?

I już. Wstaje i cała się trzęsie.

– Pierdol się – rzuca.

– To było inteligentne.

– Pierdol się razem z tą swoją inteligencją – warczy. – Co ty myślisz, że jestem popychadłem, laską, którą będziesz sobie grzmocił, kiedy będziesz miał ochotę? Masz mnie za szmatę?

– Tak – odpowiadam bez mrugnięcia okiem. – Właśnie tym jesteś.

To prawda. Mylę się co do wszystkich. Jesteś kurwą, Beck, Nicky to kutas, a słodka Karen, zbiornik na spermę, gotuje się z wściekłości; czy to raczej smutek? Cała się trzęsie, drży jej dłoń trzymająca koszyk, jestem pieprzonym dupkiem, a ona jest fleboložką, która mnie kocha, mnie, a gdyby Nicky się w tobie nie zadurzył, wszystko to wyglądałoby zupełnie inaczej. Ale on naprawdę cię pragnie, ten kurczak świetnie pachnie, a ja jestem durniem.

– Usiądź – mówi Karen Minty.

Pomaga mi usiąść na stopniach. Jak Nicky mógł zrobić coś takiego Karen? Ona tak ciężko pracuje; koszyk ugina się od jedzenia. Ona ma tak wielkie serce, w zeszłym miesiącu przytargała do mnie odkurzacz, a to przecież kawał drogi. Posprzątała za kanapą. Założyła zdzirowate szorty i koszulkę do pępka i odkryła pełne brudu zakamarki, których istnienia nawet nie podejrzewałem.

– Lepiej, żeby nie zalęgły ci się myszy – powiedziała – bo już więcej nie przyjdę.

Nikomu wcześniej nie udało się przerobić odkurzacza na tuzin róż, na bijące serce. Również za to, tak jak za wszystko, co złe, odpowiada Nicky. To on kazał mi znaleźć sobie kota. Karen trwałaby przy moim boku do końca życia, rodziłaby mi dzieci, kiedy zapragnąłbym je mieć, i pracowałaby po godzinach, żebyśmy raz w roku mogli pojechać na Florydę, i wszystko to mam tutaj, w tym koszyku piknikowym, a rozmaryn bosko pachnie. Sęk w tym, że Karen nigdy nie słyszała o Pauli Fox, nie oglądała *Magnolii* i nie próbowała przelecieć swojego żonatego psychoterapeuty. Nie jest taka jak my, nie jest inna, atrakcyjna. Przestrzega zasad; nie dotyka się do dziury w ścianie, bo to „robota dla zarządcy budynku". Zna granice i nie przekracza ich, chuj w dupę Nicky'emu za to, że zmarnował jej czas i złamał serce.

– Dlaczego jesteś na mnie zły? – Trzęsie się. – Myślałam, że spodoba ci się pomysł pikniku. Jest piękna pogoda.

– Karen.

– O kurwa – mówi i już wie, że z nią zrywam.

Wstaje, wybucha płaczem i ucieka. Nigdy więcej jej nie zobaczę. Biorę koszyk, wchodzę na górę, do wypucowanego mieszkania, i wyjmuję jedzenie. Obżeram się kurczakiem, pieczonymi ziemniakami i kalafiorem w sosie kremowym i piję wino prosto z butelki. Wpieprzam, jakby to była ostatnia wieczerza. Bo jest. Dziś pogrzebałem Dana Foksa, pora zająć się Nickym. Nie ma innego wyjścia, Beck. Przez całą noc słucham jego nagrań. Wykorzystał cię, akurat kiedy poczułaś się bezpieczna. Wszedł ci do głowy, jest myszą w twoim domu, omamił cię tak, byś zaczęła myśleć, że go kochasz. Nie zejdziemy się, jeśli on będzie kontrolował twoje myśli. Doktor Nicky to… tylko doktor Nicky – zachłanny, żonaty knur. Mylił się co do mnie. Nie mam myszy w domu. Mam jebanego prosiaka.

39

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem tak blisko szkoły. Dużo się zmieniło. Motto szkoły publicznej numer 87 przy Siedemdziesiątej Ósmej brzmi: „Jedna rodzina”. Wcześnie rano siadam na stopniach przed Amerykańskim Muzeum Historii Naturalnej, popijam kawę, czytam o Nickym i czekam na rodzinkę. Zaskakująco łatwo trafiłem na tę szkołę, udało się przede wszystkim dzięki Jackie, szwagierce Nicky’ego. Znalazłem ją na Yelpie na stronie Nicky’s Pizza, gdzie Jackie dodała całą masę zdjęć swojej „wielopokoleniowej rodziny na wyżerce w ulubionej pizzerii!”. Z profilu Jackie na Yelpie przeskoczyłem na jej bogaty profil na Facebooku; Jackie lubi pokazywać, gdzie bywa: w domkach kempingowych na północy stanu, w Nicky’s Pizza i, co najważniejsze, w „PS 87, najlepszej szkole w mieście!”. Najlepszy profil na świecie!

Powinienem założyć profil na Yelpie, choćby po to, żeby pochwalić jej entuzjastyczne recenzje knajp. Ma u mnie dług. Dzięki niej wiem wszystko o Nickym.

Ubrałem się w strój do biegania, bo co jak co, ale w okolicy szkoły nie można sobie tak po prostu posiedzieć, zaraz ktoś się przyczepi. Cholera, jestem w kiepskiej formie. Ostatni raz biegałem za Peach. Leniwym truchtem robię kółka od wpół do piątej rano, koncentruję się, słuchając perwersyjnych pamiętników Nicky’ego. Biegnę Columbus Avenue, skręcam w prawo w Siedemdziesiątą Siódmą, mijam pusty plac zabaw, skręcam w prawo w Amsterdam Avenue i znowu w prawo, w Siedemdziesiątą Ósmą, mijam osiemdziesiątkę siódemkę i robię kolejne kółko. Nie liczę, ile mam za sobą okrążeń, kiedy wreszcie uśmiecha się do mnie szczęście: widzę idącego ulicą Nicky’ego. Wygląda inaczej.

Wcześniej było mi go żal, że się garbił i wzrokiem wiercił dziurę w podłodze, teraz wydaje mi się złem wcielonym. Garb jest karą za grzechy. (Za ciebie). Ojciec powinien uważać na córki, ale Nicky tylko zwiesza głowę.

Córki są starsze niż na zdjęciu na komputerze, widocznie zrobiono je dawno. Nicky trzyma za rękę Amy (zrobili ją sobie, żeby uniknąć rozwodu) i woła do Mack, żeby zwolniła. Mack zrobili na zgodę, jest starsza i bardziej obojętna. Biegam w miejscu, mam okulary przeciwsłoneczne i słuchawki i kogo jak kogo, ale joggerów w Upper West Side to bardzo lubią.

Nicky wchodzi z dziećmi do szkoły (co się porobiło z tym miastem, że rodzice wchodzą z dziećmi do środka, do budynku?; za moich czasów nikt ani mnie, ani innych dzieciaków nie trzymał za rączkę), jakaś matka obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem, macham do niej i uśmiecham się, odpowiada tym samym, dochodzi do wniosku, że zna mnie z zebrań w szkole, z siłowni czy skądkolwiek indziej, i po prostu zapomniała, jak się nazywam. No już, Nicky, wychodź, bieganie w miejscu to jednak nie to samo, co bieganie w kółko, mamy coś do zrobienia, ja i Nicky, ale brakuje nam czasu, bo jutro po południu masz umówioną wizytę, do której nie zamierzam dopuścić.

Nicky jest żywym dowodem na to, że bezczynność prowadzi do zguby. Zwłaszcza kogoś napalonego i niewiernego. Wiesz, Beck, że ani trochę mu się nie spieszy? Odprowadził dziewczynki do szkoły, wrócił do domu okrężną drogą, rozmawiając przez telefon – z tobą? – a potem wszedł do budynku i zniknął. Nie widziałem, żeby ktokolwiek wybierał jego numer na domofonie, a więc nie przyjmował pacjentów. Trzy godziny później wyszli oboje, Nicky i jego żona, kłócąc się o pralkę – właśnie dlatego małżeństwo mnie przeraża; ci ludzie od kilku miesięcy skaczą sobie do gardeł z powodu zepsutego urządzenia – idę za nimi. Gdyby Nicky miał jaja, rozwiódłby się z Marcią. Nie jestem na ciebie zły, że się w nim zabujałaś. Nie winię cię. Im częściej słucham nagrań Nicky’ego, tym wyraźniej widzę, kim naprawdę jest ten człowiek: zdolnym, chorym manipulatorem. Nie przejrzałem go

w porę, jakże więc miałbym mieć pretensję do ciebie, że poddałaś się jego urokowi? Kiedy się nad tym zastanowić, to, że oboje zostaliśmy oszukani, nawet ma swój urok. Jesteśmy podobni do siebie. Uśmiecham się.

Marcia, żona Nicky'ego, ani trochę nie przypomina ciebie. Jest ordynarna i głośna. Wykłada psychologię na różnych miejscowych uczelniach i na kursach internetowych. Jest męczennicą o grubych nogach. Niesie matę do jogi. Zabrzmi to okrutnie, ale cóż, niestety joga jej nie pomaga. Na głowie ma daszek z napisem „stop rakowi piersi" – sama wiesz, że ta kobieta wiecznie na coś biadoli – włosy związała w smutny kucyk tuż nad karkiem. To, Beck, nie jest szczęśliwa osoba. Jest szorstka. Kiedy mijają bezdomnych, zakłada ręce na piersi, tak jakby bezdomni w ogóle chcieli mieć z nią do czynienia. Byłoby mi bardzo szkoda Nicky'ego, gdyby nie pewien szczegół: otóż w pewnym momencie musiał się oświadczyć Marcii i widziały gały, co brały.

Smutno mi się robi, kiedy patrzę, jak drepcze u boku żony. A ona gada o imprezach urodzinowych, pediatrach i zajęciach jogi dla dzieci – przecież dzieci mają na co dzień wystarczająco dużo ruchu. Trzeba kupić witaminy, zwolnić opiekunkę, biedny Nicky coraz bardziej się garbi. Zabijając go, skrócę jego cierpienie. Wcale go nie pragniesz, Beck. Życie mu nie pasuje. Cała władza, jaką sprawuje w beżowym pokoju z oprawionymi okładkami płyt na ścianie, znika, kiedy doktorek wychodzi ze swojej bawialni. Chce przejść przez ulicę, ale żona szarpie go za ramię.

– Zaczekaj na zielone – kłapie.

Przechodzą dopiero na zielonym – LOL – i wchodzą do jakiegoś domku. Gugluję adres i wszystko staje się jasne: przyszli na terapię małżeńską. Pięćdziesiąt dwie minuty później wychodzą przygnębieni. W milczeniu wloką się na siłownię, przed wejściem obejmują się, grzecznie, jak rodzina, po czym Marcia znika w swoim azylu jogi i kobiet myślących tak jak ona. Nicky rusza ulicą, idę za nim i widzę, że z każdym krokiem jego przygarbienie znika. Dociera do celu, Westsider Books, i wychodzi po godzinie, wyprostowany, z trzema używanymi płytami pod pachą (ale za to bez książek, oj, niełądnie). Śledzę go dalej. Zagląda do Urban Outfitters, ogląda ubrania, przymierza parę T-shirtów, wyłapuje piosenki lecące w tle

i sprawdza na Shazam, kto i co gra, w końcu wychodzi bez zakupów. Następnie odbiera córki ze szkoły i wraca z nimi do domu. Młodsza jest radosna i gadatliwa, starsza ponura i milcząca. Trzeba uważać, bo człowiekowi może się trafić życie, jakiego wcale nie pragnął. Dobrze, że myśmy się odnaleźli, ty i ja. Stoję przy jego budynku, jakbym czekał na partnera do biegania. Idzie Marcia z przyjaciółką, jeśli chodzi o kolor ciuchów, obie preferują burości.

Marcia wzdycha; widać, że ma w tym wprawę.

– Powiedział, że prędzej się zabije, niż zostawi dzieci.

– I co ty na to?

– Że moim zdaniem dzieci lepiej się rozwijają przy rodzicach, którzy są szczęśliwi, ale niekoniecznie przy takich, którzy są małżeństwem. I że w tych czasach rozwód nie jest już piętnem.

Przyjaciółka kiwa głową ze zrozumieniem. Jej obrączka lśni w słońcu.

– On na to – mówi dalej Marcia – że łatwo mi mówić lekkim tonem o rozwodzie, skoro moi rodzicie tworzyli szczęśliwą parę. Ale wiesz, jak się zachowuje Nicky-cierpiętnik. Jego dzieci nigdy się nie pogodzą z rozwodem.

Przyjaciółka wzdycha. Kobiety wzdychają. Często. Nagle się ożywia.

– Może załóż mu profil na Match.com?

Wybuchają śmiechem. Przyjaciółka mówi, że tylko żartowała.

Nie ma łatwych odpowiedzi. Planują spotkanie obu rodzin – bo może być fajnie! – po czym Marcia wchodzi do domu, którego nie chce, do mężczyzny, którego nie kocha. Teraz już wiem, dlaczego Nicky został psychiatrą, naprawdę. Potrzebował ludzi, z którymi mógłby normalnie rozmawiać, ponieważ poślubił niewłaściwą kobietę. Wiedział, że rezygnuje z muzyki, ale nie sądził, że rezygnuje również z miłości. Znów zaczynam go żałować, jestem naiwny. Wchodzę do metra i widzę dwie narzekające na pracę pielęgniarki. Myślę o mojej pielęgniarce, o Karen, i o tym, jak podle musi się w tej chwili czuć.

Z ulgą wracam na swoje śmieci. Zabicie Nicky’ego nie będzie proste. Ale jest konieczne. Masz obsesję na jego punkcie; on jest myszą w twoim domu. Zastanawiam się, jak go wykończyć, i prawie schodzę na zawał,

kiedy nagle widzę gliniarza przed drzwiami do budynku. Jest wielki, swoim ciałem blokuje wejście, mózg mi się zawiesza – BenjiPeachCandacekubeksików – wiem, że przyszedł po mnie. Jak mówi Ethan: „Jak się wie, to się wie”. Gliniarz trzyma pałkę na wierzchu i widać, że nie zamierza się opierdalać.

– Ty jesteś Joe?

Mam ochotę odwrócić się na pięcie i dać w długą, ale zbieram wszystkie siły i podchodzę do niego.

– Chodź no tu – mówi.

Najsmutniejsze w byciu biednym jest to, że biegające po ulicy dzieciaki z sąsiedztwa nawet nie reagują; dla nich to zwyczajny dzień i normalna sytuacja.

– Mogę w czymś pomóc? – mówię, bo przecież jestem niewinny.

Szkoda, że nie jestem Danem Foksem, ale on też przestał być aniołem.

– No, możesz – mówi glina. Wchodzę po schodkach. Zatrzymuję się przed nim. Ma wielkie pory na skórze, grube ramiona, dużo grubsze od moich, i żylasty kark, i założę się, że jego ojciec był policjantem, i dziadek też. – Możesz mi powiedzieć, za kogo ty się, do kurwy nędzy, uważasz?

– E… – bąkam i chyba zaraz się zeszczę w gacie. – Ale… ale o co chodzi?

– Ale o co chodzi? – przedrzeźnia mnie.

W ułamku sekundy chwyta mnie za kołnierz i przyciąga do siebie. Jego oddech śmierdzi cebulą, surową cebulą. Glina gotuje się ze złości.

– Ty chujku.

Zabije mnie? Zamykam oczy, glina wzmacnia uścisk. Jestem niewinny, dopóki nie udowodnią mi winy. Spluwa na mnie. Potem mnie puszcza.

Nie wycieram twarzy. Cofam się o krok. Wali pałką o beton.

– Dobrze ci radzę, gnoju, szanuj ten mundur. Bo gdybym nie miał go na sobie, skopałbym ci dupę, a twoje kości wrzucił do śmietnika, tego tam, pod ścianą, żeby nikt ich nie znalazł.

– Prze-przepraszam – jąkam się.

Pewnie chodzi mu o moje japiszonowe ciuchy do biegania. Kręci głową.

– Wiesz co, moja siostra… – zaczyna szlochać, głos mu się załamuje. Znam ten akcent. Gość nazywa się Minty. – Karen to święta kobieta, ty kutasie. Piękna na zewnątrz i w środku, a ty… ty mięczaku… Nie miałeś prawa.

Siostra. Łapię oddech, błagam gliniarza o wybaczenie, mówię, że Karen była dla mnie za dobra, ale widzę, że tego nie kupuje, więc się zamykam.

– Nie waż się tak traktować Karen Elise Minty. – Podnosi pałkę, kulę się, nie chcę umierać, nie mogę cię tak zostawić. Uderza pałką o beton tuż obok mojej nogi. – Wstawaj, tchórzliwa cipo.

Łapie mnie za gardło. To też wina Nicky’ego. To on pchnął mnie w ramiona Karen i to on kazał mi się od niej odsunąć. Olbrzym o nazwisku Minty ściska mnie za gardło, potem puszcza i na koniec jeszcze raz wali pałą o beton. Odchodzi szybkim krokiem. Nic dziwnego, że Karen Minty chce zostać flebolożką. Jej brat ma na karku żyły grube jak palec – będzie miała na czym ćwiczyć.

40

Wyeliminowanie Nicky’ego będzie jednak prostsze, niż sądziłem. Bo Nicky to typ, który uszczęśliwia innych na siłę. Otóż raz w tygodniu jeździ pociągiem do Queens, do tej części, która mocno stoi prochami i gangami, i udziela porad ćpunom chcącym wyjść na prostą. Dziś jego przypadek stanie się przestrogą dla wszystkich dupków żołędnych z Upper West Side, którym wydaje się, że czyniąc dobro przez cztery godziny tygodniowo, odpokutują za grzechy. Dziś Nicky – tylko dla ciebie „doktor Nicky” – zostanie napadnięty przez ćpunów.

Pociągam łyk jacka danielsa i otwieram poradnik pod tytułem *Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom*. Kiedy Nicky’ego Angevine’a znajdą martwego w Queens, jego znajomi sprezentują tę książkę Marcii. Śmierć Nicky’ego dla wszystkich będzie wielką tragedią. Jego córki będą dorastały bez ojca (dopóki Marcia nie zacznie się stukać z jednym z wujków; myślę, że to kwestia co najwyżej kilku tygodni), jego zgon będzie prosty i przewrotnie piękny. Żadnych podejrzanych, żadnego zamieszania, żadnego błędu, zwykły bandycki napad, kradzież portfela, gość znalazł się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. Przyjaciele Marcii Angevine przyjdą z ciastkami, winem i dziećmi, otoczą ją wianuszkiem i będą łączyli się z nią w bólu. Ale ja wiem, że ona będzie dziękowała Bogu za to, co zyskała wraz ze śmiercią męża.

Już pora, Beck. Nicky wychodzi z ośrodka resocjalizacji i rozgląda się w obie strony jak grzeczny białas. Zwiesza głowę i rusza chodnikiem. Żona chyba wyprała mu vansy, bo są tak białe, że aż świecą. Nicky jest myszą w twoim domu. Wolałbym, żebyś nic do niego nie czuła, ale oczywiście czujesz, Beck, bo Nicky jest jak ojciec, którego nigdy nie miałaś, i chcesz

rozbić mu rodzinę. To naturalne. Na tym polega krąg przemocy. Nicky miał ci pomóc pokonać pożądanie.

Niestety, się nie spisał. Świnia z niego. To wszystko nie może się dobrze skończyć, nie ma takiej możliwości. Jeśli pozwolę mu żyć, w końcu dostaniesz to, czego, jak sądzisz, chcesz. Nicky posunie cię w beżowym pokoju, będzie płakał i błagał żonę o rozwód, przyjdzie do ciebie – bo ma rację, jesteś seksem – i wiesz co? Gdy tylko zniknie obrączka z jego palca, gdy tylko stanie się wolny, gdy skończy się wybielanie zębów, przestanie cię interesować.

Prowadzi cię drogą do piekła, miał zachować zdrowy dystans, a nie zrobił tego. A ty miałaś do mnie zadzwonić – tęsknisz za mną – i też tego nie zrobiłaś. Dobrze cię znam, Beck. Masz charyzmę, jesteś chora, z jakiegoś powodu przyciągasz słabych, tchórzliwych ludzi, takich jak Peach, jak Benji, jak Nicky. Przyspieszam, ściskam w dłoni nową pałkę policyjną. (Poszedłem do sklepu z demobilem, żeby ochłonąć po tej akcji z funkcjonariuszem Mintym; każdy z nas powinien posiadać broń przeciwko gliniarzom, którzy uważają, że stoją ponad prawem). Zaciskam zęby. Zbliżam się do niego, dam radę, wystarczy jeden pewny cios. Nagle czuję wibrowanie w kieszeni. Nie mam wyjścia, muszę się schować w bocznej uliczce. Jeśli Nicky usłyszy telefon, obejrzy się. Nie mogę wyłączyć aparatu, z trudem oddycham, trzęsą mi się ręce, spoglądam na wyświetlacz.

Ty.

Dzwonisz do mnie.

Wreszcie, w końcu, postanowiłaś pójść za głosem serca.

Twoje nazwisko wygląda pięknie na ekranie mojego telefonu, świeci w ciemności, wyświetla się tuż nad twoim zdjęciem w białym bikini. Wpatruję się w ciebie, taką rozświetloną, i uśmiecham się; ja też lśnię blaskiem. Zaskakujesz mnie, sprawiasz mi przyjemność, tęsknisz za mną. Staram się uspokoić walące serce. Doktor Nicky jest już dwie przecznice dalej. Powoli przykładam telefon do ucha.

– Cześć, Beck – mówię.

– Joe? – Twój głos jest miękki jak twoja skóra. – Słyszysz mnie?

Tracę głos, odkasłuję. Nie jestem sobą, przed chwilą miałem zamiar zabić Nicky’ego pałką policyjną za to, że chciał się z tobą przespać. Kręci mi się w głowie. Kiedy znów się odzywasz, mam wrażenie, że jesteś pijana.

– Joe? Słyszysz mnie?

– Kiepski sygnał – mówię. – Czekam na pociąg.

Nie bawisz się w podchody, od razu wysuwasz żądania.

– Musisz przyjechać. Możesz przyjechać? Teraz, zaraz?

Nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewien, jak tej odpowiedzi:

– Tak – mówię pewnie.

Wciskam czerwoną słuchawkę. Masz niewiarygodne wyczucie czasu. Potrzebuję chwili, żeby ułożyć to sobie w głowie. Zadzwoniłaś. Rzucam pałkę na stos śmieci, boli mnie ręka od trzymania jej. Zadzwoniłaś. Wróciłaś! Już jestem spokojniejszy, ruszam przed siebie, będzie miło ewakuować się z tej okolicy i pojechać do ciebie. Zadzwoniłaś i mimo że chyba sam w to nie wierzę, wychodzi na to, że Nicky, choć głupi, jest jednak dobry w swoim zawodzie. Wyraźnie ci się poprawiło, bo przecież zadzwoniłaś do mnie, a nie do niego. Łapię taksówkę, mam zbyt dobry humor na podróż metrem. Ciekawe, w co jesteś ubrana. Jazda okropnie się dłuży. Zostawiam *Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom* na tylnym siedzeniu taryfy. Już nie potrzebuję tej książki. Mam ciebie.

41

Przy naszej poduszce z Ikei nadal wisi metka. Poduszka leży na podłodze pod stołem. Trzymam cię w ramionach, płaczesz. Jesteś pijana, nie zadaję żadnych pytań. Nie pozwolę, żebyście zepsuły mi nastrój, ty i twoja poduszka. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio dobrze się czułem – teraz czuję się jeszcze lepiej. W twoim mieszkaniu bałagan, jestem skłonny uwierzyć, że przez cały ten czas rzeczywiście rozwijałaś skrzydła. Założyłaś zasłony – to postęp. Zaczyna brakować ci łez. Głaszczę cię po głowie, wpatruję się w poduszkę i wącham cię, wdycham twój zapach, jabłka na blacie gniją. Wciąż się uśmiecham, im głośniej szlochasz, tym szerszy staje się mój uśmiech, w końcu kończą ci się łzy, przestajesz łkać i szepczesz:

– Przepraszam.

– Och, nie szkodzi – mówię. – Przyślę ci rachunek z pralni.

Gdybyś była Karen Minty, wybuchłabyś głośnym śmiechem, ale jesteś sobą, więc tylko się uśmiechasz.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się śmiałam.

– Jakieś dwie sekundy temu.

Wyciągasz ręce nad głowę, obracasz się w lewo, w prawo, przeciągasz się, po czym opuszczasz ręce i patrzysz na mnie.

– Pewnie myślisz, że zwariowałam.

– Ani trochę – mówię.

Naprawdę ani trochę.

– Och, daj spokój, Joe. Poznajemy się, spotykamy przez jakiś czas, a potem nagle znikam.

– Nie zauważyłem, byłem na południu Francji w tajnej misji FBI – żartuję.

Nie śmiejesz się, nie jesteś w nastroju na głupie żarciki. Kocham cię za szczerość i za bycie tu i teraz, i cała ta ciężka praca się opłaciła, bo doprowadziła do tej chwili.

– Właściwie to nawet bym chciała, żebyś pracował w FBI – mówisz.

– Tak? – dziwię się.

Nie podoba mi się, do czego to zmierza.

Przechodzi cię dreszcz.

– Joe, Peach nie żyje. – Sprawiasz wrażenie zdesperowanej.

Nie tak to miało wyglądać. Peach jest na Turks i Caicos, do diabła.

– Chyba żartujesz.

– Znaleźli jej ciało w Rhode Island.

– Nie.

– Tak.

Nie. To niemożliwe. Przecież wsadziłem jej do kieszeni chyba z tonę kamieni. Kiedy niosłem ją na molo, ważyła dobre siedemdziesiąt kilo. Bez sensu. Przecież zrobiłem, co było trzeba. Czy zapiąłem kieszenie? No, kurwa, jasne, że zapiąłem. Już niczego nie produkują porządnie. Suwak był plastikowy, tak mi się teraz wydaje, i pewnie się rozjechał. Ech, pieprzyć go.

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć. – Spośród wielu okropnych rzeczy, które mogłabyś w tej chwili powiedzieć, mówisz akurat to. A może zwabiłaś mnie do swojego mieszkania i za drzwiami stoi prawdziwe FBI?

– W Rhode Island?

– Aha – odpowiadasz. – W Rhode Island.

W Rhode Island rozmawiałem ze zbyt wieloma ludźmi. Postępowałem niedbale i nieostrożnie. Funkcjonariusz Nico, doktor K, ćpuny, gość w warsztacie. A jeśli zgadali się na mój temat? Jeśli wiedzą? Przed oczami staje mi kubek pełen sików. Co ja narobiłem?

– Byłyśmy w domu należącym do jej rodziny – wyjaśniasz. – Sądziłam, że Peach wyjechała. Wysłała mi melodramatyczną wiadomość, ale Peach tak ma. Nie sądziłam, że pisała to… wiesz, że pisała poważnie.

– O Jezu – mówię.

Odwiedzisz mnie w więzieniu, czy będziesz się bała?

– Myślałam, że wyjechała, bo Peach czasem robi takie rzeczy! – Sięgasz po butelkę dietetycznego piwa korzennego i bierzesz łyk; wolałbym, żebyś nie przerywała. – Od kilku miesięcy nie dawała znaku życia, ale wiesz, jak to jest ze starymi znajomymi, że bardzo długo się nie spotykacie, a potem rozmawiacie, jakbyście się widzieli wczoraj. Zaczekaj.

Zaglądasz do telefonu. Nie bardzo wiem, o czym mówisz, bo czułbym się cholernie dziwnie, gdybym nie widział się z panem Mooneyem dłużej niż miesiąc. Jak mogę w takiej chwili myśleć o cholernym panu Mooneyu? Masz na sobie podsłuch? Chcesz ze mnie wyciągnąć przyznanie się do winy? Czy to dlatego kupiłaś sobie zasłony? Zerkam na zegarek. Dziesiąta czterdzieści trzy.

– Przepraszam – mówisz. – To w sprawie zajęć. Na czym skończyłam?

– Zniknęła.

– Nie zniknęła. Popełniła samobójstwo.

– O Jezu.

Chwalmy Pana!

– Właśnie. – Dopijasz piwo. – Jak mogłam nie zauważyć, co się święci?

Idziesz do kuchni, wyjmujesz wódkę z zamrażarki i szklanki ze zlewu – Karen Minty nie zostawia szklanek w zlewie, ale też Karen Minty nie potrafi płakać tak jak ty – i widzę, że chcesz opowiedzieć mi historię, a Karen Minty nie potrafi opowiadać historii.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Od początku.

Siadasz obok mnie, jeszcze długo nie będziemy się całowali, ale mój Boże, jak mi brakowało twojej bliskości, oczekiwania na twoje słowa, twojego głosu.

– No więc pojechałyśmy do Little Compton, to taka nadmorska miejscowość w Rhode Island. Peach była w lekkiej depresji, zresztą ja też. Pamiętasz Benjiego, mojego byłego?

– Chyba tak.

– Nie żyje. W sumie nawet nie jestem zaskoczona, bo Benji zawsze robił szalone rzeczy, ale mimo wszystko… – zawieszasz głos i zagryzasz dolną

wargę. Do twarzy ci z tym. – Umiera Benji, potem umiera Peach. Powinnam się nazywać Panna Śmierć.

Kocham cię za to, że wszystko sprowadzasz do siebie i że nawet nadajesz sobie imię. Jesteś do bólu sobą. Mówię ci to, co chcesz usłyszeć:

– Beck, nie jesteś Panną Śmierć. Po prostu tak się składa, że wśród twoich przyjaciół znajdują się niespokojne dusze.

Przerywasz mi:

– W ciągu kilku miesięcy umarło dwoje moich przyjaciół. Wiesz, co o tym sądzę, Joe? Sądzę, że w ten sposób wszechświat chce mnie ukarać za bycie kłamczuchą. Kłamię, rozpowiadając, że mój tata nie żyje, i co? Umierają moi znajomi. Przecież to oczywiste.

– Mów, co chcesz – odpowiadam, bo wiem, że jesteś pijana i nie ma sensu przekonywać cię o zaletach życia bez Peach i bez Benjiego. – Ale to nie twoja wina.

– Nie moja… Jak jasna cholera moja! – żołądkujesz się.

– Porozmawiaj ze mną – proszę. – Jestem tutaj.

Z rozbawieniem przyglądam się, jak się wahasz: opowiedzieć o masażu w wykonaniu Peach czy przemilczeć ten szczegół? Postanawiasz przemilczeć.

– Peach poszła pobiegać. Biegała codziennie rano. Tyle że tym razem napchała sobie kieszenie kamieniami. Joe, to jest moja wina. Byłam ostatnią osobą, która widziała ją żywą. Powinnam była się domyślić, co się święci.

Nie, to ja byłem ostatnią osobą, która widziała ją żywą, ale pomińmy to.

– Beck – mówię – nie możesz się obwiniać za to, co zrobiła Peach. Sama mówisz, że była w depresji. Byłaś dla niej wspaniałą przyjaciółką, to naprawdę nie ma nic wspólnego z tobą.

Machnięciem ręki każesz mi przestać. Nalewam wódki do brudnych szklanek. Szukasz telefonu, wpadł między poduchy sofy, tak jak mnóstwo innych śmieci, przewijasz ekran, znajdujesz ostatnią wiadomość od Peach – ode mnie. Teraz, kiedy już nie jestem podejrzany, nic nie poradzę, że czuję podniecenie, słysząc swoje słowa w twoich ustach. Czytasz cały mejl, potem spoglądasz na mnie.

– Virginia Woolf. Powinnam była się domyślić. Nie zrobiłam nic, żeby jej pomóc.

– Nie można ocalić kogoś, kto wcale nie chce zostać ocalony.

– Ale ona chciała – mówisz i zbierasz włosy w kok. – Po prostu nie potrafiłam tego zrobić.

– Czego zrobić?

Głośno przełykasz ślinę. Przypominam sobie ciebie nagą, chcę, żeby teraz była moja kolej, biorę solidny łyk.

– Joe, posłuchaj, z oczywistych powodów to musi pozostać między nami, ale musisz wiedzieć, że Peach się do mnie dobierała.

– O rany.

Tak, otwierasz się. Płatek po płatku. To się dzieje naprawdę.

– Oczywiście ją odepchnęłam. Natychmiast – mówisz i znów nie potrafisz oprzeć się pokusie skłamania, pokusie zwinięcia gotówki z banku Monopolu, kiedy pozostali gracze nie patrzą.

Jesteś oszustką, krętactwo masz we krwi. Podziwiam cię, Beck, za to, że wciąż cyzelujesz swoje życie. Masz charyzmę. Masz wizję. Może kiedyś kupimy jakiś domek na wsi do remontu, będziesz malowała ściany, dopóki nie uzyskasz odpowiedniego odcienia żółtego, będę się z tobą droczył, ale też uwielbiał twoją poplamioną farbą buzię. Tu tworzysz prawdziwą sztukę i tu działa twoja magia. Potrzebujesz żywej publiczności – mnie – a nie terapeuty, nie komputera.

– Jak to przyjęła?

– Kiepsko.

– Kurwa – mówię.

– Najgorsze, że to wcale nie był pierwszy raz.

– Kurwa.

Popijasz wódkę i wstydzisz się spojrzeć mi w oczy. Albo może nie wstydzisz się, tylko jesteś pijana.

– I co, nie poczułeś się zgorszony?

– Beck – zaczynam i kładę dłoń na twoim kolanie – nie czuję się zgorszony tym, że twoja najlepsza przyjaciółka się w tobie zakochała. Trudno mieć o to pretensje.

Rzucasz się na mnie, wpijasz się we mnie. Ściągasz koszulkę, twoje rozpalone dłonie wędrują pod moją koszulę – wilgotną od łez – masz mokre, wygłodniałe usta, gryziesz mnie w wargę, leci krew, słodka, słona, dotykasz mnie. W mgnieniu oka rozpinasz mi pasek od spodni, jesteś podchmieloną profesjonalistką. Tym razem, gdy się pieprzymy, jestem myszą w twoim domu, nie pozbędziesz się mnie, choćbyś chciała, nienawidzisz tego, jak bardzo mnie pożądasz, jaką mam nad tobą władzę, gdy w tobie jestem, i że już nigdy nie będziesz pragnęła nikogo poza mną – Nicky? Co za Nicky? Mieszają się emocje, łzy dla Peach, pulsująca pizda dla mnie, sterczące sutki dla mnie, cała istniejesz dzięki mnie, wypierdolę z ciebie Peach, wypierdolę z ciebie Benjiego, wypierdolę z ciebie Nicky'ego, jestem jedynym mężczyzną na świecie.

Tym razem budzę się pierwszy. Idę do twojej łazienki, wchodzę pod twój prysznic i szczam w twojej kabinie, znaczę teren, dom, ciebie. Podnoszę z podłogi poduszkę z Ikei i odrywam metkę. Gdy wsuwam ci poduszkę pod policzek, mruczysz w półśnie:

– Mmm. Joe.

Kiedy wstajemy, oboje wiemy, że jesteśmy już razem. Nie zastanawiamy się, czy pójdziemy na śniadanie, ale dokąd. W knajpce siadamy naprzeciw siebie i spędzamy tam sześć godzin, bo nie potrafimy się sobą nacieszyć. W końcu udaje mi się od ciebie oderwać. Idę się odlać. Wtedy wysyłasz mejl do Lynn i Chany:

Ja pierdolę. Joe. JOE.

Kiedy wracam do stolika, zaczynamy od początku.

42

Nasze pierwsze osiem dni razem to najlepsze dni mojego życia. Wyjmujesz obszerne, miękkie szlafroki z Ritza. Opowiadasz mi ze szczegółami, jak ukradłaś je podczas wielkanocnego wypadu z Lynn i Chaną. Kocham twoje zamiłowanie do wymyślania historii. Przecież nie możesz wiedzieć o tym, że ja wiem, że zwędziłaś je z domku letniskowego Peach – na pewno się nie przyznam! Nie rozstajemy się ze szlafrokami, lubisz mnie zabawiać i robisz to.

Naszego Drugiego Dnia siedzimy, jak zwykle w szlafrokach, gdy nagle formułujesz Zasadę Szlafroka:

– W moim mieszkaniu wolno ci chodzić wyłącznie nago albo w szlafroku.

– A co się stanie, jeśli złamię Zasadę Szlafroka?

Podchodzisz do mnie wolnym krokiem i mruczysz:

– Nie chcesz wiedzieć, panie kolego.

Obiecuję, że będę przestrzegał przepisów. Podobasz mi się taka rozbudzona, taka dorosła. Terapia się udała, zniknęły twoje kompleksy i problemy związane z ojcem i ze mną, przestałaś być małą dziewczynką, stałaś się kobietą. Już nie piszesz do siebie listów, bo i po co? Przecież do rozmowy masz mnie, więc rozmawiamy, i to dużo. Van Morrison gówno wie na temat miłości, bo my tu wymyślamy miłość na nowo, opatuleni w szlafroki z Ritza, prowadzimy nocne dyskusje i milczymy, a nasze milczenie nie jest krępujące, tylko, jak mówisz, „wręcz przeciwnie”.

Żywimy się sobą, nie potrzebujemy snu, Piątego Dnia mamy więcej prywatnych żarcików niż Ethan i Blythe. Oglądamy *Pitch Perfect* na Netfliksie – twierdzisz, że to twój ulubiony film, a nie masz go na DVD;

jesteś fascynująca – nagle włączasz pauzę. Zwijasz się w kłębek, wtulasz we mnie i mówisz, że jestem najukochańszy na świecie. Przekomarzam się z tobą na temat filmu, chichoczesz, prychasz i siłujesz się ze mną i kiedy bohaterki jadą na zawody czy co tam, już dawno jesteśmy w łóżku i się pieprzymy. Kochasz mnie ponad wszystko i mówisz, że jestem mądrzejszy niż większość facetów z zajęć i tych, których poznałaś wcześniej na studiach. Razem czytamy jedno z opowiadań Blythe, nazywam je solipsystycznym i zgadzasz się ze mną.

Następnego dnia budzę się pierwszy – nie sposób spać, gdy leżysz obok – i widzę, że wstawałaś wcześniej. Nadal bywasz jak dziecko, zostawiasz ślady z okruszków chleba. Trop prowadzi mnie do kuchni, znajduję tam otwarty słownik i słowo „solipsystyczny”, podkreślone polewą z leżącego na blacie niedojedzonego ciastka czekoladowego. Kocham cię za to, że słuchasz bez mrugnięcia okiem.

Nie chcesz, żebym wychodził, ale muszę iść do pracy.

– Chcę, żebyś został – mówisz z naciskiem i nawet wtedy, gdy bywasz agresywna, jesteś słodka. – Ethan nie może cię zastąpić?

– Beck, przykro mi to mówić, ale trzeba było o tym pomyśleć, kiedy swatałaś go z Blythe.

Wzdychasz, stajesz przed drzwiami i zsuwasz z ramion szlafrok.

– Joe, łamiesz Zasadę Szlafroka.

– Kurwa – mówię.

Przysysasz się do mnie i w końcu wychodzę, ale dzień ciągnie się jak makaron i piszemy do siebie tyle esemesów, że odpadają mi kciuki. Mam ochotę sprezentować ci wszystkie książki świata, ale wybieram jedną z moich ulubionych, której na pewno nie czytałaś: *Leśne jezioro* Tima O’Briena.

Wpuszczasz mnie do mieszkania, otaczasz książkę czułymi dłońmi i całujesz mnie tymi słodkimi, miękkimi ginewryjskimi ustami.

– Czułam, że nie bez powodu zwlekam z lekturą tej książki – mówisz. – Jakbym wiedziała, że kiedyś ktoś da mi ją w prezencie.

– Cieszę się, że zaczekałaś.

Siódmego Dnia wymyślamy grę w niby-scrabble. Chodzi o to, że wolno układać tylko nieistniejące słowa. Wymyślasz „kalibrata”, a ja muzykę „punklasyczną”, ogrywasz mnie, chełpisz się tym i kocham cię taką, nakręconą zwycięstwem. Uwielbiasz wygrywać, a ja umiem przegrywać, i za czterdzieści lat będziemy się bawili tak samo dobrze jak teraz.

Dziewiątego Dnia nakrywam cię na myciu zębów moją szczoteczką. Czerwienisz się. Płuczesz usta i twierdzisz, że wzięłaś ją przez pomyłkę, ale potrafię cię przejrzeć, Beck, widzę, jak patrzysz, jak zagryzasz wargę i uciekasz wzrokiem.

– Chcę ci coś powiedzieć, ale mogę to zrobić, jedynie nie patrząc na ciebie – mówisz. – Lubię używać twojej szczoteczki, bo lubię mieć cię w sobie, przepraszam, wiem, że to brzmi dziwnie i jest obrzydliwe.

Milczę. Zamykam twoją dłoń w swojej, zdejmuję ci majtki i posuwam cię w swojej łazience.

Dziesiątego Dnia mówisz, że jeszcze nigdy w życiu nie czułaś się mniej samotna.

Jedenastego Dnia przyznaję się, że w księgarni złapałem się na nuceniu piosenki z *Pitch Perfect* – i śpiewałem ją dalej, nawet kiedy ludzie zaczęli się śmiać.

– Jesteś we mnie – mówię i podoba mi się to.

Klękasz, pożądliwa.

Czternastego Dnia uświadamiam sobie, że straciłem rachubę czasu, bo już nie wiem, czy jest Czternasty, czy Piętnasty Dzień. Idziemy ulicą, ściskasz mnie za rękę.

– To dlatego, że każdy dzień jest wyjątkowy – mówisz. – Jeszcze nigdy nie żyłam z tak intensywnym poczuciem chwili.

Całuję cię w czubek głowy, jesteś moim elokwentnym króliczkiem.

– Wiesz, jeszcze mi się nie zdarzyło stracić rachuby dni? Chyba się w tobie zakochałem.

Siedemnastego Dnia pada, ubrani w szlafroki siedzimy na twoim łóżku. Podkreślasz ulubione fragmenty *Leśnego jeziora* i czytasz mi je na głos. W pracy nie mogę nic zrobić, bo nie potrafisz wytrzymać pięciu minut bez esemesa do mnie. Czasem masz ochotę pogadać zupełnie o niczym:

Zauważyłeś, że palce mojej prawej dłoni są zakrzywione? Aha. Widać, jak ciężko nimi pracuję. No, a jak tam w księgarni?

Niekiedy zamiast słów przysyłasz obrazki, na przykład zbliżenia moich ulubionych części twojego ciała, których jest tak wiele… Nie przestajesz mnie zadziwiać, piszesz do mnie, akurat kiedy ja piszę do ciebie, nie kończą nam się tematy. Nikt nigdy nie znał mnie tak dobrze. Nikomu nie zależało. Kiedy opowiadam ci historie z mojego życia, słuchasz w skupieniu i zadajesz pytania.

Ile miałeś lat? Ej, nie będę zazdrosna, no opowiedz mi o swoim pierwszym razie. Joe, proszę. Opowiedz, opowiedz!

No więc opowiadam, opowiadam! Ethan mówi, że w przypadku każdego związku pierwsze dni bywają najbardziej intensywne, ale on nie rozumie, że my nie tworzymy zwykłego związku. To, co istnieje między nami, nazywasz wszechwiązkiem. Cóż mam uczynić z tym tak pięknie wymyślonym słowem? Kupuję składniki na tort, piekę go, a na wierzchu piszę lukrem: „Wszechwiązek (rzecz.) – spotkanie umysłów, ciał i dusz”.

Znoszę tort na dół, idę do metra, wsiadam do wagonu, wysiadam, wchodzę po schodach, potem idę ulicą i zatrzymuję się przed twoimi drzwiami. Piszczysz z zachwytu, obfotografowujesz tort, po czym kładziemy się do łóżka, zjadamy po kawałku, uprawiamy seks, oglądamy stare nagrania wideo z twojego archiwum rodzinnego w Nantucket, jemy po kawałku tortu i znów uprawiamy seks i to jest jedyny wszechwiązek, w jakim kiedykolwiek byłem.

Stoję na drabinie w pracy, Ethan podaje mi mniej chodliwe książki, które chowam na najwyższych półkach, i mówi, że przecież nie zawsze będzie tak dobrze, na co szybko i pewnym głosem odpowiadam:

– Wiem doskonale, że nie będzie tak dobrze…

– Ba! – podsumowuje.

– …bo będzie jeszcze lepiej.

Ethan idzie obsłużyć klienta, a mnie ogarniają wątpliwości, powoli spełzają z półki, na której stoi Shel Silverstein. Piszę do ciebie:

Cześć.

Trzęsę się i pocę. A jeśli Ethan ma rację? Jeżeli nie odpiszesz? Jeżeli już za mną nie tęsknisz? Ale nie, odpisujesz natychmiast:

Kocham cię.

Mogę spaść z drabiny i rozbić sobie głowę, to nieważne. Jak mówi Elliot w *Hannah i jej siostry*: „Dostałem odpowiedź!”.

Moją odpowiedzią jesteś ty.

43

Dobrze, że zrobiłem zrzut ekranu z esemesem „Kocham cię” od ciebie, ponieważ tego wieczoru coś się zmienia i naraz czuję się, jakbym stał tak blisko dzieła jakiegoś puentylisty, że zamiast całego obrazu widzę tylko pojedyncze kropki. Nadal jesteś moją dziewczyną – jesteś. Ale…

Nie odpisujesz od razu na moje wiadomości; nie byłoby w tym niczego niepokojącego, gdyby nie wymówki:

Przepraszam, byłam na zajęciach.

Przepraszam, rozmawiałam z Chaną…

Przepraszam. Czy ty mnie nienawidzisz?

Próbuję różnych odpowiedzi:

Nie szkodzi, B. Masz ochotę na kolację?

Żadnego „przepraszam”. No, chyba że nie masz na sobie szlafroka…

Czy cię nienawidzę? B., kocham cię.

Ale żadna odpowiedź nie jest tą właściwą, ponieważ ilekroć wciskam wyślij, oczekiwanie zaczyna się od początku. Moje myśli stają się ponure i biegną w stronę należącego do Nicky’ego beżowego gniazda rock’n’rolla i rozpusty. Ale nie widujesz się z nim. Gdyby było inaczej, powiedziałabyś o tym komuś, napisałabyś do niego, a nie zrobiłaś ani jednego, ani drugiego. Nadal mam twój stary telefon i nadal sprawdzam twoją skrzynkę mejlową i Facebooka. Kochasz mnie. Pewnego dnia wyciągnę z ciebie to, że twoja matka wciąż płaci za telefon, który zgubiłaś dobre kilka miesięcy temu. Powoli do tego dochodzę. Ale kocham cię tak bardzo, że nie potrafię rozmyślnie zamknąć drzwi, przez które podglądam, jak komunikujesz się z innymi ludźmi. Kiedy boję się, że się ode mnie oddalasz – a boję się –

wyjmuję twój telefon i siłą woli zmuszam cię do powrotu. Brzmi jak szaleństwo, wiem, ale chyba działa. W tej chwili potrzebujemy wszelkiej pomocy. Tak to już bywa ze związkami, co zrobić. Mam powody do frustracji. Dziś twoje słowo to „przepraszam”, a moje „nie”; gdzie się podział nasz wszechwiązek? Ethan mówi, żebym się nie martwił.

– Joe, ona za tobą szaleje! Blythe mówi, że opowiadania, które pisze na zajęcia, to praktycznie fikołki.

Tylko Ethan mógł pornosy nazwać fikołkami. Ethan nie musi się zastanawiać, gdzie i kiedy będzie jadł obiad; Blythe jest w nim zakochana po uszy, ale od kiedy to ich związek wydaje się silniejszy od naszego wszechwiązku?

Moja szczoteczka do zębów jest sucha. Już jej nie używasz, potrafię nawet wskazać moment, w którym przestałaś. Kiedy proponuję sesję *Pitch Perfect*, odpowiadasz, że jesteś zmęczona albo że obejrzałaś kawałek w pociągu. Kiedy chcę nas zabrać na pizzę, mówisz, że zjadłaś pizzę na lunch – dawno, dawno temu wiedziałem, co jadłaś na lunch, zanim zdążyłaś go przetrawić – a kiedy proponuję seks, prosisz, żebym dał ci jeszcze kilka chwil.

– Pozwól, że skończę ten akapit, dobrze? Jestem strasznie do tyłu z czasem, okropnie.

– Jeszcze kilka minut. Zjadłam falafela i to chyba nie był najlepszy pomysł.

– Zaczekaj trochę. Zaniosłam szlafroki do pralni samoobsługowej i zaraz będę musiała po nie pójść.

Przynoszę ci *A River Runs Through It* Normana Macleana i *Rzeczy, które nieśli* Tima O’Briena, bo nawet nie wiedziałaś, że te książki zawierają inne opowieści poza tytułowymi. Obie opatruję dedykacją i nie mówię ci o tym. Cztery dni później książki nadal leżą na blacie. Nie ma na nich pełnych czułości smug po czekoladzie, nie ma podkreślonych akapitów, nie ma zaznaczonych stronic. Nie kochasz ich, nie znasz, i bywają chwile, kiedy czuję się jak intruz.

Ja: Właśnie oglądałem zdjęcie twoich ud.

Ty: Oj, zaczekaj. Coś przerywa.

Ja: Rób, co masz robić. Zdzwonimy się później.

Nie odpisujesz i powoli odchodzę od zmysłów, no bo co to,

kurwa,

ma

być?

W ogóle nie wspominasz o mnie w rozmowach z Lynn i Chaną. Nie zdradzasz mnie; nie udałoby ci się tego zrobić, kiedy mam dostęp do twojej poczty. Wiem. Wiem, że masz niewiele pracy na zajęciach, a spiknięcie Ethana i Blythe rzeczywiście było złym pomysłem, ponieważ on przychodzi do pracy i opowiada, jak to się świetnie bawili na strzelnicy golfowej – nie zalewam – a ty nawet nie raczysz mi odpisać, kiedy wysyłam ci esemes i chcę pogadać o tej osobliwej parze.

To boli, Beck. Nie wiem, co począć z twoją nieobecnością. Nie jesteś na mnie zła. Znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy zaczynasz tłuc ogonem o podłogę, i wiem, że nie jesteś też ze mnie zadowolona. Pytam, czy chcesz, żebyśmy włożyli szlafroki, na co całujesz mnie i odpowiadasz, że szlafroki to już przeszłość. Przytulasz się do mnie i pozwalasz się objąć, ale co to właściwie znaczy?

Szlafroki to już przeszłość.

Wciąż łączy nas wszechwiązek, bo pewnych rzeczy nie przestałaś robić. Nadal przynajmniej raz w tygodniu budzę się z kutasem w twoich ustach. Nadal dajesz mi znać, kiedy myślisz o mnie bez powodu:

Solipsystyczny (przym.) :) Myślę o moim ciachu.

Zachwycasz się mną w listach do matki:

Mamo, tym razem to co innego. Jest z mojej bajki. Chociaż formalnie rzecz biorąc, nie powinien być, bo nasze życia bardzo różnią się od siebie. Ale wiesz, kiedy gra… to gra. To się czuje.

Twoja matka nie może się doczekać, kiedy mnie pozna. Zamykam oczy i widzę nas w Nantucket, zakochanych. Pewnego wieczoru, kiedy leżysz zmęczona kurczami, postanawiam poruszyć temat.

– Jak myślisz, latem wybierzemy się do Nantucket?

Zaczynasz chichotać, a ja robię się czerwony jak cegła. To nie miało być śmieszne. Reflektujesz się.

– Joe, kochanie, nie z tego się śmieję. Jasne, że się wybierzemy. Tylko że powiedziałeś „do Nantucket”, a mówi się „na Nantucket”.

Nie przychodzi mi do głowy żadna celna riposta, a kiedyś przychodziły, może więc Ethan miał rację. Prosisz, żebym skoczył do apteki po jakiś ibuprofen. Zasłony w twoim mieszkaniu są odsunięte i kiedy wychodzę, widzę, że otwierasz komputer i zaczynasz odpowiadać na mejl. Wiem, że teraz, kiedy jesteśmy razem, nie powinienem sprawdzać twojej skrzynki tak często jak dawniej, ale wieczór chłodny, a do apteki daleko, dlatego odświeżam folder „Wysłane”.

Nic.

Zaglądam do „Wersji roboczych”.

Też nic.

To niemożliwe, bo przecież na własne oczy widziałem, jak piszesz. Kupuję tabletki, wracam do domu i po drodze postanawiam poruszyć temat, tylko że kiedy wchodzę – parę tygodni temu dałaś mi klucze – nie ma cię w mieszkaniu. Wołam cię, ale odpowiada cisza. Panikuję. Wtedy słyszę szum wody, wchodzę do łazienki i widzę, że czekasz mokra i rozpalona, moja.

– No chodźże wreszcie – mówisz.

Idę. Rżniesz się ze mną jak samica w rui, potem wkładamy szlafroki i już nie myślę o mejlu, zresztą może mi się przywidziało, może go wykasowałaś. Tej nocy jesteśmy sobie bardzo bliscy. Kiedy budzę się rano, ciebie już nie ma. Wysyłam ci esemes.

Ja: To było fantastyczne. Kiedy się obudziłem, myślałem o tobie stojącej pod prysznicem.

Ty: Bardzo dobrze.

Ja: Powiedz, kiedy mam znów przyjść. Coś mi się zdaje, że czeka nas kolejna runda.

I wtedy dostaję od ciebie odpowiedź, przed którą wszyscy drżą, zwięźlejszą niż najzwięźlejsze ze słów, bardziej stanowczą niż zwykłe „nie”, będącą absolutnie nie do przyjęcia w słowniku kogoś tak

zakochanego w języku i we mnie, jak twierdzisz, że jesteś: „OK”, zresztą nawet nie „OK”, tylko jego podlejszą wersję.

Ty: K

Dostaję przeklęte „K”. Proszę Ethana, żeby mnie zastąpił do końca dnia, ale on nie może. Dzień się wlecze, dostaję szału, oglądam twoje zdjęcia, tracę cierpliwość do klientów, zamykam wcześniej i dzwonię do ciebie, ale włącza się poczta, więc zostawiam ci wiadomość, w której pytam, kiedy możesz do mnie przyjść. Odpowiadasz, kiedy już jestem w domu, i jak się okazuje, przeklęte „K” wcale nie jest jeszcze takie złe. Gorsze jest to:

Ty: Długa historia, kochanie, ale dziś muszę spasować. Zadzwonię jutro xoxo

Płaczę, oglądam *Pitch Perfect* i śpiewam z The Barden Bellas. Nie chcę być kolesiem, który zna nazwę fikcyjnej grupy *a capella* z dziewczyńskiego filmu, ale to przecież z miłości. Potem walę konia pod prysznicem, tak jak mnóstwo nieszczęśliwie żonatych mężczyzn na całym świecie. Walę i wyję, bo nawet nie jesteś moją żoną. Jeszcze nie.

44

Można cieszyć się z czyichś sukcesów, pewnie, że można, ale są granice. Ostatnio często cieszę się z sukcesów Ethana i powoli zaczynam mieć ich potąd. Ethan codziennie przynosi dobre wieści, dzisiejszy dzień nie jest wyjątkiem.

– Joe, nie uwierzysz!

– Przekonajmy się.

– Blythe chce, żebyśmy razem zamieszkali!

Szczerzy zęby. Uśmiecham się.

– To świetnie, E.

Mówi, że będzie tęsknił za Murray Hill. Chyba jest jedyną osobą na świecie, która czuje jakąkolwiek więź z cholernym Murray Hill. Powtarzam jak mantrę:

– Cieszę się z twojego sukcesu, stary.

Naprawdę się cieszę.

Twoja skłonność do rywalizacji zaczyna działać mi na nerwy, bo widzisz, Beck, nagle mam wrażenie, jakby życie było wyścigiem, w którym wyprzedzają mnie Ethan i Blythe. Wolałbym, żeby życie przypominało grę *Węże i drabiny* i żebyśmy wchodzili po drabinach ze zsuwających się głów węży. Zaczyna wyłazić ze mnie wredny kutas. Przebijam balon Ethana pytaniem:

– Jesteś pewien, że chcesz się przeprowadzić aż do Carroll Gardens?

– Blythe nie lubi Murray Hill. – Wzrusza ramionami. – Nie ma o czym gadać.

– Rozumiem cię – mówię i nie mogę się powstrzymać, muszę być lepszy od niego. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz nocowałem u siebie. Wiecznie

tylko West Village.

Nie powinienem krakać, bo, oczywiście, kilka minut później dostaję mejl od ciebie:

> Czy możemy dzisiaj spać u ciebie? Miałam szalony dzień, moje mieszkanie wygląda jak po tornadzie.

Mówię Ethanowi, że wychodzę, ale tylko przed księgarnię. Dzwonię do ciebie. Nie odbierasz. Ostatnio nigdy nie odbierasz. Chodzę tam i z powrotem. Panikuję. Mam kolekcję fragmentów twojego życia, są jak pamiątki z podróży. Dzwonię ponownie. Włącza się poczta. Opieram się o witrynę i nagle dociera do mnie, że boję się o nas, Beck. Kiedy zamieszkamy razem, a zamieszkamy, będę musiał dokonać wyboru pomiędzy tobą a kolekcją, którą przechowuję w pudełku w dziurze w ścianie – w tej, którą zrobiłem z twojego powodu. Ściany w moim domu są beznadziejne (też mi niespodzianka), gips się kruszy, dziura się powiększa, miałem powiedzieć o niej zarządcy budynku, ale zwlekam, bo wolę trzymać tam moje twoje rzeczy. Tracę głowę. Nie dosięgniesz do pudełka; chcąc się do niego dostać, musiałabyś wejść po drabinie albo po ścianie, a żadna dziewczyna tego nie zrobi. Spokojnie, Joe, oddychaj.

Brzęczy telefon. Odbieram.

– Cześć.

– Joe, słuchaj, nie mogę rozmawiać, i tak jestem spóźniona.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj – mówisz.

Odwracam się i rzeczywiście tu jesteś, uśmiechasz się. Lubię, kiedy składasz mi niespodziewane wizyty w księgarni. Lubię brać cię w objęcia, nagradzam cię pocałunkiem, odwdzięczasz się, ale bez języczka. Działasz w trybie pilnej studentki.

– Muszę lecieć.

– Na pewno? Jest Ethan, moglibyśmy zostawić mu księgarnię i skoczyć na kawę.

Wyciągasz dłoń.

– Mogę klucze?

To nasz wszechwiązek. Nie powinienem się wahać.

– Joe, zastanów się. Będę w domu przed tobą.

Nazwałaś moje mieszkanie domem, wręczam ci klucze. Całujesz mnie. Znowu bez języczka.

– Spieszysz się na zajęcia?

– Tak – mówisz, obejmujesz mnie i pora na ciebie. – Na razie!

Odchodzisz razem z moimi kluczami. Kiedy wracam do środka, Ethan rechocze.

– To jak, rzucamy monetą?

– Po co?

– Przed chwilą dzwoniła Blythe i powiedziała, że dzisiaj dziewczyny nie mają zajęć, bo był alarm bombowy i ewakuowano uczelnię.

– No tak – mówię.

No proszę.

– A może wolisz ciągnąć zapałki?

– Nie trzeba – odpowiadam. – Beck spotyka się z przyjaciółką na mieście. No już, znikaj i baw się dobrze.

Znika. Wysyłam ci esemes:

Cześć. Masz chwilę?

Mija dziesięć minut, brak odpowiedzi. Wywieszam kartkę w drzwiach: wracam za dziesięć minut. Schodzę do klatki. Przemierzam ją tam i z powrotem. Dlaczego nie powiedziałaś, że masz odwołane zajęcia? Dlaczego alarm bombowy nie zbliżył nas do siebie? Jeszcze nigdy tak się nie bałem, szkoda, że Nicky to zło wcielone, bo chętnie bym teraz z nim pogadał. Mozolę się na górę, złamany, bez wykształcenia, smutny. Zrywam kartkę i otwieram drzwi. Nadal nie odpisałaś, odchodzę od zmysłów. Zgarbiony siadam za kasą, moja głowa jest jak bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć. Wtedy wchodzi ona. Dziewczyna. Klientka. Ma wielkie kasztanowe oczy, bluzę z logo Uniwersytetu Stanu Nowy Jork w Purchase, krótką spódnicę, zakolanówki i tenisówki; figlarna. Zerkam na telefon; ciągle nic.

Dziewczyna unosi rękę na powitanie, odpowiadam tym samym, tak jak należy. Spoglądam na telefon; brak odpowiedzi. Włączam *Killing the Blues* Roberta Planta w duecie z Alison Krauss, po chwili dziewczyna zaczyna

podśpiewywać, zna słowa, wie, co to znaczy skakać po białej chmurze i walczyć z chandrą. Sprawdzam telefon; cisza. Przyciszam muzykę, dziewczyna śpiewa głośniej. Jest niezła, jak The Barden Bellas, o ile nie lepsza. Wystawia głowę zza stosu książek. Wciskam pauzę.

– Nie śpiewam za głośno?

– Nie.

– Zamykałeś, kiedy przyszłam?

– Nie.

Uśmiecha się.

– Dzięki.

Znika, a mój wzrok ląduje na wyświetlaczu telefonu; brak nowych wiadomości. Wychodzę zza kasy, żeby móc się lepiej przyjrzeć nogom dziewczyny. Zaczyna się *Señorita* Justina Timberlake'a. Pieprzony Ethan i jego pieprzone losowe odtwarzanie. Lecę za ladę, żeby zmienić muzykę.

– Niech gra – śmieje się dziewczyna.

Wychodzi zza regału, trzymając Bukowskiego. Przełykam ślinę i patrzę na telefon; jeszcze nie odpowiedziałaś. Podchodzi do kasy ze stosem książek, zachowuje się jak ktoś, kto wstąpił do spożywczaka po mleko. Nie mogę sprawdzić telefonu; jest klientką, muszę poświęcić jej sto procent uwagi. Kładzie powieści na ladzie. Charles Bukowski leży na samej górze: *The Captain Is Out to Lunch and the Sailors Have Taken Over the Ship*, fragmenty dziennika.

– Nie należę do dziewczyn, które kupują Bukowskiego, bo to jest modne. Wiesz, o co mi chodzi?

– O dziwo tak – mówię. – Spokojnie. Nie oceniam ludzi.

– W takim razie niepotrzebnie się wysilam.

I kto tu flirtuje?

Zerkam na Bukowskiego, potem na nią.

– Przepraszam za wyrażenie, ale to jedna z najbardziej wyjebanych jego książek.

Zgadza się.

– Podczas przeprowadzki zawieruszył mi się poprzedni egzemplarz. Wiem, że to głupie, ale nie mogę spać ani normalnie funkcjonować ze

świadomością, że nie mam tej wyjebanej książki. Masz pojęcie?

– O dziwo mam – odpowiadam i od kiedy tak często mówię „o dziwo”?

Przyciszam taneczną łupankę Ethana i przyglądam się *Old School* Tobiasa Wolffa. Nigdy nie czytałem, do czego się przyznaję.

– Jak skończę, może przyjdę i opowiem ci, o czym była – odpowiada dziewczyna bez mrugnięcia okiem.

– Na pewno mnie tu znajdziesz – mówię.

Nadal nie otworzyłaś swojego egzemplarza *Rzeczy, które nieśli*. Kiedy wbijam na kasę ostatni z zakupów nieznajomej, *Wielkie nadzieje*, dziewczyna klaszcze w dłonie.

Wszechświat jednak ma poczucie humoru. Zagajam:

– Wiesz, że co roku w grudniu w Port Jefferson odbywa się festiwal Dickensa?

– A co takiego robi się podczas festiwalu Dickensa? – pyta i otwiera szeroko oczy, tak jak Karen Minty swoją cipę.

O nie. Flirtuję z nią. Uśmiecham się.

– Nietrudno zgadnąć. Maluje się twarze, gra na fujarkach, przebiera w stroje z epoki, zajada babeczkami.

– To dlatego terroryści nas nienawidzą – podsumowuje.

Do diabła z autocenzurą. Mówię otwarcie:

– To dlatego Bóg stworzył terrorystów.

– Myślisz, że Bóg istnieje? – Ona też jest inna, atrakcyjna. Jest zdecydowana. – Bóg musi istnieć, bo tylko On zdołałby stworzyć coś tak zajebistego, jak Marky Mark and the Funky Bunch.

W tle leci *Good Vibrations*, nie słyszę ani nuty, dziewczyna wyjmuje z portfela kartę Visa ze zdjęciem szczeniaków. Przesuwam palcem po wypukłych plastikowych literach. Znienawidziłabyś mnie, gdybyś to usłyszała.

– A zatem nazywasz się… John Haviland.

Rumieni się.

– Mam nadzieję, że nie poprosisz o dowód tożsamości, bo mi się zgubił. To znaczy, zapodziałam go.

Sczytuję kartę. Dziewczyna wypuszcza powietrze.

– Jesteś super.

Powinno być mi wszystko jedno; mam ciebie. Ale drążę.

– Na którym jesteś roku?

Kręci głową: nie.

– Chodzę po ciuchlandach i kupuję bluzy różnych uczelni – wyjaśnia z dumą. – To taki mój nieustający eksperyment społeczny. Sprawdzam, rozumiesz, jak potraktują mnie ludzie w zależności od tego, której uczelni herb będę nosiła na piersi.

Odrywam potwierdzenie transakcji, dziewczyna składa na nim szybki, niechlujny podpis. Pakuję książki do torby, wolno jak nigdy, i rzucam:

– Nazywam się Joe.

Przełyka ślinę.

– A ja, y…, Amy Adam.

– Amy Adams.

– Bez „s”! – Zabiera torbę i zmyka. – Dzięki, Joe. Miłego!

Mam ochotę wybiec i zaprowadzić ją do domu, do ciebie, pokazać, że ta dziewczyna flirtowała ze mną i rozmawiała o Bogu. Podchodzę szybkim krokiem do drzwi, ale jej już nie ma. Dzwoni telefon. Odbieram. Czy to ona? Nie. To bank. Pytają o ostatnią transakcję. Okazuje się, że karta, którą zapłaciła, była kradziona. Nie wsypuję dziewczyny, ale rozmowa z urzędnikiem studzi mój zapał; oto, co dostaję w zamian za flirt. Sprawdzam telefon; nadal nie ma odpowiedzi od ciebie. Brak odzewu z twojej strony staje się dla mnie przyzwoleniem na grzech. Szukam Amy Adam w internecie i traktuję to niemal jak rzucone ci wyzwanie, byś się do mnie odezwała.

Nie sposób znaleźć czegokolwiek o Amy Adam, ponieważ wyszukiwarka zwraca niemal wyłącznie strony o aktorce Amy Adams. Ethan przysyła mi ememes: on i Blythe są na Coney Island. Nie odpowiadam. Idąc do domu, nie spieszę się i nie zawracam sobie głowy sprawdzaniem telefonu, bo gdybyś miała odpowiedzieć, wiadomość od ciebie przerwałaby ciąg moich bezowocnych poszukiwań:

„Amy Adam Nowy Jork”

„Amy Adam nie aktorka”

„Amy Adam bluza”

„Amy Adam Facebook”

„Amy Adam Purchase”. (Nigdy nie wiadomo…)

Powoli wchodzę po schodach, zerkam na telefon; wciąż brak odpowiedzi. Słyszę hałas w moim mieszkaniu; jesteś tutaj. Czuję zapach dyni; pichcisz. Słyszę śpiew i się uśmiecham. Nie jesteś Amy Adam. Kocham cię za twoje fałszowanie. Myliłem się, wątpiąc w ciebie, dwa razy pukam do drzwi. Krzyczysz, żebym chwileczkę zaczekał.

Otwierasz drzwi i… Wow! Przyniosłaś nasze szlafroki, swój masz na sobie (pod nim jesteś naga) i upiekłaś placek (pod ciastem warstwa dyni). Mówisz, że mam dwadzieścia sekund na to, żeby wskoczyć w szlafrok, albo przez resztę dnia będę chodzić na golasa. Biorę cię w ramiona, moja ty szelmo, całujesz mnie; jesteś bardzo dumna ze swojej spontanicznej niespodzianki. Mówisz, że nie mogłaś pójść do siebie, bo w budynku pojawiły się karaluchy i przyjechali panowie od dezynsekcji. Postanowiłaś więc wykorzystać okazję i zrobić mi niespodziankę. Wbijam zęby w twój placek, potem wsuwam język w twoją cipkę, a kiedy wstaję w środku nocy, żeby umyć zęby, widzę, że moja szczoteczka jest mokra od twojej śliny.

– Przepraszam – mówię cicho.

I naprawdę jest mi przykro.

45

Nie wiem, co dodałaś do tego placka z dynią, śmiejesz się i mówisz, że wszystko, co się nawinęło. Placek i szlafroki coś zmieniły w naszych relacjach. Rano budzę cię pocałunkiem, obejmujesz mnie i cała promieniejesz.

– A pamiętasz, kiedy upiekłam ci placek?

– Pamiętam, kiedy ja upiekłem ci placek – mówię.

Podoba ci się, jak cię parodiuję. Całujesz mnie, nie spieszymy się, masz mnóstwo pomysłów, co mogę zrobić z rękami. Kocham cię, taką śmiałą. Uwielbiam, kiedy mówisz, czego chcesz. Twoją wyobraźnię powinno się wydestylować, zamknąć w butelce i poddać wnikliwym badaniom. Nigdy taka nie byłaś. Splatamy się nogami. Dobry Boże, co za szał, co za dymanie, opadamy na łóżko.

– Wow – mówię.

– No – odpowiadasz.

Odwracasz się w moją stronę i pytasz, czy mam ochotę na wczorajszy placek, odpowiadam na pytanie pytaniem, gdzie się nauczyłaś tak pieprzyć. Czerwienisz się. Wstydzisz się, doskonale. Wkładasz koszulkę i wstajesz, a kiedy jesteś już prawie w łazience, zawracasz, podbiegasz do łóżka i zasypujesz mnie pocałunkami.

Jestem najszczęśliwszym facetem na świecie. Wkładasz placek do mikrofalówki, a ja w tym czasie wykasowuję historię wyszukiwania na telefonie. Nie węszyłabyś w moim aparacie; szanujesz moją prywatność i mi ufasz. Ale chcę mieć telefon nieskażony Amy Adam, Amy Adams albo jakąkolwiek inną dziewczyną.

– Zapomniałam ci powiedzieć – wołasz z kuchni. – Zaczęłam czytać jedno z opowiadań w *A River Runs Through It*.

Czyli jednak czytasz moje książki, podoba mi się, jak twój głos brzmi w mojej kuchni, nie mogę się doczekać, kiedy do mnie wrócisz. Wstaję nagi z łóżka. Wchodzę do kuchni, podnoszę cię i sadzam na blacie, rozsuwam twoje nogi i możesz swobodnie wychwalać zalety mojego języka i moich ust, nie przeszkadza ci ani szum ulicy, ani pomruk mikrofali, ani kłótnia piętro wyżej, ani pikanie mikrofali. Kiedy mam cię w ustach, jesteś moja i tylko moja. Jeszcze nigdy tak mocno nie szczytowałaś; wiem to, czuję. Ukryta głęboko w tobie dzika istota w końcu postanowiła wpuścić mnie do środka. Głaszczesz palcami moje uszy i dziękujesz, zdejmuję cię z blatu i siadamy na kanapie z plackiem i z *A River Runs Through It*. Czytasz głośno zdanie, które wyjątkowo ci się podoba. Przerywam ci:

– Chcesz zostać u mnie na kolejną noc?

Wahasz się tylko przez ułamek sekundy. Uśmiechasz się.

– Pewnie!

Bierzemy razem prysznic za żółtą taśmą policyjną, myję ci włosy, całujesz moją klatkę piersiową. Razem się ubieramy i oto przyszłość jest teraz, jest tutaj.

– Słuchaj, Beck.

– Słucham, Joe.

– Może byś się do mnie wprowadziła?

Uśmiechasz się. Przerywasz zapinanie guzików jedwabnej bluzki i przechodzisz na drugą stronę pokoju, słońce podąża za tobą, wszystkie rośliny lgną do światła, do ciebie. Zadzierasz głowę i patrzysz na mnie, całuję cię, szepczesz:

– Joe, jestem na pierwszym roku studiów magisterskich. Pozwól mi najpierw uzyskać dyplom, dobrze? Chciałabym się na tym skupić.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem, ale niech będzie. Kończymy się ubierać i idziemy do kuchni; gdyby tu była Karen Minty, wiedziałaby, jak zrobić kanapki z jajkiem, ale gdyby ona tu była, nie miałbym ciebie. Wkładasz kurtkę. Mówię, że rozumiem, dlaczego nie jesteś gotowa na

przeprowadzkę do mnie, ale jeśli chcesz, możesz przenieść tutaj swój komputer i pisać, kiedy tylko będziesz miała ochotę.

Jesteś wzruszona. Obejmujesz mnie.

– Och, Joe, to bardzo miłe z twojej strony. Ale mój komputer jest stary i waży tonę.

– Chciałbym ci kupić nowy – mówię. – MacBooka Air.

– Nie musisz mi niczego kupować – odpowiadasz. Nie jesteś zachłanna. Jesteś zadowolona. – MacBooki są obłędnie drogie. Poza tym, kiedy jestem u ciebie, ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest pisanie. Wystarczy mi mój stary rzęch.

Całuję cię. Wiem, że muszę pozwolić ci wyjść. Odwracasz się i posyłasz mi pocałunek. Dwukrotnie. Kiedy zamykasz za sobą drzwi, siadam na kanapie i szperam w sieci. Oglądam MacBooki i ofertę studiów. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jesteś pisarką. To twoje życie. Uwielbiam księgarnię, ale praca w niej już nigdy nie będzie taka jak dawniej. Chcę ci kupić MacBooka Air, czuję się przytłoczony, ale w pozytywny sposób. Wysyłam ci mejl. Czuję się bliski tobie.

Wracasz już?

Nie odpowiadasz, ale tym razem nie martwię się ani nie boję. Za dobrze cię znam. Wiem, że zapisujesz pomysły w notatniku na telefonie. Wiem, że mnie nie ignorujesz. Piszesz pod wpływem natchnienia, pod wpływem zadowolenia, pod moim wpływem.

W księgarni pusto, ale to dobrze. Mam czas na snucie planów, na rodzenie pomysłów. Zapisuję się na spotkanie informacyjne dla kandydatów na studia wieczorowe na Uniwersytecie Nowojorskim. Nie wiem, co będę studiował – książki? biznes? – ale zamierzam się przyłożyć – dla ciebie, dla nas. Dzwonię do Bemelmans Bar i rezerwuję stolik na przyszły tydzień. Pewnie nie pamiętasz, ale minęło już prawie pół roku od naszego pierwszego spotkania. Zamierzam pójść na całość. Zaczniemy tutaj. Ustawię stolik w klatce, zjemy kolację przy świecach. Będziemy się pieprzyć, zrobimy to dobrze, a potem dostaniesz prezent ode mnie – sukienkę, którą przed chwilą kupiłem na stronie Victoria’s Secret. Uparcie

przysyłają ci przypomnienie o niesfinalizowanych zakupach. Skopiowałem więc numer sukienki, którą upatrzyłaś, i znalazłem ją w katalogu. Jest kusząca; pokazałaś ją Chanie i Lynn – też uważają, że jest niezła.

Chana: Kup ją sobie. Czemu nie?

Lynn: Tylko nie kupuj czerwonej. I włóż do niej pończochy.

Chana: No co ty! O to chodzi w zdzirowatej kiecce, żeby była zdzirowata.

Ty: Drogie panie, spokojnie. Przecież wiadomo, że nigdy bym jej nie włożyła.

Ależ włożyłabyś. Włożysz. Sukienkę dostarczą jutro. Nie będzie łatwo ukryć ją przed tobą i zaczekać na odpowiednią chwilę, bo wiem, że będziesz w niej wyglądała bosko. Zrozumiem jednak, jeśli nie odważysz się włożyć jej do Bemelmans Bar.

Przyjechał FedEx, przywiózł nowego Jamesa Pattersona – jutro będzie ruch – i jest też coś dla mnie. Prawie całkiem zapomniałem, że zamówiłem DVD z *Pitch Perfect*; oglądasz ten film wyłącznie w necie i pomyślałem, że powinnaś mieć na własność coś, co tak uwielbiasz, po prostu. Powinienem zaczekać do naszej rocznicy, zanim dam ci ten prezent, ale przecież śpisz dzisiaj u mnie, no i upiekłaś mi placek. Nie, nie będę czekał. Wkładam płytę do torby i zabieram się do rozpakowywania Pattersonów. Włączam muzykę – wreszcie jestem w nastroju na kawałki wybrane przez Ethana; być może o to chodzi w byciu szczęśliwym – przesuwam książki na półce z najlepiej sprzedającymi się powieściami, żeby zrobić miejsce Pattersonowi; kiedy zechcesz się przeprowadzić do mnie, zrobię miejsce dla ciebie. Jestem szczęśliwy, Beck, jest dobrze między nami, mam już następny pomysł na rocznicę! Zanim pójdziemy do Bemelmans Bar, wstąpimy do Macy’s w centrum i odwiedzimy naszą przebieralnię. Nie będziesz mogła uwierzyć, jak bardzo się dla ciebie postarałem, wręcz przeszedłem samego siebie, a po wyjściu z Bemelmans Bar może skoczymy do salonu tatuażu i zrobimy sobie takie same dziary. Na przykład słowo „wszechwiązek” – super by wyglądało, wytatuowane małymi czarnymi literami wysoko po wewnętrznej stronie uda… No, już spokojnie, bo będę musiał wywiesić tabliczkę zamknięte i pójść do klatki strzepać kapucyna.

Mijają godziny, robi się wieczór i nagle uświadamiam sobie, że pora zamykać. Ożywiasz moje zmysły, robisz to, od kiedy wiem, że jednak nie pieprzysz się z Nickym. Choć codziennie chodzę ulicą, przy której stoi księgarnia, dziś wygląda ona inaczej, jak świeżo umyta – chociaż nie jest, bo sprzątanie odbywa się we wtorki, a mamy piątek. Kręci się mnóstwo nastolatków, rozmawiają o planach na weekend; w liceum byłem samotnikiem, ale już nim nie jestem. Nie mogę się oprzeć, piszę do ciebie esemes:

Niedługo będę w domu.

Odpisujesz natychmiast:

K

Nie psuje mi humoru nawet przeklęte „K”. Nie ma się o co martwić. Jeszcze nigdy nie czułem się tak zadowolony z tego, gdzie jestem i co robię, w pociągu, w tunelu, jadę do domu, do ciebie. Nie spieszę się, idę po schodach i wychodzę na ulicę. Chcę, żeby życie mijało powoli, chcę czekać na ciebie całym sercem, witać cię całym sercem, pieprzyć cię całym sercem i tęsknić za tobą całym sercem. Wybucham śmiechem, bo tekst brzmi jak z kartki z życzeniami dla napalonych. Ale zasłużyłem na to, na ciebie, na radość.

Przez całe życie czułem się nie na miejscu. Przez całe życie zastanawiałem się, jak ludziom udaje się mieć normalną pracę, normalną rodzinę i przyjaciół. Co roku ojciec przynosił choinkę na święta i co roku matka wściekała się i wystawiała ją przed drzwi. W szkole wszyscy wiedzieli, że jesteśmy tymi dziwakami, którzy wyrzucają choinkę już przed Bożym Narodzeniem. Przychodziła Chanuka, matka chciała świętować, ale ojciec wrzeszczał na nią: „Przecież nawet nie masz chanukiji! Od kiedy to jesteś taką gorliwą żydówką?”. Zima nie kojarzy mi się z radością otwierania prezentów zapakowanych w zielono-czerwony albo niebiesko-srebrny papier. Nie pamiętam smaku indyka ze Święta Dziękczynienia, bo ojciec wolał wołowinę. Długo czekałem, Beck. Zatrzymuję się przed wejściem do budynku. Czekanie dobiegło końca. Otwieram drzwi wejściowe, klucz się zacina, swój komplet oddałem tobie, używam zapasowego, który zdążył zardzewieć. Sprawdzam skrzynkę, same reklamy

i rachunki na nazwisko J. Goldberga. Jak zwykle. Wchodzę po schodach i przypominam sobie, jak wchodziłem po nich, gdy prowadziły mnie do Karen Minty. Każdy stopień to kolejny powód, dla którego cię kocham. Odrabiam pracę domową, mimo że nie potrzebuję już terapii.

#1 Dla Beck liczy się coś więcej, niż tylko moje wykształcenie; Beck wie, że nie trzeba mieć ukończonych studiów, żeby być mądrym.

#2 Beck kocha mnie na swój sposób – poprzez szczoteczkę do zębów, szlafrok.

#3 Beck nie boi się powiedzieć, że uwielbia być ze mną.

#4 Beck budzi się szczęśliwa, kiedy budzi się przy mnie.

#5 Beck nie potrafi gotować, ja też nie umiem, ale mówi, że to dobrze, bo będziemy się razem uczyli.

#6 Beck sprawdziła w słowniku, co znaczy „solipsystyczny". Jej słownik jest pełen podkreśleń – Beck zaznacza wyrazy, które opuściły moje usta i zadomowiły się w jej świecie.

#7 Kiedy szczytuje, Beck wpija się we mnie całym ciałem. Jej cycki reagują na mój dotyk. Reagują. Całe jej ciało jest jedną wielką reakcją.

#8 Beck potrafi szczerze cieszyć się z sukcesów innych ludzi. Jest dumna, że udało jej się skojarzyć Ethana i Blythe.

#9 Beck pamięta wszystko, co powiedziałem, albo nic z tego, co powiedziałem, i tak czy owak jest dobrze. Mówi, że czasami do tego stopnia traci dla mnie głowę, że głuchnie, kiedy zaczynam mówić.

Już dłużej nie mogę. Pragnę cię teraz, natychmiast, ostatnie stopnie pokonuję biegiem, otwieram drzwi, jestem sztywny jak drąg, mam w ręku DVD z *Pitch Perfect*, ale to już nieistotne. Wszystko traci znaczenie. Gobelin, który zasłaniał dziurę, leży na podłodze. Patrzysz na mnie nowym, innym wzrokiem. Trzymasz w dłoni swoje majtki. Trzęsiesz się ze strachu, jakbym był horrorem, jakbym był rottweilerem albo odmową z wydawnictwa, a przecież nie jestem żadną z tych rzeczy. Chcę do ciebie podejść.

– Beck – zaczynam.

– Nie – mówisz. – Nie.

46

Szperałaś w m o j e j dziurze w ścianie, a zachowujesz się, jakbym z nas dwojga tylko ja miał jakiś problem. Chcesz zerwać, to oczywiste. Boisz się Pudełka Beck. Potępiasz mnie, jesteś nieprzyjemna i złośliwa. Stoisz przed dziurą w ścianie – to dla mnie wyjątkowe, bardzo osobiste miejsce – pudełko leży na kanapie, częściowo rozerwane, ponieważ dobrałaś się do niego niczym szczur z kanałów do żarcia. Jest jeden plus całej tej sytuacji. Spiesząc się, by pomyszkować w moich rzeczach, zostawiłaś telefon na ławie. Zabieram go, kiedy przetrząsasz pudełko.

– To jest używany tampon.

– Jest w plastikowej torebce.

– Ani kroku, kurwa! – rozkazujesz.

Niejeden facet byłby wkurwiony, ale nie ja. Wiem, Beck, że w tej chwili odchodzisz od zmysłów. Do diabła, jesteś wścieka, że „ukradłem” twoje koraliki z Mardi Gras, ale przecież nawet nie zauważyłaś, że zniknęły. Jesteś zła, że w zeszłym tygodniu pomogłem ci przeczesać całe mieszkanie w poszukiwaniu okularów przeciwsłonecznych Chanel, podczas gdy najwyraźniej „doskonale wiedziałem”, że spoczywają bezpieczne w tym pudełku. Bądźmy jednak szczerzy, nie pasowały ci te ohydne okulary, są dla kobiet w typie Peach, ty wyglądałaś w nich głupio. Zmieniasz temat.

– A to? – wyrzucasz z siebie. – Joe, to moja księga pamiątkowa ze szkoły.

– Przecież nic jej się nie stało.

– Ona jest moja, ty świrze. Nie chodziłeś do liceum na Nantucket. To jest moja księga, jest częścią mojego życia, są w niej moi przyjaciele, leżała w moim domu.

– Beck. – Pierwszy raz słyszę tak samolubne słowa z twoich ust, ale cierpliwie je znoszę.

– Nie. – Celujesz we mnie palcem.

Nie mogę mieć do ciebie pretensji za to, co robisz. Zerkasz w stronę schodów pożarowych, jakbyś upewniała się, że masz którędy uciec. Wygadujesz szalone rzeczy, przecież nie mogłabyś ode mnie odejść, nie po tym placku, nie po rozmowie o przeprowadzce do mnie. Próbuję przemówić ci do rozsądku:

– Beck, uspokój się. W takim stanie nie wyjdziesz oknem ani nie zbiegniesz po schodach.

I tak w kółko: w jednej chwili boisz się mnie, w drugiej chcesz mnie zabić, w trzeciej sądzisz, że to ja zabiję ciebie, w czwartej czujesz się ofiarą mojej niegodziwości (LOL), a w piątej to ja staję się ofiarą, ponieważ zamierzasz mnie ukatrupić (LOL). Wykrzywiasz twarz i nazywasz mnie „pierdolonym czubem”. Wiem, że wcale tak nie myślisz. Gdybyś rzeczywiście się bała, naprawdę spróbowałabyś ucieczki. Ale widzisz, ja cię znam. Znam cię i wiem, że jesteś zadowolona z odkrycia. Lubisz zainteresowanie i oddanie, a to pudełko jest dowodem na to, że interesuję się tobą i jestem ci oddany. Gdyby zawierało rzeczy Candace, już dawno by cię tu nie było. Powoli przeciągnę cię na swoją stronę, tylko muszę być cierpliwy. Jesteś w szoku. Znowu wrzeszczysz. Zaczyna boleć mnie głowa, martwię się, co pomyślą sąsiedzi, wreszcie pękam.

– Czy możesz się wreszcie zamknąć, do kurwy nędzy?! Czy ja ciebie wyzywam? Jak myślisz, jak się czuję, wchodząc do swojego mieszkania i widząc, że szperasz w mojej ścianie? Uważasz, że to przyjemne uczucie? Że podoba mi się, że mnie szpiegujesz?

– Masz pudło pełne moich rzeczy – szydzisz. – Koniec z nami.

– Wstrzymajmy się z jakimikolwiek decyzjami – mówię. – Poza tym bądźmy szczerzy, Beck, równie dobrze mógłbym powiedzieć, że to ja zrywam z tobą, bo grzebiesz w moich rzeczach.

– Niewiarygodne. – Kręcisz głową. – Zwariowałeś. Wariat jesteś. – I znowu swoje, dzwonisz zębami i rwiesz włosy z głowy. – Nie wierzę, że przytrafiło mi się coś takiego.

Nie masz już dość tej sceny?

– Uspokój się, Beck – proszę. – Usiądź na kanapie, dobrze?

Czerwienisz się ze złości, stajesz na palcach i obrzucasz mnie wyzwiskami – psycholwariatpopierdoleniecświrczubek – w porządku, wiem, że wcale tak nie myślisz.

– Właśnie, że myślę, Joe. – Gapisz się i wymachujesz czapką Figawi. – Nawet nie chcę wiedzieć, skąd to masz.

– Długa historia.

– O, to na pewno – mówisz. – Pierdolony czub.

Pamiętam, że w zeszłym miesiącu, mniej więcej w tym samym czasie, wściekłaś się i zaczęłaś krzyczeć na mnie za to, że wyrzuciłem do kosza trzydniowe burrito, które leżało w lodówce i zaczynało śmierdzieć. Następnego dnia miałaś okres i na przeprosiny pocałowałaś mnie w policzek.

– Przepraszam – powiedziałaś wtedy. – Nie jestem wariatką.

– Wiem, Beck.

– Kiedy robię się taka wredna – powiedziałaś – czuję się, jakbym dosłownie wychodziła z siebie i stała obok, i wiem, że jestem okropna i zachowuję się irracjonalnie, ale nie mogę nic zrobić. Bywa, że ZNP naprawdę daje mi popalić.

Wybaczyłem ci i nie wracałem myślami do tych dni, aż do teraz, ponieważ wiem, co to znaczy być we wszechwiązku. Każdy, kto by cię teraz zobaczył, Beck, uznałby cię za wariatkę. Każdy próbowałby mnie bronić i prosiłby, żebyś ściszyła głos, kiedy miotasz oskarżenia. Jestem „zbokiem, psycholem, stalkerem, chomikiem i świrem”. Nie odpowiadam na twoje zarzuty.

– Ogłuchłeś, Joe?!

– Przecież wiesz, że nie.

Znów krzyczysz. Czy ja wydzieram się na ciebie? Nigdy. Kiedy piszę do ciebie esemes i nie odpowiadasz natychmiast, nie czepiam się. Teraz twoja kolej – odpuść, nie czepiaj się. Przecież nie ukradłem niczego, co jest ci niezbędne do życia. Kto ogląda księgi pamiątkowe z liceum? Po szkole zaczynasz nowy etap; nie zauważyłem, żebyś choć raz zajrzała do tej

księgi. Nie tęsknisz za tymi ludźmi. Wiele dziewczyn przeprosiłoby za to, że naruszyło moją prywatność. Ty jesteś niewdzięczna. Wciąż obrzucasz mnie wyzwiskami: „zboczona, pokręcona, kradnąca majtki kreatura”.

Uspokoisz się, przetrzymam to, udaję, że jesteś lwicą w zoo, a ja się tobą opiekuję, pilnuję drzwi i modlę się, żebym nie musiał użyć siły, a nawet jeśli użyję, to nic ci się nie stanie, wyjdziesz z tego. Na razie moim zadaniem jako dozorcy jest stać i czekać. W końcu się zmęczysz, tak jak prędzej czy później męczysz się, ujeżdżając mojego kutasa.

– Od kiedy to trwa?!

– Nie musisz podnosić głosu.

– Od kiedy? – pytasz, ale już łagodniejszym tonem.

– Jak zapewne wiesz, zaintrygowałaś mnie już od naszego pierwszego spotkania – mówię i może jednak jest jakaś nadzieja. – Flirtowałaś ze mną, coś między nami zaiskrzyło, ale nie chciałem się narzucać, wiesz, nie chciałem się z tobą umawiać tak od razu. Postanowiłem zaczekać.

– Aha – mówisz, zakładasz ręce na piersi i tupiesz stopą.

– Poznawałem cię, Beck. – Czuję się jak facet z *Narzeczonej księcia*, a ty jesteś uparta jak Buttercup. – Rzuciłaś na mnie urok. Nadal jestem w jego mocy. W tym pudełku nie ma nic, czego mogłabyś się obawiać.

Patrzysz na pudełko, potem na mnie. Nie wiem, co robić, czuję się nieprzygotowany do tej roli. Chcę, żebyś zrozumiała wszystko: głębię mojej namiętności, siłę mojego uścisku, pewność mojej miłości. No, ale z drugiej strony, masz ZNP, wciąż jesteś roztrzęsiona tym, że ukryłem twoje rzeczy w ścianie, i od czasu do czasu mruczysz pod nosem, że brakuje ci Peach.

– Proszę bardzo – mówię, bo nie ma odwrotu.

Nie możesz odłożyć majtek na ich miejsce. Dosłownie i w przenośni rozdarłaś, rozgrzebałaś pudełko; zniszczyłaś je. Nie o to mi chodziło. Chciałbym odciągnąć cię od znaleziska, ale jako opiekun wiem, że dla dobra własnego i zwierzęcia muszę zachować odpowiedni dystans. Szperasz w moich rzeczach, które uważasz za swoje, i znajdujesz gwóźdź programu, *Księgę Beck*. Jest piękna. Powinno ci pochlebiać, że ktoś taki jak ja, mężczyzna „mądrzejszy niż większość facetów”, składa ci taki hołd.

– Jest nieskończona – mówię. – Oprawię ją.

– Moje opowiadania – wzdychasz i znów jesteś sobą.

– Wszystkie co do jednego – potakuję.

Już jest dobrze między nami. Jest dobrze.

Zaraz podbiegniesz do mnie i rzucisz mi się na szyję. Nic z tego. Wykrzywiasz usta.

– To jest mój mejl – syczysz.

– Beck, proszę cię – mówię. – To ma być hołd.

– Włamałeś mi się na skrzynkę.

– Nigdzie się nie włamałem – rzucam.

Znów mnie rozczarowujesz. Przecież mogłaś powiedzieć matce, żeby przestała regulować rachunki. To twoja wina.

Zamykasz księgę i odkładasz ją do pudełka. Słońce zachodzi, za chwilę trzeba będzie włączyć światło. Podchodzę do ciebie. Wzdrygasz się, jesteś pełna nienawiści i znowu się zaczyna. Wymyślasz nowe wyzwiska: „morderca, kłamca”. Pozostaję nieugięty, skupiam się, zachowuję jak dobry opiekun, kiedy zwierzę robi się agresywne.

– Wcale tak nie myślisz – mówię spokojnie.

– Jesteś pojebanym stalkerem i nie masz pojęcia, co myślę.

– Nie jestem – mówię. – Nie jestem.

Gonię cię, blokuję twoje ciosy i uchylam się, kiedy próbujesz mnie uderzyć. Bez problemu chwytam cię za nadgarstki – jesteś drobna i słaba, a ja jestem silny – i łatwo zmuszam cię, żebyś usiadła na sofie. Nie możesz ze mną walczyć. Obiecujesz, że będziesz grzeczna, jak zawsze, i dopiero wtedy cię puszczam i wracam na posterunek przy drzwiach.

Ciężko oddychasz.

– Co ci odbiło?

– Kocham cię.

– To nie jest miłość. To jest… chore.

– To nasz wszechwiązek – mówię.

Nasze słowo.

– Trzeba cię leczyć – mówisz. Jesteś głucha. – Jesteś czubek.

Chciałbym być ponad to, ale kiedy mnie wyzywasz, myślę o t w o i c h przewinach.

– Powinno się ciebie zamknąć, wiesz, Joe? Rozumiesz to? Dociera do ciebie? To, co robisz, jest złe.

Nie domykasz drzwi lodówki i dwa razy przez ciebie musieliśmy wyrzucić całe jedzenie.

– Jesteś chory, Joe, a chorych ludzi się leczy.

Jestem zdrowy, za to z ciebie jest dziwka; rzuciłaś się na Nicky'ego. Nie potrafisz się przyznać, że zazdrościsz Blythe.

– Joe, pozwól, że zadzwonię po lekarza. Proszę, pozwól sobie pomóc.

Nie potrzebuję żadnego lekarza, zresztą kłamiesz, cały czas rozglądasz się za jakąś bronią. Zwracasz noszone ubrania i chociaż jesteś moją dziewczyną, czasem odrzucasz połączenia ode mnie. Nie zawsze dokładnie się golisz i myślę, że kobieta, u której depilujesz się woskiem, w ogóle nie powinna tego robić, bo na udach często masz takie małe czerwone kropki, które drażnią skórę moich czystych, gładkich nóg.

– Joe, musisz mnie wypuścić.

A ty musisz przestać mnie oceniać. Nie jesteś tak porządna, jak ci się zdaje, jesteś fleją. Zużyte tampony wrzucasz do kosza, ale zbyt rzadko go opróżniasz, w zeszłym miesiącu twoje mieszkanie przez tydzień cuchnęło krwią miesięczną. Nadal się masturbujesz, pomimo przywileju dostępu do mojego chuja. A ta jedwabna bluzeczka? Wyglądasz jak szmata, Beck. Pomyślałem o tym rano, ale we wszechwiązku na pewne rzeczy należy przymykać oko i skupiać się na pozytywach.

– Wychodzę – mówisz.

Ha.

– Nie chcesz tego. – Jestem opanowany, bo ktoś musi być. – Ludzie często żałują decyzji podjętych pod wpływem emocji, na przykład w takich chwilach jak ta.

Nawet nie próbujesz przecisnąć się obok mnie. Doceniasz moją siłę. Ale widzę, że się rozglądasz. Jesteś zwierzęciem, biegniesz do sypialni. Do mojej sypialni. Wyciągasz rękę w stronę półki. Mojej półki. Łapiesz włoskiego Dana Browna i rzucasz nim we mnie.

– Joe, gdzie jest mój telefon?

– W dobrych rękach – zapewniam. Wyjmuję go z kieszeni. – Zostawiłaś go na ławie.

Nazywasz mnie „chorym pojebem”, jesteś fleją i leniem, a fleje i lenie cierpią.

– Przestań sobie roić nie wiadomo co, Beck.

Byłbym świetnym opiekunem w zoo. Dobry jestem: powoli zbliżam się do zwierzęcia, które zaczyna panikować.

– Będę krzyczała. Nawet nie wiesz, jak potrafię wrzasnąć. Zbiegną się sąsiedzi i domyślą się, co się dzieje.

Mówię:

– Zabiję cię, jeśli krzykniesz.

Choć wcale tak nie myślę.

To już koniec. Zaczynasz wyć i z krzykiem rzucasz się na mnie. Nie lubię cię takiej. Zmuszasz mnie do okropnych rzeczy, zmuszasz mnie, żebym cię złapał i zasłonił ci usta dłonią. Każesz mi wykręcić sobie ręce i rzucić cię na łóżko. Na n a s z e łóżko. Wierzgasz.

– Krzyknij, a będzie po tobie.

Kopiesz.

– Beck, przestań ze mną walczyć.

Wijesz się i rzucasz, ale jestem silniejszy. Sama dla siebie stanowisz zagrożenie, jesteś niebezpieczna dla świata. Nie wiesz, co wygadujesz, potrzebujesz mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek, w końcu twoja wściekłość przechodzi w smutek. Znowu. Od twojego stłumionego bełkotu robi mi się ciepło na dłoni, ale nie luzuję uścisku.

– Jak będziesz wrzeszczała, zrobią ci się guzki na krtani, tak jak tej lasce w *Pitch Perfect*.

Wreszcie się uspokajasz. Proponuję ci układ.

– Beck, mrugnij, jeśli obiecujesz nie krzyczeć. Wtedy zabiorę rękę.

Mrugasz. Zawsze dotrzymuję słowa. Cofam dłoń.

– Przepraszam – mówisz schrypniętym głosem i wbijasz we mnie spojrzenie. – Joe, porozmawiajmy o tym.

Wybucham śmiechem. Dobre! Naprawdę chcesz rozmawiać, owładnięta przedmiesiączkową furią? Teraz nie da się z tobą rozmawiać! Nie nadążam za twoimi zmianami nastroju! Beck, na Boga, naprawdę uważasz mnie za głupca?

Błagasz:

– Proszę, Joe, proszę.

Uwielbiam brzmienie twojego głosu. Niech to będzie *#10*: *Beck ma piękny głos.*

Niestety, kłamałaś, znowu kopiesz i próbujesz się uwolnić. Najgorsze w pracy opiekuna są te chwile, kiedy musi uratować zwierzę przed jego własnymi emocjami, przed jego dziką, pozbawioną logiki naturą. Wierzgasz i krzyczysz. Gryziesz. Ale przecież twoje ciałko rozmiarów Natalie Portman nie może się równać z moim. Liczę do trzech. Masz szansę się zamknąć. Nie wykorzystujesz jej, na cztery ujmuję twoją główkę w dłoń – przepraszam – i uderzam nią o ścianę – przepraszam. Też będzie ci przykro, kiedy się uspokoisz i zobaczysz, do czego mnie zmusiłaś.

Zapada cisza, czuję się samotny, całuję cię w czoło. Okazuje się, że masz poważne problemy, zespół napięcia przedmiesiączkowego to jedynie czubek góry lodowej. Jaka dziewczyna włazi na ścianę, żeby zajrzeć pod gobelin? W obecnym stanie umysłu nie możesz przyjąć mojej miłości. Potrzebujesz pomocy, ale te twoje metody proszenia o nią… Daj spokój. Działam szybko, bo wkrótce się ockniesz. Pakuję, co trzeba, zakładam torbę na ramię, biorę cię na ręce, znoszę na dół i zatrzymuję taksówkę.

Kierowca rzuca na ciebie okiem i pyta, do którego szpitala. Ale nie jedziemy do szpitala, Beck. Jedziemy do księgarni. Mieszkamy w Nowym Jorku, tutaj kierowcy taksówek nie zadają pytań. Zwierzęta wiedzą, że nie zadziera się z opiekunem.

47

Nie będziesz zadowolona, kiedy obudzisz się sama w klatce. Mimo że się postarałem. Dostałaś piwo korzenne w plastikowej butelce, wodę, też w plastiku, paczkę precli, kredki, które znalazłem w szufladzie, i notatnik. Nie będziesz mogła powiedzieć, że cię zagłodziłem albo czegoś pozbawiłem. Jesteś bezpieczna. Nawet zniosłem na dół sklepowego laptopa z zewnętrznymi głośnikami, postawiłem go na krześle przed klatką i włączyłem DVD z *Pitch Perfect*. Widziałaś ten film wiele razy i wiesz, jak Beca traktuje Jessego. Odtrąca go, drwi z jego zainteresowań, zrzędzi i nie dopuszcza go do siebie. Ale na końcu składa odważną, publiczną deklarację miłości w formie piosenki, a on jej wybacza okropne zachowanie. I ja też ci wybaczę, Beck. Całuję cię na dobranoc, zamykam drzwi na klucz i piszę esemes do Ethana:

> Cześć, stary, jutro masz wolne. Pękła rura. Obawiam się, że naprawa zajmie kilka dni!

Cud miłości polega na tym, że nie jestem na ciebie zły. Żal mi ciebie. Musi być ci ciężko dusić w sobie tyle gniewu. Ja go nie mam. Byłaś tak wściekła u mnie w mieszkaniu, że aż miałem ochotę wniknąć w ciebie i wyssać cały jad.

Otwieram drzwi do twojego mieszkania i demonstruję siłę przebaczenia: wynoszę śmieci. Kosz cuchnie bananami i kobiecością. Czy w ten sposób karzesz mnie za błędy, które popełniłem, za dłonie na ciele Karen Minty, za myśli o Amy Adam?

Siadam na kanapie w salonie. Coś mnie uwiera w tyłek. Wstaję, sięgam pomiędzy poduchy i wyjmuję mój egzemplarz *Love Story*. Nie pamiętam, żebyś zapytała, czy możesz go pożyczyć. Na książce są plamy po kawie

z mlekiem, a w środku okruchy tytoniu z papierosów, które nie wiadomo czemu popalasz, papierek po gumie do żucia, plamy tuszu i piasek. Kurwa, skąd się tu wziął piasek? *Piasek*.

Nadal się nie gniewam. Kocham cię, moja świnko. Kartkuję *Love Story* i zastanawiam się, dlaczego zwędziłaś mi akurat tę książkę i czemu ją zniszczyłaś, na jednej ze stron notując numer do telesklepu, w którym sprzedają garnki do gotowania ryżu; przecież i tak nie kupiłabyś sobie takiego garnka. Dałbym ci tę książkę. Dałbym ci wszystko. Gapię się na czarny ekran telewizora i zastanawiam, czy to też moja wina? Czy byłem skąpy? Czy przegapiłem jakąś aluzję do *Love Story*, którą poczyniłaś? Już nie mogę tu siedzieć, idę do kuchni, żeby wyczyścić książkę. Ale oczywiście skończyły ci się ręczniki papierowe. Przypominam sobie jeden z moich ulubionych wieczorów w tej kuchni, kilka tygodni temu, kilka wieków temu.

Mieliśmy w sumie udany dzień, chociaż zmęczyły cię zajęcia, a mnie wykończył nawał pracy w księgarni. Rzuciłem, że zapukam do twoich drzwi równo o dziewiętnastej i oczekuję, że kolacja będzie stała na stole – to był żart, bo przecież wiadomo, że nie potrafisz gotować. Kiedy stanąłem przed wejściem do twojego budynku, zobaczyłaś mnie przez okno, podbiegłaś do drzwi, wzięłaś mnie za rękę i kazałaś zamknąć oczy. Zamknąłem.

Zaprowadziłaś mnie do mieszkania i posadziłaś na kanapie. Nie podglądałem. Potem powiedziałaś, że już mogę otworzyć oczy, i otworzyłem. Zobaczyłem ciebie w szlafroku, trzymałaś papierowy talerzyk, a na nim leżał batat przecięty na pół i ułożony w kształt serca. Spojrzałem na ciebie, uśmiechnęłaś się i powiedziałaś:

– Witaj w domu, kochanie.

Wypierdoliłem cię jak nieopisanie cudowne zwierzę, którym jesteś, a wtedy opowiedziałaś mi historię o tym, jak kupiłaś batat – musiałaś wrócić do sklepu po drugi, bo pierwszy okazał się nadgniły! – a następnie rozłożyłaś tak, jak uczeń drugiej klasy rozkłada truchło żaby podczas sekcji na zajęciach z biologii.

Roześmiałem się, patrząc na nietkniętą kolację.

– No i teraz przez ciebie widzę żabę.

– Nie, Joe – odparłaś, nagle poważniejąc. – To jest moje serce.

Potem zamówiliśmy chińszczyznę, bo przecież co to dla nas jeden batat. Kocham cię, ale teraz jestem tu sam.

Jedną z twoich koszulek wycieram *Love Story*, wkrótce się ockniesz, pora zabrać się do pracy. Będzie mi potrzebny twój komputer, idę do sypialni, sprzęt leży na stoliku nocnym. Siadam na brzegu łóżka, które sam złożyłem, i aż podskakuję. Pod kołdrą znajduje się coś płaskiego i twardego, wsuwam dłoń: MacBook Air. Nie masz MacBooka, nie lubię MacBooków, wynoszę to coś z sypialni, bo nie chcę, żeby leżało na łóżku, które sam skręciłem.

Muszę się napić. Otwieram lodówkę, jest nasza wódka, ale jest też coś innego: dżin. Od kiedy to pijesz dżin i pracujesz na MacBooku Air? Zabieram wódkę do salonu i siadam na brudnej sofie. Pociągam z butelki. Może ojciec kupił ci komputer? Albo matka? Może zostawiła go Chana, może był tu ktoś inny, a może powinienem pokazać, że mam jaja i go włączyć? W końcu co się może stać?

Mam bujną wyobraźnię i różne scenariusze przychodzą mi do głowy, ale to, co znajduję w MacBooku po włączeniu go, urywa mi łeb: na tapecie *selfie*, zdjęcie twoje i d o k t o r a N i c k y’e g o. Oboje jesteście nadzy, leżycie w moim łóżku, w tym, które przewiozłem promem z Ikei, tym, które złożyłem dla ciebie, dla nas. Kurwa, on leży w naszym łóżku. Idę do kuchni, wyjmuję dżin z lodówki i opróżniam go do zlewu, prosto na brudne talerze. Pierdol się, komputerze. Pierdol się, Nicky.

Kiedy wracam do salonu, ten MacDupek nadal stoi na ławie i gdyby komputery potrafiły uśmiechać się z wyższością, ten cienias właśnie by to teraz robił. Muszę się uspokoić. Kto wie, może wyciągam pochopne wnioski? Może MacDupek jest stary, może popełniłaś ten błąd dawno temu. Ale strona domowa MacDupka wskazuje na konto na Gmailu o nazwie Beckanienka1027. Założyłaś je sobie jakieś dwa tygodnie temu, tuż przed moim spotkaniem z Amy Adam, kiedy nabrałaś do mnie dystansu i stałem się podejrzliwy. Założyłaś je dla Nicky’ego. Suka z ciebie. Powiedziałaś mu, że podejrzewasz, iż czytam twoje mejle. Pizda. Czytam.

Nicky: A nie mówiłem? Twój chłopak nie może przeczytać tego, czego istnienia się nie domyśla.

Ty: Okropny jesteś, ale masz rację.

Nicky: Podoba ci się nowa zabawka?

Ty: To dla mnie zbyt wiele – cały komputer hahahahaha.

Nicky: Przestań.

Ty: Zmuś mnie.

To mi wystarczy. Jest ponad czterysta trzydzieści siedem wiadomości pomiędzy tobą a Nickym i wcale nie zwariowałem. Ten czterdziestoparoletni garbus hańbił cię i wykorzystywał i jeszcze kazał ci płacić sobie za posuwanie cię. Kiedy wydawało mi się, że się ode mnie oddalasz, rzeczywiście oddalałaś się ode mnie. Zostałaś zredukowana do potajemnej wymiany mejli z Nickym, cały czas chodziło o niego. Kiedy się spóźniałaś, kiedy przepraszałaś mnie, że jesteś zmęczona albo zawalona zajęciami, to albo spałaś z Nickym, albo umawiałaś się na spotkanie z Nickym, albo pisałaś do Nicky'ego. Otwieram folder ze zdjęciami i jedno z nich przykuwa moją uwagę. Nicky stoi na moim łóżku i trzyma cię za nagą łydkę. Śmieje się, na głowie ma moją czapkę Holdena Caulfielda, którą podobno miałaś oddać do Macy's.

Przyznaję, Beck. To boli. Ale nie mogę obarczać cię całą winą. To ja spierdoliłem sprawę i cię zawiodłem. Wiedziałem, że coś się święci. Miałem przeczucie i zignorowałem je, a teraz siedzisz zamknięta w klatce – z mojego powodu. Miałem okazję wykurzyć mysz z twojego domu i nie zrobiłem tego. Nic dziwnego, że na mnie wrzeszczałaś. Masz pełne prawo wściekać się za to, że nie zdołałem obronić cię przed lubieżnym, noszącym vansy, niedorobionym doktorkiem. Wysyłam Lynn i Chanie wiadomość z twojego tajnego konta:

Pochrzaniło się z Nickym. Boję się, że Joe się o nas dowie, poza tym jestem straaasznie w plecy z pisaniem. Ulatniam się na parę dni, będę siedziała i pisała. Na razie, dziewczynki xo Beck

Nie możemy pozwolić, żeby koledzy i koleżanki z zajęć martwili się o ciebie. Otwieram twoją właściwą skrzynkę i piszę do Blythe taki mejl, po

którym na pewno nie będzie próbowała cię odnaleźć:

> O rany, Blythe, muszę ci coś powiedzieć. Pamiętasz to moje opowiadanie o pokojówce? Twoje uwagi były niesamowicie trafne. No więc wysłałam je, sama wiesz gdzie, i… zgodzili się! Przede mną mnóstwo pisania (dostałam cenne uwagi). Powinnaś zgłosić się do nich na staż. Powodzenia na warsztatach. Kiedy napiszę wszystko, co mam do napisania, koniecznie musimy się wybrać na kolację całą paczką. Sami wybierzcie gdzie, ja stawiam. :) xo B

Wyjmuję twój telefon i otwieram aplikację Twittera:

> #UrlopOdMediówSpołecznościowych zaczyna się w tej chwili. Xo B

48

Wydaje mi się, że dobrze zapamiętałem treść wiadomości, którymi wymieniałaś się z „doktorem Nickym”. Nie miałem wyjścia, ponieważ musiałem przygotować sprawdzian dla ciebie. Jestem chłodny, opanowany. Przedkładam nasze dobro ponad własną egoistyczną wściekłość, spisuję pytania na żółtych kartkach notatnika, który kupiłem w delikatesach, idąc do księgarni. Jestem gotowy, zabieram torbę z komputerami na dół, do piwnicy, i próbuję cię uspokoić. Wrzeszczysz. A powinnaś oszczędzać siły.

– Okej, Beck, już wystarczy.

Wyglądasz jak siedem nieszczęść, moje biedactwo. Masz skołtunione włosy, płakałaś.

– Joe, co ty chcesz mi zrobić?

– Już dobrze, jestem tutaj.

Spoglądasz na komputer, który ustawiłem przed klatką, znowu krzyczysz i zasłaniasz uszy dłońmi. Nie rozumiem, przecież *Pitch Perfect* to twój ulubiony film. Okazuje się, że dałem ciała, bo zapomniałem wcisnąć PLAY. Musiało minąć sporo czasu, od kiedy się obudziłaś, a na ekranie non stop mieli się zapętlone menu. Naciskam mute.

– Proszę bardzo. Lepiej, Beck…

…anienka1027?

Pochlipujesz i pojękujesz, źle wyglądasz, ale kiwasz głową, chyba. Każę ci podejść do szuflady, do której wkładam dwie karty.

Przyglądasz się.

– Kurwa, co to jest?

– Szuflada, Beck.

Stukam palcem o szufladę, za pomocą której pan Mooney podawał mi pizzę, a potem ja podawałem Benjiemu napoje. Czasami ludzie jednak się zmieniają. Chcę, żebyś wzięła karty.

Wyjaśniam:

– Zaczniemy, kiedy weźmiesz karty. Na jednej jest napisane „tak”, na drugiej „nie”.

– Joe – mówisz.

Nie podchodzisz do szuflady, nie słuchasz.

Pokazuję na szufladę. Podchodzisz, odzywasz się błagalnym tonem:

– Joe, proszę cię, wiem, że za gwałtownie zareagowałam.

– Beck, weź karty! – Jestem niewzruszony. Patrzysz na mnie jak na wariata. – Weź je. Im prędzej zaczniemy, tym prędzej dostaniesz posiłek.

Bierzesz karty. Przecież lubisz testy. Siadasz na ławeczce, odwrócona w moją stronę. Widzę, że zjadłaś trochę precli i wypiłaś prawie całą wodę. Grzeczna dziewczynka.

– To jest egzamin ustny – oznajmiam i wybuchasz śmiechem. Trzymam za ciebie kciuki, udaję, że nie słyszałem. – Odpowiadasz „prawda” lub „fałsz”. Każdą odpowiedź będziesz mogła uzasadnić.

– Żartujesz, prawda?

Ignoruję twoje słowa, zaczynasz chlipać. Trudno mieć pretensję. Gdybym musiał przez pięć godzin z hakiem w kółko oglądać i słuchać menu *Pitch Perfect*, też bym rwał włosy z głowy. Zaglądam do notatek i zaczynam:

– Masz romans ze swoim terapeutą, Nickym Angevine’em. Prawda czy fałsz?

– Fałsz – rzucasz.

Chcę, żebyś zdała egzamin, więc naciskam.

– Powtórzę. Masz romans ze swoim terapeutą, Nickym Angevine’em. Prawda czy fałsz?

Specjalnie pominąłem słowo „doktor”. Zwieszasz głowę.

– Fałsz.

Wzdycham.

– Jesteś pewna?

W końcu otwierasz się przede mną, tak jak przewidział cummings. Zakładasz kosmyk za ucho.

– To skomplikowane.

– Nie, Beck, to nie Facebook. Nic nie jest skomplikowane. Tak albo nie.

Wstajesz, złościsz się, rwiesz włosy, warczysz, wzywasz pomocy, boisz się o swoje życie, biedne twoje struny głosowe, szkoda ich. Odkładam notatnik. Podchodzę do klatki.

– Kocham cię, Beck. Zabicie cię jest ostatnią rzeczą, jaką mógłbym zrobić.

– W takim razie mnie wypuść.

– Niedługo – mówię i wracam na stanowisko. Biorę notatnik. – Masz romans ze swoim terapeutą, Nickym Angevine'em. Prawda czy fałsz?

Jęczysz i kopiesz niewidzialny cel, ale podnosisz kartę z napisem „tak". Tak!

– Dobra odpowiedź – mówię i stawiam ptaszka przy pytaniu.

– Joe – zaczynasz. Wstajesz, po czym klękasz. Jak sierota. Prosisz, błagasz. – Proszę, nie miej mi za złe doktora Nicky'ego. To był błąd, rozumiesz? Chwila słabości. Ale to skończone. Przespałam się z nim tylko raz. Naprawdę, Joe. To nic nie znaczyło. Jedna głupia noc.

To wcale nie była jedna głupia noc. Idziemy dalej.

– Następne pytanie – informuję. Ciężko, Beck, jest mi ciężko. – Joe Goldberg to niemota. Prawda czy fałsz?

Rechoczesz i odpowiadasz, szybko i pewnie.

– Chyba żartujesz. Fałsz. Masz mnóstwo zalet. Przecież w kółko ci powtarzam, jaki jesteś mądry, mądrzejszy od któregokolwiek z moich znajomych. Jesteś niesamowity, jesteś zabawny, jesteś mądry i prawdziwy.

Obawiałem się, że powiesz coś takiego. Wyjmuję z torby MacDupka. Na jego widok jęczysz. Kopiesz, tupiesz i zaciskasz pięści. Zachowujesz się jak pięciolatka. Czekam, aż przestaniesz się złościć. Wiem, że mnie kochasz i że tak naprawdę wcale tego o mnie nie myślisz, ale zanim przejdziemy dalej i zamkniemy ten etap, wszystko musi zostać ujawnione i wyjaśnione. W końcu to ty włamałaś się do mojej ściany. Nie miałem wyjścia, musiałem się odwdzięczyć.

Czytam na głos wiadomość, którą wczoraj wysłałaś do Nicky’ego z konta Beckanienka1027:

> Nicky, kochanie, próbuję zakończyć znajomość z Joem, ale jest mi niezwykle trudno, ponieważ to straszna niemota i jestem przekonana, że nigdy wcześniej nie trafiła mu się taka dziewczyna jak ja. Z drugiej strony, powiem ci szczerze, czasem budzę się w nocy, rozmyślam nad tym wszystkim i dochodzę do wniosku, że chyba nie chcę zostać macochą dla twoich dzieci. Aha, jeszcze jedno: możesz mi oddać *Rzeczy, które nieśli*? Dzięki!

Zamykam MacDupka. Nie okazuję uczuć. Jako egzaminator muszę zachować emocjonalny dystans. Cisza. Mam wrażenie, jakby białe kruki na półkach słuchały nas z zapartym tchem i czekały.

– W porządku – mówisz i wkraczamy na nowy teren. – Idiotka ze mnie, Joe. I to podręcznikowa. Zawsze patrzysz na mnie, jakbym była wyjątkowa i w ogóle. Nie wiem, dlaczego to robisz, bo wcale nie jestem. Zamierzałam odzyskać twoją książkę, naprawdę.

Chcę cię pocałować, powiedzieć, że cię kocham, przytulić, ale nie robię tego. Mówię za to:

– Chcesz zerwać z Nickym. Prawda czy fałsz?

– Prawda, Joe. – Siadasz, rozstawiasz nogi i zwieszasz głowę. Po chwili ją podnosisz. – Stuprocentowa prawda. Absolutnie.

Otwieram MacDupka i biorę głęboki oddech.

– Przechodzimy do czytania ze zrozumieniem. Przeczytam coś, co napisał do ciebie Nicky. Następnie powiesz mi, co to znaczy.

Wpatrujesz się we mnie. Milczysz. Zakładam, że rozumiesz, co do ciebie mówię. Odchrząkuję. I czytam na głos:

> Tak myślisz, Beck? Właśnie powiedziałem o tobie mojej żonie. Trochę za późno na teksty o macosze. To nie zabawa, Beck, tylko prawdziwe życie. Jadę do ciebie. Nie mam gdzie się podziać. Żona chce, żebym się wyprowadził. To się dzieje tu i teraz, a ty upominasz się o książkę?

Zamykam MacDupka.

– Masz dwie minuty na to, żeby wytłumaczyć mi, co rozumiesz przez tę wiadomość.

Chciałbym ci podpowiedzieć, ale mi nie wolno. Włączam stoper w telefonie. Odpowiedź jest oczywista, Beck. Chcę od ciebie usłyszeć, że zamierzasz złożyć na Nicky'ego doniesienie po to, żeby odebrali mu licencję na wykonywanie zawodu. Chcę od ciebie usłyszeć, że masz nadzieję, iż żona wyrzuci go z domu i Nicky umrze bezdomny i samotny, ściskając walizkę pełną porysowanych płyt, których nie ma na czym odtwarzać. Chcę, byś sobie uświadomiła, że nic do niego nie czujesz. I że pragniesz tylko mnie. No, ale mija pierwsza minuta, a ty nie powiedziałaś ani słowa. Nagle klaszczesz w dłonie i mówisz zbyt radosnym tonem:

– W porządku, Joe, wydało się. Zakochałam się w żonatym facecie. Jestem okropna. Nie będę obwiniała swoich rodziców ani kogokolwiek, bo wiesz, mam już dwadzieścia cztery lata. Mnóstwo dziewczyn miało beznadziejnych ojców. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Udzieliłaś złej odpowiedzi. Nicky rzeczywiście zastawił na ciebie pułapkę, wpadłaś w nią i teraz fizycznie i emocjonalnie jest ci niezwykle trudno się z niej wydostać. Ale się starasz. Widzę to. Otwieram MacDupka i mówię:

– Następne pytanie. Czytanie ze zrozumieniem, ciąg dalszy. Ostatnia wymiana mejli pomiędzy tobą a Nickym. Napisałaś:

> Nicky, straaasznie cię przepraszam. Naprawdę myślę, że nigdy nie pokocham nikogo tak, jak kocham ciebie.

Skaczesz na równe nogi i protestujesz.

– Joe, proszę cię, przestań.

Unoszę rękę. CISZA. Czytam, co napisałaś:

> Robię się mokra, kiedy o tobie myślę. Nigdy mi się to nie zdarzyło.

Głośno protestujesz:

– Mówię to każdemu facetowi, Joe. Oni lubią takie rzeczy. Chyba nie sądzisz, że to prawda?

Odrywam się od komputera.

– Mnie tego nie mówiłaś.

– Bo ty jesteś inny – mówisz. *Inny, atrakcyjny*. – Nie kupiłbyś takiego tekstu.

Urocza jesteś, ale sprawdzian czeka. Poza tym chyba nie chcesz wykpić się urodą i seksapilem, wolałabyś popisać się inteligencją i dzięki niej zdać egzamin. Zaglądam do MacDupka i czytam dalej twój mejl do Nicky'ego:

> Czuję, że kochasz żonę bardziej, niż ci się wydaje. A ja mogłabym pokochać Joego.

Znów mi przerywasz:

– Kocham cię, Joe. Naprawdę, kocham cię.

Nie zwracam na ciebie uwagi. Jeszcze nie skończyłem.

– Teraz przeczytam odpowiedź Nicky'ego:

> Chcesz wiedzieć, Beck, co czuję? Otóż czuję, że jesteś egoistyczną pizdą. Życzę ci szczęścia, Beck. Będziesz go potrzebowała, skoro jesteś aż tak pozbawiona wszelkich zasad.

Zamykam MacDupka i wkładam go do torby. Sięgam po notatnik.

– Masz trzy minuty na objaśnienie mi sensu tych wiadomości.

Dostajesz dodatkowy czas, ponieważ jesteś dobrą słuchaczką i przeszłaś piekło, w którym to Nicky powinien się smażyć za to, co ci zrobił. Zawiodłem cię, darowując mu życie. Wykorzystał cię w rzekomo bezpiecznym schronieniu, wśród beżowych poduch, klasycznego rocka i bzdur na resorach. Żal mi ciebie, Beck. Nic dziwnego, że byłaś bliska obłędu i że skłamałaś, mówiąc o dezynsekcji w twoim budynku. Musiałaś uciec od MacDupka i dupka, który ci go sprezentował. I nie dziwota, że chodziłaś po ścianach – całkiem dosłownie – w moim mieszkaniu.

Nadal się zastanawiasz, chodzisz tam i z powrotem, a ja się modlę. Chciałbym ci podpowiedzieć. Chcę od ciebie usłyszeć, że nie rozpoznajesz siebie w tych mejlach. Chcę od ciebie usłyszeć, że po niecałych ośmiu godzinach w klatce czujesz się jak narodzona na nowo. Chcę od ciebie usłyszeć, że n i g d y nie zrobiło ci się mokro na widok tego zgarbionego megalomana. Chcę od ciebie usłyszeć, że mnie kochasz i że błagasz o wybaczenie. Bo wszystko, czego pragnę, to ci wybaczyć.

Minęły trzydzieści cztery sekundy i dwie minuty, od kiedy włączyłem stoper. Spoglądasz na mnie i odpowiadasz:

– Najzabawniejsze, że kiedy pierwszy raz poszłam do Nicky’ego, naprawdę chciał wiedzieć, co jest ze mną nie tak. Powiedział: „No dobrze, Beck, przekonajmy się, co ci, do kurwy nędzy, dolega”.

Śmiejesz się do siebie. Nicky wykorzystał identyczny tekst w rozmowie ze mną. Sukinsyn.

Mówisz dalej:

– Powiedziałam mu, że czuję się, jakby moja głowa była domem. Z początku nie zrozumiał. Powiedziałam, że moja głowa jest jak dom i w tym domu jest mysz. Stąd bierze się mój nieustanny niepokój.

Ty to wymyśliłaś! Nicky jest złodziejem.

– Aha – mówię.

Powinienem był zabić Nicky’ego, kiedy przestąpiłem próg jego gabinetu.

– Zrozumiał, dopiero kiedy powiedziałam, że jedyną rzeczą, która pozwala mi zapomnieć o myszy, są kontakty z facetami.

Patrzę na wyciszone menu *Pitch Perfect*. Ani trochę nie przypominasz Beki.

– Powiedziałam – ciągniesz, jeszcze bardziej łamiąc mi serce – że uwielbiam być pożądana. I że lubię nowe rzeczy. Tobie też to powiedziałam.

– Myślałem, że chodzi ci o badziewie z Ikei – rzucam i odwracasz głowę.

Próbujesz się wytłumaczyć, opowiadasz o swoich problemach, jakbyś streszczała fabułę filmu, który obejrzałaś w nocy. Jesteś rzeczowa i obojętna – byłaś taka na długo, zanim się poznaliśmy. Mówisz o sobie: „Jestem stalkerką”. Mówisz, że wyobrażałaś sobie własny ślub – leci *My Sweet Lord* – z milionem facetów.

– Z tobą też, Joe.

– Więc jednak chciałaś za mnie wyjść – mówię.

Jesteś moją miłością, moją ukochaną panią.

– Nie rozumiesz – mruczysz. – Nie jestem taka.

Myślę, że się mylisz. Mówisz, że terapia to pomyłka.

– Nie da się wygonić myszy z domu. Jedyny sposób to wysadzić dom w powietrze.

Jesteś zmęczona i głodna, mówisz bez ładu i składu. Wkładam notatnik do torby, wyjmuję dwa batony o smaku placka wiśniowego i kładę je na szufladzie. Uwielbiasz opowiadać o sobie, nawet kiedy siedzisz w klatce. Włączam *Pitch Perfect* i wychodzę, nie zważając na twoje wołanie. Nie mogę zostać. Muszę przygotować drugą część sprawdzianu.

Podchodzę do półki z bestsellerami i biorę dwa egzemplarze *Kodu Leonarda da Vinci*. Wracam do piwnicy. Łapczywie pochłaniasz batona, nie odrywając oczu od ekranu, na którym The Treblemakers wydają paszczodźwięki. Wysuwam szufladę i kładę na niej książkę.

– To żart? – pytasz, żując wiśniową babską przekąskę.

Pokazuję drugi egzemplarz.

– Ja też przeczytam.

– Po co?

– Bo nie przychodzi mi do głowy inna książka, której ani ty, ani ja nie czytaliśmy.

Abyśmy mogli zrobić kolejny krok, musi nas połączyć wspólne doświadczenie. Kartkujesz książkę i jest w tobie wielka pewność siebie, zwierzęca jurność, uparta duma z miękkiego, żarłocznego magnesu, który masz między nogami. Nie boisz się mnie. Nie boisz się nikogo. Mężczyźni cię kochają. Wiesz o tym. Żaden mężczyzna nigdy nie zostanie myszą w twoim domu, ponieważ zawsze będziesz kogoś miała – sprzedawcę ciacho z księgarni, napalonego psychiatrę, nieujawniającą się bogatą lesbijkę – zawsze ktoś o ciebie zadba i upewni cię w przekonaniu, że jesteś wyjątkowa. W klatce nie czujesz się uwięziona, lecz kochana. Tak jak ja.

49

W naszym domu jest mysz, nazywa się Dan Brown, twórca profesora Roberta Langdona i zapalonej, hipnotyzującej kryptolożki Sophie Neveu, jest panem naszej rezydencji. Dajemy się wciągnąć niemal natychmiast, razem odbywamy tę podróż. Jedziemy do Luwru, podążamy za wskazówkami. Leżysz na brzuchu, ożywiasz się, kiedy dzieje się coś porywającego, a dzieje się często. Leżę na boku na zewnątrz klatki i pochłaniam książkę tak samo łapczywie jak ty.

W przerwach rozmawiamy o Opus Dei i Zakonie Syjonu, chcielibyśmy, żeby Robert Langdon naprawdę istniał, w sieci znajduję fragmenty adaptacji filmowej, które oglądamy, kiedy chcemy dać odpocząć oczom i palcom. Jeszcze nigdy nie czułaś się tak bardzo w obowiązku czytać dalej; przyznaję, że mam tak samo.

– Uwielbiam historie Stephena Kinga – mówisz. – Ale to co innego, bo jego książki są doskonale napisane. *Lśnienie* to Literatura przez duże L, wiesz?

Wiem. Przypominam sobie Benjiego i jego niechęć do przyznania się, że podobał mu się *Doktor Sen*. Czytamy do późna, a następnego dnia budzisz mnie, suwając szufladą tam i z powrotem.

– Pobudka! – wyjesz. – Ja tu umieram.

Zaczynamy czytać, ale potrzebujemy kawy, więc lecę na górę, wychodzę z księgarni i idę do Starbucksa. Nie tyle zdajesz egzamin, ile wręcz wczuwasz się w swoją rolę. W Starbucksie długa kolejka, ale stoję, bo zasługujesz na latte o smaku słonego karmelu, które od czasu do czasu pijasz. Nie ma lepszego klubu książki niż nasz.

– Czy to normalne, że przemawia do mnie postać Silasa? – spytałaś wczoraj wieczorem. – Wiem, że to zabrzmi dziwnie, ale kiedy dowiedziałam się, że Peach nie żyje, bardziej niż zasmucona jej śmiercią byłam zła na siebie. Była najlepszą przyjaciółką na świecie, ponieważ stanowiłam dla niej cały świat. Miała obsesję na moim punkcie, a ja nawet nie pamiętałam, kiedy obchodzi urodziny.

– Byłaś kościołem – wyjaśniłem.

– A ona była Silasem – dodałaś.

Przypomniałem ci naszą pierwszą rozmowę w księgarni, kiedy zapytałaś, czy jestem księdzem, na co odpowiedziałem, że nie, jestem kościołem.

– Wow – powiedziałaś. – Wow.

Wracając do księgarni z latte o smaku słonego karmelu, uśmiecham się do siebie, bez powodu i z powodu wszystkiego. Jesteśmy parą jak ze snów, jesteśmy tym, co przytrafia się Meg Ryan i Tomowi Hanksowi, kiedy się wreszcie pocałują, i co dzieje się po tym, jak wolny od raka Joe Gordon-Levitt i urocza terapeutka praktykantka Anna Kendrick zjedzą pizzę w *50/50*. Jesteśmy Winoną Ryder i Ethanem Hawke'em po tym, jak U2 skończą śpiewać *All I Want Is You*. Na mój widok klaszczesz w dłonie, ale zaraz marszczysz brwi.

– Joe – mówisz – kubek jest za wysoki, nie przejdzie przez szufladę.

– Wiem.

Kocham cię za to, że się tu zadomowiłaś i że nie walczysz.

– W takim razie jak zamierzasz mi go podać?

Uśmiecham się i pokazuję ci szeroki, niski kubek, który specjalnie po to kupiłem.

– Wow. – Jesteś pod wrażeniem.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wypowiedziałaś to słowo częściej niż przez ostatnie dwadzieścia cztery tygodnie. Nazywasz mnie geniuszem i prosisz, żebym raz jeszcze opowiedział o tym, jak zwabiłem Benjiego do księgarni. Pijemy kawę, ty – w klatce, ja – poza nią. Kiedy kończę opowieść, kręcisz głową i znowu powtarzasz:

– Wow.

– E tam – kryguję się.

– Jedna rzecz – mówisz i stawiasz kubek na podłodze. – W ostatnim tweecie Benjiego napisałeś „w” Nantucket. Pamiętam, że kiedy czytałam tę wiadomość, pomyślałam, że chyba naprawdę coś mu odbiło, skoro doskonale wie, że mówi się „na” Nantucket, a nie „w”.

– Dobra robota, Sophie. – Uśmiecham się.

I nie ma lamentów, nie ma wojny, bo jesteśmy jednością, jesteśmy jak UNICEF – dajemy.

– Dziękuję, profesorze. – Promieniejesz i puszczasz oczko.

– Przerwa? – pytam.

– Doskonale – odpowiadasz.

Dobrze nam tu. Włączam *We Are the World*, śmiejesz się i pytasz, czemu wybrałem akurat tę piosenkę. Odpowiadam, że czuję się, jakbyśmy tu, w tej piwnicy, naprawiali świat. Masz poważną minę, wiesz, o czym mówię, zgadzasz się ze mną i nigdy z nikim nie czułem tak silnej więzi jak z tobą. Wiesz, jak działają moje zmysły, jak funkcjonuje mój umysł. Podoba ci się tam, tutaj.

Mijają godziny, wymiana myśli na temat *Kodu Leonarda da Vinci* prowadzi do opowieści o festiwalu Dickensa, a ta do rozmowy o kostiumach i dalej o czapkach i kapeluszach, czerwienię się, a wtedy ty uświadamiasz sobie, że wiem o czapce Holdena Caulfielda. Zamykasz swój egzemplarz *Kodu*. Obejmujesz kolana, tak jak to robisz, kiedy jesteś bardzo, ale to naprawdę bardzo smutna.

– To musiało być dla ciebie okropne – mówisz.

– Jemu też nie do twarzy w tej czapce – odpowiadam i brzmię tajemniczo jak Robert Langdon.

Nadal masz do siebie pretensję.

– Jestem oszustką.

– Nie, Beck, nie jesteś.

– Przypominasz mi tego arystokratę z Zakonu Syjonu, który próbuje mnie rozgryźć, a ja jestem do tego stopnia nieudolna, że nie potrafię porządnie ukryć czapki myśliwskiej, już nie mówiąc o wstrętnym, tanim, gównianym romansie.

Wstrętny! Tani! Gówniany! Romans! Z ulgą przyjmuję twoje słowa i się uśmiecham.

– Nie uznajesz taryfy ulgowej. Musisz tylko uważać, z kim wybierasz się na przejażdżkę.

– Masz rację – mówisz. – Nie istnieje nikt bardziej oddany i przeżywający głębiej niż ty, Joe.

– Z wyjątkiem ciebie – odpowiadam i się uśmiechasz.

Puszczasz oczko.

Czytamy. Kiedy zagłębiamy się w opowieści, milczymy. Książka wciąga nas oboje tak samo mocno, w pewnej chwili niemal jednocześnie zasypiamy. Budzę się pierwszy i pozwalam ci odpocząć. Idę do księgarni i się przeciągam. Dostałem esemes od Ethana:

> Joey, druhu! Gratulacje dla Beck. Blythe mówi, że wydrukują ją w „The New Yorkerze”! Niesamowite! Umówmy się na drinka w przyszłym tygodniu! Stawiam! Albo na parapetówkę, bo właśnie przeprowadzam się do Blythe!!!!!

Ethan Wykrzyknik wreszcie ma powód, by używać wykrzykników – niech mu będzie na zdrowie. Idę do beletrystyki, zatrzymuję się przed regałem a–d, sięgam po *Wielkie nadzieje* Dickensa i aż mi się kręci w głowie. Pewnego dnia opowiem ci, jak pojechałem za tobą do Bridgeport i na festiwal Dickensa w Port Jefferson. Powiesz: „Wow”. Znowu.

Moje przewidywania sprawdzają się już niecałe pół godziny później. Kartkujesz *Wielkie nadzieje*.

– Wow – mówisz. – Więc naprawdę wiesz, jak wygląda moje przyrodnie rodzeństwo.

– Owszem – odpowiadam – Nawet kupiłem brodę, tak na wszelki wypadek.

Wkładasz książkę do szuflady.

– Myślę, że jesteś geniuszem.

Wysuwam szufladę i wyjmuję Dickensa.

– Gotowa?

Szczerzysz zęby.

– Myślałam, że już nigdy nie zapytasz.

Siadamy, każde na swoim miejscu, i czuję się, jakbyśmy trzymali się za ręce, biegli pomostem, nabierali powietrza i razem wskakiwali w nieokiełznaną głębię *Kodu Leonarda da Vinci*. To są najszczęśliwsze chwile mojego życia – kiedy podnoszę wzrok i czekam, aż wyczujesz moje spojrzenie i dasz mi to, czego pragnę.

– Dwieście czterdziesta trzecia, a ty? – pytasz.

– Jestem na dwieście pięćdziesiątej pierwszej.

– Zrób sobie krótką przerwę i zaczekaj na mnie – mówisz i dodajesz, że potrafię czytać szybko i uważnie, i w tej umiejętności jestem wyjątkowy, ponieważ większość ludzi, a zwłaszcza mężczyzn, umie albo jedno, albo drugie.

Płaczemy, kiedy Robert i Sophie docierają do kielicha, wiemy bowiem, co się stanie, gdy wkroczą do świątyni. Kładziesz dłoń na szufladzie i ja kładę dłoń na szufladzie i choć szuflada jest skonstruowana tak, że nie możemy się dotknąć, czuję twój puls, naprawdę czuję. Pociągasz nosem.

– Nie chcę, żeby to się skończyło.

– Jak końcówka *Korekt* – mówię.

Problem z książkami polega na tym, że kiedyś się kończą. Uwodzą cię. Rozkładają przed tobą nogi i wciągają cię do środka. Wchodzisz w nie głęboko, zostawiając wszystko, co miałeś, zrywasz wszelkie więzy łączące cię ze światem i podoba ci się w nich, i już nie potrzebujesz więzów, rzeczy, i wtedy książka się kończy. Treść ulatuje. Przewracasz stronę, a tam nic nie ma. Oboje płaczemy. Cieszymy się z sukcesu Sophie i Roberta, jesteśmy zmęczeni podróżą. Przebyliśmy długą drogę. Chwilami wczuwaliśmy się tak bardzo, że stawałaś się Sophie, potomkinią Jezusa, a ja stawałem się Langdonem, jej wybawcą. Teraz powoli wracamy do naszych ciał, do naszych umysłów. Ziewasz, ziewamy, przeciągasz się. Śmiejemy się. Pytasz, ile czasu minęło.

– Trzy dni, prawie cztery.

– Wow – mówisz.

– No wiem.

– Powinniśmy to uczcić.

– Na przykład jak?

– Nie wiem – kłamiesz, ty nimfo. – Mogę pójść po lody.

Kod Leonarda da Vinci to najlepsza książka na świecie. Kiedyś, kiedy zamieszkamy razem, powiesimy sobie półeczkę – nową, nieużywaną, bo znam cię i wiem, że lubisz nowe rzeczy – na której umieścimy wyłącznie nasze *Kody*, będą sobie stały razem, złączone na wieczność nadnaturalną siłą naszej miłości.

50

Biegnę do sklepu po lody i w głowie słyszę śpiew Bobby'ego Shorta – „jestem twoim księciem" – w drodze do delikatesów i z powrotem czuję się wniebowzięty. Pędzę po schodach, spieszy mi się do ciebie, niosę takie lody, jakie sobie zażyczyłaś, waniliowe. Znów masz zwyczajny gust; trzy tygodnie temu poprosiłabyś o cholerne *gelato*, bo znalazłaś to słowo w „Sunday Styles". Chcę ci opowiedzieć o pewnym zabawnym gościu, którego zobaczyłem w kolejce w sklepie, ale kiedy schodzę do piwnicy, okazuje się, że się zmieniłaś. Jesteś naga. Zamieram.

– Beck.

– Chodź tutaj – rozkazujesz niskim głosem. – I weź ze sobą lody.

Robię, jak każesz. Twoja prawa dłoń muska obojczyk i zsuwa się na pierś. Wydajesz kolejny rozkaz:

– Przynieś mi deser.

Rozrywam opakowanie, wylatuje łyżeczka, do diabła z nią, zrywam wieczko i plastikową osłonkę. Lody są miękkie, a mój kutas twardy, i już wiem, dlaczego Bobby Short czuł się jak koń wyścigowy; jestem koniem wyścigowym.

– Chwileczkę – mówię.

– Tik-tak, tik-tak – mruczysz.

Włączam piosenkę na komputerze. Podoba ci się. Rozkazujesz:

– Ustaw, żeby grało w pętli.

Posłusznie wykonuję polecenie, podchodzę do szuflady, klękasz przed klatką, sterczą ci sutki. Pytasz, czy mogę wyjąć szufladę tak, żeby została s z p a r a. Mogę. Każesz mi zdjąć spodnie. Zdejmuję. Wysuwasz ręce przez otwór, tam gdzie była szuflada. Biorę lody i podchodzę. Dotykasz się,

pokazujesz wilgotny, lśniący palec. Podsuwam ci lody, są gorące od twojego żaru, roztapiają się. Cały czas patrząc mi prosto w oczy, zagłębiasz palce w magnesie, który masz między nogami. Teraz palce obu dłoni są wilgotne od twoich soków, wkładasz je do rozpływających się lodów waniliowych. Kusisz mnie. Chcesz, bym dał ci usta – daję je, a ty wkładasz w nie palce, które są jak poezja. Pieprzyć cummingsa. To jest o niebo lepsze. Twoje ciało. Mój kutas. Dzięki niech będą e.e. cummingsowi. Moje ciało. Twoje dłonie – są jak *Kod Leonarda da Vinci*. Moje ciało należy do ciebie. Wysysam życie z twoich palców, wyszarpujesz je z moich ust. Spoglądam na ciebie z góry i widzę, że nurkujesz w pudełku z lodami, po czym twoja waniliowa dłoń dołącza do drugiej, trzymającej mnie za fiuta, i jestem gorący i zimny, twardy przy twojej miękkości. Twoje dłonie wykonują taniec, prowadzą mnie do twoich ust, połykasz mnie, jęczę, jesteśmy światem, ledwo mieścimy się w szparze, mój chuj i twoje dłonie. Moje miejsce jest w twoich ustach. Kiedy podnoszę powieki, patrzysz na mnie szeroko otwartymi oczami. Potrzebuję cię, całą ciebie. Pragniesz całego mnie. Znasz wszystkie moje tajemnice. Wyjmujesz mnie z ust i trzymasz w dłoni. Zadzierasz głowę i prosisz:

– Zerżnij mnie.

Decyzja o tym, żeby ci zaufać, nie pojawia się świadomie. Kieruje mną ciało, rzucam się do drzwi, chcę prędko otworzyć klatkę. Pieścisz się i czekasz. Wkładam klucz do zamka, tęsknię za twoim dotykiem, wkraczam w twoją przestrzeń, w ciebie. Nie uciekasz, biegniesz do mnie, pożądliwa. Zaciskam dłonie na twojej szyi, wstrzykuję język w twoje usta, przyjmujesz go. Drapiesz. Mógłbym cię zabić, wiesz o tym, masz twarde sutki i ciasną, słodką, waniliową cipę, moglibyśmy to robić bez końca. Przeżywasz prawdziwy orgazm, eksplodujesz jak egzorcyzm, jak wykrzyknik. Mówisz językami, jesteś moja, jestem w tobie, luzuję uścisk, strzelam, jestem twój, naprawdę jestem. Wyginasz plecy w łuk, wow. Byłaś ze mną w miejscu lepszym niż Upper West Side, bijącym na głowę Turks i Caicos oraz beżowy gabinet Nicky’ego. Zabrałem cię do Francji, do kielicha, na księżyc, nie ruszasz się, uśmiechasz się całym ciałem, jesteś liściem lilii wodnej, przypiekanym promieniami słońca, unoszącym się na wodzie,

zakorzenionym w dnie jeziora, w moim dnie, tej ciemnej, wiszącej nad tobą postaci.

Drzwi klatki są otwarte, jestem półnagi, nie dogoniłbym cię, gdybyś teraz pobiegła schodami. Gdybyś chwyciła mnie za opróżnionego kutasa, wymierzyła kopniaka i rzuciła się do ucieczki, udałoby ci się wymknąć. Drzwi do piwnicy są niezamknięte, więc teoretycznie dotarłabyś na górę. Ale zamknąłem drzwi wejściowe, a ty pracowałaś tu zbyt krótko, żeby wiedzieć, gdzie chowam klucz. No, ale gdybyś naprawdę chciała, mogłabyś zaryzykować, pobiec naga do księgarni i zacząć wzywać pomocy. Ktoś by ci pomógł, ktoś by przyszedł po mnie, ale nie, to się nie zdarzy. Twoje ciało nie potrafi kłamać, twoja gęsia skórka mówi prawdę. Oblizujesz usta i spoglądasz na mnie. Mruczysz.

– Joe. Wow.

51

W pewnym momencie przestaję udawać, że śpię, i patrzę na śpiącą ciebie. Żyjemy w nowym świecie, całuję cię i się przeciągam. Muszę się umyć. Wychodzę z klatki, nie zamykam jej; w tym nowym świecie nie zamykamy drzwi na klucz, zostawiam je lekko uchylone – tak samo jak dźwiękoszczelne drzwi do piwnicy i drzwi w przedsionku, z którego wychodzi się do księgarni. Jesteśmy wolni, zabieram oba egzemplarze *Kodu Leonarda da Vinci*, jestem jak dziecko z nową zabawką. Na górze z nieudawanym zaskoczeniem stwierdzam, że wszystkie książki stoją na półkach, przetrwały trzęsienie ziemi naszego orgazmu. Tabliczka zamknięte również wisi tam, gdzie ją powiesiłem, kiedy wyruszaliśmy w głąb *Kodu*. Łazienka też się nie zmieniła od naszego nieziemskiego pieprzenia.

Pstrykam przełącznik, małe pomieszczenie zalewa światło halogenów i uruchamia się głośny, beznadziejny wentylator, o który suszyłaś mi głowę. Ale nawet on wywołuje uśmiech na mojej twarzy – dzięki tobie – wymienię go, Beck, obiecuję, bo masz rację, jest zbyt głośny. I do tego tak stary, że na pewno nic nie daje. Stanowi również zagrożenie, zwłaszcza kiedy jestem sam w księgarni, ponieważ jeden kontakt włącza światło i wentylator. Nie ma światła bez hałasu, przez terkot wentylatora zupełnie nic nie słychać. Masz rację, Beck, jest niebezpieczny.

Spłukuję toaletę, odkręcam wodę w kranie, oglądam się w lustrze. Wyglądam nieźle, jestem zadowolony, zastanawiam się, czy nie założyć profilu na Facebooku, żebyśmy zostali wirtualnymi znajomymi. Muszę to zrobić, zanim mnie o to poprosisz; dopisuję pozycję do listy, którą układam w głowie. Gorąca woda obmywa mi dłonie. Nie wiem, czy dla ciebie dołączę do Facebooka. Czytałem gdzieś, że dzieciaki są dziś wyjątkowo

nieuczciwe; podobno jest taka gra, nazywa się Prawda. Wchodzi się na czyjś profil i na jego tablicy – co za bzdurny język – pisze się: „Prawdą jest, że…” i ujawnia się coś zaskakującego, ale i prawdziwego o tej osobie. Smutne i absurdalne jest, że ty i twoi znajomi do tego stopnia przyzwyczailiście się do blagi, że musicie uprzedzać, kiedy mówicie prawdę, ponieważ bywa aż tak zaskakująca, aż tak odstaje od kłamstw, które składają się na wasze życie.

Ale skończyłaś już z Facebookiem i zanim skasujesz swój profil, może jeszcze ten jeden, ostatni raz zaktualizuję twój status:

Prawdą jest, że uwielbiam *Kod Leonarda da Vinci* jak cholera.

Przed nami ważne decyzje. Czy przeprowadzisz się do mnie? Czy ja przeniosę się do ciebie? Czy zostaniemy w Nowym Jorku? Prawda, mam tu świetną pracę, ale myślę, że byłoby ci do twarzy z Kalifornią – nie znasz zbyt wielu nowojorskich pisarzy, wśród których mogłabyś się obracać – a teraz, kiedy mamy siebie, możemy jeździć po kraju. Patrzę na mój egzemplarz *Kodu*, leżący na twoim, i widzę, Beck, że razem wyglądają dobrze. Jest dobrze.

Namydlam się, z żalem zmywam z siebie ciebie i lody waniliowe. Ale też cieszę się, że znów będę mógł się zabrudzić twoim potem i twoimi sokami, i twoją śliną. Wentylator jest głośny, a mój kutas sztywny, i już wiem, co zrobię. Obudzę cię ustami, zjem cię na surowo. Dobrze, że mam tu zapasową szczoteczkę, jest sucha, uśmiecham się, ponieważ kiedy następnym razem będę chciał umyć zęby, szczoteczka będzie mokra, używana przez ciebie. Kiedy myję zęby, czuję się święty i pełny oddania jak Silas, zwilżam skórę pod pachami i rozpylam wodę kolońską, którą kupiłem, żeby pachnieć jak barman. Boże, jak ja cię znam. Ochlapuję włosy wodą. Ogoliłbym się, ale już za tobą tęsknię. Muszę cię wylizać, i to już, natychmiast.

Pstrykam włącznik. Światło gaśnie, wentylator zwalnia, nie otwieram drzwi. Coś jest nie tak. Ciszę mącą nieprzyjemne dźwięki: tupot stóp na deskach, twój zrozpaczony krzyk: „Pomocy!” i zgrzyt drzwi wejściowych do księgarni. Szarpiesz się z nimi. Zabieram nasze książki i wychodzę z łazienki. Jesteś na froncie, walisz pięściami w szybę, ale na szczęście jest

czwarta rano, na ulicy nie ma nikogo, kto by cię usłyszał. Ten, kto nazwał Nowy Jork miastem, które nie śpi, nigdy nie pracował w Mooney Rare and Used. Staję pośrodku sklepu, widzę cię na tle szyby: burza włosów, szalony taniec kończyn, koszulka Nirvany mojej matki – wieszasz się na drzwiach, szarpiesz je, tak zaabsorbowana swoimi wysiłkami, że nie słyszysz moich kroków. Poruszam się cicho jak kot. Powoli i ostrożnie podchodzę do lady i kładę na niej nasze *Kody*. Nie wyczuwasz niczyjej obecności i stoisz tak blisko szklanych drzwi, że nie widzisz mojego odbicia. Miałem rację, nie znalazłaś klucza. Obejmuję cię i zaczynasz wierzgać.

– Nie! Puść mnie, ty chory pojebie!

Trzymam mocno. Szkoda, że jesteś w szale, bo dogodziłbym ci tu i teraz, o tak. Jesteś jak zwierzę – kopiesz, wierzgasz – jak spętany potwór. Czemu tracisz czas na młócenie ramionami, moja mała? Nie dosięgniesz mnie. Ciągnę cię w stronę lady i rzucam na podłogę za kasą. Prostuję nogi i sadzam cię sobie na kolanach. Jesteśmy niewidoczni, schowani za ladą, nawet jeśli ktoś będzie przechodził obok księgarni, i tak nas nie zobaczy. Walczysz, próbujesz się uwolnić, ale nic z tego, jeśli będę musiał, będę cię tak trzymał do końca życia.

Jak zawsze, twoja złość w końcu słabnie. Mięśnie się rozluźniają, jesteś moją nową lalką: Smutną Beck. Nie mówisz. Tylko płaczesz. Przestajesz walczyć, jest więc nadzieja. Całuję cię w szyję, nie podoba ci się to. Rozumiem, to nie pora na pocałunki. Musisz sporo ogarnąć, to duża zmiana, do wschodu słońca pozostało jeszcze trochę czasu, tulę cię, patrzę na twoje nagie uda przyklejone do moich. Tak wygląda miłość. Wiem to. Już nie próbujesz wbijać we mnie paznokci. Siedzimy w milczeniu tak długo, że na pewno zdążyłaś się wyciszyć i możesz zacząć być dobrą dziewczynką. Sprawdzam cię.

– I co my z tobą zrobimy?

Poprawna odpowiedź: poprosisz o wybaczenie, przyznasz, że spanikowałaś, kiedy obudziłaś się sama. Pomyślałaś, że cię porzuciłem, tak jak porzucił cię ojciec, tak jak porzucali cię wszyscy mężczyźni w twoim życiu. Potem obiecam, że na zawsze będziemy razem, pogłaszczesz mnie po dłoni, wybaczę ci, a wtedy ty skierujesz moją dłoń ku swemu

magnesowi. Zabiłem dla ciebie. Zasługuję na ciebie. Nie widzę twojej twarzy, nie odpowiedziałaś, pytam więc ponownie, tym razem innymi słowami:

– Co teraz, Beck?

Poprawna odpowiedź: teraz miłość.

Odpowiadasz głosem tak obojętnym, że niemal nie do poznania:

– Zniknę.

– Nie.

Nie!

– Posłuchaj, Joe – mówisz, ściskając moją dłoń w beznamiętny, nieseksowny sposób. – Mam gdzieś, co zrobiłeś Peach i Benjiemu. Rozumiem to. Benji rzeczywiście miał problem z narkotykami. Peach rzeczywiście miała problem ze sobą.

– Była kłamczuchą. Zmyśliła nawet tę swoją chorobę pęcherza.

– Wiem – mówisz; zbyt łatwo wybaczasz. – Podobało mi się to, że jest we mnie zakochana.

– Czego teraz chcesz?

Poprawna odpowiedź: mnie!

Wzdychasz. Mówisz, że nie chcesz być pisarką. Wolisz wyjechać do Los Angeles i zostać aktorką.

– A jeśli nie będę dostawała żadnych ról, wtedy może, może coś napiszę, ale tylko dla siebie, rozumiesz?

Jest coraz gorzej. Mówisz, że zasadniczo jesteś „leniwą dziewuchą”. Trzymam cię w ramionach, a ty rozwodzisz się nad własnymi przywarami.

– Blythe ma rację. Połowa moich opowiadań to tak naprawdę kartki z pamiętnika. Muszę zmieniać nazwiska i miejsca, żeby te prawdziwe historie brzmiały jak fikcja. Jestem aż tak kiepska.

– Aha – mówię, nie puszczam cię, bo nie udzielasz poprawnych odpowiedzi.

– Joe, wcale mnie nie pragniesz. – Spoglądam na twoje stopy, na palce, którymi bawiła się Peach w Little Compton. – Myślisz, że jestem marzycielką, którą pragnie pisać. Nie jestem nią. Nicky ma pełne prawo mnie nienawidzić. Przyznaję się bez bicia. Tak naprawdę wcale mi na nim

nie zależało, chciałam tylko, żeby dla mnie odszedł od żony. Chciałam spierdolić życie jego dzieciakom. Tak, Joe, wiem, że to chore. Jestem chorą osobą.

Nie.

– Nie jesteś chora.

– Widziałam cię na moim wieczorku autorskim na Brooklynie – mówisz nagle. – Wiem, że mnie śledziłeś.

Obejmuję cię i całuję w głowę, bo naprawdę jesteśmy tacy sami, jesteśmy domem i myszą, wiesz o tym. Wiesz.

– Tak myślałem – mówię. – Na to liczyłem.

Ugniatasz mnie palcami u nóg.

– W takim razie musisz też wiedzieć, że nie wydałabym cię. Jestem spoiwem wszystkich tych wydarzeń, jestem toksyczna i wiem, że to wszystko moja wina. Nie poszłabym na policję, Joe. Wypuść mnie, a odejdę na zawsze.

Daję ci jeszcze jedną szansę.

– Nie chcę, żebyś odchodziła na zawsze.

– Och, proszę cię – mówisz tonem zirytowanej kumpeli; zero seksu między nami. – Możesz znaleźć inną dziewczynę, z którą będziesz mógł czytać *Kod Leonarda da Vinci*.

– Przestań, Beck.

Powiedz, że mnie pragniesz.

– Wyjdę z księgarni, nie oglądając się za siebie. Joe, jak Boga kocham, zapomnę o wszystkim.

– Przestań, Beck.

Ale ty nie przestajesz.

– Joe, posłuchaj. Przyrzekam. Zniknę, będzie tak, jakbym nigdy nie istniała. Wypuść mnie, a obiecuję, że już nigdy, przenigdy mnie nie zobaczysz. Przysięgam. Joe?

Nie zdałaś egzaminu, nie zasłużyłaś na wyróżnienie, ściskam cię za gardło, żebyś nie udzielała już więcej złych odpowiedzi – odpowiedzi, które płoną w twoich oczach wychodzących z orbit, barwią policzki na kolor czerwieni Nantucket, ściskam mocniej, coraz mocniej. Błędne

odpowiedzi trzeba udusić, trzeba sprawić, by wypłynęły razem ze śliną, która zbiera się w kącikach twoich wykrzywionych ust. Jesteś kretynką, skoro sądzisz, że pragnę usunąć cię ze swojego życia po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem; to nie *Orbitowanie bez cukru*, nie wybierasz mnie, odrzucając fagasów zaludniających twoje życie, myliłem się co do ciebie.

Łapiesz powietrze.

– Joe.

Nie dam się zwodzić.

– Nie, Beck.

Szepczesz:

– Pomocy.

P o m a g a m ci, bo potrzebujesz egzorcyzmu, ponownych narodzin. Zgrzeszyłaś, manipulowałaś Nickym, zwiodłaś Peach na pokuszenie, śledziłaś Benjiego. Jesteś potworem, jesteś solipsystyczna do szpiku kości i jesteś bluźnierczynią, ponieważ wszystko, czego sama pragniesz, to

ty.

Ścisnąłem za mocno. Ucichłaś. Puszczam.

– Beck – mówię.

Chcę usłyszeć twój głos. Powtarzam:

– Beck. BECK.

Cisza. Kurwa mać. Co ja zrobiłem? Potrząsam twoim ciałem. Nie słyszę twojego oddechu, muszę usłyszeć twój oddech, bo *Orbitowanie bez cukru* to głupi film, bo odepchnęłaś Peach, Benji zwiódł cię na pokuszenie, Nicky złamał zasady. Powiedziałaś coś głupiego – ja też czasem mówię głupie rzeczy, dlatego ci wybaczam. Zsuwasz się z moich kolan i lądujesz na podłodze. Jesteś nieruchoma, całe twoje dobro jest gdzieś tam, głęboko w tobie, ukryte pod powiekami, uśpione. Kocham cię, kocham cały twój urok. Przepraszam, Beck. Nie mogę obarczać cię odpowiedzialnością za to, że ludzie wariują na twoim punkcie. Musisz się obudzić, bo chcę ci dać miłość, szaloną miłość.

Przykładam dłonie do twojej drobnej piersi. Oddychasz, przynajmniej tak mi się wydaje. Musisz oddychać. To niemożliwe, żeby nie pozostało nic w kimś tak pięknym i promiennym jak ty; mieliśmy nasz wszechwiązek.

Jesteś zbyt zdrowa, silna i pełna życia, Zasad Szlafroków, orgazmów, placków, kandyzowanych jabłek. Nienawidzę siebie, kocham ciebie, całuję cię, nie odwzajemniasz pocałunku, błagam, byś nie odchodziła, ściskam twoje drobne dłonie, patrzę w małe oczy, a pod koniec sztuki *Bliżej*, na podstawie której nakręcono film, postać grana przez Natalie Portman ginie potrącona przez samochód. W filmie Natalie nie umiera i bardzo dobrze, tak mi się bardziej podoba, nie możesz umrzeć, Beck. Masz dopiero dwadzieścia pięć lat, nie bierzesz narkotyków, jesteś bezpieczna, miła i pracowita, pochylam się nad tobą, tak że uchem dotykam twoich ust. Chcę usłyszeć twój oddech, chcę go poczuć, czekam. Czekam szesnaście stuleci i osiem lat świetlnych, po czym się prostuję.

Umarłaś.

Wstaję, łapię się za włosy, chcę je wyrwać, bo już nie możesz przeczesać ich palcami, ale może się pomyliłem, klękam, dotykam głową twojej dłoni i czekam na dotyk. Proszę, Beck, proszę. Ale twoje palce są nieruchome. Podnoszę głowę, zapada pełna powagi cisza i w przeciwieństwie do pełnej spokoju ciszy piwnicy, jest nienawistna i skierowana przeciwko mnie. Nie wstajesz, żeby mi przebaczyć i przerwać złowrogie milczenie, które z każdą chwilą coraz bardziej mi ciąży.

Patrzę na ciebie. Ty nie patrzysz na mnie. Twoje ciało to teraz worek kości. Nie możesz mi pomóc, bo odeszłaś, bo chciałaś odejść na zawsze. Masz na sumieniu wiele przewin, ukradłaś mi *Love Story*. Sięgam po twój egzemplarz *Kodu Leonarda da Vinci*. Znam się na książkach i widzę, zaskoczony, że niektóre strony są wciąż dziewicze, nietknięte. Coś mi się wydaje, tępa oszustko, że opuszczałaś całe rozdziały. Kiedy pytałem cię, na której jesteś stronie, kłamałaś. Najromantyczniejsze chwile mojego życia okazują się fałszem. Jestem tak bardzo zajęty przeglądaniem twojego egzemplarza *Kodu*, że nie zauważam, kiedy ożywasz.

A ożywasz.

Oszukałaś mnie, pizdo. Łapiesz mnie za kostkę i ciągniesz. Przewracam się, upuszczam książkę, ląduję na lewym boku, boli jak jasna cholera, kopiesz mnie w jaja, boli jak jasna cholera. Wcale nie odeszłaś na zawsze, jesteś opętana, brakuje ci słów, rwie mnie w kroku, nie powinienem był

myśleć o tobie jako o mojej zbawczyni, przez ciebie jest tylko gorzej. Żyjesz, krętaczko, kopiesz leżącego, wrzeszczę z bólu, naprawdę jesteś toksyczna i z piekła rodem, bo przecież jeszcze przed chwilą:

– Nie żyłaś, ty jebana suko.

Nie odpowiadasz. Kopiesz. Ale ja nie jestem toksyczny, jestem większy od ciebie i odważniejszy, Bóg daje mi siłę, bym obronił się przed twoimi ciosami. Biorę zamach, uderzam cię w nogi i teraz ty lądujesz na podłodze, upadasz prosto na plecy. Siadam na tobie. Próbujesz gryźć, ale na próżno, próbujesz kopać, ale nie dajesz rady, próbujesz drapać, ale zaciskam dłonie na twoich nadgarstkach. Nie możesz nic zrobić, jesteś przygwożdżona do podłogi. Plujesz mi w twarz; zachowujesz się jak kierowca burak z Massachusetts. Słabniesz, puszczam twoje ręce i kładę dłonie na szyi. Tym razem zrobię to porządnie. Próbujesz mnie uderzyć, ale w twoich drobnych piąstkach nie ma już tyle siły. Zło zwycięża w tobie dobro, policzki ci bieleją, mój kutas pulsuje z bólu, rwie mnie kość biodrowa, oczy wychodzą ci na wierzch. Jesteś odrażająca. Koszulka mojej matki, ta z Nirvaną, którą miałem na sobie, kiedy naszłaś mnie w moim mieszkaniu, ta, którą przechowywałem od dzieciństwa, jest pomazana spermą, twoimi sokami i wanilią. Rozerwałaś ją, dziwko, i to tak, że jest nie do naprawienia.

– Miałaś rację, Beck – mówię. – Sprowadzasz śmierć.

Ściskam twoją szyję i dziękuję, że kopnęłaś mnie w jaja, i mrugam, bo twoja ślina zalewa mi oczy. Dziękuję ci za to, że ponad wszelką wątpliwość udowodniłaś, iż jesteś złą osobą. Wcale nie chcesz miłości ani życia, nasz związek nigdy nie miał szans, jesteś banalna i prosta, chrapliwie łapiesz powietrze. Jesteś solipsystyczna, nie liczysz się z innymi, twoje czekoladowe palce zniszczyły mi książki, serce, życie.

– O co chodzi, Beck?

Zostało w tobie jeszcze tylko jedno słowo:

– Pomocy.

P o m a g a m ci więc. Prawą ręką sięgam po twój egzemplarz *Kodu Leonarda da Vinci*. Szarpię i zębami wyrywam kilka stron. Ciskam książkę

na bok i wyjmuję kartki, są mokre od mojej śliny, której tak bardzo pragnęłaś.

Moje ostatnie słowa dla ciebie brzmią:

– Otwórz się, Guinevere.

Wciskam ci kartki do ust, przewracasz oczami, wyginasz plecy. Ścieżką dźwiękową twojej śmierci jest trzask kości – nie wiem których. Otwierają się kanaliki łzowe, śmiertelna łza z lewego oka spływa po porcelanowym policzku. Oczy masz utkwione „gdzieś gdziem nigdy nie dotarł, w szczęśliwie odległym od wszelkich doznań miejscu; trwa cisza twych oczu”[3]. Przypominasz lalkę, nie reagujesz, kiedy papier w twoich ustach nasiąka krwią.

Nagle wypełnia mnie tęsknota za tobą, ty też za mną tęskniłaś, wołam cię, chwytam za drobne ramiona.

Nie odpowiadasz. Masz tę samą wadę, co wszystkie książki w księgarni: skończyłaś się, zostawiłaś mnie, odeszłaś na zawsze. Już nigdy nie będziesz trzymała mnie w niepewności, już nigdy nie będę czekał na odpowiedź od ciebie. Twoje światło zgasło na dobre. Biorę cię w ramiona.

N i e.

Chcę się rzucić pod pociąg, pociąg numer dziewięć. Jak mogłem to zrobić? Nie zdążyłem usmażyć ci naleśników. Kurwa, co jest ze mną nie tak? Nie mogę oddychać, jesteś moją słodką panią, Beck, inna, atrakcyjna. Jesteś. Byłaś.

Płaczę.

52

Pod koniec życia stwierdziłaś, że nie jesteś pisarką, ale myślę, że doceniłabyś poetycką symetrię swojego pochówku. Zawiozłem cię na północ stanu, jechaliśmy samotnie i długo, ponad cztery godziny od granic miasta. Nie było łatwo, musiałem cię zapakować do buicka razem z zieloną poduchą, byłaś milcząca jak Little Compton zimą. Minąłem Nicky's Pizza, pojechałem dalej i znalazłem tę tanią restaurację. Domki letniskowe Nicky'ego i jego brata stoją w pobliskim Forrest Lake, na zamkniętym osiedlu tuż obok Chestertown. To prowincja, Beck, staromodna mieścina, przywiązana do tradycyjnego stylu życia. Jem kanapkę z serem z grilla, bo muszę, bo zakopanie cię w zmarzniętym lesie będzie wymagało dużo energii; mimo iż każdy, kto wchodzi do knajpki, komentuje, że „mamy łagodną zimę" – tak łagodną, że nie potrzebowałbym czerwonej czapki Holdena Caulfielda z Macy's, nawet gdybym nadal ją miał. Nie będę płakał. Nie tutaj.

Większość klientów restauracji to tutejsi, a nieliczni zamiejscowi przyjechali na wystawę samochodów. Kelnerka pyta mnie, czy przybyłem w tym samym celu, co pozostali. Odpowiadam, że tak, jasne. Sprawdzam telefon i znów muszę iść do łazienki, bo ilekroć zerkam na wyświetlacz, umierasz od nowa. Słyszę słowa cummingsa. Mam ochotę wziąć cię za tę tak drobną dłoń. Płaczę cicho, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Twoja śmierć gra we mnie jak zapętlona piosenka. Ochlapuję wodą twarz i próbuję nie myśleć o tym, że już nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz. Nie odezwiesz się, Beck, bo nie żyjesz.

Wiem, że Nicky nie jest głupi. Nie pochowałby cię na własnym podwórzu. Pojechałby Forrest Lake Drive i skręcił do pobliskiego lasu, tak

jak ja to robię, godzinę po zachodzie słońca. Widzę białoróżowy znak. W ośrodku stojącym przy końcu drogi akurat dziś wieczorem odbywa się „wesele Cheta i Rose”. To mnie nie powstrzyma. Skręcam gwałtownie kierownicą i zagłębiam się w ciemność czystszą niż plaża w LC i czarniejszą niż otchłań twojej solipsystycznej duszy. Nie ma tu oceanu, który złagodziłby bezgwiezdny cios wieczności. Hamuję, powoli. To Chet i Rose mają kiepskie wyczucie czasu, nie ja, do ciężkiej cholery.

Noc jest tak doskonale cicha, że kiedy gaszę silnik buicka, słyszę odgłosy wesela. Zakładam gogle z noktowizorem, biorę łopatę i idę w mrok. Kopiąc dół, staram się nie słuchać weselników. Nie jest to łatwe. Chet i Rose tańczą pierwszy taniec – do *Wonderful Tonight* Claptona – a rodzina i znajomi klaszczą. Ciekawe, jaką my byśmy wybrali piosenkę, pytam cię, ale nie odpowiadasz. Jesteś martwa.

Kopię. Nigdy nie byłem i nigdy nie będę bardziej samotny niż w tej chwili. W północnej części stanu Nowy Jork zimno nie odpuszcza. Jestem zmuszony słuchać Erica Claptona, śpiewającego o gaszeniu światła i wychwalającego swoją lojalną, piękną dziewczynę, samotnie, w pocie i znoju kopiąc dla ciebie grób. Wbijam łopatę w twardą ziemię, życie płynie dalej. Pochylam się i łapię oddech. Patrzę na ciebie, owiniętą w wełniany koc z Bed Bath & Beyond, milcząco leżącą w otwartym bagażniku. Wraca mi normalny rytm oddechu, weselnicy tańczą *electric slide*, ciekawe, czy nasze wesele też by tak wyglądało. Pewnie chciałabyś wyprawić je w Nantucket, bo z nas dwojga tylko ty masz rodzinę. Zaprosiłbym Ethana i Blythe oraz pana Mooneya. Pan Mooney by nie przyjechał. Ale przepisałby na nas księgarnię. Jestem o tym przekonany. Wolałbym, żeby wesele Cheta i Rose już się skończyło, i mam ochotę krzyczeć, ile sił w płucach, ale nie chcę cię obudzić. Przecież nie mogę tego zrobić. Bo nie żyjesz.

Kopię, impreza trwa w najlepsze. Są toasty, są życzenia, jest Stevie Wonder, który śpiewa o swojej ukochanej córce, a my nigdy nie będziemy mieli córeczki. Tracę cierpliwość, ciskam łopatą. Wchodzę do dziury i poddaję się muzyce, nie potrafię dłużej z nią walczyć, radość weselników staje się monotonna – kawałek *Get Lucky* nigdy nie wydawał mi się

wyjątkowy. Niemal czuję smak ich wódki, jestem nieproszonym gościem, niewidocznym, samotnym. Uspokaja mnie i pozwala mi dalej kopać tylko myśl, że Chet i Rose na pewno umieścili w internecie listę prezentów, które chcieliby dostać. Pewność, że odnajdę ich i zobaczę, jak wyglądają, jest pociechą. Dla Cheta i Rose Neil Young śpiewa *Harvest Moon* – to boli, bo dla nas nigdy nie zagra, nie słyszysz go. Bo jesteś martwa.

Wyjmuję twoje ciało z bagażnika i odwijam koc. Wciąż jesteś piękna, dotykam czołem twojej piersi i opowiadam ci o Checie i Rose. Umrę pewnie w samotności, nie będzie cię przy mnie, nie będziesz mnie opłakiwała. Chcesz wzbić się ku niebu, z dużym trudem umieszczam cię, bezcenną, w grobie. Chet i Rose bawią się wśród rodziny i przyjaciół, a ja, samotny, trzymam twoje drobne ciało i pozwalam ci leżeć na zielonych pastwiskach. Wypadałoby zachować chwilę ciszy; niełądnie ze strony Cheta i Rose, że zachowują się tak głośno. Trudno jednak mieć do nich pretensję; nie widzą mnie, nie słyszą. Żyją we własnym świecie, tam, gdzie dzieją się wyłącznie dobre rzeczy, pół kilometra i milion lat świetlnych stąd. Klęczę na ziemi i recytuję *Psalm 23*. Nauczyłem się go specjalnie na tę okazję. Nie żyjesz.

Nie przekonamy się, co stałoby się z nami po ślubie, którego nie będziemy mieli, po życiu. Idę przez las, patrzę na świat nieludzkim, noktowizyjnym wzrokiem i widzę wszystko to, czego nie może zobaczyć człowiek gołym okiem. Nie wiem, czy zamieszkasz w domu Pańskim na długie dni, kładę się na plecach i słucham wesela Cheta i Rose, które z czasem cichnie, jak noc, jak śmierć. Wreszcie się zmęczą i zakończą imprezę, a jeśli ktokolwiek miałby żyć wiecznie w świetle, to myślę, że tą osobą byłabyś ty.

Przysypuję cię piachem, przykrywam kamieniami, gałęziami i liśćmi i jesteś teraz czymś więcej niż tylko ciałem. Powrót do samochodu trwa kilka sekund. Jazda nim, oddalanie się od Cheta, Rose i ciebie ciemną nocą – o wiele dłużej. Nie wiem, czy w ogóle dotrę do domu, a nawet jeśli, to wcale nie jestem pewien, czy nadal mam prawdziwy dom. Nigdy nie będę miał ciebie. Leżysz pogrzebana w Forrest Lake, niedaleko Cheta i Rose,

„gdzieś gdziem nigdy nie dotarł, w szczęśliwie odległym od wszelkich doznań miejscu”.

Następnego dnia księgarnia pozostaje zamknięta. Nie mogę jej otworzyć. Nie żyjesz.

53

Poczta, którą na co dzień odbieram, to reklamy, rachunki, kupony zniżkowe, śmieci – nuda. Ale dzisiaj, prawie trzy miesiące po twojej śmierci, United States Postal Service dostarczyła mi moje pierwsze zaproszenie na ślub. Koperta jest tak duża, że listonosz pofatygował się na górę. Nie jestem ekspertem w kwestii zaproszeń, ale to jest naprawdę piękne. Mam je ze sobą tu, w księgarni. Zakochałem się w doskonałej harmonii delikatnej złotej kursywy i papieru z tłoczonym motywem. Można by pomyśleć, że Ethan i Blythe należą do rodziny królewskiej. Wiele się wydarzyło przez te trzy miesiące. Ethan Wykrzyknik i Blythe zaręczyli się i zaprosili mnie na swój ślub w Austin w Teksasie. Wiele się n i e wydarzyło przez te trzy miesiące. Małżeństwo kosztuje, Ethan znalazł etat w korporacji, kartka zatrudnię sprzedawcę nadal wisi w oknie.

To zaproszenie zmieniło moje nastawienie. Ostatni raz byłem tak pełen nadziei, kiedy opuszczałem gabinet doktora Nicky'ego i kiedy wchodziłem w ciebie. Dzięki temu kawałkowi papieru znów poczułem, że jest dla mnie przyszłość. Zaproszenie każe mi zwracać uwagę na zmieniające się daty w kalendarzu; przyjemnie skoczyć do przodu w terminarzu w telefonie. Zanim przyszło – dla „Szanownego Pana Joe Goldberga i osoby towarzyszącej"! – odhaczałem tylko pełne miesiące, wymyślałem rocznice odmierzające nasze wspólne życie, którego nie ma. Myślę, że akurat ty jak nikt inny rozumiesz, jak ważne jest postawienie kolejnego kroku; lubisz nowe rzeczy, lubiłaś nowe rzeczy. Życie to nie powieść Dana Browna; nie żyjesz, nie wrócisz. Życie jest lepsze niż książka Dana Browna, bo wreszcie mam coś, czego mogę z niecierpliwością wypatrywać: ślub. Muszę wybrać:

stek czy ryba, i naprawdę nie wiem, na co się zdecydować; z informacji w zaproszeniu wynika, że mam na to jeszcze czterdzieści jeden dni.

Dźwięk dzwonka. Jest leniwy, ni to letni, ni jesienny dzień. Bezbarwny klient w krótkich spodenkach pyta o powieść *Doktor Sen*. Pokazuję mu drogę do regału beletrystyka autorami g–k i przypomina mi się, kiedy zobaczyłem cię przy regale beletrystyka autorami f–k i jak mi potem odbiło. Poprzestawiałem regały, już nie mogłem patrzeć na ef–kę. Naprawdę sądziłem, że nadanie wnętrzu księgarni nowego kształtu ułatwi mi życie w świecie pozbawionym ciebie, świecie, który własnoręcznie stworzyłem, świecie, który nie pozwala mi przyznać, że wiem, iż szlafroki z Ritza ukradłaś Peach. Wspomnienia wciąż powracają. Wciąż się wzdrygam. Znów zacząłem jeść, ale tylko dlatego, że nie znoszę tracić przytomności. Wszystko dotąd było jedynie wprawką. Do końca życia będę wdzięczny United States Postal Service, Ethanowi i Blythe. I już zawsze będę doceniał potęgę oczekiwania. Nie ma lepszego pobudzenia w teraźniejszości, jak zaproszenie do przyszłości.

Samotny klient płaci za Kinga i wychodzi z Kingiem. Będę musiał kupić garnitur. Dobrze jest mieć plan. Z radości wchodzę do internetowego miłosnego gniazdka Cheta i Rose. Mam poczucie, że świetnie ich poznałem od tamtej przerażającej nocy w lesie. Chcę im powiedzieć o zaproszeniu. Ogarnęła mnie obsesja na ich punkcie, ale jakże mogło być inaczej? Przyjechali do lasu świętować zawarcie małżeństwa – zrobili to, bym nadal mógł wierzyć w miłość. Kocham ich. Setki razy oglądałem pokaz zdjęć z ich podróży poślubnej. Pojechali dla mnie. Doskonałe wyczucie czasu. Patrzyłem na fotografie i udawałem, że to my bawimy się w Cabo San Lucas. Stałem się mniej zgorzkniały. Wiem, że nie każdy może być Chetem i Rose. Nie ulega wątpliwości, że jedni kochają i są kochani, biorą ślub i jadą w podróż poślubną do Cabo, a drudzy nie. Niektórzy czytają w samotności, siedząc na sofie, a inni czytają razem, w łóżku. Takie jest życie.

Myślę, że umrę w samotności. Karen Minty pewnie umrze przy mężu; wielu ludzi lubi *Diabli nadali*. Pogodziłem się z własnym losem. Podjąłem decyzję, by oszczędzić ci bólu życia. Decyzja była moja i tylko moja.

Uwolniłem cię. Wybaczam ci. Nie twoja wina, że nosiłaś swoje demony w wielkiej torebce od Prady i ubierałaś je w wielkie szlafroki z Ritza, od Peach. Nie byłaś zła, lecz toksyczna. Mężczyznom, którzy zdołali cię porzucić, świetnie się wiedzie; na przykład Hesher ma swój program w telewizji, i to nawet niezły. Z listy życzeń na stronie Babies „R” Us wynika, że twój ojciec niedługo doczeka się kolejnego potomka. Jednym trafia się wszystko, drugim – nic.

Myślę, że byłabyś zadowolona, wiedząc, iż twój głos nadal słychać. Jestem jedynym czytelnikiem *Księgi Beck*; oprawiłem ją sobie w FedEksie. Niemniej jednak miliony ludzi poznało i z zapartym tchem śledziło historię twojego życia. Wszyscy wiedzą o wynaturzonym psychiatrze, który cię zamordował. Nie udało ci się niczego opublikować w „New Yorkerze”, ale załapałaś się do „New York Post”.

Zmieniłaś mnie, Beck. Nie będę takim samotnikiem, jakim jest pan Mooney. Mam Ethana i Blythe. Mam dziewczyny, które od czasu do czasu ze mną flirtują; są bez wyjątku okropne, nijakie, protekcjonalne, płytkie i proste. Jestem jak Hugh Grant w *To właśnie miłość*, tyle że bez miłości, zresztą to nic takiego, bo przecież w prawdziwym życiu Hugh Grant też jest singlem. Powtórzę: nie wszystkim zwierzętom jest pisane łączenie się w pary. Oczywiście, rozumiem, że stworzono nas tak, abyśmy potrzebowali towarzystwa; Bóg dał nam słowa. Musimy rozmawiać. Musimy słuchać. Od czasu do czasu zdarza mi się seks, posuwam dziewczyny poznane w sieci albo w księgarni. Ale przeważnie jestem sam. Nie otwieram się płatek po płatku. Miałaś rację, Beck. Nie byłaś taka, jak myślałem. Barbara Hershey w *Hannah i jej siostry* też nie okazała się dla Elliota tą jedyną. Dźwięk dzwonka, podnoszę wzrok znad zdjęcia Cheta i Rose na paddleboardach i widzę dziewczynę, którą znam, w pewnym sensie. Jest ubrana w koszulkę na ramiączkach z symbolem uniwersytetu w Pittsburghu i w dżinsy. Krzywi się. Macha ręką. Szkoda, że nie gra muzyka. Podobała jej się poprzednim razem.

– Zobaczyłam kartkę w oknie. – Przełyka ślinę. – Ogłoszenie aktualne? Bo czasami zapominają zdjąć. Czasami to zwykłe pieprzenie. Przeklinam, przepraszam.

Zapomniałem o kartce, ale nie zapomniałem Amy Adam, jej kradzionej karty kredytowej, wprowadzających w błąd strojów z herbami uczelni i wielkich kasztanowych oczu. Ogłoszenie jest aktualne. Amy podchodzi do lady. Zerka na zaproszenie na ślub.

– Uwielbiam Austin – mówi, kiwając głową.

– Co u ciebie nowego? – pytam.

Miły gest z mojej strony. Gram dżentelmena, który nie zapomniał, po to tylko, aby ona mogła wcielić się w damę, której się nie zapomina. Przymila się, jeszcze chwila i dygnie. Pochlebiam jej i jest z tego zadowolona. Patrzy mi prosto w oczy i wręcza swoje CV.

– Kiedyś pracowałam w niewielkiej księgarni w Williamsburgu. Ujmę to tak: rozstaliśmy się z powodu krótkowzrocznej polityki właścicieli dotyczącej, jak to się mówi, kradzieży. – Stęknięcie. – Że niby nie wolno zabierać książek do domu, żeby w spokoju poczytać. I niby jak mam przeczytać książkę bez zaznaczania najciekawszych fragmentów? – Jest głośna. – Przykro mi, nie jestem ultranowoczesną laską i nie używam kindle'a, lubię długopisy, papier, prawdziwe strony, których mogę dotykać, a czasem nawet którąś rozerwać. – Kręci głową. – Kiedy kupisz książkę i znajdziesz w niej notatki na marginesie, powinieneś się cieszyć, bo dostałeś coś za darmo. – Nie czeka na moją reakcję. Mruga. – Przepraszam. Nakręcam się. Ale musiałam to powiedzieć.

Potrzebuje mojej akceptacji. Uśmiecham się.

– Nie musisz przepraszać.

Teraz jej kolej, podporządkowuje się i mówi wesołym głosem:

– Gadam jak potłuczona. Zatrudniacie wariatów?

Odpowiadam, że zatrudniamy wyłącznie świrów. Uważa, że jestem zabawny. Ma melodyjny śmiech, podoba jej się u mnie, w księgarni. Będzie moją kasjerką i moją dziewczyną i kiedy następnym razem zaproszą mnie na ślub, na kopercie napiszą: „Szanowni Państwo Joe Goldberg i Amy Adam" i nie będę się martwił, gdzie znajdę „osobę towarzyszącą". Odeszłaś na zawsze, a ona jest tu i teraz.

PODZIĘKOWANIA

Chcę podziękować Joemu Goldbergowi za to, że uparcie żądał, by dopuścić go do głosu. Dobra robota, Joe.

Co zaś się tyczy prawdziwych osób, które przyczyniły się do powstania tej książki, to chciałabym podziękować wszystkim pracownikom Emily Bestler Books, Atrii i Simona & Schustera. Współpraca redaktorska z Emily Bestler była niczym wygrana na loterii. Emily – jestem ci wdzięczna za entuzjazm, inteligencję i wrażliwość. Nie dorób się własnego stalkera! Judith Curr, Benie Lee, Paulu Olsewski, Davidzie Brownie, Mellony Torres, Hillary Tisman, LeeAnno Woodcock, Jeanne Lee, Kristen Lemire i Kate Cetrulo – dzięki wam poczułam się w redakcji jak u siebie w domu. Megan Reid – dziękuję za najlepsze na świecie walentynki. *Alloy, oh Alloy!* Lanie Davis, Joshu Banku, Saro Shandler – macie nieskazitelne serca i umysły. Joe przytakuje. Joshu, twój głos ma w sobie więcej mocy niż kroplówka Karen Minty. Lanie, zawsze wiesz najlepiej, jestem wdzięczna za twoje wskazówki (i chochlę!). Saro, jesteś niewiarygodnie elokwentna i rysujesz najpiękniejsze serca. Dziękuję wam wszystkim za to, że razem ze mną zadbaliście o właściwy kształt świata opisanego w tej książce. Jennifer Rudolph Walsh, Claudio Ballard, Lauro Bonner z WME – dziękuję, że uwierzyłyście w tę historię i wiedziałyście, co należy z nią uczynić. Natalie Sousa – projektując okładkę[4], chyba czytałaś mi w myślach. Dziękuję ci za to.

Liczna rzesza wychowanków Barnstable High School zgodzi się ze mną, że w tej szkole uczą najlepsi nauczyciele pod słońcem. Micku Carlonie, Edzie O’Toole’u – wasze słowa zachęty miały na mnie ogromny wpływ. Lindo Friedman – dziękuję, że byłaś tak wspaniałą mentorką. Matcie DiGangi – dziękuję za wymyślenie ThievesJargon.com. Lauren Acampora Doyle – jesteś cudowną, mądrą osobą i dziękuję ci, że przedstawiłaś mnie bogini Alloy Entertainment, Sarze Shepard. Dziękuję moim kuzynkom,

Tommi Hurme za picklebacki, a Kristiinie Hurme za wsparcie; jedno i drugie bardzo się przydaje, kiedy pisze się książkę o stalkerze.

Zaczęłam pisać tę książkę po śmierci mojego taty, który umarł na raka. Jestem wdzięczna przyjaciołom: Amy Sanborn – mam to szczęście, że znamy się dosłownie od zawsze, to znaczy od kiedy byłam jeszcze w łonie matki; Lauren Heller – jesteś prawdziwym darem; Sarah Tatting-Kinzy – jesteś świetną słuchaczką i fantastyczną przyjaciółką; Mattowi Donnelly'emu (a także Corky i Pinky) – za inspirujące chwile w Splendorei; June Hurme i Kathleen Kelly – dziękuję, że dopytywałyście się, co będzie dalej; Lorenie David Esquerrze, George'owi Esguerrze i Dylanowi – wasz pokój gościnny Roalda Dahla był boski; Lii i Toddowi Habermanom – za pączki; Crispinowi Struthersowi – za to, że byłeś; Nicholasowi Fonsece – podnosiłeś mnie na duchu; Sharon i Paulowi Swartzom – za kąt pracy twórczej (i naleśniki!) w Cape Point Hotel; Sophie Macheras – bardzo dużo znaczyło dla mnie to, że polubiłaś „Owena"; Michaelowi Wymanowi – jesteś najlepszy, kocham cię, kochanie, nie zmieniaj się. Podziękowania i całusy dla: Erica Scotta Coopera, Franka Medrano, Beverly Leiberman, Karen i Howiego Oników, Erin Penner, Jen i Jona Sackettów, Josha Wymana, cioci Carole i wujka Dena. Dla rodzin Macherasów, Swartzów, Wymanów, dla kuzynów i moich najbliższych – kocham was. Mogłabym zapełnić całą książkę samymi nazwiskami – a potem jeszcze jedną. Mam niebywałe szczęście, że poznałam tak wiele cudownych dusz.

Uściski dla mojego dzielnego brata Aleksa, siostry Beth i niesamowitych siostrzeńców, Jonathana i Joshui. Dziękuję rodzicom, Monice i Haroldowi Kepnesom, za stworzenie domu, w którym rozbrzmiewali Zeppelini i śmiech. Tato, szkoda, że cię tu nie ma i nie możesz cieszyć się razem ze mną. Ty i mama wierzyliście we mnie już wtedy, kiedy w pamiętniku Hello Kitty zaczęłam pisać opowiadania o ukradzionych toporkach i pochłaniałam książki z serii „Sweet Valley High". Zawsze jesteście dla mnie inspiracją.

Na koniec chciałam podziękować artystom, do których dzieł odwołuję się w tej książce. Rządzicie.

PRZYPISY

[1] e.e. cummings, *gdzieś gdziem nigdy nie dotarł, w szczęśliwie odległym*, w: *150 wierszy*, wybrał i przełożył oraz posłowiem opatrzył Stanisław Barańczak, Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1983, s. 145.

[2] Virginia Woolf, *Własny pokój*, przełożyła Agnieszka Graff, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 1997, s. 41.

[3] e.e. cummings, dz. cyt., s. 145.

[4] Autorce chodzi tu o okładkę wydania oryginalnego.